PRZEGLĄD POWSZECHNY

P. P. T. 153—154.

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO". *Ps. 143.*

ROK TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY. — TOM 153—154.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC

1922

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

Walka
o historyczne podstawy chrześcijaństwa.

I. Zaranie racjonalizmu.

Przed dwudziestu laty cykl odczytów berlińskiego protestancko-liberalnego profesora teologji, Adolfa Harnacka, wywołał w literaturze teologicznej Zachodu żywe roztrząsania i spory na temat: co jest istotą chrześcijaństwa?

Mianowicie, już długo przedtem poczęto oswajać się z myślą, że w religji chrześcijańskiej, wziętej w jej historycznych odmianach, nie wszystko jest istotnem, zarówno w wierzeniach, jak i w kulcie. Przez dziwne pomieszanie pojęć, naprzekór panującej w naszych czasach idei ewolucji, za istotne w religji poczytywać poczęto to tylko, co było w niej pierwotnem. Według tej zasady — gdyby ją zastosować do botaniki — na istotę dębu nie składałyby się ani konary, ani liście, tylko miazga żołędzia, z którego dąb wyrósł.

Stosując tę ciasną zasadę do treści religji chrześcijańskiej, Harnack uznał za składniki nieistotne nie tylko wiele z tego, co rozwinęły wieki życia Kościoła, ale i wiele z tego, co się składało na całokształt wierzeń pierwotnych chrześcijan, nawet samych Apostołów. Gdyż i ewangelje i inne pisma apostolskie, jako przedstawiające już pewne stadjum rozwoju nauki Jezusa, wydały się berlińskiemu profesorowi jako nie dość czysty wyraz tego, co w tej nauce jest istotnem.

Za zadanie tedy krytyki historycznej uznał — poprzez łupinę żołędzia dobrać się do samej jego miazgi. Postanowił określić nie jak uczniowie Jezusa zrozumieli naukę Mistrza, lecz co On im rzeczywiście chciał powiedzieć; owszem nawet z tego, co im Jezus powiedział, postanowił Harnack wyeliminować rzeczy, jego zdaniem nie istotne.

Zdało się Harnackowi, że dzięki tej analizie, — nawiasowo mówiąc, już dlatego trudnej, że nie posiadamy żadnych pism pochodzących od samego Chrystusa, — oddzielił plewy od czystego ziarna.

Słuchacze wykładów berlińskiego profesora mogli spostrzec, że ziarno przezeń wyłuskane było nader chude: istota chrystjanizmu, według niego, to nie więcej jak dwie-trzy myśli religijne. »Bóg i dusza, dusza i Bóg« — oto formuła, w jakiej sam Harnack zawarł rezultat swej analizy. Wartość duszy ludzkiej, jej synowski stosunek do niebieskiego Ojca i królowanie Boga w duszach ludzkich — oto całkowity wykładnik tej zwięzłej formuły. Wszystko inne, co dziś się składa na treść chrześcijańskich wierzeń i kultu — to albo zewnętrzna naleciałość, synkretyzm obcych pierwiastków, albo plewa, którą wprawdzie sama roślina wytworzyła, ale która po spełnieniu swego zadania bez żadnej szkody od ziarna oddzieloną być może i oddzieloną być powinna.

Jakie miejsce w owem »istotnem« chrystjaniźmie zajmuje sam Chrystus? Zdaniem Harnacka, do istoty chrystjanizmu wcale on nie należy. »Nie Syn jest przedmiotem dobrej nowiny, głoszonej przez Jezusa, lecz Ojciec jedynie«. Według tego zdania, osoba Jezusa jest tak poza treścią religji, jak osoba Platona czy Arystotelesa jest poza treścią ich filozoficznych systemów. Jak oni mogą być przedmiotem tylko historycznych, nie zaś metafizycznych dociekań, tak osobą Jezusa ma się zajmować historja religji, nie zaś dogmatyka. Jezus, rzucając parę płodnych religijnych myśli, spełnił swe dzieło i odszedł; możemy z jego nauki korzystać i żyć nią, zapomniawszy o nauczycielu, jak korzystamy z wielu naukowych odkryć i wynalazków, pozostawiając specjalistom pytanie komu je zawdzięczamy.

Twierdzenia teologa z nad Sprewy wywołały całą literaturę w protestanckim i katolickim obozie: protestanci długo jeszcze dyskutowali, co jest istotą chrystjanizmu, ewangelji. Nie tu miejsce opowiadać szczegóły tego sporu, który zresztą już można uważać za wygasły. Powiemy tylko, że katoliccy autorowie, którzy w nim udział brali, stwierdzili, zgodnie z odwieczną tradycją, że do istoty chrystjanizmu należy przedewszystkiem sam Chrystus jako Bóg-człowiek, że zatem bez kultu Jego osoby niema prawdziwego chrześcijaństwa. A stwierdzili to na podstawie nauki samego Jezusa, znanej nam z ewangelji i z innych pomników pierwotnej wiary, wykazując, że wiara w bóstwo Jezusowe i boskość jego dzieła nie byłaby mogła zrodzić się wśród pierwszego

pokolenia chrześcijan, gdyby nie była koniecznem odbiciem w ich umysłach i sercach słów i czynów samego Mistrza.

Zadaniem niniejszej pracy wszakże nie jest analiza owych słów i czynów Jezusa, z których bóstwo Jego dowodnie się wyprowadza. Działanie ich na umysły uczniów wtedy dopiero osiągnęło swą pełnię, kiedy zaszedł pewien fakt, wychodzący z ram śmiertelnego żywota Jezusa. Za taki fakt uważać należy zmartwychwstanie Jezusa. On jest istotnym czynnikiem, który utrwalił wiarę w bóstwo Jezusowe, on zatem musi być uważany za historyczną podstawę chrystjanizmu i za główny dowód jego boskości i absolutnego znaczenia. Niema chrystjanizmu bez Chrystusa, ale nie byłoby go również na świecie, gdyby Chrystus nie powstał był z pomiędzy umarłych,

Że ze śmiercią tragiczną Jezusa, gdyby nie nastąpiło po niej zmartwychwstanie, pogrzebanem byłoby całe Jego dzieło i dzisiaj wiedzielibyśmy o Mistrzu z Nazaretu mniej, niż o jakimkolwiek innym religijnym proroku i reformatorze, będę miał sposobność dobitniej zaznaczyć na innem miejscu. Że zaś zmartwychwstanie Jezusa, jeżeli było faktem, t. j. prawdziwym powrotem do życia po prawdziwej śmierci, — że zmartwychwstanie takie jest jakby ostatnią pieczęcią uwierzytelniającą boskie pochodzenie i misję Jego, a zatem daje najpewniejszą rękojmię prawdziwości całej Jego nauki i boskości Jego dzieła, na to również wszyscy gotowi się zgodzić. Można nie wierzyć w cuda, ale przypuściwszy, że cud, prawdziwy cud, jako dzieło osobnej interwencji Bożej w biegu sił natury, został stwierdzony, musi się przyjąć, że Bóg przezeń chce coś ludziom oznajmić, i że jeśli naprawdę swoją potęgą wzbudził do życia tego, kogo stracono jako bluźniercę Bogu, to chyba nie czego innego to dowodzi, jak tylko, że ów stracony skazaniec jest posłańcem Bożym, że Jego dzieło jest dziełem Bożem. Ten wywód jasnym był zawsze tak dla niewierzących, jak i dla wierzących, i dlatego zbyteczna rzecz rozprawiać dłużej o sile dowodowej zmartwychwstania Chrystusowego. Jądro zagadnienia w tem tylko, czy Chrystus prawdziwie zmartwychwstał, czy też tylko legendą jest opowieść wielkanocna. Liberalna krytyka usiłuje dowieść, że to tylko legenda, my mamy najgłębsze przekonanie, że to historyczny fakt.

Zaprzeczanie historyczności zmartwychwstania Jezusowego nie rzeczą nową. Ponieważ, jak świadczą nam najstarsze pomniki piśmienne chrześcijaństwa, Listy Pawłowe i Dzieje Apostolskie, zaraz pierwsi głosiciele wiary w Jezusa powoływali się z całym naciskiem na fak

zmartwychwstania Jezusowego, czyniąc zeń jeden z najistotniejszych punktów swego przepowiadania a zarazem podstawę i kryterjum nieomylne swojej wiary, stąd każdy, kto odrzucał ich ewangelję, wyraźnie lub domyślnie zaprzeczał i zmartwychwstaniu. Tak się zachowali Ateńczycy wobec św. Pawła. Dopóki im mówił o Bogu — Stwórcy wszechrzeczy, w »którym żyjemy, ruszamy się i jesteśmy«, słuchali go bez sprzeciwu, skoro jednak wspomniał, że ten Bóg wskrzesił z martwych wybranego przez siebie Męża, Jezusa, wywołał szyderczy śmiech sceptycznych areopagitów. »Innym razem o tem słuchać, cię będziemy« — na dziś dosyć[1]). Adepci szkół greckiej filozofji z góry uważali zmartwychwstanie za bajkę, a więc i tego, kto im taką nowinę opowiadał, musieli poczytać albo za szalbierza, albo za zwichniętego umysłowo człowieka.

Na stanowisku bezwzględnej negacji wobec twierdzenia o zmartwychwstaniu Jezusa stali zawsze Żydzi, jak np. to widać z Djalogu św. Justyna z 2-go wieku z żydem Tryfonem, lub z pamfletu rabinistycznego pod tytułem »Toledoth Jeszuah«[2]). Wiarę wyznawców Jezusa w zmartwychwstanie ich Mistrza Żydzi uważali za owoc oszustwa pierwszych uczniów, którzy ukryli ciało Jezusa w celach propagandy swojej nauki.

Zasadnicza podstawa chrystjanizmu — zmartwychwstanie Jezusa nie mogło ujść uwagi tych pogańskich pisarzy pierwszych wieków naszej ery, który z całym aparatem krytycznym i myśli filozoficznej uderzyli na chrześcijańskie wierzenia w celu skompromitowania ich w oczach ówczesnych oświeconych kół. Kelsos, przeciw któremu bronił wiary Orygenes, potem Porfirjos, Juljan Apostata i inni z całą siłą argumentacji zabrali się do burzenia wiary w zmartwychwstanie Jezusa, wystawiając ją przeważnie jako baśń, opartą na przywidzeniach kilku niezrównoważonych głów, a może i na świadomem kłamstwie apostołów. Jak zobaczymy poniżej, wroga wierze krytyka ostatniego stulecia nie wiele dodała do przeczeń upadającego pogaństwa.

Nie chodzi nam tu o dokładny przegląd imion tych, co w ciągu następnych stuleci zaprzeczali zmartwychwstaniu Jezusa. Domyślnie odrzuca je każdy, kto odrzuca chrześcijaństwo wogóle; ponadto odosobnione przeczenia wychodziły z łona różnych sekt, usuwających zasadniczy dogmat. — Wcielenie Syna Bożego.

---

[1]) Dz. Ap. 17, 32.

[2]) Zob. o „Toldoth Jeszuah w Schweitzera Geschichte der Leben-Jesu-Forschung, str. 319.

Przechodzimy do czasów nowszych. Negatywne stanowisko względem zmartwychwstania Jezusowego, narówni z zaprzeczeniem możliwości jakichkolwiek cudów, stoi w związku z odrodzeniem się pogańskiej filozofji monistycznej w 17 wieku. Usuwając pojęcie Boga, jako Istoty od świata różnej, ponadświatowej, inteligentnej, wolnej i wszechpotężnej, ojciec nowożytnego panteizmu, Żyd Benedykt (Baruch) Spinoza (1632—1677) odrzucił konsekwentnie wszelkie cuda, a zatem i zmartwychwstanie Chrystusa. Przez dziwną chyba tylko niekonsekwencję dopuścił w pewnym liście[1]), że wiara apostołów w zmartwychwstanie Jezusa mogła się zrodzić dzięki jakiemuś wewnętrznemu objawieniu prawdy, że Chrystus został obdarzony nieśmiertelnością, o ile jest przykładem świętego życia dla wszystkich. Z tą hipotezą »czysto duchowego« zmartwychwstania spotkamy się jeszcze później.

Że angielscy deiści 17 i 18 i francuscy encyklopedyści 18 stulecia musieli zaprzeczać zmartwychwstaniu Jezusa, to wypływało logicznie z ich stanowiska względem religji wogóle. Pierwsi z nich całą religję usiłowali zamknąć w ramach »czystego rozumu« i usuwali ze świata i historji ludzkości wszelką bezpośrednią interwencję boską[2]), drudzy, zarażeni materjalizmem, wogóle sceptycznie odnosili się do biblji, a zwłaszcza do wszelkich jej opowiadań o cudach.

Atoli historja ataków nowożytnej krytyki niewierzącej przeciwko cudom wogóle, a cudowi zmartwychwstania Jezusa w szczególności wiąże się w sposób szczególny z imieniem H. S. Reimarusa, profesora gimnazjum w Hamburgu (1694—1768). Autor ten, przesiąknięty poglądami angielskich deistów, napisał obszerne dzieło p. t. »Schutzschrift für die vernünftigen Verehrer Gottes« — »Pismo obronne dla rozumnych czcicieli Boga«, wymierzone całkowicie przeciwko religji objawionej, którą poczytywał za przesąd niegodny człowieka rozumnego. Dzieło to, za życia autora wcale drukiem nie ogłoszone, krążące jedynie między przyjaciółmi w odpisach, począł od r. 1774 ustępami wydawać, jako utwór nieznanego autora, Lessing, p. t. »Wolffenbüttler Fragmente«, t. j. jako znalezione w bibljotece książęcej w Wolffen-

---

[1]) Do Oldenburga, list 25, cytowany u Straussa, Das Leben Jesu, wyd. 3. t. I str. 686.

[2]) Specjalnie przeciw wierze w zmartwychwstanie Jezusa skierowanem jest pismo: The Resurrection of Jesus — considered by a moral philosopher 1744. U Lelanda I, 425, cyt, u Straussa I 16.

büttel. Wyszło tych fragmentów siedm i na tem publikacja się urwała[1]). Nazwisko autora fragmentów wyjawił światu dopiero w kilkadziesiąt lat później Strauss.

W dwóch z ogłoszonych urywków, mianowicie w szóstym i siódmym, »O historji zmartwychwstania« i »O celu Jezusa i jego uczniów«, zajmuje się Reimarus początkami chrystjanizmu i w szczególności zmartwychwstaniem Jezusa. Według niego, całą naszą religję zawdzięczamy świadomemu oszustwu. Darują czytelnicy, że powtórzę w streszczeniu przykre dla wierzących uszu bluźniercze wywody Reimarusa.

Jezus, na pół nauczyciel na pół fanatyk, zamierzył odegrać rolę oczekiwanego przez lud mesjasza. Mianowicie zapragnął pociągnąć za sobą tłumy i z ich pomocą zrzucić polityczne jarzmo Rzymian, a siebie ogłosić królem. W tym celu posługiwał się nawet różnemi sztuczkami, by sławą cudotwórcy pozyskać lud. Kiedy przedsięwzięcie zupełnie chybiło i opuszczony od ludu musiał skończyć tragicznie z wyrazem rozpaczy: »Boże czemuś mnie opuścił?« uczniowie jego, którzy zżyli się już z myślą, że w królestwie swego mistrza zajmą poczesne miejsca, nie dali za wygranę. Wykradłszy z grobu i ukrywszy dobrze trupa, wystąpili z twierdzeniem, że Jezus zmartwychwstał i wstąpił do nieba, skąd jednak niebawem powróci by założyć swoje królestwo. Dodawali, że kto chce mieć udział w tem królestwie, musi uwierzyć ich opowiadaniom i do nich się przyłączyć. Pozyskanie łatwowiernych dla tego oszukańczego twierdzenia umożliwiło dalej uczniom Jezusowym lekką egzystencję, zwalniając ich od konieczności powrotu do ciężkiej pracy na kawałek chleba.

Opowiadanie o zmartwychwstaniu Jezusowem, jego zjawianiu się itd. przybierało z czasem takie warjanty, że wreszcie uwikłało się w szereg sprzeczności, które, utrwalone w ewangeljach, kompromitują same przez się autentyczność faktu. Wykazaniu tych sprzeczności w relacjach różnych ewangelistów poświęcił Reimarus dużo miejsca w swoich pismach i sądził, że sprzeczności tych w żaden sposób nie da się usunąć ani pogodzić.

Odpowiadając współczesnemu dość rozpowszechnionemu poglądowi, że źródłem religji wogóle był podstęp, że mianowicie religję dla celów praktycznych albo egoistycznych mieli wymyślać jużto naczelnicy plemion, jużto czarodzieje - kapłani, eksploatujący łatwowierność ludzką, hipoteza Reimarusa mogła liczyć na popularność u niewybrednej

[1]) Całkowity rękopis Reimarusa, zawierający 4000 stron, przechowuje się w miejskiej bibljotece w Hamburgu.

publiczności, lecz ognia poważnej krytyki wytrzymać nie zdołała. Zbyt wielkiem i majestatycznem zjawiskiem w historji ludzkości jest chrześcijaństwo i zbyt wiele ludzkość mu zawdzięcza, by wolno było tak lekkomyślnie uważać je za dzieło ordynarnego szalbierstwa, dokonanego przez grupę galilejskich prostaków i próżniaków, za jakich Reimarus uważa apostołów. Dlatego nawet wroga chrystjanizmowi krytyka najnowsza, chociaż piórem np. Alberta Schweitzera[1]) sławi we fragmentach Reimarusa »jedno z największych zdarzeń w historji ducha krytyki i jednocześnie arcydzieło literatury światowej«, uznaje nie tyle wartość konstrukcji, jaką Reimarus stworzył, ile śmiałość, z jaką uderzył na tradycyjną wiarę Kościoła.

Konstrukcja Reimarusa rozpada się w proch przy bliższym rozbiorze. Skąd Reimarus wie o celu Jezusa i metodach, jakiemi się posługiwał do urzeczywistnienia tego celu? Czy posiada jakieś bardziej autentyczne zabytki piśmienne, w świetle których możnaby sprostować opowiadanie źródeł chrześcijańskich? Wiadomo, że żadnych takich zabytków niema, i historyk, jeśli chce się zajmować początkami chrześcijaństwa, musi się oprzeć nie na czem innem, jak na Ewangeljach, Dziejach i Listach apostolskich. Opiera się na nich i Reimarus; tylko uważa — co zresztą czynić będą wszyscy przedstawiciele antychrześcijańskiej krytyki, — że wolno mu jakiemś jasnowidzeniem wybrać z tych źródeł pewne rysy, pewne odosobnione wyrażenia, zrozumieć je dowolnie, złożyć z nich całość, a potem resztę materjału, która do tej całości nie będzie pasowała, bez skrupułu odrzucić, jako bezwartościową. Lecz co nam może być poręką, że jasnowidzenie nie zawodzi Reimarusa, że odróżnienia ziarna prawdy od plew legendy dokonał trafnie? Odgaduje on cel Jezusa, czyniąc go pretendentem do tronu żydowskiego i opiera ten swój domysł np. na opowiadaniu ewangelji o triumfalnym wjeździe do Jerozolimy. Okrzyki tłumu uważa za autentyczne, lecz co upoważnia go do odrzucenia, jako nie autentycznych, opowiadań tych samych źródeł o tem, że Jezus uchylił się, kiedy Go królem obwoływać chciano na pustyni, lub że wobec Piłata oświadczył, iż jego królestwo nie jest z tego świata, ale polega na daniu świadectwa prawdzie? Dlaczego słowa skargi Jezusa na krzyżu, które Reimarus bierze za okrzyk rozpaczy, mają być autentyczne, a słowa »Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mojego« mają być podejrzane? Czy nie dlatego, że Reimarus utworzył sobie z góry obraz Jezusa, jako

[1]) Geschichte der Leben- Jesu- Forschung, Tübingen 1913, str. 15.

politycznego intryganta, więc ustępy, którym choć z naciąganiem może nadać sens pożądany, przyjmuje, a wszystko, co w żaden sposób nie da się nagiąć do powziętej hipotezy, odrzuca?

Przejdźmy w szczególności do zmartwychwstania Jezusa. Jedno z dwojga: albo nie mamy żadnych źródeł pewnych, na podstawie których moglibyśmy tworzyć jakieś kombinacje i przypuszczenia, a wtedy i przypuszczenie Reimarusa o ukryciu ciała Jezusowego przez uczniów trzeba poczytać za zupełnie dowolne, albo musimy polegać na źródłach, jakie posiadamy, a te nam zupełnie inaczej rzeczy przedstawiają, aniżeli Reimarus w nich czyta. Wspomina wprawdzie autor pierwszej ewangelji o wersji wykradzenia ciała Jezusowego z grobu przez uczniów, ale podaje to, jako wybieg Żydów, którzy uznać nie chcieli oczywistości zmartwychwstania. Jeżeli Reimarus przyjmuje tę wersję na serjo, czemu odrzuca zapisane w tejże ewangelji źródło jej pochodzenia?

Ale ważniejszem jest co innego. Mianowicie, śmiało można twierdzić, że zmyślone przez Reimarusa oszustwo apostołów jest wprost fizyczną i psychologiczną niemożliwością. Jedno dobrze spostrzegł Reimarus w Dziejach Apostolskich i Listach św. Pawła, że apostołowie uczynili ze zmartwychwstania główny dowód nauki, jaką głosili i nadziei, jaką w sercach ludzkich szczepili. W istocie na fakt zmartwychwstania powołuje się św. Piotr w swej przemowie do ludu, zgromadzonego wobec dziwnych zjawisk w wieczerniku w dzień Zielonych Świątek, (Dz. 2, 24 i 2, 32); o zmartwychwstaniu Jezusa głosi tenże Piotr wespół z Janem w portykach świątyni jerozolimskiej (Dz. 3, 15 i 3, 26); dając z wielką mocą świadectwo zmartwychwstania Jezusa Chrystusa (Dz. 4, 33) wobec najwyższej żydowskiej rady, zyskują apostołowie tłumy dla nauki Jezusowej; i cóż sami apostołowie oświadczają: »Bóg ojców naszych wzbudził Jezusa, któregoście wy zabili zawiesiwszy na drzewie« (Dz. 5, 30), »a my jesteśmy świadkami tego« (Dz. 5, 32). W Joppie, po nawróceniu Korneljusza znowu Piotr odzywa się do tłumów, że zabitego Jezusa wzbudził Bóg dnia trzeciego (Dz. 10, 40). A jak pierwsi, bezpośredni apostołowie Jezusa, tak i Paweł, który do grona ich się przyłączy, nie opuści żadnej sposobności, by nie powołać się, jako na fakt rzeczywisty, na zmartwychwstanie Jezusowe, i do tego faktu taką przywiązuje wagę, że bez niego nie pojmuje chrześcijaństwa: »A jeżeli Chrystus nie powstał z martwych, próżne jest przepowiadanie nasze, próżna i wiara wasza i my stajemy się fałszywymi świadkami (I Kor. 15, 14—15).

Teraz pytamy, czy możliwą jest rzeczą, by banda oszustów, bo taką bandą są uczniowie Jezusa w hipotezie Reimarusa, by taka banda głosiła tak śmiało, z takim akcentem pewności i przekonania, przytem tak wytrwale, przed ludem i wobec władz, tak niebywały fakt, jak zmartwychwstanie człowieka śmiercią złoczyńców straconego? Jak się to stało, że władze, w wykryciu prawdy zainteresowane, nie przyłożyły wszelkich starań aby dojść, kto i gdzie ukrył ciało Jezusowe, aby je odnaleźć i ukazując je ludowi intrygę w samym korzeniu wyciąć? Czemu nie użyto do tego policji rzymskiej, której wcale niedołęstwa zarzucić nie można? Jak psychologicznie wytłomaczyć, że apostołowie głoszą o zmartwychwstaniu Jezusa bez cienia jakiejkolwiek obawy, że ich oszustwo może się wykryć, że nadają swemu świadectwu taki ton szczerości i przekonania, jaki wyczytujemy w Dziejach i Listach apostolskich? Dalej, dziwna rzecz, że z grona wtajemniczonych w całą aferę ukrycia ciała uczniów żadnego sumienie nie poruszyło się, że wszyscy dotrzymali solidarności i nikt współwinowajców nie zdradził. A przecież, bądź co bądź, ewangelje malują nam apostołów jako ludzi prostych i szczerze religijnych, ludzi, którzy tęsknili za przyjściem królestwa Bożego, którzy kochali swój naród i swoją religję. Przypuśćmy nawet, że w pierwszej chwili po rozwianiu się ich nadziei pierwotnych wpadli na szaloną myśl ukrycia ciała Jezusa i rozgłoszenia, że zmartwych wstał jakiej wszakże zatwardziałości w złem było potrzeba, aby podtrzymywać zuchwale i wytrwale by oszustwo, które rozbijało ojczystą religję! Czynić to, powołując się na Boga, jako na wskrzesiciela Jezusa, i nie zadrżeć na myśl o wielkiej odpowiedzialności przed sądem Bożym nietylko już za oszustwo, ale za bluźnierstwo, krzywoprzysięstwo i za wszystkie skutki oszukaństwa, za apoteozę skazanego przez starszyznę kościelną człowieka, za działanie na szkodę religji prawdziwej, — to już zbyt wiele trąci bohaterami ateizmu, dla których niema moralnego zła ani dobra, tylko powodzenie lub niepowodzenie przedsięwzięcia. Czynić z rybaków galilejskich jakichś nadludzi w stylu Nietzschego to zbyt krzyczący anachronizm.

Idźmy dalej. Apostołowie nie tylko nie zdradzają ani cienia niepokoju lub wyrzutów sumienia, lecz widocznie pełni są zadowolenia ze spełnionego obowiązku świadczenia prawdzie. Za tę prawdę cierpią prześladowanie od początku. Pociągnięci do odpowiedzialności wobec Sanhedrynu, nakazującego im milczenie, śmiało oznajmiają, iż raczej Boga słuchać trzeba niż ludzi: »bo nie możemy cośmy widzieli i słyszeli nie mówić« (Dz. 4, 20); ubiczowani, radują się, »iż się stali god-

nymi dla imienia Jezusowego zelżywość cierpieć« (Dz. 5, 41), i cierpieć będą nie tylko zelżywość, ale sroższe jeszcze prześladowania, odłączeni od synagogi, wyklęci przez swój naród, jedni pójdą pod miecz, drudzy będą kamienowani, inni jeszcze aż na krzyż za Mistrzem swoim wstąpią. Więc na takie wytrwanie aż do męczeństwa w opowiadaniu zmartwychwstałego Jezusa zdobyliby się ci próżniacy, jakimi ich przedstawia Reimarus, eksploatujący nieudałą aferę polityczną Jezusa do swych niskich egoistycznych celów?

Jeżeli mamy przywiązywać jakąś wagę do analizy psychologicznej, to przypuściwszy, że Jezus stracony na drzewie krzyża nie zmartwychwstał, postępowanie dalsze apostołów tylko tak możnaby sobie wystawić: Położyli oni w Jezusie całą swą nadzieję, oczekiwali, że on wybawi Izraela, za nim też poszli, opuszczając wszystko. Lecz oto zawód ich spotkał. Ich mistrz został skazany na śmierć przez władzę i duchowną i świecką, jako uwodziciel ludu, i śmierć poniósł, a Bóg nie dał mu żadnej pomocy, żadnym znakiem nie okazał, że Jezus jest Jego wybrańcem. Czyż to opuszczenie Jezusa przez Boga nie musiałoby wierzących żywo w Opatrzność Bożą uczniów utwierdzić w zdaniu, że ich Mistrz rzeczywiście nie czem innem był jak albo marzycielem, albo świadomym uwodzicielem, że zatem słusznie śmierć poniósł i że wszystko skończone? A w takim razie musieliby apostołowie z przykrym niesmakiem zrozumieć, że i sami stali się ofiarą uwodzicielstwa, musieliby poczuć do Jezusa, jeśli nie nienawiść, to żal, że ich w taki błąd wprowadził. I jedno im pozostawałoby do zrobienia: otrząsnąć się czemprędzej z zawiedzionych nadziei i wrócić do swoich poprzednich zajęć.

Jeżeli postąpili inaczej, to widać, że psychologicznie zostali do tego zmuszeni, lecz taki mus, jakkolwiek będziemy jego genezę tłomaczyli, wyklucza stanowczo przypuszczenie świadomego oszustwa. Czyli hipoteza Reimarusa utrzymać się nie da.

Tak, jeśli przechowane źródła, mają jakiekolwiek znaczenie to musimy przyjąć za pewnik, że apostołowie, głosząc o zmartwychwstaniu Jezusa, sami byli najgłębiej przekonani, iż on rzeczywiście powstał z grobu. Do takiej oceny postępowania apostołów doszła też wkrótce po Reimarusie cała krytyka nawet w obozie niewierzącym. Jeżeli echa hipotezy Reimarusa, o ile dotyczyła rzekomej inscenizacji innych cudów ewangelicznych, błąkały się jeszcze jakiś czas po głowie to tego to drugiego racjonalisty, to o ile chodziło o świadome zmyślenie zmartwychwstania przez apostołów, została ta hipoteza zupełnie zarzuconą

między rupiecie przeszłości. Pozostawmy i my ją w spokoju; co się zaś tyczy rzekomych sprzeczności w opowiadaniach ewangelistów o zmartwychwstaniu Jezusa, sprzeczności, których ustalenie dotąd krytyka niewierząca poczytuje Reimarusowi za wielką zasługę, — to zajmiemy się niemi nieco obszerniej przy innej sposobności.

»Zdanie: umarły odzyskał z powrotem życie, składa się — tak twierdzi Strauss[1]), — z dwóch tak dalece sprzecznych części, że ilekroć chce się zatrzymać jedną z nich, druga się ulatnia«.

Oczywiście tak myśleć muszą wszyscy ci, co nie uznają wszechmocy Bożej, albo odmawiają jej prawa ingerencji w bieg sił przyrody.

Widzieliśmy, którą z dwóch części przytoczonego zdania zatrzymał, a którą odrzucił Reimarus. Zatrzymał pierwszą: Jezus umarł, — odrzucił drugą: Jezus powstał z pomiędzy umarłych. Kiedy atoli cała jego hipoteza nie umiała nikogo zadowolnić, stworzono inną hipotezę, której cały stosunek części składowych sformułowanego powyżej zdania został odwrócony. Jezus powstał z grobu, ale powstał dlatego, że przedtem nie umarł. Apostołowie nie zmyślili zmartwychwstania; oni rzeczywiście oglądali Jezusa żywego wkrótce po egzekucji na Golgocie, ale to tylko dowód, że Jezus na krzyżu nie skonał, że śmierć jego była tylko pozorną.

Teorja pozornej śmierci Jezusa święciła swe triumfy w obozie protestanckim przez pierwsze cztery dziesiątki lat ubiegłego stulecia. Stała się ona składową częścią zapatrywań tego odłamu racjonalizmu, który zbyt wiele uległ wpływom panteistycznej filozofji, by uznać prawdziwy cud, a zachował jeszcze trochę szacunku i wdzięczności dla chrystjanizmu, by początek jego odnieść całkowicie do świadomego oszustwa i zerwać z nim radykalnie. Zresztą i w szerszej kwestji pochodzenia i rozwoju religji wogóle w obozie niewierzących owych czasów zarzucano już hipotezę gwałtu i oszustwa, stawiając na jej miejsce teorję naturalnego początku i rozwoju religijnych podań. Nadprzyrodzoności i cudowności żadnej w świecie niema — twierdzono wtedy — jest ona wytworem tylko ludzkiej ignorancji. Nie znaczy to atoli, żeby początek każdego podania o cudzie przypisywać świadomemu zmyśleniu. Początek ten może tkwić w jakiemś naturalnem zdarzeniu, którego przyczyn wyczerpująco nie poznano i które dla swej rzadkości i niezwykłości odniesiono jako do właściwej przyczyny do

[1]) Das Leben Jesu II³ 676.

działania Bożego. Rzeczą krytyki jest wyłuskać owe rzeczywiste naturalne jądro z obsłonek nieporozumienia.

Tą metodą zaczęto wyjaśniać religijne podania, zwłaszcza cuda biblijne tak Nowego jak i Starego Testamentu. Tą metodą obiecywano sobie pogodzić religijne uczucia wierzących z wymaganiami czystego rozumu. Ze szczególnem zainteresowaniem poczęto zajmować się życiem Jezusa; ostatnie dziesięciolecia 18 wieku i pierwsze 19-go obfitują w obszerne dzieła, stworzone przez chylący się do racjonalizmu protestantyzm, a noszące zwykle tytuł: Historja Jezusa[1]), Chodziło w nich o takie przedstawienie życia Jezusowego, by stanowiło jedną pragmatyczną całość, a jednocześnie, by Jezusa uczynić przystępniejszym i sympatyczniejszym dla sceptycznych umysłów. Cuda albo pomijano jako rzecz dla religji obojętną, albo tłumaczono jako naturalne zdarzenia. Że przy fragmentarycznych wiadomościach ewangelicznych, a zwłaszcza przy braku pewnej chronologji zdarzeń w życiu Jezusa, otwierało się szerokie pole dla twórczej fantazji autorów, chcących za za wszelką cenę stworzyć całkowity a współczesny obraz Jezusa, to się samo przez się rozumie. Z tego też okresu pochodzą pierwsze próby powieściowego traktowania życia Jezusa, w utworach Bardta i Venturiniego[2]), którzy, można powiedzieć, stworzyli nowy rodzaj literacki, mający i dotąd w pewnych kołach niezasłużone powodzenie.

Jednocześnie racjonalizm, występujący w szacie niby naukowej, znalazł najwybitniejszego przedstawiciela w teologu i egzegecie protestanckim Gottlobie Paulúsie (1761—1851) z Heidelberga. Po autorze fragmentów z Wolffenbüttel to druga wielka gwiazda niemieckiego racjonalizmu[3]).

Posłuchajmy, jak ten kierunek obszedł się z cudami Jezusa, a w szczególności ze zmartwychwstaniem. Wzięto za zasadę, że pod cudownem opowiadaniem ewangelicznem ukrywa się zwykle jakieś zdarzenie naturalne. A więc domyślają się Paulus i jego towarzysze co to

---

[1]) Hess, Geschichte der drei letzten Lebensjahre Jesu 1768–72; Reinhard, Versuch über den Plan etc. 1781: Opitz, Geschichte und Charakterzüge Jesu, 1812; Jakobi, Die Geschichte Jesu für denkende und gemütvolle Leser, 1816; Herder, Vom Erlöser der Menschen, 1796 itd. Ci autorzy jeszcze zasadniczo cudu nie negują choć starają się cuda redukować zmniejszać ich znaczenie etc., jakby się ich wstydzili.

[2]) Bardt, Ausführung des Plans und Zwecks Jesu, 1784— 792, 11 tomów Venturini, Natürliche Geschichte des grossen Propheten vom Nazareth, 1800—1802;

[3]) Heinrich Eberhardt Gottlob Paulus, Das Leben Jesu, als Grundlage. einer reinen Geschichte des Urchristentums. Heidelberg 1828.

mogły być za zdarzenia. Wypędzał Chrystus złych duchów z opętanych — to znaczy jakąś suggestją leczył nerwowe choroby. Jeżeli zyskał sobie sławę cudotwórnego lekarza — to znaczy musiał posiadać jakąś tajemną sztukę leczenia, której się może w Egipcie wyuczył; niektórzy nawet domyślali się, że Jezus musiał z sobą nosić jakąś podróżną apteczkę. Ewangelje opowiadają o paru wskrzeszeniach umarłych — oczywiście będą to tylko przypadki letargu, które Jezus umiał odróżnić od śmierci i z których omdlałych cucił. Cud w Kanie Galilejskiej polegał na tem, że Jezus, zaproszony na gody weselne, przesłał naprzód nowożeńcom w darze kilka miar tęgiego wina, które jednak polecił ukryć, by niem dopiero wtedy gości uraczyć, kiedy już gorsze wino wypiją. Rozmnożenie chleba na puszczy mogło się stać naturalnie w dwojaki sposób: albo Jezus przy pomocy paru wtajemniczonych przygotował duży zapas chleba w jakiejś pieczarze w miejscu, gdzie miał zamiar dłużej lud zatrzymać na kazanie, a gdy słuchacze byli głodni, począł siedząc przy otworze pieczary wydobywać z poza siebie chleby i rozdawać rzeszom, które jednak tego nie zauważyły i sądziły, że chleb cudownie się mnoży, — albo też jeszcze prościej: wszyscy mieli w swoich tobołkach zapasy, tylko bali się je wyciągnąć, sądząc, że będą musieli z innymi się dzielić, i tak wszyscy głód cierpieli; kiedy jednak Jezus kazał apostołom rozdać to, co posiadali, wtedy dobry przykład podziałał i wszyscy poczęli wyciągać, co kto miał ukrytego i okazało się, że pożywić się mogli wszyscy. Ewangelja powiada, że Jezus szedł po bałwanach jeziora? Może szedł brzegiem nad jeziorem, tylko dzięki mgle, która przysłaniała brzeg, wydawać się mogło, iż idzie po wodzie, a może stanął na jakiejś pływającej belce i jechał ku uczniom.

Może już będzie dosyć tych kwiatków racjonalistycznego dowcipu. Jeżeli na kim, to na nich sprawdziło się, że od rzeczy poważnej do komizmu tylko jeden krok. W tem wyjaśnieniu niektóre cuda wprost wpadały z powrotem w ton Reimarusa, przybierając postać umyślnie inscenizowanych sztuczek. Jeszcze Renan będzie w ten sposób tłumaczył wywołanie Łazarza z grobu, do którego miał żywy za wiedzą Jezusa się położyć. Najbardziej pomysłową w tym rodzaju była fantazja autorów przeróżnych powieści o Jezusie. Bardt uczynił zeń członka zakonu esseńczyków, który to zakon wystawiał w postaci jakiegoś tajemniczego stowarzyszenia, w rodzaju loży masońskiej. Wtedy masonerja i pokrewne związki były w modzie, więc taki motyw mógł liczyć na popularność i w historji Jezusa. Zatem wzmiankowane sto-

warzyszenie dążyło do przewrotu religijnego wśród synagogi; Jezusa, wychowanego przez zakon, wysunięto jako reformatora, i kazano mu odgrywać rolę obiecanego Mesjasza. Nawet śmierć na Golgocie była z góry uplanowana: Jezus się ofiarował, że da się przybić do krzyża, a jego bracia masońscy zobowiązali się, że mu nie pozwolą umrzeć, lecz rychło z krzyża uwolnią, potem złożą do grobu, z grobu wyprowadzą i rozgłoszą o zmartwychwstaniu, by tym sposobem lud pozyskać dla swoich planów. Stąd Józef z Arymatei, członek Sanhedrynu, to zapewne jeden z wtajemniczonych i zaprzysiężonych braci; zdjął rzeczywiście jeszcze wczas z krzyża zemdlałego skazańca i złożył w pobliskim grobie, stąd go niebawem inni bracia żywym uprowadzili. Owi aniołowie, których niewiasty widziały przy grobie, to również bracia z tajemniczego stowarzyszenia. Apostołowie, którzy do najwyższego stopnia zakonu jeszcze nie należeli, nie byli też wtajemniczeni w całą aferę; dlatego kiedy się im Jezus ukazał, szczerze uwierzyli, że po śmierci wrócił do życia.

Oto jakie dziwactwa płodziła rozwichrzona fantazja belletrystów, którzy nawet niekiedy byli przekonani, że przysługują się religji, wykładając ją rozumowo i »godząc z nauką«. Liczne wydania tego rodzaju Żywotów Jezusa świadczą też o niewybrednych gustach i rodzaju religijności czytającej publiczności protestanckiej.

Hipoteza pozornej śmierci Jezusa obywała się zresztą — u trochę trzeźwiejszych pisarzy, np. u Paulusa, bez tajemniczego bractwa i bez całej inscenizacji sztucznej na Golgocie. Według nich Jezus był skazany na śmierć przez swoich wrogów i do krzyża przybity. Nie umarł jednak, tylko omdlał i w omdleniu głębokiem, poczytany rzeczywiście za zmarłego, został pogrzebany. Ale mocna natura Jezusa zwyciężyła omdlenie. Może dzięki świeżemu powietrzu w ogrodzie, może dzięki aromatowi wonności, w które został zawinięty przy pogrzebie, przyszedł po pewnym czasie do siebie i wyszedł z grobu. Może ostatecznie zbudziła go jakaś burza, może spadły gdzieś w pobliżu pioruny, a może trzęsienie ziemi, o którem przecież ewangelja Mateusza coś wspomina. Wyszedłszy z grobu, musiał znaleść gdzieś w pobliżu ubranie ogrodnika, które też na siebie włożył, — wszak ewangelja opowiada, że Magdalena, spotkawszy go, sądziła, że ma przed sobą ogrodnika Tak »zmartwychwstały« ukazywał się jeszcze jakiś czas swoim uczniom, którzy też w rzeczywiste jego zmartwychwstanie uwierzyli. Razu pewnego pożegnał się z nimi na górze i odszedł, a kiedy się oddalił i obłoczek mgły, który nadciągnął, przesłonił go od nich, zdawało się

im, że do nieba wstąpił. On tymczasem gdzieś w ukryciu, może z wycieńczenia poprzednią męką, umarł naturalną śmiercią.

Proszę zauważyć, że w taki mniej więcej sposób tłumaczyli zmartwychwstanie Jezusa nawet tacy autorowie protestanccy, jak Hase albo Schleiermacher, którzy uważali się za wierzących chrześcijan, a całe to zajście z omdleniem i przyjściem Jezusa do siebie, poczytywali za opatrznościowe Boże zrządzenie, bo tym sposobem nauka Jezusowa mogła się przyjąć i zwyciężyć! Sądzili nawet, że chrześcijaństwo, przyjmując to tłumaczenie, może pozostawić święto Wielkiejnocy, jako symbol zwycięstwa dzieła Jezusowego nad wrogami i jako obraz duchowego zmartwychwstania wierzących.

Byłoby rzeczą zbyt nużącą a zupełnie zbyteczną rozbierać punkt po punkcie cały ten racjonalistyczny wykład cudów, zmartwychwstania i wniebowstąpienia Jezusa. Dowolność tych fantazyj jest dla każdego widoczna; niektóre objaśnienia cudów ubliżają wprost moralnym przymiotom Jezusa i nawracają do płytkiej teorji oszustwa. Jeżeli zaś niektórzy z racjonalistów sądzą, że cel, jaki sobie Jezus zakreślił — podniesienie religijnego i moralnego poziomu ludu, — usprawiedliwia użyte przezeń środki, które za konieczne uważał, by u tego ludu zyskać powagę i renomę cudotwórcy, to takiem usprawiedliwieniem zdradzają, że sami są pozbawieni wszelkich moralnych zasad i wszelkiego kultu dla prawdy. Kuglarstwo bowiem zawsze jest kuglarstwem i żaden cel uświęcić go nie potrafi.

W szczególności choć parę słów powiedzmy o racjonalistycznem tłumaczeniu powstania wiary w zmartwychwstanie Jezusa. Apologetom wierzącym nie trudno było odeprzeć hipotezę Paulusa, czy innych mu podobnych, wskazując na to, że nic niema pewniejszego nad rzeczywistą śmierć Jezusa na krzyżu. Rzymianie nie zwykli byli zdejmować z szubienicy skazańców bez dokładnego przekonania się o ich śmierci, a jeżeli znajdowali jeszcze ich przy życiu, to śmierć im przyspieszali. Dlatego i ewangelja Jana zdradza dobrą znajomość rzeczy, opowiadając, że dwom łotrom, którzy obok Jezusa wisieli, ponieważ jeszcze żyli, połamano nogi i tą męczarnią skon ich przyspieszono, Jezusa jednak znaleziono zmarłym i dlatego nie łamano mu nóg, wszakże dla zupełnego upewnienia się o jego śmierci przebito mu bok, z którego wypłynęła krew i woda. Choćby więc Jezus faktycznie znajdował się tylko w omdleniu, samo to przebicie boku wystarczyłoby, żeby mu zadać rzeczywistą śmierć. Zresztą śmierć powinnaby nastąpić choćby w grobie z ogromnego wycieńczenia i upływu krwi. Wprawdzie racjonaliści przy-

taczają z Flawjusza Józefa przykład, że tenże wyprosił u Rzymian trzech politycznych skazańców, wiszących już na krzyżu, by im życie uratować, ale trzeba zauważyć, że z tych trzech, choć niedługo wisieli, udało mu się jednego tylko od śmierci uratować i to dzięki energicznej pomocy lekarskiej. Jezusa złożono do grobu bez żadnych prób ożywienia, a wonności, którym niektórzy racjonaliści przypisują dobroczynne działanie na omdlałego, musiałyby wręcz przeciwny skutek sprowadzić, to jest raczej śmierć, tak dla zbyt silnego aromatu, jak i z powodu, że temi wonnościami szczelnie okładano całe ciało, nie wyjmując i głowy, i zawijano w płótno. Potem, jakim sposobem, po przyjściu do siebie z omdlenia, mógłby taki skazaniec zaraz począć chodzić na przebitych gwoździmi stopach? jak się mógł wydostać z zawalonego ciężkim kamieniem grobu? Prawda, że racjonaliści mają w odwodzie rzęsienie ziemi, albo i owych fantastycznych braci esseńskiego zakonu....

Lecz mniejsza jeszcze o te wszystkie trudności. Największa ta, jak mogli apostołowie na widok takiego wycieńczonego i ledwie włokącego się łazarza, uwierzyć, że to Bóg go wskrzesił z martwych? Czy nie napraszałaby się w takim razie nawet najbardziej skłonnemu do wiary w cuda ta prosta myśl, że Jezus był wprawdzie męczony, ale przecież nie umarł? Skąd zaś konkluzja, że to Bóg wskrzesił go w takim stanie z pośród umarłych na dowód boskości jego misji i dzieła? Czyż taka połowiczność cudownego znaku Bożego nie obrażałaby zmysłu religijnego, który bezpośrednie dzieła Boże chce widzieć doskonałemi? Nie; całą niemożliwość, by z takiego widoku poczęła się w sercach apostołów tak głęboka wiara w prawdziwe zmartwychwstanie Jezusa, by natchnęła ich czcią ku Mistrzowi i entuzjazmem dla jego sprawy, całą tę niemożliwość spostrzegli wkrótce sami racjonaliści i całej hipotezie pozornej śmierci Jezusa nikt nie zadał takiego ciosu, jak jeden z nich, Strauss. Oto jak wyśmiewa całą tę fantazję. »Taki półumrzyk, któryby się ledwie wygramolił z grobu, niedołężnie słaniający się, potrzebujący opieki lekarskiej, opatrunków, wzmocnienia i pielęgnacji, wreszcie który mimo wszystkie zabiegi uległby wyczerpaniu, nie mógłby w żaden sposób zrobić na uczniach wrażenia zwycięzcy nad śmiercią i grobem, książęcia żywota, wrażenia, które zdeterminowało całe ich następne zachowanie się. Owszem, całe wrażenie dodatnie, jakie na nich wywarło życie Jezusa i jego śmierć, tego rodzaju odżycie byłoby tylko osłabiło; co najwięcej możeby jakiś nastrój elegijny wywołało; niemożliwą atoli jest rzeczą, aby takie odżycie Je-

zusa smutek ich przemieniło w entuzjazm, i stosunek ich do Jezusa spotęgowało aż do stopnia czci religijnej«[1]).

Do tej mądrej uwagi Straussa nic nie można dodać. Racjonalizm też typu Paulusa, lub Venturini'ego — przynajmniej o ile chodzi o wytłomaczenie wiary w zmartwychwstanie Jezusa — zupełnie zbankrutował już w połowie ubiegłego stulecia nawet w obozie niewierzących krytyków. I znowu powróciła alternatywa: albo przyjąć fakt rzeczywistego zmartwychwstania Jezusa w pełni sił i w chwale, czyli wrócić do ewangelji, albo dalej łamać głowę nad problemem powstania »legendy« o zmartwychwstaniu.

Kiedy bladła gwiazda Reimarusa i Paulusa, wschodziło już na niebie niemieckiego racjonalizmu nowe »światło«. Cytowany dopiero przez nas Dawid Friedrich Strauss, zaćmiwszy rozumem i prześcignąwszy w radykaliźmie swoich poprzedników, owszem swoją nieubłaganą krytyką zadając śmiertelny cios ich teorjom, wystąpił jako nowy — trzeba przyznać dużo poważniejszy — wróg chrześcijańskiej wiary. Rozbiorowi teorji, które dotąd czerpią z niego swe natchnienie, poświęcimy następne rozdziały naszej pracy.

[1]) Das Leben Jesu, für das deutsche Volk bearbeitet. 1864, str. 298.

Ks. Jan Urban.

Podział zysków
jako zasadniczy postulat społeczno-ekonomiczny.

Ekonomista i patrjota niemiecki, Fryderyk List, wykazał niezbicie,[1]) że tylko własny silny przemysł może dać narodowi korzystne warunki wszechstronnego rozwoju i podał równocześnie wskazówki jakich naród, przemysłowo słaby, powinien się trzymać, aby własny przemysł u siebie stworzyć. Wskazówki te są dzisiaj dla narodu polskiego bardzo cenne, gdyż stan naszego przemysłu rodzimego w dobie obecnej porównać można śmiało do stanu, w jakim znajdował się przemysł niemiecki w połowie ubiegłego stulecia.

Przegrana Niemiec dała nam nie tylko niezależny byt polityczny, ale równocześnie warunki, w których przemysł nasz z całą łatwością wybudować możemy i, ze względu na nasz własny interes, jak najrychlej wszechstronnie rozwinąć powinniśmy.

Z prawdziwą radością należy stwierdzić, że mimo ciągłe wojny, które od pierwszej chwili zmartwychwstania prowadzimy, pewien ruch w kierunku budowania i rozszerzania przemysłu naszego na bardzo wielu polach już się dodatnio zaznacza. Niemal każdy numer »Monitora« przynosi wiadomości o nowem Towarzystwie akcyjnem, zawiązującem się w celach produkcji towarów, w kraju dotychczas nie wyrabianych, lub w celach rozszerzenia istniejących już, lecz na małą skalę prowadzonych przedsiębiorstw. Trudności transportowe, niski stan waluty naszej, zniszczenie powojenne, chęć szybkiej odbudowy i, co za tem idzie, wzrastające z dniem każdym zapotrzebowanie wszelkich artykułów, stwarzają u nas dla każdej produkcji niezwykle korzystne konjunktury.

---

[1]) Das Nationale System der politischen Oekonomie. Stuttgart 1840 7 wyd. 1884.

Jest jednak dla naszego interesu narodowego rzeczą wielkiej wagi, by przedsiębiorstwa, tworzące się obecnie, rozbudowywały się w początkach swoich już w taki sposób, ażeby nawet z nadejściem gorszych konjunktur, z chwilą gdy powrócą normalne warunki, mogły przynajmniej na własnym rynku skutecznie stawić czoło obcej konkurencji. Nie powinniśmy dzisiaj rozpoczynać u nas w tych nader korzystnych warunkach tworzenia przemysłu środkami prymitywnemi, gdyż znaczyłoby to patrzeć na bardzo krótką metę, a pieniądz dla tego celu użyty należy uważać prędzej czy później za bezpowrotnie stracony. Tylko te przedsiębiorstwa, które oparte będą o duży kapitał zakładowy, pomyślane zgóry w ten sposób, by naukowa organizacja pracy była w nich możliwa[1]), będą mogły stale skutecznie współzawodniczyć z wytwórniami zagranicy i przyczyniać się nawet z nadejściem równowagi walutowej do podniesienia naszego dobrobytu.

Trudno oprzeć się przykremu wrażeniu, że stosunkowo dość dużo przedsiębiorstw świeżo u nas powstających pozostawia szczególniej pod tym ostatnim względem bardzo wiele do życzenia i budzi pewne obawy, mimo, że na czele tych przedsiębiorstw stoją przeważnie ludzie fachowi i poważni, których o małostkowe traktowanie sprawy posądzać niepodobna. Zamiast naprzykład, aby powstało w kraju jedno przedsiębiorstwo samochodowe, oparte na najlepszym wzorze zagranicy, z kapitałem jednego lub dwóch miljardów marek, powstało w ostatnich latach kilkadziesiąt drobnych przedsiębiorstw samochodowych z kapitałem, niekiedy nawet nie wystarczającym na urządzenie małego warsztatu reparacyjnego. Analogiczne fakty przytoczyćby można także i z innych gałęzi przemysłu a nawet z dziedziny stosunków naszych handlowych.

Badając przyczyny takich niezdrowych objawów, przychodzi się do przekonania, że składa się na to sporo powodów pośrednich a jeden tylko bezpośredni. Jednym z powodów pośrednich jest brak zaufania społeczeństwa naszego do przedsiębiorstw i akcyj przemysłowych i, co za tem idzie, trudności zebrania większych kapitałów. Drugim takim powodem jest obawa przed ciągłymi strejkami zaangażowanej w większych przedsiębiorstwach większej liczby robotników i trudności, jakie dzisiaj się nastręczają w wyrównaniu zatargów pomiędzy nimi a pracodawcami. Dalszemi powodami również pośredniemi jest system podatkowy, który licząc się z dosyć tajemniczym podziałem zysków, prakty-

[1]) Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych, Taylor. Tłum. Henryk Mierzejewski. Warszawa 1913.

kowanym obecnie w większości istniejących towarzystw akcyjnych, nakłada na towarzystwa te bardzo wielkie ciężary i wreszcie te opłaty na rzecz skarbu państwa, które Rząd pobiera dzisiaj procentowo od wysokości kapitału akcyjnego każdego świeżo powstającego towarzystwa[1]).

Do kwestyj podatkowych i pobierania wszelkich opłat skarbowych wrócimy jeszcze później, a narazie rozważymy przyczynę bezpośrednią, którą jako zasadniczą obszerniej traktować należy. Otóż przyczyna zasadnicza leży w nierozwiązanym do dnia dzisiejszego zagadnieniu socjalnem, które zadawalałoby w równej mierze zarówno robotników jak i kapitalistów, innemi słowy w dysharmonji, jaka panuje pomiędzy różnemi prawami chroniącemi dzisiaj pracę i kapitał. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Sejm ustawodawczy, który wyda ustawę, uznającą pracę za kapitał i nadającą jej bez zastrzeżeń te same prawa, jakiemi jedynie dzisiaj kapitał się cieszy, odda tem samem społeczeństwu naszemu olbrzymie usługi i przyczyni się w ten sposób najbardziej do złagodzenia tarć społecznych, i do uprzemysłowienia naszego kraju.

Chcemy właśnie omówić jeden ze środków — naszem zdaniem najważniejszy — usunięcia tarć społecznych i zapewnienia pracy należnych jej praw. Środkiem tym jest dopuszczenie robotników do udziału w zyskach przedsiębiorstw przemysłowych. Nie da się przecież zaprzeczyć, że praca ludzka jest czynnikiem przynajmniej równorzędnym z kapitałem w całej produkcji. Skoro zaś to przyjmiemy, staje przed nami wiekowa zagadka do dziś nie rozwiązana, dlaczego kapitał utajony w ziemi, maszynach, czy pieniądzu ma wyłączne prawo do zysków, do owego paralelnego wzbogacania się ze wzrostem produkcji. Jest to, zdaje się, ogólny przesąd, który nie dał się teoretycznie usunąć. Podobno jednak dziś już życie samo, rozwój społeczno-ekonomiczny zmierza do jego obalenia i dlatego coraz częściej i coraz spokojniej mówi się o konieczności dopuszczenia do udziału w zyskach robotników z racji tego żyjącego w ich mięśniach kapitału pracy.

Pomysł udziału robotników w zyskach nie jest nowy, powzięty bowiem został i zastosowany praktycznie we Francji jeszcze w początkach XIX wieku[2]). Przechodził on od tego czasu rozmaite etapy swojego

[1]) 20% od kapitału akcyjnego przeznacza Rząd zgóry na zakupno pożyczki państwowej,

[2]) Doskonale opracowany zarys powstania i rozwoju pomysłu tego podaje

rozwoju, przybierał różne coraz to doskonalsze formy, które jednak do dzisiejszego dnia definitywnie ustalone nie zostały.

Centralny Związek Polskiego Przemysłu Górnictwa, Handlu i Finansów wyraża się w przedmowie do pracy Franciszka Neumana [1]) o problemie tym w sposób następujący:

»Jednym ze skutków wojny światowej jak zresztą prawie wszystkich dotychczasowych wielkich wojen jest zaostrzenie się i wysunięcie się na plan pierwszy kwestji społecznej. Rządy i parlamenty wszystkich państw, pragnących osiągnąć możność szybkiego powrotu do owocnej pracy pokojowej, dążą usilnie do wynalezienia środków, któreby stłumiły walki rozgorzałe na tle zagadnień społecznych, albo je przynajmniej złagodziły. Przemysł i jego praca w toku wojny minionej odgrywały pierwszorzędną rolę. Z tego też powodu z pośród splotu zagadnień społecznych, kwestja robotnicza w całym ogromie jej skomplikowania stała się przedmiotem specjalnej troski zarówno sfer społecznych, jak i rządowych. Wszędzie prawie wysiłek społeczny skierowano ku złagodzeniu zaostrzonego obecnie słosunku pracownika do pracodawcy. W tym celu zaprojektowano też cały szereg sposobów rozwiązania tego palącego zagadnienia, nie pomijając i prób dawnych, które usiłowano zastosować w życiu w formie nowej i ulepszonej. Jednym z tych sposobów jest pomysł udziału pracowników w zyskach przedsiębiorstw, w których są zatrudnieni, a który uzmysłowił się we Francji w Ustawie z dnia 5 kwietnia 1917 r. »O towarzystwach akcyjnych z udziałem robotników«. Kwestja udziału w tych zyskach powstała w pierwszem pięćdziesięcioleciu zeszłego stulecia. Charakterystycznym rysem jej było, iż po każdem niemal większem wstrząśnieniu politycznem powracano do niej nie tylko w literaturze, ale wznawiano również usiłowania celem stosowania jej w praktyce. Zagadnienie to spotkało się obecnie z żywem zainteresowaniem i w Rzeczypospolitej naszej«.

Wincenty Lutosławski,[2]) któryby pragnął »uduchowić przemysł w Polsce i uczynić zeń potężne narzędzie narodowego życia« podzie-

---

Franciszek Neuman w pracy swojej „O udziale robotników i urzędników w zyskach. Opinje, notaty i przekłady". Nakładem Centralnego Związku Polskiego Przemysłu i Górnictwa, Handlu i Finansów. Warszawa 1920.

[1]) Patrz uwaga powyższa.

[2]) Wincenty Lutosławski „Bądźmy ludźmi". Wydawnictwo Komitetu im. B-ci Józefa i Marjana Lutosławskich, Warszawa 1921. „Groźba bolszewizmu, str. 31 „Wolność obywatelska" str. 33 „Zyski kapitałów" str. 23-cia.

la zapatrywania robotnika amerykańskiego John'a Leitch'a i jest gorącym zwolennikiem tej zasady. »Bolszewizm — powiada Lutosławski — jest zarazą upartą, która nie da się odrazu wytępić i zawsze będzie nam grozić od zewnątrz i na wewnątrz, o ile nie obudzimy w naszem społeczeństwie sił duchowych i twórczych, które ubezpieczą nas do pracy owocnej i karnej, dającej zupełne zadowolenie wszystkim jej uczestnikom, niezależnie od różnicy mienia, urodzenia, stanowiska, wykształcenia, uzdolnienia, charakteru i dążności«. »Dajmy każdemu możność poprawienia swoich warunków bytu, aby czuł, że jego praca prowadzi do zdobycia dla wszystkich tego, co tymczasem mają zaledwie niektórzy i zaprośmy wszystkich do rzetelnego udziału w dążeniach do poprawy złego położenia powszechnego. W ten sposób wychowamy zastępy obywateli rozumiejących zadania życia narodowego niedostępnych dla poduszczeń nienawiści klasowej, zazdrości, szału, niszczenia wartości« — »To nie osłabia wcale bezpieczeństwa kapitału, lecz ułatwia wszystkim robotnikom, by zostali kapitalistami i akcjonarjuszami przedsiębiorstw, w których pracują«, lub — powiedzmy — by partycypowali w finansowaniu innych przedsiębiorstw, opartych na podobnych sprawiedliwych zasadach.

W pierwszem decenium XX stulecia istniało już na świecie 323 przedsiębiorstw [1]) i to we wszelkich niemal gałęziach handlu i przemysłu, które wprowadziły u siebie udział pracowników w zyskach, a w Holandji przyjęły system ten nawet koleje państwowe.

Po dopuszczeniu robotników do ograniczonego udziału w zyskach wzrosła produkcja fabryki Forda w przeciągu 2 lat z 15000 na 700000 samochodów rocznie [2]).

Zdaje się, że wobec tych dat statystycznych, poglądów i przykładów przytoczonych powyżej, racjonalność zasady samej jest dostatecznie stwierdzona. Wypada jeszcze jednak wykazać, że system podziału zysków jest słuszny i uzasadniony.

System ten opiera się w pierwszym rzędzie na przyznaniu pracy tych samych praw, jakie dzisiaj posiada kapitał. Ścisła definicja pojęcia kapitału nie jest łatwą, zadawalać bowiem musi wszelkie pojęcia pokrewne, związane z wartością towaru, z jego ceną i z płacą robo-

[1]) A. Trombert „La participation aux bénéfices", Etude d'ensemble. Paryż 1918.

[2]) N. A. Borodin i M. I. Wołkow „Sielsko-choziajstwiennaja Amierika wo wremja wojny", Wydanie „Narodnawo Prawa". Moskwa 1918, r. rozdz. VII, str. 66.

tnika. Ekonomja polityczna stara się o stworzenie definicji takiej od XVII wieku począwszy.

Fizjokraci, jak Quesnay i Turgot w latach 1758 i 1770 używali do określenia kapitału innej terminologji,[1]) posługując się wyrażeniem »avances«. Adam Smith, »ojciec« ekonomji społecznej i politycznej, w drugiej księdze »Bogactwa Narodów«[2]) rozróżniał 3 kategorje kapitału, a do jednej z nich zaliczał pieniądze, talenty ludzkie, zapasy itd.

Wszystkie te określenia okazały się niewystarczające, a dowodem tego, że w 100 lat później[3]) teorja Karola Marxa, podana w »Kapitale«, oparta na indywidualnem a błędnem pojmowaniu pracy ludzkiej, tak silny oddźwięk znalazła w sercach i w wielu małokrytycznych umysłach. Zapatrywania Marxa, nieprzystępne dla ogółu ludzi głębiej myślących, nie przedstawiając prawdziwie istoty rzeczy, znalazły wkrótce korektorów nawet wśród najgorętszych zwolenników jego idei.

Przed 20 laty nastąpiło przesilenie »Marxyzmu«[4]) i narodził się »Rewizjonizm« starający się bezowocnie przeforsować jego utopijne zasady w zastosowaniu do życia codziennego.

Praktycznie zbankrutowały one ostatecznie, obdarzając świat bolszewizmem, ale jeszcze na parę lat przedtem cios śmiertelny »Kapitałowi« Marxa zadał pod względem naukowo krytycznym »Kapitał« Erazma Majewskiego[5]).

Potężny umysł rodaka naszego rozwiązał wiele zagadek klasycznej nauki Smitha, z przędzy logicznego wnioskowania wysnuł szereg nowych poglądów i zapoczątkował w ten sposob nową erę w tej dziedzinie nauki. Opierając się na wywodach naszego głębokiego myśliciela i patrjoty, możemy dzisiaj niektóre główne zasady ekonomji politycznej streścić następująco:

1) Kapitałem wymiennym jednostki jest ta jej własność, która dla innych jakąkolwiek wartość posiada, wszelka zaś inna własność jest jedynie jej dobrem naturalnem;
2) Cena kapitału wymiennego zależną jest zwykle w pewnym stopniu

---

[1]) Jan St. Lewiński „Twórcy ekonomji politycznej". Lublin 1921 r. Nakładem Uniwersytetu Lubelskiego.

[2]) Wealth of Nations wyszło w 1776 r.

[3]) „Kapitał" Karola Marxa. Tom I wydany został w r. 1876.

[4]) St. Kempner „Z dziejów myśli socjalistycznej". Nakładem Gebethnera i Wolffa 1920.

[5]) „Kapitał" Erazma Majewskiego wyszedł jako tom 3-ci dzieła zatytułowanego „Nauka o cywilizacji" w 1914 r.

od kosztów produkcji, nie ma jednak nic wspólnego z wartością, a wymianę wzajemną rozmaitych form kapitału reguluje między ludźmi prawo podaży i popytu;

3) Kapitał wymienny jest zawsze tylko przedmiotem sprzedaży nie kupna, a wartość jego mierzy nabywca jedynie ilością własnego trudu i wysiłku, jaki przy kupnie zaoszczędza;

4) Zysk i własność prywatna, odziedziczona lub nabyta, nie jest kradzieżą, albowiem przy legalnem przelewaniu praw własności zyskują zwykle obie strony, zarówno nabywca, jak i oddawca; niemożliwość zaś dysponowania własnością wedle uznania właściciela byłaby sprzeczna z istotą tego pojęcia.

Ramy pracy niniejszej są zbyt szczupłe, by twierdzenia te każde z osobna uzasadniać.

W stopniu wystarczającym uczynił to już Erazm Majewski w swoich dziełach, a wszelkie dalsze uzasadnianie mogłoby być jedynie tylko mniej lub więcej udolnem powtarzaniem jego myśli.

Interesującem natomiast jest zbadać na tem miejscu stosunek, w jakim będzie pozostawać do tych założeń organizacja wewnętrzna Spółki Akcyjnej lub innego przedsiębiorstwa, wprowadzającego u siebie podział zysków.

Energja potencjalna, tkwiąca w mięśniach ludzkich, zdolności konstruktora, umiejętność pisania na maszynie lub książkowania, sztuka toczenia, znajomość obróbki metali — to wszystko własności ludzkie, które w myśl zasady pierwszej stają się kapitałem wymiennym tych, którzy je posiadają, z chwilą, gdy dla innych nabierają jakiejkolwiek wartości. Pragnąc te kapitały posiąść, musimy oddać pewną ilość pieniędzy lub pewien zadawalający ekwiwalent. Tam, gdzie chodzi o najęcie dorożki, zrąbanie sąga drzewa na opał, lub wynajęcie posłańca dla zaniesienia listu, — słowem tam, gdzie chodzi o świadczenie krótkotrwałe i nieproduktywne, jest rzeczą naturalną i najprostszą, wysokość sumy pieniężnej umówić i kwotę wypłacić.

Tam jednak, gdzie kapitał w postaci pieniądza pragnie zabezpieczyć sobie na czas dłuższy inne formy kapitału dla celów produkcyjnych, wydaje się jedynie racjonalne przewalutowanie ich i pociągnięcie do współpracy ze sprawiedliwym udziałem w zyskach. Przypuszczenie do udziału takiego bez przewalutowania t. zn. bez poprzedniego oszacowania wartości, może bardzo łatwo skrzywdzić jedną lub drugą stronę, nie jest to więc polecenia godne i nie powinno być stosowane

choćby z tego powodu, że oszacowanie rozmaitych form kapitału jest w rzeczywistości zwykle bardzo łatwe.

Jest rzeczą zrozumiałą, że ze względu na przyjęty w Spółce system przewalutowania, każdy z pracowników Spółki starać się będzie w pierwszym rzędzie o uzyskanie możliwie jak największego wynagrodzenia, bo przy obliczeniu rocznem suma tego wynagrodzenia staje się dla każdego miarą wyłożonego przezeń kapitału pracy. Niema jednak najmniejszej obawy, ażeby wynagrodzenie któregokolwiek z pracowników przekroczyć miało normy zwyczajne.

Gwarancje w tym względzie daje wyrażone w zasadzie drugiej prawo popytu i podaży, streszczające się w tym wypadku w dużej stosunkowo konkurencji. Będzie ona doskonałym regulatorem przy oznaczaniu wysokości wynagrodzenia dla wszystkich zajętych w tem przedsiębiorstwie jednostek i to bez względu na zajmowane przez nich stanowiska.

Przy towarzystwach akcyjnych wynagrodzenie dla Rady Zawiadowczej, którą wybiera Walne Zgromadzenie akcjonarjuszów, ustalone jest w formie procentowej. Wszelkie zaś inne wynagrodzenia, nie wyłączając płac Zarządu, zależne są bezpośrednio od Rady Zawiadowczej. Jest rzeczą jasną, że przy ustalaniu ich wysokości kierować się ona musi w pierwszym rzędzie prawami, ujętemi ogólnie w zasadzie trzeciej: Leży bowiem w jej interesie, aby z pośród tych, którzy pracę swą zdecydują się oddać za najtańszą zapłatę, wybrać jednostki najzdolniejsze i najdzielniejsze.

Temi samemi względami powodować się też będzie Zarząd przy doborze dalszych współpracowników, gdyż interes ogółu staje się w tym wypadku interesem jednostki i naodwrót: dobro jednostki — dobrem ogółu.

Ludziom w przedsiębiorstwie tem zajętym, a z wynagrodzenia niezadowolonym, pozostaną w myśl zasady czwartej jedynie dwie drogi: albo zechcą legalnie dążyć do poprawy swego bytu — albo będą musieli zrezygnować z dalszej współpracy.

Na podstawie tejże zasady, którą tu sprowadzić można do wolności dawania i pobierania pracy, będzie mógł Zarząd usunąć zawsze tych, których współpracę dalszą uzna za nieracjonalną.

System ten nie przesądza wysokości i sposobu wynagrodzenia robotników warsztatowych; wynagrodzenie to może być godzinowe, premjowe, lub akordowe. Bez względu jednak na to jakiem ono będzie, można już zgóry przewidzieć, że możliwość strejku wszystkich

pracowników staje się w tych warunkach wręcz wykluczoną. Trudno przypuścić, aby się znalazł taki zespół ludzi, któryby własne swoje zyski chciał umniejszyć.

Sądzimy, że z zastosowaniem zasady podziału zysków nie należy czekać na obowiązującą ustawę. Można ją wprowadzić przez zmianę tatutów istniejących Towarzystw Akcyjnych, jużto przez stworzenie nowych Towarzystw, których statuta zawierałyby konieczne w tym względzie postanowienia.

Paragrafy, dotyczące podziału zysków, w statucie każdego przedsiębiorstwa zarówno handlowego, jak i przemysłowego, mogłyby opiewać, jak następuje:

Zysk przedsiębiorstwa stanowi nadwyżka, pozostała po potrąceniu od dochodów przedsiębiorstwa wszystkich kosztów i strat.

Rozdział tego zysku nastąpi na podstawie rachunku rocznego w sposób poniżej wyszczególniony:

a) najpierw przydziela się do funduszów zapasowych 10% czystego zysku, dopóki fundusz zapasowy nie przekroczy czwartej części kapitału zakładowego. Ta dotacja odpada, skoro fundusz zapasowy osiągnie tę wysokość i jak długo na tej wysokości będzie się utrzymywać;

b) dalej przydziela się na amortyzację pierwotnej wartości majątku przedsiębiorstwa 5% od majątku nieruchomego i 10% od majątku ruchomego, aż do zupełnego umorzenia;

c) następnie 5% przeznacza się dla członków Rady Zawiadowczej (o ile dane przedsiębiorstwo ją posiada)[1]);

d) pozostałą resztę, która stanowi czysty zysk, rozdziela się na dwie części w stosunku, w jakim pozostaje z końcem roku administracyjnego kapitał akcyjny względnie zakładowy do kapitału pracy, wyłożonego przez wszystkich zajętych w przedsiębiorstwie robotników etatowych;

e) robotnikami etatowymi są ci wszyscy, którzy za czynności swoje pobierają wynagrodzenie, zatwierdzone przez Radę Zawiadowczą lub właściciela i podpiszą z przedsiębiorstwem umowę, w której postanowienia paragrafu niniejszego będą podane do ich wiadomości;

f) jako miarę dla wyłożonego kapitału pracy przyjmuje się wysokość pobranego za pracę wynagrodzenia;

[1]) Procenta, przytoczone w punktach a, b, c, jedynie dla przykładu, ulegać mogą zmianie dowolnej zależnie od potrzeb indywidualnych każdego przedsiębiorstwa.

g) część, przypadającą na kapitał zakładowy, względnie akcyjny, wypłaca się jako dywidendę akcjonarjuszom lub udziałowcom w stosunku do posiadanych przez nich akcyj lub udziałów, zaś część przypadającą na kapitał pracy wypłaca się jako dywidendę robotnikom etatowym w stosunku do pobranego przez każdego robotnika w ciągu roku wynagrodzenia;

h) do poboru jednak dywidendy mają prawo tylko ci robotnicy etatowi, którzy pracują, względnie w ubiegłym roku administracyjnym pracowali w przedsiębiorstwie przez czas dłuższy od trzech miesięcy;

i) dywidenda, przypadająca na kapitał pracy robotników etatowych, którzy pracowali w przedsiębiorstwie poniżej trzech miesięcy, a w przedsiębiorstwie już nie zatrudnionych, przypada na rzecz funduszu rezerwowego;

j) robotnikom, którzy wstąpili do przedsiębiorstwa jako robotnicy etatowi w ostatnim kwartale przed datą sporządzenia bilansu, będzie praca ich w tym czasie wyłożona uwzględniona jako kapitał dopiero w następnym roku administracyjnym, t. zn. przy następnym bilansie;

k) dywidenda, przypadająca na kapitał pracy robotników etatowych, zajętych w przedsiębiorstwie Spółki powyżej trzech miesięcy, którzy następnie przez Zarząd zostali wydaleni, lub sami z jakichkolwiek przyczyn z dalszego zajęcia swego zrezygnowali i w momencie rozdziału dywidendy w przedsiębiorstwie nie są zatrudnieni, będzie przekazana robotnikom tym pod adresem, jaki odchodząc pozostawią, lub też zdeponowaną zostanie do ich dyspozycji w Kasie przedsiębiorstwa. Jeżeli w ciągu 5 lat dywidenda ta podjętą przez nich nie zostanie, przepada bezpowrotnie na rzecz funduszów rezerwowych;

l) od nieodebranej z Kasy Spółki należytości dywidendy procenty wypłacane nie będą;

ł) dywidenda nie pobrana przez akcjonarjuszów względnie udziałowców do lat 5, przepada również na rzecz funduszów rezerwowych;

m) gdyby w pewnym roku czysty zysk przedsiębiorstwa nie wystarczył na rozdzielenie dywidendy w wysokości 5% wpłaconego kapitału akcyjnego, można po pokryciu wszystkich bilansowych strat, użyć każdorazowej nadwyżki funduszu zapasowego ponad dziesiątą część kapitału akcyjnego na uzupełnienie dywidendy do wysokości 5%. Dywidenda jednak przypadająca na kapitał pracy z funduszów

zasobowych do wysokości 5% uzupełnianą w żadnym wypadku być nie może.

Z ustępu e) proponowanego powyżej paragrafu statutu wynika, że pracownicy zatrudnieni w przedsiębiorstwie takiem, nie stają się od-odrazu robotnikami etatowymi uprawnionymi do zysków.

Zarząd zastrzega sobie wolną rękę co do terminu podpisania kontraktu etatowego, a nawet z chwilą podpisania takiego kontraktu poddaje robotnika 3-miesięcznej próbie, pragnąc dokładnie przekonać się o jego wartości. Wymaga tego interes nie tylko Zarządu i akcjonarjuszów, ale także — i to w pierwszym rzędzie — interes wszystkich innych współpracowników etatowych, aby do grona swego przyjmować jedynie i wyłącznie siły pod każdym względem pierwszorzędne.

Jasnem jednak jest, że z chwilą, gdy z takich jednostek cały zespół skompletowany zostanie, można o przyszłość przedsiębiorstwa być zupełnie spokojnym, gdyż wówczas wspólny i zgodny wysiłek tych ludzi potrafi z pewnością przezwyciężyć wszelkie trudności.

Przedsiębiorstwo, które ma jasno wytknięty cel, oparte jest o etyczne zasady i tworzy zespół zdolnych i chętnych pracowników, źle rozwijać się nie może.

Zasada podziału zysków przedstawia wielkie korzyści dla wszyskich: społeczeństwa, rządu, robotników. Weźmy np. kwestję zaufania do akcyj przemysłowych i kwestję sprawiedliwego opodatkowania.

Utajenie zysków w przedsiębiorstwach takich byłoby niemożliwe. Po pewnym bowiem czasie wszyscy buchalterzy i dyrektorowie, zatrudnieni w przedsiębiorstwach takich, byliby pracownikami etatowymi i leżałoby w ich interesie, by wykazać zysk rzeczywisty. Z jednej strony szerokie masy społeczeństwa naszego nabrałyby wówczas zaufania do akcyj przemysłowych, z drugiej strony Rząd miałby niesłychanie łatwe zadanie przy opodatkowywaniu przedsiębiorstw i mógłby śmiało zredukować stopę podatkową do minimum, rozkładając bowiem ciężary na większą liczbę płatników i mając możność łatwego ich ściągnięcia, zyskałby tylko na obniżeniu podatku.

Robotnik wreszcie, stając się sam kapitalistą, przestałby być wrogiem kapitału i współdziałałby spokojnie narówni z nim przy dziele budowy dobrobytu ogólnego, ignorując wszelką agitację demagogiczną, której niestety obecnie ulega tak łatwo nieraz wbrew najistotniejszym własnym interesom.

Feliks Sobolewski.

Znaczenie Konferencji w Waszyngtonie.

Leniwe dymy tlejących zgliszczy po ostatniej katastrofie wielkiej wojny, światowej jeszcze się nie rozstąpiły, jeszcze w Rosji tej zimy śmiercią głodową zginąć musi więcej ludzi, niż ich wogóle zginęło w roku wybuchu wojny, a już przerażonej ludzkości pokazują się nadciągające zdala, zdawna już przepowiadane, cięższe jeszcze i straszniejsze burze i kataklizmy. Po zawarciu pokoju wersalskiego przybliżyła się nagle możliwość, ba nawet konieczność konfliktu przerażającego swemi rozmiarami między Ameryką i Japonją. Mężowie, kierujący polityką świata, a na ich czele prezydent Stanów Zjednoczonych Harding, mając poparcie całkowite najwyższych powag moralnych świata, między niemi na pierwszem miejscu Ojca św., wytężyli wszystkie siły, by zderzeniu zapobiec i w tym celu zwołano do Waszyngtonu, stolicy Stanów Zjednoczonych, konferencję międzynarodową, mającą na zewnątrz początkowo za cel ograniczenie zbrojeń morskich.

Dzień 12 listopada 1921 r. jest z pewnością jednym z najbardziej epokowych dni w historji świata. Po raz to pierwszy bowiem Ameryka staje na czele zachodnich narodów cywilizowanych i bierze w ręce swe ster i obronę cywilizacji zachodniej wobec Japonji, najpotężniejszej przedstawicielki wschodu i wobec Chin, mniej potężnych, lecz zato bez porównania liczniejszą obejmujących ludność. Na konferencję waszyngtońską zwróciły się odrazu z całem wytężeniem, od chwili jej zapowiedzenia, oczy wszystkich, którzy myślą i interesują się sprawami ludzkości i cywilizacji. To też co tylko wielkie narody miały najwybitniejszego na polu polityki, prawa międzynarodowego i ekonomji, wysłały jako delegatów do Waszyngtonu, na ten pierwszy w dziejach ludzkości wielki sejm cywilizowanego świata. Pojechał nawet Briand, premjer francuski, chociaż potrzeba go było w domu do czuwania nad niesfornymi i zawsze niebezpiecznymi sąsiadami Niemcami, i nad odbudowaniem zniszczonego kraju; Lloyda George'a wstrzymała od wyjazdu tylko najważniejsza dzisiaj dla Anglji sprawa, stanowiąca dla niej hamletowskie »to be or pot to be« sprawa irlandzka. Wysłał telegram gratulacyjny Ojciec św., który nadto konferencji waszyngtońskiej poświęcił osobny, końcowy ustęp swej alokucji do kardynałów na kon-

systorzu tajnym, odbytym w dniu 21 listopada b. r.[1]). Zaznaczywszy, że po takich strasznych zniszczeniach ludy powszechnie pragną pokoju, mówi dalej Ojciec chrześcijaństwa, »z największym jednak smutkiem i troską widzimy, że za pokojem, zawartym za pomocą aktów uroczystych, nie idzie pokój umysłów i że wszystkie prawie narody, zwłaszcza europejskie, szarpane są wielkiemi niezgodami i to tak zawziętemi, że dla ich uleczenia codzień to silniej daje się odczuć potrzeba wdania się miłosierdzia Bożego«. Ponieważ jednak »nie należy zaniedbywać środków i lekarstw, które podaje rozum i doświadczenie... dlatego z wielką radością patrzymy, jak wysłannicy wielu państw zgromadzili się w Waszyngtonie, by porozumieć się w sprawie zmniejszenia wydatków wojskowych. Obradom ich życzymy powodzenia i pragniemy, by doprowadziły do pomyślnych wyników, i złączeni ze wszystkimi ludźmi najlepszymi, błagamy kornie, by Bóg wspierał ich światłem swej mądrości. Chodzi tu bowiem nie tylko o to, co zresztą jest samo przez się na pewno rzeczą wielkiej wagi, by ulżyć ludom w dźwiganiu nieznośnych już ciężarów, lecz nadto, co jeszcze ważniejsze, by o ile możności odsunąć jak najdalej niebezpieczeństwa wojny«.

Że w tych życzeniach gorących i w tych poglądach Ojciec św. nie jest odosobniony, lecz, jak słusznie twierdzi, »złączony ze wszystkimi najlepszymi ludźmi« nie tylko w Kościele katolickim, ale w całym świecie, o tem przekonuje każdy prawie numer jakiegokolwiek większego, poważniejszego czasopisma lub dziennika zagranicznego. Stan ten umysłów najlepiej może streścił znany Lord Northcliffe, ów wielki monarcha prasy, właściciel Timesów i innych najwybitniejszych pism angielskich, który obecnie odbywa wielką podróż naokoło świata, począwszy od Nowej Zelandji, do Australji, Filipin, Japonji, Chin i aż do Ameryki i którego wszędzie, tak w obrębie imperjum brytyjskiego, jak i poza niem, przyjmują wprost urzędownie; z deputacjami i osobistościami urzędowemi na czele wielotysiącznych tłumów, oprowadzają go po szkołach wyższych i niższych i po kraju i goszczą bankietami, w których biorą udział najwybitniejsi rządowi i prywatni przedstawiciele warstw miejscowych. Otóż na jednym takim bankiecie, wśród przeszło 250 uczestników najznakomitszych obywateli i dygnitarzy przemawiał Lord Northcliffe dnia 21 października w Manili i poruszył tam także sprawę nadchodzącej konferencji waszyngtońskiej: »Konferencja waszyngtońska, mówił on, jest ponad wszelką wątpliwość najwybitniejszem zgromadzeniem ludzi w historji ludzkości. Konferencja wersalska zajmowała się

[1]) La Civiltà Cattolica z 3-go b-go r. str. 386, 388 i 381.

w wielkiej części wypadkami, które już zaszły, rzeczami znanemi i już dokonanemi. Konferencja waszyngtońska ma się zajmować tajemniczemi i powikłanemi stosunkami przyszłości. Los narodów, wielkich i małych, wprost lub niewprost mieści się w wynikach tej konferencji... Dreszcz grozy przejąć musi na myśl, coby się stało, gdyby wielkie przedsięwzięcie prezydenta Hardinga zawiodło. Szalony wyścig w zbrojeniach trwałby dalej, aż nadeszłaby wojna, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa o wiele straszniejsza, niż najgorsze okresy pożaru, którego dotychczas jeszcze całkowicie w Europie nie ugaszono — wojna, w której tak zwane bronie naukowe (ma tu na myśli zwłaszcza gazy trujące i powietrzne machiny wojenne) więcejby się jeszcze rozwinęły«.

Wydatki na ciągle wzrastające zbrojenia, zwłaszcza na flotę wojenną i redukcje tych wydatków, służyć miały za hasło konferencji i napis zrozumiały dla wszystkich ludów. Hasło zresztą słuszne i dobrze wybrane. Bo chodzi tu o wydatki wprost zawrotne, o ciężary, nałożone na barki ludów przez demokratyczne, liberalne, ludowe nowoczesne państwa, ciężary wobec których skarby, jakie z poddanych wyciskali egipscy faraonowie, rzymscy imperatorzy lub średniowieczni książęta, stają się czemś niezmiernie bladem i nikłem. Oto przykład.

Wedle programu dobudowy floty, jaki uchwalono w Stanach Zjednoczonych w r. 1916, miało to państwo zbudować 10 okrętów wojennych (battleships) i 6 równych im prawie krążowników. Z tego wykończono już zupełnie jeden okręt, olbrzymią pływającą stalową twierdzę, a u innych konstrukcja doszła już prawie do 60 i 80 procent całości. Ile to jednak kosztuje, to ocenić można z faktu, że na jeden taki, nieukończony jeszcze okręt wydano już sumę przeszło 300.000.000 dolarów. Przypomnijmy sobie, z jaką troską i ostrożnością sejm nasz uchwalał daninę, konieczną do jakiego takiego podtrzymania naszego skarbu i z jaką obawą patrzy kraj, choć gotowy do wszelkich ofiar dla Ojczyzny, by ta danina nie wstrząsnęła zbytnio naszą gospodarką społeczną. I cóż powiemy na to, gdy zestawimy sumę całkowitą spodziewanej na rzecz skarbu daniny w Polsce, z ceną jednego tylko nowoczesnego pancernika? Jak widzimy, jeden pancernik taki kosztuje około 15 razy tyle, ile przynieść ma całkowita nasza danina. A pamiętać trzeba, że dolar, czy jakikolwiek pieniądz, w wielkiej gospodarce społecznej nie jest niczem innem, jak tylko wykładnikiem, symbolem energji, pracy, zwłaszcza ludzkiej. Otóż obliczyć można, biorąc za podstawę rachunku nawet wygórowane amerykańskie ceny robocizny, że te 16 okrętów, przedstawia półtoraroczną pracę miljona ukwalifikowanych robotników.

Ale nie koniec na tem. Okręt taki potrzebuje przecież znacznej załogi, oficerów i żołnierzy, ludzi w sile wieku i w pełni rozwoju fizycznego i psychicznego, których trzeba dobrze wynagradzać, a nadto i ich produktywnej pracy dla społeczeństwa się wyrzec. Prócz tego okręt wymaga ciągłych naprawek, często bardzo kosztownych, a wreszcie jego życie, jego zdolność do spełniania zadań wojennych, są stosunkowo niedługie — po latach dwudziestu już go wykreślić trzeba z pomiędzy okrętów pierwszej klasy, o pełni siły do walki. A i na tem nie koniec. Pancernik pierwszej klasy to najwybitniejsza siła bojowa floty, ale jako taka potrzebuje, podobnie jak ciężka artylerja, do obsługi i ochrony spełnienia swych zadań całego szeregu jednostek mniejszych, krążowników, torpedowców, łodzi podwodnych, itp. To wszystko wymaga sum nakładowych i wydatków stałych, przewyższających jeszcze może kapitał, pochłaniany przez pierwszorzędne pancerniki. W państwie nowożytnem ściąga się ciężary od ludności w formie podatku, płaconego na wszystko jednakowemi pieniądzmi, więc ludność nie zdaje sobie często sprawy, na co i za co płaci, lecz gdy spoglądniemy z pewnej odległości na całokształt obecnej gospodarki społecznej, to dreszcz oburzenia wstrząsnąć musi na myśl tego strasznego, nie dającego się opisać okrucieństwa, z jakiem wielkie państwo nowożytne wyciska lwią część, połowę i więcej może owoców pracy, czy to pracownika umysłowego, czy fizycznego, na wydatki zupełnie nieproduktywne, na ciężary gniotące zarówno fizycznie, jak i psychicznie całe nowoczesne życie cywilizacyjne.

A to, co widzimy w Stanach Zjednoczonych, w daleko wyższej jeszcze mierze powtarza się w Anglji i Japonji, małej stosunkowo Japonji, która jednak miała w latach najbliższych powiększyć swą flotę o ośm pierwszej klasy pancerników i kilka krążowników, nie mówiąc o licznych jednostkach dodatkowych i która w pięć dni po otwarciu konferencji waszyngtońskiej spuściła na wody przy udziale setek tysięcy tłumów największy na świecie okręt pancerny o pojemności 40000 ton.

Do pracy zabrał się prezydent Harding po amerykańsku: z bezwzględnością i ze środkami, zmierzającemi wprost i skutecznie do celu. Więc najpierw zażądał od trzech głównych państw. tj. Ameryki, Anglji i Japonji, nie tylko natychmiastowego zastanowienia pracy nad zaczętemi kolosami morskiemi, ale zniszczenia pozytywnego nawet tych, które już ukończono, o ile ich tonaż przewyższa ustanowić się mającą miarę tak, że w razie przyjęcia projektów Hardinga nie mniej jak 66 okrętów najświeższych, pierwszej klasy, o pojemności 1,878,043 ton miało

ulec albo rozebraniu na warsztatach, o ile jeszcze nie są obecnie ukończone, albo zniszczeniu. Ofiara ta wielka na rzecz pokoju świata miała się rozdzielić między owe państwa w sposób następujący: Wielka Brytanja ma zniszczyć 583.375 ton, Stany Zjednoczone 845.740 ton, zaś Japonja 448.928 ton. Licząc koszta budowy tony średnio choćby tylko na jakie 6 do 10 tysięcy dolarów, łatwo albo raczej trudno sobie wyobrazić, jak olbrzymiej wartości materjał wojenny miano poświęcić, na jak wielkie straty decydują się tu odnośne państwa. Ale straty to tylko pozorne, bo w rzeczywistości są to zyski, gdyż odpada koszt kończenia zaczętych lub budowania tylko preliminowanych okrętów, odpada nadto olbrzymi ciągły wydatek na ich utrzymanie i restaurację.

Ostatecznie tedy wedle Hardinga siły flot państw powyższych przedstawiałyby się okrągło w sposób następujący:

Okrętów pierwszej klasy ma mieć Wielka Brytanja ton 500.000, Stany Zjednoczone tyleż, Japonja zaś tylko 300.000. Okrętów mniejszych Anglja 450.000 ton, Stany Zjednoczone również tyle, Japonja 270.000 ton. Okrętów podmorskich Angjja i Stany Zjednoczone każde po 90.000 ton, Japonja 40.000 ton, wreszcie okrętów pomocniczych dla floty powietrznej pierwsze dwa państwa po 90.000 ton, Japonja 48.000 ton. Tak więc Anglja i Stany Zjednoczone mają flotę przeszło trzy razy większą niż flota Japonji.

Wiemy z historji, chociażby tak niedawnej, jak układ wersalski, że jednym z pierwszych warunków pokojowych, na które zwyciężony zgodzić się musi, jest redukcja »dobrowolna« siły zbrojnej. Jakimże strasznym wysiłkiem walczyć musiała Japonja w czasie konferencji waszyngtońskiej, by temu warunkowi się nie poddać! A jednak z tej walki wyszła zupełnie pokonaną, osłabioną, tak bezbronną, że jak zauważa słusznie znany powieściopisarz Wells w swych znakomitych uwagach o konferencji — nie pozostawiono jej nawet tyle floty, by mogła skutecznie obronić swe wybrzeża przed zjednoczonym atakiem Anglji i Stanów Zjednoczonych. Żeby zaś klęska Japonji była tem zupełniejszą, wyrwano jej z ręki ostatnią, jedyną podporę i rękojmię, jaką w stosunkach międzynarodowych dotychczas posiadała w owem osławionem przymierzu japońsko-angielskiem, które przez tyle lat tak gniewało Amerykę i tak trwożyło Chiny i zmarłą Rosję. Co prawda, uczyniono to w formie, oszczędzającej upokorzenia bezwzględnego Japonji, ale zato zaostrzającej koniec miecza, wymierzonego w serce kraju Mikadów: dwójprzymierze Japonji i Anglji »rozszerzono«, obejmując niem także Stany Zjednoczone i Francję.

Biedna Francja, czy tam dzieci tej tak namiętnie ukochanej Patrie zdają sobie sprawę z położenia swej ojczyzny i jej roli przydzielonej po tylu ofiarach, na mogile półtoramiljona jej najlepszych, najdzielniejszych synów, na ruinach najbogatszych miast i krajów? Co prawda wielki wódz francuski objeżdża świat dalej, obecnie dotarł aż do Ameryki i ciągle jest przedmiotem głośnych — może już wobec rzeczywistego położenia Francji, zagłośnych owacyj, ale mimo to koło Francji gromadzą się chmury coraz większe, a Times wyraźnie piszą z d. 9 grudnia b. r., że »Briand powrócił z Waszyngtonu do Francji, by znaleść stosunki europejskie raczej trudniejsze, niż gdy wyjeżdżał. A w szczególności sprawa stosunków między polityką brytyjską a francuską jest znowu dość gorąco roztrząsaną i ententa wciąga ją znowu w zakres dyskusji«. Wprawdzie w tym samym artykule czytamy dalej, że »my (to zn. Anglicy) i Francja jesteśmy razem i musimy być razem. Odrzucamy samo przypuszczenie możliwości zerwania ententy« — lecz jaka będzie rola Francji w tej entencie i jak ta rzekoma ententa będzie wyglądać? G. H. Wells we wspomnianych już opisach swych wrażeń z konferencji waszyngtońskiej, nieco drwiąco zaznacza[1]) zupełną prawie izojację delegacji francuskiej, mianowicie z powodów lingwistycznych. »Delegacja belgijska, holenderska, chińska, japońska, i portugałska mówią wszystkie po angielsku i słuchają mów angielskich. To też Francuzi są w takiem położeniu, że wydaje się, jak gdyby byli najbardziej obcym narodem wśród wszystkich obecnych. Musi to być dla nich bardzo niemiłem obecnie. A będzie jeszcze więcej niemiłem, gdy w dalszych momentach konferencji zjawią się delegaci niemieccy, mówiący po angielsku«, To też mówi dalej Wells, że Francuzi są »a little out of touch« tracą bezpośredni kontakt z innemi delegacjami, zarówno na posiedzeniach konferencji, jak i wśród rozmów po klubach i przy stołach biesiadnych. Czy to nie jest zapowiedź stanowiska przyszłego Francji w polityce światowej, zwłaszcza gdy w nią wmieszają się Niemcy »mówiący po angielsku«?

Ale oto dwa jeszcze fakty najnowsze z konferencji, które obecne i przyszłe położenie Francji przedstawiają w niezmiernie charakterystycznem świetle. Pierwszy fakt, to odrzucenie szydercze i pogardliwe, zarówno wśród członków konferencji, jak i wśród prasy anglosaskiej, przedłożenia, uczynionego w imieniu rządu francuskiego, na konferencji d. 16-go grudnia przez admirała francuskiego de Bon,

[1]) Daily Mail 21 listopada.

by Francji pozwolić na zbudowanie w czasie ogólnego dziesięcioletniego zawieszenia zbrojeń, 10 okrętów pierwszej klasy, o pojemności. 35000 ton każdy. Przeciw biednemu admirałowi wystąpił gwałtownie, jak opowiadają Times, przewodniczący konferencji Mr. Hughes, a »Mr. Balfour, odparłszy dowodzenia admirała z wykwintną grzecznością, zgasił, lecz nie przekonał biednego Neptuna«. Biedna Francja! dotychczas jeszcze mniemała, że może układać się i występować na równi z Ameryką i Anglją, lub nawet Japonją!

Ale jeszcze charakterystyczniejszy fakt drugi. Streszcza się on w kilku słowach, jakie agencja Reutera roztelegrafowała po całej kuli ziemskiej: »Waszyngton 16-go grudnia: — Mr. Balfour oznajmił, że Wielka Brytanja uczyni na konferencji rozbrojenia formalną propozycję usunięcia zupełnego łodzi podwodnych«. Jakże wielkie, godne tak wysoko cywilizowanego mocarstwa, jak Anglja, jak pełne uczuć ludzkości przedłożenie! Łodzie podwodne, te niegodne narzędzia tortury, w których służba dla załogi jest tak ciężką i moralnie i fizycznie uciążliwą, których sposób prowadzenia walki tak nikczemny i okrutny, mają być wreszcie usunięte zupełnie z oblicza ziemi, a wniosek o ich usunięcie wychodzi z ust przedstawiciela Anglji, mocarstwa nawskróś morskiego, a więc najbardziej interesowanego! A co dziwniejsze i niespodziewane, że opozycja przeciwko temu wnioskowi wychodzi od państwa, głoszącego zawsze liberalizm i obronę najwyższych haseł nowożytnej cywilizacji, od Francji, która przez usta samego Brianda energicznie przeciwko propozycji Balfoura zaprotestowała. Dziwna zagadka! Łatwo ją jednak zrozumieć, gdy przypatrzymy się odwrotnej stronie pieniądza angielskiego. Francja wzdłuż trzech granic, jak mówi Briand, obmywana przez morze, z ludnością 66 miljonów, rozrzuconą po całym świecie, pozbawiona wielkich jednostek floty wojennej, ma bronić swych wybrzeży. Oczywiście może to uczynić skutecznie tylko zapomocą łodzi podwodnych; gdy te jej odbiorą, ona zostaje zupełnie bezbronną, wydaną całkowicie na łaskę i niełaskę potężnej, tuż prawie przytykającej Anglji. Gdy Francja odważy się odrzucić szlachetną propozycję Anglji, okrzyczy się ją przed światem za wroga cywilizacji, gdy zaś przyjmie, wpadnie ostatecznie w pazury lwa brytyjskiego.

Może to nie należy wprost i bezpośrednio do naszego przedmiotu, ale że służy do jego ilustracji i nas bezpośrednio dotyczy, więc przytoczę jeden ustęp Wellsa, rzucony jakby mimochodem przy kreśleniu nastrojów w Waszyngtonie, ustęp, który nie zdziwi nikogo, kto zna książkę Wellsa, napisaną jeszcze przed wojną, p. t. An Englihsman

Looks at the World«, ale który dla wielu Polaków będzie pouczającą niespodzianką. »Polityczne wydarzenia — mówi Wells — rozdrażniły mię na obecny rząd polski. Jest nieszczęściem, że Polska z niewoli, w której niedobrowolnie pozostawała pod reakcją niemiecką i rosyjską, powstała na to, by stać się dobrowolnem narzędziem francuskiej reakcji. Lecz to nie jest dostatecznym powodem, by ktoś miał się dać pociągnąć ku niechęci względem Polski i wszystkich spraw polskich, i by dlatego, że Polsce źle radzą chwytać za więcej, niż ma do tego prawo, ktoś miał się usposabiać tak, żeby jej dać mniej niż ma prawo do tego. A jednak ja czuję pociąg w tym kierunku...« (kropki są Wellsa). Co Wells tutaj ma na myśli, trudno dociec.

Jak Wells stwierdza, obecna cywilizacja wali się w gruzy i tonie w morzu nędzy, bezrobocia, zdziczenia młodzieży, szowinistycznej nienawiści. Rosja już jest pod wodą, jak również niektóre kraje Azji i Europy wschodniej, fala wzdymając się sięga już po Niemcy i dalej, a tymczasem grozi światowa, jeszcze straszniejsza wojna. Trzeba więc wysiłków wszystkich ludzi, trzeba wszystkich zwołać do ratunku. To uczyniono w Waszyngtonie. Z jakim skutkiem i czy potrafiono uniknąć złudnej pokusy podporządkowania celów prawdziwej cywilizacji celom samolubnej, brutalnej polityki? Na to dziś odpowiedzieć nikt jeszcze zupełnie nie może, bo nikt prócz najwyższych reprezentantów demokracji nie wie naprawdę, co w Waszyngtonie postanowiono i co postanowią. Ale pewne, choć najogólniejsze kontury przyszłego ustroju świata już się zarysowują.

Zmniejszą się przedewszystkiem wysiłki ludów na uzbrojenia; na lat 10 ustaną nowe programy flotowe, a na wschodzie zapanuje pokój. Natomiast nastanie hegemonja świata anglosaskiego. Przed wojną świat cywilizowany był podzielony na szereg niezawisłych państw, mniejszych i większych, złączonych tu i ówdzie traktatami i umowami, ale pozatem zupełnie własną rządzących się wolą. Dziś po wielkiej wojnie i pokoju wersalskim, a jeszcze więcej po bitwie czy konferencji waszyngtońskiej, stosunki te zupełnej ulegają zmianie. Japonja, owa wielka udzielna pani wschodu, odarta z potęgi i uroku, zdana na wolę monarchij anglosaskich. Chiny to zagadka przyszłości, jak również Indje, budzące się do życia i wolności. Nad Europą Liga narodów, czyli Anglja, a z Anglją czy może i nad Anglją, Stany Zjednoczone. Jaka wśród tych konstelacyj będzie rola i dola Polski?

Zapewne niedługo nam to powiedzą, bo po konferencji waszyngtońskiej i zaklęciu niebezpieczeństwa wojny światowej o Pacyfik będą mówili i poczynali głośniej i żywiej, niż dotychczas. Kto z nas Polaków miał spo-

sobność czytywać pisma i dzienniki wielkie zagraniczne i kto czytał je trzeźwo i spokojnie, niejedno już dotychczas wyczytał. Ale nie można było napotkać dotychczas miejsca tak wyraźnego i tak głęboko charakteryzującego stosunki, jak parę zdań, rzuconych jakby mimowoli — jakby, bo tam mimowoli nic się nie dzieje — w artykule Timesów londyńskich, omawiającym temat nic nas prawie nie obchodzący, bo układy między Adly Paszą, reprezentantem znacznego odłamu ludu egipskiego, a rządem angielskim. W artykule tym autor streszcza propozycje rządu angielskiego i dodaje: »Oczywiście traktat przedłożony nie daje Egiptowi zupełnej niezawisłości, ani nawet tej przysłonionej, nieokreślonej, lecz rzeczywistej zawisłości, jaka uchodzi za niezawisłość u niektórych słabszych, nowych państw wschodniej Europy. Prawnicy międzynarodowi powinni zmodyfikować, albo dopełnić swe definicje narodowej niezawisłości, wobec wysoce powikłanych stosunków, jakie zapanowały w Europie od czasu wojny.«

»Zawisłość przysłonięta, nieokreślona, ale rzeczywista«. Czy te słowa odnosićby się także mogły i do Polski? Bolesne, wstrząsające, niemiłosierne pytanie dla każdego Polaka. Ale niemniej trzeba je sobie spokojnie i jasno postawić, i spokojnie i jasno starać się na nie odpowiedzieć, o ile to obecnie już jest możliwem.

Więc fakta. Wiemy już, bo nam to już nieraz powiedziano, że zdaniem mocarstw ententy Polska powstała za ich łaską, bez swego należytego współdziałania i że wszystko, co ma i co mieć może, od ich zależy woli i uznania. I powiedziano już nam z miejsca bardzo wysokiego, że żałować trzeba, iż się tak z temi darami dla nas pośpieszono.

Granic nam nie wyznaczono, bo czekano na powstanie nowej pobolszewickiej Rosji. Gdy nadszedł spór z Czechami o Śląsk cieszyński, jednem pociągnięciem pióra głównego wodza precz nas odtrącono od granic naszych narodowych. Gdy bolszewicy całemi siłami szli na nas, by nas zagubić, układać się nam z nimi kazano. A dalej Śląsk Górny, Spiż, Litwa. A następnie przymusowa ugoda z Czechami, która niczego nam prócz więzów nie daje. A dalej sprawa gdańska i zduszenie naszego jedynego przewodu oddechowego ku wolnym powietrzom oceanów i stosunków światowych i ten pilot, czuwający nad żeglugą polską, w osobie Wysokiego Komisarza, by przypadkiem Polska nie zaczerpnęła tchu swobodnego. A znowu sprawa Galicji wschodniej, gdzie nam grożą oderwaniem nawet Lwowa od Polski. A sprawa rozmaitych misyj wojskowych, czuwających nad armją naszą. A co może najboleśniejsze i równocześnie najwięcej mówiące, to sprawa

»opieki« Ligi narodów nad narodami obcemi, mieszkającemi w Polsce — których jest przeszło część trzecia. A sprawa węgierska, gdzie rząd nasz musiał iść na rękę nieprzyjaciołom naszym, wbrew własnym interesom i uczuciom narodu. A sprawa raz po raz podnoszona owej małej enienty, z naszymi wrogami Czechami na czele, do której chcą Polskę siłą zapchać. A dalej ciągle, tak boleśnie lekceważące napomnienia i nawet obelgi, jakie od wybitnych angielskich mężów stanu na nas wobec świata całego padają. A czy my wiemy, jakie »wskazówki« otrzymuje rząd nasz z zagranicy, do których stosować się musi, czy mógłby sejm nasz choć jedną ustawę uchwalić wbrew życzeniom i wskazaniom zagranicy? A sprawa naszej waluty, naszego eksportu?

Czy Polska jest więc państwem wolnem, niezawisłem?

Gdy przyszła wiadomość o organizowaniu konferencji waszyngtońskiej, jedno z najpoważniejszych polskich czasopism pisało patetycznie: I znowu będą radzić o nas bez nas. I z pewnością radzili i z pewnością stanowili. Co i jak? Któż to wie, może nam jednak wkrótce powiedzą. W każdym razie, jeżeli sprawdzi się wiadomość, że Ameryka wstępuje do Ligi narodów, byłoby to znakiem, że Wielka Brytanja i Stany Zjednoczone razem wspólnie światem rządzić będą i że spełnią się może marzenia Cecyla Rhodesa o wspólnem imperjum anglosaskiem, rządzonem przez jeden parlament, obradujący na przemian w Londynie i Waszyngtonie. Ale o prawdziwej niezawisłości żadne już państwo wobec układu stosunków dzisiejszych marzyć nie może. Ustąpiła pod naciskiem Ameryki potężna Brytanja w sprawie tak dla niej żywotnej, tak wewnętrznej, jak sprawa irlandzka, legła w wysiłku walki bezkrwawej lecz strasznej u nóg Anglosasów Japonja, przyjąwszy wszystkie jej warunki, owa potężna Japonja, która właśnie podczas ostatniej wojny i z powodu wojny do najwyższej doszła potęgi. Od dowozu żywności i złota amerykańskiego zależą wszystkie państwa Europy i wiele pozaeuropejskich. O czem wobec tego marzyć może Polska?

Lecz nie traćmy otuchy i nadziei, a strzeżmy z całym wysiłkiem tylko jednego, a tem jednem był i będzie zawsze duch narodu.

Ufnością w Opatrzność i pracą wytężającą dla naszej Polski, pracą tak fizyczną, jak i duchowną, zwyciężymy.

Tymczasem zaś jeden wielki, zbawienny owoc konferencji waszyngtońskiej i jeden nowy powód do wdzięczności dla Stanów Zjednoczonych i ich prezydenta Hardinga, że okropne widmo nowej wojny światowej odegnane daleko, a świat pod tchnieniem ulgi może się oddać odbudowie materjalnej i duchowej. *Econ.*

Władyka Winnicki wobec Bazyljanów.

W stosunku do duchowieństwa był Winnicki srogim i bezwzględnym przełożonym i jak protopresbitera spaskiego, Porfirego Piryńskiego bił, ranił i wypędził ze Strarzewic[1]), tak też i innych traktował, jak się w skargach wyrażano, po tyrańsku. Dowodów tej tyranji nie brak w aktach sądowych. Kilka z nich wyróżnia się motywowaniem, okazuzując charakter władyki bez wszelkich osłonek. Ojciec Euzebi Kniszewicz, igumen Bazyljanów czernilawskich, przeszedł około 1660 r. na unję. *Władyka, który pod* owe czasy nazywał wiarę unitów »psią wiarą«, a władykę unickiego psem, kazał pojmać igumena przy pierwszej sposobności. Zdarzyło się, że Euzebi wysłany do Warszawy przez władykę Chmielowskiego, wraz z diakonem Hilarjonem i sługą Marcinem Rzepeckim, przejeżdżał przez Krakowiec. Tu zastąpiono podróżnym drogę i pojmano, tylko Euzebi, w obawie o życie, schronił się do tamecznego kościoła, gdzie z księdzem dominikaninem Proszczyckim zamienił suknie.

Pojmano atoli obydwóch, dostawiono w ręce władyki, który obsypał obelgami obydwu księży, habit dominikański na Euzebiuszu podarł, poczem do swej rezydencji podmiejskiej do Wilczego odwieźć kazał z diakonem i Rzepeckim, pozbawiwszy ich koni i wozu. Jeńców zabrał władyka ze sobą do Przemyśla, a wrzuciwszy ich tutaj do więzienia, trzymał przez dwa tygodnie — a jak zawsze to czynił — o głodzie i chłodzie. Ale dłuższe jeszcze, bo ośmiotygodniowe więzienie czekało jeńców w klasztorze spaskim, dokąd władyka, wyjeżdżając z Przemyśla, kazał ich dostawić. Tutaj postępowaniem swem tyrańskiem zmusił igumena do odprzysiężenia się katolicyzmu i do wystawienia trzech skryptów z zeznaniem, oczywiście wymuszonem przy pomocy torturowania, do-

[1]) C. Pr. 377 p. 1187.

tyczącem tego odstępstwa. Poczem obrabowawszy igumena i rzeczy wypędził z monasteru spaskiego. Hilarjon diakon uciekł był do swego władyki Chmielowskiego, rezydującego w Walawie, ale wpadł w ręce Winnickiego, który go z konia zwalił i obuchem siekierki tak obił, że ledwie żywego porzucił, zabrawszy mu konia. Euzebi widząc, że Winnicki nastaje na jego życie, schronił się do klasztoru dominikanów jaworowskich[1]).

Stąd dopiero mógł Kniszewicz przedłożyć w grodzie lwowskim protestację przeciwko Winnickiemu i jego satelitom, Aleksandrowi Wołyńcowi, Jakubowi Artamowskiemu i innym, w sprawie napadu na drodze publicznej, wrzucenia do więzienia i torturowania a wreszcie odprzysiężenia unji, a władyka Chmielowski ze swą kapitułą, imieniem igumena, zapozwali Winnickiego do trybunału[2]). Zasądzony na infamję, uzyskuje w kancelarji królewskiej mandat do swych przeciwników przedłożenia sprawy przed sądy sejmowe, wyrok bowiem trybunalski był nieprawnie uzyskany[3]). Kryszewicz miał czternastu świadków stwierdzających wiarogodność skargi[4]), należącej przed trybunał, a nie przed sądy sejmowe. Niemniej jednak zdołał Winnicki przez lat kilka toczyć proces, i przegrał go w ten sposób, że w maju 1664 starosta przemyski Marcin Madaliński otrzymał nakaz wykonać dekret infamji a d m o t a n o b i l i t a t e. Naznacza przeto dygnitarzom i szlachcie termin 4 czerwca w Urożu do niesienia pomocy, aby ludzie na prawo pospolite nie dbający byli ukróceni. Kto nie stanie — groził starosta — będzie uważany za nieposłusznego prawu i gardzącego wyrokiem trybunału i podpadnie karze...[5])

Pomimo że stawili się tacy, jak Jerzy Ossoliński starosta piotrkowski, Michał Paweł Strus cześnik mielnicki, Stanisław Żurowski cześnik przemyski i około ośmdziesięciu szlachty, egzekucja nie przyszła do skutku po myśli igumena. Gdy się zgromadzono pod Urożem i przystąpiono pod zameczek Winnickiego, zastano bramę zamkniętą. Na żądanie starościńskie otworzyła się i wyszli z niej Ojcowie Wiktoryn Kamieniecki i Jan Hoszowski wraz z plenipotentem Winnickiego, przedkładając glejt królewski temuż wystawiony a zarazem i podanie z wnio-

---

[1]) C. Prem. 391 p. 1459, 1466.

[2]) Castr Leop. 643 p. 1122. protest. z 13 grudnia 1660 r. Pozew z dnia 20 m. w Ter. Prem. 128 p. 235 cf. 239. Protest także w Ter. Prem. 209 p. 160.

[3]) Ter. Prem. 129 p. 271.

[4]) Ter. Prem. 128.

[5]) C. Pr. 397 p. 1267.

skiem kasacji wyroku, gdyż sprawa należy przed forum sejmowe. Na odpowiedź starosty, że obrona ma być we właściwem forum wytoczona i na żądanie, że jurysdykcja jego ma być w zameczku fundowana, odpowiedziano zawarciem ponownem silnie obsadzonej zbrojnym ludem bramy. Naprożno jednak domaga się Ojciec Euzebi od starosty egzekucji; Madaliński oświadcza, że bez krwi rozlewu nie można wyroku przywieść do skutku, że szlachty jest za mało do zdobycia dobrze obronnego zamku, na to bowiem trzeba siły. W końcu — mówi starosta — przez użycie siły nastąpiłoby naruszenie glejtów, przeto dla lepszej mej informacji, decyzji, zarzutów itd. odsyłam sprawę napowrót do trybunału[1]).

W ten sposób Ojciec Euzebi zmuszony był znowu jechać do Lublina, oczywiście z narażeniem życia wiedząc, że przeciwnik czyha nań przez swoich. Toż puszczając się w podróż 19 czerwca 1664 do Lublina, zostawił na wszelki wypadek takie zarządzenie[2]): Słysząc że adwersarz Kościoła Bożego, prawem odemnie pospolitem przekonany, na zdrowie moje zasadzki stawia i różnych na to osób i sposobów zażywa, osobliwie na drodze chcąc mnię pożyć, tedy jeśliby strzeż Boże w teraźniejszej drodze lubelskiej na takowe jego zasadzki żywota pozbyć przyszło, takową czynię rzeczy i spraw mych dyspozycję. Tutaj następuje naznaczenie p. Kantymira plenipotentem i egzekutorem z tem, »aby zniósłszy się z przeorem dominikanów przemyskich proces przewiedziony windykował i skończył, i by jedną część przezysku tymże dominikanom z powodu habitu na mnie zniesławionego i poszarpanego, drugą zaś część temu oddał, który aż do tej chwili mnię nie odstąpił«. Dodał też, »że na wypadek tentowania zgody przed powrotem jego, należy spełnić to, co się będzie zdawało p. staroście, przeorowi wspomnianemu, tudzież Kantymirowi«. Podpis: Eusebius ordinis divi Basilii in gremio catholicae ecclesiae existens.

Do zgody jednak nawet w następnym roku nie przyszło, albowiem Winnicki w pozwie swym o kasację banicji oskarża O. Euzebiusza z powodu obsypania go i zwolenników jegoż na sejmiku wiszeńskim obelżywemi słowy, tudzież z powodu pobicia władyki, gdy z Walawy do Przemyśla jechał[3]). O końcu sprawy sądowej nie dowiadujemy się z aktów; można się jednak domyślać nieco z zajścia władyki z drugim zakonnikiem św. Bazylego, o czem szerzej nieco wspo-

[1]) C. Pr. 397 p. 1496.

[2]) C. Pr. 397 p. 1617.

[3]) C. Pr. 399 p. 1419, 1432. Citatio ad cassandam bannitionem ma datę Lublin 21 lutego 1665 r. cf. p. 1432.

minają akta, rzucając światło na wcale charakterystyczne postępowanie Winnickiego z klerem diecezji przemyskiej.

Wpierw jednak należy nam poznać stosunek Winnickiego do unijowskiego klasztoru św. Bazylego, którego administratorem był episkop lwowski Atanazy Żeliborski. Po tegoż śmierci Winnicki, który uzyskał był podówczas metropolję kijowską, nie mogąc wobec stosunków ówczesnych wejść w jej posesję, starał się o inne wakansy cerkwi, aby stratę swą w Kijowie innemi pokryć dochodami. Pomiędzy innemi starał się o administrację klasztoru i dóbr w Unijowie. Ponieważ zaś wiedział, że mnisi unijowscy korzystać chcą z prawa wolnej elekcji i wybrać sobie administratora, a przywilejowi jego, który dla siebie z kancelarji królewskiej pozyskał, są przeciwni — postanowił siłą wejść w prawa swe, oparte na dokumencie sprzeciwiającym się jednak prawom i przywilejom klasztoru. W noc zapustną 1666 r. wpada on zbrojno do klasztoru unijowskiego, każe pojmać trzech zakonników, których za swych głównych przeciwników uważał i przywiązanych do drąga trzymał na okrutnym mrozie przez kilka nocy. Innych kazał obuchami i postronkami zbić i to w taki sposób, że jeden z nich, Ojciec Piekulicki, zmarł wskutek pobicia, innych znowu rozpędzono. Do monasteru strzelano, złupiwszy go doszczętnie, tak że gołe tylko mury pozostały. Wszystko uczynił z tego powodu, skarżyli się później OO. Efrem Gołogorski presbiter i Antoni ekonom[1]), aby mnisi według praw swych greckich i przywilejów na wolną elekcję zwierzchników i starszyzny swej nie wotowali ani obierali, spodziewał się bowiem, że będą przeszkadzali administracji tego klasztoru, uzyskanej przez niego od dworu. Jedenaście skrzyń zakonnych przedmiotów, paramentów, gotówki, srebra, naczynia, sprzęty itp., nadto żywność, bydło, konie, w ogólności cały inwentarz żywy i martwy zabrano, a 300 pni pszczelnych wybito i jak wszystko inne uwieziono.

Mnisi, z wyjątkiem kilku, których Winnicki ze sobą zabrał i w więzieniu spaskiem trzymał, poczęli wracać do ogołoconego ze wszystkiego klasztoru, przy pomocy ludzkiej znowu się urządzać; poczem uczyniwszy jaki taki porządek, obrali swym archimandrytą młodego latami ale dzielnego i światłego mnicha Barlaama Szeptyckiego, postarali się o aprobację królewską swej elekcji, tudzież że na sejmiku wiszeńskim 20-go sierpnia 1669 polecono posłom starać się na sejmie, aby archimandrja, przez przeszłego króla nadana Barlaamowi, przy swych prawach i przy-

[1]) C. Leop. 422 p. 153, 275

wilejach pozostawała i w taki sposób przygotowywano się do odparcia zamachów Winnickiego. Ten bowiem postarał się o ujęcie jednego z mnichów unijowskich, Wasjana Romanowicza, wziął go do siebie, opierając się na przywileju swoim od króla Jana Kazimierza sobie nadanym na dobra te, które uważał jako reclinatorium, albowiem z powodu wojny domowej dóbr kijowskich nie mógł objąć. Barlaama nie uznawał, nazywając go profesem skickim, z powodu wieku niesprawnym do objęcia beneficjum duchownego, które tylko przez złą informację uzyskał i na dniu 27 września wraz z ojcem swym Aleksandrem siłą archimandrję zajął.

Młody archimandryta, wziąwszy się energicznie do rzeczy, wytoczył tymczasem proces Winnickiemu o nocny najazd, o więzienie i pobicie mnichów i złupienie klasztoru, ten jednak i na taki wypadek miał gotową obronę i każe imieniem wspomnianego wyżej Wasjana, — którego Barlaam w swej skardze mylnie ekonomem unijowskim nazwał — wnieść protestację[1]) zgruntu fałszywą, przeciwko skardze o najazd archimandji uniejowskiej zwróconą.

Ojciec Wasian oświadcza w owej protestacji złożonej w grodzie przemyskiem, że nigdy nie był ekonomem, że o najeździe nigdy nie słyszał, owszem słyszał, że Szeptyckiego jako prawnie obranego i od króla przywilejem zatwierdzonego Ojcowie uniejowscy z procesją wprowadzali, że wszyscy my zakonnicy wiemy dobrze, że metropolita ojcu archimandryty, jako swemu bratu ciotecznemu pozwolił, aby przywilej na archimandrję na syna przeniósł, któremu też tej godności życzył, a nawet sam posłał do Warszawy po zatwierdzenie cessji. Ja, jako bawiący przy boku metropolity, o tem wszystkiem wiedziałem i wiem, że w tym procederze archimandryta w niczem nie wykroczył...

Widocznie Winnicki dążył przez takie sfałszowane świadectwo do załagodzenia sprawy na drodze ugodowej, aby i wilk był syty i koza cała. Powinęła się jednak noga metropolicie, albowiem Ojciec Wasjan, dowiedziawszy się o sprawce, zaprzeczył jej z wielce charakterystycznym dodatkiem. Postępowanie metropolity mówił on[2]), nie ku poprawie praw religji greckiej służy, lecz że złości ku złamaniu praw dobrze ufundowanych narodowi ritus graeci i że z żądzy trzymania wszystkich beneficjów i urzędów w tejże religji i dla zamieszania między naszem duchowieństwem w taki sposób zawsze zwykł postępować.

[1]) Wniesiono tę protestację w wigilję Bożego Narodzenia 1638 do ksiąg przemyskich ziem. C. Prem. 422 p. 597.

[2]) Ibid. p. 598.

Mimo tak srodze kompromitującego metropolitę świadectwa, uzyskał tenże w asessorji w lipcu 1671 r. dekret, odsądzający Barlaama od archimandrji uniejowskiej, oczywiście in contumatia, na co odpowiedział zasądzony uzasadnionem podaniem o kasację dekretu i restytucję całej sprawy in integrum[1]). Musiały argumenta trafić do przekonania, skoro w pół roku później w lutym 1672 r. nie tylko że ponownie zatwierdził Barlaama na archimandrji, lecz nadto zniósł zarazem przywilej, udzielony poprzednio na podstawie mylnych informacyj metropolicie kijowskiemu, Winnickiemu[2]). Mimo tego zatwierdzenia, mimo mandatu do władz poprzednio wydanego, aby Barlaam przez lat cztery w possessji archimandrji i dóbr zostający i dalej przy tejże w pokoju zostawał[3]), jeszcze w następnym roku skarży się archimandryta, że mu metropolita stawia przeszkody w spokojnem dzierżeniu urzędu i dóbr klasztoru[4]). Wnet jednak musiał metropolita pogodzić się z losem i odstąpił od zamiaru dalszego napastowania archimandrji unijowskiej, której uczony w Piśmie świętem Barlaam, wydawca „Zercała" i „Ewangelji" przez lat cztery dziesiątki przewodniczył, zanim nie został episkopem lwowskim po Józefie Szumańskim. Dodać i to należy, że do zaprzestania walki był zmuszony, albowiem szlachta dyzunicka, zwłaszcza w lwowskiem, jak Teodor Żurakowski, Aleksander Winnicki, Jan Czołowski itd., zaprotestowali przeciwko postępowaniu metropolity. Potępiono też zajęcie wakującej archimandrji uniejowskiej siłą-mocą, wybijanie z posessji dóbr prawnie obranego Walaama, podstępne prowokowanie go do sądów post curiam, nastawanie na tegoż przywileje i podeptanie przywilejów greckiego kościoła[5]). Wobec takiego nacisku nie można też przyjąć za pewnik, jakoby metropolita dobrowolnie działał, a tem mniej, aby miał dobro cerkwi na celu.

Jeżeli epizod powyższy dowodzi, że u Antoniego Winnickiego każdy środek, byle prowadził do celu, nawet fałszerstwo cudzego świadectwa, był używany, że nie dbał o dobro cerkwi i współwyznawców, a tylko o zyski z duchownego chleba, że był podstępnym i bezwzględnym wrogiem nawet względem własnej rodziny, która mu nieraz pomocną była w jego zajściach, jak np. w owem Urożu, kiedyto zabito Teodora Winnickiego, to inna sprawa, którą tutaj poruszymy, przedstawia jego charakter znowu

---

1) Cast. Leop. 427 p. 984.
2) C. Leop. 433 p. 372.
3) Mandat z 15 grudnia 1671 r. w Grodzkich Halickich aktach.
4) Ter. Leop. 112 p. 55.
5) C. Leop. 422 p. 470 pod 1670 r.

z innej strony i nie mniej budzi interesu, aniżeli sprawa klasztoru uniejowskiego. Mamy tutaj na myśli zajście z Ojcem Pimenem Staromiejskim.

Starając się o sakrę metropolicką w Carogrodzie, wysłał Winnicki do Moskwy, potem zaś przez Mołdawję i Wołoszczyznę do Carogrodu mnicha, pochodzącego z chełmskiego klasztoru, świadomego widocznie zwyczajów i języków wschodnich, nazwiskiem Pimena Staromiejskiego. Był on potem władyczym metropolity i całej Rusi archidiakonem, prawą ręką Winnickiego, jego wysłał był do Warszawy w sprawach procesowych, w staraniach osiągnięcia metropolji kijowskiej, o którą po śmierci Dionizego Bałłabana równocześnie zabiegali i inni, jak Józef Tukalski, a król wśród takich stosunków mianował władykę lwowskiego Arseniego Żeliborskiego administratorem metropolji. Pimena wysłał Winnicki na wschód do hospodarów mołdawskiego i wołoskiego, do Nektarego, patrjarchy jerozolimskiego, wreszcie do wysokiej porty. Wywiązał się poseł z trudnego zadania z dość dobrym dla swego władyki rezultatem. Wracając z Carogrodu, pisał z Adrjanopola do Winnickiego, że gdyby nie włożono w instrukcję królewską punktów o metropolji, nie byłaby mu sakra daną, albowiem „Tukalski z hospodarem wołoskim (Eustachy Dobissa) broni Winnickiemu metropolji, i że z powodu właśnie tej instrukcji cesarz turecki kazał napisać list do patrjarchy Nektara[1]). To pewna, że obaj kandydaci o metropolję byli także elektami. W kancelarji jednak królewskiej zwyciężył Winnicki, unieważniono bowiem tam elekcję Tukalskiego, poprzednio bowiem już nadano metropolję Winnickiemu. Patrjarcha jednak carogrodzki Metody zatwierdził na metropolji Tukalskiego, mającego za sobą i senatorów i Zaporożców i nowego ich hetmana Doroszeńkę, który się poddał pod panowanie polskie, a u którego siedział Tukalski w Czehrynie. Wśród takich stosunków metropolja Winnickiego była tylko czczym tytułem. Niemniej jednak Pimen, który z Carogrodu przywiózł tytuł archidiakona tronu carogrodzkiego[2]), chlubił się swemi zasługami obok uzyskania metropolji, przy której zajmował wysokie stanowisko, jakoby zarządcy diecezji i kanclerza metropolity-władyki. Z Carogrodu przywiózł też zapewne na rzecz pana swego towary, które nocną porą, bez opłaty cła, miał sprzedać w monasterze pod Stryjem i za co przez władze celne tameczne został obelżony[3]).

---

[1]) Petruszewicz: Swodnaja letop. I pod 1667 r.
[2]) Ter. Pr. 132 p. 304.
[3]) Ter. Pr. 132 p. 304 i nn.

Niezadowolony ze skutku poselstwa Pimenowego Winnicki, o ile że takie poselstwo w owych czasach wielce było kosztownem, znienawidził zakonnika, zwłaszcza gdy tenże upominaniem, jak sam o sobie mówi, odwracał władykę od zbrodni. Pimen dodaje, że nienawiść metropolity tak dalece urosła, że użył wszelkich sposobów, aby swego archidiakona pozbawić tego, co człowiekowi najdroższe, tj. życia.

Powziąwszy taki zamiar, kazał Winnicki w dniu 18 grudnia 1669 r. Pimena w klasztorze spaskim do więzienia wrzucić i obciążonego kajdanami pod ścisłą trzymać strażą bez jadła i napoju i bez dobrodziejstwa odwiedzania więźnia przez kogokolwiek. Poczem z rozkazu metropolity zdjęto mu kajdany i wsadzono na konia i nocą dostawiono do Uroża w jednej tylko odzieży, obrabowawszy go ze wszystkiego mienia, z koni, ruchomości a nawet z pasa fiołkowego. W Urożu związano mu ręce w tył, włożono kajdany na nogi a obręcz żelazną na szyję i wrzucono do podziemnego więzienia, pełnego obrzydliwego robactwa, wilgoci, wody, fetoru. Na dwoje drzwi zamknięty leżał na ziemi w tem strasznem miejscu, dokąd nigdy światło nie zajrzało dzienne, przez trzy doby podczas ostrych mrozów.

Przywiedziony potem do metropolity, siedzącego na łożu i zrzędzącego, związany w kajdanach wysłuchał słów takowych: Nie będziesz ty już więcej po świecie chodził; nie chce się z tobą jak z Euzebiuszem pozywać i prawować, raczej ci zginąć tu w więzieniu! Będę za ciebie pokutował, a jeżeli się kto będzie o ciebie upominać, wolę cię zapłacić (główszczyzną), mniej mnie będzie kosztowało! Poczem wrzucono ponownie do owego podziemia związanego jak był i w kajdanach Pimena, otoczywszy go jeszcze ostrzejszą strażą tak, że jeden tylko doń strażnik i to co trzeciego dnia wchodził z jadłem, a nikomu nie wolno było go odwiedzać. Więźniowi groziła śmierć głodowa.

Bezpośrednio przed wilją Bożego Narodzenia w nocy, z jednym tylko hajdukiem Leśkiem Kotem, pochodnią świecącym a w donicy ogień mającym, schodzi metropolita do podziemia i na coby się, jak opowiada Pimen, ani barbarzyniec ani Tatarzyn nie odważył, nowe mu zadaje męki. Każe bowiem Leśkowi nieszczęśliwego więźnia ze związanemi w tył rękami na kołku wieszać, słomę zapalić i dym kurzyć, pytając: gdzie masz pieniądze, powiadaj! Zdjęty bolem, gdyż mu pałce w kurek wkręcono, mówi Pimen: Pieniędzy przy sobie nie mam, gdyżem je dał na pożyczkę, ale dla Boga, mój dobrodzieju, zmiłuj się nademną. Dlaczego mnie bez żadnego sądu więzić i mę-

czyć każesz; jeżelim winny, są episkopowie przemyski i lwowski, to mnie osądzą; każ mnie przed nich stawić na sąd. Niech już zginę, ale przynajmniej z dekretu, albo do świeckiego oddaj mnie sądu. Tu podniósł więzień zasługi swe, podróże do Turcji po sakrę, do Wołoch i do Moskwy po jałmużnę, w Ukrainę po aparata metropolicie. „Nie takowej to u WMć mego miłościwego pana zasłużyłem nagrody, jaką teraz otrzymuję, w ciemnicę wrzucon, gdzie światła nie widzę dziennego, ani głosu słyszę ludzkiego, smrodu i robactwa pełną, głodu się nacierpię, w wodzie leżąc, żelazem wszystek okowany, tyrańskie niemiłosierne znoszę więzienie“... mówi żałośnie czerniec.

Winnicki popadł w złość: Nie do grobu ani do duchownego prawa oddam ciebie, ale gdzieindziej, że już po świecie chodzić nie będziesz — i kazał hajdukowi zadawać nowe tortury nieszczęsnemu, wykonywane natychmiast ze zręcznością kata. W samo Boże Narodzenie wchodzi oprawca do osłabionego i opadłego z sił Pimena z instrumentami katowskiemi, rzuca go o ziemię a związawszy mu postronkami ręce i nogi na krzyż, przybija je kołkami do ziemi i przez trzy doby pozostawia nieszczęsnego w okropnych bolach jęczącego. Naprożno wstawiają się za Pimenem władyka przemyski Jerzy Hoszowski i szlachta przemyska, zasypująca metropolitę listami błagalnemi, naprożno wielu ze szlachty składa porękę za nieszczęsnego z prośbą o uwolnienie go z więzienia i oddanie w ręce sądu. Nie tylko że nie zezwolił Winnicki na prośby, ale jeszcze ściślejszą strażą kazał więzienie otoczyć, gdzie przez czternaście tygodni go trzymając o głodzie i chłodzie, chciał go głodem i chłodem zamorzyć, albo też wodą zatopić, w którym to celu wodę, mającą gdzieindziej ujście, skierowano do więzienia... Byłbym zginął, opowiada później w maju 1670 r. Pimen, gdyby nie opieka Matki Boskiej Częstochowskiej, do której szczególniejsze mam nabożeństwo i bezustannie o ratunek jej błagałem. Wreszcie litościwi ludzie dali mu pomoc, ułatwili ucieczkę z więzienia i wycieńczonego, jak trupa wyglądającego, z ranami u rąk i nóg, z odmrożonemi stopami u obydwóch nóg, że aż skóra odstawała i pozłaziła, w ranach całego prezentowali w grodzie przemyskim.

Więzień okazuje rany, opowiada swe męki, które od 6 grudnia do 28 marca znosił, przedkłada wreszcie regestr zabranych rzeczy, widocznie pozostałych z darów od osób bogobojnych, do których go wysyłał Winnicki, jak np. opończę moskiewską, kłobuk muchajrowy, kaptur falendynowy baranami podbity, Psalterz grecki i Czasownik, ale

także i 76 czerwonych zł. zapewne skarbiec z uzbieranych przez całe życie oszczędności[1]).

W trybunale lubelskim, dokąd Pimen przez swych przyjaciół zwrócił się ze skargą z powodu więzienia i gwałtów na nim popełnionych, zapadł na Winnickiego 28 lipca 1670 r. wyrok infamji, pod banicją mający być ogłoszony, a którym objęto i pomocników tych tortur, Jana Skorodeńskiego, Stalowskiego i Leśka hajduka.

Sam Pimen, złamany nieszczęściami, znalazł czasowy przytułek u OO. Bernardynów w Samborze. Litością zdjęci zakonnicy ukrywali go w swym domku w Radłowcach pod Sambprem. Jeden ze stronników i wspólników Winnickiego, cześnik wieluński Paweł Strus, dowiedziawszy się o schronisku mnicha, wpada tamże, skłania obietnicami obrony przed Winnickimi do opuszczenia domku i pojścia za sobą do dworu swego w Czerhawie. Tutaj zmusza Pimena do wydania mu 41 dukatów, na utrzymanie mu przez przyjaciół darowanych, pod groźbą, że go wyda Winnickiemu, gdyby na żądanie nie przystał. »Chcesz ty do unitów z temi pieniądzmi jechać, musisz je u mnie zostawić!« Przez sześć tygodni trzymał Strus mnicha pod zamknięciem, ale widocznie i tutaj czuwała nad tymże Opatrzność; dozwalając mu przy pomocy udzielonej przez przyjaciół, zbiec z pod klucza do katedry przemyskiej, sub immunitatem ecclesiasticam i to w czasie, kiedy Strus miał go już wydać Winnickiemu.

Oczywiście i Strusa pozwał Pimen do trybunału[2]), jako pomocnika i wspólnika Antoniego i Stefana Winnickich, infamisów i banitów. Z pozwu Pimena dowiedzieć się można, jaki to węzeł interesów łączył Strusa z Winnickimi. Otóż Strus miał być wspólnikiem kuźni fałszywej monety, którą Winnicki Antoni z bratem założyli we wsi Łopusznej, a kowali ją przy pomocy Jana, złotnika z Gródka, Leśka Stolarczyka i Michała Złotniczka z Busowiska, teraz u Elżbiety Leduchowskiej w Błażowie będącego, a przedtem sługi Winnickiego, który miedź przysposabiał do kucia monety. Widocznie Pimen był dobrze informowany o fałszerstwie, albowiem prócz wskazanych już sprawców wymieniał i innych sług metropolity, wtajemniczonych w niebezpieczną sprawę, jak Jana, koniuszego Mikołaja Cholowskiego i Piotra Łukasiewicza, pozostających w domu Winnickiego. Jeżeli zważymy, że na

---

[1]) C. Pr. 409 p. 785. Protestacya ibid. 777. Cytacja do trybunału C. Pr. 412 p. 3185.

[2]) Fas. cop. C. Sanoc. 101 p. 503 i nn.

kilka miesięcy przedtem metropolita skarżył do assessorji mieszczan samborskich o zabranie mu z jego domu w Samborze, januszowska kamienica zwanego, zgromadzonego spiżu, jak dwa dzwony łamane, inne dwa całe, dwa moździerze wielkie, inne małe, mosiądz, muszkiety kołowe i ręczne[1]), że nadto Pimen nie miał interesu zmyślać zbrodniczej czynności, a raczej tylko motyw podawał, dla którego Strus widocznie w obawie sądowej odpowiedzialności za wspólnictwo w zbrodniczej czynności pozbawił go wolności, przypuścić należy, że i ta skarga polega na prawdzie.

Natychmiast obmyślił Winnicki obronę, zakładając protest w grodzie przemyskim, jakoby mnich niekarny Pimen odeń uciekł do Pawła Strusa do Cerhawy, zabrawszy mu rozmaite rzeczy, i podmówiony przez Strusa założył fałszywą obmowną protestację, rzucając plamę na honor Winnickiego, a że takie sprawy należą przed sąd sejmowy, tam go też pozywa do odpowiedzialności, będąc mężem w Rzplitej przez całe swe życie zasłużonym, którego wrodzona cnota i olbrzymie wobec Rzeczplitej zasługi są znane[2]). Równocześnie przesłał Pimenowi »odpowiedź«, tj. list z zapowiedzią, że gdziekolwiek go pojmie, pozbawi go życia. Biedny zakonnik uciekł się znowu ze skargą do króla, od którego otrzymał mandat do starosty przemyskiego, Marcina Kąckiego, z nałożeniem na strony vadium w wysokości 24 000 zł. p., ażeby strony spory swe nie otwartą walką ale na drodze prawa załatwić mogły[3]).

Tymczasem Kącki miał do egzekwowania dekret infamji i banicji w sprawie więzienia mnicha Pimena na Winnickich zapadły. Nie przywiódł jednak starosta egzekucji do skutku. Ze strony Winnickiego założono sprzeciw powodu, jakoby Pimen, sługa metropolity, dopuściwszy się wybryków i przekroczeń, a nie zdawszy sprawy z gospodarki swej, bez złożenia rachunków, zabrawszy rzeczy pana swego poszkodował... Trybunał jednak lubelski, do którego się Winnicki odwołał, zatwierdził pierwszy swój wyrok, a na starostę nałożył karę stu grzywien za niewykonanie wyroku, polecając równocześnie go wykonać zbrojno, admota nobilitate... Pimen, który tymczasem przeszedł na unję, musiał nie tylko postarać się o glejt bezpieczeństwa i nawet o wzięcie go pod specjalną protekcję królewską, ale nadto mieć się na baczności, albowiem przeciwnik jego wysilał się, aby go pozbawić życia. Winnicki założył apelację od wyroku do sądu sejmowego, na zasadzie konstytucji 1641 r.

[1]) C. Pr. 409 p. 1093.

[2]) C. Pr. 409 p. 1119; prot. z 14 lipca 1670 r.

[3]) C. Pr. 409 p. 855 cf. 1213, mandat dat. w Warszawie 10 sierpnia 1670 r.

opiewającej, że unici i dyzunici w sprawach kryminalnych odpowiadają przed forum sejmowem i otrzymał od króla czasowe zawieszenie dekretów zapadłych nań i na jego zwolenników i pozwolenie obrony przed sądami[1]).

Proces dalej się toczył z wielkiem zgorszeniem wszystkich wogóle mieszkańców ziemi przemyskiej i sanockiej. Z pewnego zajścia, jakie spotkało Pimena w Przemyślu w styczniu 1672 r., dowiadujemy się[2]), jak bardzo był on znienawidzony przez zwolenników metropolity, niemniej jak i o motywach tej śmiertelnej zawiści. Gdy mianowicie w Przemyślu wychodził z kamienicy przy ulicy Lwowskiej, w której miał depozyt swych rzeczy, wpadli nań igumen ławrowskiego monasteru Job Tyniewicz, krewny Winnickiego i czerniec Mojżesz, pop z przedmieścia przemyskiego, Psarce zwanego i poczęli lżyć Pimena jako złej matki syna, zmiennika, unijatę, szalbierza i odszczepieńca, zdrajcę i złodzieja, który potracił aparaty i klejnoty katedralne. Nożem cię pchnę, pogroził igumen, boś krwi mojej i ojcu metropolicie sadła gorącego za skórę zalał. Nie doczekasz, byś miał w zdrowiu sprawę tę skończyć, już cię to samo skarze, żeś odstąpił od wiary prawosławnej a przylepiłeś się do przeklętej uniackiej. Jeśli nie żałujesz tego i nie wrócisz do wiary prawosławnej, zgnijesz z duszą i ciałem jako pies i nie pomoże ci ani list żelazny ani protekcja. Jeszcze nikomu w Polsce nie ucięto szyi za takiemi protekcjami; coś innego czynić trzeba! Doczekam tego, że będziesz w ręku kata i oprawców. Wylawszy w ten sposób zawiść przeciwko Pimenowi, zdradza Job powody do niej. Nie w odstępstwie od dyzunji, jak to z obelg można było wnosić, szukać należy motywów do napaści i tej srogiej nieprzyjaźni ze strony stronników i krewnych Winnickiego. Oto bowiem co wypomina Pimenowi igumen[3]). Udałeś przed ludźmi, jakoby metropolita na Łopusznej pieniądze robił, zakonniczek sobie młodych i dziewek po kilka w pokoju trzymał, duchownych tak unitów jako i dyzunitów pozabijał, torturował a klejnoty katedralne cerkiewne potracił, jakoby chłop świecki na metropolitaństwo święcić go miał i że fałszywą sakrę posiada...

Dodać należy, że Pimen postarał się o atestację datowaną: Horbie die 4 Martii Anno Domini 1671, co do skandalicznych stosunków metropolity do wspomnianych mniszek, że stronnicy tegoż, jak wymieniony

[1]) Ter. Pr. 134 p. 490, cytacja Pimena przed sądy sejmowe; tudzież Castr. Pr. 413 p. 417, zezwolenie królewskie dane Winnickiemu 20 stycznia 1672 do stawania przed sądami.

[2]) Castr. Prem. 413 p. 169.

[3]) Ibidem p. 171.

wyżej igumen, Jan Skorodyński, Jan Urski zwany koniuszym, jak Mikołaj Cholowski, zmuszali go do odstępstwa od unji najpierw ustnie potem pisemnie, władykę unickiego psem nazywając i poręczając, że przez sam powrót otrzyma absolucję od grzechów, by wzywaniem czarta, nasyłaniem czarownic[1]) i innemi intrygami skłonić go do przejścia na ich stronę, że wreszcie używali i trucizny, a brat metropolity Stefan groził mu w Przemyślu śmiercią, i że ma glejt od tego, aby był bezkarnym, że wreszcie inny stronnik metropolity, Michał Ilnicki, w sądzie grodu przemyskiego usiłował go zabić i byłby zamiaru dokonał, gdyby nie pomoc ludzka.

Jeżeli zważymy, że Pimen z wytrwałością, konsekwentnie bez przerwy toczył z metropolitą i jego stronnikami procesa we wszystkich subselliach, dokąd się tylko ci udawali, że i na sejmiku wiszeńskim wytoczył tak srodze Winnickich kompromitującą sprawę[2]) pojmiemy łatwo powody, dla których usiłowano zmusić Pimena do zaprzestania walki lub zgładzić go ze świata. A że z potężnym wrogiem, zasobnym w środki materjalne, w grosz i bądź co bądź niemałe znaczenie miał do czynienia, nie dziw, że proces jego toczył się bez końca, że raz na jego stronę, to znowu na stronę przeciwnika przechylała się waga Temidy. Na sejmie 1672 uzyskał Winnicki i towarzysze jego dekret niekorzystny dla Pimena, ten jednak, opierając się na konstytucjach, zarzucił, że nieprawnie go wydano[3]). Przeciwko wyrokowi infamji, w regestrze taktowym trybunału lubelskiego zapadłym, protestuje znowu Winnicki, dowodząc, że jest niekompetentnym do rozsądzenia sprawy[4]). Gdy wreszcie przyszło do egzekucji wyroku infamji i banicji, a przedstawił je Pimen w liczbie trzech, z 1671 r. z remissji, z 1672 aprobacja injamji i 1672 r. z powodu niesłusznej apelacji do sądów sejmowych — urgując w Urożu wobec Jana Stawskiego, podstarościego przemyskiego, wykonanie wyroków, plenipotent metropolity Jan Jasiński podniósł zarzut niekompetencji forum, od którego wyroki owe wyszły, tudzież że pryncypał jego relacji o tych kondemnatach nigdy nie podpisał. Oczywiście bramy zameczka plenipotent nie otworzył, a że była dobrze zaparta i strzeżona, przeto Stawski, mający widocznie od starosty instrukcje, przychyla się do wniosku plenipotenta odesłania sprawy do sejmu i od egzekucji odstępuje[5]).

[1]) Tak tłumaczę Venerum immissionem. C. Sanoc. 185 p. 2194.
[2]) Przedstawił w Wiśni pismo ze skargą, C. Leop. 429, p. 1549, 1553.
[3]) C. Pr. 415 p. 2932.
[4]) Ter. Prem. 136 p. 325.
[5]) C. Pr. 415 p. 2629 cf. 1635.

Pimen zakłada protest przeciwko staroście Kąckiemu o niewykonanie egzekucji w Urożu, o odrzuceniu przedłożonych przez Pimena środków obrony a mianowicie jego protestacji lubelskiej, założonej przeciwko kondemnacie, uzyskanej przez Winnickiego na nim w sądach sejmowych, że remissa do trybunału była niewążną, a odpisu z niej nie wydał starosta na prośby Pimena, co tenże w skardze swej na sejmiku wiszeńskim podniósł, że mianowicie sprawa procesowa została przez Kąckiego srodze rozsiekaną przez odesłanie procesu z Antonim Winnickim do sądów sejmowych, a ze Stefanem tejże samej sprawy do trybunału, czem zepchnięto ją in longum et infinitum i — kończy Pimen lakonicznie — czem mnie biednego odesłano do Garamantów i Indów[1]). Toż rozżalony Pimen pozwał Kąckiego przed trybunał.

Proces ten zaciężył nad metropolitą i jego rodziną, o ile że do samej śmierci, a po niej w ciągu dalszym z rodziną jego ze Stefanem Winnickim i żoną jego, Magdaleną Krajowską i innymi sukcessorami, jak np. z następcą metropolity na stolicy przemyskiej, Janem Innocentym Winnickim był prowadzony z wytrwałością, jakiej Pimen mógł być chyba wzorem. Toż do samego końca życia swego przesyłał metropolita biednemu mnichowi »odpowiedzie« na życie, tak że król Jan III podwyższył wysokość zakładu do dziewięćdziesięciu tysięcy zł., gdy diffidowany Pimen błagał o list żelazny, mający go obronić od metropolity[2]). Po śmierci metropolity brat tegoż Stefan, zasądzony z żoną w tejże sprawie, zapadł wraz z żoną na zdrowiu[3]) — i nie można się dziwić, o ile że szło tutaj o zaspokojenie pieniężne, a proces latami prowadzony pochłonął wielkie sumy. Jeszcze 1682 r. miał Pimen pretensję na podstawie dekretu do sukcessorów metropolity o dwa tysiące zł.[4])

Jak z przebiegu całego procesu wnosić można, nie należał, Pimen do liczby świątobliwych mnichów, którzy za unję z całem przekonaniem życie kładli, z cierpliwością i poddaniem się woli Opatrzności znoszących straszne tortury, do jakich w owych czasach, jak dowodzą akta, tak często uciekali się władycy. Należy on jednakże do liczby tych, którzy właśnie na skutek tortur, na skutek korrupcji w obozie swym praktykowanej, przeszli do obozu przeciwnego i jest pod tym względem niejako przedstawicielem nawróconych, onych »zmienników«, jak ich nazywali przeciwnicy. Wierzy on niewzruszenie, że ratunek

[1]) Me protestantem ad Garamantos et Indos dimisit. C. L. 429 p. 1549, 1553.
[2]) C. Pr. 422 p. 1140, glejt z daty 5 lutego 1676 r.
[3]) C. Pr. 424 p. 1187.
[4]) C. Pr. 435 p. 401.

zawdzięcza Bogarodzicy-Dziewicy i w strasznych cierpieniach modli się do niej i poleca jej opiece, a duchem ulata z okropnej ciemnicy do jej jasnego przybytku w Częstochowie. Wiara ta pozwala mu dojrzeć prawdę, cierpieć celowo dla dobra idei, na jej wzrost i chwałę, idei, którą w sercu już głęboko chowa i za którą cierpi. Już odczuwa, że idea ta obejmuje cały obóz garnących się do niej ludzi, że Opatrzność czuwa nad tymi, którzy w obronie jej nie szczędzą ofiary ze swego życia. Jego rezygnacja, poddanie się niebezpieczeństwom, jego bądź co bądź walka z nieprzyjacielem, z odrzuceniem wszelkich warunków dla niego pomyślnych, a przez potężnego przeciwnika stawianych, dają świadectwo nie tylko oddania się tej idei, ale zarówno też gorącej miłości bliźnich, których pragnąłby pociągnąć do poznania prawdy, do porzucenia drogi, po której sam się błąkał, kiedy był sługą przeciwnika. Pragnie zwyciężyć, lecz nie dla zwycięstwa samego, nie dla próżnego triumfu nad wrogiem, lecz by dać żywy wyraz, że nawet tam, gdzie małuczki wchodzi w walkę z potężnym, Opatrzność ułatwia triumf pierwszemu, jakby dla okazania, że nie po stronie pięści, lecz po stronie serca, nie po stronie siły lecz miłości panuje prawda. Tylko żywa wiara mogła pobudzić do takiego heroizmu i w niej też upatrywać należy źródło umacniania się unji nawet w tych stronach, w których prawie przez całe stulecie była zwalczaną.

Posiadamy zresztą świadectwo, że i inni OO. Bazyljanie u nic w tych strasznych czasach »potopu Rzeczplitej« oddawali Winnickiemu usługi dla pozyskania go dla unji, dla prawdy i to z narażeniem życia. - Byli nimi OO. Wiktoryn Kamieniecki, igumen z Derażna, tudzież łeszniański igumen, O. Sylwester Lenkiewicki. Pierwszego z nich, światłego i uczonego męża, uczynił koncjonatorem swej kapituły, drugiego nawet wikarjuszem swym in spiritualibus i wyjednał dla obydwóch u króla prałatury kapitulne. Rzeczywiście mnisi nie wyrzekli się unji, owszem wywierali wpływ na kapitułę, na duchowieństwo w kierunku unji. Była taka praca i to w czasach urastającej Chmielniczyzny bardzo niebezpieczna, a Ojcom tym wiadomym był los, jaki spotkał wielu dyzunitów księży, z tygrysią srogością więzionych i torturowanych przez Winnickiego.

W miarę jak niebezpieczeństwo ze strony wschodniej urastało i coraz bardziej się zbliżało, rosła i tyranja władyki. Powziął przeto podejrzenia w 1654 r. ku opydwu Ojcom, działającym w przemyskiej kapitule, i w swoim Urożu przygotowuje zemstę z powodu ich nauk o wątpliwej jurysdykcji władyki i o konieczności zgody z Rzymem. Zaprasza obydwóch z Uroża na pogrzeb matki Marjanny, wdowy pod-

ówczas po Teodorze Winnickim, napada pod Urożem w pierwszych dniach marca tegoż roku, bije, rani obydwóch, każe związać i wrzuca do ciemnicy w Urożu. Obdarto też ich ze wszystkiego, z paramentów cerkiewnych i wszelkich rzeczy, nawet z dokumentów klasztoru Derażańskiego i lubaszowskiej prepozytury, które to uwozili z sobą igumenowie, ratując je od trwóg i zalewu nieprzyjacielskiego. Ojciec Kamieniecki, jak później oświadczył w swej protestacji [1]), niczego z zabranych mu rzeczy tak bardzo nie żałował, jak swej pracy, którą wiózł w rękopisie p. t. »Paschalia ukazująca ręką rzymską, żydowską i ruską itd.«. Zaledwie parę dni był srogo gnębiony O. Lenkiewicz i zdołał uciec z więzienia. Wnet potem i O. Kamieniecki wydobył się z więzów; aliści obydwaj zostali fałszywie oskarżeni o zabójstwo dwóch ludzi pod Urożem, oczywiście przez nierzetelne świadectwa do skargi zjednanych ludzi [2]). Wspólnie z O. Kamienieckim i władyką przemyskim unickim, Prokopem Chmielowskim, wytoczył O. Lenkiewicz Winnickiemu proces o kalumnję i uzyskał na nim infamję sine beneficio aresti i to w sądzie sejmowym 1655 r.[3]). Nie dał za wygranę władyka i wytacza w tymże sądzie sejmowym proces przeciwko tymże, jako oszczercom, żądając skazania ich na poenam talionis[4]). Proces toczył się i w trybunale — jednakże Winnicki tak urósł był w znaczeniu, tak stał się niebezpiecznym dla mnichów, że mimo wądjów wysokich przez króla nakładanych, O. Lenkiewicz w maju 1658 r. zeznał w sądzie ziemi przemyskiej[5]), że w sprawie tej działał za pobudką mnichów, a teraz powziąwszy zdrową radę i przekonanie, odstępuje od weksy z Winnickim i tegoż sługami, od swej protestacji, złożonej w 1654 r. i od akcji sądowej gdziekolwiek, a nawet w trybunale agitowanej. Ulegli Ojcowie Bazyljanie wobec ówczesnych stosunków politycznych potędze Winnickiego. Że była tylko tymczasową i przelotną, dostrzec nie umieli.

Dr. A. Prochaska.

---

[1]) Castr. Prem. 380 p. 529.
[2]) Cf. ibidem p. 1225 i 1703; C. Pr. 381 p. 19.
[3]) C. Pr. 382 p. 145, 1265, 1438.
[4]) C. Pr. 385 p. 1233.
[5]) Ter. Prem. 127 p. 217.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

M. d' Herbigny S. J: Theologica de Ecclesia. II. De Deo Catholicam Ecclesiam organice vivificante seu de hodierna Ecclesiae agnitione. Parisiis, Beauchesne, 1921, str. 359.

O pierwszym tomie tego dzieła pisaliśmy w zeszycie naszego pisma za maj-czerwiec 1921 r. Tom drugi posiada te same zalety i te same wady co pierwszy. Znajdujemy w nim znowu wielką obfitość materjału pozytywnego, te same ireniczne tendencje zwłaszcza w stosunku do schizmatyckiego wschodu, ale też zrażamy się do książki jej układem, jej siekaniną na niezliczone działki i podpodziałki, wśród których łatwo zgubić się, jak w gęstym lesie, a trudno znaleść punkt, z którego możnaby objąć okiem całość i podziwiać jej piękność.

Drugi tom traktatu o Kościele zawiera tezy, dotyczące poznawalności Kościoła prawdziwego (de notis) i wewnętrznej jego organizacji (de membris). W tej ostatniej sekcji znalazły się także tezy o nieomylności Kościoła wogóle i papieża w szczególności. Łatwo zauważyć, że znowu, jak w tomie pierwszym, mamy mieszaninę dogmatyki z apologetyką, co zresztą autor świadomie za cel sobie położył. Niżej podpisany nie w jednem nie zgodziłby się z autorem, ale nie zamierza pisać drobiazgowej recenzji, raz dlatego że musiałaby ona być zbyt długą, powtóre że jego zdanie nie doszłoby wcale do wiadomości autora, nie władającego polskim językiem. Zauważę tylko, że różnica zasadnicza jaka dzieli mnie od autora, leży w metodzie. Ja wolałbym, aby z materjału faktycznego dochodzono drogą indukcyjną do wniosków, dla autora zaś tezy są gotowemi danemi, a dowody na nie muszą się już znaleźć przy zręcznem operowaniu materjałem dowodowym. Czasem kosztuje autora zbyt wiele pracy, a czytelnika zbyt wiele cierpliwości, by przebrnąć na drugą stronę dowodzenia. Naprzykład konstrukcja 13 tez o cechach prawdziwego Kościoła stanowczo zbyt wiele kosztowała w stosunku do korzyści, jaką z niej osiągnie teoretyczna i praktyczna apologetyka. Czasem znowu ta apriorycznoś tez naraża autora na pewne niekonsekwencje. Naprzykład raz, w n. 349 pewne kategorje osób ochrzczonych uważa się za znajdujące się całkowicie poza Kościołem (u autora »simpliciter« znaczy »całkowicie«,

jak widać z całego kontekstu), lecz zaraz w n. 355 o tych samych kategorjach osób mówi, że jednak one aliquo modo sunt de ecclesia — w jakiś sposób należą do Kościoła. Ten traktat »o członkach Kościoła« odbiega u autora od szablonu innych podręczników, kiedy np. podkreślona jest rola Ducha Św. jako duszy Kościoła, za mało jednak autor pogłębił tę partję. Daleko lepiej opracował ją u nas ks. Wł. Piątkiewicz w studjum «Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne«, którego oczywiście autor nie zna.

Nie zgadzając się z autorem — którego zresztą osobistą przyjaźnią się szczycę — co do metody pracy a nawet paru tez teologicznych, uważam wszakże, że jego książka o Kościele winna się koniecznie znaleść w rękach przynajmniej profesorów teologji w polskich seminarjach, gdyż ona ułatwi postawienie niezmiernie doniosłych zagadnień, dotyczących sąsiadującego z nami »prawosławia«, wskaże na olbrzymi materjał do tych zagadnień i natchnie prawdziwie chrześcijańskim duchem ich rozwiązanie. *Ks. J. Urban.*

Ignacy Matuszewski, Studja o Żeromskim i Wyspiańskim. Warszawa, str. 235.

Chaos, wielki chaos dziś w zagadnieniach etyczno-estetycznych Pochodzi on stąd głównie, że zawodowi moraliści, zasuszeni nieco w swych badaniach, nie mają zrozumienia dla sztuki, a znowu estetycy, owiani zazwyczaj tchnieniem szeroko pojętej wolności autorskiej, a niedoceniający zagadnień etyczno-socjologicznych, przy swych ktytycznych rozważaniach albo przeoczają moralność albo zbyt powierzchownie, niefachowo ją traktują.

Matuszewski należy bezsprzecznie do najwybitniejszych i najrzetelniejszych krytyków doby najnowszej. Domagając się od krytyka szerokiego i gruntownego oczytania i subtelnego a miłosnego wczuwania się w utwory artysty, sam posiada te zalety, łącząc je z zadumą myśliciela. Jednostronność pewna przecież u niego widoczną: rozmiłowany w sztuce zapomina o życiu, a zwłaszcza o potężnych motorach chrześcijańskich, jakoby z hasłem na ustach: catholica non leguntur.

Już w swem dziele «Twórczość i twórcy« (Warszawa 1904, str. 40) wypowiada ciekawe, ale dziwne zdanie, jakoby człowiek nie mógł pobłądzić, jakoby doświadczenie wieków nie opowiadało czego innego: »Żaden wielki ale rzetelnie wielki poeta i artysta nie stworzył nigdy nieetycznego arcydzieła, jak żaden wielki filozof i uczony nie odkrył nigdy« niemoralnej »prawdy, jeśli tylko istotnie odkrył prawdę«. I taka zasada nie przeszkadza mu uważać za arcydzieła Balzaca »Comédie Humaine«, romanse Tołstoja, »całą tragiczną twórczość Nietzschego« itd. (Studja str. 153). Dostraja on się tu tylko do zachodnioeuropejskich estetyków, którzy twórczość bez Boga i etyki uważają za błogosławioną nawet dla moralności, jak to wywodzi choćby Benedetto Croce w swem Breviari di Estetica« (Bari 1913, str. 100).

Takim też sposobem aprobuje Matuszewski całą działalność pi-

sarską Żeromskiego, nie mając słówka nagany dla jego chorobliwej rosyjskości (wpływ Dostojewskiego) czy wyuzdanej »szczerości«, wychwalając go wprost za jego bogactwo motywów. Wedle niego przecież Żeromski należy »do najzawilszych i najbogatszych typów artystycznych w literaturze wszechświatowej« (123) a niemało »zasługi« mają w tem i »Dzieje grzechu«.

Wystarczy posłuchać, jaką świetną apologję wypisuje autor dla pornograficznego romanso-pisarza kryminalistyki, a każdy bezstronny i o zdrowie społeczeństwa dbały obywatel sam chyba potępi te zdania uwodzicielskie zwłaszcza dla młodych autorów. Według Matuszewskiego ten »wulkaniczny liryk« i »niepospolity realista i psycholog« dobrze zrobił, że pisał o perwersjach, bo »w naszej ogromnie ostrożnej i bojaźliwej (a Przybyszewski a Zapolska na czele całej plejady koleżanek po piórze!), a wskutek tego często obłudnej literaturze kwestje seksualne traktowano zawsze bardzo dyskretnie i wymijająco«. Przecież »nauka i sztuka muszą posiadać swobodę a b s o l u t n ą pod warunkiem naturalnie, że będą dążyć wyłącznie do celów czysto naukowych i czysto artystycznych, bo wtedy nie wejdą nigdy w kolizję z etyką, chociaż mogą nieraz obrażać pruderję, bigoterję« (97). Tak się ośmiesza etykę! Wogóle na każdym kroku, jest to wprost widoczne, stara się autor bronić Żeromskiego, uzasadnić jego poglądy albo raczej dziwactwa etyczne, czarne nazwać białem, dowieść jakoby, że by dojść do nieba trza przejść piekło. Żeromski przecież »chciałby człowieka podnieść, udoskonalić, a zarazem nie zubożyć, nie skurczyć duchowo«. (120). On stoi na stanowisku Shelleya: dobrym brak siły, silnym dobroci, a miłości mądrym. Risum teneatis amici, możnaby zawołać za Horacym i skeptycznie pytać, izali znał Matuszewski choć jednego człowieka, którego impresjonista-liryk o dziwnie pięknej, ale często chorobliwej, a nawet potwornej wyobraźni, tworzącej perwesyjnych erotomanów, „podniósł, udoskonalił". Pewnieby łatwiej mógł przypomnieć sobie takich, których wdeptał jeszcze głębiej w błoto, na domiar rozdzierając im dusze sępiemi szpony pesymizmu i rozpaczy. Boć zrozumieć można jeszcze zdrowy pęd zmysłowy objawiający się choćby w Reymontowej Jagnie, ale wyuzdanie Ewy i opisy jej zmysłowości i jaskrawych scen jej upadków trudno nie napiętnować!

Mamy też jeszcze na szczęście krytyków, którzy umieją nazwać rzeczy Żeromskiego mimo jego „wielkości" po imieniu. Stan. Tarnowski, krytyk artysta, niedoceniany przez dzisiejszych, nazywa Żeromskiego „stanowisko moralne co najmniej dziwne, czasem wprost gorszące". (Dzieje literatury p. Krak. 1918 cz. I, t. XXI, 46). Specjalista w badaniach nad powieścią naszą mimo długich wywodów Matuszewskiego, które zapewne znał, podkreśla, że „Dzieje grzechu", zacząwszy być dobrą powieścią psychologiczną wpadają potem „w ton romansów kryminalnych" (Dz. l. p. Kr. 1918, cz. II, t. XXII, 189).

Abstrahując od tego dziwnego stosunku do etyki, znany estetyk polski, choć nie pozostaje tu na wyżynie dawniejszych swoich dzieł,

podaje dużo ciekawych poglądów, oświetlających niekiedy bardzo grun townie pokłady naszego nowszego piśmiennictwa, porównujących je nieco z zachodniem. Taka „apologja" Wyspiańskiego, jakkolwiek autor zacieśnia się do polemiki z powieściopisarzem Weyssenhoffem, który chciał odegrać rolę pomniejszyciela olbrzymów, świadczy o poważnem wniknięciu w dzieło krakowskiego wieszcza, opowiada o tej drobiazgowej, analitycznej erudycji autora, której się on właśnie kiedyś tak domagał od nowoczesnego, fachowego krytyka. Budzi się tu zarazem żal, że nie było danem autorowi napisać jakiegoś ogólniejszego studjum o symboliście wawelskim i narodowym.

Podobnie jak nad zeszłemi tak i nad ostatnią książką warszawskiego krytyka nie może historyk literatury przejść obojętnie; oby przechodził krytycznie!

Nikodem Cieszyński.

Five Centuries Record of The English Bridgettines of Syon Abbey 1420—1920. (Printed at the Orphans, Press, Rochdale). str. 26.

Szeroko rozpowszechnionym był w Polsce w ww. XV i XVI kult północnej Teresy, św. Brygidy. W różnych prowincjach dawnej Rzeczypospolitej były klasztory brygidek, jak to widać ze spisu ich miejsc; Lublin, Brześć L., Grodno, Gdańsk, Lwów, Sokal, Sambor, Dubno, Łuck, Warszawa... Gdy pseudo-reformacja położyła kres istnieniu słynnego klasztoru ich w Wadstenie, podwójny (męski i żeński) klasztor Ordinis Sanctissimi Salvatoris w naszym Lublinie, przez czas pewien, stał się drugą Wadsteną dla całego zakonu św. Brygidy i posiadał znaczną ilość relikwji św. i — jej córki — Katarzyny Szwedzkiej. Calamitate temporum nasze klasztory brygidek wygasły, i ostatnia w kraju brygidka, ś. p. Eleonora Skrzędziejewska, zmarła w Grodnie w r. 1907. Dziś jeszcze kilka sióstr Polek, noszących habit św. Brygidy, jest w Rzymie (monastero S. Brigida 34, via delle Isole-Quart. Caprera. Roma 27).

Uważaliśmy za stosowne tem przypomnieniem dziejów brygidek w Polsce wyprzedzić krótkie sprawozdanie o wyszłej w r. ub. w Anglji broszurze, poświęconej starożytnemu a słynnemu opactwu brygidek tamecznych, znanemu pod nazwą Syon Abbey. Założył je w r. 1415 król angielski Henryk V, o czem aluzję znajdujemy u Szekspira w utworze tejże nazwy. Klasztor otrzymał tytuł »the Monastery of Saint Saviour and Saint Bridget of Syon for ewer«, i w r. 1420 przez arcybiskupa Chicheley of Canterbury zainstalowały się córy i synowie św. Matki Brygidy. Rządy nad opactwem sprawowała ksieni (pierwszą tu była Matilda Newton of Barking), będąc najwyższą instancją tak nad brygidkami, jak brygidami, przyczem ostatni mieli nadto instancję pośrednią a kanoniczną w osobie Confessor - General. (Tak było w swoim czasie i u nas w Lublinie). O polocie naukowym Syon Abbey wówczas świadczy fakt, iż rychło tameczna bibljoteka liczyła 14 tys. tomów. — Ale nadciągała sroga burza na Kościół w Anglji. Za Henryka VIII jeden

z brygidów znalazł w r. 1535 śmierć męczeńską przez powieszenie. Był nim bł. Ryszard Reynolds, znany później pod nazwą Angel of Syon. W r. 1559 brygidki zostały wygnane z Syon Abbey i przez Mechlin i Francję dostały się do Portugalji. Tu mieszkały do r. 1861, nazywane przez ludność miejscową english ladies. W tym zaś roku wolno im było wrócić do Anglji, w progi swej dawnej siedziby. Właśnie w r. 1920 Syon Abbey obchodziło 500-lecie swego istnienia.

Jubileuszowe wydawnictwo, omówione powyżej, mile się przedstawia swą wytwornością. Okładkę zdobi starożytna pieczęć opactwa, a wnętrze książeczki śliczna podobizna św. Brygidy.

Niniejszą krótką wzmianką spłacamy dług wdzięczności, należny brygidkom angielskim, które do ostatnich czasów zostały zawsze w serdecznym kontakcie z brygitkami polskiemi, żywiąc wielki pietyzm dla ich cierpień. Dziś angielki gorąco się modlą za Polskę, która w dziejach zakonu św. Brygidy odegrała znaczną rolę, i proszą Boga o rozkrzewienie zakonu. Brygidki polskie w Rzymie chętnie chyba podjęłyby się u nas tej misji.

Ks. Wł. Tołoczko.

Hermann Muckermann S. J.: Kind und Volk. I Bd. Vererbung und Auslese str. XII + 208; II Bd.: Gestaltung der Lebenslage, str. VIII + 270. Herder, Freiburg im Breisg. 1921.

Po spustoszeniach, jakie wojna światowa poczyniła nie tylko na polu walki, ale i poza niem przez choroby i niedostatek, rwą się dotknięte nią kraje gorączkowo do odrodzenia tak pod względem ekonomicznym jak ludnościowym. Troska o wzrost liczby narodzeń i o tężyznę młodej generacji zaprząta dziś umysły jako jedna z najważniejszych kwestyj dla odbudowy organizmu społecznego i państwowego, a odbyty niedawno w Warszawie zjazd eugeniczny jest chlubnem świadectwem dla naszej ojczyzny, iż mimo trudnych warunków nie chce pozostać w tyle za Niemcami, które już oddawna rozwijają w tym kierunku energiczną działalność.

Książka Muckermanna ma właśnie służyć niniejszemu celowi, a już samo imię autora, fachowego przyrodnika, znanego ze sporej liczby wydanych już prac, jest dostatecznem dla niej poleceniem. Poruszając zagadnienia, traktowane zwykle przez moralistów, oparł on je na fundamencie ścisłej wiedzy przyrodniczej i lekarskiej, wykazał zgodność praw biologicznych z moralnemi, przez co nadał tym ostatnim większą moc przekonywującą i pokazał, że niezłomne zasady religji katolickiej stoją zawsze na szczycie postępu i jedynie zdolne są do ratowania ludzkości.

Dzieło rozpada się na dwa tomy. W pierwszym z nich, przedłożywszy smutne dane statystyczne odnośnie do upadku ilości narodzeń i śmiertelności niemowląt, wzywa autor, by dbać nie tylko o liczbę ale i o jakość dzieci, a jako drogę do osiągnięcia tego celu wskazuje na wierność prawom natury. Z pośród tychże wyjmuje jako najważniejsze

prawo dziedziczności, rozwija je obszernie na przykładach ze świata roślinnego i zwierzęcego, a następnie przechodzi do ludzi i wykazuje zwłaszcza smutne skutki alkoholizmu, chorób wenerycznych i umysłowych. Wobec tego dobór przyszłych małżonków występuje jako jeden z najważniejszych czynników, rozstrzygających o szczęściu lub nieszczęściu młodego pokolenia; aby uzdolnić ich do dokonania dobrego doboru, poleca autor przygotowanie zawczasu młodzieży przez zdrowe wychowanie płciowe i wyrobienie silnej woli. Po zawarciu małżeństwa jest trwałość jego, wierność małżeńska i wstrzemięźliwość, oparta na prawdziwej duchowej miłości, dalszym warunkiem powodzenia.

Wykazawszy znaczenie małżeństwa, jego doboru i trwałości, przechodzi autor w drugim tomie do stosunku pomiędzy matką a dzieckiem. Na podstawie bogatego materjału statystycznego, w którym zestawia ilość dzieci, ich jakość i śmiertelność, wyprowadza wnioski co do częstości porodu, znaczenia pobytu dziecka w łonie matki dla jego późniejszego życia, oraz ważności karmienia przez matkę. Pokazuje niewłaściwość niepotrzebnego ograniczania narodzeń i występuje silnie przeciw zbrodniczym praktykom pozbawiania dzieci życia, nim jeszcze ujrzą światło dzienne. Szczególnie długo zatrzymuje się autor przy kwestji karmienia niemowląt i oparty na doświadczeniach lekarzy udowadnia, że sztuczne karmienie jest główną przyczyną śmiertelności małych dzieci, podczas gdy karmienie przez matkę wpływa dodatnio zarówno na nią samą, jak na dziecko. Autor żąda też kształcenia przyszłych matek przez odpowiednie wychowywanie dziewcząt.

Wkońcu poświęca autor nieco miejsca zewnętrznym warunkom, które umożliwiają wychowywanie zdrowych i silnych dzieci, przyczem najdłużej zatrzymuje się przy kwestji mieszkaniowej. Kończy wreszcie uwagą, że wszystkie reformy dadzą się tu przeprowadzić, o ile ludzie nabiorą zdrowego poglądu na życie, pozbędą się egoizmu i będą gotowi do poświęcenia. Do tego celu trzeba jednak człowieka podnieść wewnętrznie, a tu główną pomocą jest wiara.

Książka ta, polecona w Niemczech przez organa rządowe, kościelne i świeckie wszelkich odcieni, jest rzeczywiście cennym nabytkiem zarówno pod względem naukowym, jak społecznym i pośrednio religijnym. Napisana rzeczowo i gruntownie, oparta na bardzo rozległej literaturze, uwzględnia obecne stosunki i przejęta jest duchem szczerej życzliwości dla bliźnich i troski o dobro kraju. Suchą może miejscami teoretyczną część książki urozmaica autor dość licznemi przykładami i cytatami z literatury, a zresztą rzecz sama jest tak aktualną, że zająć musi każdego, ktokolwiek stoi na poziomie potrzeb współczesnych.

St. Podoleński

Otton Weininger: Płeć i charakter, Rozbiór zasadniczy. Przełożył Ostap Ortwin. Nakład. Księgarni Fiszera w Łodzi 1921. 8° str. 464.

Przyznajemy, że jest w tej książce sporo obserwacyj o kobiecie bardzo trafnych, obserwacyj o jej ujemnych stronach, bo dobrych, mo-

ralnych autor u niej wcale nie widzi, ale jest równocześnie takie brutalne odarcie kobiety z wszelkich idealnych wartości, że nie wiadomo czy sobie na to pozwoliło stare pogaństwo — chyba w najgorszych swoich fazach.

Autor uległ tej manji, która się datuje od Freuda, żeby wszystkie zjawiska u kobiety tłumaczyć płciowością. Posłuchajmy: »Kobieta jest niczem innem jak tylko płciowością, mężczyzna jest płciowy z pewną jeszcze ponad to nadwyżką«.... Całe istnienie kobiety »jest zawsze i nawskróś płciowe. Kobietę pochłania całkowicie życie płciowe, sfera zapłodnienia i rozmnażania wypełnia w zupełności jej jestestwo«.... »Z dzieciństwa wydobywa jej pamięć tylko momenty płciowe, jako pozytywnie wartościowe«. — Po różnych karkołomnych wywodach, w których jako gwiazda przyświeca Weiningerowi bezwzględna płciowość kobiety, dochodzi do takich wniosków: »W istocie, której tak, jak kobiecie, brak zjawiska logicznego i etycznego, niema żadnej podstawy do przyjęcia jaźni intelligibilnej, czyli duszy«. Tej bezdusznej kobiecie odmawia Weininger konsekwentnie zdolności sądu, woli, nieśmiertelności: »Trwodze przed śmiercią ulegają zarówno kobiety, jak i mężczyźni... ale kobiety nie odczuwają zgoła żadnej potrzeby nieśmiertelności, potrzeba nieśmiertelności jest wyłącznie właściwą mężczyznom«.... »Istota, która jest pozbawiona tak, jak prawdziwa kobieta czynności pojęciowych, musi być nieuchronnie pozbawiona czynności sądzenia. Twierdzenie takie uchodzić będzie za śmieszny paradoks, boć przecież kobiety dosyć g a d a j ą (co najmniej nikt się na brak w tym kierunku nie żalił), a wszelkie mówienie jest wyrazem sądów. Ale właśnie ostatnie mniemanie nie jest słuszne«.... »Kobieta nie dba zgoła o prawdę«... »Żadna kobieta nie posiada rzeczywistego zamiłowania wiedzy«... »Kłamliwość, organiczna kłamliwość,... znamionuje wszystkie wogóle kobiety. Jest to zupełnie błędne, że kobieta k ł a m i e. Znaczyłoby to, że one niekiedy mówią także prawdę. Jak gdyby s z c z e r o ś ć pro foro interno et externo, nie stanowiła właśnie cnoty, do której kobiety są absolutnie niezdolne, która dla nich jest zupełnie niemożliwa! Kobieta w życiu swojem n i e j e s t nigdy prawdomówną nawet i wtedy nie, kiedy tak jak histeryczka niewolniczo jest posłuszna heteronomicznemu wymogowi prawdy i w ten sposób z e w n ę t r z n i e przecież prawdę m ó w i«.... »Jeśli kobietom brak jaźni, to i woli posiadać nie mogą«.... Wobec powyższych twierdzeń, nie dziwne jest i to: »Mężczyzna nisko stojący stoi jeszcze n i e s k o ń c z e n i e wysoko gonad kobietą najwyżej stojącą, i to tak wysoko, że porównywanie wydaje się tu prawie że niedopuszczalnem«.... Nawet dla macierzyństwa nie jest Weininger łaskawy, chmura płciowości przesłania mu całą jego wielkość: »Ten pozór wielkiej obyczajności (jaka dzieli macierzyństwo od prostytucji) wynagradza mężczyzna kobiecie przez całkiem nieuzasadnione wywyższenie moralne i społeczne matki ponad prostytutkę«.... Prostytucja to nie upadek moralny, ale »zjawisko z konieczności głęboko uzasadnione we wrodzonej naturze danej istoty«.

Pomijamy cały szereg twierdzeń wręcz kłócących się z etyką

chrześcijańską. Przytoczyliśmy tych kilkanaście zdań na dowód, że jak pogaństwo strąciło kobietę w najgłębsze poniżenie, bo uczyniło z niej zwierzę-samicę, tak do tej samej konkluzji dochodzi nowoczesne pogaństwo, tylko że ją wypowiada jeszcze brutalniej i wzgardliwiej. Książka Weiningera to produkt oświeconego pogaństwa niemieckiego, któremu stała się zupełnie obcą moralność i kultura chrześcijańska. Wyższe pierwiastki w kobiecie, życie duchowne, rozwija w niej tylko religja Chrystusa, kultura pogańska stara czy nowa chce ją całą pogrążyć tylko w płciowości. Nie rozumiemy, poco przekładem takich książek zanieczyszczać polską kulturę chrześcijańską? I mamy za złe tym księgarniom, które taką ohydę cierpią w swoich witrynach.

J. A.

Z krwawych dni Złoczowa 1919 r. — Złoczów, 1921, str. 112.

W historji bratobójczej walki we Wschodniej Małopolsce z roku 1918—1919 Złoczów posiadać będzie osobną kartę, po Lwowie bodaj że najkrwawszą. W końcu marca 1919 padło kilkadziesiąt ofiar ukraińskich sądów doraźnych. Pomordowani byli przedtem katowani nieludzko, jak również ci, co zaznali ukraińskiego więzienia. Opis krwawych dni Złoczowa, oparty na dokumentach i zeznaniach wielu uwięzionych, ma służyć ubocznie jako odpowiedź na oskarżenia, któremi Ukraińcy obarczają polską »okupację«. A opis ten, choćby spuścić dużo z patosu autora (patosu zresztą zrozumiałego), oskarża ukraińskie władze o okrucieństwo, nieusprawiedliwione nawet żadną »koniecznością wojenną«. Broszurę wydał »Komitet ludowy pomnika-grobowca dla ofiar mordów ukraińskich«, czysty dochód przeznaczając na budowę pomnika.

J. U.

A. Palmieri: Rinascita letteraria e clero in Lituania. Firenze Libreria editrice fiorentina. 1920, str. 34.

Obcy więcej pono interesują się naszemi i bliskiemi dla nas sprawami, niż my sami. Świeżo wpadła nam włoska broszura, której tytuł podaliśmy. Interesującem jest, że to pierwsza broszura w szeregu innych zamierzonych (zapewne już częściowo wydanych), a omawiających stosunki narodowe, kościelne i polityczne na wschodzie Europy, a mianowicie w krajach nas otaczających, a po części i u nas. Tak np. zapowiedzianą jest broszura na temat: Polski katolicyzm w poznańskiem. — Broszura którą mamy pod ręką, informuje o odrodzeniu literatury litewskiej i o udziale księży w tem odrodzeniu. Autorem jest znany nam ks. Palmieri, który na kilka lat przed wojną studjował stosunki kościelne w Rosji i niedość objektywnie sądził o stanowisku Polaków wobec zagadnienia nawrócenia Rosji. Wobecnej broszurze unosi się nad literaturą litewską, co mu tem łatwiej przychodzi, że do poetów litewskich zalicza (str. 9) Mickiewicza. Zresztą przynosi dużo szczegółów z historji odrodzenia litewskiego piśmiennictwa, które może mniej Włochów a więcej nas mogłoby zainteresować.

J. U.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Marceli Handelsman: Historyka, Część I i Zasady metodologji historji, 8⁰ str. 256.

Stefan Pomarański: Pierwsza wojna polska (1918—1920). Zbiór wojennych komunikatów... opatrzony wstępem oraz indexem. Warszawa, Główna Księgarnia Wojskowa 1920, 8⁰ 355.

Alfred Feder S. J.: Lehrbuch der historischen Methodik, Regensburg, Jos. Kösel, 1921, 8⁰ str. 307.

St. Kalina: Rekolektantka, powieść spółczesna. Wilno 1915, 12⁰ str. 159.

Ks. biskup Józ. Seb. Pelczar: Jezus Chrystus w przenajśw. Sakramencie wzorem i mistrzem kapłana. Rozmyślania dla kapłanów. Wyd. 2, rozszerzone. Przemyśl. Nakład Autora, 1921. 8⁰ str. 250.

Korespondencja pomiędzy Kurją wileńską a uniwersytetem Stef. Batorego. Wilno 1921, druk L. Chomińskiego, 8⁰ str. 14.

Z wydawnictw Zygm. Pomarańskiego i Spki w Zamościu:

Marceli Handelsman: W piątym pułku legjonów. Dwa miesiące ofenzywy litewsko-białoruskiej. 12⁰ str. 96.

Dr. Franc. Bujak: Dziejowe znaczenie morza. 12⁰ str. 30.

Dr. Wład. Witwicki: Obraz pierwszej lekcji psychologji w klasie ósmej. 12⁰ str. 48.

Dr. Kaz. Sochaniewicz: Kult przeszłości w wychowaniu narodowem. 16⁰ str. 43.

Inż. Wład. Gostyński: Cud Wisły w świetle zasad strategji. 12⁰ str. 46.

Jul. Klaczko: Dante Alighieri. 8⁰ str. 63.

Dr. Tad. Zieliński: Chrześcijaństwo starożytne a filozofja rzymska. 16⁰ str. 32.

Inż. Wład. Jedliński: Modrzew polski, jego znaczenie ze stanowiska leśnego oraz analiza pnlowa. 8⁰ str. 56 tekstu, 15 rysunków.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła

Religijne posłannictwo Polski i warszawskie poczynania misyjne. — Stan katolicyzmu w Syberji wschodniej i pierwsza tam instytucja misyjna. —Kwestja dóbr kościelnych w komisji mięszanej.

W połowie ubiegłego miesiąca odbyło się w Warszawie bez rozgłosu parę zebrań, które jeśli Bóg pobłogosławi, zasłużą, by je wpisano na karty historji polskiego katolicyzmu. Na tych bowiem zebraniach powzięto postanowienia, których wykonanie uczyni z Polski — obok innych katolickich narodów — poważny czynnik w szerzeniu królestwa Chrystusowego i szczepieniu prawdziwej, myślą Bożą uduchowionej kultury w świecie.

Wiele przyczyn złożyło się — wśród nich brak w ciągu przeszło stulecia własnej osobowości politycznej — na upakarzający dla naszej katolickiej świadomości fakt. Kiedy inne odłamy rodziny katolickiej, nie tylko tak rzutkie, liczebne i zasobne, jak Francja, ale i tak stosunkowo słabe, dopiero się z niebytu dźwigające i organizujące, jak katolicy angielscy i holenderscy, słały w świat setki i tysiące najlepszych swych synów i córek na podbój Chrystusowi dalekich wysp i lądów, w ustach Polaka-katolika słowa Modlitwy Pańskiej: »Przyjdź królestwo Twoje«! brzmiały przeważnie jako nieokreślony ideał, który nie stawał się natchnieniem do żadnego zbiorowego czynu. Tylko w nielicznych jednostkach — na palcach można je policzyć — budziło się powołanie misyjne; tylko nikłemi strumykami sączyła się ofiarność Polski na cele misyjne, wpisywana na obcy, bo na zagranicznych towarzystw i organizacyj rachunek. Chyba, że wpiszemy na nasze niepodzielne konto tę cywilizacyjną a zarazem religijną misję, jaką nasz naród przymusowo spełniał na niezmierzonych przestrzeniach Rosji przez swych tułaczy i politycznych skazańców...

Lecz chyba nadszedł już czas, by katolicka Polska postawiła sobie pytanie: Czy mamy do spełnienia w świecie jakieś religijne posłannictwo? Podług powszechnego biologicznego prawa, żaden organizm, żadna jednostka nie istnieje wyłącznie dla siebie; każdemu organizmowi, każdemu osobnikowi zakreśla Twórczy Umysł jakiś cel zewnętrzny, jakąś rację bytu; nic nie istnieje ani nie żyje jedynie dlatego by istnieć i żyć, ale dlatego, by służyć jakiejś wyższej całości, jakiemuś ogólniejszemu dobru, aby urzeczywistnić jakąś myśl Bożą w świecie. Od tego prawa nie są wolne narody, tylko one, jako zbiorowości jednostek rozumnych i wolnych, powinny myśl Bożą, na sobie spoczywającą, sobie uświadomić i dobrowolnie ją, jako własne powołanie, podjąć. Było to jasne dla wszystkich naszych filozofów i wieszczów, jasnem to musi być dla każdego wierzącego Polaka.

Właśnie, kiedyśmy odzyskali własne narodowe oblicze, kiedyśmy się stali sami sobą, wielu wśród nas postawiło sobie owo pytanie. Odpowiedź na nie przyszła z łatwością. Nie zapoznając innych zadań, jakie narodowi polskiemu wskazywali wielcy jego przewodnicy duchowi, trzeba stwierdzić, że jednem z zadań najistotniejszych, przez Opatrzność mu powierzonych, jest nieść prawdziwą chrześcijańską kulturę, na katolickiej wierze opartą, na sąsiadujący z nami wschód. Że to zrozumienie naszego posłannictwa jest już dość powszechne w polskiem społeczeństwie, świadczy choćby sympatyczny oddźwięk, jaki wywołał referat niżej podpisanego na ten temat na katolickim zjeździe w Warszawie we wrześniu ubiegłego roku. Nie co innego też ze świadomości narodowej wydobył i w urzędowem przemówieniu jako posłannictwo Polski odwieczne stwierdził Naczelnik państwa przy przyjęciu przedstawiciela Stolicy Świętej, Mgra Lauri.

Myśl się obudziła, teraz kolej na jej realizację. W związku z tą myślą odbyły się warszawskie ostatnie zebrania. 13 grudnia utworzony został, pod kierownictwem ks. biskupa Szelążka, Sekretarjat misyjny. W zasadzie postanowiony przez konferencję polskich biskupów jeszcze w r. 1920, Sekretarjat ten powstaje, jako komisja, wyłoniona przez Episkopat do czuwania nad wszelkiemi poczynaniami w zakresie organizowania czy wspierania misyj katolickich, do uzgadniania rozbieżności, jakie mogłyby powstać między różnemi poczynaniami i kierującemi niemi organizacjami. Składając się z niewielkiej liczby członków (narazie dziewięciu), Sekretarjat misyjny stanowi jakby rodzaj centrali, w którem zbiega się wszystko i utrzymuje się ewidencja wszystkiego co się czyni w Polsce dla misyj, niezależnie od terytorjów, dla których

przeznacza się pomoc misyjna w ludziach czy środkach materjalnych. Jako organ ściśle kościelny, Sekretarjat zależy jedynie od Episkopatu i przed nim jedynie jest odpowiedzialny.

Tak ukonstytuowany Sekretarjat przystąpił odrazu do działania. W dwa dni, 15 grudnia, z jego inicjatywy odbyło się zebranie delegatów z kilku diecezyj, w celu spopularyzowania Związku misyjnego kleru. Organizacja ta, od kilku lat istniejąca w wielu krajach i przez Stolicę Apostolską wielokrotnie zalecona, wprowadzoną już została w dwóch diecezjach polskich: warszawskiej i przemyskiej. Chodzi teraz o upowszechnienie jej w całej Polsce. Kapłani przystępujący do Związku, zobowiązują się do popierania w swoich parafjach wszelkich dzieł i instytucyj, mających zadania misyjne; mają więc budzić wśród wiernych ideę misyjną, wzywać ich do modlitw o szerzenie się królestwa Bożego, zachęcać do pieniężnych ofiar na cele misyjne, opiekować się działalnością założonych w tym celu stowarzyszeń. Nie mogąc pracować i walczyć — że tak powiemy — na misyjnym froncie, członkowie Związku stanowią podstawę operacyjną wgłębi katolickich krajów dla wszelkich misyjnych poczynań. Delegaci diecezjalni zaznajomili się ze statutem Związku, pochwalonym przez Stolicę Apostolską[1]), i postanowili przyjąć za organ Związku, przynajmniej na razie, wydawane w Krakowie Misje Katolickie. W diecezjach swoich mają zająć się pozyskaniem dla Związku jaknajliczniejszych rzesz kapłanów.

W dniu pośrednim między powołaniem do życia Sekretarjatu misyjnego i zebraniem w sprawie Związku misyjnego kleru, 14 grudnia, odbyło się zebranie w celu założenia Towarzystwa misyjnego. Na zaproszenie J. E. Ks. arcybiskupa mohilewskiego Roppa, przybyło 8 księży biskupów, wielu kapłanów i świeckich, tak że sala Katolickiego Związku Polek wypełniła się po brzegi doborową publicznością z Warszawy i z prowincji. Przewodnictwo objął J. E. kardynał-prymas Dalbor, który w zagajeniu podkreślił ważność zebrania i obowiązek Polski przyłączenia się do akcji misyjnej w świecie. Ks. arcybiskup Ropp wskazywał na potrzeby swojej archidiecezji i na niezmierzone przestrzenie rosyjskiego wschodu, czekające na siewców katolickiej prawdy. Po krótkiej wymianie myśli odczytano zarys statutu Towarzystwa. Na życzenie Kardynała-Prymasa zakreślono Towarzystwu cele nieco szersze, niż projektowali inicjatorzy zebrania. Mianowicie, Towarzystwo

[1]) Statut Związku podaje broszura p. t. „Związek misyjny kleru", którą dostać można u skarbnika Sekretarjatu misyjnego, ks. prałata J. Tarnowskiego, Warszawa, Kościół św. Trójcy na Solcu.

ma powstać jako r e a l i z a c j a o b o w i ą z k u n a r o d u p o l s k i e g o p o p i e r a n i a m i s y j k a t o l i c k i c h z e s z c z e g ó l n e m u w z g l ę d n i e n i e m k r a j ó w s ł o w i a ń s k i c h. Oparte na szerokich podstawach, bo dzięki minimalnej rocznej wkładce może pociągnąć masy wierzącego ludu, Towarzystwo postawi sobie za konkretny cel wspieranie ubogich kościołów, placówek misyjnych, popieranie literatury katolickiej w krajach działalnością misyj objętych, opiekowanie się szkołami, kształcącemi misyjny kler. Towarzystwo nie wyklucza popierania pracy misyjnej w najdalszych nawet zamorskich krajach; zapewne pospieszy z pomocą jedynej misji w Afryce, w Rodezji, powierzonej polskim kapłanom, z natury wszakże rzeczy i ze zrozumienia powołania Polski wynika, że główną swą uwagę skieruje na wschód. Umocnienie katolickiej wiary na naszych kresach, spieszenie z pomocą kościołom polskim, pozostałym po drugiej stronie granicy w Rydze nakreślonej — oto najbliższe zadania, jakie zjawiają się przed nowem Towarzystwem, zanim się ono rozrośnie, okrzepnie, by móc przystąpić do urzeczywistnienia dziejowego posłannictwa narodu — katolicyzacji Rosji.

Oto, co postanowiono dokonać w najbliższej przyszłości w Polsce, uświadamiającej sobie coraz wyraźniej pełnię idei swego katolickiego imienia.

Idea misyjna, zwłaszcza tak, jak ją określiliśmy, pojęta, znajduje w Polsce coraz większe zrozumienie i zyska zapewne szerokie poparcie. Należy atoli przygotować się również na sprzeciwy i na trudności. Już niejednokrotnie odzywały się głosy, szczęściem odosobnione, przeciwko budzeniu idei misyjnej w Polsce. Jeśli chodzi o udział w misjach w dalekich zamorskich krajach, słyszy się wtedy: »poco trwonić siły dla dalekich obcych nam celów, skoro Afrykę posiadamy tu blizko, pod bokiem«. Jeśli znowu podejmie się myśl pracy misyjnej w tej bliższej »Afryce«, słyszy się co innego: »to polityka i polityka dla narodu szkodliwa!« Gdy się dowiadujemy, że jakieś zagraniczne czynniki gotują się do pracy misyjnej w Rosji, ten i ów upatruje w tem antypolską intrygę i woła; »gdzież jest polski Kościół, że pozwala obcym zagarniać sferę należnych sobie wpływów?« — kiedy zaś rodzi się w łonie polskiego Kościoła jakaś w tym kierunku inicjatywa, znowu ktoś podniesie alarm: »ci panowie chcą wprząc Polskę do rydwanu watykańskiej polityki!« I tak źle i tak niedobrze. Wśród tak sprzecznych zarzutów i wyrzutów polskiemu katolicyzmowi pozostaje tylko jedno: iść własną drogą, wskazaną mu przez sumienie katolickie.

Sprzeciwy słyszy się z dwóch przeciwnych stron. Skrajny nacjo-

nalizm w pracy nad podnoszeniem innych narodowości na wyższy szczebel kultury dopatrywać się zwykł względnego osłabienia własnego narodu; szczególnie kiedy chodzi o wschód, wielu obawia się jeszcze, byśmy zapędami propagandy katolickiej nie utrudnili sobie dobrych sąsiedzkich stosunków z przyszłą, może carską, Rosją, naturalną opiekunką schizmy kościelnej; z lewicy znowu alarmuje się opinję publiczną już choćby dlatego, że chodzi tu o wybitny objaw religijnego życia, z zasady zaś wszystko się w tym obozie zwalcza, co jest prawdziwie katolickie, a więc ideę pracy misyjnej piętnuje się jako rewiwiscencję średniowiecznego fanatyzmu, — deklamują tak ci, co Polskę pragnęliby otworzyć na oścież dla propagandy przeróżnego sekciarstwa. Wobec tych rozbieżnych głosów należy tembardziej starać się o urabianie katolickich zapatrywań, pielęgnowanie katolickich ideałów w narodzie. W tym celu trzeba, by katolicka prasa wzięła także za zadanie swe oświetlanie dziejowego posłannictwa Polski i odpieranie podnoszonych przeciw temu posłannictwu zarzutów. Zwłaszcza nigdy nie dość będzie podkreślać, że krzewienie i popieranie przez nas katolicyzmu na bliższym i dalszym wschodzie, krzewienie i popieranie nie środkami gwałtu ani z pomocą aparatu państwowego, ale powolną pokojową drogą perswazji i dobroczynnej akcji, nie ma nic wspólnego z tem, co pospolicie nazywa się »polityką«; trzeba wykazywać, że poza ideą misyjną nie stoi żadna zaborczość nacjonalistyczna, choć nie da się zaprzeczyć, że ubocznie leży to w interesie naszego narodu umocnić te kulturalne placówki, kościoły i szkoły katolickie, jakie stworzyła na Wschodzie polska ręka; trzeba, aby powszechnie zrozumiano, że czynienie z Polski katolickiej »narzędzia Watykanu« nie ubliża wcale Polsce, jeśli ten »Watykan« jest ogniskiem religijnej prawdy i tak dobroczynnym opiekunem prawdziwej chrześcijańskiej cywilizacji, jak to mu przyznają poważni choć obcy mu myśliciele i historycy. Urabianie w tym kierunku opinji katolickiej w kraju przez prasę będzie też jednem z najpilniejszych zadań zawiązującego się Towarzystwa misyjnego. Niech mu Bóg błogosławi!

Kiedy my, wśród złośliwych podejrzeń i zarzutów, poczynamy budzić się do zrozumienia naszego obowiązku względem Kościoła powszechnego, inni nas już uprzedzają i próbują tworzyć nowe placówki na przygotowanym dla polskich misjonarzy terenie. Nie zazdrościmy im tego; owszem wdzięczność żywimy dla nich, że torują nam drogę, tembardziej, jeśli właśnie do nas się o pomoc zwracają jako do tych,

na których z natury rzeczy czekają te placówki. Ponieważ rządy bolszewickie utrudniły władzy duchownej w Petersburgu, do której to dotychczas należało, stosunki z dalekiemi placówkami katolickiemi na Syberji, przeto Stolica Apostolska już przed dwoma laty poleciła delegatowi swemu w Chinach, Mgr de Guébriant'owi, odbyć wizytę apostolską syberyjskich parafij katolickich. O wizycie tej, która odbyła się latem 1920 roku, dwutygodnik paryski Les Nouvelles religieuses (1 i 15 listopada i 1 grudnia 1921), na podstawie listów Mgra de Guébrianta, przynosi bardzo ciekawe wiadomości. Wizytator apostolski w towarzystwie polskiego kapłana, ks. Ostrowskiego z Charbinoa zwiedził tylko tę część Syberji, która jużto ulega politycznym wpływom Japonji, już stanowi tak zwaną »Sowiecką republikę Dalekiego Wschodu.« Władze D. W. R. (Dalnie-wostocznaja republika), usiłujące nawiązać z sąsiadami stosunki ekonomiczne, nie czyniły też przedstawicielowi papieskiemu zasadniczych trudności co do przyjazdu na swoje terytorjum, owszem opatrzyły go w potrzebne dokumenty i nie przeszkadzały w spełnianiu jego zadania. Jakiś dygnitarz sowiecki poddawał nawet wizytatorowi myśl zorganizowania jakiejś akcji humanitarnej pod katolicką firmą z miejscowych katolików, dla których wyrażał uznanie. Widać, wśród mniej zażydzonego bolszewizmu Wschodniej Syberji nie w całości przyjęły się fanatyczne metody moskiewskich Radków i Bronsteinów.

Mgr de Guébriant znalazł na wschód od Bajkału sześć placówek katolickich, tak zwanych »parafij«, mianowicie we Władywostoku, Nikolsku Ussuryjskim, Chabarowsku, Błagowieszczeńsku, Czycie (stolica D. W. R.) i Wierchnieudińsku. Każda z tych parafij posiada kościół i jednego kapłana; liczba katolików wskutek repatrjacji do Polski, już w czasie wizyty znacznie się zmniejszyła, tak że w całej Wschodniej Syberji obliczał ją wizytator apostolski w przybliżeniu na 10 tysięcy, przeważnie polskiej narodowości. Kapłani są to również Polacy. Do tych cyfr dodać można jeszcze parafję charbińską, znajdującą się już poza terytorjum syberyjskiem. Obejmuje ona całą północną Mandżurję, właściwie przechodzącą przez nią linję kolei niegdyś rosyjskiej, przy której służy wielu katolików. Parafja ta, licząca około 5000 wiernych, zależy dotąd kanonicznie od metropolji mohilewskiej, z którą wszakże od lat kilku utrudnione są jakiekolwiek stosunki.

Do Syberji środkowej i zachodniej, gdzie są liczniejsze katolickie osady, Mgr de Guébriant nie próbował dotrzeć. Wyrobienie paszportów do tej części Syberji, stanowiącej już inną sowiecką republikę, zajęłoby

zbyt wiele czasu, a przytem podróż mogłaby być bardziej ryzykowna dla przedstawiciela Ojca św., niż w Syberji wschodniej.

Relacje Mgr de Guébrianta, bawiącego obecnie w Paryżu — jest on przełożonym generalnym Kapłanów des Missions étrangères — oddają zasłużone pochwały polskim kapłanom, pracującym na dalekim Wschodzie. Żaden z nich nie opuścił swej placówki, podczas gdy olbrzymia część duchowieństwa prawosławnego poukrywała się przed prześladowaniem bolszewickiem lub sekularyzowała się, by zdobyć jakieś środki egzystencji. W kraju tym, gdzie oprócz prawosławnych znajdują się setki tysięcy ludności pogańskiej, tak napływowej (Chińczycy, Japończycy, Korejczycy), jak i tubylczej (Tunguzi, Burjaci, Gilaki, Kamczadały i. t. d.), przed katolicyzmem otwierają się olbrzymie zadania misyjne, rokujące o tyle piękniejsze nadzieje, że nigdzie wśród dominującej ludności prawosławnej nie napotyka się nienawiści do katolicyzmu. Przy tej sposobności odpiera wizytator apostolski twierdzenia tych, którzy sądzą, że polscy kapłani nie nadają się do tej pracy. Owszem w nich właśnie i w klerze, który da się wytworzyć z miejscowego żywiołu, narazie również przeważnie z młodzieży polskiej, widzi najodpowiedniejszych pracowników dla tej cząstki niwy Chrystusowej. Do Polski i Litwy zwraca się też przedewszystkiem o posiłki misjonarskie.

Zanim zaś te nadejdą, już rozpoczęto organizować tamtejszy katolicyzm na modłę więcej misyjną. Dzięki hojności francuskiego Stowarzyszenia Rozkrzewiania wiary, które na ten cel wyznaczyło 50 tysięcy franków, ukończono niedawno we Władywostoku budowę nowej katolickiej świątyni, rozpoczętą przed kilkunastu laty. 1 października 1921 odbyło się, jak donosi do Paryża ks. proboszcz Śliwowski, poświęcenie nowego kościoła. Najśw. Sakrament przeniesiono z kościółka dawnego w procesji, której towarzyszył kilkutysięczny tłum, w połowie złożony z prawosławnego ludu, odnoszącego się z sympatją do wiary katolickiej. Kazanie zostało wygłoszone w trzech językach: polskim, litewskim i rosyjskim. Drugi pocieszający fakt to otwarcie w tymże Władywostoku, z inicjatywy wizytatora apostolskiego, małego seminarjum, mającego stać się podwaliną wychowania miejscowego kleru. Otrzymało ono dotychczasowy drewniany kościółek i mogło rozpocząć swój kurs 25 października. Pierwszym przełożonym został franciszkanin, O. Maurus Kluge, umiejący po polsku, odstąpiony dla misji syberyjskiej przez Mgra Fiorentini, wikarjusza apostolskiego w Chansi w Chinach. Wychowanków przyjęto narazie dziesięciu; więcej nie można ich było przyjąć, choć się zgłaszali kandydaci, z powodu braku materjalnych środków.

Tym sposobem rozpoczyna się praca misyjna na przestrzeniach dawnego caratu; rozpoczyna się z drugiego najdalszego końca. Polskiej w tem zasługi tyle, że polscy tułacze i polscy kapłani stworzyli tam te punkty, o które może się dziś oprzeć dalsza apostolska praca. Większą zasługę zdobędziemy sobie, jeśli wyślemy na to pole pracy — skoro tylko okaże się możność — nowych apostołów, a tymczasem jeśli wspierać będziemy słabe lecz zbożne poczynania innych ofiarą z grosza naszego i modlitwy.

W kilka miesięcy po ukonstytuowaniu się, komisja, powołana przez Stolicę Apostolską do traktowania z rządem polskim w sprawie mającego być dokonanem wywłaszczenia dóbr kościelnych, zeszła się 17 grudnia poraz pierwszy z przedstawicielami rządu w osobie kilku ministrów z prezydentem Ponikowskim na czele. Obie strony, rząd i przedstawiciele Kościoła, przedstawili swoje propozycje, jako podkład do dalszej wymiany myśli. Propozycję rządu, ujętą w cztery punkta, referował prezes Urzędu ziemskiego Kiernik; kościelną, nieco dłuższą, przedłożył kardynał prymas Dalbor.

Między obiema propozycjami ujawniły się daleko idące różnice. Podczas, gdy propozycja kościelna oparta została na prawie kanonicznem i brzmieniu świeżo uchwalonej konstytucji Rzeczypospolitej i Ustawy o wykonaniu reformy rolnej, to propozycja rządu, czy ściślej mówiąc p. Kiernika, gwałci pod wielu względami i jedno i drugie prawo, państwowe zarówno jak kościelne. I tak wbrew uchwale sejmowej, rząd chciałby pertraktacje ze Stolicą Apostolską ograniczyć jedynie do kwestji przejęcia tylko tych dóbr, jakie faktycznie w obecnej chwili Kościół posiada, odsyłając sprawę dóbr, dawnej przez rządy zaborcze Kościołowi odjętych, do jednostronnego załatwienia przez ustawę sejmową. Rząd dąży tym sposobem do zrzucenia ze siebie obowiązku uposażenia duchowieństwa nie tylko w tem znaczeniu, że odmawia uzupełnienia tego uposażenia z funduszów skarbowych do normy, jaką należałoby określić, ale i w znaczeniu restytucji kościelnego mienia, jakie różnemi czasy wsiąkło w masę majątku państwowego, a częściowo nawet jeszcze w naturze znajduje się w posiadaniu państwa. Łatwo zauważyć, że jest to tendencja do obdarcia Kościoła z prawa własności, jakie mu solennie zapewnia konstytucja marcowa.

Oczywiście komisja kościelna na takie rozwiązanie sprawy zgodzić się nie mogła, a może sobie przypisać tę zasługę, że broniąc praw Kościoła, broni jednocześnie honoru Rzeczypospolitej i zasadniczej jej

ustawy. P. Kiernik na zakończenie dyskusji podobno rzucił groźbę, że jeśli komisja kościelna będzie obstawała przy iunctim między sprawą wywłaszczenia Kościoła a sprawą uposażenia duchowieństwa i tym sposobem przeszkodzi porozumieniu się ze Stolicą Apostolską, to państwu nie pozostanie nic innego, jak zastosować do dóbr kościelnych ogólne zasady; stosowane do wszystkich innych dóbr, przy wykonaniu ustawy agrarnej. Zdaje się ku większemu pożytkowi obojej strony posłużyłoby obranie przez rząd innej drogi — porzucenie szczególnej animozji do dóbr »martwej ręki«, ścisłe zastosowanie się do ducha konstytucji polskiej, gwarantującej Kościołowi, narówni z innemi wyznaniami, prawo do posiadania środków materjalnej swej egzystencji raz prawnie nabytych i życzliwsze traktowanie osób i instytucyj kościelnych, które — tak jak obecnie się zanosi — miałyby być zepchnięte do kategorji parjasów społecznych. Wyrażamy nadzieję, że ta życzliwość, połączona ze ścisłą lojalnością wobec prawa, odezwie się u przedstawicieli rządu do następnej wspólnej konferencji w tej sprawie, która ma się odbyć podobno w połowie stycznia.

Ks. J. Urban.

Kobiety w hierarchji kościoła anglikańskiego.

Kościół anglikański otworzył w ubiegłym roku kobiecie dostęp do święceń diakonatu. Interesującym jest przebieg tej sprawy, tak charakterystycznej dla dążeń ruchu feministycznego w Anglji, a zarazem będącej znamiennym objawem słabości kościoła anglikańskiego i jego rządzących organów. Podajemy go na podstawie artykułu, zamieszczonego przez Józ. Huby w Correspondant b. r.

»Wyraz: sufrażystki — pisze on we wstępie — wywołuje na ustach Francuza uśmiech lekkiej ironji... w Anglji jednak bierze się je więcej na serjo, ponieważ to są kobiety... albo stare panny, straszne, bardzo żywe, wielce niespokojne, nigdy niezadowolone. Żądają one zrównania z mężczyzną na wszystkich polach. Jak długo nie osiągną tego ideału, a może nawet po zrealizowaniu go, będą zawsze zmuszały do zajmowania się sobą.«

Osiągnąwszy po wojnie parę znacznych korzyści na polu politycznem, przy zdobywaniu których działały »z energją nieznużoną, a najbardziej egzaltowane nawet z furją, posuniętą aż do rzucania bomb i wzniecania pożarów«, rozbiły one wcześniej jeszcze drugi obóz do walki na arenie kościelnej.

W marcu 1914 r. rozesłały cyrkularz w kwestji dopuszczenia kobiet do urzędu kapłańskiego w kościele anglikańskim, a odpowiedzi

nadesłane brzmiały w większości przychylnie. W rok później, 10 marca 1915 r., Miss Maud Royden, która była duszą całego ruchu, poruszyła tę sprawę przed Ligą narodową sufrażystek, poczem zorganizowano akcję prasową i rozrzucono mnóstwo manifestów dla celów propagandy. W jednym z nich czytamy:

»Naszem zdaniem kapłaństwo jest funkcją ludzkości, a nie udziałem jednej tylko płci; ponieważ więc kobiety są ludźmi, byłoby nierozumnem odmawiać im przystępu do kapłaństwa dlatego jedynie, ponieważ są kobietami. O ile wiem, istnieje przynajmniej jedna kobieta, która czuje w sobie powołanie i ta kobieta byłaby, jak można przypuszczać, idealnym kapłanem. Ciężar zwyczaju przytłumia ducha Bożego, szkoda zaś, jaka stąd wynika dla kościoła, jest, zdaje się — opłakaną«.

Pretensje te wywołały nawet u poważnych Anglików pewną dozę humoru. Tak np. Yorkshire Post pisała: »Scena rozgrywa się na kolei. Dysputowano o kwestji, będącej właśnie na porządku dziennym: czy kobiety będą mówiły kazania? Jakiś mężczyzna żonaty, który siedzi w kącie przedziału, odpowiada: przecież one nic więcej nie robią. I dysputa się urywa.« Naogół prasa okazała jednak żywe zainteresowanie, podtrzymywane zresztą ciągle przez kobiety, z których roztropniejsze podawały zarazem w swych organach taktykę, jaką należy zdążać do celu. »Chciałabym widzieć — pisze jedna z nich — ową chwilę, w której kobiety będą kapłanami i biskupami, lecz sądzę, że pierwszą rzeczą, którą trzeba zdobyć, jest diakonat... Zamiast żądać odrazu mitry — co wydawałoby się zresztą przesadnem i wywołało wspólny opór, naprzód ze strony biskupów — starajmy się przedewszystkiem, aby kobiety mogły otrzymać diakonat, jako święcenie wyższe; gdy raz osiągniemy ten pierwszy stopień, to wcześniej czy później i reszta za nim pójdzie«.

Konkretna sposobność do uczynienia tego kroku nadarzyła się w r. 1916. Kościół anglikański przygotował na koniec tego roku ogólną »misję narodową pokuty i nadziei«; do zorganizowania jej potrzebował pomocy kobiet i otrzymał ją, ale kosztem rezolucji, uchwalonej przez komitet misji, która proklamowała zgodność tendencyj i ideałów feministycznych »z nauką Chrystusa i Jego kościoła, dotyczącą równości mężczyzny i kobiety w oczach Boga, równości przywilejów, równości powołania, równości w służbie Bożej«. Te ostatnie słowa zapowiadały wiele.

Niezadowolone samą tą deklaracją, zażądały sufrażystki nietylko przyjęcia do komitetów, organizujących misję, ale także pozwolenia na głoszenie kazań »bądź w kościele, bądź gdzieindziej«, tak samo jak księża. Owo »gdzieindziej« nie napotkałoby na poważniejsze trudności, ale pierwsza część wywołała żywą polemikę, w której wystąpił na jaw brak jednolitości poglądów wśród episkopatu anglikańskiego. Podczas gdy biskup Oxfordu odrzucił żądania sufrażystek jako »absolutnie przeciwne tradycji«, to arcybiskup z York i biskup z Salisbury stanęli po jego stronie, to arcybiskup z Canterbury, oportunista wogóle, zostawił

swobodę postępowania, biskup Londynu oświadczył, że jest za tem, aby pozwolić kobietom przemawiać nie z kazalnicy lecz od balasek, a wreszcie biskup z Birmingham zupełnie się zgodził na udzielenie kobietom władzy mówienia kazań.

Wobec tego rozdwojenia kwestja pozostała w zawieszeniu i jakkolwiek podczas owej »misji«, w październiku 1916 r., kobiety mogły przemawiać tylko w salach, czuły jednak dobrze, że sprawa ich jest na niezłej drodze i dlatego pracowały z zapałem. Roznosiły zaproszenia, chodziły po domach i rozwijały propagandę ożywioną za udziałem w misji, przystroiwszy się dla nadania większej mocy swej akcji w specjalne kostjumy, niebieskie płaszcze z wielkim białym krzyżem na piersiach. Niektóre z »misjonarek« dostały się nawet na listę kaznodziejek, w Londynie np. w liczbie około 70.

Misja nie powiodła się jednak, postanowiono więc wglądnąć w przyczyny i rozpisano ankietę. Wynikiem ankiety było orzeczenie, że sposób pouczania wiernych w kościele anglikańskim jest niedostateczny, kler wykazuje brak przygotowania i gorliwości, kazania jego są bezbarwne i niezajmujące. Ażeby je ożywić, uznano za korzystne wciągnąć do pomocy świeckich, nie tylko jako konferencjonistów w ciągu tygodnia, ale także do głoszenia kazań w niedziele. Co do mężczyzn nie było trudności, co do kobiet czternastu członków komitetu oświadczyło się za ich udziałem czynnym, pięciu przeciw a dwóch wstrzymało się od głosowania.

Więcej nie było potrzeba. Chociaż uchwała komitetu nie miała jeszcze znaczenia prawnego, ujrzano już w jedną z następnych niedziel Miss Maud Royden, przemawiającą w niedzielę w kościele londyńskim pomimo zakazu biskupa, a w czerwcu 1919 r. Miss Edith Picton-Turberville, przyodziana w sutannę i komżę, czytała podczas nabożeństwa Pismo św. i miała kazanie, za pozwoleniem biskupa z Lincoln.

Rok 1920 uwieńczył wreszcie triumfem starania sufrażystek — episkopat anglikański udzielił oficjalnie kobietom władzy mówienia kazań w kościołach i dopuścił je do pierwszego z wyższych święceń, diakonatu. Na wielkiej »konferencji« 252 biskupów anglikańskich z całego świata, która rozpoczęła się 5 lipca i trwała przez pięć tygodni, rozpatrywano także kwestję udziału kobiet w kapłaństwie i zaaprobowano urząd diakonisek. Według rezolucji uchwalonej tamże, mają one stanowić część kleru, otrzymać rzeczywiste święcenia i wraz z niemi władzę spełniania pewnych funkcyj kościelnych. »Encyklika« zbiorowa biskupów oświadcza, że »kościół (anglik.) musi się przyznać otwarcie, że nie doceniał i lekceważył sobie dary, jakie posiada kobieta i nie używał ich dotychczas z należną wdzięcznością«, a tymczasem »Bóg udzielił niektórym kobietom szczególnego daru głębokiej znajomości rzeczy duchownych i zdolności nauczania natchnionego«; należy więc dopuścić je do funkcyj kościelnych, aby wyzyskać te właściwości, wesprzeć z ich

pomocą duchowieństwo, a cały kościół »wzbogacić ich darami duchownemi.«

Diakonat kobiet uznano za urząd pomocniczy w sprawach doczesnych i duchownych, zwłaszcza dla płci niewieściej i powierzono im przygotowywanie do chrztu i bierzmowania, asystowanie celebransowi przy udzielaniu chrztu, a w razie potrzeby udzielanie go na mocy urzędu, wspieranie modlitwą i radą kobiet, które tego potrzebują, odmawianie za zgodą biskupa i proboszcza publicznie w kościele modlitw rannych i wieczornych, z wyjątkiem tych, które są zastrzeżone kapłanowi, oraz pouczanie i przemawianie do wiernych w kościele. Do celibatu nie zobowiązano ich wcale, zamężna diakoniska zatrzymuje »charakter« i może, o ile jej warunki na to pozwalają, spełniać dalej swe funkcje kościelne. Święceń udziela się dopiero po odpowiedniem przygotowaniu intelektualnem i duchownem, oraz po zdaniu egzaminu i drażliwą kwestję wieku zostawiono do uznania biskupa.

Jedno wszakże zastrzeżono, że święcenie diakonatu jest »jednym jedynym« stopniem, jaki kobieta może otrzymać, więcej zatem niech się nie spodziewa. Lecz zdaje się, że sufrażystki, które diakonat uważały tylko za pierwszy krok na drodze karjery duchownej, nie wezmą tej groźby bardzo do serca i poruszą wszystkie sprężyny, aby osiągnąć i resztę.

Zresztą jakiem prawem zrobiono im to zastrzeżenie? Pismo św., zwłaszcza listy św. Pawła, nie tylko nie wspomina o diakoniskach, któreby miały rzeczywiste święcenia, ale wyraźnie usuwa kobietę od urzędów ściśle kościelnych, na co zgadzają się wybitniejsi egzegeci anglikańscy. Cała racja, na której oparła się komisja, wydając wyrok przychylny dla sufrażystek, była w tem, że owe przepisy były dobre za czasów św. Pawła, ale dziś warunki się zmieniły, a więc i reguła musi się zmienić. Lecz jeśli tak zaczniemy rozumować, to udowodnimy więcej i dzięki »zmianie warunków« kobieta będzie mogła z równem prawem pretendować do kapłaństwa i biskupstwa. Kościół anglikański dał tylko jeden więcej dowód, że samo Pismo św. nie wystarczy, że konieczną jest Tradycja, koniecznem nieomylne magisterjum; nie mając go, dał tylko światu, jak powiada J. Huby, »smutne widowisko, które przypomina nam słowa Ewangelji: ślepi są i wodzowie ślepych«.

S. P.

Rozmaitości.

Walka kulturna w Austrji. — Kiedy socjaliści głoszą, że »religja jest rzeczą prywatną«, mówią bez wątpienia szczerze, tylko że ogół słuchaczów zapomina, że nie każdą własność »prywatną« socjalizm uznaje. Dobitnem tego świadectwem z ostatnich czasów są stosunki w Austrji, gdzie walka z Kościołem rozgorzała na dobre, doprowadza-

Pamięci Benedykta XV.

W chwili gdy kończył się skład niniejszego zeszytu, rozniosły telegramy wieść żałobną, zrazu wątpliwą, wnet potem napewno stwierdzoną, że Ojciec święty, Benedykt XV, przeniósł się do lepszego żywota.

Nie będziemy kusić się o to, by na kilku stronicach nakreślić całkowity obraz życia i działalności zmarłego Ojca chrześcijaństwa. Następcy św. Piotra mają to do siebie, że tak, jak wysokie szczyty górskie, zdaleka tylko dadzą się ocenić we właściwych rozmiarach. Jeżeli jednak dokładny pogląd na osobę i dzieła Benedykta XV pozostawić należy historji, nie możemy już dzisiaj nie złożyć głębokiego hołdu u trumny wielkiego papieża, który w czasach bezprzykładnie trudnych tak wiernie i tak mężnie dźwigał brzemię najwyższej w chrześcijaństwie godności.

Kardynał Jakób della Chiesa obejmował tron Piotrowy w takiej chwili, w której tiara papieska nie mogła nie być koroną cierniową. Jak gdyby widmo Malachjaszowej przepowiedni miało było stać się złowrogą rzeczywistością, tak rozpętała się nad światem straszna burza zniszczenia i ruiny. Pożar, którego łuny świeciły krwawo nád wrześniowem w r. 1914 konklawe, przybrał wnet rozmiary niepamiętnej klęski. Nagromadzone od wieku międzynarodowe zawikłania i spory oddano nagle pod sąd ognia i żelaza; wśród państw i ludów wykopała nienawiść głębokie przepaści, w których miały utonąć miljony ludzkich istnień.

I jak wobec tego podjąć rolę ojca i pasterza rozdartej światową wojną ludzkości? Jak znaleźć drogę do serc i umysłów poprzez nierozwikłane ciernie zagadnień, objektywnie bardzo trudnych, a subjektywnie nad wszelkie pojęcie drażliwych?

Benedykt XV pamiętał dobrze, że od pierwszego ze swych uczniów, któremu urząd papieski powierzył, żądał Zbawiciel przedewszystkiem miłości, gotowej na krzyżową ofiarę. Pamiętał o tem i przyjął pokornie na ramiona nadludzki, rzec można, ciężar. Cechą całego jego pontyfi-

katu było to, co wybiło swe piętno nawet na zewnętrznych rysach jego twarzy, dobroć i miłość, skojarzona z cierpieniem.

Od pierwszej chwili wstąpienia jego na stolicę Księcia apostołów zaczęły płynąć na świat z Watykanu słowa miłości i pojednania. Czy to w odezwach do rządów i ludów, czy w konsystorjalnych allokucjach, czy w listach do biskupów, czy w dyplomatycznych dokumentach, nie pomijał Benedykt XV żadnej sposobności, by nawoływać do zgody i zaprzestania bratobójczej walki. Obok gorących próśb i zaklęć nie wahał się wskazywać światu głębokich przyczyn straszliwej katastrofy oraz środków do położenia jej końca. A wśród tych środków wybijała się na pierwsze miejsce sprawiedliwość. Nigdy przedtem tak jasno i tak stanowczo nie padły ze stolicy Piotrowej słowa stwierdzające prawo narodów do stanowienia o swym losie; nigdy jeszcze przedtem nie doczekała się tak bezwzględnego potępienia materjalna przemoc, gwałcąca prawa ludów. A że pomiędzy temi ludami, za któremi ujmował się tak doniośle wspólny Ojciec całego chrześcijaństwa, jedno z pierwszych miejsc zajmowała nasza Polska, to na zawsze powinno nam być tytułem do wielkiej i niewygasłej wdzięczności.

Niestety jednak wszystkie te głosy albo ginęły w zgiełku wojennym, albo opacznie tłumaczone, wywoływały u stron walczących gorzkie skargi i bolesne przeciw Ojcu świętemu zarzuty. Daremnie zaręczał papież, że będąc ojcem wszystkich, wszystkim zarówno dobrze życzy i nie zna innych granic miłości, niż sprawiedliwość: zranione serca i rozjątrzone umysły dopatrywały się w najlepszych jego zamiarach bądź to stronniczości, bądź też ukrytych politycznych kombinacyj. Bywały chwile w tych ciężkich siedmiu latach, że Namiestnik Chrystusowy, kłuty zewsząd cierniami podejrzeń, musiał odzywać się do ludzkości skargą Tego, który pierwszy doznał niewdzięczności za miłość: »Cóżem miał więcej uczynić, a nie uczyniłem«?

Uczynił jednak więcej, bo szereg dokumentów o wojennej działalności papieża, zebranych pod tytułem »Fatti e non parole«, wykazuje niezbicie, że za słowami poszły czyny i to czyny niezrównanego miłosierdzia. Jak w pierwszych wiekach Kościoła Roma-Amor, była centrum akcji dobroczynnej, ogarniającej swym wpływem najdalsze krańce chrześcijaństwa i świata, tak w tych krwawych latach wojny ujął w rękę Benedykt XV troskę o miljony nieszczęśliwych, pogrążonych w nieopisanej niedoli.

Gdy nie udało mu się stłumić pożaru walki, stara się wszelkiemi siłami ograniczyć jej okropności, błagając i prosząc o ludzkość w spo-

sobie prowadzenia wojny, protestując niezmordowanie przeciw wszystkim nadużyciom wojennego prawa. Gdy i te upomnienia nieznaczny tylko odniosły skutek, ponawia największe wysiłki, by ulżyć jakkolwiek losowi nieszczęśliwych. Organizuje biura wywiadowcze dla zbierania wieści o zaginionych żołnierzach i ułatwiania im stosunków z rodziną; wyjednywa u rządów wymianę jeńców inwalidów do walki już nie zdolnych; rzuca myśl, uwieńczoną po długich staraniach pomyślnym rezultatem, leczenia schorowanych w klimatycznych miejscach neutralnych krajów; zabiega usilnie o poprawę losu jeńców pozostających w niewoli; wstawia się za osobami cywilnemi postawionemi przed sądy wojenne; pamięta wreszcie o poległych i ich grobach.

Jeżeli zaś te i inne jeszcze dzieła miłości otarły łzy z niezliczonych oczu, cóż powiedzieć o rozleglejszych akcjach, mających na celu ratowanie nawiedzonych wojną całych krajów, a przedewszystkiem tych dzieci, co marniały w nędzy i głodzie, jak pączki kwiatów więdnących wśród burzy. Z wyczerpanej szkatuły papieskiej płynęły bez ustanku tysiące i miljony aż do ostatnich hojnych jałmużn na rzecz wygłodzonej Rosji; na słowo jego i za jego przykładem zbierały się wszędzie ogromne sumy, które z jednej strony łagodziły uczucia wzajemnej nienawiści, z drugiej strony leczyły rany przez nią zadane.

A równolegle z temi wysiłkami dobroci szły inne olbrzymie prace i wiekopomne dzieła: wydanie nowego kodeksu prawa kanonicznego, i stworzenie trybunału do jego interpretacji; podźwignięcie misyj zagranicznych; przygotowanie gruntu pod akcję katolicką na wschodzie; setki wreszcie doniosłych spraw, związanych z najwyższym zarządem tysiąca blizko diecezyj.

Ta olbrzymia a tak pełna miłości działalność nie mogła nie zwrócić oczu świata na tę drobną, cichą postać, co szerokiem swem sercem obejmowała z wyżyn Watykanu całą ziemię. Jeżeli zrazu myślano z pewną obawą, czy następca wielkiego Leona i świątobliwego Piusa potrafi godnie przejąć ich dziedzictwo, jeżeli w pierwszych latach wojny szczęk broni i niepokój roznamiętnionych umysłów nie pozwalał ocenić należycie nowego najwyższego pasterza, to w miarę jak rozwijały się jego dzieła i jak przez mgły uprzedzeń świeciło coraz jaśniej słońce jego miłości, zaczęły powoli zwracać się w stronę Rzymu, nietylko serca wiernych, ale i dowody uznania niewierzących. Chociaż wielkiego rzecznika pokoju i opiekuna uciśnionych ludów wykluczono tak niesłusznie z udziału w konferencjach pokojowych, nigdy może, nawet na szczycie swej świetności, nie odebrała Stolica święta tylu dowodów szacunku

i wdzięczności z poza obrębu Chrystusowej owczarni. Cały szereg rządów bądź to nawiązał przerwane, bądź też zawiązał na nowo stosunki dyplomatyczne z Zastępcą Bożym na ziemi; złożyło mu hołd powinny wielu dostojników obcych i odległych narodów; pomnik, co stanął świeżo nad brzegami Bosforu był jakby symbolem tego uznania, jakie zdobywa sobie zawsze bezinteresowna a czynna miłość, płynąca z głębokiego źródła miłości Bożej.

Straszliwe lata dobiegły do końca i On też odszedł, mogąc powiedzieć spokojnie: »Sprawę Twoją wykonałem, którąś mi zlecił«. Powołaniem jego było cierpieć i kochać, by tą miłością i cierpieniem wysłużyć pokój skołatanemu światu. Ta jedna myśl wypełniła cały czas jego pasterskiego urzędu; ostatnie słowa wyrzeczone konającemi usty są dowodem, że wierny był tej myśli aż do śmierci.

I jeśli różne oznaki nie mylą, nad grobem tego wielkiego miłośnika pokoju zaświta wreszcie zorza pogodnego dnia po burzy. Jeszcze wprawdzie chmury kłębią się na horyzoncie, jeszcze dużo wskazań zmarłego papieża czeka na wykonanie, ale dużo też jego myśli wniknęło powoli w zbiorową świadomość świata i zaczyna się już zielenić nadzieją przyszłych plonów. Do nieśmiertelnych jego zasług należeć będzie, że przez niewyczerpaną jego dobroć zaogniona od dawna kwestja rzymska zdaje się wreszcie zbliżać do pomyślnego rozwiązania.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że postać Benedykta XV wyrośnie jeszcze w oczach potomnych, patrzących z historycznego oddalenia. Gdy wszystko, co nam współczesnym może dotąd jasny sąd zamącać, rozpłynie się już w przeszłości, zrozumie świat, zrozumie z pewnością i cała Polska, jak wielkie serce bić przestało na ziemi w tym smutnym dniu 22 stycznia. A kiedy pod sklepieniami bazyliki Piotrowej stanie już jego pomnik obok Piusów, Leonów, Innocentych, Grzegorzów, przyjdzie doń ludzkość z głębokim pokłonem i o wielkim papieżu z lat krwawej wojny powtórzy słowa Chrystusowe: »Błogosławieni miłosierni, błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi«.

Ks. Jan Rostworowski.

jąc nawet, jak nam już donosiły dzienniki, do wzniecania awantur podczas nabożeństw kościelnych. Przewodnictwo w niej, które dawniej spoczywało w ręku liberalnego mieszczaństwa i masonerji, przejęła teraz — oczywiście jako ekspozytura tej ostatniej — socjalna demokracja. »Obecnie — pisze w Allg. Rundschau (nr. 49) jeden z posłów austrjackich, Chr. Fischer — przechodzą robotnicy katoliccy w zakładach przemysłowych, w których przeważają żywioły socjalistyczne, prawdziwe męczeństwo, ponieważ często stawia im się jako warunek zatrzymania ich: przystąpienie do socjalistycznej partji i jej związków, a wystąpienie z Kościoła katolickiego. Ruch wolnomyślny w Austrji przeszedł oficjalnie do obozu demokracji socjalnej, podobnie też związek »wolnej szkoły«. Poseł Seitz (socjalista) oświadczył to wyraźnie na jej ostatniem zebraniu dorocznem, a Arbeiterzeitung zamieściła artykuł: »Wolna szkoła — nasz związek szkolny«. Organizacje wolnomyślne zostają pod kierownictwem socjalistycznego członka rady narodowej, Leuthnera, z zawodu redaktora Arbeiterzeitung, oraz byłego posła do parlamentu, Wutschel'a. Język, jakim posługują się ich pisma, jest czemś najordynarniejszem, co można sobie wyobrazić. W bardzo wielu okręgach przemysłowych krajów alpejskich organizuje się koła wolnomyślnych, wyłącznie w celu propagandy występowania z Kościoła katolickiego. Równocześnie uprawia prasa socjalistyczna niezwykły sposób podszczuwania, używając ważniejszych świąt katolickich do tego, aby szydzić i drwić z Kościoła i jego uroczystości«. Poza tem wiadomo, że zniesienie obowiązkowych praktyk religijnych w szkole nastąpiło za sprawą socjalisty, Ottona Glöckel, że posłowie Popp i Sever wnieśli projekt przeciwny małżeństwom kościelnym, a żądający wprowadzenia obowiązkowych ślubów cywilnych i rozwodów; wniosek zrównania żydowskich i wolnomyślnych nauczycieli z chrześcijańskimi przy obsadzaniu posad szkolnych, opozycja przeciw należnemu uposażeniu kleru, organizowanie młodzieży w związki, prowadzone przez ludzi niewierzących i w których wycieczki urządza się umyślnie w ten sposób, aby młodzi nie mogli być we święta na mszy św. — to są dalsze fakta z najnowszej doby, które powinny otworzyć oczy wszystkim, żywiącym jeszcze jakiekolwiek złudzenia na tle stosunku socjalizmu do religji.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 4 stycznia 1922.

Walka
o historyczne podstawy chrześcijaństwa.

II. Od Straussa do Loisy'ego.

Lata 1835 i 1836 stanowią epokę w historji racjonalistycznej krytyki początków chrześcijaństwa. Ukazało się w tych latach dzieło, które miało służyć za źródło natchnienia dla wszystkich późniejszych adeptów niewierzącej krytyki. Było to dwutomowe »Życie Jezusa«[1]), napisane przez młodego, bo zaledwie 27 lat liczącego, repetenta teologji, Dawida Fryderyka Straussa (1808—1874).

Czy przynosił Strauss coś nowego światu i czem różnił się od swoich poprzedników? Oto, najpierw, zrywa Strauss zupełnie z metodą popularnego powieściopisarskiego traktowania przedmiotu à la Bardt i Venturini: zamierza on pisać nie romans, ale dzieło »naukowe«. Powtóre odrzuca prawie całkowicie[2]) metodę tak zwanego »naturalnego objaśniania« cudów ewangelicznych i słów Jezusowych, metodę, która w utworach Paulusa zbyt się już ośmieszyła. Wreszcie to jest nowem u Straussa, że nie zamierza wcale dawać czytelnikowi całkowitej biografji Jezusa. Nie, on w całem swem dziele właściwie tylko bada materjały, z których inni biografje takie budowali i usiłuje wykazać, że z tych materjałów prawdziwej historji wcale nie można stworzyć. Dlatego możnaby nawet kwestjonować, czy trafnie Strauss książkę swą nazwał »Życiem Jezusa«, skoro z niej nie możemy wcale poznać, jakiem

[1]) Das Leben Jesu. Pierwsze dwa wydania rozeszły się w paru latach. W r. 1838 ukazuje się już wydanie trzecie, które właśnie posiadamy pod ręką i cytujemy w niniejszej pracy.

[2]) Mówimy „prawie“ całkowicie, gdyż w pewnych szczegółach nie ustrzegł się zastosowania teorji „naturalnego tłumaczenia“ cudów, np. co się tyczy uzdrowień opętanych.

to życie było w rzeczywistości, albo dowiadujemy się o niem zbyt mało, prawie nic.

Czyż więc Strauss nie buduje nic z materjału ewangelicznego? Owszem: budową jego jest teorja, że życie Jezusa, takie jakiem je znamy z ewangelji, jest jednym wielkim mitem. Oto teza Straussa.

Teorja Straussa padła na grunt już dość przygotowany. Były to czasy, kiedy nauka zaczęła coraz więcej zwracać uwagę na mitologję religijną Greków i Rzymian. Spostrzeżono także, że początki każdej ze znanych religij przeszłości otaczà legenda, a idee i wierzenia ubierają się w formę mitów. Religja żydowska i chrześcijanizm, których początek, według nauki Kościoła, odnosi się do Objawienia Bożego, stały długi czas na uboczu, — zapytano atoli w kołach uczonych, dotkniętych sceptycyzmem, czy ogólne prawo dotyczące pochodzenia i rozwoju religji nie dałoby się zastosować i do biblji?

I rzeczywiście zrobiono początek w tym kierunku i najpierw dopatrzono się szeregu legend i mitów w najstarszych postaciach Starego Testamentu i w cudownych zdarzeniach, o jakich tenże Testament opowiada; niebawem wszakże postąpiono krok dalej, i stosując hipotezę mitów nawet do Testamentu Nowego, poczytano za mity tak nadprzyrodzone poczęcie i narodzenie Jezusa, jak zdarzenia z Jego dzieciństwa, wreszcie po części zmartwychwstanie Jego, a przedewszystkiem wniebowstąpienie. Gabler i Rosenkranz posunęli się jeszcze dalej. Rozróżnili między cudami ewangelicznemi dwie kategorje: pierwszą kategorję miały stanowić cuda, które podług ewangelji działy się około osoby Jezusa, np. ukazanie się Ducha św. podczas chrztu, przemienienie na górze, zjawiska kosmiczne przy śmierci Jezusowej itp., drugą kategorję — cuda, które ewangelja odnosi do Jezusa, jako do przyczyny sprawczej, zatem dokonane przezeń uzdrowienia, rozmnożenie chleba itd. Dokonawszy tego rozróżnienia, postawili wniosek, by pierwszą kategorję cudów poczytać za mity, w drugiej zaś doszukiwać się realnego historycznego podkładu i usiłować wytłumaczyć je, jako zdarzenia naturalne, choć nadzwyczajne i zadziwiające.

Teorję mitów stosowano więc już przed Straussem do początków naszej wiary, jakkolwiek z pewnemi jeszcze ograniczeniami. Oryginalność Straussa polega na tem, że zrywa z wszelką połowicznością swoich poprzedników, i z całej historji Jezusa czyni mit. Wejść — jak się obrazowo wyraża — do miasta krytyki ewangelicznej przez wspaniałą bramę mitów na to, by się następnie tłuc po ciasnych zaułkach natu-

ralnych tłumaczeń, tego on nie chce. Według niego jedna i ta sama zasada i metoda winna być zastosowana do całej ewangelji.

Strauss sądzi, że tylko błędne pojęcie mitu przeszkadzało konsekwentnemu zastosowaniu tej hipotezy do całej historji Jezusa. Mniemano bowiem, że mity mogą się tworzyć tylko około postaci fikcyjnych albo żyjących w zamierzchłej przeszłości. Otóż, według niego, jest ten pogląd nieuzasadniony, legendy bowiem wytwarza się również około wybitnych historycznych postaci, a wytwarzać się poczyna wkrótce po ich śmierci, a niekiedy nawet jeszcze za życia. Jeżeli jakaś osobistość wywiera niezwykły urok i wrażenie, jeżeli dokonywa wielkich czynów, czy podbija umysły i serca, to sława jej zatacza coraz szersze kręgi, a opowiadania o niej, przechodząc z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, coraz to bardziej się upiększają, fantazja twórcza ludu bezwiednie ubiera je w coraz to nowe rysy, postać olbrzymieje i uwypukla się, obraz otacza się girlandą legend. Czego potrzeba, by taka legenda stała się mitem? Tylko tego, by tkwiła w niej jakaś wyższa idea, zwłaszcza religijna, wyrwana niejako z serc ludzkich i ucieleśniona w konkretnej postaci bohatera legendy.

Otóż taka religijna idea tkwi — zdaniem Straussa — w legendzie Chrystusa. Jest nią idea bogoczłowieczeństwa, filozoficznie sformułowana przez Hegla, ale przeczuwana przez wszystkie religijne dusze. Według Hegla, absolut, rozwijający się poprzez liczne szczeble bytu, dochodzi do świadomości swojej boskości w człowieku; w człowieku więc niejako Bóg się wciela, ucieleśnia, i naodwrót człowieczeństwo podnosi się do godności Bóstwa, uznaje swoją z niem tożsamość. W legendzie Chrystusa po raz pierwszy identyczność tego, co boskie, i tego, co ludzkie, wystąpiła z całą wypukłością i siłą. Dzięki temu ewangeliczna postać Chrystusa nigdy nie utraci religijnego znaczenia. To — zdaniem Straussa — jest w religji chrześcijańskiej istotnem i to też nadaje wartość legendzie; dlatego też ta legenda może być nazwana mitem.

Lecz i mit wymaga naukowego wyjaśnienia. Zadaniem jednak krytyki ewangelicznej, zdaniem Straussa, jest nie tyle odkrywanie pod łupiną cudowności naturalnego jakiegoś zdarzenia, bo opowiedzianemu cudowi może żadne zdarzenie nie odpowiada; zadaniem krytyki jest raczej dojść, z jakich pierwiastków legenda się utworzyła i wyśledzić stadja jej rozwoju. Co jednak wogóle zmusza uczonego poczytać ewangelję nie za wierną kronikę historyczną, lecz za zbiór legend? Strauss usprawiedliwia wprawdzie swoje stanowisko i tem, że ewangelje powstały nieco zapóźno po zdarzeniach, jakie podają, by im można było ufać,

jako źródłu historycznemu. Zaprzecza bowiem temu, by którakolwiek z ewangelij pochodziła od naocznego świadka życia Jezusowego, z czego wynika, że zamało one dają rękojmi historycznej pewności opisywanych zdarzeń. Nie na tem atoli głównie opiera swą teorję, lecz przedewszystkiem na swoich filozoficznych przekonaniach. Wychowany w atmosferze filozofji panteistycznej, przez pewien czas uczeń Hegla, nie mógł on przypuścić możliwości cudu. Wszechświat i wszystkie składające się nań zjawiska, są tylko momentami koniecznego i według ślepych praw dokonywującego się rozwoju absolutu; na wyjątki jakiekolwiek od tych praw niema miejsca. Toteż dla myśli Straussa jest to zasadniczem prawidłem, że współczesny światopogląd i żelazne prawa przyrody wykluczają nieodwołalnie wszelki cud. Lecz z cudów utkana jest ewangelja. Co tedy z niemi począć? »Naturalne wyjaśnienia« Paulusa słusznie go nie zadawalniają; widzi całą ich dowolność i śmieszność, — pozostaje zatem tylko jedno wyjście: odrzucić wogóle autentyczność opowiadań ewangelicznych, w których występuje jakakolwiek nadprzyrodzoność i cudowność i poczytać je za wytwór legendy. Cała też książka Straussa do tego zmierza. Rozbierając cud po cudzie, zdarzenie po zdarzeniu, owszem same nawet mowy i powiedzenia Jezusowe, Strauss prawie nigdzie nie znajduje nic historycznego i walcząc na dwa fronty, i z wiarą tradycyjną i z płaskim naturalizmem w guście Paulusa, konstatuje prawie wszędzie legendę i mit.

Czyż więc nic pewnego nie będziemy wiedzieli o Jezusie? Strauss zastrzega się wprawdzie niejednokrotnie przed zarzutem hyperkrytyki[1]), wszystko atoli, co uważa za historycznie pewne, sprowadza do paru ogólnych faktów. Jezus wystąpił jako zapowiedziany Mesjasz i za Mesjasza był przez uczniów uznany. Osobistemi przymiotami, niezwykłą mądrością i głębią religijnego nastroju, a może i jakiemiś uzdrowieniami, które przesadnie wzięto za cudowne, musiał wywrzeć na swych uczniach potężne wrażenie. Popadłszy w zatarg z oficjalnymi stróżami religji, którą poważył się częściowo reformować, uległ przemocy swych antagonistów i wydany w ręce władz rzymskich skończył tragicznie na krzyżu. Oto rzekomo wszystko, co może powiedzieć o Jezusie historyk.

Reszta z tego, co nam przekazano w ewangeljach o Jezusie, jest legendą — jest mitem stworzonym przez gminę pierwotnych chrześcijan. Krytyka ma tylko schwycić in flagranti to tworzenie się legendy i mitu.

---

[1]) np. Wstęp I [3] str. 56.

Posłuchajmy zatem paru szczegółów teorji Straussa[1]). Jezus już za życia wywarł na uczniach swych i tłumach potęgą swej niezwykłej osobistości i wymowy takie wrażenie, że poczytano Go za obiecanego Mesjasza. Prawda, że do pojęcia, jakie ogólnie miano o mającym przyjść Mesjaszu, należało i to, że będzie działał cuda; ale mądrość i dobroć, Jezusa, któremi wywierał na otoczenie potężny urok, zastępowały poniekąd brak cudów z nieba i zwalniały niejako ze zbyt ścisłego stosowania do Jezusa wymagań utartego pojęcia o Mesjaszu. Zresztą, może trafiły się jakieś uzdrowienia, np. nerwowo chorych, dzięki suggestyjnemu wpływowi Jezusa, a w takim razie fama wyolbrzymiła te fakty i poczęła rozgłaszać już za życia Jezusowego niebywałe rzeczy o czynach zjawionego Mesjasza. Ale ze śmiercią tragiczną Jezusa wszystkoby się było skończyło, gdyby nie zrodziło się w uczniach Jezusowych przekonanie, że Mistrz ich zmartwychwstał. To dopiero przekonanie utwierdziło ostatecznie apostołów i w wierze w Jego mesjanizm, a skoro się utrwaliła ta wiara, znalazły się już wszystkie warunki tworzenia się legendy i mitu. Poprostu zastosowywano do Jezusa wszystkie proroctwa St. Testamentu o Mesjaszu; owszem starano się przypisać Jezusowi większe czyny, aniżeli te, jakich ktokolwiek w Starym Zakonie mógł dokonać. Czytano np. u Izajasza o czasach mesjańskich, że wtedy ślepi przejrzą, głusi usłyszą, chromi z radości wyskakiwać będą. Był to obraz poetyczny przemiany na lepsze wszystkich stosunków w królestwie mesjańskiem; lecz ten obraz gmina chrześcijańska wzięła za dosłowną przepowiednię, a zatem zrodziło się przekonanie, że Jezus, rzeczywisty Mesjasz, rzeczywiście też otwierał wzrok ślepym, uszy głuchym i powracał zdrowie sparaliżowanym. — Czytano o Mojżeszu, że wodę ze skały wyprowadził; jakże nie przypisać Jezusowi-Mesjaszowi większego cudu? A więc wytworzy się legenda o przemianie wody w wino. Żywił Bóg Żydów na puszczy cudowną manną, rozmnażał prorok Elizeusz mąkę w czasie głodu, jakżeby nie miał Jezus-Mesjasz dokonać podobnego cudu? a więc i on rozmnażał chleby na puszczy. — Tenże Elizeusz uleczył trędowatego Syryjczyka, wskrzesił nawet umarłego syna biednej wdowy — oto gotowe pierwowzory dla wielu cudów Jezusa itd. I czem dalej odsuwano się od czasów Jezusa, tem grubsze i realistyczniejsze rysy przybierały w twórczej fantazji wierzących Jego cuda. Ewangelje, spisywane według Straussa nie na podstawie autopsji, lecz ze słyszenia, chwytały legendę w ówczesnym jej stopniu rozwoju, albo

[1]) Cfr. Leben Jesu I. 110.

czerpiąc z różnych źródeł i różnych podań, utrwaliły różne etapy rozwoju mitu, tak że w jednej i tej samej ewangelji możemy odróżnić, niby pokłady geologiczne w skorupie ziemskiej, rozmaite warstwy rozwijającej się legendy. Ewangelja, która powstała najpóźniej, t. j. św. Jana, przedstawia też mit Jezusa już jako najbardziej rozwinięty i podaje też cuda największe, których inni ewangeliści, pisząc wcześniej, jeszcze w wyobraźni współczesnych sobie chrześcijan nie znaleźli.

Nie cuda więc Jezusa zrodziły wiarę w Jego mesjanizm, ale przeciwnie same te cuda są wytworem gotowej już wiary, — tak możnaby streścić tok dowodzenia Straussa.

Ale pozostaje punkt najważniejszy. Strauss sam wyznaje, że bez przekonania o zmartwychwstaniu Jezusa, byłaby się rozbiła wiara uczniów w Jego boskie posłannictwo, a zatem ani nie byłaby się zawiązała gmina jego czcicieli, ani nie byłoby komu tkać cudownej legendy. Ostatecznie więc cała wiara apostołów spoczywa przynajmniej na jednym cudzie, na zmartwychwstaniu Jezusa. Jeżeli wogóle cud jest niemożliwy, to skąd się wzięło owo głębokie przekonanie pierwszych chrześcijan o zmartwychwstaniu Jezusa?

Pójść śladami Celsusa lub Reimarusa, którzy poważyli się kwestjonować szczerość przekonania apostołów albo i świadome oszustwo im przypisać, Strauss nie ośmiela się. Uważa, że za szczerość uczniów ręczy fakt, który z ewangelji można stanowczo wyczytać, mianowicie, że apostołowie zmartwychwstania Jezusa wcale nie oczekiwali i po śmierci Jego na krzyżu zupełnie upadli na duchu. Otóż jeżeli istotnie niebawem później zjawiło się w nich głębokie przekonanie, że Jezus zmartwychwstał, to musiało zajść coś bardzo niezwykłego, co takiemu przekonaniu mogło dać początek.

Sądzi atoli Strauss, że nie można tego dociec na podstawie ewangelij, które przedstawiają stosunkowo późne stadjum rozwoju mitu, poszukuje zatem innych wskazówek co to takiego mogło zajść. W I liście św. Pawła do Koryntjan (roz. 15) mamy najstarsze świadectwo przekonań apostołów o zmartwychwstaniu Jezusa, ale ono jest zbyt ogólnikowe i nie mówi — tak przynajmniej twierdzi Strauss — jaką drogą uczniowie Jezusa do takiej wiary doszli. Trzeba więc uciec się do hipotezy. I Strauss, który słusznie odrzucił wszelkie fantazjowania na temat pozornej śmierci Jezusa, jako nie mające żadnego oparcia w źródłach historycznych, sam stawia dowolne przypuszczenie o genezie wiary uczniów w zmartwychwstanie Jezusa.

Usiłuje wiarę tę wyprowadzić z własnych ich dusz. Za punkt

wyjścia bierze jednak ów list św. Pawła do Koryntjan. W nim stawia apostoł narodów na jednej linji objawiania się zmartwychwstałego Jezusa uczniom z tem objawieniem się Zbawiciela, którego on sam, Paweł, stał się uczestnikiem w drodze do Damaszku. A zatem — rozumuje Strauss — jak widzenie Pawłowe było nie czem innem, tylko czysto subjektywnem złudzeniem, jakąś grą fantazji, podobnegoż rodzaju musiały być i owe widzenia Jezusa zmartwychwstałego, jakie mieli pierwsi uczniowie wkrótce po jego śmierci[1]). Otóż takie subjektywne wizje, takie halucynacje, byłyby owym nadzwyczajnym faktem, który zrodził w sercach uczniów wiarę w zmartwychwstanie Jezusa.

Ale i ta hipoteza ma słabe strony, które Strauss usiłuje umocnić. Nastręcza się najpierw taka trudność. Że Paweł uległ podobnej halucynacji to zrozumialsze, bo już wtedy inni wierzyli w zmartwychwstanie Jezusa i Paweł o tem wiedział i kiedy jechał do Damaszku jako prześladowca chrześcijan, musiał w duszy tem przekonaniem zajmować się i niepokoić, azali nie jest ono zgodne z prawdą. Fantazja jego miała tylko przeobrazić gotową przetrawioną przez innych ideę w osobiste doświadczenie, co się też stało w chwili jakiegoś chorobliwego podniecenia wyobraźni i nerwów. Lecz pierwsi uczniowie mieli przed sobą tylko fakt śmierci Jezusa; skąd ich wyobraźnia mogła stworzyć do tego stopnia żywą myśl zmartwychwstania, że ją wzięli aż za rzeczywistość[2])?

Żeby tę trudność sobie rozwiązać, zapuszcza się Strauss dalej w domysły. Jezus w ciągu kilkoletniego obcowania z uczniami swymi wywierał na nich coraz większy i coraz mocniejszy urok, jako Mesjasz. Chociaż śmierć jego, która wcale nie godziła się z ich pojęciem o Mesjaszu, unicestwiła na pewien czas owo wrażenie, nie zatarła wszakże pamięci o niem. Otóż, kiedy ochłonęli z pierwszego przestrachu, poprzednie uczucia i nastrój zaczęły powracać; Jezus w ich duszy znowu stawał się dawnym Mesjaszem, i wtedy zrodziła się psychologiczna konieczność jakiegoś pogodzenia jego mesjańskiego charakteru z faktem śmierci. Będąc Żydami prawowiernymi, gdzie mieli szukać tego pogodzenia, jak nie w księgach świętych? I oto natrafiają na takie ustępy, jak 53 rozdział Izajasza proroka, albo psalm 22 (21), w których wierny sługa Boży nawet śmiercią nie da się ugiąć w swojej wierności Zakonowi i ponosi za tę wierność prześladowanie, nawet śmierć. A więc trudność usunięta! Te ustępy Pisma są to miejsca prorocze; Izajasz i Dawid myśleli tu o przyszłym Mesjaszu; a zatem musiał on umrzeć,

[1]) T. II, str. 687.

[2]) T. II, 690.

by dopiero przez śmierć do swojej chwały wejść. A zatem mimo śmierci on żyje w tej swojej chwale i chociaż niewidzialny, jest z nami po wszystkie dni. I serca ich znowu zaczynają pałać miłością ku niemu i entuzjazmem dla jego sprawy. — Oto podłoże psychologiczne wizyj. Co bowiem dziwnego, jeżeli w takiem entuzjastycznem usposobieniu temu lub owemu z uczniów zaczęło się zdawać, że widzi Jezusa, że rozmawia z nim? A potem doszło do tego, że takie wizje stały się udziałem całych grup, jako masowa halucynacja.

Jeszcze jeden krok. Jezus żyje w swojej chwale, ale czyż ciało jego ma spoczywać w grobie? Czy to nie o nim znowu prorokował psalm »nie dasz świętemu twemu oglądać skażenia«? (ps. 15, 11), a więc wniosek: On cieleśnie musiał powstać z grobu, a jeśli musiał powstać to i istotnie powstał, i nam się zjawiał nie jako duch, który kości i ciała nie ma, ale w swojem ciele, które z grobu wyprowadził.

Przewiduje Strauss jeszcze jedną trudność. Czy apostołowie, kiedy zaświtała im żywo taka myśl na podstawie Pisma, nie pobiegli do grobu Jezusa, by się przekonać, azali wszystkie ich wnioski i wizje zgodne są z rzeczywistością, a jeśli pobiegli, czyż nie musieli przekonać się, że ciało ich mistrza spoczywa tam, gdzie je złożono?

Właśnie — odpowiada sobie Strauss — nie pobiegli, bo wszystkie te przeżycia i halucynacje miały miejsce daleko od Jerozolimy, w Galilei, dokąd się uczniowie Jezusa po śmierci jego udali. Czyż nie znajdujemy potwierdzenia tego w ewangelji Mateusza, w której nie ma nic o zjawianiach się Jezusa uczniom w Jerozolimie, tylko jest ogólna wzmianka o jakiemś objawieniu się im w Galilei, dokąd rzekomo Jezus im skierować się rozkazał, a dokąd właściwie oni sami uciec musieli, by się nie dostać w ręce wrogów Jezusa? Otóż w Galilei nie mieli możności sprawdzenia, czy grób Jezusa jest pusty, czy też ciało w nim spoczywa. Kiedy zaś pewność o zmartwychwstaniu Mistrza głęboko się wryła w ich umysły, kiedy wróciwszy do stolicy kraju poczęli odważnie dawać wyraz swej wierze, już ani oni, ani ich wrogowie nie mogli sprawdzić obecności ciała w grobie. Dlaczego nie mogli tego uczynić, tego Strauss nie dopowiada; sądzi tylko, że powrót uczniów do Jerozolimy nie nastąpił chyba, jak podają Dzieje Apostolskie, w siedm tygodni po śmierci Jezusa, z okazji Zielonych Świątek, ale znacznie później, — bo chyba dłuższego czasu było trzeba, by wiara w zmartwychwstałego tak głębokie korzenie zapuściła w ich duszach, jak to widzimy z ich wystąpień wobec ludu.

Tak więc Strauss sądzi, że powstanie wiary w zmartwychwstanie

Jezusa zostało dostatecznie wyjaśnione. Sama ta wiara z czasem przybrała bardziej mityczne rysy. Dzięki rozważaniu proroctw Starego Zakonu i pod wpływem potrzeb apologetycznych, wiara ta stroiła się coraz bardziej w legendarną scenerję. A więc Jezus powstał z grobu dnia trzeciego, a więc przy grobie ukazali się aniołowie, a więc grób znaleziono pustym; dla odparcia zarzutu ukrycia ciała wymyślono straż przy grobie, a potem jej przekupienie. Z pierwotnych subjektywnych wizyj i przeżywań apostołów rozwijająca się legenda uczyniła prawdziwe wizyty Jezusa, składane uczniom, podczas których miał z nimi rozmawiać, jeść, pozwalać się im dotykać swoich ran, wreszcie odejść od nich widzialnie do nieba. Legenda późniejsza niektóre te wizyty umiejscowiła w Jerozolem, i w tej redakcji dostały się one do ewangelji Łukasza i Jana, którzy o zjawieniach się Jezusa w Galilei nic nie wiedzą. Tak stworzona legenda o zmartwychwstaniu Jezusa ma podług Straussa i dodatnie znaczenie. Jest ona jedną z najcenniejszych cząstek ogólnego mitu Chrystusowego, jako ucieleśnienie idei zwycięstwa sprawiedliwości nad nieprawością, jako symbol odradzającej się ciągle ze swojej śmierci ludzkości.

Oto mamy Straussowskie wytłumaczenie tego faktu, który, według niego, jest źródłem całego chrześcijaństwa, »le fait générateur du christianisme« jak powiedział później pewien francuski apologeta. Cała teorja mitów, jak ją skonstruował Strauss, daje się pokrótce tak wypowiedzieć. Czynnikiem które tworzyły mit, był entuzjazm religijny pierwszych uczniów Jezusa, ich miłość ku Niemu, była twórcza i żywa wschodnia ich wyobraźnia przy równoczesnym braku krytycznej refleksji i zawodach pamięci, były nurtujące w sercach ludzkich i szukające swego wyrazu idee bogoczłowieczeństwa, zwycięstwa dobra nad złem itd., była wreszcie potrzeba apologetyczna, zmuszająca przedstawiać Jezusa i jego dzieło wobec przeciwników tak, by najłatwiej móc ich przekonać. Wierzenia zaś żydowskie, np. w nieśmiertelność duszy i w zmartwychwstanie ciał, pojęcia o Mesjaszu, proroctwa i cuda Starego Zakonu — to była paleta, z której brano farby do ewangelicznego obrazu postaci Jezusa.

Starałem się, o ile to możliwe w ramach artykułu, podać wiernie kwintesencję dwóch tomów Straussowego »Życia Jezusa«. Musimy przyznać, że cała argumentacja autora utkana jest dziwnie misternie i delikatnie, niby siatka pajęcza, ale czy też mocniejszą jest od pajęczej siatki? Nie zamierzam w tej chwili zbijać szczegółowo teorji Straussa, gdyż mam do powiedzenia o niej tyle, że muszę temu rozbiorowi poświęcić

cały inny artykuł. Mimochodem tylko rzucam uwagę: czyż nie popełnił Strauss sprzeczności logicznej w tem, że umocnienia wiary apostołów w mesjańską godność Jezusa każe szukać w ich przekonaniu o Jego zmartwychwstaniu, a to przekonanie znowu wyprowadza z ich wiary w Jego mesjańską godność i to wiary unicestwionej w chwili śmierci Jezusa i później dopiero powoli się odradzającej? Czyż dwa przekonania mogą być dla siebie nawzajem źródłami? Powtóre, czyż cała psychologiczna konstrukcja rzekomego odżycia wiary w apostołach, ich przeżyć, szukania w Piśmie św. dowodów, wizyj Jezusa itd. nie jest zupełnie dowolna, a zatem, czy nie wpada Strauss ostatecznie w ten sam błąd, który zarzuca zwolennikom hipotezy pozornej śmierci Jezusa, czy więc jak tamci, tak i on nie obchodzi się bez ceremonji ze źródłami ewangelicznemi, naciągając je do swego widzimisię?

Dzieło Straussa o Jezusie było fenomenem literackim. Zrazu wywołało ono burzę sprzeciwów nie tylko ze strony autorów wierzących, ale i ze strony broniących się jeszcze zwolenników naturalnego tłumaczenia ewangelji. Pod wpływem zaciętej polemiki sam Strauss zachwiał się przynajmniej co do niektórych swych twierdzeń, i w 3 wydaniu książki złagodził nieco swoje poglądy, np. w kwestji autentyczności Janowej ewangelji. Niebawem jednak, bo przy czwartem wydaniu w r. 1840, wrócił całkowicie na pierwotne swe stanowisko. Powoli też polemika cichła i teorja Straussa prawie niepodzielnie zapanowała w obozie racjonalistów, zwłaszcza kiedy przedstawiciele tak zwanej szkoły tybingskiej z Ferdynandem Chrystjanem B a u r e m na czele, wychodząc z innych założeń i do innych dążąc celów, postawili hipotezę, że ewangelje powstały dopiero w drugim wieku naszej ery. Czyż przeciąg całego stulecia, jaki według tej hipotezy miał upłynąć między śmiercią Jezusa a napisaniem ewangelij, nie był dostateczny do wytworzenia się wszystkich legend o Chrystusie?

Nie mamy zamiaru pisać dokładnej historji racjonalistycznej krytyki, ani prezentować wszystkich autorów, którzy poszli śladami Straussa. Imię ich legjon [1]), lecz ich dorobek niewielki. W głównych zarysach pozostają oni dotąd wierni swemu mistrzowi. W ocenie źródeł do życia Chrystusa dzisiejsi przedstawiciele tego obozu spuścili dużo z radykalizmu swych ojców. Zwłaszcza twierdzenia szkoły tybingskiej o późnem

[1]) Wyczerpującą historję tej krytyki znaleźć można w książce protestanckiego autora A. Schweitzera, Geschichte der Leben-Jesu-Forschung, 2 wyd. Jena 1911. Zob. również J. B. Lagrangea, Le Sens du Christianisme, Paris, 1919.

pochodzeniu ewangelji już zbankrutowały, i najwybitniejsi krytycy, jak naprzykład Harnack, coraz bardziej zbliżają się do tradycyjnej daty powstania ewangelij, ewangelje synoptyczne odnosząc mniej więcej do trzeciego kwartału pierwszego stulecia i tylko z apostolskiem pochodzeniem ewangelji Janowej jeszcze pogodzić się nie chcą. Wobec tego częściowego otrzeźwienia doznają wprawdzie trudności, kiedy chcą wytłumaczyć, jak mogło powstać tyle legend w tak krótkim czasie (około 30 lat), jaki upłynął między śmiercią Jezusa a powstaniem ewangelij, a zarazem jak wytłumaczyć, że w tym krótkim przeciągu czasu do tego stopnia zatarły się w pamięci chrześcijan prawdziwe czyny i epizody z życia Jezusa, że ewangeliści już nie zdołali nam podać pewnego materjału do biografji Jezusowej. Pod wpływem tej trudności, częściowo muszą nowsi krytycy nawracać i do hipotezy naturalnego tłumaczenia wielu cudów Jezusowych i przyjmować wiele słów Jezusa za autentyczne, wytwarzając tym sposobem eklektyzm, godzący Straussa z Paulusem.

Dalej, niewierzący krytycy toczą między sobą drobiazgowe spory o to, czy Jezus rzeczywiście sam się miał za obiecanego Messjasza, czy też tylko uczniowie Mesjasza w nim widzieli, i jeżeli sam posiadał »świadomość mesjańską«, to kiedy ona się w nim zrodziła, czy przy chrzcie w Jordanie, czy później. Dysputują, czem było w rozumieniu Jezusa królestwo Boże, które głosił: czy brał je w znaczeniu czysto etycznem — królowania Boga w duszach ludzkich (jak chce Harnack), czy też w znaczeniu eschatologicznem, t. j. spodziewanego rychłego przewrotu światowego, sądu nad grzesznikami i założenia jakiegoś królestwa nadziemskiego (jak chce Loisy, Alb. Schweitzer i inni), albo wreszcie w znaczeniu politycznem — wskrzeszenia tronu Dawida, jak jeszcze przypuszczają inni. Oczywiście, z takiego czy innego stanowiska co do tych kwestyj, wypłynie takie czy inne rozumienie nauk i czynów Jezusa, przyjmowanie jednych ustępów ewangelji za autentyczne, odrzucanie innych jako wytworu wiary samych chrześcijan.

Prawie zupełna natomiast panuje zgoda między dzisiejszymi krytykami racjonalistycznymi, kiedy chodzi o zmartwychwstanie Chrystusa. Dla nich wszystkich, jak dla Straussa, jest ono mitem i prawie wszyscy oni widzą początek wiary w zmartwychwstanie w wizjach i subjektywnych przeżyciach apostołów i pierwszych chrześcijan. Pomysłowość każdego z tych krytyków wysila się już tylko na stworzenie takiego przebiegu owych przypuszczalnych przeżyć i wizyj, by jak najlepiej odpowiadał psychologicznemu pragmatyzmowi, t. j. by wydawał się najpraw-

dopodobniejszym. Z prawdopodobieństwa zaś oderwanego wyprowadzają wbrew logice wniosek: a więc tak było w istocie.

Wspomnijmy przynajmniej o paru próbach uzupełnienia Straussa. Rénan, który niespełna 30 lat po Straussie napisał swoją »Vie de Jésus«, a niebawem potem książkę »O Apostołach«, usiłuje pogodzić Straussa z Paulusem. Pierwsze wizje zmartwychwstałego Jezusa mieli, według Renana, nie apostołowie i nie w Galilei, ale Magdalena w Jerozolimie na trzeci dzień po męce Jezusowej. Ta rozmiłowana w swoim Mistrzu i rozegzaltowana niewiasta, bierze jakieś przywidzenie w ogrodzie, w którym się grób Jezusa znajdował, za rzeczywiste zjawienie się Jezusa; suggestjonuje następnie tem swojem widzeniem uczniów, którzy też przy najlżejszym szmerze w ciszy nocnej, przy spotkaniu jakiegoś zagadkowego nieznajomego, np. w drodze do Emaus, przy jakiemś atmosferycznem zjawisku, np. na Górze Oliwnej, będą również widzieli zmartwychwstałego Jezusa, będą z nim rozmawiali w duchu, żegnali odchodzącego do nieba.

Renan pisał swoje Życie Jezusa dla szerokich mas, nie jak Strauss dla uczonych, pisał je jak romans, do czego mu dopomagała wytworność stylu, wypukłość sytuacji i koloryt obrazów, tworzonych na podstawie gruntownej znajomości Ziemi Świętej, nic dziwnego, że i wiarę w zmartwychwstałego Jezusa romantycznie wyprowadza z niewieściej miłości, którą nazywając »matką łatwowierności« jednocześnie zwie świętą i unosi się nad jej potęgą, boć przecież ona »dała światu zmartwychwstałego Boga«[1]). Co znaczy być sofistą a jednocześnie poetą, umieć płodzić błyskotliwe frazesy! Renan nawet nie widzi trudności, która Straussowi kłopot sprawiała, mianowicie trudności z grobem. Według Renana Piotr z Janem znaleźli w istocie pusty grób, ale cóż z tego? Z ciałem coś stać się musiało; może ukryli je gdzieś żydzi, by uczniów Jezusa pozbawić relikwji ich mistrza, a może usunął je z grobu ogrodnik, który pożyczył grobu tylko na prowizoryczny pogrzeb. Coś się stać musiało z ciałem, a pusty grób utwierdził apostołów w przekonaniu, że Jezus w istocie zmartwychwstał.

Ze wszystkich uczniów Straussa Renan może najbardziej oddalił się od swego mistrza w tłumaczeniu wielkanocnej nowiny, i kiedy jego książka zyskała kolosalne powodzenie wśród czytających mas, sam Strauss pozazdrościł mu wawrzynów. W parę lat po Renanie i on napisał nowy »Żywot Jezusa«, »opracowany dla niemieckiego ludu«,

---

[1]) Żywot Jezusa, tłum. Niemojewskiego. Wyd. 3, str. 245.

w którym jednak co do popularności i lekkości języka i formy nie dorównał Renanowi, a w oczach wielu podkopał swą sławę powagi naukowej, jaką się przez 30 lat cieszył.

Inni epigonowie Straussa już nie oddalają się tak od niego, jak to uczynił Renan. I Hartmann i Pfleiderer i Harnack i Loisy, — żeby wymienić tylko najwybitniejszych przeciwników prawdziwego zmartwychwstania Chrystusa — dadzą spokój Magdalenie i jej miłości i źródła wiary we wskrzeszonego Mesjasza będą szukali, śladami Straussa, w przywiązaniu apostołów, przedewszystkiem Piotra, do Jezusa, i w wizjach, które z owego przywiązania się zrodziły. Pfleiderer nadto — w myśl t. zw. synkretyzmu religijnego — przyjmie jako czynnik w ukształtowaniu się legendy zmartwychwstania wpływy pojęć i mitów pogańskich, np. mitu o zmarłym i zmartwychwstałym Adonisie. Loisy znowu spróbuje radykalnie przeciąć trudność, jakiej Strauss nie umiał zadawalniająco rozwiązać, mianowicie dlaczego ani uczniowie ani nikt inny nie sprawdził, czy grób w istocie był pusty. Ewangelje właśnie o takiem sprawdzeniu mówią, ale teorja, zaprzeczająca cudu, zmusza poczytać odnośną relację za późniejsze upiększenie mitu; więc Loisy załatwia się z trudnością prościej, zaprzeczając wogóle istnienia jakiegoś grobu Jezusowego. Ciało ukrzyżowanego, — wbrew ewangeljom, — musiało wraz z ciałami innych skazańców być wrzuconem do jakiegoś wspólnego dołu za miastem[1]), gdzie wszelkie poszukiwania późniejsze byłyby próżne. Całe więc opowiadanie o pogrzebie Jezusa w nowym grobie należy również poczytać za legendę.

Widzimy, jak jedno przeczenie wywołuje przeczenie drugie, by samo wobec logiki mogło się ostać, i jak krytyka negacyjna musi iść coraz dalej w burzeniu wiarogodności ewangelji, gdy wyłaniają się przed nią coraz to nowe trudności. Za zaprzeczeniem pogrzebu Jezusa przez Loisyego, Salomon Reinach, żyd francuski, włoży między mity opowiadania ewangelji o samej męce i krzyżowej śmierci Jezusa, a inni pójdą dalej, bo zakwestjonują samo jego istnienie na świecie. Ale tych radykałów na razie zostawimy na boku.

Całą teorję Straussa i jego licznych następców można nazwać ucieczką przed cudem. Że Strauss cudowność opowiadania bierze za dowód, że mamy do czynienia z legendą, z mitem, o tem już słyszeliśmy. Inni są niemniej szczerzy. Twierdzą czasem, że ewangelje

[1]) Les Évangiles synoptiques, t. I. p. 223.

nie zasługują na wiarę z powodu sprzeczności, jakie w sobie mieszczą. Te rzekome sprzeczności atoli nie byłyby nawet w oczach racjonalistów wystarczającym dowodem, aby ewangeljom odmówić znaczenia historycznych źródeł. Posłuchajmy wyznania Renana. »Że odrzucam cuda, o których opowiadają ewangelje, to nie dlatego to czynię, jakoby zostało uprzednio udowodnionem, że ewangeliści nie zasługują wcale na wiarę. Właśnie przeciwnie: dlatego, że o cudach opowiadają, więc mówię: ewangelje są legendą[1])« ... Harnack również wyraża »niezachwiane przekonanie, że cokolwiek dokonywa się w czasie i przestrzeni, to podlega powszechnym prawom ruchu, a zatem że niema miejsca na żaden cud, pojęty, jako wyrwa w ogólnym całokształcie natury« [2]) i w świetle tego kanonu każe czytać i rozumieć ewangelję. Zeller wreszcie oświadcza kategorycznie: »Cud i historyczne traktowanie rzeczy wykluczają się nawzajem; komu to drugie jest drogiem musi wyrzec się pierwszego«[3]).

Nie przywiązujmy więc wielkiej wagi do twierdzeń tych krytyków, którzy swoje negatywne stanowisko usprawiedliwiają jużto późnem pochodzeniem ewangelij, jużto chwiejnością i sprzecznością w ich opowiadaniach. Nie mieliby oni tych trudności, gdyby nie chodziło o fakta cudowne. Gdyby kilku kronikarzy z jakiegoś wieku świadczyło o jakiemś zdarzeniu naturalnem, o czynach jakiejś osobistości, różniąc się między sobą tylko w szczegółach, okolicznościach faktu, to ci sami krytycy czyż poważyliby się zaprzeczać samej substancji opowiedzianych zdarzeń? Czyż nie złożyliby napotykanych w opowiadaniach owych kronikarzy warjantów na karb różnych dróg, jakiemi fakt doszedł do wiadomości kronikarzy? Owszem tego rodzaju warjanty dowodziłyby tego, że tradycja zdarzenia musiała być powszechniejszą, skoro ją kilku autorów, niezależnie jeden od drugiego, stwierdziło, a zatem, że i samo zdarzenie zyskuje na pewności.

Tak w istocie postępuje każdy historyk, gdy chodzi o czyny jakiegoś Cezara czy Kaliguli, o jakieś oblężenie miasta, czy wygraną bitwę. Jeżeli do ewangelicznych faktów, w szczególności do zmartwychwstania Jezusa, stosuje się inną miarę i inne prawidła, to winą temu cud, którego za żadną cenę uznać się nie chce.

Takie wszakże postępowanie racjonalistycznych krytyków chrześcijaństwa byłoby usprawiedliwionem tylko w tym razie, gdyby przedtem

[1]) Żywot. Wstęp.
[2]) Wesen des Christentums, wyd. r. 1903, str. 17.
[3]) Hist. Zeitschrift IV, 109.

udowodniło się, że cuda są niemożliwe. Tymczasem u żadnego z nich nie spotykamy ani cienia dowodu na to, boć przecie nie można brać za dowód ogólnikowych frazesów w rodzaju tych, że prawa natury są niezmienne, — że wyjątek niedopuszczalny itd., bo właśnie o to chodzi, czy ta konieczność praw natury jest tak bezwzględną, by nawet Bogu uniemożliwiała wszelką interwencję w bieg przyrody. Nie, niemożliwość cudu nie jest żadnym pewnikiem naukowym, tylko postulatem tego światopoglądu, który przeczy istnieniu Boga i ze świata samego czyni absolut. Negacja możliwości cudu jest dogmatem, ale dogmatem nie nauki, jako takiej, tylko ateizmu, ale czy sam ateizm jest na tyle pewny, by jego dogmaty brać za kanon przy ocenie wartości historycznych źródeł i na ich podstawie odmawiać wiarogodności wszelkiemu świadectwu, skoro tylko wspomina o cudzie? Że zdeklarowani zwolennicy panteistycznej lub materjalistycznej filozofji, czyli prościej — ateizmu, muszą zwalczać cud, to rzecz z ich punktu widzenia zupełnie logiczna; inna rzecz, że przecząc faktowi zmartwychwstania Jezusowego, stają wobec nowego rodzaju cudu, którego zadawalniające wytłumaczenie staje się ich obowiązkiem: mianowicie, jak mogła bez stwierdzonego faktu zmartwychwstania powstać tak głęboka wiara w takowe, że wyłoniła z siebie całe chrześcijaństwo? Czy niewierzący w cuda krytycy są sami przekonani, że to zagadnienie swoją analizą psychologiczną dostatecznie rozwiązali, nie możemy wiedzieć. Postaramy się tylko wykazać w następującym artykule, że ich tłumaczenia wcale nam nie imponują i nie wydają się wystarczającemi. Ich »krytycyzmu« my nie przyjmiemy bez krytyki ze swojej strony.

Ale co jest bardziej zadziwiające, że kiedy chodzi o cuda wogóle, a o zmartwychwstanie w szczególności, na stanowisku ateistycznych dogmatów stają i ci, którzy do ateizmu ani do panteizmu wyraźnie przyznać się nie chcą, którzy uważają się nawet za ludzi religijnych. Snać ze zbyt wielkim tupetem proklamuje tamten obóz niemożliwość cudu, że mógł poprostu steroryzować nawet ludzi, którzy w swych badaniach historyczno-krytycznych rzekomo chcą być wolni od wszelkich zgóry powziętych założeń i uprzedzeń. Czyż nie politowania godzien jest taki np. Harnack, u którego wyraz »Bóg« raz w raz wychodzi z pod pióra, który, zdaje się, przypuszcza nawet Opatrzność i rządy Boga w świecie, a jakby zahipnotyzowany ateistyczną zasadą niemożliwości cudu, zmuszonym się widzi czynić takie subtelne rozróżnienia, jak rozróżnienie między »Osterglaube« i »Osterbotschaft«, między wiarą wielkanocną i wielkanocną opowieścią, i opowieści wielkanocnej o praw-

dziwem Chrystusowem zmartwychwstaniu musi odmówić historycznej wartości, a przyjąć jako wartościową religijną prawdę, wyłuskaną rzekomo z opowieści wielkanocnej, wiarę w zwycięstwo życia nad śmiercią, dobra nad złem? Ależ czyż nie nędzną jest wartość tej wiary, tej »Osterglaube«, jeśli ją zrodziła złudna, pozbawiona realnej podstawy »Osterbotschaft«? »Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest wiara nasza«, trzeba powtórzyć za św. Pawłem. I czyż możemy przypisać Bogu, że do wzbudzenia tej wiary dopomógł wywoływaniem iluzorycznych wizyj? Wobec tego owo zwycięstwo życia nad śmiercią, które w wierze wielkanocnej tak Harnackowi imponuje, jest chyba tylko prostym frazesem, jeśli i Chrystus śmierci bezpowrotnie uległ i my wszyscy jej ulegniemy bez nadziei powstania.

Inni jeszcze protestanccy autorowie, pragnąc ratować resztki chrześcijańskiej wiary, a przytem uniknąć strasznego dla nich zarzutu nienaukowości, skoroby przyjęli cud zmartwychwstania, głoszą inną teorję, teorję wizyj objektywnych. Pamiętamy, że już w swoim czasie naszkicował je Spinoza, a Strauss sam podsuwał »upartym supernaturalistom«. Zatem według K e i m a, H o l z m a n n a i innych, apostołowie byli przekonani o zmartwychwstaniu Chrystusa dzięki szczególnemu działaniu na ich dusze nieśmiertelnej duszy Mistrza. Miane przez nich wizje nie były więc czczemi urojeniami, ale rzeczywiście z nieba pochodzącą wieścią, że Jezus ze śmiercią nie umarł cały, że dusza jego żyje, owszem że osiągnęła chwałę i panowanie u niebieskiego Ojca. Lecz ucieczka przed cudem wpędza i tych »supernaturalistów« napowrót na mieliznę dowolnych hipotez, na której musi się rozbić chrześcijańska wiara. Albowiem wiara ta opiera się na przekonaniu i twierdzeniu apostołów, że w istocie widzieli zmartwychwstałego w c i e l e Mistrza, i na tej podstawie obiecują powszechne zmartwychwstanie ciał. Jeżeli ta wiara i nadzieja nasza opiera się na iluzji, na pomięszaniu czysto duchowych zjawiań się Jezusa ze zjawianiem się cielesnem, to zaiste nie wielka jej wartość i moc. Wreszcie godzi się zapytać: jeżeli owe proponowane nam wizje objektywne pochodziły od Boga, czemuż Bóg nie zapobiegł takiemu pomięszaniu pojęć, przeciwnie przyczynił się do utrwalenia złudzenia i fałszywych zeń wniosków? Zresztą kogo ta hipoteza zdoła zadowolnić? Wierzących chyba nie, bo burzy ich wiarę i nadzieję, i usuwa cały historyczny fundament z pod gmachu chrześcijaństwa; wszak żaden apologeta nie udowodni boskości chrystjanizmu z takich »objektywnych« wizyj, których boskiego pochodzenia w żaden sposób sprawdzić nie można. Nie zadowolni i niewierzących krytyków, bo bądź

co bądź, unikając jednego cudu, stawia cud inny, cud bezpośredniego oddziaływania Boga czy duszy Jezusowej na uczniów.

Ze wszelkiej tedy połowiczności i ze wszelkiego pseudo-mistycyzmu, nie umiejącego się wylegitymować ani przed wiarą ani przed nauką, musimy zrezygnować. Wybór mamy tylko między dwoma krańcowemi twierdzeniami: albo Jezus zmartwychwstał prawdziwie, albo cała opowieść jest tylko mitem. W tem drugiem przypuszczeniu wszakże musielibyśmy jej, jako złudzeniu i przesądowi, odmówić wszelkiego nie tylko naukowego, ale i religijnego znaczenia. Fałsz, niech co chce twierdzi Strauss czy Harnack, fałsz historyczny żadnej religijnej wartości mieć nie może.

Więc tylko ze Straussem i jego konsekwentnymi zwolennikami mamy do czynienia; rozprawimy się z ich teorją w najbliższym artykule.

Ks. J. Urban.

Udział robotników w zarządzie przedsiębiorstw.

I. Definicje.

Najpierw kilka wyjaśnień w zakresie definicji celem lepszego zrozumienia problematu.

Według dotychczasowych poglądów zarząd przedsiębiorstwa spoczywał w rękach jego właściciela, zarząd był funkcją własności. Na tę właśnie zasadę powoływali się np. pracodawcy niemieccy w parlamencie, przeciwstawiając się projektowi, by robotnicy wysyłali swoich delegatów do rady nadzorczej spółek akcyjnych. Wbrew temu postulat udziału w zarządzie dąży do tego, aby prawo, przysługujące dotychczas właścicielom, przyznać również i tym, którzy nie są właścicielami, t. j. robotnikom i najemnikom.

Ów postulat nie poprzestaje tylko na informowaniu się. o tem, co się dzieje w zakładzie, na zdobyciu uprawnienia, uzależnionego od woli właściciela, lecz przeciwnie żąda rzeczywistego udziału w kierowaniu i w zarządzaniu przedsiębiorstwem, takiego uprawnienia, jakie przysługuje właścicielowi. Stąd wynika, że nie chodzi tu również tylko o kontrolę przedsiębiorstwa, na wzór dekretu bolszewickiego z paźdz. 1917 r. o kontroli robotniczej.

Zarząd może obejmować różne kategorje spraw. Mogą to być zagadnienia, dotyczące warunków pracy a w szczególności zarobku, zagadnienia, związane z faktem pracy najemnej w zakładzie, zwane często zagadnieniami społecznej natury. Powtóre, mogą to być sprawy personalnej organizacji przedsiębiorstwa, podział sił ludzkich, zwalnianie, a przedewszystkiem przyjmowanie robotników i pracowników. Potrzecie, mogą to być kwestje »organizacji przemysłowej«, lub »gospodarczej«,

tj. organizacji technicznej, finansowej i handlowej. Najłatwiej dochodzi do porozumienia między pracodawcami i robotnikami co do udziału w zarządzaniu sprawami pierwszej kategorji. Znacznie więcej trudności i sprzeciwów ze strony pracodawców napotyka kategorja druga i trzecia. Powojenny nastrój wszakże jest taki, że robotnikom i pracownikom zależy właśnie na udziale w sprawach dwóch ostatnich kategoryj, tembardziej że co do pierwszej już przed wojną robotnicy uzyskali pewne wpływy.

Problemat udziału robotników w zarządzie pozostaje w ścisłym związku z zagadnieniem udziału w zyskach. Wprawdzie ta instytucja jest starsza od tamtej, ale nie wykazała żadnej żywotności właśnie dlatego, że wisiała w powietrzu. Udział w zyskach był pojmowany jako instytucja dobroczynna, jako łaska, wyświadczana przez pracodawców robotnikom. Robotnicy odrzucali pojęcie łaski i odpowiadali: Dobrze, niech będzie udział w zyskach, ale pod warunkiem, że będziemy wiedzieli jakie są te zyski, tj. że posiądziemy prawo zajrzenia do ksiąg handlowych. Bo rzeczywiście, kto ma udział w zyskach, ten chce mieć wpływ na tworzenie tych zysków, nie tylko na to, aby zyski były dzielone według jego dezyderatów, ale także na to, żeby tych zysków było jak najwięcej. Przed wojną robotnicy chcieli przeglądać księgi, aby wpływać na podział zysków. Po wojnie chcą przeglądać księgi, aby wpływać na powiększenie zysków przez osiągnięcie wpływu na organizację i bieg pracy w przedsiębiorstwie, zatem na przyjmowanie i uwalnianie ludzi, na sprowadzanie surowców i narzędzi pracy, na wynajdywanie rynków zbytu i rodzaj produkcji itd. itd. Tym sposobem udział w zyskach staje się następstwem udziału w zarządzie, a udział w zarządzie warunkiem udziału w zyskach.

Pragnąc udziału w zarządzie, robotnicy nie występują ani jako właściciele, ani jako urzędnicy. Stwarzają fakt. Jego następstwem, może w niedalekiej przyszłości, będzie niezawodnie idea współwłasności przedsiębiorstwa. Robotnicy, mający udział w zarządzie przedsiębiorstwa i w jego zyskach, będą skłonni do uznawania siebie za współwłaścicieli w imię tej starej zasady, że właściciel zarządza swem dobrem. Tym sposobem instytucja, której początki oglądamy, może doprowadzić do zasadniczej zmiany współczesnego ustroju.

Wreszcie zwracam uwagę, że postulat udziału wysunęli najpierw robotnicy, potem niżsi urzędnicy. W dalszym ciągu obie kategorje będę uwzględniał, tj. robotników i pracowników, choć nieraz użyję tylko terminu »robotnik«.

II. Żywotność i popularność postulatu.

Instytucja udziału robotników w zarządzie jest zagadnieniem bardzo aktualnem ze względu na siłę tego postulatu[1]) i próby realizacji w kilku państwach.

Przemysłowcy naogół zajęli nieprzychylne stanowisko wobec tego postulatu. Rada Centralnego Związku Polskiego Przemysłu Górnictwa, Handlu i Finansów na posiedzeniu w dniu 23 maja 1921 r. uchwaliła następującą rezolucję. Postanowienie to przytaczam w całości ponieważ centralny związek skupia prawie cały nasz świat przemysłowo handlowy.

1. Jedynym kierownikiem spraw, dotyczących zarządzania, wytwórczości, zakupu i sprzedaży w przedsiębiorstwach przemysłowych lub handlowych może być tylko zarząd tego przedsiębiorstwa, w drodze legalnej ustanowiony i podany do publicznej wiadomości, zgodnie z przepisami obowiązującemi, jako organ jedyny prawnie odpowiedzialny za kierownictwo przedsiębiorstwa.

2. Nikt z osób postronnych, czyto fizycznych, czy prawnych, poza organizacjami państwowemi, działającemi na mocy wprowadzonych legalnie ustaw, nie powinien nabywać praw kontroli i decyzji we wszelkich bez wyjątku sprawach, dotyczących kierownictwa przedsiębiorstw.

3. Działalność t. zw. delegacyj robotniczych jest o tyle dopuszczalna w przedsiębiorstwach przemysłowych, o ile zakres ich atrybucyj nie uszczupla w niczem praw i obowiązków kierownictwa przedsiębiorstwa. T. zw. delegacje robotnicze mogą mieć jedynie charakter przedstawicielstwa robotników przedsiębiorstwa wobec kierownika tegoż przedsiębiorstwa. Przedstawicielstwo takie, nie uszczuplając w niczem praw i wolności pojedyńczych robotników, może przedstawiać w czasie, wyznaczonym ku temu i ogłoszonym przez zarząd przedsiębiorstwa, jego kierownictwu wszelkie życzenia robotników, wiążące się bezpośrednio z ich potrzebami oraz warunkami pracy. Ostateczna zaś decyzja musi być zawsze bezwzględnie pozostawiona kierownictwu przedsiębiorstwa. Delegaci robotników nie mogą nie podlegać przepisom ogólnym o porządku i pracy w przedsiębiorstwie i nie mogą korzystać z jakichkolwiek przywilejów i praw większych od tych, które im nadaje wykonywana przez nich praca zawodowa.

Warstwy robotnicze są naogół wprost przeciwnego poglądu na udział w zarządzie.

Już przed wojną żądanie to było głośno proklamowane i bronione w pertraktacjach z przemysłowcami, zwłaszcza w chwili zawierania umów zbiorowych w szczególności w przedmiocie warunków pracy. Po wojnie postulat ten stał się jeszcze żywotniejszym, objął sprawy

---

[1]) Przynajmniej wśród przywódców robotników, jeśli nie w szerokich masach. Por. przytoczone poniżej sprawozdanie Gottschalka.

właściwego zarządu i znalazł obrońców wśród innych warstw, zajmujących się badaniem lub realizacją sprawiedliwości społecznej.

Kilka przyczyn złożyło się na ten wzrost pretensyj robotniczych. Najpierw sama wojna, w której liczebny udział robotników był olbrzymi. Żołnierze, po powrocie z pola walki, nie chcieli być tylko siłą rozporządzalną, ale, jak w walkach, tak i teraz w życiu gospodarczem, chcieli być siłą świadomą i odpowiedzialną. Taka zmiana nastroju jest tem zrozumialsza, że już w czasie wojny robotnicy zyskali wielkie wpływy polityczne. W Niemczech w r. 1918 powołano na stanowiska ministerjalne przywódców związków zawodowych, z pośród socjalistów np. Schlicke'a, Bauera, z pośród katolików F. Giesberts'a, A. Stegerwalda itd., a ministrem pracy został dyrektor Volksvereinu Ks. Dr. Braun. W tych samych Niemczech, w terminach bardzo ciężkich dla państwa i dynastji, sam Wilhelm jeździł do fabryk Krupa, aby zyskać dla swoich planów przychylność i poparcie robotników. Podobnież w Anglji żaden minister nie wszczynał ważniejszej akcji, jeśli się przedtem nie porozumiał z przedstawicielami robotników, zwłaszcza tymi, którzy dostarczali węgla i artykułów wojennych, przewozili towary i amunicję itd. Nie pozostała bez wpływu i ta ogromna nierówność między wzrostem dochodu przemysłowców a zarobkiem robotników, zwłaszcza w przemysłach o charakterze prawie monopolicznym, jak górnictwo.

Wśród socjalistów są dwa prądy. Jedni, jak bolszewicy i komuniści, spartakusowcy i mniejszościowcy, są przeciwni udziałowi robotników w zarządzie, gdyż pragną odrazu wziąć w swe ręce kierownictwo życia gospodarczego. W tym celu np. przywódcy Confédération Générale du Travail (C. G. T.) we Francji, po zjeździe w Lionie (15 paźdz. 1919) założyli Conseil Economique du Travail, tj. Radę, do której mieli wejść przedstawiciele wszelkich zawodów, a więc wytwórcy, tj. pracownicy fizyczni i umysłowi przez pośrednictwo samej C. G. T., technicy z U. S. T. I. C. A. tj. z Union Syndicale des Techniciens de l'Industrie, du Commerce et d'Agriculture, spożywcy z Federacji współdzielczej i społeczeństwo przez delegatów z Federacji Urzędników. Rada podzielona na osiem wydziałów, działając już w ustroju kapitalistycznym, miała się przygotować do wzięcia w swoje ręce zarządu gospodarstwa narodowego w chwili rewolucji socjalnej. Trzeba się obawiać, że to terminatorstwo i czekanie na rewolucję będą trwać dość długo. Inni, bardziej umiarkowani, przyjmują udział w zarządzie przedsiębiorstw, jako pierwszy stopień na drodze ku ich całkowitej socjalizacji.

Z tem samem żądaniem udziału w zarządzie spotykamy się wśród robotników katolickich, jak świadczy np. odezwa, wydana w r. 1919 przez Międzynarodowy Związek Stowarzyszeń Zawodowych chrześcijańskich, lub uchwały Rady Federacji Włoskiej Robotników tamże r. 1919 na zjeździe w Faenza. Przygotowaniem projektu ustawy w sprawie udziału robotników w zarządzie zajmowała się pod koniec 1921 r. Rada Chrześcijańskich Związków Zawodowych w Warszawie. Robotnikowi warszawskiemu są jednak znane i dalsze postulaty. W broszurze, wydanej w 1918 r., p. t. »Zasady ogólne ruchu chrześcijańsko demokratycznego. Prawodawstwo robotnicze«, str. 8, czytamy, że

Kapitał zawsze będzie groźnym i niebezpiecznym dla robotnika, bez względu na to, czy będzie on w ręku prywatnem, czy państwowem; jedyną dla robotnika drogą do unieszkodliwienia kapitału jest zdobycie go w swoje ręce i poddanie pod swój własny zarząd.

Za udziałem robotników w zarządzie wypowiedziały się różne koła naukowe, jak np. we Francji L'Association pour la Protection légale des Travailleurs, sekcja paryska, w obradach, ciągnących się przez cztery posiedzenia w czerwcu i lipcu 1919 r.[1]), oraz Union d'Etudes des catholiques sociaux, luźny związek, który po przerwie, spowodowanej wojną, wznowił swą działalność w r. 1919 i wziął pod obrady zagadnienie udziału robotników w zarządzie. Koła prowincjonalne w ciągu całego roku obradowały nad tym tematem, poczem na ogólnem zebraniu 11 kwietnia 1921 r. powzięto uchwałę, uzgodniającą wnioski wszystkich kół. Rezolucja stwierdza najpierw,

że na mocy zasad, których katolicy społeczni zawsze bronili, mają oni obowiązek przygotować stopniowe wprowadzenie do ustroju gospodarczego każdej instytucji, któraby, rozwijając naprawdę wśród robotników świadomość zawodową i solidarność interesów robotników z przedsiębiorstwem, w którem pracują, stanowiła postęp moralny i społeczny... Ta tradycyjna dążność katolików społecznych zgadza się z pragnieniem, wyrażonem obecnie przez wielką liczbę robotników, że chcą oni być ściślej związani z organizacją produkcji i mieć większy udział w podziale wytworu... Dążenia te są zasadniczo słuszne, bo ustrój najemnictwa nie jest nietykalny. Owszem, zdaje się, że dla rozwoju produkcji jest pożyteczną rzeczą zainteresowanie pracownika w powodzeniu przedsiębiorstwa... Należy więc poprzeć projekty w przedmiocie współkierownictwa, z tem jednak, 1) że kierownictwo pozostanie jednem i że udział robotników w niem nie może, bez niebezpieczeństwa dla wszystkich, zwyrodnieć w parlamentaryzm fabryczny; 2) że udział robotników w zyskach

[1]) Fr. Fagnot, La Part du Travail dans la gestion des entreprises. Paris 1920. Odwołując się do tych uchwał będę używał skrótu APT.

przedsiębiorstwa nie był dotąd przedmiotem dostatecznych doświadczeń, któreby pozwalały uczynić z niego obowiązek prawny[1]).

Niezmiernie pouczającem i charakterystycznem jest stanowisko biskupów w omawianej tu sprawie. Czterej biskupi, delegowani przez episkopat amerykański do Narodowego Komitetu Wojennego, wydali odezwę, w początkach 1919 r., w sprawie zapewnienia sprawiedliwości społecznej i uspokojenia ludu. Uznają w niej za potrzebną rzecz szerokie przedstawicielstwo robotników w takich sprawach, jak kontrola metod i narzędzi, wartość wytworu, przyjmowanie i zwalnianie personalu, godziny pracy, wysokość zarobku, premje, dobre warunki pracy, karność fabryczna, stosunek do organizacyj zawodowych. Co więcej, »produkcja nie osiągnie rozwoju, do którego jest zdolna, tak długo, dopóki większość robotników będzie uznana za prostych najemników. Trzeba, aby ich większość w ten czy w inny sposób stała się właścicielami, przynajmniej częściowo środków podukcji. Do tego celu prowadzi kooperatywa wytwórcza, współwłasność przedsiębiorstw i udział w kierowaniu niemi[2]). Do podobnych wniosków doszli biskupi irlandzcy w liście pasterskim, wydanym 11 lutego 1914 r. z powodu ostrego zatargu w przemyśle. Między innemi przywódcy postawili hasło wzięcia przemysłu w ręce robotników.

»Zdaje się, czytamy w tym liście, w obecnej chwili, w ogromnej większości wypadków, byłoby rzeczą bardzo trudną prowadzić przedsiębiorstwo handlowe (przemysłowe), w którego rządzie braliby udział robotnicy. Ale zdaje się też, że świat przemysłowy znajduje się w okresie przejściowym, w którego końcowej ewolucji można przewidywać podobny stan rzeczy. I trzeba sobie przypomnieć — mając zresztą na uwadze ciągłe zmiany, wprowadzane do ustroju industrjalnego przez maszyny i nowoczesne wynalazki, — że Kościół zawsze pragnął rozszerzenia własności dla dobra ludzi, że Kościół w okresie swoich największych wpływów społecznych dopuścił wykonywanie przez robotników szerokiej kontroli nad przemysłem. Jednego tylko nie uczynił

[1]) W broszurze, wydanej przed tą uchwałą, jeden z głównych pisarzów ruchu chrześcijańsko społecznego we Francji, Joseph Zamanski (La Participation des salariés à la gestion et aux bénefices de l'entreprise. Paris, Action Populaire 1920) wypowiada się przeciw tym nowym dążeniom, bo one zrywają z organizacją całego zawodu, jak tego pragną ci pisarze, na rzecz fabryki. L'objectif n'est plus le métier à réorganiser, c'est chaque entreprise à transformer. Ce ne sont plus les travailleurs de toute une profession qui sont appelés à prendre conscience d'intérêts communs, dominant les appétits particuliérs; ce sont les employés de telle usine qui veulent connaître des affaires de leur usine, y participer, les conduire, en bénéficier, eux, exclusivement (str. 13—14).

[2]) Przyt. J. Zamanski, La participation s. 10.

i nie uczyni nigdy, tj. nie uprawni walki, wypowiedzianej kapitałowi, ani niezachowania wierności umowom, jak również nie może nigdy usankcjonować naruszenia praw pracy«. Owszem »jeśli kto da albo przynajmniej zaproponuje rozumny system, w którymby sami robotnicy naszego kraju bez pomocy pracodawców kierowali przemysłem, Irlandczycy będą chętni do uczynienia tej próby«[1]).

III. Za i przeciw.

Przeciwnicy udziału robotników w zarządzie przedsiębiorstwem kierują przeciw tej instytucji różne zarzuty, ale nawet jej zwolennicy odczuwają pewne wątpliwości. Ważniejsze z tych wątpliwości i zarzutów są następujące.

1. Koniecznym warunkiem dobrego funkcjonowania przedsiębiorstwa jest istnienie autorytetu gospodarczego i jego autonomja, która umożliwia szybkie, zdecydowane postanowienia, wykorzystanie chwilowych warunków ekonomicznych i społecznych. Zakład wytwórczy lub handlowy nie jest towarzystwem dyskusyjnem, w którem się obraduje, pogłębia różne zagadnienia i uchwala wnioski, ale jest społeczeństwem, opartem na wewnętrznej dyscyplinie, wskutek czego jedni rozkazują a inni wykonują te rozkazy, oraz uzależnionem w swym rozwoju od przedsiębiorczości i wybitnej, niekiedy genialnej intuicji przemysłowca. Otóż udział w zasadzie wprowadzi do fabryki parlamentaryzm, to znaczy wprowadzi perjodyczne obrady i odwlekanie postanowień, utrwali i uprawni rostrój opozycyjny robotników wobec przemysłowców, już obecnie wskutek haseł walki klasowej tak silny, że go można uznać za charakterystyczne znamię stosunków między pracodawcą i robotnikiem; odzwyczai robotników od posłuszeństwa w sprawach pracy, bo będą zawsze liczyć na pomoc swoich delegatów, oraz rozszerzy atmosferę wiecową i polityczną. Straci na tem nie tylko autorytet przemysłowy, lecz także zmniejszy się wskutek tego i wydajność pracy.

2. Kierownictwo współczesnych zakładów wytwórczych i handlowych wymaga takiej wiedzy ekonomicznej i technicznej i takiej specjalizacji, że nawet wykształceni przemysłowcy nie mogą polegać na swoich wiadomościach, ale zasięgają informacji od licznych specjalistów. Natomiast robotnicy nie tylko nie posiadają wyższego wykształcenia, ale zwykle nawet ogólnego; co więcej, nie są wstanie objąć swoim wzrokiem nawet całej działalności fabryki, w której są zatrudnieni, bo

[1]) Cały list w oryginale i przekładzie francuskim przytoczoczony w Mouvement Social 77 (1914) 201—218.

pracują zwykle w jakimś bardzo specjalnym dziale. Jakże im można powierzyć współdecyzję w sprawach takich, co do których trzeba się znać na konjukturze światowej, na sytuacji bankowej i finansowej, na mechanice itd. Ta nieznajomość rzeczy oraz wrażliwość na swoje uprawnienia i warunki pracy sprawi, że robotnicy przeniosą punkt ciężkości z zagadnienia produkcji na zagadnienie pracy, co się musi ujemnie odbić na całem gospodarstwie narodowem. Ciasnota poglądu i egoizm stanowy poderwą byt przedsiębiorstw, a już w najlepszym razie doprowadzą do nowej walki, w której przemysłowcy będą musieli bronić praw produkcji.

3. W gospodarczym ustroju wolnego współzawodnictwa właściciel przedsiębiorstwa musi zachować pewne rzeczy w ścisłej tajemnicy, np. swój stan finansowy i kredytowy, niektóre sposoby fabrykacji, dane dotyczące pokupu wytworów itd. Inaczej naraża się na utratę rynku zbytu, może na kryzys krótszy lub dłuższy, może na bankructwo. Otóż czy jest rzeczą możliwą zachowanie tajemnicy, skoro delegaci będą mieli prawo dowiedzenia się o wszystkich szczegółach i skoro będą mieli obowiązek zdać sprawę ogółowi robotników ze swej działalności?

4. Nowa instytucja będzie źródłem nowych, dotąd nieznanych zatargów. Skoro ma przedstawiać zarządowi fabryki pretensje robotników, to takie pretensje muszą się znaleść. Powstanie cały szereg zatargów, dotyczących działania tej instytucji, którychby nie było, gdyby nie stworzono samej instytucji. Zwłaszcza sprawa kompetencji i rozszerzenie tej kompetencji na działy, dotąd zastrzeżone przemysłowcowi, stanie się źródłem nieustannego wrzenia i strajków. Trzeba się też obawiać, że delegaci robotniczy będą głównie agitatorami i demagogami, że nie dołożą ręki do utrzymywania pokoju i zakończenia dyskusji, zwłaszcza gdyby robotnicy musieli ze swoich żądań ustąpić, a będą to robić, aby nie stracić stanowiska, wpływów i dochodów.

Nie brak jednak argumentów, wykazujących dodatnie strony udziału robotników w zarządzie i wyjaśniających przedstawione tylko co wątpliwości.

Więc najpierw zwolennicy udziału odpowiadają, że trzeba też liczyć na dobrą wolę robotników i na odczucie przez nich ich własnego interesu. Obok agitatorów i demagogów lub ludzi przesiąkniętych nienawiścią są robotnicy dobrej woli, miłośnicy sprawiedliwości i pokoju społecznego, pracownicy, przywiązani do swego warsztatu pracy. Nadto, jest rzeczą nieprawdopodobną, by robotnicy nie odczuli i nie zrozu-

mieli swego interesu. Jeśli np. obecnie przemysłowcy i kapitaliści potrafią zachować tajemnicę fabryczną, bo tego wymaga ich dobro gospodarcze, dlaczegoby do tego samego z tych samych pobudek mieli nie być zdolni robotnicy? Gdy uważają przedsiębiorstwo za przedsiębiorstwo wyzysku, nic dziwnego, że chcą mu szkodzić, ale gdy zyski przedsiębiorstwa będą ich zyskami, dlaczego mieliby postępować inaczej niż przemysłowcy?

2. Dojście do porozumienia z robotnikami jest konieczne, jeśli się ma rozwijać przemysł narodowy. Musi się podnieść produkcję i musi nastąpić uzgodnienie dążeń zarobkowych z wytrzymałością przedsiębiorstw i wymaganiami gospodarki krajowej. To zaś jest możliwe do osiągnięcia tylko wtedy, gdy robotnicy będą wiedzieli, jaki jest stan rzeczy i gdy przyjmą na siebie część odpowiedzialności za produkcję. Dotychczas odpowiedzialność ciąży tylko na pracodawcach, a w rzeczywistości stan produkcji zależy od pracodawców i od robotników. Niech więc robotnicy, którzy myślą tylko o swoich zarobkach, przyjmą na siebie część odpowiedzialności, która naprawdę na nich spoczywa. Przez taki udział w odpowiedzialności robotnicy z konieczności będą musieli porzucić opozycyjne stanowisko wobec przedsiębiorstwa i zainteresować się niem, jak swojem. A gdyby tego uczynić nie chcieli z własnej woli, może ich do tego zmusić opinja publiczna, jak nieraz wpływała na pracodawców.

3. Dotąd robotnicy mało zdają sobie sprawę z ryzyka, ponoszonego przez kapitał, z kosztów produkcji, ze znaczenia walki konkurencyjnej itd., a pracodawcy prawie nic nie wiedzą o dążeniach robotniczych, o poglądach i ideałach proletarjatu. Zetknięcie się tych dwóch światów ze sobą na jednem posiedzeniu, poznanie się blizkie i bezpośrednie musi z konieczności osłabić walkę klasową, uczynić bezprzedmiotowemi i bezwartościowemi zatargi, np. co do wysokości zarobków, co do wprowadzenia nowych maszyn, co do ograniczeń niezależności itd. Właśnie ta współpraca, to wniknięcie w zaułki i zakamarki pracy wytwórczej i handlowej, ta współodpowiedzialność poderwie znaczenie i wpływy agitatorów. Demagogja wykwita tylko na podłożu ciemnoty zawiści. Znajomość zaś rzeczy robotnicy zdobywać będą powoli. Przed wprowadzeniem powszechnego głosowania mówiono, że masy nie są zdolne do rządzenia państwem. Są to rzeczy do nauczenia się.

4. Co się tyczy w szczególności warunków pracy, to trzeba pamiętać, że robotnik nie posyła do fabryki swej pracy, ale sam idzie pracować, że wchodzi tu w grę osoba ludzka, że pracy ludzkiej nie

można kupować tak, jak się kupuje jakiś towar. Stąd jest rzeczą słuszną, aby w ustalaniu warunków pracy robotnik brał udział, aby się to nie działo bez niego i nie było mu narzucone jak niewolnikowi.

Zwolennicy udziału nie mogli się powołać na doświadczenie na szerszą skalę. Natomiast przeciwnicy, np. w obradach APT., zaznaczali dość nikły wpływ prób, uczynionych w fabrykach przemysłu wojennego we Francji, na uspokojenie robotników; niektórych delegatów trzeba było nawet odesłać do oddziałów dyscyplinarnych. Obecnie wszakże posiadamy materjał doskonalszy, mianowicie sprawozdanie z funkcjonowania w ciągu prawie roku rad fabrycznych niemieckich. O działalności tych rad na terytorjum reńskiem, zajętem przez koalicję, komisarz belgijski przesłał swojemu rządowi obszerne sprawozdanie[1]), podpisane przez radcę prawnego Maksa Gottschalka. Czytamy tam, że wybory odbyły się bez wielkiej gorączki wyborczej nawet w zakładach wielkich. Robotnicy małych zakładów wykazali zupełną obojętność—tak, że sami pracodawcy skłaniali ich do wyborów, aby się stało zadość ustawie, i sami podawali kandydatów. Tylko we większych przedsiębiorstwach kandydatów wskazywały związki zawodowe. Chociaż delegatem mógł być ten, kto ukończył 24 lata, wybierano prawie ludzi między 30 i 40 rokiem życia, pracujących oddawna w danym zakładzie, znających jego sprawy, poważnych i rozsądnych. Są to przeważnie ludzie tak stateczni, że robotnicy zaczynają narzekać na ich bierność i brak inicjatywy. Sprawozdawca główną przyczynę tego stanu rzeczy widzi w tem, że »nawet najbardziej rewolucyjni członkowie rad fabrycznych, stanąwszy wobec rzeczywistości, wniknąwszy w tysiączne trudności związane z administracją przedsiębiorstwa, sami z własnej woli zajęli stanowisko rozsądniejsze, skłonniejsze do pojednania«. Rady fabryczne nie wyzyskały ważnego art. 66, który im pozwalał na podawanie zarządowi fabryki wniosków celem podniesienia produkcyjności i wprowadzenia nowych metod pracy. Sprawozdawca nie zna ani jednego wypadku, w którym rady przedstawiły jaki wniosek w zakresie podniesienia produkcji. Wogóle rady nie mieszały się do gospodarczej strony zakładu, poza drobiazgami, obchodzącemi bezpośrednio samych robotników. Główna działalność rozwijała się w dziedzinie spraw, interesujących robotnika, jako pracownika. I w tym zakresie była pożyteczna, choć

[1]) Obszerny wyciąg w belgijskiem Revue du Travail z lipca 1921 r. i w Dossiers de L' Action Populaire z 25 października 1921. Wydanie osobne: Gottschalk, La Répresentation des ouvriers dans la direction des entreprises en Allemagne, Koblencja.

nie zawsze rady mogły opanować masowy ruch robotników. Pracodawcy wyraźnie stwierdzają, że obawy co do przyszłości przemysłu, którą miały poderwać rady, okazały się dotąd bezpodstawne. Uczucie pracodawców na ogół jest takie: sehr umbequem, aber nicht schlimm. Niektórzy jednak, jak Walter Rathenau, uznają rady nie za malum necessarium, lecz za instytucje bardzo pożyteczne.

IV. Przedwojenne i wojenne próby realizacji.

Już przed wojną i w czasie wojny były czynione poszczególne próby dopuszczenia robotników do udziału w zarządzie przedsiębiorstw i w kierownictwie gospodarstwem narodowem. Dokonywało się to głównie na drodze zwyczajów i umów prywatnych.

Pod koniec XIX w. w bardzo wielu przedsiębiorstwach robotnicy uzyskali wpływ nietylko na określanie wysokości zarobków, co teoretycznie zawsze było warunkiem umowy najmu, ale nadto na ustalanie innych warunków pracy. Uzyskiwanie tego wpływu na sprawy, związane z zatrudnieniem pracy ludzkiej w fabryce, ustępowanie systemu patrjarchalno-monarchicznego na rzecz konstytucyjnego w zakresie społecznym dokonywało się powoli na drodze pokojowej, z inicjatywy samych pracodawców, lub na skutek zobopólnej umowy, albo na drodze walki strajkowej. Zwłaszcza umowa zbiorowa była tym aktem prawnym, w który przyoblekano dobrowolne lub wymuszone ustępstwa. Na jej treść zazwyczaj składały się następujące cztery grupy zjawisk: 1. zastrzeżenia przejściowe, jako wyraz zakończenia walki strajkowej, o ile strajk poprzedzał umowę, lub wogóle dotychczasowego stanu rzeczy, zatem postanowienia, które wejdą w życie lub przestaną istnieć w chwili podjęcia pracy, np. przyjęcie wydalonych robotników, usunięcie lub zmiana majstra, zaniechanie represalij za strajk, zapłata za strajk lub zrzeczenie się odszkodowania itd.; 2. warunki dotyczące pracy, np. wysokość i rodzaj zapłaty, czas i miejsce wypłaty, długość dnia pracy w ciągu tygodnia lub sezonów, zdrowotność i bezpieczeństwa pracy itd.; 3. porządek wewnątrz fabryki, nakładanie kar, układanie regulaminu fabrycznego, możność wychodzenia z fabryki w czasie pracy itd.; 4. klauzule, których celem jest wykonanie umowy zbiorowej, jej termin trwania, sposoby zmiany, komisje wspólne, wprowadzenie nowych maszyn i odbicie się tego na ilości pracy i jej zapłacie. Do tego trzeba dodać zyskiwanie wpływu robotników na instytucje dobroczynne

i społeczne, założone lub wspomagane przez fabrykantów, np. kasy pomocy w czasie choroby, kasy pośmiertne, szkoły itd.

Tym sposobem z pod wyłącznej dotąd kompetencji pracodawcy został wydzielony znaczny dział zarządu i przeszedł pod wspólną władzę przemysłowca i robotników. Przemiana była tem donioślejsza, że w wielu fabrykach powołano do życia stałe przedstawicielstwo robotnicze. Przysługiwał mu raczej głos doradczy, niż decydujący, ale jego główne znaczenie polegało na fakcie istnienia i na stałem funkcjonowaniu.

W czasie wojny w wielu krajach, jako rekompensatę za ograniczenia zdobyczy organizacyjnych i koalicyjnych, rząd stwarzał instytucję delegacji robotniczej w tych przedsiębiorstwach, które były jego własnością lub nad któremi wykonywał kontrolę. Tak np. minister wojny Albert Thomas w r. 1917 powołał do istnienia »delegatów personalu fabrycznego« w fabrykach przemysłu wojennego. W r. 1919 utworzono komisje mieszane na kolejach francuskich, wcześniej na angielskich. Takie komitety istniały w górnictwie. W Niemczech Hilfsdienstgesetz z 5 grudnia 1916 wprowadziła Arbeiterausschüsse do wszystkich zakładów, podlegających tej ustawie. Celem tych instytucyj było danie robotnikom możności przedstawienia swoich poglądów i życzeń w sprawach, związanych z pracą, albo nawet w sprawach prowadzenia zakładu.

Inną grupę zjawisk przedstawiają akcje, zakupywane przez robotników. Tu przedewszystkiem należy wymienić ustawę francuską z 25 kwietnia 1917 o akcjach pracy, loi sur les sociétés anonymes à participation ouvrière. Ogół robotników, zajętych w przedsiębiorstwie spółki akcyjnej, tworzy jak gdyby spółkę, upoważnioną do nabywania akcyj swego przedsiębiorstwa. Właścicielem tych akcyj jest spółka robotników, oni też dzielą się między sobą dywidendą i wysyłają delegatów do rady nadzorczej i na ogólne zebranie akcjonarjuszów. Akcje biorą udział w zyskach w razie likwidacji przedsiębiorstwa, ale akcjom kapitału przysługuje pierwszeństwo. Na podobną drogę weszła Fédération chrétienne des syndicats ouvriers de la province de Liège, wkrótce po zawarciu pokoju. Robotnicy, zajęci w różnych przedsiębiorstwach prowincji Liège, tworzą rodzaj spółki czy kooperatywy, celem zakupu akcyj różnych, przedewszystkiem ważniejszych przedsiębiorstw tej prowincji. Ponieważ posiadanie akcyj da prawo obecności i głosu na posiedzeniach akcjonarjuszy, przeto kooperatywa zyskuje dla siebie to prawo i wysyła swoich ludzi na posiedzenia spółek, których ma akcje. Takim delegatem na posiedzenia akcjonarjuszy

jest jeden z twórców tej instytucji Paweł Dessart, adwokat, profesor prawa w technicznej szkole św. Łukasza i radca prawny wspomnianej Federacji. Celem spółki jest, jak głosi odezwa, »sprowadzenie uspokojenia społecznego, odbudowa naszej ojczyzny na nowych podstawach przez poprawę położenia robotników pod względem materjalnym i moralnym. Chcemy podawać do wiadomości akcjonarjuszów i dyrektorów życzenia robotników i pracowników. By jednak ten cel osiągnąć, musimy się włączyć do zebrań akcjonarjuszy, musimy tam rozprawiać jako im równi, słowem, musimy zostać akcjonarjuszami«. Nowa instytucja jest spółką, z odpowiedzialnością do wysokości kapitału zakładowego; jej członkowie nie są odpowiedzialni solidarnie, lecz każdy z osobna do wysokości swego udziału. Kapitał spółkowy, którego wysokość nie jest ograniczona, powstaje z udziałów 25 frankowych, płatnych w całości lub częściowo. Liczba udziałów dla jednego udziałowca nie podlega ograniczeniu. Udziałowcem jednak może być tylko członek związku, należącego do wspomnianej Federacji, o ile będzie przyjęty przez zarząd i oczywiście o ile wniesie udział. Własność akcyj należy do spółki. Podział zysku dokonywa się w ten sposób, że najmniej 10% idzie na powiększenie kapitału zapasowego, 5% przeznacza się na podział między udziałowców, którzy opłacili cały udział, to, co pozostaje, dzieli się w ten sposób, że 75% przekazuje się członkom odpowiednio do wysokości zakupionych przez nich udziałów z tem jednak zastrzeżeniem, że za otrzymaną sumę będą zakupione nowe udziały, a 25% otrzymuje do swej dyspozycji zarząd na cele propagandy. Pracodawcy przyjęli samą instytucję niechętnie, a delegatowi czynili wstręty. Dessart opowiada w raporcie, przedstawionym na zjeździe Tow. Economie Sociale Cátholique en Belgique, że gdy się pierwszy raz zjawił na zebraniu akcjonarjuszy spółki metalurgicznej, przewodniczący chciał go utrącić, raz przerywając mu, że sprawa, w której przemawia, nie wchodzi w zakres porządku obrad, a drugi raz, że nie należy do kompetencji zebrania ogólnego. Powoli jednak uprzedzenia ustąpiły i Dessart zdołał przeprowadzić niejedną sprawę z korzyścią dla robotników i spokoju społecznego.

Z projektem akcyj robotniczych wystąpiło w r. 1919 zrzeszenie Techników[1]). Cechą znamienną tego projektu jest przewidziana finansowa pomoc państwa celem umożliwienia zakupu akcyj robotniczych.

[1]) Uruchomienie przemysłu przez państwowe uwłaszczenie pracujących. Referat Zrzeszenia Techników, opracowany na podstawie projektu inż. Tadeusza Sliwińskiego. 1919, stronic 12.

Wreszcie należy wspomnieć o instytucjach, które zapewniały robotnikom wpływ na warunki pracy i życie gospodarcze w zakresie gospodarstwa krajowego, mianowicie o izbach i radach pracy. Najstarsze są belgijskie, od 1887 r. a od 1892 r. Conseil supérieur du Travail, złożony z pracodawców, robotników i ekonomistów oraz społeczników. We Francji od r. 1891 działa Conseil supérieur du Travail, w którym zasiadają robotnicy, a ustawa z 17 lipca 1908 r. pozwala zakładać Conseils consultatifs du travail. Podobne izby mają Holandja i Włochy. Ustawa austrjacka z 26 lutego 1920 r. pozwala na organizację Kammern für Arbeiter und Angestellte. Otóż wszystkie te instytucje mają za zadanie przedstawicielstwo, względnie obronę interesów pracy najemnej wobec władz komunalnych i państwowych. Często też projekty ustaw idą najpierw pod obrady izb.

V. Dwa rodzaje prób głównych.

Obok tych, mniej lub więcej ułamkowych prób, mamy planową akcję w zakresie udziału robotników w zarządzie przedsiębiorstw. Parlamenty i rządy, które tę akcję prowadzą, kierują się jednak dwoma różnemi poglądami na życie gospodarcze, mianowicie koncepcją korporacyjną albo koncepcją klasową. Zwolennicy organizacji korporacyjnej uznają konieczność stałego współdziałania obu warstw zainteresowanych. Do tego celu mają służyć, jeżeli nie mieszane związki i organizacje, to przynajmniej wspólne obrady. Organizacja nie powinna się zamykać w granicach fabryki i przedsiębiorstwa, ale objąć cały dział produkcji, cały zawód, a jej uwieńczeniem ma być organizacja międzyzawodowa. Wreszcie głównym organem działania winny być związki zawodowe. Natomiast koncepcja klasowa pragnie robotników i pracodawców rozbić na dwie odrębne a nawet wrogie sobie warstwy, których wzajemny stosunek należy określić jako walkę klasową. Głównym terenem działalności jest fabryka, zatem udział w zarządzie przedsiębiorstwa, udział zaś w zarządzie pracy wytwórczej w całym zawodzie schodzi na plan dalszy lub staje się nieaktualny. W cień się też usuwa związki zawodowe wobec ogólnych zebrań robotników i delegatów, wybieranych na tych zebraniach.

(Dok. nastąpi).

Ks. Dr. A. Szymański.

O społeczne obowiązki ziemian.

I. Głos ze sfer ziemiańskich.

W numerze listopadowym Przeglądu Powszechnego figuruje na pierwszem miejscu artykuł Ks. J. Rostworowskiego p. t. »Społeczna rola ziemian«. Na główną tezę i dużo szczegółów piszemy się bez zastrzeżeń, jednakowoż są tam pewne zwroty i myśli, których nie można — naszem zdaniem — pozostawić bez uzupełnienia czy komentarza, ponieważ mianowicie w kołach pozaziemiańskich, mogłyby być fałszywie tłumaczone i przeciw wielkiej własności wyzyskane.

Przedewszystkiem pominięcie zupełne strony ekonomicznej zagadnienia, zapowiedziane z góry przez autora, musi w tej materji, w której ciągłe aluzje do kwestyj gospodarczych są nieuniknione, prowadzić do pewnego braku ścisłości w pojęciach i wyrażeniach, który też w ciągu całego artykułu wyczuć się daje.

Co nas przedewszystkiem razi to, że autor — zupełnie zresztą jak nasi lewicowcy — posiadanie większego obszaru uważa za »przywilej«. Gdyby ten wyraz zachodził raz tylko, możnaby przyjąć go za lapsus calami, ale on się powtarza uderzająco często i służy za argument kapitalny. Tymczasem to pojęcie, szerzone przez radykalne partje w dyskusjach i celach politycznych jest nieścisłe, a raczej z gruntu fałszywe. »Przywilejem« posiadanie ziemi przestało być w środkowej i wschodniej Europie w połowie mniejwięcej zeszłego wieku, w Polsce wówczas rozćwiartowanej, z chwilą uwłaszczenia. Od tego czasu każdy, posiadający odpowiedni kapitał, mógł kupić ziemi, ile chciał, a zatem nie było przywileju dla nikogo wobec prawa. Naturalnie i dziś wykształcenie i bogactwo pod każdą formą nakładają pewne społeczne obowiązki podobne tym, jakie niegdyś spadały na ziemiaństwo, recte ówczesną szlachtę. O przywilejach może tu tylko mówić wywrotowiec, któremu zbyt niedogodnie wyznać publicznie, że walczy przeciw pewnej klasie

własności prywatnej — nonsens to zbyt widoczny, więc mówi się dla lepszego retorycznego efektu o »przywilejach«. Oczywiście zdeklarowany socjalista zawsze mówi o »przywilejach« klas posiadających, ale musi wtedy przyznać, że w jego pojęciu przywilejem jest własność każda, mniejsza czy większa.

Ks. J. R. stanowczo jednak pozostaje pod wrażeniem, że wielka własność to społeczny przywilej, tylko pisze, że »z chwilą gdy..... zniknął ostatni ciężar, jakim ziemia obciążoną była przy nadaniu, los większej własności był nieodwołalnie przesądzony«. Otóż z pewnością we Wielkopolsce doceniamy obowiązki społeczne, jakie nakłada wielka własność, ale nie należy zapominać, że jej rację bytu stanowią potrzeby natury gospodarczej i te przedewszystkiem zapewnić jej powinny egzystencję i znaczenie. Gdybyśmy wszyscy za ewangelję przyjęli artykuł Ks. J. R. w słowie i czynie, niewątpliwie opinja spostrzegłaby się, że owych smutnych wyjątków wśród młodzieży ziemiańskiej, o których mowa na ostatniej stronicy artykułu ks. J. R. szczęśliwie w kraju ubywa. Jednakowoż sądzimy, że wobec dzisiejszych prądów dużo skuteczniej wpłynie na losy reformy rolnej np. obliczenie zrobione świeżo i dokładnie w czasie wojny, że sto tysięcy mórg w rękach wielkiej własności daje żywności (żyta i kartofli) na 40.000 ludzi więcej aniżeli, caeteris paribus, ta sama ziemia w posiadaniu włościan.

Każda klasa posiada swoje społeczne obowiązki, zaniedbywać nie wolno ich nikomu, ale żadna klasa dziś nie może swej egzystencji opierać wyłącznie na »roli społecznej«, jaką odgrywa. Jeśli chce istnieć, musi być koniecznie produktywną bezpośrednio. Z trudnością wytłumaczy się sejmowi Daszyńskich i Witosów, że społeczny i cywilizacyjny wpływ szlachty na wsi potrzebny; daleko łatwiej zrozumieją, że dla skarbu konieczny spirytus i cukier, którego drobna własność nie da. Z chwilą gdy masy wyborców sejmowych dojrzeją do zrozumienia elementarnych zagadnień gospodarstwa krajowego, co kiedyś musi nastąpić, jeśli mamy istnieć jako państwo, wyliczy sobie może, że mamy więcej ludności na kilometrze kwadratowym od Francji i Anglji, a nie mamy Algieru ani Kanady, skąd dowozi się tanią pszenicę, że nasze wybrzeża wąskie i wiecznie zagrożone, że więc potrzebna nam w kraju produkcja masowa o niskich kosztach przewozu, a tego okolice rozparcelowane, jak zachodnia Małopolska i niektóre części Kongresówki, nie dadzą.

Zaznaczyć też należy, że, poza poczuciem odpowiedzialności i obowiązku, przedewszystkiem dostatek technicznych wiadomości i tężyzna zawodowa nawet do wypełniania społecznych obowiązków ziemianina

są konieczne. Ks. J. R. zadaje sobie słusznie pytanie jak trafić do ludu wiejskiego, pozyskać jego zaufanie itd., ale naszem zdaniem nie daje na to pytanie wyczerpującej, ścisłej odpowiedzi. Nie podzielając może na dziś wszystkich iluzyj autora co do charakteru naszej ludności wogóle, mamy przekonanie, że niema lepszego sposobu pozyskania ludności włościańskiej, jak w rzeczach dotyczących własnego ich zawodu służyć nie radą, a mianowicie przykładem. Zaufanie mieć będą do dobrego gospodarza, który za swojemi interesami chodzić potrafi energicznie, choćby trochę bezwzględnie. Zbliżenie na każdem innem polu zawsze u nich wywołuje pewne niedowierzanie, tak samo zbytnia bezinteresowność, którą mają za nienaturalną i podejrzaną.

Najlepiej też obowiązki swoje społeczne wypełni ten ziemianin, który najgruntowniej przygotowany będzie do gospodarczych. Dlatego trudno mówić o społecznej roli ziemian, pomijając zupełnie fakt, że i gospodarcze zadania dla wielkiej własności w Polsce istnieją bardzo poważne, a zupełnie odrębne od tych, jakie przypadły własności drobnej i których ona spełnić nie może. Ludowcy udają, że tego nie widzą; i jeśli są inni, którzy nie widzą lub także udają, że nie widzą, to kraj na tem na dłuższą metę wyjść gotów fatalnie. Nie widzę jednak powodu, abyśmy sami przyczyniali się do szerzenia tego błędnego poglądu. Wypełniajmy oczywiście jak najgorliwiej nasze obowiązki społeczne, niechaj się nikt od nich nie usuwa, ale niech każden wie, że to nie jest jedyna jego racja bytu.

Projektowane zniszczenie wielkiej własności w Polsce, jeśli nastąpi, będzie przedewszystkiem wypływem prądów radykalno-socjalistycznych, a nie społeczno-narodowych, będzie gospodarczo i politycznie destruktywnem, a zatem mało będzie posiadać charakteru dziejowej nemezis, jakiby nadać chciała reformie rolnej lewica, za którą tu znów idzie Ks. J. R. Kary za błędy dopatrzeć się można zawsze i wszędzie, bo gdzie byli ludzie, tam były i błędy; jeśli jednak o szlachtę polską chodzi, to pamiętać należy, że we wszystkich trzech zaborach i na wszystkich kresach wszystko, co z Polski zostało polskiego, to powstanie i istnienie do dnia dzisiejszego zawdzięcza pośrednio czy bezpośrednio polskiej szlachcie, a raczej jej resztkom. Ci, co o tem zapomniećby radzi, po większej części patrjotyzm swój zasadzają na nienawiści społecznej czy plemiennej, ale zawsze na nienawiści — są to żywioły burzące, a nie twórcze. Jeśli nie można unieszkodliwić na razie ich niszczycielskiej roboty, przynajmniej nie należy poddawać się suggestji przewrotnych ich rozumowań. Czytając artykuł Ks. J. R., odnosi się wrażenie, że jest

on częściowo takiej suggestji owocem. Całe ustępy o »feudaliźmie«, o »łatwych korzyściach« suggestją taką trącą.

Czy nie wiadomo autorowi omawianego artykułu, że w całej właściwie Polsce utrzymały się po uwłaszczeniu, a zatem w czasokresie bardzo niedługim, zaledwo resztki wielkiej własności[1]) !? Widocznie więc korzyści ani tak wielkich, ani tak łatwych własność ziemska nie daje. Przeciwnie, finansiści wiedzą doskonale, że nigdzie pieniądz wiożony nie daje tak niskiego oprocentowania, jak w rolnictwie. Jeśli zaś w 75 latach $^1/_2$ wielkich właścicieli w Polsce »wypsiała«, to dowód chyba, że natrafiali na znaczne na swej drodze przeszkody,

Reminiscencje jakieś feudalizmu musiałyby być pod każdym względem szkodliwe, ale i tu u Ks. R. silnej dopatrzeć się można suggestji. Toż większa administracja rolnicza więcej chyba podobna do zakładu przemysłowego czy nowoczesnego przedsiębiorstwa kupieckiego, aniżeli do jakiejś średniowiecznej instytucji. Jeśli radykalizm atakuje chętniej większą własność ziemską, niż kapitał w innej formie, to powodem jedynym perspektywa, że z pomocą obałamuconych włościan tę właśnie ze wszystkich placówek zachowawczych zniszczyć najłatwiej, odtworzyć raz zniszczonej niepodobna prawie.

Rozwijając dalej tezę, że wielka własność jedynie w społecznej swej roli znajdzie uprawnienie istnienia, Ks. J. R. nie daje obrazu wiernego dzisiejszego położenia, a w szczegółach dochodzi tu i ówdzie do konkluzyj całkiem nierealnych. I tak pisze, mówiąc o zaopatrywaniu, jego zdaniem »przejściowem«, miast przez większą własność: »Gdyby obywatele....., z wykluczeniem żydowskich pośredników, utworzyli byli spółki dla możliwie najtańszego wyżywienia miast« itd. Proszę mi darować, ale to już pretensje daleko posunięte. Weźmy przeciętny powiat w Kongresówce czy Małopolsce, a zatem obszar duży, odległości wielkie, drogi złe, ziemian wszystkiego kilkunastu porozrzucanych, czasem kilku tylko. I tych kilku ziemian ma nietylko produkta oddawać po cenie niższej, niż targowa — to się n. b. dzieje we Wielkopolsce według pewnego z góry ułożonego planu — ale jeszcze swoim kosztem i zachodem organizować osobne spółki, ponosić ryzyko przechowania i detalicznej sprzedaży, n. b. nie posiadając w swoim gronie personalu z wyszkoleniem kupieckiem! Uważamy, że tego to trochę za wiele i że tworzenie spółek celem zakupna produktów dla miast już miejskim

[1]) Jeżeli w zaborze pruskim jest inaczej nieco, to powodem bezpośrednim i jedynym, była polityka rządu pruskiego, nie dopuszczająca parcelacyj ze względów narodowościowych.

pozostawić trzeba sferom kupieckim, którym naturalnie wielcy producenci, o ile to ze swoim interesem jakośkolwiek pogodzić mogą, na rękę iść powinni.

Pozatem wrażenia artykułu Ks. J. R. nie pragnęlibyśmy osłabiać — ktoby jednak, nie znając stosunków w Polsce, przeczytał go bez komentarza, musiałby mniemać, że wielka własność pod względem gospodarczym całkiem bez szkody przez drobną zastąpiona być może; że więc prawo istnienia (nie »przywilej«) jedynie na podstawie społecznej swej roli uzyskać może. Z wszelkim respektem dla społecznych obowiązków, których nie można ziemianinowi ze wszech miar dość gorąco polecać, śmiemy twierdzić, że tak nie jest. Wielka własność na podstawie czysto gospodarczej posiada w Polsce prawo egzystencji nie mniejsze, niż każden inny producent, a w pewnych artykułach wytwórczości monopol, którego jej nikt nie odbierze. Kto, pisząc o roli ziemiaństwa, o tem zapomina, da obraz sytuacji niejasny, jeśli nie całkiem fałszywy.

Adam Żółtowski.

II. Wyjaśnienia Ks. J. Rostworowskiego.

Z wyjątkiem kilku uwag, mniej ściśle związanych z wątkiem rozumowań, cała myśl przewodnia powyższej krytyki mojego artykułu zamyka się w następującem zdaniu: »Ziemianie powinni wprawdzie spełniać obowiązki społeczne, ale błędem jest twierdzić jakoby spełnienie tych obowiązków było jedynym tytułem słusznego posiadania większej własności ziemskiej. Większa własność, będąc społeczeństwu ściśle potrzebna ze względów czysto gospodarczych, ma dostateczną rację swego bytu w ekonomicznej roli, jaką odgrywa i jaką sama jedna odegrać tylko może. Jeżeli zaś tak jest, to ogłaszanie większej własności za »przywilej«, choćby już skąd inąd nie było chybione, jest całkowicie bezpodstawne, a w obecnej chwili niewłaściwe i niebezpieczne«.

W odpowiedzi na przytoczony zarzut, którego myśl zasadniczą oddałem, jak sądzę, dosyć wiernie, pozwalam sobie zauważyć, że całe te wywody są w znacznej mierze prawdziwe, że jednak bynajmniej nie dotyczą tego zagadnienia, jakie było przedmiotem mojego artykułu. Szanowny mój krytyk — uważając mnie widocznie za zaciętego wroga wszelkiego obszarnictwa — czuje się w obowiązku bronić uprawnienia wielkiej własności jako takiej. A o czemże ja mówiłem? Od początku do końca mej pracy nie wspomniałem ni słowem, czy

wielka własność sama w sobie jest potrzebna czy nie potrzebna, a zapytywałem jedynie o to, czego potrzeba, by owa wielka własność mogła słusznie pozostać w ręku ziemian, czyli szlachty. A czy te dwie kwestje są identyczne? Każdy chyba widzi, że wielka własność, choćby była najściślej nieodzowna, mimo to może wyjść z władania dotychczasowych posiadaczy. Jeżeli bowiem całe jej uprawnienie wyprowadzać będziemy z konieczności »spirytusu i cukru«, albo z wydatniejszej produkcji »zboża i kartofli«, czyż tego samego rezultatu nie wydadzą większe obszary, posiadane np. przez spółki lub syndykaty, a zarządzane przez jednego agronoma? Nie o to więc chodziło i nie to było treścią mego artykułu. Gdybym był zagadnienie stawiał w sposób, w jaki Hr. A. Ż. je pojmuję, oczywiście, że nie mógłbym w odpowiedzi pominąć ekonomicznych punktów widzenia, które w tak postawionej kwestji są jedynie miarodajne. Mnie jednak chodziło o coś zupełnie innego. Pragnąc z głębi duszy, by jaknajwięcej naszej ziemi pozostało w ręku tej klasy, która dotąd głównie ją dzierżyła, zastanawiałem się jedynie nad tem, co powinno ziemiaństwo rzucić na szalę, by na wielkiej wadze sprawiedliwości społecznej zrównoważyć wielkość swego przywileju. Mówiąc zaś o »przywileju« — daruje mi mój krytyk, że od tego wyrażenia odstąpić nie mogę — nie myślałem oczywiście o żadnym »monopolu« i stąd nie poczuwam się do wdzięczności za pouczenie, że »każdy, posiadający odpowiedni kapitał, może kupić sobie ziemi, ile chce«.

Nie będąc niczyim monopolem, jest jednak władanie większemi obszarami ziemi wielkim przywilejem i to z kilku ważnych powodów.

Przedewszystkiem, powiedzmy jasno, bo jest to rzecz bardzo doniosła, w każdem znaczniejszem posiadaniu, jako takiem, mieści się spora doza przywileju. Jeżeli bowiem rozważymy prawdę, którą coraz jaśniej uwydatnia nowożytna ekonomja, że do wytworzenia i zachowania każdego większego majątku przyczynia się w ogromnej mierze współpraca wielu, a poniekąd i całego społeczeństwa, pojmiemy łatwo, że ten majątek może być w ręku jednego człowieka tylko w taki sposób, żeby rzeczywista własność była zarazem przywilejem, obciążonym przez różnorodne społeczne serwituty. Ta idea, jak to świeżo wykazał jeden z wybitnych naszych prawników, toruje sobie coraz bardziej drogę w nowoczesnem prawodawstwie; ta idea przenika dzisiejszą ekonomję społeczną i objawia się między innemi w postulacie dopuszczenia pracowników do udziału w zyskach każdego przedsiębiorstwa; ta idea jest przedewszystkiem najgłębszą podstawą demokracji

chrześcijańskiej i chrześcijańskiej filozofji społecznej. Własność jest i będzie coraz bardziej r z e c z ą s o c j a l n ą — nie w znaczeniu wspólnoty — ale w znaczeniu obciążenia posiadania serwitutem obowiązków względem bliźnich. Jeżeli do uświadomienia tej idei przyczynił się socjalizm — niestety on ją wypaczył w zawiązku — trzeba mu to poczytać za wielką i nieśmiertelną zasługę.

Co się tyczy własności ziemskiej, wogóle wziętej, wspomniany serwitut społeczny ciąży na niej jeszcze silniej, a zatem charakter przywileju występuje w niej jeszcze wyraźniej z dwóch przedewszystkiem powodów. Najpierw ziemia związana jest z bytem m a t e r j a l n y m społeczeństwa głębiej i bardziej bezpośrednio, niż jakiekolwiek inne dobra; powtóre od ziemi zawisł w ogromnej mierze byt ludności n a r o d o w y. Chociażby więc żadna inna własność nie była przywilejem, byłaby nim własność ziemska, która z najgłębszej swej natury nie może do swych posiadaczy należeć zupełnie b e z w z g l ę d n i e.

Najsilniej wreszcie występuje przywilej w władaniu w i ę k s z e m o b s z a r a m i ziemi, raz dlatego, co szerzej wykazałem w moim artykule, że większa własność ziemska przynosi nieobliczalne wygody i pożytki, powtóre dlatego, a dotyczy to specjalnie ziemian, że przeważna część praw do ziemi, jakie mają obecnie, pochodzi wprost lub ubocznie z n a j r z e c z y w i s t s z e g o p r z y w i l e j u, tj. z nadań królewskich i z kilkowiekowego monopolu szlachty. Jakkolwiek bowiem mało jest majątków, któreby przez paręset lat były w ręku jednej rodziny — jest to nawiasem mówiąc dość smutne dla szlachty świadectwo — dałoby się ściśle wykazać, że o l b r z y m i a w i ę k s z o ś ć dóbr ziemskich jest może w ręku dzisiejszych właścicieli przez dorobek, kupno, małżeństwa itd., ale zawsze na podstawie, której najgłębszem źródłem był pierwotny p r z y w i l e j.

Z tych tedy i wielu innych powodów nie mogę odstąpić od twierdzenia, że posiadanie przez ziemian większych obszarów ziemi, jakkolwiek prawniczo słuszne, jakkolwiek gospodarstwu krajowemu pożyteczne, musi jednak być okupione czyli zrównoważone i to n i e t y l k o »spirytusem i cukrem«. Obowiązek ten, rzecz prosta, nie jest zaskarżalny ani przed żadnym sądem, ani nawet przed »głównym urzędem ziemskim«, ale należy do tych ciężarów, które się ważą na szalach wyższej sprawiedliwości. Jeżeli zaś na tych szalach zapadnie wyrok: »znaleziony jesteś za lekki«, to nie potrzeba dla jego wykonania ani ustaw o wywłaszczeniu, ani żadnych innych podobnych środków, które bezpośrednio rzecz biorąc, bywają nieraz i krzywdzące. Wystarczą tu niestety

grzechy samych obywateli. Jeżeli mój krytyk podnosi, że w ciągu lat 75 połowa wielkich majątków w Polsce »wypsiała«, możnaby ściśle wykazać, że, nie biorąc w rachubę kataklizmów powstaniowych, 90% tego dobrowolnego wywłaszczenia przypisać trzeba brakowi cnót przedewszystkiem społecznych: życiu nad stan, lenistwu, niedostateczności fachowego wykształcenia. Chociaż bowiem daleki jestem od tego, by zapoznawać patrjotyczne zasługi ziemiaństwa, które mój krytyk słusznie podnosi, pozwolę sobie twierdzić i mam wrażenie, że nie jest to sąd krzywdzący, że aż do ostatnich czasów najmniej celowała szlachta polska cnotami społecznej natury. Dziś zaczyna pod tym względem być lepiej, i z przyjemnością zwróciłem na to uwagę, że jednak nie jest dotąd całkiem dobrze, tego między innemi dowodzi i jeden ustęp omawianej krytyki, którego nie mogę pominąć milczeniem.

Gdy jako jeden ze społecznych obowiązków ziemian wskazałem w moim artykule powinność przyjścia w pomoc głodnym i wydanym na łup spekulacji miastom, mój krytyk ocenił ten projekt, jako myśl »całkiem nierealną« i jako »pretensję zbyt daleko idącą«. Czy ta rzecz przedstawia tak wielkie praktyczne trudności, o jakich w krytyce wspomniano — pozwalam sobie wątpić, bo wielka część ludności miejskiej zorganizowana dziś jest w »konsumy« i nic nie było prostszego, niż podać tym konsumom w gazetach, umówione poprzednio w kołach ziemian, a przystępne oferty. Jakkolwiek jednak miałaby się rzecz z konkretnemi trudnościami, śmiem twierdzić, że trzeba było je pokonać, bo była to sytuacja z prawniczej strony może nienaganna, ale z chrześcijańskiego i społecznego punktu widzenia — wprost opłakana, żeby miasta wiły się i krwawiły w aprowizacyjnych brakach, a żeby naturalni ich żywiciele, ziemianie, żadnej, albo prawie żadnej dla nich nie ponieśli ofiary. Kto zważy bezstronnie, że równolegle z tragedją żywnościową miast, ogromna większość obywateli ziemskich bardzo znacznie postąpiła w dobrobycie, temu mimowoli muszą się nasunąć smutne refleksje.

Nie chcę tej odpowiedzi przeciągać, choć niejedna jeszcze nasuwałaby się uwaga. Dodaję tylko na koniec, że jeśli szanowny mój krytyk dopatruje się w moim artykule wpływu czyjejś »suggestji«, to mogę go najsumienniej zapewnić, że się myli. Na poglądy, jakie rozwijałem i którym nadal jeszcze służyć pragnę, wpłynęła ta tylko suggestja, której z głębi serca życzę całemu polskiemu ziemiaństwu — suggestja bliższego zetknięcia z żywą rzeczywistością społeczną, która siłą prawdy przymusza do rewizji rozmaitych odziedziczonych zapatrywań.

Ks. Jan Rostworowski.

Projekt biskupa Wereszczyńskiego regularnej armji polskiej na kresach.

Nie dosyć było jednak kolonizować kresy Rzeczypospolitej, niedosyć było budować zamki obronne na jej wschodnich granicach, należało zorganizować potężną armję, któraby raz na zawsze stała się najpewniejszym fundamentem obrony Rzeczypospolitej od najścia jakichkolwiek najeźdźców ze wschodu. Kwestja ta niejednokrotnie występowała na porządek dzienny. Troszczyli się o nią królowie, poczynając od Zygmunta I, poruszali i rozpatrywali wielokrotnie pisarze polityczni, poczynając od Modrzewskiego, Orzechowskiego i współczesnika Wereszczyńskiego, Grabowskiego, a kończąc na wielkich koryfeuszach sejmu czteroletniego, aż załatwioną została niestety zapóźno, kiedy i rozstrojone siły narodu nie mogły sprostać armji odpowiadającej potrzebom obrony kraju, i kiedy sąsiednie państwa wzmogły się niepomiernie daleko poza sobą pozostawiły Polskę pod względem strategicznym. Wereszczyński jak wielu innych rozumiał, że Polska nie idzie z postępem pod tym względem, równolegle do państw ościennych i jasno przewidywał, że brak armji stanie się bezpośrednią przyczyną upadku jej państwowości, to też uderzał na alarm z taką gwałtownością, jak gdyby dziś lub jutro ten upadek miał nastąpić, to też gromił »moczygębów i wydmikuflów«, którzy na jego wołanie nie reagują, zżymał się na młodzież szlachecką, która »ławy jeno w domu ze wstydem w próżnowaniu pociera« zamiast zapełniać szeregi armji narodowej na kresach.

Umysł Wereszczyńskiego wysila się nad zorganizowaniem stałej armji polskiej możliwie jak najmniejszym kosztem Rzeczypospolitej, bez uchwalenia specjalnych podatków wojennych. Pismo pod tytułem: „Publika księdza Józefa Wereszczyńskiego z We-

reszczyna, z łaski bożej biskupa Kijowskiego, a opata sieciechowskiego, Ich M. rzeczypospolitej na sejmiki przez list objaśniona, tak z strony fundowania szkoły rycerskiej synom koronnym na Ukrainie jako też Krzyżakom według reguły maltańskiej w sąsiedztwie z pogany i z Moskwą na wszystkiem Zadnieprzu dla snadniejszego ochronienia koronnego od niebezpieczeństwa wszelakiego. W Krakowie, w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka Roku Pańskiego 1594" — jest poświęcone tej właśnie sprawie.

Projekt Wereszczyńskiego jest taki. Założyć należy „szkołę rycerską" na Ukrainie, dokądby młodzież polska po ukończeniu zwykłych nauk w kolegjach i akademjach była wysyłana dla wyćwiczenia się w rzemiośle rycerskiem. Nie będzie to właściwie szkoła ale wojsko, ale wyborowa jazda polska, w każdej chwili gotowa stawić czoło najeźdźcy, gdyż zamiast kanclerza akademji, będzie posiadała hetmana wielkiego koronnego, zamiast rektora — hetmana polnego, zamiast dziekanów pułkowników, zamiast senjorów w bursach — rotmistrzów, zamiast doktorów albo mistrzów — poruczników, itd. Dziesięć tysięcy młodzieży pragnąłby zgromadzić Wereszczyński w tej szkole rycerskiej, uzbroić pięć tysięcy po husarsku, a pięć po kozacku. To wojsko regularne ma się dzielić na dziesięć pułków, na czele każdego stać ma pułkownik, na czele każdej setki porucznik, nad każdą dziesiątką przewodzić ma dziesiętnik. Czyni przytem Wereszczyński propozycję, by i poddanych swoich szlachta dopuściła do tej szkoły rycerskiej, wtedyby o cały tysiąc ilość wojska tego się powiększyła, gdyż uzbroiwszy po kozacku tylko cztery tysiące młodzieży szlacheckiej, możnaby było urządzić 2000 piechoty z mieszczan i chłopów. — Ową szkołę rycerską należy opatrzeć ze skarbu Rzplitej w działka polne, proch, kule, śmigownice i hakownice.

Tą dziesięciotysięczną jazdą, do której należałby kwiat młodzieży szlacheckiej, nie ogranicza się Wereszczyński, lecz proponuje fundować na Zadnieprzu zakon rycerski, któregoby obowiązkiem było bronić katolickiego państwa od napadów schyzmatyków i bisurmanów, z regułą wzorowaną na rycerzach Bożogrobskich. Na ten zakon należy włożyć obowiązek, aby po wieczne czasy na każdą potrzebę Rzeczypospolitej stawali z wielkim mistrzem na czele w liczbie sześciu tysięcy, opatrzeni przytem w działa i w broń wszelką, jednakowo także umundurowani, z krzyżami brunatnemi na żupanach. Do tego zakonu pragnie należeć

i on sam, biskup, Józef Wereszczyński i ma niezmienną wolę w nim dokończyć żywota swego, jak sam powiada, »dla dobrego ojczyzny naszej najmilszej, do tego coby było z pociechą chrześcijańską a hańbą pogańską«. Pragnąc zapewnić »posiłek szkole rycerskiej z wybrańcami, jako też i Krzyżakom, czasu wielkiej nawałności nieprzyjaciół na koronę«, Wereszczyński proponuje, by każde województwo raz na rok w ciągu tygodnia stawało w szyku bojowym, by każdy szlachcic, jeśli nie po husarsku, to przynajmniej piechotą w oznaczonym terminie się stawił na ćwiczenia, byle tylko miał szablę z półhakiem i prochu i kul dostatek, a przytem żeby w jednej barwie był z innymi.

Ponieważ szlachty obowiązanej do pospolitego ruszenia było trzysta kilkadziesiąt tysięcy, to na każde z trzydziestu czterech województw przypadałoby około dziesięciu tysięcy, czyli według tego projektu Wereszczyńskiego o każdej porze stałoby w pogotowiu 26 do 30 tysięcy dobrze uzbrojonego i wyćwiczonego wojska, co na owe czasy, wobec zalet rycerskich Polaków i zdolności wodzów naszych, stanowiłoby zupełnie dostateczną siłę, jeżeli nie do odparcia, to przynajmniej do powstrzymania wszelkiego od wschodu najeźdźcy, aż do zebrania się ze wszystkich województw pospolitego ruszenia. Wszak pod Orszą w 1514 r. Ostrogski z 30,000 pobił na głowę 80,000 armję cara Wasyla, wszak król Stefan Batory w 1574 r. z 30.000 doborowego wojska polskiego przedsiębrał całą wyprawę na Moskwę i zdobył Połock; wszak w r. 1621 wystarczyło Karolowi Chodkiewiczowi 35,000 rycerstwa polskiego i 30,000 Kozaków na odparcie 300,000 armji tureckiej, Władysław IV zaś w 1633 r. z 25,000 odparł 100,000 armję moskiewską Szeina. A przecież za czasów Wereszczyńskiego Polska posiadała takich wodzów, jak Zamojskiego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza.

Wereszczyński jednak pogmatwał nieco swój projekt, czyniąc przy każdym punkcie poprawki, a to na wszelki przypadek, by o ile tych najlepszych według jego mniemania propozycji na sejmie nie przyjęto, to przynajmniej w zmienionej gorszej postaci projekt stał się prawem. Chodziło mu przedewszystkiem o stworzenie wojska regularnego, chodziło mu następnie, by to wojsko było możliwie jak najdzielniejsze, jak najbardziej wyborowe, a więc rekrutowało się z możliwie jak największej ilości szlachty. Gdyby jednakże szlachta nie dała się zaciągnąć do projektowanej armji w dostatecznej ilości, trzeba było powołać daleko gorzej bijących się i mniej obytych z bronią chłopów i mieszczan. Gotów więc ograniczyć się tylko pięcioma tysiącami młodzieży szlacheckiej w „szkole rycerskiej“ to jest dwoma tysiącami

po husarsku uzbrojonemi, a trzema tysiącami po kozacku, ale w takim razie domaga się większej znacznie ilości piechoty wybranieckiej, by każdych 100 włościan i mieszczan królewskich jednego pieszego do „szkoły rycerskiej" wysyłało. Wreszcie zamiast popisów województw, Wereszczyński proponuje szlachcie wyprawiać do „szkoły rycerskiej" na miejsce swe wybrańców ze wsi szlacheckich i kościelnych na stu włościan jednego. Tym sposobem ma nadzieję piechotę wybraniecką do 30,000 doprowadzić. Według więc tych innych kombinacyj regularna armja polska stanowiłaby bardzo pokaźną jak na owe czasy liczbę 41,000.

Jeżeli chodzi o samą zasadę stworzenia armji regularnej, to głos Wereszczyńskiego był niezmiernej wagi, jak również podziwiać należy jego dalekowzroczność, że właśnie wschód a przedewszystkiem Moskwę uważa za najgroźniejszego i najniebezpieczniejszego wroga Rzeczypospolitej. W szczegółach pomysły jego posiadają słabe strony. Z projektem zakonu rycerskiego opóźnił się nasz biskup o parę setek lat; minął już bezpowrotnie czas zakonów rycerskich i wypraw krzyżowych, zapał do walki z niewiernymi ostygł dawno, ostudził go humanizm, rozbiła społeczeństwo europejskie reformacja, i naród nasz, zróżniczkowany wciąż jeszcze wówczas pod względem religijnym, nie był skłonny do połączenia sił wszystkich pod hasłem wspólnej walki z niewiernymi. Projekt więc Wereszczyńskiego bardzo piękny, bardzo poetyczny, nie był możliwy do przyjęcia, jeżeli chodziło o zastosowanie jego praktyczne. Proponowana przez Wereszczyńskiego szkoła rycerska była tylko pewną odmianą wojska kwarcianego. Na szczególniejszą uwagę zasługuje projekt pomnożenia piechoty wybranieckiej. Gdyby się udało przy usilnych i wielokrotnych staraniach nakłonić szlachtę, by zezwoliła na pobór ze wsi swoich setnego włościanina do wojska na podobieństwo wsi królewskich, Rzeczpospolita otrzymałaby wtedy raz na zawsze dosyć liczną piechotę regularną, która stałaby się najpoważniejszą podporą armji nowoczesnej. Aby przyciągnąć do służby rycerskiej najlepsze, najdzielniejsze jednostki, aby obudzić zapał do walki za ojczyznę, Wereszczyński słusznie domaga się, by wybrańców za czyny rycerskie darzono klejnotem szlacheckim, zaś młodzież szlachecka ze szkoły rycerskiej by miała pierwszeństwo do starostw przed wszystkimi „domakami".

Najsłabiej w projektach Wereszczyńskiego przedstawia się ich strona finansowa. Na utrzymanie więc szkoły rycerskiej na Ukrainie proponuje obrócić kwartę, czopowe, i myto albo cło, zapominając, że oprócz wojennych państwo ma inne jeszcze potrzeby, że myto i czopowe inne miały przeznaczenie i w razie użycia tych

dochodów skarbowych na potrzeby wojska, należałoby wyszukać natychmiast środki pieniężne dla ich zastąpienia w budowie Rzplitej. Pragnie nasz biskup na ten cel obrócić dziesięcinę z ziem ruskich, wychodząc z tego samego założenia co i w projekcie swoim, wyłożonym w „drodze pewnej do prędszego i snadniejszego osadzenia w ruskich krańcach pustyń". Wreszcie dawszy pokój dziesięcinom ruskim i mytu „dla uporu ludzkiego", gotów ograniczyć się tylko samą kwartą, byle tylko zupełną, gdyż wie o tem, że niektórzy starostowie „miasto kwarty mało nie decymę z dochodów starostwa swego dają". Na utrzymanie zaś zakonu rycerskiego proponuje Wereszczyński nałożyć podatki na Żydów, Ormjan, Cyganów i chrześcijan u żydów służących, dla powodów wyłuszczonych w „drodze pewnej". O nieracjonalności i niesłuszności tych powodów już była mowa uprzednio.

Daje jeszcze inny sposób nasz projektodawca w tem piśmie „zamnożenia skarbu pospolitego". Proponuje więc na Gdańszczan za to, że bunt urządzili przeciwko królowi Stefanowi Batoremu, jako karę po wieczne czasy nałożyć sto tysięcy czerwonych złotych samego podatku, na Rygę, „która w nadzieję ligi z temi Gdańszczany w niemałych excesiech jeszcze za ś. p. króla Stefana jęła opływać", nałożyć 50,000 czerwonych złotych. To więc miały być kary, chociaż drakońskie nie polityczne, ale Oblążan karać nie można, bo jak świadczy nasz pisarz, są: „cnotliwi i wierni poddani J. K. M.". Stąd jednak wyprowadza wniosek niespodziany: oni więc dla tej swojej cnoty i wierności winni się przyłożyć do podatku Gdańska i Rygi. Podobnyż podatek pragnąłby Wereszczyński nałożyć na Królewiec, miasto portowe księcia pruskiego. Podatki możnaby było nałożyć w miarę potrzeby na bogate miasta Rzplitej, ale oczywiście nie jako nagrodę, ani jako karę.

Umysł Wereszczyńskiego wysila się we wszystkie strony, aby tylko wynaleźć jakieś źródło dochodu i czasem najzupełniej mu się to udaje. Tak oto całkowicie racjonalnem byłoby cło, nałożone na towary idące z Moskwy do Kijowa Dnieprem i Dźwiną, jak również eksploatacja kopalni srebra, miedzi i t. p. Natomiast niesprawiedliwym zupełnie jest projekt nałożenia podatków na szlachtę, zajmującą się handlem oraz na duchowieństwo greckiej wiary z pominięciem duchowieństwa rzymsko-katolickiego, wychodząc z mylnej zasady, że duchowieństwo katolickie pełni powinności względem Rzplitej, biskupi zasiadają w senacie, kanonicy zaś przez biskupów „do legacyj wszelakich w Rzposp. często i gęsto są używane", a „moi mili greckiej religji metropolici,

władycy, archimadryci, humeni i czerńcy" żadnych posług nie pełnią, „jeno właściwie z onym Tytusem recumbunt sub tegmine fagi".

Z tych jednak wszystkich projektów najsłuszniejszym i najpewniejszym byłby bardzo nieśmiało przez naszego autora przy końcu pisma napomknięty projekt opodatkowania powszechnego. „A nawet gdybyśmy się jeszcze na rozmnożenie tego skarbu świętego wszytcy a wszytcy, nikogo z tego nie wypuszczając, choć raz po trosze rzucili, a te przypadki wyżej wyrażone do niego co rok przybywały, doznałby tego każdy u W. M., iżby z tej marnej ochydy a sprośnej lekkości, korona prędkoby się podeprzeć i ratować mogła, z niemałą pociechą swą a z rozszerzeniem większym z tej miary państwa swego". To jedno tylko mogło postawić armję na nogi i daleko większą, potężniejszą, niż marzył nasz patrjota; to jedno tylko mogło zasłonić nas przed Moskwą, która na ziemi Rzplit. „pochuchywała sobie", a przed którą jakże słusznie Wereszczyński przestrzegał, to jedno zabezpieczyć mogło przed napadami tureckiemi i tatarskiemi, niepomiernie wyczerpującemi siły Rzeczypospolitej.

Serce gorąco patrjotyczne Wereszczyńskiego kurczyło się na myśl o przyszłej niewoli, którą wraz z innymi przewidywał. Widział to, czego nie widzieli inni, to też wołał z zapałem, mogącym snem wiecznym śpiących poruszyć: »Wstań a oświeć się moja miła Polsko, bo przyszło światło Twoje, a wielmożność Pańska wzeszła jest nad Tobą. Albowiem nie będzie już słychać nieprawości w ziemi twojej, spustoszenia i zaburzenia w granicach twoich, osiądzie bowiem zbawienie mury twoje i brony twoje zostaną pochwałą«.

Edward Winkler.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Prace biblijne katolickie w r. 1921.

W okresie przed wojną zajęcie się sprawami biblijnemi wśród katolików w szczególniejszy sposób wzrosło i studja biblijne wysunęły się na czoło studjów teologicznych. Wojna przytłumiła w znacznym stopniu ruch rozpoczęty, ale dzisiaj znowu jesteśmy świadkami odrodzenia się studjów biblijnych. W znacznym stopniu zasługę tę przypisać trzeba Papieskiemu Instytutowi Biblijnemu w Rzymie, który w ciągu kilku ostatnich lat wykształcił dość liczny już zastęp biblistów specjalistów.

Początek ruchu biblijnego wśród katolików łączy się we Francji z imieniem Fr. Vigouroux, a przedewszystkiem zawdzięczać trzeba działalności szkoły biblijnej w Jerozolimie, pozostającej pod kierownictwem znakomitego biblisty, O. U. Lagrange'a, Dominikanina. Wydawane od 1892 r. pod kierunkiem profesorów szkoły czasopismo archeologiczne Revue Biblique szerzyło we wszystkich krajach katolickich zamiłowanie i zainteresowanie do studjów biblijnych. Obejmowało ono wszystkie zagadnienia biblijne, ale na pierwszy plan wysuwało zagadnienia archeologiczne, dotyczące krajów biblijnych, zagadnienia które tak wielkie światło rzucają na rozumienie tekstu ksiąg świętych. W ciągu 30 lat istnienia odbijały się w niem wszystkie kwestje, które były poruszane przez biblistów, o każdej z nich wypowiadano zdanie, które uważano jako wskazówkę i podstawę orjentacji. Prawie 30 tomów Revue biblique dotychczas wydanych — stanowią nadzwyczaj bogatą kopalnię, z której czerpać można pełnemi garściami, a zarazem są one świadectwem, jak studja biblijne wśród katolików z roku na rok coraz bardziej się rozwijały,

W 1904 r. powstało inne czasopismo katolickie biblijne, Biblische Zeitschrift pod kierunkiem prof. J. Göttsberger'a z Monachium i J. Sickenberger'a z Wrocławia. Redaktorzy tego czasopisma postawili sobie skromniejsze zadanie od redaktorów Revue Biblique, albowiem przedewszystkiem kładli nacisk na stronę informacyjną w dziedzinie biblijnej, W pierwszej części każdego zeszytu mamy zwy-

kie artykuły, a w drugiej — tytuły z krótszą lub dłuższą oceną wszystkich dzieł, artykułów i uwag, które w tym czasie się ukazały oddzielnie lub w czasopismach. Poznanie wyliczonych artykułów daje łatwą orjentację o bieżącym ruchu biblijnym i pozwala trzymać rękę na pulsie wszelkich spraw aktualnych. O ile jednak Revue Biblique wychodzi przez cały czas wojny regularnie, Biblische Zeitschrift spotkało się z wielkiemi trudnościami i dotychczas nie może ich przezwyciężyć.

Wielką nadzieję rokuje nowe wydawnictwo sprawom biblijnym poświęcone p. t. Biblica, pod kierunkiem profesorów Papieskiego Instytutu Bibl., a rozpoczęte już w 1920 r. Pomimo trudności Biblica dzięki energji kierowników dają co kwartał bardzo obfity materjał z dziedziny biblijnej, a artykuły w niem umieszczone stoją wszystkie na wysokości swego zadania. Można mieć nadzieję, że Biblica, jako czasopismo międzynarodowe, w wielkim stopniu wpłyną na rozwój studjów biblijnych wśród katolików i przyczynią się do nadrobienia tego, co w przeszłości było zaniedbane. — Artykuły są pisane w różnych językach: łacińskim, włoskim, francuskim, angielskim, niemieckim, (łacińskie streszczenie poprzedza większość) i dostępne są dla wszystkich narodów. Zeszyt każdy składa się z kilku działów. 1) Commentationes — rozprawy, pisane ręką specjalistów. W 1921 r. zostało umieszczone bardzo interesujące: A. Kleber — o chronologji Ksiąg Królewskich i Kronik. Problemat chronologiczny tych ksiąg, dotychczas napotykający tyle trudności, został wyjaśniony i rozwiązany, i to bez dotkliwych zmian w tekście. O symboliźmie ofiar przebłagalnych w Izraelu, w którym A. Médebielle rozprawił się z rozmaitemi poglądami egzegetów liberalnych o charakterze ofiar w Izraelu w ogólności, a następnie wyjaśnił znaczenie i charakter ofiar przebłagalnych i ich stosunek do ofiary krzyżowej Chrystusa Pana. L. Murillo napisał: Izrael obietnic tj. judaizm i poganizm w pojęciu Pawłowem ewangelji — rozprawa poważna, w której roztrząsa zagadnienie o podmiocie obietnic mesjańskich w kościele Chrystusowym, tj. kto właściwie ma prawo do nich — Żydzi, którzy je otrzymali w Star. Test., czy też poganie, nawracający się i wchodzący do Kościoła. A. Fernandez (rektor Instytutu) w art. Czas działalności Ezdrasza, wyjaśnia kwestje literacko-historyczne, czy działalność Ezdrasza poprzedzała Nehemiasza czy też następowała po nim. Niektórzy bibliści (v. Hoenacker) bronią ostatniego zdania, ale Fernandez dowodowo stwierdza jej pierwszeństwo. 2) W drugiej części — animadversiones — uwagi, podane za krótsze artykuły poświęcone wyjaśnieniu specjalnych kwestji, jak trudniejszych tekstów, wyrażeń, mów, poglądów lub prac dawniejszych. Interesujące są filologiczne wyjaśnienia O. Jouon'a z dziedziny języka hebrajskiego, O. Fernandez'a o proroctwie Aggeusza, O. Zorell'a — z dziedziny metryki. 3-a część poświęcona bibljografji. Prof. L. Fonck podał krytyczne sprawozdanie z ostatnich prac o Ewangeljach i życiu Chrystusa Pana, a następnie w każdym zeszycie podaje spis tytułów prac i artykułów

z dziedziny biblijnej, historji, religji, archeologji, assyrjologji etc. Ponadto — specjalny dział sprawozdań z dzieł, omawiających sprawy biblijne. 3) Wreszcie w 3 części — wiadomości o rzeczach i osobach — podawane są wiadomości bieżące, jak np. z Instytutu Biblijnego, kronika palestyńska (A. Mallon) o pracach i wykopaliskach w Palestynie etc. Słowem w każdym zeszycie jest co czytać, a we wszystkich znać dobre pióro specjalistów, którzy słów na wiatr nie rzucają.

Oprócz kwartalnika Biblica profesorowie tego samego Instytutu wydają Orientalia (pod kierunkiem prof. A. Deimel'a), poświęcone sprawom Wschodu starożytnego tj. badaniom dokumentów odnalezionych i historji narodów, które miały kontakt z Izraelem. Dotychczas wydano dwa zeszyty, przystępne jest dla specjalistów.

Następnie wydają od 1921 r. Verbum Domini, miesięcznik, poświęcony również sprawom biblijnym, ale o poziomie mniej specjalnym, niż Biblica i bardziej przystępnym dla niespecjalistów. Jako cel tego miesięcznika wydawcy sobie postawili budzić i rozwijać wśród katolików, a przedewszystkiem wśród kleru zainteresowanie i zamiłowanie do słowa Bożego w Piśmie św. Cel prześliczny. Bo przyznać ze smutkiem trzeba, że wśród katolików jest bardzo małe zajęcie się Pismem świętem i znajomość Pisma św. jest minimalną. Co powstrzymuje — trudno powiedzieć. Czy trudność rozumienia — brak przygotowania? Jeśli tak jest, to właśnie Verbum Domini powinno te przeszkody usuwać. W każdym bowiem zeszycie podaje ono cały szereg wyjaśnień tekstów, w krótkich a treściwych artykułach, podaje rozwiązanie trudniejszych kwestji biblijnych, wskazuje historyczne i duchowe znaczenie opowiadań etc. Można bez przesady powiedzieć, że każdy zeszyt przynosi czytelnikowi bardzo dużo światła, które wpływa na rozszerzenie i pogłębienie rozumienia tekstu biblijnego, a temsamem sprawia coraz większe ukochanie ksiąg świętych. Dla kaznodziejów — obfite źródło tematów i myśli do kazań, które, owiane duchem biblijnym, większy z pewnością przyniosą pożytek, aniżeli dzisiejsze na ogół jałowe.

Rok ubiegły wśród egzegietów był rokiem spokojnej i systematycznej pracy w zakresie całego Pisma św., żadna z kwestji biblijnych, które w ostatnich przed wojną latach były przedmiotem żywych i gorących dyskusyj, nie były omawiane. Najbardziej-może zajmowała umysły sprawa wykopalisk na wschodzie, dokonanych podczas działań wojennych i obecnie prowadzonych z większym nakładem. Warto je omówić w specjalnem sprawozdaniu, które odkładam na później.

Wśród prac katolickich na uwagę specjalnie zasługuje prof. J. Nikel'a, Die Pentateuchfrage. Zagadnienie autentyczności i wiarogodności Pięcioksięgu Mojżeszowego jest oddawna przedmiotem dyskusji i walki. Krytyka radykalna przyznaje charakter prawie definitywny poglądom Wellhausen'a, że dzisiejszy Pięcioksiąg nic niema wspólnego z Mojżeszem. Pięcioksiąg, według nich, powstał w czasach późniejszych, w okresie niewoli, a nawet po niewoli babilońskiej, a był on

ułożony na podstawie kilku źródeł, które najwyżej sięgają VIII w. przed Chr. Jako taki, pięcioksiąg nie może mieć wielkiej powagi historycznej. — Krytyka katolicka z wielką rezerwą traktowała sprawę Pięcioksięgu. Przez długi czas broniono powszechnie tradycyjnego zdania o autorstwie Mojżeszowem (Vigouroux, Cornely, Kaulen, Hoberg), choć przyznawano, że pewne dodatki mogły być dorzucone do tekstu w czasie późniejszym. Kilku pisarzów skłaniało się do pewnych ustępstw, a niektórzy nawet powtarzali poglądy krytyków radykalnych. Orzeczenie Komisji Biblijnej w 1906 r. powstrzymało zapędy. Jednak nie całkowicie. J. Touzard, prof. Instytutu Katolickiego w Paryżu, napisał obszerny art. p. t. Moyse et Josue w Dictionnaire apol. de la foi cathol. pod red. J. d' Ales'a, w którym niezależnie od poglądów krytyków liberalnych a na podstawie gruntownych samodzielnych studjów dochodzi do przekonania, że Pięcioksiąg powstał ze źródeł, niektóre z nich jednak sięgały czasów Mojżeszowych. Artykuł ten spotkał się z krytyczną uwagą Komisji Biblijnej, która orzekła, że poglądy w nim podane nie mogą być publicznie głoszone z całą pewnością, a następnie z treściwą repliką prof. Fernandez'a w Biblica w 1920 r.

Prof. Nikel w wyżej przytoczonej pracy występuje ostro przeciwko poglądom szkoły Wellhausen'a, jako opartym na pewnym aprioryźmie o powolnej ewolucji pojęć religijnych i urządzeń społecznych w Izraelu. Jednak w sprawie samego układu Pięcioksięgu głosi zbliżone zdania. Poglądy swe streszcza on w 7 punktach: a) zewnętrzne świadectwa stwierdzają, że Mojżesz zostawił pewne dokumenty treści historycznej i prawnej, ale dzisiejszy Pięcioksiąg nie jest identyczny z niemi; b) wewnętrzne argumenty wykazują jako b. prawdopodobne, że te dokumenty Mojżeszowe stanowią ośrodek dzisiejszego Pięcioksięgu; c) pewna liczba uwag treści historycznej, geograficznej, archeologicznej w dzisiejszym tekście pochodzi z czasów późniejszych, być może nawet po niewoli babilońskiej; d) pewna ilość przepisów prawnych i zbiorów praw pochodzi z czasów późniejszych; e) wskutek nowych warunków społecznych niektóre dawne przepisy ulegały zmianom, wprowadzano nowe; e) uznanie podwójnych opowiadań w Pięcioksięgu pozwala przypuszczać istnienie w czasach pomojżeszowych innych dzieł historycznych, które z początku były niezależne, później jako uzupełnienia były dołączone do Pięcioksięgu; g) nie można z absolutną pewnością powiedzieć, które ustępy pochodzą bezpośrednio od Mojżesza. Powstałe jednak w czasach pomojżeszowych dokumenty opierają się na ustnej tradycji lub piśmiennych notatkach, sięgających z czasów Mojżeszowych. Przepisy zaś prawne opierają się co do istoty swej na prawodawstwie Mojżeszowem. Sądzę, że poglądy Nikel'a spotkają się z krytyką, ale można przypuszczać, że nie będzie ona zbyt ostra; w każdym razie godne są one rozwagi.

Praca O. M. Witzel'a O. F. M. pt. Der Drachenkämpfer Ninib (z cyklu Keilinschrift. Studien Nr. 2) powinna oddać biblistom wielkie usługi. Temat jej wprawdzie bezpośrednio nie jest biblijny, bo

poświęcony bóstwu assyryjsko-babilońskiemu Ninib'owi, ale pośrednio wchodzi on w zakres studjów biblijnych.

Pisarze liberalni, należący do grupy t. zw. panbabilonistów, utrzymują, że kultura assyryjsko-babilońska znaczny wpływ wywarła na wszystkie poglądy, urządzenia etc. w Izraelu, że to, co czytamy w Piśmie św. opocząłkach świata, potopie lub osobach np. Abrahamie, Mojżeszu etc., jest oparte na motywach assyryjsko-babilońskiej mitologji. Szczególniejszy nacisk kładli oni na motyw walki niektórych bóstw babilońskich (Marduk, Siri, Ninibet) z potworem czy drakonem, występującym np. w kosmogonji babilońskiej pod nazwą Tiamat. Motyw ten widzieli oni często powtarzany w Piśmie św., i zwykle tłumaczyli o walce Jahvy z drakonem. A gdziekolwiek w historji osób, jak np. Mojżesza, jest wzmianka o prześladowaniach, walce etc., wszystko to uważali za powtórzenie i przeróbkę mitologicznego opowiadania assyryjsko-babilońskiego, a samej osobie zaprzeczali z tego powodu historycznego istnienia. Głośnymi z tych poglądów byli Gunkel, Jensen, Winckler, Jeremias.

Otóż O. Witzel w swej pracy przyłożył siekierę do samego korzenia tego zagadnienia, zajął się pierwiastkowym mitem o Ninibie jako zwycięzcy potwora, i na podstawie klinowych tekstów wyjaśnił jego genezę i dzieje. Geneza mitu jest bardzo ciekawa ze względu na to, że rzuca on też pewne światło na opowiadanie biblijne o Nemrodzie (Rodz. 10, 8 n). Otóż pobudką i podkładem opowiadania o Ninibie jest według niego fakt historyczny regulacji rzeki Tygrysa za czasów drugiej dynastjipopotopowej, mającej swą stolicę w Erech (Eanna). Według Witzel'a miał tego dokonać król Gilgamesz, jednak prof. Deimel (Biblica 1921, 465) utożsamia go z Lugal-banda, gdyż nazwa ta jest najważniejszym przydomkiem Niniba. Fakt regulacji przez tego króla w późniejszych czasach został zmitologizowany, opowiadaniu nadano formę walki bóstwa Niniba z potworem. Prawdopodobnie na tej podstawie w pojęciu Babilończyków wszystko, co w przyrodzie wywoływało w nich lęk lub wyrządzało przeszkodę w pracy, utożsamiane było z potworem, a co przyczyniało się do poskromienia lub powstrzymania wrogich zjawisk, było boskim zwycięzcą potwora. Stąd też powstał cały szereg rozmaitych typów owych drakonów i bóstw zwycięzców.

O stosunku opowiadania do ksiąg biblijnych O. Witzel mało mówi. Wielka szkoda. Co jednak właściwie można powiedzieć? Fakt, że w niektórych tekstach opis rozdziału morza od lądu jest przedstawiony w obrazie walki Jahvy z drakonem (rahab, tannim etc.), każe przypuszczać, że allegorja ta była znana hebrajskim czytelnikom. Były to jednak tylko poetyckie wyrażenia, nie zawierające w sobie treści babilońskiego mitu o Ninibie. Prorocy, którzy przecież byli monoteistami, używali tych wyrażeń poetyckich, nie uważali ich za przeróbkę mitów babilońskich. Przypuszczać przeto trzeba, że na gruncie palestyńskim musiało powstać analogiczne opowiadanie, mające jednak bardziej poetycki charakter, ale nic wspólnego nie mające z opowiadaniem babilońskiem.

Dowodem tego fakt, że pojęcie przeciwnej mocy względem człowieka lub Jahvy było przedstawiane pod rozmaitemi nazwami, czego niema w babilońskich mitach, a następnie, — co jest bardzo ważne, — można tu stwierdzić samoistny rozwój tego pojęcia, gdyż stosowane było np. do oznaczenia państw lub narodów. W mitach babilońskich jest to rzecz nieznana. A według Hertlein'a (Z. A. W. 1921, 113 nn) wyrazy rahab, tannim przytoczone w Piśmie św., tylko w tem ostatniem znaczeniu wyłącznie są użyte. O wpływach przeto babilońskich na pisarzów biblijnych mowy być nie może.

Zasłużone wydawnictwo p. t. Biblische Zeitfragen (Münster), będące pod kierunkiem prof. Heinisch'a i Rohr'a było założone w 1910 r. Postawiło ono sobie za zadanie zaznajomić szerokie koła katolickie z zagadnieniami biblijnemi przez niewielkie prace o poziomie dla nich przystępnym. Dotychczas wydano około 70 prac, które niewątpliwie w społeczeństwie niemieckiem musiały cel zamierzony osiągnąć. W ostatnim cyklu (9) mamy kilka prac, które powinny zainteresować nie tylko specjalistów.

J. Göttsberger w pracy Die göttliche Weisheit als Persönlichkeit im Alt. Test. bada genezę i historję poglądów, podanych szczególnie w księgach moralnych, o Boskiej Mądrości. Zdawałoby się, że temat to abstrakcyjny, nieaktualny, a jednak jest on w rzeczywistości bardzo ciekawy. Wykazuje autor, jak pomimo ścisłego monoteizmu w przekonaniu pisarzów biblijnych Star. Test. został oddzielony jeden z przymiotów boskich — mądrośc od istoty Boga, jak, stając się coraz bardziej samodzielnym, rozwijał się i doszedł do różnej od Boga osobowości, nie tracąc jednak ścisłej łączności z Bogiem; najpierw przyznano mu działalność wraz z Bogiem (stworzenie świata), a potem już formalne współdziałanie. Samo w sobie rozpatrywane, zagadnienie o Mądrości jest bardzo tajemnicze i rozmaicie bywa oceniane, gdy jednak badamy je w świetle Now. Test., widzimy w tem opatrznościowe działanie i prowadzenie Boga, który objawienie swe udzielał ludziom stopniowo, jak ów pedagog, co twierdził: »dałem wam mleko na napój, nie pokarm, boście jeszcze nie mogli« (I Kor. 3, 2). W świetle tem widzimy jedno, że najpierw Bóg dał ludziom objawienie o sobie jako Bogu jedynym, potem zaś przygotowywał ich umysły do poznania i przyjęcia drugiej osoby boskiej przez stopniowe następne objawienia. Objawienia te tyczyły się poszczególnych przymiotów Bożych, w szczególności Mądrości Jego, która w księgach Star. Test. występuje jako uosobienie narówni i obok Boga. Wystarczyło jeszcze jeden krok uczynić, i św. Jan, nawiązując do dawnych pojęć, mógł mówić: Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo... W ten sposób Bóg przeciągał nić, która łączyła objawienie pierwotne z pełnią czasów Chrystusowych[1]).

[1]) Podobnej treści i tendencji pracę wydał po niemiecku w Łodzi 1921 r. pastor polski L. Szeruda p. t. Das Wort Jahwe, z tą różnicą, że rozpatrywał i inny przymiot — Słowo Boże, jako poprzedzające Mądrość Bożą.

J. Fischer ogłosił Ehe und Jungfräulichkeit im N. Test. Problemat związków małżeńskich był w czasach Chrystusowych kwestją bardzo ważną. Zapatrywanie na tę sprawę i praktyka życiowa w społeczeństwie żydowskiem, a przedewszystkiem w świecie grecko-rzymskim były bardzo luźne. Chrystus Pan wprawdzie miał głównie królestwo Boże na celu, ale też sprawy, która dla tego królestwa nie była bez znaczenia, nie mógł pominąć. Z nielicznych zdań Chrystusowych autor potrafił przedstawić całokształt zasad podstawowych, które regulowały tę sprawę. Według nauczania Chrystusa, wszyscy ludzie są sobie równi, jednakie mają prawo do królestwa Bożego. Na tym zasadniczym postulacie Chrystus przywraca pierwotne równouprawnienie niewiasty z mężczyzną i tem samem jednożeństwo. Małżeństwu chrześcijańskiemu nadał charakter moralny i religijny; św. Paweł nazwał je Sakramentem wielkim (Ef. 5, 32) i zestawił ze związkiem Chrystusa z Kościołem. Małżeństwo jest ważną rzeczą z wielu względów, ale bezżeństwo jest ważniejsze (I Kor. 7, 26 n.). Dla tych, co chcą szukać przedewszystkiem Królestwa Bożego, jest ono niezbędne. Ale nie dla wszystkich. »Kto może pojąć, niech pojmuje« (Mt. 19, 12). Wskazane ono było jako ideał, podane jako rada.

P. Dausch w pracy Christus in der modernen sozialen Bewegung — daje przegląd zapatrywań współczesnych przywódców socjalistycznych na osobę i posłannictwo Chrystusa Pana. Socjaliści uznają Chrystusa historycznego, patrzą na niego, jako na pierwszego socjalistę. Bebel w parlamencie niemieckim mówił do centrum: »Gdyby wasz Pan Chrystus przyszedł teraz na ziemię, zasiadłby nie wśród was, ale wśród nas, bo my jedni jesteśmy, którzy idziemy za jego wskazaniami«. Autor sam stwierdza, że Jezus nie przyszedł rozwiązywać socjalno-ekonomicznych zagadnień, ale zakładać w świecie królestwo Boże. Jednak uregulował stosunki socjalno-etyczne, a najważniejsze, dał gorejące swe serce, tę największą socjalną potęgę na świecie.

Joh. Döller w pracy Das Weib im Alt. Test. rozpatrzył stanowisko niewiasty w Starym Testamencie. Kiedy u niektórych plemion wschodnich odmawiano niewiastom życia duchowego (duszy) i uważano je narówni ze zwierzętami jako pomoc mężczyzny w pracy, u Hebreów stanowisko niewiasty było wysokie. Nie mamy dowodu ani śladów, aby niewiasta była przedmiotem kupna, wymiennych podarunków, aby jej wymierzano chłostę, aby dziewczynki były zabijane, jak to było u innych narodów.

P. Heinisch, Personifikationen und Hypostasen im Alt. Test. und im Alt. Orient, wykazuje cały szereg uosobień rozmaitego rodzaju u ludów starożytnego wschodu. W księgach Star. Test. mamy uosobienia poetyckiego charakteru, jak np. zjawisk naturalnych, cnoty lub wad moralnych, boskich przymiotów moralnych, ale ponadto, co jest bardziej interesujące, mamy uosobienia pojęć, zajmujących pośrednie stanowisko między Bogiem i światem, jak np. Duch Boży, Anioł Boży, Mądrość Boża. W świetle Now. Test. widzimy,

że uosobienia te były ogniwami objawienia Bożego, które w Now. Test. przez Chrystusa dało pełnię prawdy o trzech osobach w Bogu. Wśród ludów wschodnich często mamy uosobienia przymiotów moralnych, pojęć abstrakcyjnych, ale nie mają one tego charakteru, co uosobienia Starego Testamentu.

Ks. J. Archutowski.

Dr. T. Zieliński: Rzym i jego religja. Zamość, Z. Pomarański i Spka, 1920, str. 116.
Tenże: Hermes Trismegistos. Nakł. jak wyżej, str. 89.

Już przed trzema miesiącami notowane były na tem miejscu niektóre prace tegoż autora. Obecnie przybywają do nich dwie, wchodzące w zamierzony przez niego cykl: »Współzawodnicy chrześcijaństwa«.

W szanownym profesorze warszawskiego uniwersytetu nauka polska zdobywa poważną siłę. Obok znakomitych znawców filozofji klasycznej i historji starożytnej, Morawskich, Sinków, wysuwa się na widownię badacz religji Grecji i Rzymu. Rzeczywiście bez pogłębienia badań na tem polu niezupełną byłaby nasza znajomość cywilizacji starożytnej, a temsamem i cywilizacji naszej. Prof. Zieliński z badań nad ową cywilizacją obrał cząstkę nie najłatwiejszą, gdzie grozi wielkie niebezpieczeństwo snucia ryzykownych hypotez, uogólnień i złudzeń. Naogół autor szczęśliwie omija te szkopuły, jakkolwiek nie jest tylko echem obcych badaczy tegoż przedmiotu. Jest on raczej filozofem niż historykiem religij starożytnych. Przy szkicowym sposobie pisania autor nie tyle uczy historji religij, jak raczej znajomość jej suponuje u czytelnika, choć i tu zdobywa się na śmiałe uzupełnienia i sprostowania innych uczonych. Tak np. wziąwszy za przedmiot swych studjów »hermetyzm«, odrzuca mniemanie Reitzensteina o egipskiem jego pochodzeniu, a zręcznie nawiązuje takowy do Hermesa z greckiej Arkadji, kreśląc barwnie dzieje tego »boga« od czasu jak kradł owce swemu współzawodnikowi, Apollinowi, aż do chwili kiedy się przedzierzgnął w proroka wiedzy hermetycznej, rywalizującej w pewnym okresie czasu z nauką i religją chrześcijańską. A całą tę historję, zwłaszcza najsłabsze pono ogniwo jej łańcucha ukuł z papyrusowego fragmentu, znalezionego przez tegoż Reitzensteina. Profan ośmieli się tylko zauważyć, że pewne wnioski może zbyt niepewnie płyną z dokumentu, którego tekst prawie w połowie musiał być uzupełniany z domysłu autora.

Siła autora, jak zaznaczyliśmy, zawiera się w jego filozofji religji, to jest w interpretowaniu znanych skądinąd wierzeń i aktów kultu, w śledzeniu praw rozwoju tej czy innej religji. Co do religji Rzymian, takie prawa zawarł autor w kilku głębokich obserwacjach, które mu pozwoliły wytłumaczyć dziwny na pozór fakt, jak najstarsza religja Numy umiała współżyć i stapiać się w jedno z licznemi późniejszemi nawarstwieniami wręcz przeciwnych swej naturze obcych kultów.

Stosunek religij starożytnych do chrześcijaństwa stanowi jakby główny temat jego studjów, jakby wspólny mianownik dla różnorodnych objawów starożytnej religijności. Mówi o tem tytuł całego cyklu: »współzawodnicy chrześcijaństwa«. Tych współzawodników traktuje autor poważnie, nie starając się wcale ich poniżać, bo, jak słusznie zauważa we wstępie do »Hermesa«, obniżając godność świata starożytnego, obniża się jednocześnie godność chrześcijaństwa, które nad światem starożytnym odniosło zwycięstwo. Patrząc na kulty starożytne jako na »współzawodników« chrześcijaństwa, współzawodników wreszcie zwyciężonych, autor — zwłaszcza w »Rzymie i jego religji« — wskazuje na te pierwiastki, które ułatwiły chrześcijaństwu przyjęcie się na glebie rzymskiej, nadając mu przytem na tejże glebie pewne swoiste zabarwienie. Tu autor uniknął szczęśliwie błędu (niestety, często świadomego i dobrowolnego!) tych badaczy historji porównawczej religij, którzy chrześcijaństwo uważają za dalszy czysto naturalny produkt rozwoju religij starożytnych i wszystkie pierwiastki jego wierzeń i kultu z nich wyprowadzają. Przeciwko takiej zależności religji chrześcijańskiej od pogaństwa autor wyraźnie się zastrzega. »Niedorzecznością — mówi on — byłoby twierdzenie, że dogmat chrześcijański o Bogu trójjedynym ma źródło swoje w kulcie trójcy kapitolińskiej, albo że uczczenie bogaczłowieka w osobie imperatora lub jego genjusza wywarło wpływ na chrystologję chrześcijańską« (»Rzym etc.« str. 109). Autorowi chodzi o stwierdzenie »jakie pierwiastki w pogańskiej religji starego Rzymu szły na spotkanie chrześcijaństwa, gotowiąc umysły Rzymian do jego przyjęcia i czyniąc niesioną im nową religję mniej wrogą«. Charakterem gleby, na jaką padło słowo chrześcijaństwa, tłumaczy te różnice, jakie cechują chrześcijaństwo wschodnie od zachodniego. Tak Rzym ze swojem praktycznem ujęciem religji (»religio« — stosunek człowieka do bóstwa) tłómaczy nam predylekcję zachodnich chrześcijan do zagadnień takich, jak łaska, wolna wola itp., podczas gdy troska Kościoła wschodniego o rozwój dogmatów trynitarnych i chrystologicznych ma swe wytłomaczenie w spekulatywnym duchu starożytnej Grecji.

Pomimo dobrego zasadniczo stanowiska, jakie autor zajął wobec stosunku pogaństwa do chrystjanizmu, stanowiska, którego nie potrzeba atakować ze strony katolickiej teologji, wymknęły mu się z pod pióra mniej szczęśliwe wyrażenia, mogące być zrozumianemi, wbrew ogólnej tezie autora, w duchu krańcowej teorji synkretyzmu. Tak np. wyrażenia, że pojęcie »stróża-ducha« dostało się do chrześcijaństwa z neo-platonizmu (»Rzym etc. str. 22), albo że legenda o cudzie frygijskiej »macierzy bogów« stała się pierwowzorem legend chrześcijańskich o orędownictwie Matki B. w obronie niewinnie osławianych (tamże, str. 73), mogą dać powód do bałamutnego pojęcia myśli autora. I w jednym bowiem i w drugim przypadku wolno przypuścić jedynie wpływy czysto formalne, polegające na przyjęciu nazw, albo sposobu redagowania »legend«, podczas gdy źródeł pojęć samych trzeba szukać gdzieindziej. Pojęcie np. aniołów-stróżów pochodzi ze Starego Testamentu i zazna-

czone jest w Nowym, a »legendy« o potędze Matki Najśw., choćby nie opierały się na faktach, mogły się zrodzić na tle tego pojęcia, jakie miano o Marji w chrześcijaństwie, niezależnie od kultu »macierzy bogów«.

Przy zachowaniu większej ostrożności w interpretowaniu zauważonych analogij między pogaństwem a chrześcijaństwem, przy uwzględnieniu również literatury katolickich badaczy tej samej dziedziny (np. Lebretona O początkach dogmatu Trójcy), badania warszawskiego profesora staną się wielce pożyteczne. Mogą wywołać zainteresowanie w naszem społeczeństwie do zagadnień z historji i filozofji religji, a dla uczonego polskiego, któryby chciał poświęcić się badaniom początków chrześcijaństwa, okażą niemałą pomoc, tworząc konieczne ludzkie tło do obrazu wkroczenia Boga w dzieje człowieczeństwa.

Ks. J. Urban.

Tadeusz Grabowski: Literatura luterska w Polsce wieku XVI. (1530 — 1630). Poznań, 1920, str. 214.

Do niedawna smutnie przedstawiał się stan naszych badań nad reformacją polską. Można było niemal powiedzieć, że obcy uczeni więcej w tym względzie uczynili niż nasi. Niezbędni przecież stali się, że wymienimy nowszych, Mikołaj Lubowicz z swojemi »Istoria reformacji w Polsce« (Warszawa 1883), »Naczało katoliczeskoj reakcji i upadok reformacji w Polsze« (Warszawa 1890) i »Lublinskije wolnodumcy XVI wieka« (Warszawa 1902), dalej Jarosław Bidlo, autor znakomitej »Jednota bratska v prvszim vyhnanstvi« (v Praze 1900 — 03), niezwyczajnie płodny, choć mniej rzetelny Wotschke, sumienny i bezstronny Völker, Antoni Berga, autor kapitalnego dzieła o Skardze, napisanego w języku francuskim i nagrodzonego przez Akademję paryską, Bickerich z Leszna, Lösche z Wiednia i inni. Badania uczonych polskich jakoby nabrały nowego rozpędu od czasu założenia Towarzystwa do badań dziejów reformacji w Polsce (12. IV. 20). Odrazu uderza jednak objaw dziwny, na który już wskazywano na łamach »Przeglądu Powszechnego«, preponderancji wpływów protestanckich czy protestantofilskich. Jakkolwiek jest to czy ma być towarzystwo, poświęcone objektywnym badaniom naukowym, dziwnym przypadkiem na jego czele stanęli sami protestanci, a nawet ich głowacze, jak Jakób Glass, Bursche, Konstantyn Kurnatowski, Adolf Rondthaler, a i o redaktorze nowego kwartalnika, nawiasem mówiąc bardzo kusego, »Reformacji polskiej«, prof. Stanisławie Kocie, wiadomo, że nie należy do zbyt gorliwych przyjaciół katolicyzmu. Jedynie rzetelności współpracowników zaufać można, że nie będą się wysługiwali celom protestanckim.

Ale szereg naszych uczonych już od lat celowo uprawia badania i niejeden wcale pokaźny plon już złożył w gumnie naszego piśmiennictwa. Bezwątpienia do najpłodniejszych acz nie najwcześniejszych należy prof. Grabowski. Wielki jego plan opracowania naszej najdawniejszej literatury religijnej jest już na ukończeniu, boć potrzeba będzie jeszcze wydać rzecz o literaturze unickiej czy prawosławnej, nad którą

niezmordowany autor właśnie się trudzi. Więc mamy dotąd już monografje, wydane w Krakowie: »Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce« (1906), »Literatura arjańska w Polsce« (1908), »Piotr Skarga na tle katolickiej literatury religijnej w Polsce w. XVI« (1913), obecnie przybywa »Literatura luterska«.

Bezwątpienia ostatnia winna była tamte, przynajmniej innowiercze wyprzedzić, boć przecie luteranizm jest w Polsce XVI w. pierwszą »nowinką«, staje się nawet podłożem pod tamte, autorzy religijni często właśnie jak Rej z obozu luterskiego przechodzą do kalwińskiego i arjańskiego. Czuje to sam autor, to też w »Przedmowie« tłumaczy się: kalwińską, arjańską, katolicką uważał za objawy samodzielniejsze (3) i stąd wpierw im poświęcił uwagę. Lecz czy to tłumaczenie wystarcza?

Więc w »Literaturze luterskiej« znanym już z dawniejszych dzieł sposobem przechodzi autor ludzi i książki, wydobywając na jaw pisarzy wybitniejsze znamiona, streszczając ich dzieła, starając się wszystko oprzeć o tło szersze, europejskie, a nawet wszechludzkie. Tak przed nami snuje się długa litanja znanych i mniej znanych luterskich pisarzy, których autor stara się niekiedy zgrupować dokoła jakiejś osobistości, jakiegoś środowiska. Więc ze Seklucjanem, z Królewcem łączą się Rej, któremu autor według Brücknera (»Reformacja polska«, Nr. 2, 146) wątpliwie przypisuje katechizm, Eustachy, albo jak go trafniej nazywa prof. Bruchnalski, Ostafiej (»Dzieje lit. pięknej w Polsce« Kraków 1918, II, 321), Trepka, kaznodzieja poznański, Maleccy Jan i Hieronim. W tym samym czasie, w którym nieznużenie się krząta pisarz, zbieracz, wydawca królewiecki, czynny jest Jan Koźmińczyk, nieszczęsny kaznodzieja Zygmunta Augusta.

Podobnie jak Jan, i Przyłuski, publicznie z ambony szydzący z papieskiej bulli o jubileuszach, jest odstępcą, a znany jest jako zbieracz i komentator pełen erudycji i wydawca »Leges seu statuta«. W Brześciu litewskim krząta się Wojewódka, w Pińczowie Orsacjusz, skłaniający się do stankaryzmu, autor sławnej Postylli, przekładanej przez Trepkę. Z Fryczem i Wergerjuszem dochodzi literatura luterska do rozkwitu, w wielkopolskim Eraźmie Glicnerze zdobywa sobie świetnego pisarza pedagogicznego. Niekiedy sławnych postyllarzy ma w gdańskim ministrze Janie Kalksteinie, w królewieckim Bretkunie, wileńskim Sam. Dambrowskim, kluczborskim Gdacjuszu i innych. Znowuż pieśniarze to Artomius (Krzesichleb) i Jan Rybiński, który wydał 1593 r. w Toruniu »Gęśli różnorodnych księgę I«, gdzie obok tematów duchownych opiewa i świeckie, jak zimę oną »macochę srogą«, co »w prawicy trzyma blady śnieg, mróz w lewicy swej«.

Oto wejrzenie z lotu ptaka na całokształt treści. Warto jednak, jako że to ma być na lata całe podstawowe dzieło dla badań historyczno-literackich, wskazać, jakie budzi wątpliwości, podkreślić i błędy, któreśmy zdołali stwierdzić, tem więcej, że największy znawca naszej literatury religijnej w swej recenzji o Grabowskiego dziele (»Reformacja polska« Nr. 2, str. 146) jakoś ich nie przytacza.

Zgóry już przecież, zaraz w »Przedmowie« (str. 3), podkreśla autor, że bojownicy idei luterskich »dają wogóle początek ruchowi literackiemu w Polsce«. Lecz jakkolwiek jest to zdanie innych, a także Brücknera, nie możemy mimo najlepszych chęci zdobyć sobie przekonania do niego. Przecież już przed ruchem reformacyjnym w Polsce mamy wcale pokaźne pomniki języka polskiego, znaczące coraz wyraziściej rozwój piśmiennictwa, jak kazania Paterka, Rozmyślanie Przemyskie, dzieło Opecia, Zołtarz X. Walentego Wróbla, Kazania na niedziele i święta, wydane 1899 r. przez dr. Erzepkiego i ten cały szereg dziełek pisany przez mieszczan, głównych miłośników polszczyzny. Nie wszystko było wydane, ale świadczy o tem, że język polski jako literacki był i miał widoki rozkwitu i doskonalenia się, że i ruch piśmienniczy wogóle zapowiadał się. A zresztą i później wiele pierwszorzędnych dzieł wychodzi zupełnie niezależnie od reformacji, jak »Dworzanin« Górnickiego, dzieła Jana Kochanowskiego i niezwyczajnie piękne »przekładania« z Tassa i Ariosta Piotra Kochanowskiego, prześlicznym językiem pisany. „Wykład na Lament Jeremiasza" X. Walentego Kuczborskiego, »Kazania sejmowe« Skargi itd.

Ale prof. Grabowski posuwa się przecież tak daleko, iż w jednem z przeszłych dzieł, idąc za Brücknerem, dowodzi, że Wujek był zależnym od Reja, a w tem ostatniem, że luteranizm wskrzesił dawno zamarłe narodowe kaznodziejstwo (?), że wywołał przewrót w duchu ogółu, wyrażający się nawet na szczytach poezji jak w przekładzie Psałterza Kochanowskiego. Takie pojmowanie historji literatury uważamy za mechanistyczne i przestarzałe (Por. »Przegl. Warszawski« »Z czasopism« Nr. 1 r. 1921); spiritus flat ubi vult, wybitnego talentu poetyckiego nie wolno uzależniać od przewrotów politycznych. Raczej ze Straszewskim uważalibyśmy, że reformacja zaszkodziła naszemu piśmiennictwu, bo wybitne umysły, np. Frycza, pchnęła na tory niepożądane, zacieśniła w polemice i jałowych subtelnościach.

Wogóle zauważyć można, niestety, że autor zbyt przychylnie, jak niektórzy z jego kolegów, traktuje ruch innowierczy w Polsce. »Wszakże, pisze na str. 7., luteranizm był przeciwdziałaniem grożącemu spogańszczeniu wiary w teorji i wykonaniu«. W Lutra Hauspostilla widoczna na każdej karcie »gorąca pobożność, mistyczny kierunek ducha«... »Tak przystępnie, tak wyraziście, tak porywająco nie umiał wypowiedzieć się nikt« jak Luter (str. 63). Zdania te, acz apodyktycznie, a nawet entuzjastycznie wypowiedziane, nie wytrzymują krytyki. Jak pogodzi autor z »gorącą pobożnością« gwałtowne wycieczki wittenberskiego rubachy przeciw papieżowi i biskupom? (Hauspostilla, Kaz. na I. niedz. adw.) I Kolbuszewski w swem najnowszem dziele o postyllografji podkreśla rubaszny ton Lutra. Czyż autor w samej Postylli, w tem samem kazaniu nie czytał, jak sam Luter się uskarża, że »większa jest teraz na świecie bezbożność, chciwość, niemiłosierdzie, rozpusta i inna złość niżeli, było przedtem w papiestwie?« Czyż autor, wychwalając Lutra, nie winien się

był miarkować względami na większych od niego kaznodziejów niemieckich katolickich, jak Bertolda z Ratyzbony i Geilera z Kaisersberga?

Ale już dość o tym sposobie pisania, którybyśmy nazwali luteranofilskim! Przejdźmy do innych, łagodnie mówiąc, wątpliwości, które zaświadczą, że autor zbyt pospiesznie pracuje, że bezwzględnie mu ufać nie można.

Przecież Hegendorphinusa (?) zrobił Ślązakiem! Tymczasem Stanisław Kossowski wyraźnie dowodzi, że urodził się w Lipsku około r. 1500 (Krzysztof Hegendorfin, Lwów 1905, 26), przecież najlepszy znawca tego poznańskiego nowinkarza, X. Miaskowski, w swej świetnej recenzji o Kossowskiego książce (»Przegl. kość.«, Poznań 1906, IX 395) ojca jego wywodzi z Hegendorfu pod Bambergą i podkreśla, że stąd wedle najnowszych badań jedynie Hegendorferem zwać go można.

Znowuż Jadwigę, córkę Zygmunta Starego, żonę elektora Joachima II, robi luteranką. Skąd ma autor tę wiadomość, jeżeli najnowsi pisarze niemiecko-luterscy o tem nie wiedzą? Zivier (Neuere Geschichte Polens, Die zwei letzten Jagellonen, Gotha 1915, 464) podkreśla właśnie, że 1540 r. Zygmunt upominał elektora przez biskupa kujawskiego, Łukasza Górkę, by wiary przodków nie porzucał, a przynajmniej żony na luteranizm nie przeciągał i później nic nie wie, acz o niej jeszcze pisze, o zmianie wyznania. Podobnie i Wotschke, zaciekły protestancki pastor, (Geschichte der Reformation in Polen, Leipzig 1911, str. 30) zaznacza, że król polski wystarał się, by córka miała katolickiego kapelana.

Wprost dziwne czyni wrażenie, że autor pisze, jakoby Frycz był prawdopodobnie niemieckiego pochodzenia (str. 102). Przecież co dopiero najlepszy znawca Frycza Stanisław Kot (»Andrzej Frycz Modrzewski«, Kraków 1919, 284) był dowiódł, że nic nie przemawia za niemieckością Frycza, co mu też Oskar Halecki w swej recenzji poczytuje za zasługę (»Reformacja polska« 1921, Nr. 2).

Jana Kalksteina, postyllarza pomorskiego, pomawia autor o to, że nie umie dobrze po polsku, a tymczasem dr. Zygmunt Celichowski, który ma na miejscu w Kórniku jego postyllę, podkreśla, że Kalkstein pisał dobrą polszczyzną i poświadcza to wypisami i za jego zdaniem idzie Kazimierz Kolbuszewski (Postyllografja XVI i XVII w. Kraków 1921, 359 — 64).

Warto jeszcze wskazać na niektóre nazwy i nazwiska jako może mniej poprawne. »Lowanieński«, (13) czy nie raczej »lowański«? »Nagłowski« (18) czy nie raczej »nagłowicki«, jak też autor pisze na str. 69? »Rostock« (87), my Wielkopolanie ogólnie mówimy »Roztoka«, wskazując na słowiańskie pochodzenie tej nazwy. Na »Hegendorphinusa« już zwracaliśmy uwagę; co do »Hozjusza« (97) podkreśla Kot słusznie, że należy pisać i mówić Hozjus. Dalej razi licha korekta, czemu autor mniej winien, cytowanie po łacinie, marny papier i druk, na co się żalił i Wierzbowski, piszący sprawozdanie w »Przeglądzie narodowym«.

Lecz co najgorsze, to metoda, to sposób pisania. Aż pióro trzeba miarkować, by nie powiedzieć za wiele, a jednak raz wreszcie powie-

dzieć trzeba: książki prof. Grabowskiego o literaturze religijnej są tak pisane, jakby na wzór, jak pisać nie należy. Łamiemy sobie głowę, jak wytłumaczyć, że historyk literatury pięknej, uczeń mistrzów francuskich może pisać tak »bezbarwnie«, jak powiada Brückner, tak mglisto, nieuchwytnie, zawile, a co ze względu na metodę pisarską najniebezpieczniejsze, tak chaotycznie. Nie jest to tylko nasze własne zdanie, a dziwimy się, że nikt tego jeszcze prócz Feldmanna nie podkreślił. Tak przecież w XX. w. pisać się już nie powinno, iżby poświęceniem wprost było książkę taką przeczytać do końca.

Zresztą należy z całem uznaniem podkreślić olbrzymią, przerażającą wprost pracowitość autora, który do tak olbrzymiego obrazu, jak literatura religijna, potrafił stworzyć ramy jako pierwszy w Polsce, potrafił się przekopać przez takie często nietknięte pokłady piśmiennictwa i wydał rzeczy, potrzebujące wprawdzie uzupełnienia, ale mające wartość przynajmniej na kilkadziesiąt lat.

Ks. Nikodem Cieszyński.

Przegląd Warszawski. Miesięcznik. Wyd. Bibljoteki Polskiej.

Kiedy przeglądamy z ostatnich dwu lat nowości wydawnicze, mniejsza o to czy to będą studja literackie, czy utwory poetyckie lub powieściowe, czy nawet rozprawy filozoficzne, coraz częściej spotykamy na ich okładce stance »Bibljoteki Polskiej«. Na razie nie chodzi nam o jej książkowe publikacje; chcemy tylko zwrócić uwagę na tegoż Instytutu Wydawniczego — powiedzmy odrazu — poważny perjodyk, mianowicie na »Przegląd Warszawski«, wychodzący od października ub. r. pod redakcją W. Borowego (Warszawa, Świętojańska 2).

Jakaż jego fizjognomja ideowa? — Mówią, że syn bywa podobny do ojca. Otóż, kto znał »Nowy Przegląd Literatury i Sztuki«, zgasły w czerwcu poprzedniego roku po dwunastu miesiącach zasłużonego acz krótkiego żywota, ten z łatwością rozpozna w »Przeglądzie Warszawskim« bezpośredniego i w prostej linji potomka »Nowego Przeglądu«. Takie same tu i tam upodobania literackie i poetyckie (Staff, Orkan, Małaczewski), taka sama skłonność do zamieszczań tłumaczeń różnych obcych literatur (Kasprowicz). Ale »Przeglądu Warszawskiego« skala zainteresowań jest daleko rozleglejsza. Prócz krytyki literackiej i artystycznej wprowadza cały szereg zagadnień z dziedziny historji (Tymieniecki), socjologji, prawa (Ptaśnik), etnografji (Bystroń), filozofji (Kołaczkowski) itd. Ponadto młody »Przegląd« posiada duże zdolności na reportera i kronikarza, nie gardzi wycinkami z gazet, notuje pilnie każde »wydarzenie« czy »potknięcie się« na terenie życia artystycznego i naukowego, zarówno u nas w kraju jak i zagranicą. W dziale tym, który zajmuje połowę objętości poszczególnych zeszytów, a więc 3—4 arkuszy druku, pracują takie powagi, jak Pigoń, Chrzanowski (historja literatury polskiej), tacy subtelni estetycy, jak Kołaczkowski, Komarnicki (poezja, teatr) itd. Jeżeli chodzi o Confiteor estetyczne nowej Redakcji, to

jest ono passeistyczne, nie związane ściślej z żadną ezoteryczną koterją czy świątyńką literacką. Redakcja chce służyć całemu narodowi i dlatego też nie uznaje utworów, będących komentarzem np. »Czerwonego sztandaru«. Więcej zagadkową jest jej orjentacja polityczna. Choć i tu możnaby snuć pewne przypuszczenia na tle notatki o »Rubikonie« Bandrowskiego. A Credo religijne? Sądzimy, że cenzor pism religijnych mógłby i na »Przeglądzie Warszawskim« położyć narazie swoje: *Nil obstat.*

J. K.

Lucjan Zarzecki: Charakter i wychowanie. Wyd. 2. Gebethner i Wolff. In 8°, str. VIII+220.

Piękna myśl »złożenia bodaj drobnej cegiełki pod gmach narodowej pedagogiki« przyświecała autorowi książki, która pozostając w ramach teoretycznych, chce być tylko wstępem do szeregu monografij, poświęconych zagadnieniom praktycznego wychowania, a sama zadawala się postawieniem jego celu, za jaki uważa kształcenie charakteru. Rozwinięcie jego pojęcia i elementów stanowi główną treść niniejszej pracy, a poprzedza ją wstęp historyczny, zestawiający teorje o charakterze w dwie główne grupy: teorje fizjologiczne i psychologiczne, przyczem każda dzieli się jeszcze na parę części. Autor uznaje, że wiedza obecna daleką jest od opanowania tego przedmiotu, zachęca jednak, by pedagog nie czekał na pewne wyniki, ponieważ wychowywać już dziś trzeba, »a cel wychowania nie może być zależnym wyłącznie od doświadczenia«, lecz należy korzystać także z pomocy intuicji, historji i doświadczenia życiowego jednostki.

W odpowiedzi na pytanie: czy można wogóle kształcić charakter, autor przyłącza się do twierdzącego zapatrywania relatywistów, odrzucając przeciwne zdania dogmatyków i sceptyków. Następnie przystępuje do bliższego rozbioru charakteru i rozróżnia w nim dwie główne części składowe: materjał wrodzony i nabyty, będące wielkościami zmiennemi, które pozostają w stałem współdziałaniu. Obszerniej rozwija z kolei cztery »elementa« charakteru. Pierwszym z nich jest »doświadczenie czynne«, dające pojęcia, których zespół tworzy przekonania człowieka; drugim samowiedza, dająca ujęcie naszego ja wewnętrznego; trzecim jest »ogólne wyrobienie duchowe«, obejmujące ćwiczenie umysłu, woli i uczucia we wzajemnej zależności od siebie; czwartym wreszcie to cel życia, idea, która przenika całą duszę człowieka i dokoła której wszystko się obraca.

Określiwszy elementa charakteru, przechodzi autor do podania jego definicji, ujmując go nie jako coś stałego, ale jako proces i starając się zaznaczyć związek jednostki z podłożem narodowem, społecznem. Zdaniem jego, charakter tak pojęty może się stać wystarczającym celem wychowania w jakichkolwiek warunkach szkoły i położeniu ludzi.

Oto w streszczeniu zawartość książki. Czy pomysł owych czterech elementów charakteru należy uważać za najszczęśliwszy, trudno osądzić.

Autor jednak nie ma pretensyj w tym względzie, przyznaje bowiem niejednokrotnie, że trudny ten punkt dalekim jest jeszcze od zupełnego wyjaśnienia i pozostawia szeroką swobodę poglądów. Co się tyczy samej definicji charakteru (str. 191), mielibyśmy do zarzucenia, że mimo swej zbytniej długości pozostawia jednak pewną niejasność w określeniu jego celu, a przytem zdaje się czynić ludzkość najwyższą instancją, na którą człowiek powinien się oglądać. Trudno również zgodzić się na takie powiedzenie — chociaż rozumiemy, iż należy je tu wziąść w szerszem znaczeniu — że wola jest tylko »jakością, zjawiskiem życia duchowego« (str. 147), a nie osobną władzą duszy. Wreszcie ujemne wyrażenie się o »pietas średniowieczna« (str. 105), albo takie zdanie, że »człowiek, który rozwinął w sobie samowiedzę, jest prawdziwym chrześcijaninem, gdyż tylko z wysokości, do której doszedł, można naprawdę spółczuć bliźniemu« (str. 121), narzucają pewne wątpliwości co do jasności poglądów autora w tym względzie, chociaż przyznać mu trzeba wolę jak najlepszą, a religję stawia wysoko i odwołuje się często do niej. Szlachetna jego tendencja służenia społeczeństwu i ojczyźnie, zdrowe wskazówki i sumienne, rzeczowe opracowanie całej kwestji, czynią niniejszą pracę cennym nabytkiem dla naszej literatury pedagogicznej. *St. Podoleński.*

O. Kolumban Marmion: Chrystus życiem duszy. Przełożył z oryginału francuskiego ks. J. Andrasz T. J. Wyawnictwo X. X. Jezuitów. Kraków, 1921, str. 474.

Przekład ma być pierwszym tomem szeregu podobnych książek — »bibljoteki życia wewnętrznego«. Trudno było o lepszy dobór w takim zamiarze. Książka Marmiona podaje czytelnikowi to, czego w innych tego rodzaju pracach często albo brakuje, albo o czem się tylko pobieżnie i nie wystarczająco wspomina. »Niemasz w żadnym innym zbawienia« (Dz. IV. 12) tylko w Chrystusie Jezusie — to widocznie jest zasadą i punktem wyjścia całej pracy. — Przeprowadzenie tej myśli, rzec można bez przesady, jest świetne. Ze znajomością specjalisty wykazuje autor najpierw, jak Chrystus, stosownie do boskiego planu przeznaczającego ludzkość do nadprzyrodzonego usynowienia, rzeczywiście jest wzorem i źródłem wszystkich nadprzyrodzonych dóbr, które do takiego celu są potrzebne; jak bogactwo tych skarbów swoich przelał na Kościół, mistyczne ciało swoje i przez Ducha św. dokonuje uświęcenia wszystkich członków swoich. — Na tem, ze scisłością i gruntownością teologiczną wyłuszczonem tle, przedstawia autor zarys budowy życia chrześcijańskiego. Wspaniale wypadł ten obraz. Każda linja w nim jest dobrze obmyślana i gruntownie uzasadniona. Poprzedza omówienie fundamentu i podwójnego znamienia życia chrześcijańskiego — wiary i chrztu św. — Krótka a jasna dewiza kończy te wywody: »Śmierć grzechowi, a życie Bogu«. Objaśnienie jej wypełnia resztę książki (str. 191—460). Mile i z większą łatwością odczytuje się tę część. Jak w poprzedniej przeważa tłumaczenie i uzasadnienie ogólnych prawd, tak w tej ostatniej widzimy mozaikę życia praktycznego. Zajmującem jest to schodzenie

do codziennego życia, miejscami nawet do jego drobiazgów. Nigdzie bowiem te szczegóły nie stoją luźno, lecz są ściśle powiązane z ogólnemi prawidłami i z nich wynikają. Wskazawszy główne części organizmu życia chrześcijańskiego, przechodzi autor jakby do wyliczania pojedynczych arterji, nie pomijając najcieńszych włókien. W ten sposób znajdzie czytelnik rozprowadzoną praktykę odnośnie do sakramentu pokuty, przeplataną uwagami o grzechu (str. 191 i n.); stosunek miłości do innych cnót i zespół czynników wchodzących w życie nadprzyrodzone (str. 258) i zestawienie kilku szczegółowych ustanowień i ćwiczeń, które w życiu duchownem są niezwykłej wagi. Takimi są n. p. ofiara eucharystyczna, komunja św., modlitwa, miłość bliźniego, cześć Marji itd. Niema nic w książce luźnego, nieuzasadnionego, wszędzie uderza ta ścisła łączność nauki z praktyką, Chrystusa z życiem duszy. Zresztą 13 wydań oryginału i 8 tłumaczeń na inne języki są dostateczną gwarancją, że książka daje to, co tytuł obiecuje, że przechodzi średnią miarę, jest wybitną.

Wypada dodać, że tłumaczenie polskie jest bardzo staranne. Najtrudniejsze zwroty są giętko, bez naruszenia myśli i stosownie do wymagań mowy ojczystej oddane. *Ks. L. C.*

Edward Fehringer: Der gute Christ im modernen Weltleben 2 u. 3 Auflage, Freiburg 1921, 12° str. 300.

Znęcony tytułem skwapliwie chwyciłem za tę książkę. Błysnęła mi myśl: a nuż to nowożytna Filotea! Literatury duchownej dla ludzi, o których się mówi, że uciekli ze świata, nie brak, ale duży jej brak dla katolików żyjących i działających w świecie. Bo ująć odwieczną doskonałość chrześcijańską w takie formy, żeby trafiła do umysłowości współczesnego katolika, któraby uwzględniała jego położenie i potrzeby, umiała wysnuć z zasad ewangelicznej doskonałości praktyczne wskazówki dla przeróżnych warunków, w których on się znajduje, a przytem żeby nie straciła nic na swej głębokości i nadprzyrodzoności — to rzecz nie łatwa.

Czy »Der gute Christ im modernen Weltleben« spełnia te wymagania? Niestety, w bardzo malutkiej tylko mierze. Do Filotei, jak to mówią, ani się umył. Brak mu jej wczucia się w duszę katolika świeckiego i podpatrzenia go w różnych sytuacjach życiowych, nie umie tak słodko, choć zarazem i mocno stosować niewzruszonych zasad doskonałości chrześcijańskiej, brak mu również jej ujmującej prostoty. Za dużo w nim schematyczności i formułkowości, za dużo cytatów nieprzetrawionych. Książka Fehringera nie robi wrażenia jednolitego odlewu, ale mozolnej roboty, której szwy zbyt widoczne. — Czy jest to więc rzecz całkiem chybiona? Nie. Tylko że nie zadawala nadziei, jaki, jej tytuł budzi. Jako podręcznik, zawierający mnóstwo tematów z zakresu chrześcijańskiej doskonałości z pewnem współczesnem zabarwieniem, może oddać dobre usługi i kapłanowi i świeckiemu.

J. Andrasz.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

A. Czarnowski: Pasorzyty ludzkie zewnętrzne — ich powstawanie i usuwanie, Koronowo 1919, 8⁰ str. 40.

Dr. St. Pazurkiewicz: Poczucie przyrody w twórczości Seweryna Goszczyńskiego. Tarnów, Księgarnia Zygm. Jelenia 1921, 8⁰ str. 92.

X. Charszewski: Polska między Bogiem a szatanem. Księgarnia Powszechna we Włocławku 1922, 8⁰ str. 26.

— Flanders' right and claim for autonomy formulated, explained, justified Hague, Mart. Nijhoff 1920, 8⁰ str. 124.

Leon Wicher: Kurs stenografji polskiej, dla uczących się bez pomocy nauczyciela, Warszawa, Chmielna 15, 1921. 8⁰ str. 24.

Z Krakowskiej Spółki Wydawniczej 1922. „Bibljoteki Narodowej", Serja II.:

Nr. 7. Aischylos: Prometeusz Skowany, przełożył Jan Kasprowicz, opracował St. Witkowski. 12⁰ str. 156.

Nr. 12. William Szekspir: Burza, przełożył Józef Paszkowski, opracował Andrzej Tretiak. 12⁰ str. 176.

Nr. 14. William Szekspir: Antonjusz i Kleopatra, przełożył i opracował Wład. Tarnawski. 12⁰ str. 214.

Z Wydawnictw Gebethnera i Wolffa:

Zofja Reutt-Witkowska: Studja nad utworami dramatycznemi Korzeniowskiego. 8⁰ str. 405.

P. Ovidius Naso: Przemiany, przełożył Br. Kiciński, opracował Jan Czubek, wstępem zaopatrzył Kaz. Morawski. 12⁰ str. 285.

Edward Ligocki: Płonące Reims, opowieść współczesna. 12⁰ str. 227.

Jan Powalski: Nad jeziorem (Sielanka wielkopolska z XIII wieku), 12⁰ str. 310.

Karol Troczewski: Urwipołcie, opowieść ze wspomnień szkolnych, 12⁰ str. 85.

Z cyklu „Pisarze polscy i obcy":

Nr. 1. Adam Mickiewicz: Dziadów cz. III, wydał i objaśnił Wacław Borowy, 12⁰ str. 310.

Nr. 2. Juljusz Słowacki: Trzy poemata, wydał i objaśnił Juljusz Kleiner, 12⁰ str. 143.

Nr. 3. Ignacy Krasicki: Monachomachja i Antimonachomachja, wydała i objaśniła Zofja Gąsiorowska, 12⁰ str. 123.

Homer: Ilias, przełożył Jan Czubek, słowem wstępnem zaopatrzył Kaz. Morawski, 16⁰ str. 558.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Francja na rozdrożu między dogmatami „świeckości" a poczuciem słuszności. — Stosunki kościelne w Czechach. — Nieoględność w omawianiu spraw kościelnych i traktowaniu przedstawicieli Kościoła.

Nawiązując stosunki dyplomatyczne z Watykanem, rząd francuski zastrzegał się, że czyni to jedynie ze względów polityki zagranicznej. Zarówno na bliskim, jak i na dalekim Wschodzie, jak w Algierze czy kolonjach centralnej Afryki rząd doskonale ocenia usługi, oddawane narodowi francuskiemu przez katolickich misjonarzy, którzy, niosąc światło ewangelji Chrystusowej, są zarazem pionierami cywilizacji europejskiej, a przedewszystkiem wpływów francuskich. Te korzyści zmuszają rząd francuski do stałego kontaktu ze Stolicą świętą, od której ostatecznie zależą wszystkie instytucje misyjne. Oprócz tego zobowiązania dane przez rząd francuski Alzacji i Lotaryngji, że Francja uszanuje osobliwości religijne tego kraju, pociągały za sobą również potrzebę pewnych stosunków z Rzymem wobec tego, że trudno było rozciągnąć na odzyskane kraje francuskie ustawę o rozdziale Kościoła od państwa. Wreszcie rząd francuski zdawał sobie sprawę i z tego, że musi to szkodzić interesom Francji, jeżeli w Rzymie, gdzie prawie wszystkie rządy utrzymują swoich przedstawicieli przy Stolicy świętej, w Rzymie, który z tego powodu staje się jakoby obserwatorjum polityki całego świata, Francja jedna z wielkich mocarstw nie będzie posiadała stałego swego przedstawicielstwa. Z tych więc względów przywróconą została ambasada francuska przy Watykanie, co znowu prawem wzajemności dyplomatycznej pociągnęło za sobą przywrócenie nuncjatury papieskiej w Paryżu.

Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem było ze strony rządu francuskiego małym »zamachem stanu«. Nie mógł się gabinet Brianda doczekać decyzji w tej sprawie ze strony Senatu, który całą sprawę odkładał na czas nieokreślony, przeto nominacja Jonnart'a na ambasadora nastąpiła przed zatwierdzeniem przez Izbę wyższą potrzebnych na ten cel kredytów. Ten »zamach stanu« wywołał w Senacie interpelację lewicy, która w debatach, trwających kilka dni (8, 13, 15 i 16 grudnia 1921 r.), wytoczyła ze swego arsenału najcięższe działa, by zburzyć argumenty rządu o potrzebie stosunków dyplomatycznych między Francją a Watykanem. Więc z ust interpelanta, senatora René Héry, i innych, którzy mu w sukurs pospieszyli, słyszało się wszystkie utarte już zarzuty przeciwko ambasadzie francuskiej w Rzymie, a jeszcze bardziej przeciwko nuncjaturze papieskiej w Paryżu. Niektórzy z lewicowych senatorów głównie powodowali się w swem wystąpieniu przewidywaniem, że nawiązane raz stosunki dyplomatyczne z Głową Kościoła doprowadzą siłą rzeczy do przekreślenia z czasem niejednej ustawy wrogiej religji i Kościołowi, co w zapatrywaniach radykałów francuskich byłoby prawie jednoznacznem z podkopaniem podstaw ustroju republikańskiego. Przedstawiciele rządu uspakajali te obawy, akcentując raz po raz, że wewnętrzne prawodawstwo francuskie, dotyczące Kościoła, zakonów i szkolnictwa, jest i pozostanie »nietykalne« i że nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rzymem zasadom »świeckości« w niczem nie zagraża. Oczywiście takie uspakajanie obaw jakobinów nie mogło zaspokoić ani ich, ani katolików. Ci ostatni bowiem pragną i dążyć będą do tego, by niegodziwe ustawy, krępujące wolność Kościoła i szczepiące bezbożność w duszach młodzieży, były uchylone.

W rezultacie długiej debaty senat uchwalił votum zaufania gabinetowi Brianda, przez co ex post zatwierdził erekcję ambasady francuskiej w Rzymie. Nie da się zaprzeczyć, że rząd Brianda, a obecnie po jego upadku rząd Poincaré'go ma przed sobą w dziedzinie polityki kościelnej ważne a trudne zadanie. Pomimo wszystkich oświadczeń, że się w tej polityce nic nie zmieni, sfery rządzące dochodzą do przekonania o potrzebie złagodzenia pewnych antykościelnych ustaw. Sam ambasador francuski przy Watykanie, Jonnart, który zresztą należy do partji radykalnych socjalistów, na kongresie partyjnym w Lionie, w końcu października, oświadczył między innemi, że czas poddać rewizji ustawy dotyczące zakonów, trudniących się dziełami miłosierdzia i misjami na Wschodzie. Tym kongregacjom pragnąłby udzielić prawnej egzystencji w kraju, powołując się na usługi oddawane przez nie narodowi i na

patrjotyzm ich członków, jaki dobitnie zaznaczył się podczas ostatniej wojny. Natomiast uważa, że niemożliwą jest rzeczą uprawnić istnienie w kraju zakonów nauczających, których dopuszczenie obaliłoby zasadniczy dogmat »świeckości« szkoły.

Komentując przemówienie Jonnarta i rozmaite enuncjacje rządowe w tej sprawie, słusznie zauważają katolicy, że. takie nierówne traktowanie kongregacyj zakonnych byłoby wysoce niesprawiedliwe. Członkowie zakonów nauczających, od r. 1904 zmuszonych prowadzić swe zakłady poza granicami Francji, niemniej patrjotycznie od członków zakonów dobroczynnych zachowali się podczas wojny. I oni na pierwsze wołanie zagrożonej ojczyzny porzucili swe spokojne prace, spiesząc jej na pomoc, i ich krew lała się nad Marną, Yzerą i pod Verdun, wielu z nich położyło tam swoje głowy, inni zyskali najwyższe odznaczenia patrjotyzmu męstwa. Niektórzy z nich po zawarciu pokoju pozostali w kraju, pragnąc na miejscu poświęcić się pracom swego powołania; czyż byłoby to godnem honoru Francji zmuszać ich znowu do tułaczki poza granicami ojczyzny? Kasując szkoły zakonne, motywował niegdyś ten krok Waldeck-Rousseau tem, że z istnienia dwóch rodzajów szkół, państwowych i zakonnych, wyjdą dwa odmienne typy młodzieży, *deux jeunesses*. Wojna okazała, że z szeregów tego typu, jakiego obawiał się Waldeck-Rousseau, wyszli tacy ludzie, jak marszałek Foch, jak gen. Castelnau, Franchet d' Esperey i wielu, wielu innych bohaterów ojczyzny. Cóż więc ze stanowiska narodowego można zarzucić przeciwko dopuszczeniu szkół, prowadzonych przez zakony? Żeby przynajmniej szkoła świecka cieszyła się niepodzielnem uznaniem! Ale i tego niema. Szkoły prywatne, prowadzone nawet nie przez zakonników lecz przez kler świecki i wierzących laików, zyskują coraz bardziej na wziętości, podczas gdy szkoły rządowe pustoszeją. Widać, że religijne przekonania mogą iść w parze z zaletami pedagogicznemi. Owszem poziom intelektualny i moralny bezbożnego nauczycielstwa szkoły świeckiej we Francji jest taki i powołania do tego zawodu tak niedostateczne, że, jak rok temu wyraził się w Izbie francuskiej poseł Bérard, rzeczpospolita »będzie wkrótce musiała uczynić wybór między nauczycielami zakonnymi a świeckimi analfabetami«. Wreszcie Jonnart nie zauważył sprzeczności, jaka się kryje w jego propozycji. Po większej części zakony misyjne, którym on radby widzieć nadane prawo obywatelstwa, są zarazem zakonami nauczającemi: wszak nie co innego, jak nauczanie w szkołach, jest ich głównem zadaniem na terenach misyjnych. Otóż krzyczącym grzechem przeciwko logice byłoby uznawać wartość ich

nauczania poza krajem, bojąc się tegoż nauczania w domu. I jak na-ostatek można się spodziewać rozrostu takich kongregacyj, uznanych za pożyteczne dla misyj, jeżeli przez banicję z kraju przetnie się ich kontakt z własnem społeczeństwem? Czy obfite owoce może rodzić drzewo, któremu podcina się korzenie?

Gdy tak ścierają się zastarzałe jakobińskie uprzedzenia z wymaganiami logiki, sprawiedliwości i dobrze pojętego interesu narodowego, Francja w krótkim czasie będzie zmuszona ruszyć z rozdroża, na którem obecnie stoi: albo uzna za możliwe odrzucić dogmaty »świeckości«, które dotąd uważa za nietykalne, albo też jasno powiedzieć katolikom, że ich zasługi dla ojczyzny, ich niezaprzeczony patrjotyzm, nie zasłonią ich przed konsekwencjami raz przyjętych w polityce wewnętrznej bezbożnych zasad. Ale w takim razie urzędowa Francja stwierdziłaby dowodnie, że nie powoduje nią wzgląd na prawdziwe dobro narodu, lecz zastarzała nienawiść do Kościoła i religji.

Czechy kroczą wciąż po drodze, na którą wstąpiły zaraz po rozpadnięciu się Austrji, ku wywołaniu rozłamu religijnego i skrępowaniu wolności Kościoła. Odłam duchowieństwa, który w r. 1918 podniósł żądania radykalnych reform w Kościele, zdołał już ukonstytuować się w odrębną schizmatycką organizację, tak zwany »Czesko-słowacki Kościół narodowy«. Uznani przez rząd 15 października 1920 r., równo w rok potem, 15 października 1921, otrzymali odszczepieńcy od tegoż rządu potwierdzenie swojej konstytucji kościelnej. Pierwszy z 49-ciu artykułów tej konstytucji opiewa: »Kościół czesko-słowacki składa się z chrześcijan, którzy wyznają naukę Jezusa Chrystusa według siedmiu pierwszych Soborów Powszechnych, przyjmuje symbol wiary Niceo-konstantynopolitański i kieruje się tradycjami ruchu husyckiego, dostosowanego do kultury współczesnej«. Jak widać z powyższego określenia, schizmatycy czescy pragną pogodzić zasady schizmy greckiej z własnemi tradycjami husyckiemi, które z grecką schizmą mają wspólną tylko nienawiść do Kościoła katolickiego, podczas gdy w wielu punktach dogmatycznych i karności kościelnej są daleko radykalniejsze od tamtych. Czeski narodowy kościół posiada trzy diecezje, dla których biskupi zostali wyświęceni przez schizmatyckich biskupów serbskich. Przez fakt tej konsekracji wszedł nowy Kościół schizmatycki w ścisłe stosunki z Belgradem. W Serbji jednak nie cały episkopat i nie cały kler aprobują działalność biskupa Dozyteusza, który poczynił wielkie ustępstwa na rzecz czeskiego radykalizmu, godząc się np. na zawarcie

małżeństw przez księży już wyświęconych i na małżeństwa powtórne tychże, co się nie zgadza z odwiecznemi kanonami cerkwi wschodniej. Przeciwko mianowaniu Dr. Farsky'ego biskupem Pragi i patrjarchą całego narodowego Kościoła powstała silna opozycja z powodu radykalizmu i moralnych niedostatków elekta. Z drugiej strony tenże Farsky dąży do zupełnego uniezależnienia swojego Kościoła od Belgradu i do połączenia się raczej z protestantami i metodystami, podczas gdy frakcja, na czele której stoi Brodsky, pragnie ścisłej unji z cerkwią serbską.

Ilu wyznawców posiada nowy Kościół, dokładnie nie wiadomo, dopóki nie są ogłoszone wyniki ostatniego spisu ludności. Sami odszczepieńcy podają w swych pismach cyfrę 2.500.000, zdaje się jednak, że na swą korzyść zapisują wszystkich liberałów i ateuszów, jakich nie brak w Czechach, słowem wielu takich, dla których w gruncie rzeczy obojętnym jest ten czy ów kościół. Tacy, jeżeli będą popierali odszczepieńców, to nie z przekonania o słuszności ich sprawy, tylko z chęci zaszkodzenia Kościołowi katolickiemu. Parafij liczy sekta 95, z tego 73 w Czechach, 18 na Morawach i 4 na Śląsku. Pomimo odstępstwa od Kościoła katolickiego przeszło stu księży, daje się czuć wielki brak duchownych na obsługi tych parafij, wielka bowiem część odstępców wolała wogóle porzucić stan duchowny. Żeby zaradzić tej potrzebie, używają schizmatycy pomocy katechistów świeckich, na przyszłość zaś pragną pociągnąć młodzież do szeregów duchownych łatwością skończenia studjów i perspektywą małżeństwa. Według nowej konstytucji swojej zadawalniają się trzema latami teologji, z których nadto dwa lata mogą być darowane na mocy dyspensy. Zresztą trzeba przyznać, że dla przestudjowania teologji tak ubogiej w treść, jaką jest teologja tych nowożytnych husytów, ograniczająca się do mglistej, nieujętej w dogmaty religijności, rok jeden powinien wystarczyć.

Z odłączeniem się jawnych schizmatyków nie uspokoiło się wrzenie wśród reszty kleru. Stowarzyszenie księży „Jednota", z którego wyszedł ruch husycki, nie rozwiązało się, jak tego zażądał Papież i biskupi czescy. „Jednota" nadal zasypywała biskupów memorjałami, domagając się demokratyzacji Kościoła i małżeństw księży. Co do tego ostatniego powołała się na jakieś apokryficzne ustępstwo Rzymu dla księży brazylijskich. Kiedy 8 października 1921 r. zjawiła się w Rzymie pielgrzymka czesko-słowacka z 7 biskupami na czele, Ojciec święty, Benedykt XV, dając wyraz radości, że tak znaczny odłam kleru i ludu pozostał wiernym Kościołowi, zakreślił wyraźnie te granice, w których muszą być utrzymane przywileje językowe, udzielone niedawno Kościołowi czeskiemu,

nadto stwierdził raz jeszcze, że zwolennicy reform nie mogą liczyć na żadne ustępstwo Kościoła w sprawie celibatu. Wtedy „Jednota" ogłosiła nowy protest, głosząc, że Rzym nie jest dość poinformowany o stosunkach czeskich. Z powodu całej działalności „Jednoty" wytoczono członkom jej zarządu kanoniczne procesy, ona zaś ze swej strony wezwała swych członków do oświadczeń, że nawet groźba suspensy nie odciągnie ich od solidarności z zarządem. Przywódcy reformistów chcieli tym sposobem wywrzeć nacisk moralny na biskupów. Po stronie tych ostatnich atoli oświadczyła się wielka liczba kapłanów, zwłaszcza księża należący do klubu czeskiej partji ludowej.

Jak widzimy, dużo jest jeszcze do uczynienia w nadwełtawskiej republice, aby osiągnąć uspokojenie umysłów i doprowadzić wszystkich do posłuszeństwa Kościołowi. Da się to zapewne uskutecznić dopiero przez wychowanie nowego pokolenia kapłanów. Dlatego i Ojciec św. w ostatnim liście swoim do biskupów Czech i Słowacji z 26 grudnia 1921 r. kładzie biskupom na sumienie sprawę seminarjów duchownych. Mają one powstać, jeśli ich gdzie dotąd niema, we wszystkich diecezjach. Seminarja wspólne dla paru diecezyj mogą być tolerowane tylko w ostateczności. Za podstawę nauczania ma służyć filozofja i teologja scholastyczna według systemu św. Tomasza z Akwinu; studja mają trwać dwa lata na filozofji a cztery na teologji. Szczególną opieką ma być otoczone wyrobienie duchowne alumnów. Jeśli ta reforma seminarjów, tak różnie pojęta od zamierzonego sposobu wychowania kleru w kościele husyckim, da się urzeczywistnić, to będzie można spodziewać się odrodzenia katolicyzmu w Czechach. Tymczasem trudność jest wielka z powodu braku powołań, gdyż nawet w istniejących seminarjach mało jest alumnów, a i z tych, którzy są, znaczna część jest niemieckiego pochodzenia. Najbliższa przyszłość zapowiada się nieświetnie pod tym względem. Polityka szkolna Czech dąży wszystkiemi siłami do zupełnego ześwietczenia nauczania w szkołach. Z przeważnej liczby szkół usunięto już nauczanie religji. Pierwszy minister oświaty, socjalista Haberman, usunął modlitwy przed i po lekcjach i przymusowe uczęszczanie młodzieży do kościoła. Jego następca, Szusta, dekretem z 17 sierpnia 1921 r. pozostawił tę sprawę decyzji samego nauczycielstwa. Dekret ten wywołał szaloną agitację wśród radykalnego nauczycielstwa, które też przeforsowało, że modlitwa ma być zniesioną. Piętnując ten zamach na religijność nauczania, biskupi Czech i Słowacji w liście pasterskim, wydanym na Boże Narodzenie

1921, zwracają się do wiernych z przypomnieniem obowiązku wychowania dzieci w wierze katolickiej i domagania się katolickiej szkoły.

Jakkolwiek polityka rządu zdecydowana jest iść drogą „walki kulturnej", jakkolwiek odporność katolicyzmu osłabiają wewnętrzne wrzenia i obojętność dla sprawy katolickiej wielkiego odłamu społeczeństwa, jednak Kościół czeski zdaje się być u świtu swego odrodzenia. O wielu objawach świadczących, że katolicyzm mimo wszystko konsoliduje się i wzmacnia w Czechach, już pisaliśmy dawniej na tem miejscu. (Por. Przegl. Powsz. maj-czerwiec 1921 r.). Potężne katolickie organizacje młodzieży, powstanie katolickiego stronnictwa ludowego, którego siła polega na ścisłej łączności ludu z wiernymi Kościołowi kapłanami, tłumny udział w katolickich obchodach religijnych, w zjazdach i kongresach, wreszcie pielgrzymka do Rzymu, w której udział wzięli przedstawiciele wszystkich warstw, od biskupów i senatorów aż do sfery robotniczej i wieśniaczej, — wszystko to jest dowodem, że pod względem religijnym w Czechach dokonuje się selekcja ludzi prawdziwie po katolicku czujących i że zastęp ten gotuje się do ostatecznej walki w obronie Kościoła i katolickości własnej Ojczyzny.

Prasa nasza codzienna odznacza się wielką lekkomyślnością, gdy chodzi o sprawy Kościoła i o osobistości, należące do hierarchji kościelnej. Nie można się dziwić prasie socjalistycznej, która z zasady musi atakować wszystko, co jest katolickie. Ale i inne odłamy naszego dziennikarstwa nie zawsze są pod tym względem bez zarzutu. Byliśmy już niejednokrotnie świadkami, jak atakowano biskupów, owszem nawet Papieża, z powodu rzekomo ich polityki szkodliwej dla narodu. Przytem często mylnie interpretowano fakty, puszczano niesprawdzone pogłoski, pochopnie podsuwano pobudki i posądzano o zamiary, jakich wcale nikt nie miał. Ton takich insynuacyj zwykle też nie licuje ani z powagą pism, ani z wymogami prostej przyzwoitości. Trafiło się, że ten czy ów działacz kościelny, nawet biskup, dopiero co sławiony jako gorący patrjota, może jako męczennik sprawy narodowej, nagle stawał się w opinji człowiekiem podejrzanym i szkodliwym dla narodu. Nie sięgając dalej, przypomnijmy napaści, jakich ofiarą stali się nasi pasterze, pośredniczący w Rzymie w sprawie śląskiej.

Jeżeli taka lekkomyślność prasy, — a to samo stosuje się i do trybuny sejmowej i do wszelkich innych publicznych występów i rozmów prywatnych, — szkodliwą jest, kiedy chodzi o biskupów i innych przedstawicieli Kościoła polskiego, bo podkopuje w narodzie cześć

dla ich godności i zaufanie do Kościoła, to nie mniej szkodliwą jest ta metoda, kiedy się ją stosuje do obcych, bo wtedy kompromituje ona naszą katolickość wobec katolików zagranicy. Zapewne ze stanowiska naszej polityki narodowej możemy wiele zarzucić polityce biskupów innych narodowości, znajdujących się w Polsce, zapewne można w niejednem krytykować postępowanie czy to kardynała Bertrama, czy metropolity Szeptyckiego, czy biskupa Matulewicza, wszakże nigdy nie wolno katolikom i tej prasie, która za katolicką chce uchodzić, zapominać o czci należnej godności biskupiej tych prałatów, o pewnem dekorum w wyrażaniu się o Kościele i wreszcie o etyce publicystycznej, która nakazuje kierować się tylko prawdą i sprawiedliwością, nawet kiedy chodzi o ocenę postępowania politycznych przeciwników. Owszem, oceniając stanowisko obcych, wypada nieco wczuć się w ich narodowe uczucia, by nawet zwalczając rzeczowo ich politykę, ustrzec się nieuzasadnionych podejrzeń i sądów, krzywdzących ich subjektywną prawość i uczciwość. Jak z temi słusznemi wymaganiami nie zawsze się liczy nasza prasa i nasi mowcy, dowodzi parę świeżych faktów. Przytaczamy je zarówno w celu ilustracji tego, cośmy powiedzieli, jak i w celu złagodzenia zbyt surowych sądów o pewnych osobistościach, sądów, urobionych na podstawie naszej prasy.

Na otwarciu roku uniwersyteckiego w Wilnie zostało rzuconem publicznie oskarżenie na miejscowego biskupa, ks. Matulewicza, że nie sprzyja wydziałowi teologicznemu na Uniwersytecie. Kiedy biskup zażądał od Wydziału i od Rektoratu Uniwersytetu konkretnych dowodów na poparcie rzuconego oskarżenia, nie umiano nic przytoczyć, jak tylko to, że biskup trzem kapłanom, studentom uniwersytetu, wyznaczył stanowiska daleko od Wilna, uniemożliwiając im słuchanie wykładów, powtóre, że nie zgodził się na połączenie seminarjum duchownego z teologicznym wydziałem Uniwersytetu. Otóż, jak się okazuje z ogłoszonej we Wilnie „Korespondencji pomiędzy Kurją biskupią wileńską a uniwersytetem Stefana Batorego", mianowania owych trzech księży, a raczej dwóch, nastąpiły na ich własną prośbę, trzeci zaś sam wstąpił jako kapelan do wojska polskiego, stanowisko zaś, jakie zajął ks. biskup Matulewicz w sprawie zjednoczenia seminarjum z Wydziałem, było mniej więcej to samo, jakie zajmują inni biskupi wobec wydziałów teologicznych w Warszawie i Lublinie, pozostawiając seminarja, jako zakłady odrębne od Uniwersytetów, pod swoim własnym kierunkiem, z czego nikt im zarzutów nie czyni.

Drugi wypadek. Pamiętamy ile hałasu uczyniono z powodu wy-

łapania zebrania bolszewickiego w gmachach św. Jura we Lwowie. Roztkliwiano się nad tem, że miejsca święte, o których sklepienia obijały się hymny kościelne, kler świętojurski dopuścił tak zbeszcześcić. Oczywiście tkwiło w tem posądzenie, że o zebraniu komunistów musieli wiedzieć przynajmniej niektórzy księża ruscy; pisano, że jeden z nich stał w korytarzu na czatach; ubocznie wmieszano w tę aferę nawet nieobecnego metropolitę Szeptyckiego, składając nań część odpowiedzialności za zdarzenie. Niedawno lwowski grecko-katolicki konsystorz, tak wyjaśniał to zajście. Zebranie bolszewików odbyło się w lokalu, który kapituła odstąpiła na żeńską szkołę imienia Hrynczenka. Korzystając z paru dni ferji szkolnych, sprytny agitator, podający się za przyjezdnego z Warszawy, wynajął na ten czas lokal szkolny u klucznicy, pozorując to rzekomą niemożnością znalezienia mieszkania w mieście. Następnie, pod pretekstem swoich imienin sprowadził wiktuały i swoich wspólników. Zebranie odbyło się w niedzielę rano, kiedy wiele ludzi szło do katedry św. Jura na nabożeństwo; wśród nich przeszli niepostrzeżenie i komuniści. Ksiądz, który rzekomo stał na czatach, okazał się braciszkiem zakonu Studytów, który wyszedłszy z kościoła, przechodził kurytarzem budynku. Tego wyjaśnienia nie oprotestował żaden z naszych dzienników, mamy więc prawo przypuszczać, że jest ono zgodne z wynikami śledztwa. A jeśli tak, czemu w imię prawdy nie złagodzono surowego sądu, jaki opinja publiczna polska urobiła sobie o lwowskich księżach ruskich, jako patronach komunistycznych agitacyj?

Jeszcze jeden wypadek. Nie dawniej, jak przed rokiem, braliśmy za złe rządowi łotewskiemu, że nowego biskupa ryskiego, ks. E. O' Rourke'a, zmusił do ustąpienia z katedry z powodu jego przynależności do narodowości polskiej. Lecz oto ten prałat, ofiara swej polskości, dostaje od Rzymu jakąś misję do Kowna, a po drodze zatrzymuje się w Gdańsku, zapewne dla zebrania na miejscu informacyj o tamtejszych stosunkach kościelnych. Oczywiście, że musi spotkać się i rozmówić z przedstawicielami Niemców, którzy przeważają, a przynajmniej stanowią poważny odsetek katolickiej ludności Wolnego Miasta. Dzięki lekkomyślnej podejrzliwości, jaką się ściga przedstawicieli Kościoła, w lot powstaje wersja o jakichś konszachtach biskupa z Niemcami na niekorzyść Polaków, zapomina się nawet o jego pochodzeniu polskiem i nienagannym dotąd patrjotyźmie i p. Grabski alarmuje tą sprawą komisję sejmową do spraw zagranicznych. Minister Skirmunt, na podstawie dokładniejszych relacyj z Gdańska, uspokoił powstałe

obawy, przytaczając na korzyść ks. biskupa O' Rourke'a jego zachowanie się wobec przedstawicieli polskiej ludności w Gdańsku. »Bulletin catholique de Pologne« ma zasługę, że tę sprawę wyjaśnił wobec Europy, ale czy nie należało również zrehabilitować biskupa w dziennikach polskich?

Tych parę przykładów niech wystarczy. Rok temu, w liście swoim o utrwaleniu pokoju, zwracał się Benedykt XV do prasy z wezwaniem, aby wystrzegała się wszelkiej niesprawiedliwości w sądach i wszelkiego jątrzenia. Jeśli ten głos Stróża moralności publicznej jest za słaby, by dotarł do tych, co urabiają u nas opinję publiczną, niech przynajmniej będzie przestrogą dla katolików, by zbytnio tej opinji nie ulegali, zwłaszcza kiedy ofiarą jej padają przedstawiciele Kościoła, zarówno swoi jak obcy. Zbyt wiele ta »opinja« nagrzeszyła pod tym względem, — nie zaszkodzi mieć się przed nią na baczności.

Ks. Jan Urban.

Z wystawy krakowskiego Tow. Sztuk pięknych.

Grudniowa wystawa przedświąteczna w Towarzystwie Sztuk pięknych stanowiła efektowne zakończenie jego zeszłorocznej działalności. Złożyło się wprawdzie tak szczęśliwie, że przeważna ilość wystaw poprzednich zasługiwała na miano »dobrych«, jednak niewiele z nich może równać się z ostatnią na punkcie wzbudzonego zainteresowania i to nie tylko w kołach samych miłośników sztuki. Takiej frekwencji, jaką cieszyła się wystawa grudniowa, nie wykazywały oddawna roczniki rzeczonego Towarzystwa, najstarszego z pomiędzy zrzeszeń tego rodzaju w Polsce. I, co jest godnem szczególnej uwagi, mało jaką wystawę zwiedziło tylu artystów malarzy, ilu się ich widziało na niej. Zwykle artyści, — o ile sami nie są wystawcami, — ograniczają swe odwiedziny sal wystawowych do dnia »vernissage'u«. Wylawszy wtedy odpowiednią porcję żółci przy ocenie prac swych kolegów, zostawiają je swemu losowi.

Musiało tedy być na tej wystawie coś atrakcyjnego, skoro przez cały miesiąc ściągała malarzy i tłumy laików. Tak! było rzeczywiście coś, co stanowiło na niej prawdziwą niespodziankę, a mianowicie zbiór kilku prac Tetmajera, któremi ten malarz »redivivus« wywołał równocześnie entuzjastyczny zachwyt jednej części widzów i zjadliwe krytyki drugiej.

Pochłonięty, jak wiadomo, przez politykę, Tetmajer z dziesięć lat prawie nic nie tworzył. Powstała stąd luka w naszem malarstwie, gdzie artysta sobie zdobył miejsce poczesne. Czy polityka zyskała na tem, że rzucił się w jej objęcia — nie wiem, ale wiem, że malarstwo polskie straciło. To też sama już wieść, że wystąpił ze zbiorową wystawą prac swoich w gmachu przy placu Szczepańskim, podziałała na publiczność elektryzująco. A gdy do tego dodamy, że prace wystawione zawadziły

mocno o aktualność polityczną, dziwić się nie można, iż powstał ruch niemały w świecie artystycznym i daleko poza jego obrębem.

Od chwili otwarcia sal Towarzystwa aż do zmroku snuły się gromady widzów przed »Zmartwychwstaniem«, które stanowiło »clou« wystawy tetmajerowskiej.

Sporych rozmiarów ten obraz, a właściwie olbrzymi szkic, rozrzewniał jednych do łez — co na własne oczy widziałem — innym dawał asumpt do bardzo ujemnych uwag »à propos« pomysłu i wykonania. Środek kompozycji, której tłem jest wnętrze katedry wawelskiej, zajmuje Zbawiciel (z krucyfiksu królowej Jadwigi, ale bez drzewa), zdający się mówić do Polski: »Wstań!« I Ona (pod postacią dzieweczki, niby córki Jaira) podnosi się z trumny i odsuwa krępujące ją całuny. W ruchu tym rozplotły się jej włosy i korona spada z głowy. Ku tej koronie — symbolowi władzy — wyciągają się chciwie ręce naszych obecnych »suwerenów« (wielu z nich naszkicowanych portretowo). Przed nimi groźna postać Rejtana, a ponad nimi, na tronie biskupim święty Stanisław w otoczeniu wielkich patrjotów — duchownych. Trumnę Zmartwychwstającej otacza elita naszych uczonych, mężów stanu, wojowników (aż do Hallera, Piłsudskiego i legjonistów), poetów (aż do Wyspiańskiego, któremu »złoty róg« wypadł z ręki), a na samym przodzie Stańczyk, ów symbol rozumnej, przewidującej i bezinteresownej miłości Ojczyzny.

Odzywają się głosy krytyki. »To nie obraz, to pamflet polityczny«. Dobrze, ale w takim razie pamfletem politycznym jest i »Rejtan« matejkowski. Artysta prawdziwy winien tworzyć »sub specie aeternitatis«. Co kogo będzie obchodziło za lat sto, że obraz swój namalował Tetmajer R. P. 1921, gdy żył jeszcze Witos oraz inni sportretowani »suwereni«? albo, że usymbolizował wstrętną walkę o władzę właśnie wtedy, gdy się rozgrywała?... Obraz Matejki, gdyby był powstał nazajutrz po bohaterskiem wystąpieniu Rejtana, a nie w kilkadziesiąt lat później, niby nie stracił na walorach artystycznych. Potomność będzie sądziła »Zmartwychwstanie« Tetmajera z innego, aniżeli my, punktu widzenia. Ona nie będzie wyszukiwała w niem aktualności, natomiast będzie roztrząsała, czy artysta zamierzoną myśl jasno, dobitnie i w sposób artystyczny wyraził. Pozwalam sobie twierdzić, że tak jest. »Zmarwychwstanie« bowiem daje prawdziwie po malarsku ujęty alegoryczny obraz chwili obecnej, gdy zamiast w upojeniu zgody i miłości święcić powstanie z grobu Tej, co była ideałem i marzeniem tylu pokoleń, waśnią i prywatą gotowiśmy Ją znów do grobu wtrącić.

Co się tyczy technicznej strony obrazu, to szwankuje ona o tyle, o ile w każdym chociażby podkończonym szkicu szwankować musi. Ta kompozycja zasługuje na to, aby została wykonaną w rozmiarach wielkich matejkowskich obrazów. Wtedy dopiero, gdyby jej wykonanie pod względem malarskim nie stało na odpowiedniej rozmiarom wyżynie, będzie czas na krytyki.

Zato chyba najpilniejsi krytycy Tetmajera nie zarzucą nic tech-

nice w jego wspaniałym tryptyku pod tytułem »Racławice«. Albowiem to, że nie jest tak malowany, jak obecnie maluje wielu pseudomalarzy — to jego zaleta. Nie jestem bezwzględnym chwalcą tego, co było, uznaję ewolucję w sztuce, ale nie uznaję w niej rewolucji, która ostatecznie czem innem nie jest, jak maską dla nieuctwa i braku talentu. Przyznaję, że sposób malowania Tetmajera przypomina dobre czasy naszego malarstwa z przed lat 20—30. Pomimo tego jednak nie widzę powodu, dla którego coś, co było dobrem ćwierć wieku temu, nie miałoby, wzięte samo dla siebie, być także dobrem i teraz.

Zresztą popatrzmy na »Racławice«. Czyż nie porwie nas ta gromada kosynierów (ze środkowego obrazu), uderzająca z impetem huraganu na wroga, czyż nie odczujemy smętnego i wesołego zarazem nastroju, widząc ich na obrazie lewym, jak żegnani przez kobiety, dzieci i starców opuszczają w słoneczny, wiosenny poranek wioskę rodzinną, czyż nie ogarnie nas uczucie podniosłej dumy na widok Naczelnika (obraz prawy), nobilitującego w cichy wieczór, po rozgwarze krwawej bitwy, Bartosza? I czyż wobec głębokiego wrażenia, które na polskiego widza ten tryptyk wywiera, ostać się mogą drobnostkowe krytyki, jak np., że jego technika trąci myszką, że nie maluje tak jak X lub Y, których sposób malowania to »le dernier cri« modnego kierunku i t. p.

Że Tetmajer owładnął techniką malarską i że gdy chce, umie doprowadzić swe prace do należytego wykończenia, świadczą portrety, które przysłał na omawianą wystawę. Wystarczy, gdy wspomnę tylko o dwóch »Portretach żony artysty«, wykonanych z wielkiem spokojem, siłą i uchwyceniem psychicznego wyrazu. Malarz, który potrafi tak wykonać podobiznę ludzką, zgłębił już wszystkie tajniki swego kunsztu.

Sprawozdanie niniejsze nie ma charakteru katalogu, więc nie wyliczam wszystkich dzieł Tetmajera, co weszły w skład jego wystawy zbiorowej. Wspomnieć atoli muszę jeszcze o jednym niewielkim obrazku, noszącym tytuł: «Jawnogrzesznica«. Temat ujęty oryginalnie — Zbawiciel zasiadł pośrodku polskiej (podkrakowskiej) wioski. Przed oblicze Jego przyprowadzają faryzeusze dzisiejsi (chłopi i kilka sportretowanych osobistości politycznych) niewiastę zawstydzoną (może Polskę?). Najwyższy i najdobrotliwszy Sędzia zda się do nich mówić: »Kto z was bez grzechu, niechaj rzuci na nią kamieniem!« Scenie tej przypatruje się sam Tetmajer w towarzystwie Stańczyka.

Obrazek ten byłby w założeniu zupełnie dobrym, gdyby nie jeden przykry zgrzyt w kompozycji: artysta między faryzeuszami umieścił księdza w sutannie. Co to ma znaczyć? Trudno przecież przypuścić, aby Tetmajer nie wiedział, że duchowieństwu katolickiemu tego zarzutu uczynić nie wolno, iż odegrało rolę faryzeuszów wobec Polski, czy pogrążonej w letargu, czy powołanej znów do życia, nie wolno, powtarzam, bo byłby pospolitym fałszem ten zarzut. Jeżeli zaś przez przedstawienie księdza w tak niepochlebnej sytuacji chciał Tetmajer złożyć hołd P. S. L., do którego tak długo należał, to postąpił —

delikatnie się wyrażając — bardzo nie stosownie, bo, dla względów partyjnych nie powinno się, nawet w sztuce, posługiwać kłamstwem zamiast prawdy.

Reasumując ogólne wrażenie, jakie wywołał artysta swoją wystawą, zaznaczam, że technika jego w porównaniu z dawniejszą wyszlachetniała, stała się subtelniejszą, o czem przekonuje nas np. kapitalny obrazek z przepysznym krajobrazem pt. »Sąd Parysa«, a następnie, że twórczość jego rozszerzyła się na dalekie horyzonty: Tetmajer już nie jest naturalistycznym odtwórcą wsi podkrakowskiej i życia jej mieszkańców, to malarz, rozwiązujący bardzo skomplikowane problemy malarskie.

Jeden z najstarszych a może i najstarszy z pomiędzy żyjących znakomitych malarzy polskich, Wyczółkowski, nie ustaje tworzyć ze sprawnością iście młodzieńczą. Wystawia on kilkanaście razy do roku i zawsze daje coś nowego i oryginalnego. Na każdej z jego wystaw odnosimy wrażenie, iż niesposób pójść dalej co do mistrzostwa techniki i bogactwa malarskich pomysłów. Tymczasem każda następna wystawa wydaje się być jeszcze piękniejszą niż jej poprzedniczka.

Teraz dał artysta, po tych przepięknych widokach Wawelu i Krakowa, które oglądaliśmy ostatnimi czasy, serję rysunków tuszem — kilka z nich przedstawiających lekko podkolorowanych, fragmenty »Puszczy Białowieskiej«. Zdać sprawy z tej serji prawie niepodobna. Słowa są za słabe do wiernego oddania tej nieuchwytnej a czarującej poezji, która z każdego rysunku wieje, przenosząc nas pomiędzy

rowieśniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży . . . . . .
których cień spadał niegdyś na koronne głowy...

Podobną tęsknotę, jaką odczuwał wieszcz Adam do »swych drzew ojczystych«, odczuwa każdy z nas do polskiej kniei. Tem się też tłumaczy zachwyt powszechny, jaki wywołała »Puszcza Białowieska« Wyczółkowskiego, będąca w dodatku arcydziełem pod względem wykonania. Ze zrozumiałą zupełnie ciekawością i niecierpliwością czekamy na to, czem nas ten mistrz znów uraczy na najbliższej wystawie.

Malczewski, w ostatnim roku stosunkowo niewiele prac swych dający na widok publiczny, nadesłał ich na wystawę przedświąteczną tyle, że wypełniły całą tzw. »świetlicę«. Były to płótna z portretami i kompozycjami symboliczno-alegorycznemi we właściwym temu znakomitemu artyście rodzaju.

Na ogół dzieła te, obok wspólnych cech, posiadają też pewne specyficzne znamiona, różniące je między sobą dość silnie. I tak, szereg portretów (śp. Rudolfa Starzewskiego, p. Tad. Starzewskiego, p. Gąseckiego, autoportret), oraz kompozycje: »Polska« i «Satyr i Nimfa«, wykonane są w manierze charakterystycznej dla ostatniego dziesiątka lat twórczości artysty; cykl zaś »Elegja« jest malowany sposobem, do którego Malczewski nie więcej jak od lat dwóch częściowo się nawraca, a który przypomina technikę z najwcześniejszej doby rozwoju jego potężnego talentu. Zaznaczam z naciskiem, że to podobieństwo odnosi

się do techniki i to tylko w pewnym stopniu. Bo co się tyczy treści kompozycji, która bywała ongi u Malczewskiego przedziwnie jasną, prostą i chwytającą za serce, to kompozycja »Elegji« równie jest symboliczną i zagadkową, jak wszystko, co teraz wychodzi z pod jego pendzla.

W »Polsce« dał artysta znów jeden z niezliczonych swych autoportretów, w którego tle zmagają się dwie postacie, mające prawdobnie symbolizować ideę konserwatywną i socjalistyczną albo też wogóle prawicę i lewicę. W »Don Kiszocie« widzimy znów autoportret z Sancho Pansą, Rossynantą i osłem w tle, a w »Satyrze i nimfie« — dwie nagie, do półfigury namalowane postacie, o charakterze raczej romantycznym niż klasycznym.

Wymienione dotąd płótna wprowadzają w podziw mistrzostwem wykonania. Efekty świetlne są tam bajeczne, ciało ludzkie malowane tak, jak już dziś nikt z młodszych malować go nie umie, rysunek śmiały, nie bojący się skrótów, a profuzja barw tak wielka, że aż nuży oko.

Jakżeż odmiennie wykonana jest »Elegja«, snująca się w cyklu, złożonym ze siedmiu obrazów, dookoła dworu wiejskiego, a właściwie jego staroświeckiego zajazdu przed gankiem. Pejzaż na wszystkich obrazach cyklu, aczkolwiek bardzo zwykły w motywach, doprowadzony jest do punktu absolutnej doskonałości. Wszystko, co może malarz wyzyskać z klombów i grup starych drzew ogrodowych, zostało przy rozmaitem oświetleniu wyzyskanem za pomocą techniki spokojnej, malowania gładkiego i umiarkowanego zestawienia barw soczystych i głębokich. Postacie wprowadzone na to tło — ujęte na każdym obrazie zosobna — rysowane i malowane są przepięknie. Jaką jest fabuła, łącząca sceny pojedynczych obrazów w całość — musi widz kombinować. Ja np. mam wrażenie, iż odnosi się ona do ostatnich czasów i wypadków, jakich Polska jest widownią od początku wojny światowej. Ale być może, iż to wrażenie nie odpowiada intencjom autora cyklu.

Z tem wszystkiem sądzę, a sąd mój podziela większość wielbicieli talentu Malczewskiego, że owa tajemniczość i zagadkowość, któremi okrywa swe kompozycje niby gęstą, nieprzejrzystą zasłoną, przyczynić się gotowa z biegiem czasu do rozluźnienia wielkiej sympatji, opartej na zrozumieniu, jaka łączy dotąd ogół z artystą. Rzeczy piękne lecz nie zrozumiałe będzie ten ogół podziwiał, ale nie przykują go do siebie, i nie wywrą na nim naprawdę głębokiego wrażenia.

Hofmann jest jednym z malarzy, co w początkach swej karjery ulegali wyraźnie wpływowi Malczewskiego. Po jakimś czasie otrząsł się w znacznej mierze z tych wpływów i urobił sobie własną manierę, w której nutę przewodnią stanowi pewien symboliczno-alegoryczny sentymentalizm, opierający się o kontrastowy z nim realizm. Ulubionym np. Hofmanna »trickiem« malarskim jest zestawienie obdartego do niemożliwości dziada-żebraka, lub włóczęgi, z idealnie pojętą i wykonaną postacią anioła, lub istoty, środkującej między aniołem a dzieckiem. Coś podobnego dał artysta na obrazku z wystawy przed-

świątecznej, zatytułowanym: »Amen!« gdzie anioł, trzymający w ręku kadzielnicę, jakby odbiera ostatnie słowa modlitwy starego nędzarza. Na obrazku innym, noszącym tytuł »Melodja jesienna«, staremu włóczędze towarzyszy pół-aniołek-pół-dziecko w jego wędrówce podczas pory jesiennej i wygrywa melodje dostrojone zapewne do tej smętnej pory roku.

Do młodych malarzy, poddających się cokolwiek wpływom Malczewskiego, należy między innymi Pinkas, artysta poza tem posiadający dużo oryginalności, która ujawnia się i w pomysłach kompozycyj, i w ich wykonaniu. Jego kompozycje alegoryczne »Po pracy« i »Troska« zwracały na siebie powszechną uwagę na wystawie. Na pierwszej z nich przedstawił Pinkas śmierć pod postacią kobiety, która wypuściwszy kosę z ręki, odpoczywa wśród trupów na pobojowisku, po krwawem żniwie; a na drugiej dał także postać kobiecą, która siedzi z twarzą, ukrytą w dłoni na urwisku skalnem, mając za tło ponury, skłębionemi chmurami okryty firmament. Oprócz tego wystawił Pinkas kilka interesujących głów męskich, szkoda, że dopiero w stadjum podmalowania.

Fabijańskiego sporych rozmiarów płótno, noszące tytuł: „Po zachodzie“ — to wspaniała dekoracja z widokiem Wisły i kopca Kościuszki, odcinającego się sylwetowo na niebie, zalanem, niby roztopionem złotem, ostatnimi promieniami słońca, które już skryło się za horyzontem. Rzecz ta zdradza malarza, odczuwającego znakomicie silne efekty kolorystyczne i zdolnego do szerszej koncepcji krajobrazu.

Wiadomo, że tylko wyjątkowo przechodzi talent malarza, lub rzeźbiarza na jego potomstwo. Taki wyjątek zachodzi w rodzinie Tetmajerów, gdzie córka Włodzimierza, Jadwiga Tetmajerówna, odziedziczyła po ojcu jego zdolności malarskie i zapał do sztuki.

Tetmajerówna, aczkolwiek dawno skończyła już studja, jednak wystawiała w Krakowie tak rzadko, że dopiero wystawa przedświąteczna dała ją poznać, jako pejzażystkę o nieprzeciętnych zdolnościach i technicznie daleko zaawansowaną. Równie dobre są jej studja głów i postaci ludzkich. Dowodem zaś, że posiada silną indywidualność artystyczną, może służyć fakt, iż umiała ją zachować, pracując razem z ojcem, którego jednak wcale nie naśladuje.

Szereg przez artystkę wystawionych widoków obraca się około dworku państwa Tetmajerów w Bronowicach Małych, sadu, który go otacza i pól uprawnych, jakie doń dotykają. Widać że artystka kocha rodzinną wieś podkrakowską i lud w niej mieszkający. To też maluje i wieś i lud ten naprawdę „con amore“. Wszystkie jej bronowickie widoki mają w sobie coś, co ujmuje i pociąga do siebie, coś, co nawiązuje nić sympatji między widzem a artystką.

Jeżeli Tetmajerówna będzie szła dalej naprzód z tym sukcesem, z jakim zaczęła swą karjerę malarską — czeka ją piękna przyszłość i możliwość zapisania swego nazwiska, tuż obok ojca, na kartach dziejów sztuki polskiej.

Józef Nekanda Trepka.

Rozmaitości.

Pomnik Benedykta XV w Konstantynopolu. — Już oddawna donosiły pisma zagraniczne, że wdzięczny Wschód chce uwiecznić pamięć swego dobroczyńcy, który, siedząc na Stolicy Piotrowej, robił wszystko ze swej strony, by ulżyć doli jego mieszkańców i okazał się prawdziwym ojcem dla wszystkich, bez różnicy rasy i religji. Syrja, Mezopotamja, Kaukaz, Anatolja odczuły w szczególniejszy sposób dobroczynną jego rękę. Obok moralnego poparcia i obrony przed krzywdzącymi przychodził im z hojną pomocą materjalną, rozdzielaną naprzód przez ręce wojskowych kapelanów niemieckich, po zwycięstwie zaś koalicji przez jej pośredników. To też uroczystość odsłonięcia pomnika, w niedzielę 11 grudnia z. r., odbyła się z nadzwyczajną okazałością, której pewne szczegóły przytoczymy tu na podstawie nadesłanego numeru »Le Bosphore« z d. 13 grudnia.

Ponieważ pomnik ten jest hołdem, złożonym papieżowi nie przez katolików lecz przez cały Wschód, przeto delegat apostolski, Mgr. Dolci zaprosił wszystkie wybitniejsze osobistości, jakie znajdowały się w Konstantynopolu. Przybył więc następca tronu Abdul Medjid effendi i zasiadł na trybunie honorowej, na złocistym tronie, mając po prawej ręce Mgra Dolci, a po lewej Izzet paszę, ministra spraw zagranicznych. Stawili się również Faile bej, minister skarbu, generał Zia pasza, minister wojny, Aristidi pasza, wiceprezes senatu, oraz szereg innych dostojników rządowych i miejskich.

Obok nich zasiedli Mgr. Zaven, patrjarcha armeński, Mgr. Naslian, locum tenens katolickiego patrjarchy armeńskiego, Mgr. Calavassi, biskup grecko-katolicki, Mgr. Miroff, arcybiskup bułgarsko-katolicki, patrjarcha Syrji, głowy kościołów protestanckich, wielki rabin Turcji itd.

Ciało dyplomatyczne reprezentowane było przez szefów wszystkich misyj, bawiących w Konstantynopolu i ich sekretarzy; nadto wzięły udział prawie wszystkie wyższe figury świata wojskowego i cywilnego.

Po ukończeniu aktu wstępnego, poprzedzonego krótką przemową Mgra Dolci, nastąpił w zalanej światłem bazylice katedralnej koncert, złożony z samych utworów religijnych (Perosi, Chaminade, Borouline, Bizet, Mercadante, Verdi, Cesar Franck), wykonany tak starannie, że jak się wyraża sprawozdawca, rzadko można tam coś podobnego usłyszeć. Orkiestra, pod kierunkiem Mo Zannucolli, znajdowała się na górze, chór zaś z powodu wielkiej liczby członków został rozmieszczony na dole; jako solistka występowała w nim również światowej sławy śpiewaczka, p. Markovitch.

Sam pomnik, na którym widnieje napis: »Wielkiemu Papieżowi — w tragicznej dla świata chwili — Benedyktowi XV — dobroczyńcy narodów — bez różnicy narodowości i religji — na znak wdzięczności — Wschód — 1914—1919« — jest dziełem rzeźbiarza Quattrini i przedstawia papieża w naturalnej wielkości, w szatach pontyfikalnych,

ofiarującego światu pokój; podstawa jego, w stylu biazantyjskim, została wykonaną według rysunku rzeźbiarza Medici. Całość przedstawia się imponująco, a wystąpi jeszcze okazalej, skoro zostanie zburzoną część zabudowań, zasłaniających obecnie fasadę bazyliki katedralnej. Fakt zaś, że do wystawienia go przyczynili się nie katolicy, ale mużułmanie, żydzi i protestanci, jest pięknem świadectwem dla szlachetnej wdzięczności z ich strony, a zarazem powitany został w świecie jako dzień historyczny dla roli papiestwa na Wschodzie.

S.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 1 lutego 1922.

PIUS XI.

Około południa 6 lutego z ganku bazyliki księcia Apostołów padła wieść radosna: *Habemus papam!* Potrójna korona spoczęła na skroniach uznanego za najgodniejszego wśród godnych. Ster łodzi Piotrowej, wypuszczony z konającej ręki strudzonego pracownika, chwycił swą dłonią Nowy Sternik.

Na jedynym w świecie trwałym tronie, jakim jest stolica św. Piotra, zasiadł PIUS XI, dwieściesześćdziesiąty siódmy następca Galilejskiego Rybaka.

Iskrówki i druty rozniosły wiadomość o tem po całym świecie. Dotarła ona do uszu dzieci Kościoła i do obojętnych i obcych... Dziesiątki tysięcy dzwonów rozbrzmiały swą wymowną harmonją; z miljonów piersi wzniosło się w górę radosne *Te Deum!*

Skończyły się dni domysłów, zgadywań, ważenia oderwanych słów różnych »papabili« i snucia fantastycznych wniosków o »polityce« przyszłego wybrańca. Świat katolicki i niekatolicki z napięciem wyczekuje, jakie słowa, jakie programy padną z ust Piusa XI.

Polityka nowego papieża?

Naprawdę papieże mieli zawsze tę samą politykę. Wie o tem każdy, kto na dzieło Chrystusowe patrzy oczyma wiary. »Polityką« papieży najważniejszą było zawsze, w zastępstwie Dobrego Pasterza, paść owce słowem nauki nieskażonej, prowadzić je ścieżkami życia duchowego na górę wiecznych przeznaczeń. Jeżeli ponadto uprawiali politykę tego świata, jeżeli w niej różnili się jeden od drugiego, szukajmy przyczyny tego w — świecie. Królestwo Jezusowe nie jest z tego świata, ale buduje się na nim,

przechodzi przezeń. Musi wchodzić w wielorakie zetknięcia i stosunki z tym światem. I dlatego musi mieć swoją względem niego politykę, i ta polityka, w istocie swej zawsze ta sama, w objawach swoich zewnętrznych różną bywa i zmienia się, jak się zmienia, jak różnym bywa świat, wśród którego wzrasta i rozwija się Kościół Boży. Nie tyle w osobistych przymiotach, charakterze, sympatjach i zapatrywaniach tego czy innego papieża, ale głównie w stosunkach zewnętrznych, w potrzebach czasu, szukajcie zrozumienia tego, co nazywacie »polityką papieży«. Zapewne gra w niej ważną rolę i osoba papieża, ale kto patrzy wiarą — a wiarę tę potwierdzają dzieje papiestwa — ten zrozumie, że właśnie takich mężów wprowadza Opatrzność na tron Piotrowy, jakich wymagają okoliczności czasu i aktualne zadania Kościoła.

Z obecnego stanu świata i chrześcijaństwa można odgadnąć prawdopodobną linję, po jakiej pójdą rządy Piusa XI. Przynajmniej ogólny jej kierunek; szczegóły zapewne nakreśli wkrótce Ten, który już obejmuje wzrokiem świat z wyżyn Watykanu.

Jakie zadania Kościołowi, a więc i papieżowi narzuca współczesność?

Pontyfikat Benedykta XV. przypadł na czas bratobójczej walki narodów i bezpośrednich jej następstw. Wtedy potrzebny był papież, który z różdżką oliwną w jednej, a ewangelicznym alabastrem w drugiej ręce, stawał przed ludzkością, usiłując rozdzielić walczących, a na rany zadane lejąc wino i balsam samarytańskiego miłosierdzia.

Teraz gruzy ruin już przeważnie usunięte; nadszedł czas odbudowy materjalnej i duchowej świata. Kościół Chrystusowy — jak to już czynił tyle razy w biegu swej historji — ma stanąć jako pierwszy budowniczy. Do niego należy zakładanie fundamentów głęboko puszczonych, bo aż na dno dusz ludzkich. Zapewne z ust Piusa XI. usłyszy niebawem świat przypomnienie tych przez Boga objawionych zasad, które jedynie zdolne są zapewnić ludzkości pokój i dostępną na ziemi szczęśliwość. Zasady te to supremacja ducha nad ciałem, Królestwa Bożego nad kultem złotego cielca, zadań moralnych człowieka nad materjalnem bogactwem i świętością. Kultura jednostronnie materjalistyczna wypisała sama na siebie w latach ostatnich wyrok po-

tępienia; może więc myśląca ludzkość stanie się czulszą na głos z góry.

Religio depopulata! — tak można było z średniowiecznym Malachjaszem określić stan ludzkości w czasach, jakie świeżo przeżyliśmy. »Depopulata« nie tylko przez zrujnowanie świątyń, zniszczenie misyj, przerzedzenie szeregów kleru, ale — co gorsze — przez lekceważenie wiary, a jeszcze bardziej przez podkopanie moralności. Ale wśród tej nocy duchowej ukazują się pierwsze brzaski nadchodzącego dnia. Ludzkość straciła dużo z bałwochwalczego zaufania do świeckiej nauki, jako środka wszechuszczęśliwienia, a ogląda się za jakiemś światłem mistycznem z daleka, z zaświatów. Na razie szuka go w pokątnych badaniach Biblji, szuka go w egzotycznych mądrościach dalekiego Wschodu, usiłuje przedrzeć się w świat »duchów«. Są to błądzenia po omacku, ale mówią one głośno, że nie zadawalniają człowieczej duszy zdobycze »pozytywnej« wiedzy. Przed nowym papieżem staje zadanie: tak się odezwać do tych głodnych prawdy dusz współczesnych, by ułatwić im powrót do Chrystusa w Jego jedynym prawdziwym Kościele. *Fides intrepida* Nauczyciela wiary, poparta miłością Ojca — oto co sprowadzi wielu do domu prawdy.

A podkopana moralność? I ją uleczy nie doradzany Kościołowi przez świat kompromis ze »słabością« ludzką — a pod mianem »słabości« kryją się nawet zbrodnie o pomstę do nieba wołające; uleczy ją jedynie nieustępliwa etyka katolicka, owa »twarda mowa« Chrystusa, podawana światu nie w samych słowach teorji, ale w żywych przykładach chrześcijańskiego zaparcia się, ofiary, umiłowania krzyża. Przypomnienia zasad tej etyki w zastosowaniu do życia prywatnego i rodzinnego, przypomnienia władnego a zarazem pociągającego — oto czego świat zdaje się oczekiwać od nowego papieża.

I jeszcze jedno ważne a trudne zadanie. Etyka ewangeliczna winna przepoić sobą wzajemne pożycie klas społecznych i narodów. Ludzkość naturalna albo przetworzy się w Królestwo Boże, albo spadnie do poziomu zjadających się wzajemnie hord. Współczesny człowiek, nawet po świeżych krwawych doświadczeniach, nie dość zrozumiał tę alternatywę. Szuka jeszcze trzeciego wyjścia: urządzenia świata bez pomocy Boga. W rezultacie chce rządzić się według starych zasad i metod: apoteozy i n t e r e s ó w

klasowych i nacjonalnych i dyplomatycznej nieszczerości i kłamstwa. Kościół przez usta swego nauczyciela wciąż musi przypominać światu, że droga do jego zbawienia prowadzi jedynie przez powszechną sprawiedliwość, miłość i prawdę.

Zadanie swoje Pius XI zdaje się mieć ułatwionem, jak rzadko który z papieży. Ujęcie kluczy Piotrowych przez kardynała Ratti wywołało tyle w świecie entuzjazmu! Prawie żaden zgrzyt nie popsuł tej ogólnej radości. To pozwala spodziewać się łatwiejszego posłuchu mas dla słów Piusa. Pontyfikat jego rozpoczyna się pod znakiem ogólnego pokoju Kościoła z narodami. Przy żadnej trumnie papieskiej i przy żadnej koronacji nowego papieża nie widziano tylu przedstawicieli państw, co przy trumnie Benedykta XV, a koronacji Piusa XI. Stanęły tu w swoich zastępcach prawie wszystkie narody świata, nawet niekatolickie. Te ostatnie nie mogły nie uznać moralnej powagi papiestwa, powagi najpierwszej w świecie. I oficjalne Włochy uczyniły z dnia koronacji Piusa XI narodowe święto, i pokłócona do niedawna z Kościołem »pierworodna jego córa«, Francja, zbliża się coraz bardziej do papiestwa; papiestwu — w osobie Benedykta XV — stawiają pomnik uznania innowiercy nazw wszelakich, a wstąpienie na tron Piusa XI witają gratulacją przedstawiciele poróżnionego z Rzymem Wschodu. Nowy papież — miejmy nadzieję — będzie miał zaoszczędzone sobie walki z rządami i wrogiemi organizacjami. Jego znany takt i spokojna wytrwałość zacieśni jeszcze węzły, jakie tak mocno zadzierzgnął jego poprzednik. Błogosławieństwo u r b i e t o r b i, udzielone po długiej przerwie po raz pierwszy z zewnętrznej loży bazyliki św. Piotra, zdaje się być symbolem jakiejś powszechnej zgody i pojednania.

A Polska? Czego może się spodziewać po nowym papieżu? Polacy odpowiedzieli już sobie na to pytanie. Powitanie wyboru niedawnego nuncjusza warszawskiego na papieża przez prasę polską, powitanie zgodne w radości w tym kraju, który słynie jako kraj niezgody i różnicy zdań — to chyba rzecz, który mówi sama za siebie. Polacy mieli sposobność przekonać się, że ich ojczyznę pokochał nuncjusz Ratti; stąd pewność czerpią, że będą drogimi też sercu Piusa XI. Polacy mają słuszny powód, by w tym wyborze upatrywać szczególne zrządzenie Opatrzności, jedno z wielu, z których składa się ich historja lat ostatnich. Przy budowie własnego gmachu narodowego i pań-

stwowego potrzebują oni nieraz wskazówek i podpory moralnej ze strony kogoś, kto ich dobrze zna, kto im dobrze życzy, a czyje słowo może paść ważkim ciężarem na szalę ich losów: takiego Przyjaciela zyskują w Piusie XI. Przed katolicką Polską otwiera się misja niesienia kultury zachodniej na Wschód: na tę misję chętnie pobłogosławi nas ręka Piusa XI. Polsce wierzącej potrzeba wzorów świętości, ofiary i męczeństwa za prawdę: takich męczenników i wyznawców posiada Polska w swoim Andrzeju Boboli, w swoich unitach podlaskich: może ich wywyższy, na ołtarze postawi Pius XI, który rozrzewniał się do łez, gdy zwiedzał »ziemię męczenników«, który zachęcał sam do podjęcia starań o ich beatyfikację.

Z miłością i zaufaniem zwraca więc Polska katolicka swe oczy ku Piusowi XI. Ze swej strony wyraziła — samemi objawami entuzjazmu — gotowość być posłuszną na Jego głos. I drugi jeszcze obowiązek spełni wiernie: obowiązek modlitwy. Tej modlitwie sam Ojciec św. się polecił, bo »widział jak Polacy umieją się modlić«. Kto po światowemu patrzy na papieża, widzi tylko wyjątkowe honory i przywileje jego godności: wierzący widzi w niej przedewszystkiem ciężar obowiązku, jaki tylko z nadzwyczajną pomocą Bożą barki ludzkie dźwignąć mogą. O tę pomoc, o to męstwo, jakich potrzebuje nasz ukochany papież, będzie prosiła Boga cała katolicka Polska.

Ks. Jan Urban.

»Przegląd Powszechny« miał szczęście liczyć Mgra Achillesa Ratti, Nuncjusza papieskiego w Warszawie, wśród swoich prenumeratorów i czytelników. Obecnie redaktorzy »Przeglądu«, ścieląc się do stóp Jego Świątobliwości, Piusa XI, w uczuciach synowskiej miłości i posłuszeństwa, proszą o apostolskie dla swych prac błogosławieństwo.

Redakcja.

W trzechsetną rocznicę wielkiej kanonizacji.

Zbliżającego się dnia 12 marca 1622 roku oczekiwał Rzym cały z wielkiem napięciem. Wśród ludu budziły ogólną ciekawość olbrzymie, kilka miesięcy trwające roboty około upiększenia bazyliki watykańskiej; w łonie kleru i inteligencji wiecznego miasta wywoływała nadchodząca uroczystość sprzeczne uczucia: z jednej strony najżywszej radości, z drugiej strony niepokoju i źle tłumionej niechęci.

Przyczyny tego poruszenia umysłów łatwo było odgadnąć. Akt bowiem, jakiego w dniu św. Grzegorza Wielkiego dopełnić miał Grzegorz XV, nie zamykał się w oderwanej sferze religijnego kultu, ale dotykał z bliska zagadnień, które przez długie lat dziesiątki były przedmiotem gwałtownych sporów i namiętnych dyskusyj.

Były jeszcze w świeżej pamięci te ogromne walki, co otaczały niedawno kolebkę Towarzystwa Jezusowego i toczyły się poźniej koło osoby jego Założyciela, jego instytutu i teologicznej nauki; zaledwie były przygasły, i owszem tliły jeszcze w zarzewiu inne wielkie zawiści, wywołane reformą karmelitańskiego zakonu.

A oto dnia 12 marca miało młode zgromadzenie Jezusowe wstąpić po raz pierwszy na ołtarze w osobie swego Ojca i największego ze swych synów, św. Franciszka Ksawera; a razem z nimi mieli być policzeni w poczet Świętych seraficzna dziewica z Awili oraz dwaj ulubieńcy, jeden Rzymu, drugi Hiszpanji; św. Filip z Neri i św. Izydor oracz.

Nic więc dziwnego, że dzień wielkiej kanonizacji oczekiwany był ze szczególnem wzruszeniem; nic dziwnego, że uroczyste orzeczenie papieskie, przyznające pięciu Błogosławionym cześć Świętym należną, wywołało uczucia z jednej strony ogromnego triumfu, z drugiej niemiłego zawodu, a może i cichej goryczy.

Na nastroje ówczesnego społeczeństwa rzymskiego patrzymy dziś ze znacznego historycznego oddalenia, a więc patrzymy inaczej. Jedne przyczyny nieporozumień przebrzmiały już bez śladu, o innych wydały już sąd niewątpliwy trzy wieki dziejowego rozwoju. Jeżeli jednak te uczucia, jakie wielka kanonizacja z 12 marca budziła w umysłach współczesnych, są nam dziś obce, a nawet w pewnej mierze niezrozumiałe, są inne poważniejsze względy, dla których ten dzień i jego rocznica zasługują na szczególniejszą uwagę. Ludzie spoglądający z bliska zapewne tego nie widzieli, ale nam patrzącym z daleka przedstawia się ten dzień na tle dziejów Kościoła jako wymowna odpowiedź Boża na bezpośrednią przeszłość i jako zapowiedź tej przyszłości, którą przeznaczała Opatrzność dziełu Chrystusowemu na ziemi.

Sto lat przed kanonizacją Świętych Ignacego i Ksawera, Filipa, Izydora i Teresy przechodził Kościół czasy w najwyższym stopniu ciężkie i niebezpieczne. Po długich, a prawie bezskutecznych wołaniach o reformę wewnętrzną, podniósł się cały szereg ludzi, co dzieło tego odnowienia chrześcijaństwa chwycili we własne ręce i zaczęli przeprowadzać wbrew tej władzy kościelnej, która zdawała im się niezdolną odrodzenia. Rzym średniowieczny ogłosili Babilonem zepsucia i zgnilizny, głowę Kościoła antychrystem, długie wieki dziejów kościelnych ciężką i deprawującą babilońską niewolą. Zrazu może nie chcieli pójść tak daleko, ale pchani naprzód gorączką walki i konsekwencją przeczenia doszli wnet do stworzenia nowej koncepcji chrześcijaństwa, zasadniczo różnej od katolickiej. Rozwiały się szybko początkowe złudzenia Rzymu: po kilku dziesiątkach lat działania Reformacji stało się jasnem, że dokonywa się w Królestwie Bożem olbrzymi rozłam, głębiej sięgający, niż schizma wschodnia i szersze przybierający rozmiary.

A gwałtownej tej burzy, grożącej oderwaniem od Kościoła całej północnej i środkowej Europy, cóż mógł przeciwstawić Rzym papieski, Rzym Aleksandra VI i Leona X, Rzym tak zepsuty rozmiękczającem tchnieniem Odrodzenia, tak zarażony nepotyzmem i symonją, tak ześwieczczały, w czysto ziemskich politycznych rachubach? Pytały o to z trwogą serca wiernych, pytali z triumfem wodzowie i zwolennicy odszczepieństwa.

I przyszła odpowiedź, ale taka, jaką tylko Bóg dać może. Bo oto nagle, w sposób po ludzku niewytłumaczony, zrodził się w łonie Kościoła, skazanego rzekomo na zupełną bezpłodność, potężny ruch wewnętrznej reformacji, którego ogniskiem był sobór powszechny Trydencki, a obok tego ruchu i w najściślejszej z nim harmonji, pojawił

się jakby z pod ziemi cały zastęp cudownych postaci, co środek i schyłek XVI wieku opromieniły blaskiem najwyższej świętości. Kajetan z Tjeny, Paschalis Baylon, Kamil de Lellis, Jan Boży, Feliks z Kantalicjum, Piotr z Alkantary, Filip z Neri, Karol Boromeusz, Franciszek Caracciolo, Andrzej z Awelinu, Jan z Avili, Pius V, Ludwik Bertrand, Franciszek Salezy, Teresa od Jezusa, Jan od Krzyża, Ignacy Loyola, Franciszek Ksawery, Stanisław Kostka, Piotr Kanizy, Piotr Faber, Franciszek Borgiasz, Alojzy Gonzaga, Alfons Rodriguez, Fidelis z Sigmaringi, Tomasz More i inni męczennicy angielscy, Józef Kalasanty, Magdalena Pazzi i wielu, wielu innych niepospolicie świątobliwych — to była żywa a wymowna odpowiedź Boża na zarzut nieuleczalnego zepsucia, stawiany Kościołowi Rzymskiemu przez reformatorów. Boć ci wszyscy ogromni Święci nie gdzieindziej, tylko w tym Kościele i mocą sił jemu własnych wznieśli się na niedościgłe wyżyny duchowego wyrobienia; wszyscy oni, bez żadnego wyjątku, stali w nieprzejednanej opozycji do bezbożnych poczynań Lutra, Kalwina i ich następców.

Otóż kanonizacja z dn. 12 marca 1622 była pierwszem wielkiem żniwem tych cudownych kwiatów, posianych świeżo ręką Bożą w Kościele na dowód wewnętrznej jego żywotności. Z całej plejady Świętych XVI wieku wstąpił był dotąd na ołtarze jeden tylko Karol Boromeusz; Ignacy i Ksawery, Filip i Teresa otwierali szereg dalszych kanonizacyj, które wielkim tej epoki odstępstwom miały przeciwstawić większe jeszcze arcydzieła łaski Bożej. A jeżeli zestawi się tę chwilę triumfu Kościoła z głębokim podówczas upadkiem moralnym protestanckich krajów i z niedolą Niemiec, szarpanych właśnie trzydziestoletnią wojną, kontrast wystąpi jeszcze silniej. Jakgdyby spełniało się na nowo proroctwo Izajasza, że »ciemności ogarną ziemię i mrok narody, a nad tobą wznijdzie Pan i chwała jego w tobie widziana będzie« — tak Rzym odrodzony, opromieniony blaskiem świętych swych dzieci, odbija w tym dniu 12 marca od krajów owładniętych herezją i płynącą z niej ruiną.

Nie na tem wszakże kończy się znaczenie wielkiej kanonizacji. Główna jej doniosłość polega na tem, że ten nieomylny akt najwyższej w chrześcijaństwie powagi przyłożył niejako uroczystą pieczęć do życia i dzieła jednego z tych olbrzymów, co dla rozwoju katolickiej myśli i czynu otwarli nowe drogi.

Chociaż św. Ignacego Loyolę przedstawia się zazwyczaj jako wcielone przeciwieństwo do nowatorstwa Lutra i jego towarzyszy, myliłby się bardzo, ktoby sądził, że wielkiego myśliciela z Manrezy zaliczyć można do rzędu bezwzględnych konserwatystów w religijnej

dziedzinie. Potężny jego umysł zanadto był szeroki i samodzielny, żeby trzymać się ślepo dróg ogólnie utartych; orle spojrzenie duchowych jego oczu zbyt głęboko wnikało w przełomowy charakter epoki jemu współczesnej, żeby nie odczuwał potrzeby nowych środków zaradczych przeciw nowym niebezpieczeństwom i trudnościom. W poszukiwaniu tych środków trzymał się wprawdzie najusilniej starej katolickiej tradycji i nie pokusił się nigdy o tworzenie jakichś zupełnych nowotworów na polu religijnem, ale nie wahał się bynajmniej, gdzie widział tego potrzebę, pchnąć dawnych myśli i praktyk na drogę prawidłowej ewolucji.

Nowy a potężny ten impuls, jaki wywarł św. Ignacy na całem religijnem życiu nowych czasów, zaznaczył się przedewszystkiem w dziedzinie katolickiej a s c e z y.

Gdyby chcieć jednem słowem określić charakter ascezy średnich wieków, trzebaby powiedzieć, że cechuje ją jakiś pogodny indywidualizm, który nie zna stałego systemu ni metody, ale rozwija się najswobodniej w przedziwnie pięknych a rozmaitych formach, pod tchnieniem osobistej i tak różnorodnej łaski Bożej. Czy to jest niezrównany w swym uroku Poverello z Assyżu, czy idący w jego ślady mistycy franciszkańskiego zakonu, czy mistrzowie pisanej i malowanej kontemplacji z rodziny św. Dominika, czy Tomasz a Kempis, czy inni przeróżni z benedyktyńskiej, cysterskiej, augustjańskiej szkoły — wszyscy oni rozkwitają cudownie, jak te kwiaty górskie przeróżnych barw i kształtów, nie znając innego prawa rozwoju, niż wewnętrzny impuls tego Ducha, który »tchnie, kędy chce«. Rozumowe pierwiastki ascetycznego życia i stałe, przez rozum wytknięte koleje są u nich niejako na drugim planie świadomości; na pierwszy plan wysuwa się ten uczuciowy stosunek duszy z Bogiem i Chrystusem, który znalazł sobie w ich pismach i dziełach tak nieśmiertelnie piękne wyrazy.

Tak było i tak być mogło bez szkody, dopóki cała duchowa atmosfera świata przesiąknięta była nawskróś chrześcijaństwem, które panując niepodzielnie w sferze myśli, samo przez się broniło indywidualizm religijny od zboczeń i utrzymywało go w tradycyjnych kolejach. W XVI jednak wieku zaczęły szybko zmieniać się warunki. Pod wpływem różnorodnych czynników podniósł nagle głowę fałszywy ten spirytualizm, który objawiał się już tu i ówdzie w wiekach średnich, a zwłaszcza u ich schyłku, spirytualizm wychodzący z założeń zupełnie odmiennych od podstaw ascezy katolickiej. Wysuwał wprawdzie i on na plan pierwszy osobisty stosunek duszy do Boga i Chrystusą, ale z wyraźnem wykluczeniem pośredników ludzkich i wszelkich objektywnych

reguł, nałożonych duchownemu życiu przez kościelną tradycję; przypisywał i on główną rolę w uświęceniu człowieka wszechmocnej łasce Bożej, ale spychając równocześnie przyrodzony rozum i wolną wolę do rzędu czynników, jeśli nie szkodliwych, to bezpożytecznych w duchowym rozwoju.

Genjalnego wzroku pustelnika z Manrezy nie uszły ogromne niebezpieczeństwa, jakiemi kierunek ten zagrażał. Ze zdumiewającą doprawdy bystrością przeniknął nietylko obecną jego naturę, ale nadto, co wyraźnie z pism jego przebija, i przyszłe fazy jego ewolucji. A kiedy raz zdał sobie sprawę, czem grozi Kościołowi wybujały indywidualizm religijny, pewną i mocną ręką zarysował główne linje nowej ascezy, nie mniej wysokiej w swych wzlotach, a bardziej zabezpieczonej od zboczeń i złudzeń.

Największą siłą ascetyki św. Ignacego, złożonej nie w spekulatywnych traktatach, ale w przedziwnej książeczce »Ćwiczeń Duchownych«, jest niezrównana m e t o d a, która wewnętrzne wyrobienie człowieka ujmuje w jeden całkowity system, równie zgodny z psychologją ludzką, jak z całokształtem objawionych prawd wiary. Książka rekolekcyj, jak słusznie mówi Franciszek Suarez, to nie jest tylko podręcznik do pobożnego czytania, ani nawet pomoc do spędzenia na bogomyślności dni kilku, to jest »nowicjat duchowny dla całego rodzaju ludzkiego otwarty», to jest s z k o ł a wewnętrznego życia, która pewną, systematyczną, najgłębiej obmyślaną drogą prowadzi od początku aż na szczyty najwyższej świętości. Na drodze tej niema wahań, niema błądzeń, niema niepotrzebnych zakrętów, niema pola dla złudzeń pobożnej wyobraźni, bo wszystko związane jest najściślej nieubłaganą logiką myśli i konsekwencją psychologicznego układu. Św. Ignacy bierze mocną ręką całego człowieka z duszą i ciałem, z rozumem i wolą, z pamięcią i wyobraźnią, ze zdolnością czucia i ze zmysłowem poznaniem i wszystkie te składniki natury ludzkiej wprzęga najumiejętniej w wielkie dzieło uświęcenia, wskazując każdemu z nich właściwą i odpowiednią rolę.

Co jednak w tym systemie duchownego życia przedewszystkiem uderza, to genjalny i w najwyższym stopniu mistrzowski podział sfer działania, z jednej strony łaski Bożej, z drugiej strony własnej inicjatywy człowieka. W ascezie myśliciela z Manrezy nic zgoła nie dzieje się bez pomocy z nieba, której nieodzowna potrzeba akcentowana jest na każdym kroku, ale też nigdy i nigdzie nie wyznaczono tak wielkiej roli przyrodzonemu światłu rozumu, wspomożonego wiarą i pracy wolnej woli, wspartej siłą uczynkowej łaski. Znana zasada św. Ignacego:

»Pracuj tak, jakby wszystko od ciebie zależało, nic od Boga, a ufaj tak, jakbyś ty do niczego nie był zdolny i Bóg miał zrobić wszystko za ciebie« — ta zasada przenika do głębi całą jego ascezę i cały ten skarb życiowej mądrości, który obok przepisów czysto duchowych w niej się mieści. O pomoc z nieba trzeba najgoręcej się modlić, trzeba niezachwianie na nią liczyć i spodziewać się jej niezłomnie, gdy jeszcze odczuć nam się nie daje; trzeba ją nad wszystko cenić, gdy dostanie nam się w udziale i starać się najusilniej, by do jasności światła Bożego nic nie przymieszać z mroku zupsutej natury, ale też z drugiej strony, niezależnie od wszelkiej uczuciowej pociechy lub jej braku, trzeba pracować mężnie rozumem i wolą wedle wskazówek objawionej wiary, trzeba się namyślać i badać i roztrząsać i szukać, trzeba wewnętrznie wysilać się i wyciągać, żeby wyzyskać dla duchownego postępu przyrodzone siły dane człowiekowi od Boga.

To pełne i konsekwentne wyzyskanie dla moralnego wyrobienia wszystkich władz duszy i ciała, jest rzec można, najwybitniejszą cechą całej tej ascezy, która z osoby swego twórcy zrobiła arcydzieło doskonałej świętości i do tej świętości prowadzi niechybnie każdego, co bez zastrzeżeń zechce się poddać jej zasadom. Żadnego kwietyzmu, żadnego passywizmu, żadnego biernego czekania na podmuch łaski Bożej, ale ustawiczny namysł rozumu i wytrwały wysiłek wolnej woli pod ciągłem światłem wiary i łaski, to jest w szkole Ignacego droga do uświątobliwienia. Apostolskie słowo: »ja pracowałem, a nie ja, lecz łaska Boża ze mną« nigdzie może nie znalazło tak pełnego zastosowania, jak w tej duchownej szkole, której kolebką była manreska pustelnia.

Obok tej cechy jednak jest i inna, nie mniej doniosła na nowe czasy i nie mniej przeciwna fałszywemu rodzajowi spirytualizmu zrodzonemu z ducha Reformacji.

Zauważono słusznie, że cudowne, prawie tak, jak natchnione słowo Boże, nieśmiertelne »Naśladowanie Chrystusa« w przedziwnie głębokich, jakie zawiera naukach duchownych, ani razu nie wspomina Kościoła ni papieża. I nie jest to bynajmniej przypadkowe zjawisko. Wielcy i nieporównani w swym polocie asceci i mistycy średnich wieków oddychali tak pełną piersią powietrzem czysto kościelnem, że nie czuli potrzeby wyraźnie wspominać tego, czem żyli i skąd czerpali wszystkie swe światła i siły. W XVI wieku zmieniła się postać rzeczy, bo katolicyzm stracił już w duchownej dziedzinie wyłączne swoje panowanie. Stąd to w ascezie ignacjańskiej, obok czysto moralnych wskazówek wysuwa się ustawicznie na plan pierwszy najściślejsze

złączenie serca z Kościołem i jego widzialną głową. Nie wystarcza mu ogólne poddanie rozumu i woli pod kościelną naukę i jego prawa; on każe się wczuwać w ducha Kościoła, by czuć jego czuciem i myśleć jego myślą. Przedziwne, w książeczce rekolekcyj zawarte i jako integralna jej część w duchowne jej wskazówki wcielone »regulae sentiendi cum ecclesia« wytyczają indywidualnej wewnętrznej pracy najpewniejsze normy i najgłębiej obmyślane granice. I doprawdy zdumiewać się trzeba na widok, jak genjalnie przeczuł św. Ignacy wszystkie te trudności, które miały z biegiem lat się przeciwstawić pełnemu zjednoczeniu z Kościołem serc i umysłów. Gdyby pozwalały na to ramy niniejszej pracy, możnaby ściśle wykazać, że w owych krótkich przepisach »dla czucia z Kościołem« dotknięte są wszystkie zarzuty, które myśl nowożytna, aż do modernizmu włącznie, podnosiła kiedykolwiek przeciw katolickim praktykom i poglądom. A dałoby się również i to udowodnić, że ogromny postęp w znajomości i miłości Kościoła, jaki od XVI wieku spostrzegamy w społeczeństwie katolickiem jest w wielkiej mierze owocem tych zasad, które wielki rycerz Boży z Loyoli najpierw począł w swem sercu, a potem przez swych synów zaszczepił w duszach wiernych.

Nie mniej silnie, niż przez swą ascezę, zaważył św. Ignacy na rozwoju katolickiego życia przez nowe, jakie stworzył, formy zakonności.

Aż do jego czasów wszystkie zakony, mimo wielkiej różnorodności reguł i konstytucyj, miały jeden tylko zasadniczy typ zgromadzeń mniszych. Jednostajny habit zakonny, tonsura, wspólne odmawianie kapłańskich pacierzy, rozmaite wreszcie ostrości cielesnego umartwienia, to były cechy tego typu zewnętrzne; w ustroju swym wewnętrznym odznaczały się te zakony tytułem i charakterem »braci«, nie »ojców«, to jest kapłanów, kapitularną formą wyboru przełożonych i ograniczonym czasem ich rządów, autonomją nakoniec poszczególnych klasztorów, bądź to zupełną, bądź daleko posuniętą. Ogólnie rzecz biorąc, mimo znacznej ewolucji, jaką tu wprowadzili święci Franciszek i Dominik, uchodził każdy dom zakonny za jakąś świętą, izolowaną od świata, oazę Bożą, za jakieś ciche schronienie ludzi, co wyrzekłszy się zupełnie tej ziemi, żyją przedewszystkiem Bogu i zbawieniu własnej duszy.

Pustelnika z Manrezy ciągnęło serce do tego rodzaju życia i często mawiał, że, gdyby był poszedł za naturalnym pociągiem, byłby podobne formy przepisał zgromadzeniu, którego był ojcem. Jakkolwiek jednak w swoich »regułach o czuciu z Kościołem,« każe wyraźnie po-

chwalać zakony ścisłe, klauzurę, chóralne pacierze i inne podobne praktyki dawnych zgromadzeń, spostrzegł głębokim swym wzrokiem, że obok tych, oderwanych od świata sług Bożych, potrzeba nowym czasom innych szermierzy, zszeregowanych wprawdzie w zakonne kadry i wzmocnionych siłą, jaką daje węzeł uroczystych ślubów, ale mniej odciętych od ludzi zewnętrznym trybem swego życia. Osobiste jego skłonności wyrywały się do ciszy dawnych klasztorów i świętej ich bogomyślności, ale szerokie, apostolskie serce i ogromny rozum, patrzący daleko, wskazywały mu w gwarnych zbiorowiskach ludzkich miljony dusz potrzebujących ratunku i rozległe pola czekające uprawy. Znany aforyzm zakonny: »Benedictini montes, Cistercienses fontes, magnas elegit Ignatius urbes« dobrze charakteryzuje myśl przewodnią, która wielkiemu zakonodawcy przyświecała w planie nowego zgromadzenia. On chciał synów swoich nie zamknąć w odosobnieniu, ale rzucić jako żołnierzy Bożych na wszystkie te placówki, gdzie skupia się najpotężniej życie ziemskie, i gdzie zazwyczaj rozgrywają się walki najdonioślejsze dla Kościoła; on nie przywiązał ich do murów jednego domu, ale postawił im na czele reguł zasadę, że »naszem powołaniem jest z miejsca na miejsce się przenosić i wszędzie tam przebywać, gdzie chwała Boża i zbawienie dusz tego wymaga«. Żeby zaś mogli być tym lotnym zastępem, gotowym zawsze do walki i do drogi i żeby mogli tem łatwiej mieszać się z szeregami potrzebującemi pomocy, postanowił przez śmiałą, nieomal zuchwałą innowację odjąć swojemu zakonowi cały szereg form zewnętrznych, które zdawały się niegdyś od zakonnego życia nieodłączne. Nie przepisał im żadnego habitu, nie nałożył z reguły żadnych fizycznych umartwień, nie obowiązał do chóru, nie pozwolił się obciążać żadnem zobowiązaniem, któreby ich przykuwało do stałego miejsca pobytu i do pewnych tylko rodzajów pracy. Ale zamiast tych wszystkich zewnętrznych praktyk, ujął ich w karby nad wyraz potężnej duchowej i organizacyjnej dyscypliny, której kodeksem jest to arcydzieło spoistości, elastyczności i przedziwnej siły samozachowawczej, jakiem jest Instytut Towarzystwa Jezusowego.

Dokładna analiza konstytucyj zakonnych św. Ignacego zaprowadziłaby nas za daleko, ale nie możemy nie zwrócić uwagi na główne ich zasady, które na ustrój mnóstwa nowych zakonów wywarły wpływ wprost decydujący.

Pierwszą z cech tego nowego typu zakonności, jaki stworzył wielki organizator z Loyoli, jest dziwna szerokość i swoboda. Jak niema na zewnątrz żadnych form mniszego życia, tak niema i na wewnątrz

żadnego zacieśnienia do jakiejkolwiek skostniałej rutyny, jaką życie wspólne tak łatwo wytwarza. Cel zakonu jest niezmiernie rozległy, środki, jakich używa są zdolne najprzeróżniejszej adaptacji do rozmaitych miejsc i czasów, okoliczności i warunków, niema jednej stałej formy domów, ale różne, głęboko odrębne, jak też są różne kategorje ślubów aż do najwyższej, uroczystej profesji, sposób życia stosuje się do normy, przyjętej przez poważnych kapłanów danego kraju, reguły i inne przepisy, o ile nie dotyczą ślubów, nie obowiązują pod grzechem, bo główny nacisk położony jest na »wewnętrzne prawo miłości, które Duch Święty na sercach pisze i zachowuje«, sposób rządzenia nie jest ani trochę oficjalno-urzędniczy, ale ojcowski i rodzinny.

Jeżeli jednak Instytut św. Ignacego jest pod pewnym względem uosobioną przestronnością i swobodą, pod dwoma innemi względami nakłada węzły bardzo ścisłych zobowiązań.

Przedewszystkiem. ponieważ punkt ciężkości zakonnego życia przerzucony jest z zewnętrznych na wewnętrzne czynniki, żąda Instytut od swych zwolenników wysokiego stopnia zaparcia i duchowego wyrobienia. Zanim dojdzie do ostatecznego zespolenia z zakonem, musi przejść każdy jego członek długi proces wewnętrznej formacji, która w żelaznym warsztacie ignacjańskiej ascezy urabia go i wykształca wedle modły nakreślonej w konstytucjach i ćwiczeniach duchownych. A wśród wielu cnót, które ten proces kształcenia duchowego przedewszystkiem wytwarza, pierwsze miejsce zajmuje doskonałe posłuszeństwo. Inny bowiem wzgląd, pod którym Towarzystwo Jezusowe, mimo całej swej swobody, jest zakonem bardzo ścisłym, to zupełna zależność każdej jednostki od woli i sądu jednego najwyższego zwierzchnika, który dzierży w swem ręku i dzierży dożywotnio pełną i całkowitą władzę wykonawczą.

I tutaj znowu jest punkt widzenia, w którym św. Ignacy przejrzał naprzód tak nadchodzące potrzeby, jak linje przyszłej ewolucji kościelnej myśli. Zrozumiał on zawczasu doniosłość tej sprężystej organizacji, którą Kościół coraz silniej przeciwstawia wywrotowym obozom i dlatego nie zawahał się nadać swemu zakonowi centralizacji władzy tak wielkiej, jakiej do jego czasów nie było przykładu. Żadnych wyborów przełożonych, z wyjątkiem jednego tylko generała, żadnych kapitularnych form rządzenia, żadnej niezawisłości poszczególnych domów czy osób; cały rząd przychodzi z góry, z góry mianowanie wszystkich zwierzchników, każdy członek zakonu składa swą wolę nie w ręce jakiejś nieosobowej księgi ustaw, ale w ręce jednego żywego człowieka,

który imieniem Bożem, w obrębie celów zakonu, może mu wszystko nakazać, krom grzechu. Żeby zaś ta wspaniała organizacja posłuszeństwa oparła się mocno o tę władzę, która gwarancję trwałości i nieomylności ma od samego Boga, związał św. Ignacy synów swoich, składających uroczystą profesję, nieznanym dotychczas ślubem czwartym, bezwzględnego poddania się Stolicy świętej w gotowości na wszystkie, choćby najcięższe apostolskie prace,

Jaki wpływ wywarły konstytucje Towarzystwa Jezusowego na dalsze ukształtowanie życia zakonnego w Kościele, o tem świadczy cała historja. Można krótko powiedzieć, że ogromny rozum i silna ręka ich twórcy przeprowadziły życie zakonne ze średniowiecznych do nowożytnych form istnienia. Z całego mnóstwa zgromadzeń, które po XVI wieku zrodziła płodność katolicka, ani jednego się nie znajdzie, któreby mniej lub więcej, bezpośrednio czy pośrednio nie wzorowało się na wielkich myślach żakonodawcy z Loyoli. Spoglądając dziś wstecz, na długie trzy wieki rozwoju jego dzieła, nie możemy nie uznać, że mąż, którego kanonizacja z dn. 12 marca wprowadziła na ołtarze, zaważył na ewolucji katolickiego życia, jak nikt po nim, a niewielu przed nim.

Przy całem jednak uznaniu dla nieśmiertelnych zasług św. Ignacego, budzi się w niejednym umyśle taka wątpliwość. Czy przy tem przelaniu katolickiej ascezy i zakonnego życia na nowe formy nie zaginęły bezpowrotnie pewne czynniki, nie istotne może, ale bardzo cenne i bardzo urocze? Czy twarda ręka surowego prawodawcy nie ścisnęła dusz ludzkich i form służby Bożej tak silnie, że pozbawiła je wdzięku tego bujnego indywidualizmu, jaki cechował pobożność średniowieczną? Czy nowy, ignacjański typ zakonności, jak stworzył klasztory, zewnętrznie już mniej piękne i barwne, niż dawne, tak też wewnętrznie dusz nie wcisnął w jakiś sztywny szablon, zapewne bardzo wykończony, ale suchy i trochę monotonny? Czy nowa ta szkoła duchowna wyda kiedykolwiek postacie zbliżone urokiem do prześlicznych Świętych średniowiecza, wzbijających się tak swobodnie na mistyczne wyżyny i tak opromienionych blaskiem swoistej, różnobarwnej cnoty?

Te i inne podobne pytania stawiano sobie nieraz i odpowiadano na nie przecząco. Byli i tacy, co posuwali się do śmiałego twierdzenia, że wielki twórca rekolekcyj o trzy wieki opóźnił rozwój katolickiej mistyki i ascezy. Szkoła św. Ignacego, wedle ich zdania, może wydać ludzi duchowo bardzo wyrobionych, bardzo poprawnych, bardzo dzielnych w apostolskiej pracy, ale nie może wydać tych dusz wybranych,

co na skrzydłach wyższej kontemplacji wznoszą się w sfery mistycznego z Bogiem obcowania.

Że w powyższym zarzucie mieści się odrobina, a raczej pewien pozór słuszności, tego bynajmniej nie mamy zamiaru zaprzeczać. Ten Święty, który mawiał, że wolałby żyć na ziemi z niepewnością zbawienia, byleby móc dłużej pracować dla Boga, niż zaraz i to napewno chwałę wieczną odzierżyć — ten Święty rzeczywiście kierował swą ascezę przedewszystkiem do czynu i do zdobycia tych cnót gruntownych a trzeźwych, jakich działalność apostolska wymaga. Nadzwyczajne, bardziej osobiste dary Boże były u niego jakby na drugim planie myśli i dążeń; na pierwszy plan wysuwało się to wszystko, co może zrobić z człowieka narzędzie do pracy nad bliźnimi i to pracy bez wytchnienia, z zupełnem zapomnieniem o sobie. Stąd też i typ ludzi duchownych, jakich szkoła św. Ignacego wydała, jest raczej typem pracowników i żołnierzy, co w dymie i pyle »dźwigają ciężar dnia i upalenia«, niż typem mistyków bogomyślnych, kwitnących w ciszy samotności i skupienia.

Jeżeli jednak zarzut powyższy na tem nie poprzestając, posuwa się aż do twierdzenia, że asceza ignacjańska wszelką mistyką zasadniczo wyklucza, albo rozwojowi jej nie sprzyja, to musimy powiedzieć, że jest on całkowicie chybiony i bezpodstawny. Bo przedewszystkiem czyż nadzwyczajne dary duchowne, choć istoty świętości bynajmniej nie stanowią, nie zwykły z dobroci Bożej towarzyszyć doskonałemu zaparciu i prawdziwej apostolskiej żarliwości? Czy może być lepsze i zdrowsze, bo na niebezpieczeństwo złudzeń mniej wystawione przygotowanie duszy do wyższej modlitwy, niż to, jakiego naucza twarda szkoła Mistrza z Manrezy?

Lecz nie dość na tem. Św. Ignacy, choć wprost i bezpośrednio do mistyki nie popycha, bo jest ona zresztą wyłącznym darem Bożym, zanadto dobrze rozumie jej cenę, by ją lekceważyć a tem mniej wykluczać. Kto uważnie zgłębia książkę »Ćwiczeń duchownych«, ten na bardzo wielu miejscach znajdzie te »tajemne schody« wiodące wedle św. Jana od Krzyża w świat mistyczny, znajdzie jakby drzwi dyskretnie uchylone dla dusz, które Bóg raczy wezwać do bliższego ze sobą obcowania. Wszystko, co Święty mówi o »pociesze duchownej« i o sposobie jej przyjmowania, wszystko, co zaleca gdy dusza uczuje w sobie dotknięcie bliskości Bożej, samo wreszcie ujęcie rozmyślań o życiu Chrystusowem i działaniu Boga w nas w formę cudownych »kontemplacyj« wznoszących dusze w sferę wyższej modlitwy, wszystko to jest

wymownym dowodem, że nadzwyczajnych darów Bożych, w które sam tak obficie opływał, nie miał zamiaru wykluczać z życia wewnętrznego swych uczniów.

Sama wreszcie historja wydała w tej mierze wymowne świadectwo. Wystarczy bowiem rzucić okiem choćby na tę grupę Świętych, którą wraz z św. Ignacym podniósł Grzegorz XV na katolickie ołtarze, aby zrozumieć odrazu nie przez spekulatywne wywody, ale na żywych przykładach, że doskonała świętość ze szkoły Loyoli bynajmniej nie usuwa ani nie umniejsza tych łask darmo danych, których Bóg zazwyczaj wybitnym swoim sługom udziela.

Czyż bowiem była kiedykolwiek na świecie mistyka wyższa, zdrowsza i cudowniej czysta, niż świętej Reformatorki karmelitańskiego zakonu? A przecież święta Teresa nie waha się nazywać »dzieckiem Towarzystwa Jezusowego« i przyznaje głośno, że na wysokich drogach, jakiemi Bóg ją prowadził, nie miała nigdy lepszych, pewniejszych, doświadczeńszych kierowników, niż synów św. Ignacego.

I któż to jest św. Filip z Neri? Czy w całej hagiografji katolickiej znajdzie się dużo postaci, tak przedziwnie uroczych, tak swoistych, tak pogodnie wzlatujących ku Bogu i tak pełnych najczulszej miłości ku ludziom? A jednak ten wielki, ulubiony przez wszystkich sługa Boży nietylko całem sercem oddany był św. Ignacemu, ale taką miał cześć dla jego ducha, że po wielekroć prosił o przyjęcie do grona jego synów.

A cóż powiedzieć o św. Franciszku Ksawerym? Przecież ten ogromny apostoł, opromieniony blaskiem niesłychanych cudów i obdarzony nad miarę skarbami łask niebieskich, to był pierwszy i nieodrodny syn Mistrza z Loyoli, wychowany w szkole jego rekolekcyj i przesiąknięty do głębi zasadami jego Instytutu.

A gdyby przechodzić innych, późniejszych, po wielkiej kanonizacji z 12 marca policzonych w poczet Świętych, czy nie znalazłoby się szeregu podobnych postaci, na ignacjańskiej ascezie urobionych, a mimo to, i owszem dlatego, ozdobionych tym blaskiem darów Bożych, które zwykły być nagrodą doskonałego zaparcia?

Zmieniły się czasy, zmieniły się też w pewnej mierze, nie zasadnicze drogi do świętości, ale sposoby kroczenia po tych drogach. W tem właśnie leży nieśmiertelna św. Ignacego zasługa, że potrzebę tych zmian tak głęboko zrozumiał i że tak pewną ręką wytknął im właściwy kierunek. Że zaś Bóg ten kierunek potwierdził, tego dowodem jest wielki akt kościelny, jakiego obchodzimy rocznicę i bujny plon jego posiewu, którym złoci się dziś rola Boża.

Ks. Jan Rostworowski.

Udział robotników w zarządzie przedsiębiorstw.

(Dokończenie).

VI. Koncepcja korporacyjna. Anglja.

Pogląd korporacyjny jest bardzo popularny wśród katolików społecznych. Wśród nich należy wyróżnić margrabiego De La-Tour-Du-Pin La Charce, ze względu na siłę przekonania, ustalone poglądy i wielką kulturę[1]).

Podaje on trzy charakterystyczne cechy ustroju korporacyjnego: 1. uznanie i uszanowanie odrębnych praw i obowiązków każdej jednostki w zakresie grupy. W ustroju tym zapewnia się każdemu poszanowanie jego prawa; nie jest to oczywiście jedno prawo dla wszystkich, ale równe poszanowanie praw różnych, un respect égal de droits divers; 2. takiż stosunek do praw organizacji zawodowej w obrębie państwa; 3. organizacja zawodowa jest autonomiczną i pozostaje tylko pod kontrolą państwa (str. 23 nn.)

Trzy są też konieczne warunki istnienia i rozwoju korporacji: majątek, ojcowizna korporacyjna, uczestnicząca w dochodliwości przemysłu; stwierdzanie zawodowej zdolności zarówno przemysłowca, jak robotnika; przedstawicielstwo każdego czynnika zainteresowanego w organizacji ogólnej (str. 27). Zadania zaś i kompetencja takiej organizacji korporacyjnej są następujące: 1. ustalać umowy, dotyczące pracy i zapłaty, w takich jednak granicach, by zostawić pewną swobodę dostosowania się do konjunktury gospodarczej; 2. wymierzać sprawiedliwość i czuwać nad zachowaniem przepisów w tych sprawach; 3. stwarzać

[1]) De- la-Tour-du-Pin, Vers un ordre social chrétien. Jalons de route, (1882—1907, Paryż, 1910[2]. — Por też K. Lorin, L'Organisation professionnelle el le Code du travail. 1907.

instytucje dobra ogólnego i zarządzać niemi, więc Kasy pomocy, na wypadek choroby, bezroboczości, ubezpieczenia od wypadków, współdzielnie spożywcze itd.; 4. badać i przedstawiać interesy zawodowe i mieć prawo ich obrony wobec władz państwowych i w sądach (str. 146 n.). Trzeba jednak zaznaczyć, że kompetencja organizacji zawodowej nie ogranicza się tylko do spraw płacy, przeciwnie, rozciąga się ona na zagadnienia produkcji narodowej, bo ma »wstrzymać upadek ekonomiczny dzięki przestrzeganiu uczciwego współzawodnictwa i pomyślności fachu« (str. 32).

W r. 1897 pisarze i działacze społeczni, zebrani na posiedzeniu przedstawicieli czasopism społecznych katolickich, uchwalili następującą rezolucję, dotyczącą tworzenia organizacji zawodowej. »1. Wszyscy członkowie każdego fachu w okręgu, który będzie bliżej określony, powinni być z urzędu wpisani na listę specjalną przez władze administracyjne; 2. Członkowie fachu, w ten sposób spisani, stanowią zawód Corps professionnel; 3. Każdy Zawód będzie miał własne przepisy, którym będą podlegać wszyscy członkowie tego zawodu; 4. W każdym zawodzie będą się wolnie tworzyć związki zawodowe: patronalne, robotnicze lub mieszane, zgodnie z ustawą z r. 1884; 5. Na czele Zawodu będzie stać Rada, złożona z delegatów od związków w ten sposób, by zapewnić równe przedstawicielstwo różnym elementom zawodu 6. Rada zawodowa będzie wydawała przepisy, mające na celu zastosowanie ustaw ogólnych w zakresie organizacji pracy i będzie stwarzała zwyczaje zawodowe. 7. Przepisy wydane przez Radę zawodową, muszą być przyjęte w drodze referendum powszechnego, gdy tego zażąda pewna liczba członków zawodu, a zawsze muszą być potwierdzone przez władze publiczne; 8. Radom zawodowym będzie przysługiwać pewna kompetencja sądowa i prawo pobierania opłaty od członków zawodu w granicach określonych przez ustawę; 9. Rady zamianują przedstawicielstwo zawodowe wyższego rządu«[1]).

Tym sposobem robotnicy zyskują wpływ na bieg życia gospodarczego w swoim zawodzie i w kraju. Akcja idzie tu raczej przez zawód do fabryki niż z fabryki do zawodu.

Realizacja ustroju korporacyjnego na szerszą skalę dokonywa się w Anglji.

Już na kilka lat przed wojną prądy radykalne i rewolucyjne zaczęły się szerzyć wśród robotników angielskich. Do trudności stąd pow-

[1]) Por. M. Turmann: Le catholicisme social depuis l'encyclique „Rerum Novarum". Paris, 1900 str. 248—249.

stałych wojna dodała nowe, jak np. brak pracy, ogromny wzrost liczby robotnic, niedostatki aprowizacji. Okres zakończenia wojny i demobilizacji przedstawiał się jako okres nowych kłopotów i nieporozumień i zatargów, tem bardziej, że rząd angielski zobowiązał się cofnąć, po skończonej wojnie, różne ograniczenia zdobyczy i zwyczajów stowarzyszeń zawodowych, wprowadzone w r. 1915 za zgodą robotników po konferencji rządu z ich przedstawicielami w marcu tegoż roku.

Żeby znaleść wytyczną postępowania i uchronić naród od wstrząśnień, o ile to możliwe, rząd angielski już w r. 1916 utworzył komisję parlamentarną, Reconstruction Committee, dla zbadania spraw, o których była mowa. Jedna sekcja tej komisji miała się zająć zbadaniem stosunków między pracodawcami i robotnikami. Prezesem ich został Jan Whittey, poseł do Izby Niższej, stąd nazwa Komisji Whittey'a. Składała się ona z 17 osób, z których czterech to członkowie parlamentu, a reszta — przedstawiciele pracodawców i robotników. Wśród tych znalazł się przywódca górników Smillie i nieukwalifikowanych robotników Clynes. Komisja, której prace trwały dwa lata, przygotowała pięć referatów, ostatni z datą 1 lipca 1918 r. Rząd z nieznacznemi zmianami przyjął wnioski tej komisji i w styczniu 1919 r. ogłosił je jako program rządowy w zakładach rządowych lub pozostających pod kontrolą rządową oraz gorąco wezwał pracodawców prywatnych i robotników aby zajęli się realizacją tego projektu[1]).

Whittey proponuje stworzenie organizacyj dla całych działów produkcji narodowej, a nie tylko dla fabryk. Każda gałąź produkcji narodowej ma wspólne interesy i dlatego nie można organizować fabryk jako samoistnej całości, lecz tylko jako część większego organizmu. Podstawą organizacji są sądy mieszane, Joint Industry Council, do których wchodzą przedstawiciele rządu i związków robotniczych, a w przedsiębiorstwach prywatnych organizacji pracodawców, związków robotniczych i rządu. Mamy tu więc ideę współdziałania i solidarności, a nie rozbieżności i walki.

Na czele organizacji ma stanąć Zjednoczona Rada Przemysłowa, National Council, w jej obrębie ma działać Departamentalna Rada Zjednoczona, District Council, i wreszcie komitety fabryczne, okręgowe, dla grupy fabryk jednego właściciela, komitety przemysłowe, Works Committees on Councils, jako jednostki najniższe, w poszczególnych fabrykach lub w ich grupach.

[1]) Przekład zb. w 4 Biuletynie Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej 1 z lipca 1919 r., str. 232—242. Projekt ma na myśli przedsiębiorstwa rządowe.

Zdaje się, że Whittey największe znaczenie przypisywał Radom Departamentalnym i dlatego cały projekt zaczął własnie od tych Rad. »Głównym zadaniem Rady jest zapewnienie najwyższego stopnia współpracy w administracji przedsiębiorstwa i organizacji pracy w przemysłowych zakładach rządowych — w interesie ogólnonarodowym i w celu powiększenia dobrobytu wszystkich osób zatrudnionych; zadanie to ma być spełnione przez zorganizowanie wspólnych perjodycznych obrad między urzędowymi przedstawicielami ministerjum a delegatami związków zawodowych« (I. zadanie p. 1). Rozwijając tę ogólną zasadę, Whittey wylicza poszczególne zadania rady, które dla jaśniejszego wykładu podzielimy na kilka grup: 1. Systematyczne badanie warunków pracy, zbieranie danych statystycznych i informacyj w sprawach związanych z pracą w rozmaitych zakładach. 2. Utrzymanie wysokiego poziomu zdrowotności wśród robotników i rozważanie problemów, związanych ze zmęczeniem zawodowem, odpowiedniem zaopatrzeniem pracowników w warsztatach i fabrykach oraz badanie wpływu tych czynników na zdrowie i wydajność pracy. 3. »Obradowanie nad środkami uregulowania produkcji i nad warunkami pracy«. »Rozwiązanie metod, z pomocą których powyższe zadania mogą być spełnione«. »Obradowanie nad sposobami osiągnięcia najwyższej wydajności pracy; obradowanie nad wynalazkami i ulepszeniami technicznemi, nad metodami pracy, prowadzącemi do tego celu«. »Zużytkowanie możliwie najlepsze wiadomości praktycznych i doświadczeń robotników i stworzenie sposobności, aby wiadomości te znalazły należyte zastosowanie«. 4. »Zapewnienie sprawiedliwego podziału między strony zysków, płynących ze zwiększonej wydajności pracy«. 5. »Obradowanie nad urządzeniami, służącemi do zorganizowania i przystosowania órganów lokalnych. Dozór nad organizacjami lokalnemi i innemi, rozstrzygającemi spory między stronami, w celu zapewnienia szybkiego wymiaru sprawiedliwości«. Stąd wynika, że tematem obrad w Radach departamentalnych są przedewszystkiem, prawie wyłącznie sprawy dotyczące dobrej organizacji produkcji i wydajności pracy. Zagadnienia praktyczne w sprawie warunków pracy i zapłaty, z wyjątkiem podziału zysków, prawie nie wchodzą w zakres działalności rad.

Celem komitetów lokalnych jest czuwanie, aby robotnicy okazywali większe zainteresowanie i poczuwali się do odpowiedzialności za warunki, w jakich praca się dokonywa, aby przepisy, zawarte w umowach zbiorowych między Radami Departamentalnemi a Zjednoczonemi Radami Przemysłowemi, były wykonywane przez departamenty; zapobieganie

nieporozumieniom i zatargom«. W szczególności do zadań tych komitetów należy: »a) wydawanie i zmiana przepisów fabrycznych; b) rozkład godzin pracy, przerwy w pracy i obliczenia czasu; c) zarobki, (terminy wypłaty, forma marek płatniczych, metody płacenia); d) rozstrzyganie sporów, nieposiadających charakteru ściśle przemysłowego; e) urlopy; f) zdrowotność (gorąca strawa i woda do picia, umywalnia i garderoba, wentylacja, ogrzewanie i kanalizacja, nieszczęśliwe wypadki, ochronniki, pogotowie ratunkowe, ambulatorja itd.); g) sprawy awansu, stanowisko majstrów; h) karność i stosunki między zarządem fabryki a robotnikami (np. przestrzeganie godzin pracy, podawanie do wiadomości przepisów, kontrola napisów na tablicach); i) terminy przyjmowania robotników; j) kształcenie uczniów i młodzieży; k) oświata techniczna, pouczenie o technicznej i społecznej stronie przemysłu; l) wnioski o ulepszeniu metod i organizacji pracy, sprawdzanie wniosków; m) badanie przyczyn zmniejszania się wydajności pracy lub powstrzymywania regularnego biegu pracy; n) składki dla klubów, zakładów dobroczynnych itd.; o) rozrywki i sporty«. Tak zwane w tym projekcie »sprawy przemysłowe«, jak wysokość zarobku itd. wchodzą w zakres osobnych komitetów przemysłowych lokalnych i okręgowych, złożonych z przedstawicieli fabryki i związku zawodowego. Komitety zaś fabryczne, okręgowe i grupowe zajmują się tylko temi, wyżej wyszczególnionemi sprawami natury ogólnej.

Wreszcie Zjednoczona Rada Przemysłowa ma na celu »zapewnienie możliwie największej współpracy w normowaniu spraw, odnoszących się do całego przemysłu, dotyczących robotników, zatrudnionych w tym przemyśle«, zatem przeważnie zagadnienia natury społecznej, związane z faktem pracy w fabrykach. W szczególności do Rady należy: 1. Badanie wydajności pracy, kosztów produkcji itd.; 2. »Regularne obradowanie nad wysokością płac, ustalenie czasu pracy oraz płac akordowych, wprowadzanie zmian, z uwzględnieniem umów zbiorowych«. »Obradowanie nad sposobami ustalania płac i przystosowania płac do nowych warunków«. 3. Obradowanie nad kwestjami, związanemi z warunkami pracy w ogólności (łącznie z godzinami pracy, urlopami dla chorych, urlopami wogóle i emeryturami) w ich stosunku do płac; 4. »Obradowanie, w razie konieczności łącznie z Radą Departamentalną, nad warunkami przyjmowania do zakładów przemysłowych«. 5. Wyszkolenie zawodowe i zagadnienia wychowawcze. 6. »Obradowanie nad zorganizowaniem aparatów lokalnych itp. celem szybkiego załatwienia sporów w zakładach, jak również nad stworzeniem organu, do którego, w razie

niezałatwienia kwestji sporów przez Depart. Radę Przem., można będzie się odwołać, dla osądzenia danej kwestji. 7. Zadania organizacyjne.

Jak wspomniałem, rady składają się z przedstawicieli obu stron, a nie tylko z robotników. Co więcej rady te nie powstają na drodze pięcioprzymiotnikowego głosowania. Rząd swoich przedstawicieli mianuje i robotnicy, ale tylko zorganizowani, zatem związki zawodowe, wysyłają swoich delegatów, przyczem sposób mianowania zależy od postanowienia każdego związku; tak samo organizacje przemysłowe wysyłają swoich przedstawicieli, nadto »urzędnik, zarządzający fabryką i dozorujący swych bezpośrednich podwładnych, będzie stałym przedstawicielem zarządu«. Liczba delegatów obu stron może być nierówna. Przewodniczącego (w zakładach rządowych) mianuje rząd, wiceprzewodniczącego robotnicy. Tym sposobem wiecowość i masowość zostały wyeliminowane,

Uchwały rad i komitetów nie mają mocy wiążącej, są to raczej postanowienia, rezolucje, wydawane za obopólną zgodą obu stron, lub uchwalane przez obie strony, przewodniczący jednak może zarządzić głosowanie, o ile nie doszło do zgody w sprawie, objętej porządkiem dziennym. Whittey oddał przewagę porozumieniu nad przewagą liczebną.

Mandaty są roczne, ale mogą być przedłużone. Wydatki podróżne i inne związane z funkcjonowaniem rad okręgowych są opłacane przez związki zawodowe. To samo dotyczy komitetów fabrycznych: »Zapłata za udział: należy wypłacać przedstawicielom robotników część wynagrodzenia, utraconą przez wzięcie udziału w zearaniu«. Zebrania komitetów fabrycznych powinny się odbywać w godzinach pracy po odpowiedniem porozumieniu się z zarządem fabryki, która też dostarcza lokalu. Fabryka powinna też ułatwić robotnikom odbywanie oddzielnych zebrań w lokalu fabrycznym poza godzinami pracy.

Wnioski komisji Whittey'a nie stały się prawem, zostały tylko polecone przez rząd jako jego program. Ale to jest w duchu polityki angielskiej, która się odwołuje raczej do życia, do inicjatywy i przedsiębiorczości osób zainteresowanych, niż do mocy ustaw i przymusu państwowego. Drugi referat komisji Whittey'a, mając na uwadze realizację wniosków, dzieli przemysł angielski na trzy grupy: a) przemysł, posiadający dobrze rozwinięte organizacje patronalne i robotnicze, b); przemysł, w którym orzeczenia obu stron zainteresowanych są słabe c) przemysł, niezorganizowany zawodowo ani w związki pracodawców ani robotników. Komisja proponuje wprowadzenie do pierwszej grupy ustroju rad, dla trzeciej grupy radzi wyzyskać Trade Boards, komitety,

utworzone w r. 1909 celem ustalenia najniższych zarobków w przemysłach, w których grasuje sweatingsystem, dla drugiej doradza pomoc urzędników ministerjalnych. Żywą propagandę na rzecz rad rząd rozwinął zaraz w początkach 1919 r. i w tymże roku w marcu ułożył statut celem wprowadzenia rad do przedsiębiorstw rządowych. Przewidywania Komisji nie sprawdziły się o tyle, że pierwsza grupa przemysłowa zachowała się obojętnie wobec rad, bo własną akcją i własnemi instytucjami polubownemi i rozjemczemi osiągnęła to, do czego doszły rady, a nawet więcej. Nadto była większa skłonność do organizowania rad okręgowych i narodowych niż fabrycznych; tak łatwiejsze porozumienie i współpraca w jednej instytucji niż w fabryce. W połowie 1919 r. było zorganizowanych koło czterdziestu przemysłów, liczących około $2^1/_2$ miljona robotników. Najlepiej są zorganizowane przemysły: budowlany, bawełniany, drukarski, szewski, przewozowy.

VII. Koncepcja klasowa. Austrja, Niemcy.

Inaczej są zbudowane rady w nowych republikach, powstałych po wojnie i w okresie rewolucji, lub w państwach, w których wrzenie rewolucyjne wywarło wpływ silniejszy. Tu należą: ustawa austrjacka, das Gesetz über die Betriebsräte[1]) z 15 maja 1919 r., ustawa niemiecka z 18 stycznia 1920 r., zmieniająca dekret z 23 grudnia 1918 r.[2]), ustawa czeska z r. 1920, ustawa norweska z 23 lipca 1920 r., projekt ustawy włoskiej z r. 1921.

Rady te są jednostronne, organizują tylko robotników i pracowników (norweska tylko robotników), przeciwstawiając ich, przynajmniej faktycznie, jeśliby nawet nie było takiej tendencji, pracodawcom. Wyrazem tej jednostronności jest określenie celu rad w ustawie A.: »Rady fabryczne są powołane do popierania i czuwania nad interesami gospodarczemi, społecznemi i kulturalnemi robotników i pracowników przedsiębiorstwa« (§ 3). Jeszcze jaskrawiej ta klasowość wyraziła się w ustawie N.:« »We wszystkich przedsiębiorstwach... powstaną rady... celem obrony wspólnych interesów gospodarczych, odczuwanych przez najemników, pracobiorców (robotników i pracowników) wobec pracodawcy« (część I § 1). Ta cecha jednostronności jest tak uwydatnioną, że w sprawie spornej wyborów do rad odpowiedni urząd w Dortmundzie wyjaśnił 30 listopada 1920 r., iż dyrektor nie może być wybrany do rady, bo

[1]) Przekład polski w N. 4 z 1 lipca 1919 r. „Biuletyn Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej", str. 224—248.

[2]) Przekład polski tegoretu dek w tymże N. Biuletynu, s. 229—232.

jego interesy są związane z interesami pracodawcy, a rady mają przedstawiać interesy pracobiorców. Ze względu więc na to, niebezpieczeństwa, związane z istnieniem rad, w koncepcji klasowej nabierają większego znaczenia i stają się rzeczywistszemi. Dotychczasowy duch opozycji i negatywnej krytyki w stosunku do przemysłowców, tak starannie pielęgnowany przez wszelkie odłamy socjalizmu, niejako zdobył nowy organ działania. Można przeto wątpić, czy te dążenia pokojowe, które ustawa wskazuje radom fabrycznym (§ 66), będą osiągnięte w takim stopniu, jakby to mogło być. Natomiast w koncepcji korporacyjnej rady są organem spotkania się, dyskusji i porozumienia, wobec czego jednostronność poglądów i interesów zarówno pracodawców jak i robotników, a tembardziej egoizm klasowy musi ulec złagodzeniu albo zupełnie ustąpić wyrównaniu interesów.

W przedsiębiorstwach, w których pracuje najmniej pięciu robotników, wybiera się męża zaufania, który zastępuje radę (A § 1. p 2; N. § 2).

Według ustawy austrjackiej prawo wyborcze posiadają osoby co najmniej od miesiąca zajęte w przedsiębiorstwie, bez różnicy płci, o ile w dniu wyborów ukończyły 18 lat i korzystają z pełni praw obywatelskich; w przedsiębiorstwach niestałych i nowo założonych nie wymaga się miesiąca pracy (§ 6). Ustawa niemiecka nie przewiduje warunku przepracowania pewnego okresu czasu. Wybory zaś są bezpośrednie i tajne, a gdzie rada liczy nie mniej niż 4 członków, proporcjonalne (A. § 6 p. 1; N. § 1B). Wybranym może być ten, kto przynajmniej sześć miesięcy pracuje w danem przedsiębiorstwie i ukończył 24 lata; gdy zaś rady liczą więcej niż czterech członków, mogą być wybrani członkowie zarządów i urzędnicy związków zawodowych, z tem jednak zastrzeżeniem, że niewyborcy nie mogą przewyższać czwartej części rady (A. § 6). Ustawa N. wprowadza większe obostrzenia, wymaga bowiem, aby robotnik, mający lat 24, nietylko pracował 6 miesięcy w danem przedsiębiorstwie, ale nadto trzy lata w danej gałęzi produkcji i aby nie był jeszcze w okresie zawodowego kształcenia się; nadto ten sam robotnik może być członkiem tylko jednej rady (§ 20). Są to obostrzenia zupełnie rozumne, gdyż zmierzają do doskonalszej, lepiej się znającej na rzeczy reprezentacji oraz do usunięcia elementów agitacyjnych i nieuków. Ustawy odróżniają robotników i pracowników. Jeśli liczba jednych i drugich dosięga pewnej wysokości, to wybiera się dwie rady, robotniczą i pracowniczą, Betriebsarbeiterrat i Betriebsangestellenrat (A. § 10., N. § 6); w sprawach wspólnych obie rady

obradują wspólnie; nadto w przedsiębiorstwach w których robotnicy i pracownicy wspólnie wybierają jedną radę, zastrzega się jedno miejsce dla przedstawiciela pracowników (A. § 10, p. 2). Ustawa N. złagodziła jednostronność rad i zbliżyła się do poglądu korporacyjnego między innemi przez to, że pracodawcy daje prawo żądania, aby przewodniczący zwołał radę i przewodniczący ma obowiązek to uczynić, że pracodawca bierze udział w takiem posiedzeniu, że pracodawca może uczestniczyć w zebraniach rady, na które był zaproszony i że na takich posiedzeniach może przewodniczyć (§ 29).

Rady fabryczne robotników i pracodawców mają powstać (według ustawy norweskiej, o ile tego żąda jedna czwarta robotników) we wszystkich przedsiębiorstwach, o ile zatrudniają conajmniej 20 płatnych robotników i pracowników. Zatem objęte są ustawą nietylko przedsiębiorstwa fabryczne, przemysłowe, handlowe, przemysłowo-rolne, górnicze, przewozowe, budowlane, ale także kredytowe i pieniężnicze, jak banki, kasy oszczędności, lombardy ubezpieczeniowe, zarówno prywatne, jak społeczne, kasy chorych, kasy pomocy itd., kancelarje adwokackie, notarjalne, inżynierskie, maklerów handlowych, pośrednictwa pracy itd.; zakłady sanitarne, jak szpitale, sanatorja, instytucje i zakłady dla wypoczynku, hotele, pensjonaty, domy gościnne i wyszynki; zakłady i przedsiębiorstwa, służące nauce, rozrywce i scenie, jak zakłady naukowe, teatry, sale koncertowe, kinematografy; zakłady i przedsiębiorstwa, zajmujące się wytwórczością i sprzedażą druków. (A. § 1). Rolnictwo będzie poddane osobnej ustawie. W urzędach przemysłowych i komunalnych rady będą wprowadzone osobnem rozporządzeniem. Ustawa N. oględniej określiła rozciągłość rad. Najpierw wyraźnie je wprowadziła do chałupnictwa, nawet gdyby w niem nie byli zajęci robotnicy w ścisłem słowa znaczeniu, lecz np. tylko rodziny (§ 3). Nadto nazwą pracobiorców, tj. robotników i pracowników, nie objęła członków rodziny pracodawcy, pracujących w zakładzie (§ 10); ten przepis, łącznie z przepisami o najmniejszej liczbie pracobiorców, prawie całkowicie uwalnia zakłady rzemieślnicze od obowiązku tworzenia rad. Do robotników nie są zaliczeni, zatem nie podpadają pod ustawę o radach urzędnicy państwowi i te osoby, których zajęcie nie jest skierowane w pierwszym rzędzie do zarobku, lecz jest wywołane raczej względami na zdrowie cielesne, na wychowanie i uobyczajnienie lub pobudkami natury charytatywnej, religijnej, naukowej lub artystycznej (§ 10 p. 2). Wreszcie uprawnienie rad, polegające na współpracy z zarządem w osiągnięciu celu zakładu (p. 1 i 2 § 66) nie rozciąga się na zakłady, służące

zadaniom politycznym, związkowo zawodowym, wojskowym, wyznaniowym, naukowym, artystycznym itp. (§ 67).

Zasadniczo rady powstają w każdym zakładzie z osobna i są instytucją autonomiczną, nawet wtedy, gdy jedno przedsiębiorstwo posiada kilka zakładów lub gdy się rozpada na kilka samodzielnych oddziałów (A. § 5). Ustawa N. jest i pod tym względem doskonalsza. Wprawdzie i ona utrzymuje zasadę fabryczności, ale nieco przez zasadę terytorjalności złagodzoną. Nie uznaje za osobne zakłady, zatem pozwala tworzyć w nich jedną radę wspólną tych oddzielnych zakładów, które są związane ze sobą wspólnem kierownictwem lub współzależnością pracy, o ile jednak są położone w tej samej gminie lub w gminach zbliżonych do siebie gospodarczo i przestrzenią (§ 9). Również, gdy w tej samej gminie albo w gminach sąsiednich, gospodarczo do siebie zbliżonych, znajduje się więcej podobnych do siebie przedsiębiorstw albo skupionych, według jakiejś zasady produkcji, w rękach jednego właściciela, wtedy może powstać Gesamtbetriebsrat obok rad dla każdego zakładu lub ein gemeinsames Betriebsrat (§ 50 i 51). Ustawa przewiduje też rady okręgowe i krajowe (§ 93 i 94).

Niema tu więc organizacji ogólnej, obejmującej cały dział produkcji i połączenia wszystkich działów, czyli organizacji, opartej na podstawie zawodowej. Raczej przewagę ma moment bliższości lokalnej i tytułu własności.

Wewnątrz rady robotniczej (Betriebsrat) mogą powstawać rady odrębne dla robotników, Betriebsarbeiterrat, i dla pracowników, Betriebsangestelltenrat, czyli t. zw. Gruppenräte.

Paragraf trzeci ustawy A. omawia kompetencję i zakres działania rad fabrycznych. Najpierw stwierdza, że są one »powołane do popierania i czuwania nad gospodarczemi, społecznemi i kulturalnemi interesami robotników i pracowników, zajętych w przedsiębiorstwie«, tak jednak, »by ich działalność« nie zatrzymywała biegu pracy« (§ 3). Jest to jedyne zastrzeżenie, mające na widoku wprost dobro produkcji. Zagadnienie produkcji ustąpiło całkowicie wobec zasady klasowości. Możnaby uwzględnienie interesów produkcji widzieć jeszcze w § 13: »W razie sporu między pracującymi lub pracującymi z jednej strony a właścicielami z drugiej, w sprawach, związanych z powstaniem i funkcjonowaniem rady fabrycznej, rozstrzyga sąd rozjemczy«.

Szczegółowe »prawa i obowiązki« rad fabrycznych (wyliczone w § 3) można podzielić na następujące grupy:

a) sprawy zarobku. Tam, gdzie istnieje umowa zbiorowa, czuwanie

nad jej wprowadzeniem i dotrzymywaniem oraz uzupełnianie jej w tych punktach, których osobne uregulowanie było przewidziane, tam, gdzie niema umów zbiorowych, przygotowanie dla nich gruntu w porozumieniu z związkami zawodowemi. — Ogólne normy płac akordowych i od sztuki, o ile nie są określone przez umowy zbiorowe, mogą być ustanowione tylko za zgodą rady fabrycznej przy współudziale związków zawodowych; również prace jednostronne, dla poszczególnych robotników, żarówno akordowe, jak od sztuki, o ile nie dojdzie do porozumienia między pracodawcą a robotnikiem, ustala się przy udziale dwóch członków rady fabrycznej.

b) Regulamin fabryczny. Wydanie przepisów regulaminowych lub zmiana istniejących może nastąpić jedynie za zgodą komitetu fabrycznego, o ile nie nastąpiło to już po porozumieniu się ze związkami zawodowemi;

c) Współdziałanie w utrzymaniu karności fabrycznej. Kary dyscyplinarne mogą być nakładane tylko zgodnie z przepisami regulaminu fabrycznego i tylko przez osobny wydział, do którego wchodzi jeden przedstawiciel przedsiębiorstwa i jeden rady fabrycznej.

d) Sprawy wydalania. Rada fabryczna może zaprotestować wobec urzędu rozjemczego przeciwko wydaleniu robotnika lub pracownika z powodów politycznych, w związku z jego działalnością jako członka rady fabrycznej, z powodu korzystania z praw wolności zrzekania się. Urząd rozjemczy jest mocen dla słusznych powodów wstrzymać wydalenie. Paragraf 14 bierze w obronę członków rady przeciw prześladowaniu przez pracodawców, dopuszcza jednak ich wydalenie za zgodą urzędu rozjemczego.

e) Czynności inspekcyjne. Gdy istnieje zatarg o zarobek jednostkowy i gdy sprawa przeszła do urzędu rozjemczego, urząd ten może, na wniosek rady fabrycznej, za pośrednictwem zaprzysiężonych rzeczoznawców, przejrzeć księgi i notatki właściciela przedsiębiorstwa w zakresie warunków produkcji i płacy; rzeczoznawców obowiązuje zachowanie tajemnicy. — Rady fabryczne mają prawo czuwać nad wprowadzeniem i utrzymaniem praw i przepisów, w przedmiocie ochrony pracy, zdrowotności fabrycznej, ubezpieczeń społecznych; w razie potrzeby mogą wzywać interwencji odpowiednich władz i delegować swych członków do udziału w śledztwie; w przedsiębiorstwach zaś, podlegających inspekcji przemysłowej i górniczej, wszelkie przepisane prawem rewizje powinny się odbywać z udziałem członków rady fabrycznej. — Rady mają prawo badania list płatniczych i kontroli nad wypłacaniem zarobków.

f) Prawo kontroli. »Właściciel ma prawo, a na żądanie rady fabrycznej jest obowiązany zwoływać co miesiąc wspólne posiedzenie w celu omówienia ulepszeń w urządzeniach i ogólnych zasad w prowadzeniu przedsiębiorstwa«. — »Rady fabryczne mają prawo żądać od przedsiębiorstw handlowych, zatrudniających co najmniej 30 pracowników i robotników, i od wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych i górniczych, przedstawienia bilansu za rok ubiegły, rachunku strat i zysków i statystycznych wykazów zarobków«. — »W przedsiębiorstwach, posiadających formę prawną spółek akcyjnych, rady fabryczne robotnicze i pracownicze delegują do rady nadzorczej lub rady administracyjnej dwóch przedstawicieli (niezależnie od liczby członków rady, przewidzianej w statucie) z pośród tych członków rady fabrycznej, którzy posiadają czynne prawo wyborcze do rady fabrycznej. Delegatom tym przysługują te same prawa i obowiązki, co i innym członkom rady nadzorczej lub administracyjnej, nie służy im jednak prawo przedstawicielstwa i podpisu i nie mogą mieć żadnych pretensyj pieniężnych, poza wynagrodzeniem za pracę włożoną w swą działalność«.

g) Udział w instytucjach pomocy społecznej, jak np. domy fabryczne, współdzielnie, kasy emerytalne i zapomogowe.

Ustawa niemiecka wyznacza radom dwa cele: 1. »obronę wobec pracodawców interesów gospodarczych, odczuwanych przez pracobiorców«, 2. »Wspomaganie pracodawcy w osiągnięciu zadań przedsiębiorstwa« (§ 1). Ostatni cel został silniej podkreślony w konstytucji niemieckiej z 11 sierpnia 1919 r., gdzie powiedziano, że »robotnicy i pracownicy są powołani do tego, aby wspólnie i na równych prawach (gleichberechtigt) z przemysłowcami... współpracować (mitzuwirken, w ustawie: zur Unterstützung) nad ogólnym gospodarczym rozwojem produkcyjnych sił« (art. 165).

Zadania rad robotniczych i pracowniczych są określone w § 78, rad fabrycznych w § 66 i nast. Wogóle można powiedzieć, że pierwsze zajmują się głównie odrębnemi sprawami grupy pracowniczej i robotniczej, zatem sprawami, wspólnemi obu grupom, drugie zaś sprawami raczej natury gospodarczej. Podział ten jednak jest o tyle słuszny, że gdzie niema rad robotniczych i pracowniczych, tam ich zadanie spełnia rada fabryczna (§ 78).

Społeczne zadania rad fabrycznych są następujące (§ 66):

1. Chronić zakład od wstrząśnień i w razie niedojścia do bezpośredniego porozumienia odwołać się do urzędu rozjemczego lub pojednawczego, oraz czuwać, aby te wyroki były przyjęte i spełnione;

szerzyć pokojowe stosunki między robotnikami oraz między robotnikami i pracodawcami.

2. układać się (vereinbaren) wspólnie z pracodawcą w ramach umowy zbiorowej i przepisów ustawowych co do regulaminu fabrycznego (por. § 75).

3. bronić wolności zrzeszania się.

4. ułatwiać działanie rad robotniczych i pracowniczych i wspólnie z pracodawcami pracować nad usunięciem przeszkód ich pracy.

5. czuwać nad zwalczaniem niebezpieczeństwa nieszczęśliwych wypadków i choroby, wspomagać radami i pomocą inspekcję fabryczną w tej akcji.

6. współpracować w instytucjach dobra społecznego.

Ważniejszemi ze względu na nowość zagadnienia, są gospodarcze zadania rady fabrycznej:

1. Uprawnienia ogólne. »Zadaniem rady jest — w przedsiębiorstwach o celach gospodarczych, wspomagać radą kierownictwo tego zakładu, aby wraz z niem czuwać nad możliwie najwyższą doskonałością i gospodarnością tego kierownictwa«, oraz w tychże zakładach »współpracować w wprowadzaniu nowych metod pracy« (§ 66). Uprawnienie jest więc bardzo obszerne, bo właściwie obejmuje cały proces wytwórczy. Wszakże słabą stroną jest to, że rady są złożone tylko z robotników i pracowników, że zatem, teoretycznie rzecz biorąc, z jednej strony uchwały rady mogą być bezprzedmiotowe, bo nie oparte na znajomości rzeczy, a z drugiej, pracodawca może o nich nic nie wiedzieć, ani się niemi interesować.

2. Prawo nadzoru. »W zakładach, w których istnieje rada nadzorcza, czy w spółkach akcyjnych, na członków tej rady będą powołani jeden lub dwaj robotnicy osobną ustawą, o ile jakaś inna ustawa nie reguluje udziału robotników w radzie nadzorczej. Celem stworzenia tej instytucji jest to, aby delegaci mogli przedstawiać interesa i dążenia najemników oraz ich poglądy i życzenia w zakresie organizacji zakładu. Przedstawicielom tym przysługuje prawo obecności i głosu oraz odszkodowania za poniesione wydatki lub straty. Innych praw nie mają, a są obowiązani do zachowania tajemnicy« (§ 70).

3. Prawo kontroli bilansu. »W zakładach, obowiązanych do prowadzenia ksiąg handlowych i zatrudniających najmniej 300 robotników lub 50 pracowników, rady fabryczne mogą żądać, aby pracodawca przedstawił, najpóźniej w pół roku po ukończonym roku gospodarczym, wydziałowi, albo gdyby wydziału nie było, samej radzie i wyjaśnił

bilans przedsiębiorstwa, rachunek strat i zysków za ubiegły rok gospodarczy. Członkowie rady lub wydziału są obowiązani do zachowania w tajemnicy otrzymanych wiadomości« (§ 72). Ze względu wszakże na interesy państwowe rząd może zwolnić niektóre przedsiębiorstwa, określone w §§ 70 i 72. — W szczególności rada może się zapoznawać z rachunkami, dotyczącemi zapłaty. »Dla osiągnięcia swoich celów rada ma prawo, w zakładach o celach gospodarczych, żądać od pracodawcy przedstawienia wydziałowi rady albo, gdzie wydziału niema, samej radzie, o ile przez to nie będą narażone tajemnice firmy i o ile się to nie sprzeciwia obowiązującym ustawom, wyjaśnień w zakresie wszystkich spraw, dotyczących umowy najmu i pracy najemników w zakładzie, oraz przedstawienia książek z rachunkami płacy i wymaganych nakładów w związku z wprowadzeniem lub utrzymaniem istniejącej umowy zbiorowej. Nadto pracodawca winien co kwartał przedłożyć w ogólności sprawozdanie ze stanu przedsiębiorstwa i przemysłu oraz w szczególności przedstawić, w jakich rozmiarach pracuje przedsiębiorstwo i jakie są widoki na zapotrzebowanie pracy« (§ 71).

4. Rada ma pewne wpływy na przyjmowanie lub zwalnianie robotników.

Zadania rad robotniczych i pracowniczych są raczej społecznej natury. Są one powtórzeniem celów rady fabrycznej, wyszczególnionych w § 66 z pewnemi uzupełnieniami, by czuwać, aby przepisy prawne i umowne były zachowane, współdziałać w układach co do zarobku pracy akordowej, metod pracy, czasu itp., o ile te sprawy nie zostały załatwione przez związki zawodowe (§ 78).

Z pośród innych przepisów wymienię, że liczba członków rady waha się od 3 (do 50 robotników) do 30 według ustawy N. (§ 15); w ustawie A. niema krańcowego ograniczenia. Uczestnictwo w radach jest zajęciem honorowem, straty jednak zarobków i wydatki zwraca się (A. § 12; N. § 35). Zebrania odbywają się poza godzinami pracy i nie są publiczne (N. § 30). Mniejszość może złożyć swoje oświadczenie (N. § 33). Koszta funkcjonowania rady i odszkodowania ponosi, według ustawy niemieckiej, pracodawca (§ 36) tak dalece, że jest wzbronione pobieranie od robotników opłat na jakiekolwiek cele przedstawicielstwa fabrycznego w radach (§ 37). Natomiast ustawa austrjacka pozwala, celem pokrycia wydatków członków rady i wydatków bieżących oraz zorganizowania i utrzymania urządzeń społecznych, nałożyć podatek na robotników i pracodawców nie wyższy jednak niż $^1/_2\%$ zarobków, o ile większość pracujących wyrazi na to zgodę przez głosowanie (§ 12).

VIII. Wnioski ogólne.

Na zakończenie kilka ogólniejszych uwag, zwłaszcza w zakresie nowych uprawnień, zyskanych przez robotników.

Udział w radzie nadzorczej spółek akcyjnych. Obecności delegatów nie ograniczono tylko do spraw, związanych z zagadnieniem pracy, ale ich dopuszczono do wszystkich posiedzeń. Słuszność takiego postanowienia wypływa choćby stąd, że w wielu wypadkach nie można przeprowadzić rozgraniczenia między sprawą wyłącznie robotniczą a wyłącznie przemysłową. Praca zbyt wiele zajmuje miejsca w przemyśle i dlatego wiąże się mniej lub więcej ściśle z całym ruchem przedsiębiorstwa. Inaczej są sformułowane same uprawnienia w ustawie austrjackiej a inaczej w niemieckiej. W tamtej mówi się, że delegaci posiadają te same prawa i obowiązki, jak i inni członkowie rady nadzorczej, z wyjątkiem prawa przedstawicielstwa i podpisu oraz pretensyj pieniężnych. W ustawie niemieckiej niema wzmianki o różnych prawach, bo rzeczywiście delegaci robotników (nawet według ustawy A.) nie mają równych praw z innymi akcjonarjuszami. Mogą tylko być obecni na posiedzeniach i zabierać głos, celem zaś ich tam obecności jest przedstawicielstwo dążeń robotniczych i poglądów pracobiorców na organizację zakładu, nie tylko więc samych zagadnień pracy.

Bilans. Prawo zapoznania się z bilansem przyznają robotnikom obie ustawy. Jednakowoż ustawa niemiecka szerzej bierze w obronę mniejsze przedsiębiorstwa, wychodząc z tego założenia, że ujawnienie bilansu jest groźniejsze dla mniejszego przedstawicielstwa niż dla większego. Z tego samego powodu wprowadza — na wniosek centrum — rozróżnienie, którego niema w austrjackiej, między prywatnym kapitałem przemysłowca a kapitałem, włożonym w przedsiębiorstwo. Robotników interesuje tylko ten, natomiast tamten ma zwłaszcza dla małych i młodych przedsiębiorstw wielkie znaczenie, głównie w dziedzinie kredytu, który często jest osobowy. Stąd dla takiego zakładu inaczej się przedstawia sprawa ujawnienia bilansu jednego majątku a inaczej drugiego. Stąd też ustawa daje robotnikom uprawnienia w stosunku tylko do Betriebsbilanz, do tego kapitału, jego strat i zysków, który był włożony w przedsiębiorstwo. Odpowiada to bilansowi spółek akcyjnych, w których niema mowy o całym majątku akcjonarjuszy, lecz tylko o kapitale spółkowym[1]).

---

1) Por. Hitze, Gesetz betreffend die Betriebsräte. Sociale Kultur 40 (1920) 134 i Dr. H. Brauns, Das Betriebsrätegesetz. Wyd. Volksvereinu. 1920. p. 31.

Obie ustawy pod pewnym względem przyznają robotnikom więcej, niż uchwały APT, według których rady mogą powstać tylko w zakładach przemysłowych a nie handlowych i mogą rozpatrywać ze spraw technicznych i handlowych tylko następujące: »zmiany metody i sposobów pracy, instalacja i zmiana narzędzi pracy, zachęta do ulepszeń, pożytecznych dla produkcji własnej, środki umożliwiające rozwój przedsiębiorstwa i sprzedaż towarów w kraju, w kolonjach i zagranicą; zagadnienia, dotyczące wewnętrznej i zewnętrznej konkurencji; badanie naszych rynków zbytu, sprawy celne«, natomiast »kwestje finansowe przedsiębiorstwa nie wchodzą do kompetencji rady mieszanej i dlatego rada nie jest uprawniona do rozważania następujących spraw: a) Kapitał, zaangażowany do zakładu pod jakąkolwiek postacią; cena kupna surowców, narzędzi i dostaw, cena sprzedażna towarów, wyniki finansowe bilanse i sytuacja zakładu, podział zysków, środki, których należy użyć do pokrycia strat, koszta ogólne; sprawy sporne, wybór klienteli; b) pensje kierowników, wyższych i niższych urzędników«.

Wynajmowanie pracy. APT wyjmuje z pod obrad rady wszelkie prawie sprawy, dotyczące przyjmowania i uwalniania urzędników i robotników, zwłaszcza gdy chodzi o umowy indywidualne, bo przyjmuje istnienie umów zbiorowych. Komisja Whittye'a przeciwnie przyjmuje obrady w Zjednoczonej Radzie Przemysłowej «nad warunkami przyjmowania do zakładów przemysłowych« i w radach nad »terminami przyjmowania robotników«, o sprawie zwalniania niema wcale mowy. Ustawa A. natomiast daje radom uprawnienia w sprawie wydalenia robotników, o ile to nastąpiło z motywów nie gospodarczych. Ustawa N. stara się uzgodnić te różne stanowiska. Uznaje, że przyjmowanie do pracy jest ważniejszą funkcją prywatnego przemysłowca, niż zwalnianie, że przyjmowanie ma ściślejszy związek z produkcją niż uwalnianie, które znowu jest donioślejsze dla robotnika. Z tego powodu pozostawia przy przemysłowcu prawo i swobodę przyjmowania do pracy, przewiduje jednak możliwość ułożenia ogólnych zasad i warunków przyjmowania (p. i § 78. §§ 81—83), oraz poleca w razie masowych przyjęć np. wskutek zmiany maszyn, przedstawić radzie projekt akcji (§ 74). Jeśli są jakie wykroczenia przeciw tym warunkom, wtedy rada w ciągu pięciu dni od zapoznania się z niemi, może interwenjować u pracodawcy, a gdy to nie pomaga, odwołać się do rozjemczego urzędu celem ostatecznego rozstrzygnięcia, ale samo odwołanie się nie ma żadnego wpływu na postanowienie pracodawcy (§ 81). Natomiast co do zwalniania od pracy, ustawa przewiduje kilka punktów, które uprawniają robotnika

do protestu wobec rady: 1. gdy robotnik został wydalony z powodów politycznych, wojskowych, wyznaniowych lub związkowo zawodowych albo z powodu swej płci, 2. bez żadnego powodu, 3. dlatego że robotnik nie chce stale wykonywać innej pracy, niż ta, do której się początkowo zgodził, 4. z motywów złośliwości, nie usprawiedliwionych ani zachowaniem się robotnika ani potrzebami zakładu (§ 84). Jeśli w ciągu tygodnia rada nie dojdzie do porozumienia w sprawie wydalenia z pracodawcą, wtedy albo rada albo robotnik może się odwołać, wciągu pięciu dni, do urzędu rozjemczego. Urząd rozjemczy rozstrzyga sprawę, ale jeśli pracodawca mimo to nie chce cofnąć zwolnienia od pracy, wtedy musi odszkodować robotnika w stosunku do przepracowanych lat (§ 87). Widać z tego, że ustawa z jednej strony bierze w opiekę robotnika, ale stara się pogodzić to z prawem pracodawcy do swobodnego przyjmowania i zwalniania od pracy. Nie tyle chodzi tu o ograniczenie samego prawa, ile o usunięcie nadużyć i wprowadzenie pewnych zwyczajów zamiast dowolności.

Jeśli się zestawi projekt Whittey'a z ustawami, to — w ogólnych zarysach — można powiedzieć, projekt Whittey'a daje mniej i więcej. Mówi o »obradach rad środkami uregulowania produkcji«, stądby wynikało, że odaje pod wspólne obrady wszystkie zagadnienia, dotyczące produkcji, jak techniczne, finansowe, handlowe, personalne. W szczegółowych wszakże przepisach ogranicza się raczej tylko do technicznej strony zarządu zakładem i do spraw społecznych. Pośrednio szerokie uprawnienia daje także punkt »o sprawiedliwym podziale zysków, płynących z zwiększonej wydajności pracy«, gdyż pozostaje to w związku z zapoznaniem się z dochodliwością przedsiębiorstwa, jego bilansu, zyskami i stratami. Ustawa niemiecka jest pojęta zwięźlej, ale zato daje wspomniane uprawnienia.

Wszystkie ustawy i projekt Whittey'a zatrzymują prywatnego przemysłowca i przadsiębiorcę. Uznano, że prywatnego przemysłowca niema dzisiaj czem zastąpić; nawet mówca socjalistów niezależnych w mowie parlamentarnej w paźdz. 1919 r. uznał, że Niemcy nie mogą utworzyć socjalistycznej wyspy w morzu starego kapitalizmu. Przemysłowiec jest właścicielem i kierownikiem przedsiębiorstwa, rady robotnicze mają charakter doradczy[1]). Są instytucjami, które, z jednej strony, mają robotnikom ułatwić lepszą znajomość zakładu, w którym

[1]) Ustawa N. wyraźnie zaznacza, że „rady nie mają prawa mieszania się do kierownictwa zakładu przez wydawanie samowolnych rozporządzeń" (§ 69).

pracują, i wtajemniczyć ich w jego sprawy istnienia i działania, a z drugiej strony, mają być dla pracodawcy środkiem porady, zetknięcia się z robotnikami, poznania ich dążeń i, zwłaszcza w projekcie Whittey'a, podniesienia wydajności pracy. Przyjąwszy tę zasadę, trzeba było ustawy tak formułować, aby uprawnienia, przyznane robotnikom zwłaszcza w sprawach gospodarczych, nie poderwały lub nie uniemożliwiły istnienia prywatnego przemysłowca. Czy wpływ robotników z doradczego stanie się bardziej decydującym, czy się rozszerzy na inne sprawy, trudno orzec na pewno, choć trzeba przypuścić tego możliwość.

Ks. Dr. A. Szymański.

Prasa katolicka w dobie dzisiejszej.

Podczas gdy oczy wszystkich zwracają się dziś z trwożnem wyczekiwaniem ku konferencjom w Waszyngtonie, Londynie, Cannes czy Genui, gdzie garść ludzi rozstrzyga o losach całego prawie świata, a państwa, znaczne nawet, z uległością poddają się ich wskazaniom — ogromna większość, ogół niemal, mało sobie uświadamia inną potęgę, która dzierży w ręku losy społeczeństw, potęgę daleko większą, bo określającą już nie zewnętrzne tylko warunki i prawa, ale sięgającą do głębi duszy jednostek i mas.

Z drobnych początków w zaraniu XVII wieku urosła prasa, zwłaszcza w ciągu kilkudziesięciu lat ostatnich do rozmiarów olbrzyma i stała się nie tylko mocarzem finansowym, ale, co ważniejsze — duchowym, który z imperjalizmem, przewyższającym wszelkie zakusy, znane dotychczas w historji świata, usiłuje rozciągnąć władzę swą na całą ziemię. Ona dziś kształtuje serca i urabia opinję, ona wychowuje, staje się środkiem wymiany myśli, łącznikiem krańców świata. Liczą się z nią jednostki, społeczności i narody, potrafi bowiem jednać i waśnić, przyczyniać się do zgody lub nieporozumień, zarówno prywatnych jak międzypaństwowych; pokazało się to najlepiej podczas ostatniej wojny światowej i dlatego odzywały się liczne głosy, które poprawy prasy żądały jako jednego z celów odbudowy porządku powszechnego. Wogóle jest to, według wyrażenia jednego z poważnych pism naukowych, »fenomen kulturalny, należący do tych niewielu, o których można powiedzieć, że nie mają sobie równych w historji«. To też istnieją już gdzieniegdzie osobne ministerja prasy, zajęła się nią wiedza, wytwarzając bogatą literaturę w tym względzie, wykłada się o niej na osobnych katedrach uniwersyteckich w Europie i Ameryce.

Rozporządzając taką siłą, mogłaby ona zreformować, umoralnić, podnieść całe społeczeństwo. Gdyby zgodnie, zwartym frontem zwró-

ciła się przeciw zalewającemu świat złemu, niktby nie zdołał się jej oprzeć.

Niestety wielka prasa światowa zwichnęła, i to bezpowrotnie niemal, swe wzniosłe posłannictwo, sprzeniewierzyła się zadaniu, jakie jej było przeznaczonem — a trucizną jej stała się głównie reklama i pieniądz. Prenumerata sama nie pokrywa nigdy kosztów wydawnictwa dziennika, dochody swe czerpie on głównie z anonsów, ponieważ zaś ilość tychże i wysokość opłaty zawisła od poczytności pisma, przeto wydawca stara się redagować je w ten sposób, aby pozyskać jak największą liczbę czytelników. I w tem właśnie leży główna przyczyna upadku. Zamiast pouczać, wychowywać i kierować masami, starano się przypodobać im; usuwano więc kwestje poważniejsze, unikano wszystkiego, co krępuje lub strofuje, a natomiast rozpoczęto zamieszczać rzeczy lekkie, zasypano dziennik drobiazgami, efemerycznemi nowościami, tworząc w ten sposób zespół treści błyskotliwej lecz płytkiej, która nie mogła dać łaknącemu duchowi żadnej pożywniejszej strawy.

I gdyby tylko na tem się skończyło, byłoby to już zaprzedaniem wzniosłej misji kulturalnej, jaka na prasie ciąży.

Lecz dzieje się gorzej jeszcze. Powodując się chęcią zysku, oddano dział reklamy wszystkim, którzy uiścili żądaną sumę, a więc także na anonsowanie niemoralnych przedstawień, na propagandę literatury, instytucyj i środków, służącym najniższym instynktom, na wyzyskiwanie łatwowiernych, a ponieważ za ogłoszenia te płacono lepiej, więc dostały się one na naczelne miejsca, wyprzedzając niejednokrotnie redakcyjną część dziennika. Zanim czytelnik dotarł do poważniejszej treści, już zaznajomił się z brudem wszelkiego rodzaju, ociekającym z przedsiębiorstw, gotowych zatopić jego ducha w odmętach zgnilizny, byle napełnić kieszeń właściciela. Zaraza działała naturalnie coraz dalej. W dziale redakcyjnym zaczęto powoli przesadzać się w sensacyjnem odmalowywaniu zbrodni i przestępstw wszelkiej kategorji, silono się na dramatyczne przedstawienie tragedyj miłosnych i małżeńskich, z jakiemś dzikiem upodobaniem kreślono opisy ich procesów, doszło do takiego upadku, że, jak się skarżył niedawno jeden francuski publicysta, w dziennikach obecnych znajduje się »zamiast Foch'a, Mercier'a... 10 Bolo pasza i 20 Landru«.

I cóż dziwnego, że poziom moralny publiczności, karmionej takiemi ochłapami, musi powoli zejść na niziny, że zatraca się poczucie uczciwości, nie widzi już w zbrodni złego, ale szuka się efektów jak w teatrze, że na zgrozą przejmujących procesach Landru w Paryżu

zbierały się elegancko wystrojone panie i z uśmiechem zajadały pomadki. „Zatraciliśmy — pisze jeden uczony niemiecki — poprostu wszelki zmysł do tego, co naprawdę jest wielkiem", a stoczyliśmy się w bagno.

Czyż nie zauważyliśmy już podobnych objawów w naszej polskiej prasie? Czy i tu nie spotykamy w niektórych dziennikach podobnej reklamy, i podczas gdy o ludziach naprawdę wielkich duchem, filarach moralnych społeczeństwa, milczy się lub wspomina mimochodem, to przeciwnie umieszcza się podobizny zbrodniarzy, podaje życiorysy, rozpisuje o ich występkach w sposób, z którego widać, że autor nie myśli nawet o moralnej stronie złego, lecz sili się na to, by porywającem przedstawieniem zaciekawić publiczność i podrażnić jej nerwy.

Na taki widok mimowoli wyrywa się pytanie: kto temu winien? Dziennik czy społeczeństwo? — Jedni zwalają całą winę na pismo, inni powiadają przeciwnie, zdaje mi się jednak, że można z całą pewnością stwierdzić, że obie strony zawiniły.

Dziennik jest zwierciadłem czasu i stanu moralnego społeczeństwa, które go czyta, jest organem, w którym ono wypowiada się szczerze ze swych upodobań i pragnień. Gdyby więc czytelnicy zażądali od redakcji zmiany treści, usunięcia tego, co niskie i zbrodnicze, zastosowanoby się niezawodnie do ich życzeń, leżałoby to bowiem w interesie dziennika; lecz ponieważ reakcji tej brak, cisza i milczenie dokoła, owszem wielu domaga się bardziej jeszcze pikantnych rzeczy, więc też usłużny wydawca dobiera takich współpracowników i takiem śmieciem zapycha łamy swego pisma, któreby odpowiedziało smakowi niewybrednych klientów. To też trzeba mieć tyle odwagi, by spojrzeć prawdzie śmiało w oczy i przyznać się otwarcie, że jeżeli istnieje zła prasa — to główną winę ponoszą jej abonenci i czytelnicy.

Lecz i dziennik winien, a więc właściciel i cała redakcja. I jest to nie tylko współwina z czytelnikami, ale rozmyślne szerzenie fałszu i brudu wśród mnóstwa ludzi dobrych, którzy nie podzielają wcale złych przekonań pisma, ale biorąc je częściej do ręki, stopniowo, mimowoli i nieświadomie przejmują się jego duchem. W ten sposób ukryta trucizna działa zwolna ale skutecznie, szczególnie wśród młodzieży i warstw mniej oświeconych. Zwłaszcza te ostatnie, niezdolne do krytycznego sądu i nieznające tajemnic sztuki dziennikarskiej, idą jak muchy na lep; nie zawsze uczciwi ich kierownicy wyzyskują często to nieuświadomienie i narzucają się na przywódców, pacząc tylko cha-

raktery, wywołując zamieszanie w głowach i sumieniach, tak że biedni, obałamuceni ci ludzie sami potem nie wiedzą, czem są, okazują się innymi w domu, niż na publicznem zebraniu, mają podwójne sumienie: jedno dla obcych, drugie dla siebie.

Co smutniejsze, ujemny ten stan nie otrzeźwił bynajmniej ogółu i prasa zła cieszy się przeciętnie coraz większem powodzeniem. Nie mając żadnych zasad, żadnej prawdy bezwzględnej, stosując się do wymagań chwili, walczy ona ironją i sarkazmem, dowcipnie i lekko przeskakuje najważniejsze problemy, ostrzem ciętej choć nierozumnej krytyki przecina najgłębsze trudności, a elegancką formą i barwnym stylem fascynuje czytelnika, przykuwając go nie tylko do kawałka zadrukowanego papieru, jaki trzyma w ręce, ale także do myśli i tendencyj w nim zawartych. Dzięki temu prasa dzisiejsza stała się rajem dla wszelkich przewrotowców, zarówno w dziedzinie politycznej, jak duchowej, na polu moralności i wiary. Mniej lub więcej zręcznie zaszczepia się bakcyle chorobotwórcze, dopóki organizm nie stanie się podatnym na ich zabójcze działanie i nie ulegnie zarazie. Nie mówiąc już o istnym chaosie na terenie obyczajności, czy można dać jaskrawszy przykład nad fakt, że w niektórych naszych pismach, rozchodzących się wśród czytelników katolickich, prowadzi się dość otwartą walkę z „Rzymem", jako wrogiem Polski. Katolik amerykański, niemiecki, angielski, francuski chwyciłby się za głowę i zawołał: „Toż wy nie jesteście katolikami, skoro takie rzeczy możecie pisać i czytać!". Wykształceńszy odezwałby się: »To jacyś analfabeci na punkcie wiary!« Ale nasi poczciwi »katolicy« — nasi katolicy w cudzysłowie — przyjmują to z całym spokojem i gotowi nawet modlić się do Boga, by tę plagę rzymską już raz wygnał z powierzchni ziemi.

Wobec takiej potęgi i na widok spustoszeń, poczynionych przez zwyrodniałe jej czynniki, nie mógł jednak milczeć i pozostać bezczynnym Kościół, owa najwyższa, boska instytucja, stojąca zawsze na straży największych skarbów ludzkości, moralności i wiary. Postanowił więc ująć ją w swe ręce i uczynić z niej środek do dźwignięcia ludzi, ratowania jednych, wzmacniania drugich. Postanowił i przystąpił do dzieła.

Już Leon XIII w liście, skierowanym do prezesa hiszpańskiego dzieła »Apostolatu prasy«, z d. 15 maja 1893 r., pisał: »Jest rzeczą niezmiernie potrzebną i bardzo zbawienną, aby katolicy obudzili się wreszcie i skupiając swe siły, użyli w obronie prawdy tej samej broni,

jaką posługują się przeciwnicy do jej zwalczania«. Bardziej jeszcze zajął się tą sprawą następca jego Pius X. W rozmowie z pewnym dziennikarzem powiedział on: »Moi poprzednicy błogosławili miecze i broń chrześcijańskich wojowników, ja wolę raczej modlić się o błogosławieństwo dla pióra chrześcijańskiego dziennikarza«. Przy innej zaś okazji wyraził się: »Ciągle jeszcze nie docenia się znaczenia prasy. Ani wierni, ani duchowieństwo nie zajmują się nią tak, jakby właściwie należało... Naprożno będziecie budowali kościoły, urządzali misje, zakładali szkoły, wszystkie wasze dobre dzieła obrócą się wniwecz, wszystkie wysiłki będą daremne, jeżeli równocześnie nie będziecie umieli posługiwać się odporną i zaczepną bronią chrześcijańskiej prasy«.

I wezwanie to nie pozostało bez skutku. Na głos biskupów stawiło się we wszystkich częściach świata duchowieństwo i dzielni katolicy świeccy, wszczął się żywszy ruch w krajach, które już dotąd posiadały silną prasę katolicką, jak Belgja, Francja, Hiszpanja, Niemcy, Włochy, w innych zaś przystąpiono do wzmocnienia lub zapoczątkowania akcji. Dzięki temu podniosła się po upadku bolszewizmu niesłychanie prasa na Węgrzech, protestancka przeważnie Holandja posiada dziś 26 dzienników i 210 innych czasopism katolickich, znaczny postęp daje się zauważyć w Anglji i Szwajcarji, Bułgarja nawet zaczyna myśleć o założeniu własnego pisma.

Coś podobnego zauważyliśmy także poza Europą. W Porto-Rico powstaje w r. 1921 pierwszy dziennik katolicki *El Provenir*, który się bardzo rozchodzi; w poł. Afryce założono w tymże czasie dobrą gazetę katolicką *Southern Cross*, podczas gdy dotychczas katolicy tamtejsi mieli jedynie miesięcznik *The Catholic Magazine;* Kanada ma szereg dzienników katolickich, z których jeden należy do najpoczytniejszych w kraju i ma największą liczbę abonentów. W Japonji założono w r. 1916 pierwszy tygodnik katolicki, wykluczający politykę ze swego programu, który utrzymał się całą wojnę i zyskał sobie wielkie uznanie; do tego czasu były tam jedynie trzy miesięczniki, wydawane przez misjonarzy paryskich. Z największem powodzeniem rozwija się akcja prasowa w Stanach Zjedn. Am. Pn., za przykład zaś może posłużyć *The Daily American Tribune;* założona w r. 1899 jako tygodnik, zaczyna w r. 1915 ukazywać się dwa, a w 1919 już trzy razy w tygodniu i wreszcie od lipca 1920 r. staje się dziennikiem.

Te kilka przykładów to słaby tylko obraz energji, z jaką katolicy świata pracują obecnie dla dzieła swej prasy. Nie mogło zresztą być

inaczej, bo gdziekolwiek ludzie uświadomieni a dzielni zrozumieli rolę dziennikarstwa w dobie dzisiejszej, tam musiało się obudzić głębokie poczucie obowiązku, dyktujące bezwzględny nakaz zwrócenia się czynnego w tym kierunku i nie szczędzenia żadnych wysiłków. Przecież »tu chodzi faktycznie o egzystencję — wołał na diecezjalnym zjeździe w Wiedniu dr. Funder, redaktor *Reichspost* — walka o istnienie prasy chrześcijańskiej jest walką o istnienie chrześcijaństwa wśród narodu«. »W okresie walki — pisze O. Sinthern — w której chodzi właściwie o wszystko, co stanowi prawdziwą godność człowieka, w której wiara i moralność... są zagrożone, kiedy według miarodajnego wyrażenia papieża Piusa X, dobra prasa jest jeszcze bardziej potrzebną niż sprawianie przyborów kościelnych i budowanie kościołów, w takim czasie musi posunięte do ostatnich granic wspieranie prasy katolickiej, która dźwiga na sobie lwią część ciężarów tej walki olbrzymów, wystąpić jako jasny, nieodparty o b o w i ą z e k s u m i e n i a".

To też na czele takiego dzieła nie wahał się stanąć sam papież. Uznając nieocenione wprost znaczenie prasy, jako chleba codziennego dla miljonów, których umysł i charakter od niej w wielkiej części zawisły, jako prawdziwego dzieła misyjnego dla obrony i rozszerzenia wiary katolickiej, błogosławił Pius X, a po nim Benedykt XV każdemu nowo powstającemu dziełu dobrej prasy, w nadziei, że przyczyni się ono niemało do »odrodzenia wszystkiego w Chrystusie«.

Aby móc osiągnąć tak wzniosły cel, musi jednak prasa katolicka być o d p o w i e d n i o r e d a g o w a n ą c o d o t r e ś c i i d u c h a, musi być katolicką. Z tym punktem przechodzimy do najważniejszej, zasadniczej kwestji w jej organizacji.

Nie mamy wcale zamiaru kreślić planu nowego dziennika — na szczęście posiadamy w Polsce wiele pism, które noszą sztandar katolicyzmu i pragną pod nim pozostać. Ponieważ jednak doświadczenie pokazuje wymownie, jak trudno jest nieraz przeprowadzić dobre te chęci, a tymczasem błędy prasy stają się zgubne nie tylko dla niej, ale dla całej prasy katolickiej, dlatego uważamy za rzecz wielkiej wagi, by wesprzeć w tym względzie usiłowania ludzi dobrej woli, tem bardziej, że możemy tu korzystać z bogatej szkoły doświadczenia, zebranego przez zagraniczną prasę katolicką. Wglądnięcie zatem w niektóre postulaty i podanie wskaźników, któreby mogły przyczynić się do usunięcia błędów i dać normę do krytycznego sądu o prasie, chcącej być katolicką — oto główny cel poniżej zamieszczonych uwag.

Niektórzy wyobrażają sobie, że dziennik katolicki musi tak wyglądać jak nudne kazanie, w którem niema nic zajmującego, z którego niewiele się dowie i gdzie z każdego kąta wyziera *memento mori*- gdzie do każdej wiadomości przyczepiony jest jakiś morał, a jako, uniwersalne lekarstwo na wszystko podana jest tylko modlitwa i cierpliwe poddanie się. Zapewne, przesadziłem trochę, człowieka bowiem tak ograniczonego, między inteligencją przynajmniej nie będzie, ale faktem jest, że w mniejszym stopniu wszystkie te obawy rodzą się w strwożonej duszy niejednego czytelnika, biorącego do ręki numer »katolickiego« pisma. U innych obudzi się znowu instynktowny lęk przed ultramontanizmem, inkwizycją, średniowieczyzną, radykalnym tonem zbyt wysoko nastrojonej polemiki, lub wreszcie brakiem głębszej treści.

Nie chcę zgóry ryczałtem potępiać czy wyśmiewać wszystkie te skargi. Przyznaję, że niektóre z nich bywają tu lub tam usprawiedliwione. Z tem wszystkiem nie mam też zamiaru wdawać się w analizę zachodzących u nas braków, ani rozprawiać się z żadnem z istniejących pism. Zadaniem mojem jest tylko podać postulaty, jaką p o w i n n a być prasa katolicka pod względem treści i sposobu pisania.

Przedewszystkiem podstawowa prawda. Nie wolno zapominać, że katolicyzm nie ogranicza się do pacierza i kościoła, ale obejmuje całokształt życia, które stara się uczynić zgodnem z wolą Bożą na każdem polu. Wzięty w tem świetle, nie wyklucza on więc żadnego objawu życiowego, podciąga wszystko pod swój mianownik, uznaje każde pragnienie, związane z tą naturą człowieka, stara się tylko utrzymać je w ramach zgodnych z naturą, owszem uszlachetnić, uświęcić. Prasa katolicka nie będzie więc ograniczoną do pewnego tylko rodzaju tematów, owszem do niej należy w s z y s t k o b e z w y j ą t k u — wiadomości z kraju i całego świata, kwestje duchowe i materjalne, społeczne i ekonomiczne, owszem zło nawet, bo jak wyraził się pewien publicysta amerykański: pismo jest zwierciadłem stanu moralnego społeczeństwa, jest »otwartym konfesjonałem«, a zatem przyznanie się do winy jest w niem potrzebnem, gdyż bez tego niema mowy o poprawie; gdyby dzienniki chciały przemilczać istniejące zbrodnie i zło, wtedy ludzie drwiliby z nich i mówili: »świat nie jest tak cnotliwy, jak tu napisano;« skoro świat jest zły, to jego zwierciadło nie może odbijać samych cnót, tem bardziej, że ukrywanie złego nie uleczy go; kuracja idzie lepiej, gdy się zna dobrze chorobę, a odkrywanie ujemnych stron prowadzi właśnie do usuwania tychże.

A więc zakres treści pozostaje bez ograniczenia, pisać można o wszystkiem, byle z dobrą tendencją i w odpowiedni sposób.

Oczywiście wychowawczemu charakterowi prasy odpowiadają najlepiej artykuły, które rozwijają obszerniej główne bieżące zagadnienia, stawiają jasno zasady, których się trzymać należy, przedstawiają całą rzecz w świetle prawdy i zdrowego poglądu na świat i podają wkońcu odpowiedni program postępowania, zgodny ze sumieniem katolika. Artykuły takie są pierwszorzędnego znaczenia, ponieważ one wskazują tysiącom, gdzie prawda i dobro, i formują jednolity front akcji katolickiej. To też centralne biura prasy katolickiej zagranicznej zapraszają najwybitniejsze siły do układania artykułów wstępnych, które rozsyłają następnie gotowe do redakcyj pism, pozostających z niemi w związku. Interesa Kościoła i narodu, których sztandar powinno trzymać wysoko każde pismo katolickie, zagadnienia polityczne, społeczne, szkolne i wychowawcze — oto materjał główny, którego nie braknie nigdy.

Inne ustępy dłuższe mogą poruszać problemy szerszej natury i albo w formie więcej wykładowej służyć kulturze ducha i rozszerzeniu umysłowego horyzontu czytelników, albo jako powieści czy nowele dostarczać miłej rozrywki, by środkiem tym prostym, a jednak tak potężnym krzewić poczucie i umiłowanie prawdziwego piękna. Zadanie ich będzie tem ważniejsze, im więcej moralnej zgnilizny, lub w każdym razie poniżenia godności ludzkiej, płynie dziś tem korytem, bądź w książkach, bądź na szpaltach wszelakich pism. Dodajmy odrazu przy tej sposobności, że wzgląd na piękno powinien też wpłynąć na pisma katolickie, aby starały się już samym zewnętrznym wyglądem zachęcać do czytania i w tym celu dbały o dobry papier, druk i gustowne ilustracje.

A teraz „nowości“ — a więc kroniki, telegramy, ostatnie doniesienia itp., stanowiące dla pewnej grupy najważniejszą część dziennika. W jakim stosunku mają one pozostawać do wyżej wzmiankowanej treści? Czy pozostawić je w proporcji, zachowanej przeciętnie przez poważną prasę, czy też zredukować do minimum zarówno co do ilości, jak zakresu wiadomości? — Oto nieco dręczące pytanie, które sporo już wywołało dyskusyj.

Pomijając konkretną odpowiedź, jaką w praktyce daje niemożność zapełnienia dziennika poważnym materjałem, zdaje mi się, że należy liczyć się koniecznie z upodobaniami czytelników, a każdy przyzna, że i najlepsi katolicy pragną jednak wiedzieć, co się dzieje w kraju i w szerokim świecie; uszczuplenie zatem tego działu musiałoby się

odbić ujemnie na liczbie abonentów. Nie małej również wagi jest okoliczność, że ludzi prostszych lub zbyt zajętych nie stać na zagłębianie się w rozprawach, inteligencja zaś ma zawsze do dyspozycji książki, a w dzienniku szuka raczej rzeczy aktualnych. Wreszcie dodajmy — co najważniejsze — że dział informacyjny może się stać także wielką szkołą charakterów i podporą wiary, jeżeli tylko będzie umiejętnie redagowany. Co do tego należy?

Przedewszystkiem: p r a w d a. — Podobnie jak wychowawca, który dla ominięcia pewnych trudniejszych czy drażliwych kwestyj posługuje się kłamstwem, chybia tylko celu, bo podkopuje zaufanie dziecka do siebie, a tem samem traci najważniejszą podstawę do porozumienia i wywierania wpływu na jego duszę, tak prasa, karmiąca czytelników wiadomościami fałszywemi, musi stracić u nich kredyt i zrezygnować w znacznej części z możności oddziaływania na umysły i serca. Stare ale wiecznie na nowo odmładzające się »kaczki dziennikarskie« sprawiły, że wielu zgóry sceptycznie przyjmuje głoszone wieści i wzrusza lekceważąco ramionami, czekając dopiero na ich stwierdzenie. I gdyby przynajmniej odwoływano pomyłki; lecz niestety dzieje się to rzadko, owszem niektóre pisma rozsiewają umyślnie nieprawdziwe wiadomości, inne zaś nie stawiają sobie wprawdzie podobnego celu, ale mają tak wytarte czoło, że bez zarumienienia się chwytają pierwszą lepszą pogłoskę i uzupełniają same resztę, skoro za tę cenę mogą wywołać sensację.

Oczywiście takie postępowanie byłoby w najwyższym stopniu niezgodne ze stanowiskiem prasy katolickiej; wiadomości, podawane przez nią, muszą być dokładnie sprawdzone i cieszyć się takiem zaufaniem ogółu, żeby nawet niewierzący chętnie brał do ręki jej organ, licząc na to, że w nim przynajmniej dowie się prawdy. Centralne katolickie biura prasowe zagranicą poddają dlatego nowo otrzymane telegramy ścisłej kontroli i dopiero potem przesyłają je do poszczególnych redakcyj, które nie mniej ostrożnie przyjmują i zamieszczają lokalne doniesienia.

Czujność taka jest tem bardziej wskazana, że tu chodzi nie tylko o zawód uczyniony czytelnikowi, ale bardzo często o dobre imię jednostek, którem prasa dzisiejsza zbyt lekko szafuje, a nawet o całe n a r o d y. Wszak doświadczyliśmy tego, kiedy żydowska prasa rozsiewała po świecie fałszywe wieści o Polsce, podkopując sławę i żywotne interesy naszej ojczyzny. Prawda, że i w niektórych pismach katolickich dawał się zauważyć podobny ton, lecz wtedy wina leżała zwykle

po naszej stronie, gdyż zaniedbaliśmy troskę o informowanie obcej prasy, albo też jedno stronnictwo w zacietrzewieniu partyjnem rozsyłało ujemne wieści o drugiem, nie bacząc, że na tem cierpi dobro całego narodu.

Jeszcze donioślejszą wagę ma informacyjny dział dziennikarski dla nas, jako katolików. Wiadomo, że prasa żydowska i liberalna, a protestancka często tam, gdzie czuje się na siłach, uprawia stale nagonkę na Kościół, posługując się przytem bronią kłamstw i oszczerstw, miotanych na jego przedstawicieli. Napaści te trzeba odpierać, błędy prostować, fałszywym hasłom przeciwstawić prawdziwe — co możliwem jest jedynie, gdy się ma do rozporządzenia dziennik katolicki. I choćby nawet obeszło się bez jakichkolwiek inwektyw, jednak już samo przemilczanie wydarzeń i rozporządzeń kościelnych, zbywanie ich pobieżne lub przedstawianie w niewłaściwem świetle jest szkodą niemałą, której zapobiec trzeba koniecznie. Wzajemne porozumienie i informowanie się o losie Kościoła, o akcji katolickiej u siebie i w świecie, jest nie tylko pożądane ale niezbędne dla utrzymania jedności i podniesienia ducha. Słusznie nadto podniósł na ostatnim generalnym zjeździe katolików niemieckich we Frankfurcie dr. Józef Eberle, autor znanej książki o prasie, że przemówienie i listy papieża i biskupów są nie mniej ważne od mów parlamentarnych lub okolicznościowych, że czyny misjonarzy i duchowieństwa nie mniej są wielkie od czynów innych ludzi, że żywoty Świętych nie mniej znaczą niż życiorysy ludzi nauki lub mężów stanu. Dodajmy wreszcie, że pomiędzy tymi, którzy są niekatolikami, jest wielu ludzi najlepszej woli, obałamuconych tylko błędnemi pismami; gdyby przekonali się o żywotności Kościoła, jego trosce o duszę i ciało, zmieniliby niezawodnie swe zdanie, odnosili się do katolicyzmu z szacunkiem i przechodzili do niego, jak się to dziś dzieje zwłaszcza w Anglji.

Podawać prawdę, to warunek pierwszy i konieczny, ale sam jeszcze nie wystarczający. Prasa katolicka musi być przejęta duchem katolickim, a ten powinien się objawiać w jasnem zdeklarowanem jej stanowisku oraz sposobie pisania.

Dziennik katolicki nie może przybierać miny lękliwego chłopczyka, który bojaźliwie wymija wszystkich, by komu nie stanąć w drodze. Nie może przemilczać nasuwających się trudności, aby się przypadkiem komu nie narazić, ani umizgać się grzecznie, nieśmiało do wszystkich po trosze — ale musi stanąć na stanowisku męskiem, odważnem i jasnem, wiedzieć czego chce i wypowiadać to otwarcie. Nie tylko

od początku do końca nie może się w nim znajdować nic, coby było niezgodne z nauką Kościoła i raziło sumienie katolika, ale przekonania swe powinien przedkładać z tem poczuciem pewności i siły, jakie mu daje posiadanie prawdy i życia. „Brak pewnej tendencji, to brak charakteru — pisał w tej sprawie niedawno jeden publicysta szwajcarski — a tendencją dla prasy katolickiej może być jedynie to, co wskazał Pius X: wszystko odnowić w Chrystusie!"

W związku z tem stajemy wszakże przed jednym z najtrudniejszych w praktyce problemów, mianowicie sposobu p o l e m i k i z przeciwnikami.

Zasada wprawdzie jest jasna: potępiać zło, a nie potępiać ludzi. Jak w życiu codziennem dobry katolik musi wytknąć i zganić zło, ale strzeże się wydawania sądu o bliźnim, pozostawiając to Bogu, jedynemu znawcy serca ludzkiego, tak prasa katolicka śledzić powinna wszelkie objawy ujemne, przestrzegać przed niemi i piętnować stanowczo, lecz ile możności oszczędzać ludzi, chyba że przewrotność ich jest zbyt widoczną a szkodliwość znaczną. Wtedy bowiem należy wymienić osobę i wskazać, w czem zawiniła, a nie wolno okrywać zasłoną milczenia jej zgubnej działalności dlatego, że odznaczyła się na innem polu albo obchodzi jubileusz — jak to obserwowaliśmy w prasie naszej niejednokrotnie w czasach ostatnich.

Zastosowanie tej prostej zasady napotyka jednak w praktyce na niemałe trudności. Trzeba wielkiego zrozumienia rzeczy, taktu i wzniesienia się ponad przeciętny poziom, aby pójść zawsze właściwą drogą i znaleźć stosowną miarę. Brak tej umiejętności sprawia, że raz stronniczość, kiedyindziej zaś niewłaściwy sposób i ton psują całą sprawę.

Występowanie przeciw prawdziwemu czy domniemanemu złemu przybiera często postać polemiki, która wykracza daleko poza granice słuszności, przechodzi w ramy walk partyjnych lub osobistych obrachunków, prowadzonych nie rzadko w tonie dość nieodpowiednim. W uniesieniu „szlachetnego oburzenia" napada się wtedy na ludzi zasłużonych i w sumieniu niewinnych, miesza się ich z błotem, odsądza od honoru i polskości, podczas gdy równocześnie dla różnych względów i względzików milczy lub delikatnie tylko przez rękawiczki wskazuje na braki ze strony innych, pomimo że te „drobiazgi" zatruwają dusze, degenerują młodzież i wyrządzają narodowi nieobliczalne szkody.

Oczywiście metoda taka jest zupełnie chybiona. Niezdrowa pobłażliwość względem swoich pupilów nadaje złemu pozory legalności, zaciera jego pojęcie, wyrabia fałszywe mniemanie, jakoby u pewnych

osób lub w danych warunkach było ono dozwolone. Zbyt ostre zaś traktowanie strony przeciwnej nie zamknie jej ust i nie skłoni do spokojnej odpowiedzi, lecz wywoła tem gwałtowniejszą reakcję, a u swoich obudzi niesmak i słuszne podejrzenie zakulisowych motywów i interesów.

Zbyt agresywny i niewłaściwy ton szkodził też zawsze katolickiej prasie. Raził wszystkich, a u wielu budził fałszywą opinję, jakoby akcja katolicka nie mogła być pokojową, ale musiała zawsze łączyć się z krzykiem i napaścią. Gdzie jest ów duch Chrystusowy? — pytają, i pytają słusznie. Walka ze złem być musi i musi być wytrwała, niezłomna, ale przytem niech będzie spokojna, przedmiotowa, połączona z życzliwością dla drugiej strony; mówiąc, co trzeba o rzeczy, niech odda osobie przeciwnika, co się jej należy i nie tylko będzie sprawiedliwą, ale okaże mu miłość i szczere staranie, by go przekonać i pozyskać, a nie poniżyć i zdeptać.

Obok pouczających a gorzko nieraz okupionych doświadczeń, jakie w tym względzie poczyniła prasa katolicka zagranicą, wypowiedział tę myśl sam Benedykt XV w encyklice »Pacem Dei munus« z d. 23 maja 1920 r. (Acta Ap. Sedis 1. VI. 1920, str. 214). Zachę cając do pokoju wskazuje papież pomiędzy innemi środkami także na prasę: »Należy zachęcić i usilnie prosić katolickich pisarzy i dziennikarzy, by jako »wybrani Boży, święci i umiłowani«, przyoblekli się w dobroć i miłosierdzie, i uwydatniali je w słowie drukowanem, nie tylko powstrzymując się od fałszywych i próżnych oskarżeń, lecz także od obelg i słów ostrych, które jak z jednej strony przeciwne są prawu chrześcijańskiemu, tak z drugiej rozjątrzyć mogą niedobrze jeszcze zagojone blizny«.

Złote prawdziwie słowa, jeżeli dla kogo, to dla nas, którzy rozerwani na stronnictwa prowadzimy na łamach dzienników niekiedy walki, jakie w życiu prywatnem możnaby porównać z ulicznemi tylko. Plaga ta jest też narazie poważną przeszkodą do założenia u nas prasy katolickiej w większym stylu. Gdzie bowiem w kraju istnieje jedna partja o charakterze zdecydowanie katolickim, tam można interesa jej identyfikować z interesami Kościoła; ale gdzie, jak u nas, istnieje więcej stronnictw, z których każde powołuje się na katolicyzm, uznawany rzeczywiście przez większość lub prawie ogół jego członków, tam trudno byłoby ustrzec się przed zagarnięciem pisma przez silniejszą organizację, co wciągnęłoby je zaraz w wir walk politycznych i przekreśliło jego charakter katolicki. Dlatego przyłączamy się raczej do zda-

nia tych, którzy sądzą, że czas na stworzenie wielkiego katolickiego dziennika u nas jeszcze nie nadszedł i radzą, by ograniczyć się narazie do czegoś skromniejszego, np. do założenia poważnego tygodnika, a przedewszystkiem do popierania tych wydawnictw, które już istnieją, a niedość są znane w kraju.

Skoro zaś nadejdzie właściwa chwila i istniejący plan założenia wielkiego dziennika katolickiego będzie miał zostać zrealizowanym, powitamy go z radością ale zarazem podkreślamy stanowczo, że dzieło to, za wzorem praktykowanym wszędzie zagranicą, powinien ująć w swe ręce episkopat polski w związku z osobami świeckiemi. Dopiero wtedy bowiem pismo będzie mogło liczyć na wszechstronne a stałe poparcie, dopiero wtedy cieszyć się będzie powagą i zaufaniem ogółu katolików i będzie mogło spełnić szczytną misję — służby Bogu i ojczyźnie. Że socjalistyczno-żydowska i liberalna prasa uderzy wtedy na alarm, krzyczeć będzie w niebogłosy i wywijać na wszystkie strony straszakiem „Rzymu", na to możemy zgóry być przygotowani, lecz nikt się temu nie zdziwi, w ustach ich zwolenników będzie to zupełnie naturalny okrzyk trwogi. Ale dobry Polak-katolik poprze tę rzecz całą siłą, bo rozumie, że nie można mówić o prasie katolickiej, któraby nie pozostawała w najściślejszej łączności z pasterzami Kościoła.

Jak prasie katolickiej zapewnić byt materjalny i stworzyć odpowiednią organizację prasową, o tem, na podstawie zagranicznych doświadczeń, pomówimy kiedyindziej.

Ks. Stanisław Podoleński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Pierre de la Gorce: Histoire de la Révolution française. Paris, Plon-Nourrit. Tom I, wyd. 14, str. 515; tom II, wyd. 12, str. 538 z 3 mapami; tom III, wyd. 3, str. 598; tom IV, wyd. 1, str. 379.

Zapewne wśród poważnych publikacyj naukowych nie wiele napotka się takich, których tomy początkowe wychodzą w dziesiątem czy czternastem wydaniu, gdy całość pracy nie dobiegła jeszcze do końca. Kilkanaście wydań wielkiego dzieła historycznego — to nawet na stosunki francuskie jest fakt nader wymowny i świadczący o niepospolitej wartości dzieła. Takim fenomenem wydawniczym jest dzieło, którego tytuł wypisaliśmy powyżej. Jednocześnie, w r. 1921, wyszedł w pierwszem wydaniu tom czwarty, a w czternastem tom pierwszy.

Autor siedmiotomowej »Historji Drugiego Cesarstwa«, nagrodzonej przez Akademję francuską, członek tejże Akademji, Pierre de la Gorce, postanowił wszechstronnie oświetlić religijną stronę Wielkiej Rewolucji i nad tym tematem pracuje już lat kilkanaście. Dotąd dał nauce tomów cztery; tom piąty ostatni, przygotowuje do druku.

Zaraz na wstępie trzeba zaznaczyć, że autor posiada w najwyższym stopniu kwalifikacje, potrzebne do takiego studjum. Obok powagi i scisłości uczonego, które gwarantuje Akademja francuska, posiada on inny przymiot, niezbędny do badania religijnej strony rewolucji: jest on nawskróś wierzącym człowiekiem, przywiązanym mocno do Kościoła, ale wierzącym wiarą światłą i przywiązanym przywiązaniem, które nie zasłania mu wzroku na rzeczywiste braki w Kościele. Te dane pozwalają mu zwrócić w rewolucji uwagę na ciemne jej strony, które bezwzględni chwalcy jej »zdobyczy« zwykli ukrywać przed oczami potomnych, retuszując przynajmniej ich grozę i ohydę, z drugiej strony, dzięki tym danym osobistym, umie on uniknąć sztucznego i naiwnego patosu czy oburzania się, natomiast potrafi dostrzec dodatnie cechy u największych wrogów wiary i ocenić zasługi, jeśli jakie rzeczywiście położyli.

Idąc za przykładem Taine'a, de la Gorce maluje najpierw podłoże wypadków i atmosferę, wśród której wybuchła rewolucja. Więc przedstawia stan Kościoła »uprzywilejowanego« za ancien régime'u,

Kościoła błyszczącego, bogatego, ale rozdwojonego niejako wewnątrz. Z jednej strony widzimy bogate biskupstwa i opactwa, robiące niemało dla biednych, ale pożyteczniejsze bez porównania dla samych ich posiadaczy, z których też wielu oddala się od ludu, oddaje się dworactwu, niemało flirtowi z »filozofją« i masonerją; z drugiej strony kler niższy, zazdrosnem okiem patrzący na przywileje infułatów, naiwnie wierzący w dobre zamiary narzucających mu się na opiekunów — zwolenników radykalnych reform, przewrotu. Z jednej strony kraj cały zdaje się jakoby był nacechowany stampilą religji i kościelności: uroczyste obchody, święta, procesje, — z drugiej strony rak sceptycyzmu toczy już umysły, przygotowuje zanik wiary. Dokonuje się to wszystko w ciszy głębokiej, jaka zwykle poprzedza szalone burze.

Dla naprawy monarchji, zwłaszcza upadających jej finansów zbierają się Stany Generalne: kler wyższy i niższy stanowi stan pierwszy, obok szlachty i burżuazji, stanu drugiego i trzeciego, obradujących osobno. Lecz stan duchowny zdradza wewnętrzny rozłam: większość kleru niższego dała się chwycić na demokratyczne hasła i przyłącza się do stanu trzeciego, dając początek Rewolucji i Zgromadzeniu Konstytuanty. Obok pobudki zbliżenia się do ludu gra tu rolę nadzieja zrównania przywilejów w Kościele i poprawy materjalnego bytu niższego kleru na koszt bogatych beneficjów. Zrównanie przychodzi, ale nie po myśli naiwnych curés: odjęto wszelkie przywileje wprost Kościołowi, obdarto go z mienia, kler wyższy i niższy wciśnięto w szeregi urzędników państwa. Trzeba jednak dalej »robić dobrą minę« i prześcigać się z innymi w »patrjotycznych« deklamacjach, — i oto przy udziale pewnej części duchowieństwa przechodzi »konstytucja cywilna kleru«, w istocie swej schizmatycka, zrodzona w głowach uczniów Russa; pobożny, ale nieszczęśliwy i chwiejny król zatwierdza ją, choć Rzym protestuje; skrupuły Ludwika XVI uspokajają słabi biskupi, chcący uratować resztki znaczenia Kościoła za cenę najdalszych ustępstw. Głos sumienia wszakże odezwie się w królu z podwójną siłą, gdy przedstawią do jego sankcji ustawy o drakońskich karach na kler, wierny Kościołowi. Odmowa sankcji kosztować go będzie koroną i życie: Ludwik XVI to przedewszystkiem męczennik spóźnionej nieco wierności zasadom Kościoła; Rewolucja w głębi swej istoty to rewolucja sumień, to bunt przeciw Kościołowi i wierze.

»Konstytucja cywilna kleru« rozbiła Kościół francuski: prawie wszyscy biskupi, wierni swemu sumieniu, poszli na emigrację, za nimi większa część kleru; na ich miejsca wcisnęli się »wybrani przez lud« intruzi; przysięgę złożyła niższa wartościowo część księży, — powstał »kościół narodowy«, schizmatycki. Autor nie ukrywa, że i w tym kościele trafiała się prawdziwa pobożność, gorliwość, ale wszystko to zakute w pancerz państwowości, musiało iść pod komendę rewolucji... aż do pochwalenia królobójstwa, aż do składania przysięgi »nienawiści« do władzy królewskiej, co więcej aż do negacji chrystjanizmu i »zwracania«

władzy duchownej i święceń kapłańskich w ręce rozzuchwalonych sekciarzy ateizmu, mających reprezentować »suwerenny naród«.

Na tle rozwoju tych wypadków rozgrywają się okrucieństwa, wobec których bledną okrucieństwa Neronów i Dioklecjanów. Wrzesień 1792 to świadek masowej masakry kleru w Paryżu, dokonuje jej bezkarnie motłoch na kilkustach księży, zamkniętych w więzieniach rzekomo za sprzyjanie rojalistom. Odtąd przez rok cały czynną będzie gilotyna na całym obszarze Francji; więzienia przepełnione tymi, co emigrować nie zdołali; emigrantów, którzy powrócili, czeka również kara śmierci. Za czasów «Terroru« mordują księży i zakonnice tysiącami; zatapiają, jak w Nantes, na otwartem morzu tych, których prawo niby chroniło od śmierci — starców. Wszystko to dzieje się bez żadnego sądu, albo przy komedji sądu; winą ofiar jest ich »fanatyzm«, t. j. wiara w Boga i Chrystusa; często za jedyny powód śmierci protokół zapisuje, że »osobnik nie był godzien chodzić po wolnej ziemi francuskiej«. Prześladowanie dotyka już nie tylko księży wiernych Kościołowi i niezaprzysiężonych, ale przysięgłych, «narodowych«, bo terroryści dochodzą do przekonania, że wszyscy księża »tyleż warci«. Przez czas jakiś ratuje ich od śmierci zawarcie »małżeństwa«, lecz później i to już nie ubezpiecza przed gilotyną. Nawet kiedy z upadkiem Robespierre'a terror się skończy, nie kończą się okrucieństwa względem kleru; chwilowe przebłyski tolerancji, zdrowego rozsądku i ludzkości w Konwencji, potem w Radzie Pięciuset, tłumi sekciarska nienawiść, którą podtrzymuje Dyrektorjat jeszcze przez lat kilka, aż dopojawienia się u władzy Napoleona Bonaparte. Mocą nieodwołanych ustaw będą strzelani księża i zakonnice jeśli nie setkami, to dziesiątkami przynajmniej, aż do końca 1799 roku.

Wśród największych wściekłości prześladowania Rewolucja odczuwa potrzebę jakiegoś kultu. Więc Chaumette organizuje »Święto Rozumu«, uosabiając ten »Rozum« we wziętej z ulicy piękności; Robespierre, wysławszy Chaumetta wraz z biskupem-odstępcą Gobelem na szafot za ateizm, tworzy religję »Istoty Najwyższej«, czyniąc się jej arcykapłanem; po upadku Robespierre'a różni fantaści spróbują stworzyć religję «teofilantropów«, a rząd Dyrektorjatu — religję cywilną »dekad«. Niedawno głoszono «wolność sumienia« i w imię tej wolności wysłano tysiące «fanatyków« na śmierć; teraz grozą surowych kar zabrania się świętować niedziel, a zmusza do obchodu »dekad«, do święcenia republikańskich uroczystości. Walka z resztkami chrystjanizmu przybiera aż kształty drobiazgowych szykan, jak np. walka z dzwonami, którym kazano zamilknąć, a które raz po raz odzywały się na »Anioł Pański«.

W tem prześladowaniu wielu utraciło wiarę: autor nie tai ruin, jakie w duszach poczyniła »oświecona filozofja« na współkę z bezwzględnem okrucieństwem, — ale także dopiero w tym ogniu oczyściło się złoto: ci, co przetrwali, ci co pod grozą śmierci modlić się nie przestali, organizowali kult prawdziwy sposobem katakumbowym, potem wywalczali krok za krokiem różne drobne ulgi i ustępstwa dla swych wierzeń; ci, co chwycili w Wandei za broń, by wywalczyć poszanowanie dla

swojego Kościoła, ci wszyscy rzucili w rolę francuską posiew pod ten świadomy siebie, ofiarny aż do heroizmu katolicyzm, który w wieku następnym rozkwitnie tylu instytucjami, odrodzony, oczyszczony z ziemskich naleciałości, rozsadnik cywilizacji chrześcijańskiej na świat cały.

Ten opór, najpierw księży niezaprzysiężonych, a potem wszystkich, którzy Krzyża podeptać nie chcieli, opór, piętnowany jako zdrada narodu, zmógł też pogańską zasadę «wszechwładzy« państwa i wywalczył sumieniom prawdziwą wolność w najświętszej dla nich dziedzinie. To może największa zdobycz «rewolucji« francuskiej, zdobycz zyskana nie przez nią, lecz przeciwko niej przez wiarę i wierność Bogu i Kościołowi.

Książka de la Gorce ma nie tylko historyczne znaczenie. Jeżeli historja wogóle jest mistrzynią życia, to zwłaszcza z tej książki życie wiele może się nauczyć. Radziłbym, aby ją u nas czytano pilnie i popularyzowano jej treść. Warto, aby czytało ją duchowieństwo, które w starym Kościele francuskim, jak w zwierciadle, ujrzy niejedno z naszych niedomagań i z drugiej strony łatwiej oceni istotną wartość wszelkich przynęt propagatorów »wolności religijnej« czy też »narodowego Kościoła«; warto, żeby ją czytali ci, co prowadzą już z Kościołem mniej lub więcej otwartą walkę, — możeby się przekonali, że wypróbowano w historji wszystkie sposoby walki, a Kościół wychodził z niej zwycięzko. Warto czytać książkę de la Gorce'a i dla jej wewnętrznych zalet i dla tej iście francuskiej finezji, z jaką maluje ducha epoki, dla tej przenikliwości, z jaką wgląda w psychikę zbiorową, odsłania dusze i myśli tak bohaterów wiary, jak i jej wrogów, dla tego spokoju, jaki mu towarzyszy nawet wtedy, kiedy brnąć musi wraz z czytelnikiem poprzez potoki łez i krwi.

I jeszcze jedno, co zaleca autora, co z historyka czyni religijnego myśliciela, a zarazem gorącego patrjotę: patrzy on na wypadki nie z punktu chwilowych i widzialnych sukcesów dobrej sprawy, ale pod kątem wartości duchowych i trwałych. Oto jedna z wielu tego rodzaju próbek. Wojna Wandei była w istocie swojej wojną religijną; porwał się lud do broni w obronie swoich świątyń, krzyżów, ceremonij, kapłanów. Lecz wojnę tę po heroicznych wysiłkach lud wandejski przegrał. Czy autor snuć będzie jakieś smętne z tego powodu refleksje? Nie, on znajduje właśnie coś w tej przegranej, za co warto dziękować Bogu. I dziękuje zarówno jako chrześcijanin i jako Francuz. Posłuchajmy, jak kończy historję tej walki domowej, a zarazem tom drugi swej pracy. »W gruncie rzeczy, ci wieśniacy prości i wzniośli byli stworzeni na wyznawców imienia Bożego, a nie na zwycięzców; ośmieliłbym się dodać, że nie pozostaliby sławnymi i czystymi, jak tylko pod warunkiem, że nie dopną celu. Wyobrażam sobie w dniu 29 czerwca (dzień przegranej i śmiertelnego zranienia wodza, powstania Cathélineau), zamiast przegranej — zwycięstwo... Wandea zwycięską... lecz na to, by zostać pochłoniętą. Anglja, która wczoraj nic o niej nie wiedziała, nagle dowiaduje się, by zająć jej porty. Emigracja, która ją ignorowała, narzuca jej swoje

małostki. Zagranica zabiera się, by ją wyszkolić, by narzucić jej swoje prawa. Z roli rycerki Bożej spada Wandea do roli narzędzia kontrrewolucj i to kontrrewolucji tak ciasnej, tak egoistycznej, tak niebezpiecznej, że sami powstańcy w żywym i naturalnym odruchu swej francuskiej duszy byliby musieli wyprzeć się jej. Wolę Wandeę zwyciężoną. Wolę skromny pochód, wstępujący na wzgórze Św. Florentyna, by tuż w pobliżu ziemi rodzimej złożyć konającego bohatera. Wolę widok pobożnych wieśniaków z des Mauges, kładących z pietyzmem na piersi swego ukochanego zmarłego obraz Serca Jezusowego i grzebiących go w jego szacie krwawej, niby dziewicę w szacie niepokalanej. Honor imienia chrześcijańskiego wymagał, aby była Wandea; dla jedności naszej historji i dla dobrego imienia dzielnych powstańców dobrze się stało, że Wandea uległa. Dla Bożego powołania narodu francuskiego potrzebnemi były z kolei i owo powstanie i ta ofiara, czyli potrzeba było powstańców-męczenników, nie powstańców-zwycięzców«.

Czwarty tom historji de la Gorce'a doprowadza nas do śmierci Piusa VI w niewoli francuskiej i do chwili przybycia zwycięzcy z pod Piramid do Paryża, by sięgnąć po władzę, której tak haniebnie nadużyto w walce z Bogiem. Tom piąty zapewne zakończy się konkordatem Pierwszego Konsula z Piusem VII, który to akt rozpocznie nowy rozdział w historji kościoła francuskiego. Dzieło de la Gorce'a jest duże i pono dla mało kogo z nas, dziadów między narodami, dostępne. Przynajmniej każda zbiorowa bibljoteka w Polsce winna zaopatrzyć się w jeden jego egzemplarz. Czytanie tej książki przyniesie każdemu dużo duchowej rozkoszy, a jeszcze więcej przestróg i nauki.

Ks. J. Urban.

Jerzy Braun: Najazd Centaurów. Kraków. Nakł. S. A. Krzyżanowskiego. 1922 8º str. 77.

W ślad za warszawskim tabunem Tuwima, Słonimskiego, Lechonia Wierzejskiego zerwał się i w Krakowie Jerzy Braun do »rozpasanej, bezmiernej, wichrowej pogoni«, aby wstępnym, brawurowym »Najazdem Centaurów« — swoich »stu roześmianych koni« — wedrzeć się na szańce futurystycznej poezji.

Istotnie, pierwsze natarcie łamie, druzgocze, w proch ściera wszelkie zasieki. Upojony zwycięstwem śpiewa poeta:

Drży krągły globus z pod przegonów
kawaleryjskich moich szarż — — —
tysiąc mi bębnów trąb i dzwonów
gra tryumfalny, huczny marsz!!!

Z powietrza łykam szczęścia zapach,
siedmiomilowy stawiam krok — —
przez lądy, morza, po ich mapach,
jak legendarny pełzam smok.

Tunelem marzeń góry wiercę
i jednem haustem piję wiatr,
a mam szerokie, bujne serce
od Himalajów aż do Tatr!!!

(Toast 7. 8.)

A jakiż program tej poezji? Posłuchajmy:

Futuryzm nasz — to będą orle szpony!!!
— które trza wbić w przegniłych mózgów pleśń.
— wygodę ciał przemienić w trud szalony,
— w zawrotny pęd, w rewolucyjną pieśń!!!
Przekroim świat, jak wielki owoc Boży,
wyciśniem sok z jego przekrwionych żył,
ze samych drgnień poemat się ułoży
— i to ten sam, co przed wiekami był!

Niedługo wszakże trwa owo upojenie, zachłyśnięcie się słońcem i życiem. Zaledwie o kilka stron dalej, w cyklu »Szkarłatna pieśń« żali się już poeta na nutę Staffa:

A tu mi się rozjęczał w piersi ton nowy,
Bezbrzeżnie tragiczny, jak gorycz i błąd — —
I głucho wydzwaniał swój akord molowy.....

Nie rozwiewa go nawet namiętny »Czardasz«:

Zdradziła mię dziewka, — zdradziły mię druhy
i zdradził sam Pan Bóg na niebie —
ale mię ta ziemia i ten cmentarz głuchy,
nie zdradzi i wiernie pogrzebie — — —

Rozmach i rozszalałą, żywiołową wichurę przynosi dopiero »Burza w Tatrach«. Jest to może najbardziej »futurystyczny« okaz ze wszystkiemi staremi i nowemi rekwizytami tej szkoły. A więc w technice słownej przywołano na pomoc huakujący prymitywizm, onomatopeizm i twardą, góralską gwarę; grafika uzbroiła się w klamry i specjalne zygzaki; dla wywołania odpowiedniego nastroju pobudzono jakieś straszne, zakapturzone symbole. Oto maleńka próbka:

Pałają ogromne zarysy Tatr,
w łunie
idących pionowo błyskawic ! ! !
Coraz straszniej e ciemność ! !
Wyje ochryple strach ! ! . . .
Strzegot lawin — — — —
Nur ( ) gromów ( ) w pieniskach ( ) jezior ( )
Straszliwa Grzechota Chrobatych Wichrów
Wianuchy Wirchów
okłaczone szczątkami lasów
dętwa ! ! — łomot ! ! — siepawica ! ! —
u — ha ! ! ! ! — — — — —
(Rozorlone chmury grabieżą po niebie).

I pięć wierszy dalej:

Słyszycie — gruch ! ! ! !

Zleciała na pysk
z Krywania, poczworna
lawina — przemytnica

Jeśli tutaj prymitywizm odnosi pożądany efekt, to w cyklu »Żelazny wicher z pod kopyt rycerskiej Sławy« na spółkę z archaizowaniem niestety rozpędził on ów żelazny wicher i stratował do szczętu ry-

cerskość. Na placu ostała się tylko trywjalność, choć górą przepływa echo pobożnej pieśni: Bogurodzica. Naprawdę podniosły, — »niebosiężny« akord przynosi znowu ostatni, z ducha Konrada-Wyspiańskiego poczęty hymn »Wyzwolenie«, przepotężna gloryfikacja słonecznego »Dziś« zmartwychwstałej i nieśmiertelnej Polski.

Przeminął czas spróchniałych tysiącleci
i przebrzmiał już ich dramatyczny ton — —
słoneczne „Dziś" nad nami w glorji świeci
i świeża krew bucha z rozwartych łon ! ! !

Ja „Anioł" wasz ogłasza finał złoty —
że epos wasz Tanatos skończył już — —
a za to wstał na Dionizejskie Loty
sam Bóg-Bezmiar, — — Wielki Salwator Dusz ! ! ! !

»Salwatorem dusz« ma być każdy poeta. Czy będzie nim p. Jerzy Braun? Wojenny okres różnych podróbek i przeróbek uczynił nas tak ostrożnymi, że nawet wobec solidnego towaru stajemy zakłopotani. Nie inaczej w dziedzinie poezji. Werbalizm stał się namiastką rzetelnego natchnienia; poznajemy je dopiero po jego trwałości i, że się tak wyrażę, po jego duchowym posmaku. Sprawdzian ten zastosujemy więc i do p. Brauna, a to z tem większą słusznością, że sam przyobiecał nam w programowym »Toaście«:

Garściami cisnę poematy
pomiędzy słońce, tłum i smęt — — —
Hej ! ! pełne ręce ! pełne światy!!
i najpełniejszy express — pęd ! ! !

A więc czekamy.

J. K.

Homera Ilias. Przekładał Jan Czubek. Słowo wstępne Kaz. Morawskiego. Wydanie zupełne. Gebethner i Wolff. 8⁰ str. 558.

P. Ovidius Naso, Przemiany. Przekład Brunona hr. Kicińskiego. Wydał Jan Czubek, wstępem opatrzył o Życiu i Poezji Owidjusza K. Morawski. Gebethner i Wolff. 8⁰ str. 285.

1. Wiadomo, że Aleksander W. nawet wśród rozgwaru obozowego życia nie rozstawał się z Homerem. Jego lekturą umilał sobie także Horacy swe wiejskie wywczasy. Nieśmiertelny Dante nazwał go poeta sovrano, a pod koniec XV w. Angelus Politianus ogłosił Homera za najwyższy wyraz poezji.

Tajemnica owego uroku, jaki po wszystkie czasy wywiera twórca Iliady, tkwi, jak trafnie zauważa prof. Morawski, w świetlaności jego utworów, w rycerskości i w młodocianej, czy nawet w dziecięcej prostocie, ujawniającej najpierwotniejsze złoża psychy ogólno-ludzkiej.

Toteż jak siedm miast już w starożytności przyznawało się do Homera jako swego grodu obywatela, tak i w czasach nowożytnych wszystkie narody cywilizowane pragną go sobie przyswoić drogą przekładów. Do pracy tej zabierają się zarówno natchnieni piewcy, jak i filologiczni szperacze. W szeregu pierwszych widzimy w Polsce takich, jak Kochanowski, Dmochowski, Jacek Przybylski i Staszyc, a później Sło-

wacki, Siemieński i Lucjan Rydel. Z pośród uczonych na szczególniejsze uznanie zasługują tłumaczenia Szmurły, Mleczki i Pawła Popiela. Tak jedni jak i drudzy, w znacznej mierze zależnie od teoretycznego zapatrywania się na genezę Iliady, nadają jej w swoich przekładach już-to gładki, salonowy wygląd (Pope w Anglji, u nas Dmochowski), już to usiłują zbliżyć ją do tonu gwary ludowej. Prof. Czubek obiera w zasadzie drogę pośrednią, choć w praktyce lubuje się raczej w obrazowych i mocnych wyrażeniach staropolszczyzny i gwary ludowej. Bohaterski trzynastozgłoskowiec, stosownie do treści, to dzwoni twardo i dobitnie, to płynie słodko i rozlewnie. Nawet doborem rymów wcale niepospolitych mile jesteśmy zdziwieni.

Zapewne krytyka zawodowa wytknie zasłużonemu tłumaczowi niejedno zamazanie półtonu myśli i ustroju, jaki można wyczuć z oryginału; nasi puryści skrzywią się z bólu na widok nieraz tak źle złożonych wyrazów jak ów »berłonosz«, »złototrony« itd. Nieuprzedzony jednak czytelnik, t. j. nienarkotyzowany pół i ćwierćnastrojami, ani nie zasklepiający się w mikroskopijnej analizie, wcześniej czy później z pewnością zasmakuje w owej swojskości i pełni zdrowia i poezji, jaka bądź co bądź tryska z całego przekładu. Aż dziw, że nasza krytyka, skądinąd tak pochopna do pochwał i superlatywów, dotąd chłodno i cicho przyjęła ten nowy przekład. Czyżby dlatego, że zrodziło go nietylko gorące umiłowanie, ale i gruntowna wiedza, przygotowanie?

2. Zakres talentu Owidjusza był dość ciasny. Jeżeli bowiem chodzi o formę metryczną, posługiwał się jedynie dystychem i heksametrem. Źródłami jego natchnienia i motywem najbardziej ogranym, jeśli nie jedynym, były swawolne miłostki. Mimo to wszystkie potomne wieki, wyrosłe na gruncie kultury łacińskiej, uległy czarowi jego języka, powabowi jego obrazów.

W Polsce ponadto do wzrostu jego popularności niezmiernie przyczyniła się legenda, wedle której wygnaniec z Pontu miał stać się Polakiem i w Polsce grób znaleść. Począwszy od w. XVI, każdy wiek przynosi jakiś nowy przekład dzieł Owidjuszowych, jak to wykazał prof. Sinko. Same Metamorfozy dwukrotnie były tłumaczone już w XVII. w.; pierwszy raz przez Jak. Żebrowskiego, jako »Przeobrażenia,» a poraz drugi przez Wal. Otfinowskiego, jako »Przemiany«. Za najlepszy atoli przekład należy uważać ten, którego dokonał w początkach XIX w. (Warszawa 1825) Bruno hr. Kiciński. Po usunięciu niektórych archaizmów przez prof. Czubka i po uzgodnieniu z oryginałem niektórych mylnie odczytanych i — co za tem idzie — niedokładnie przetłumaczonych ustępów w całości praca Kicińskiego nie razi językowego poczucia dzisiejszego czytelnika. Należałoby jednak — naszem zdaniem — znacznie rozszerzyć ramy bieżącego komentarza do tego wyboru, zresztą wcale obfitego. Sam bowiem wstęp, choćby tak świetnie kreślony i tak w głąb idący, jak ów prof. Kaz. Morawskiego — nie rozjaśni jeszcze wszystkich tajników bądź co bądź bardzo odległej od nas epoki i dość odmiennej kultury. *j.*

Przyczyna wrzenia światowego (rzedmową wydawcy The Mor ning Post), tłum. z angielskiego, Warszawa 1921, 8º 237.

Któż z wielką ciekawością nie chwyci za książkę z takim tytułem? Poznać przyczynę wojen i rewolucyj, tych perjodycznych chorób społeczeństw, narodów, całej ludzkości, to zasadniczy warunck, by można przedsięwziąć jakąś skuteczną kurację! Tej diagnozy podjął się trzeźwy Anglik, który nie wiadomo dlaczego schował się ze swem nazwiskiem, zato H. A. Gwynne, wydawca Morning Post, imiennie w swej przedmowie aprobował rezultat diagnozy. Przyczyną wojen i rewolucyj od dawna, szczególniej zaś od wielkiej rewolucji francuskiej jest wszechświatowy spisek żydowsko-masoński, ściślej mówiąc spisek żydowski, dążący do obalenia chrześcijańskiej religji, obecnego porządku i do panowania nad całym światem. Masoni, socjaliści, bolszewicy, teozofowie; może nawet i Jezuici są narzędziami w ręku Żydów, podważającemi na wszelki sposób dzisiejszy porządek. Dziełem Żydów jest wojna, lecz równie ich dziełem jej ukończenie; oni tępią królów i rasową arystokrację a na jej miejsce stawiają kapitalistów, których znów obalają przez zrewolucjonizowany i zorganizowany proletarjat. Oni wywołują międzynarodówki i oni inspirowali »magików« (sic) wersalskiego traktatu, którzy stworzyli nowe państwa narodowościowe. Dziś celem ich najbliższym obalenie »Imperjum Brytańskiego« przez godzenie w achillesową jego piętę, którą jest Irlandja.

Tak wygląda spiskowa działalność Żydów. Nawet to jeszcze nie wszystko, bo autor przytacza wiele, wiele jeszcze bardzo ciekawych szczegółów, ale już wyzej przytoczone każą się trochę zadumać nad celowością całej tej roboty. Źródła, na których autor oparł swe wnioski, nie są pierwszorzędne, a »Protokoły Mędrców Syjonu« nie całkiem pewne. Przytem to wyjątkowe miejsce, jakie autor daje Anglji, a nawet angielskiej masonerji, uważając ją za daleką od zgubnej działalności każdej innej masonerji, i ta Irlandja walcząca o swe narodowościowe prawa jedynie ze względów żydowsko-masońskich, destrukcyjnych, może być jakimś dowodem dla Anglika, mniej dla Polaka. Nas znów może interesować niejednokrotna wzmianka o Polsce w osnowie dzieła i owa oryginalna uwaga, że Anglja chciała potężnej Polski, ale temu przeszkodził prezydent Wilson, który ma takie same plany jak Lenin..... Pewno większość czytelników w takie i podobne twierdzenia nie uwierzy, w każdym razie pogłębi i rozszerzy przekonania, że wszędzie, gdzie tylko w cywilizowanym świecie jest jakaś wielka afera o brudnym lub krwawym kolorycie, tam są działaczami Żydzi.

R. M.

Zdzisław Ludkiewicz: Polityka agrarna Wyd. IV, Poznań 1921, 8º XVI+598.

Ubogą naszą literaturę w zakresie polityki agrarnej bogaci bardzo to dzieło. Przedewszystkiem sprawę omawia bardzo wszechstronnie. Część wstępna zawiera uwagi ogólne o polityce agrarnej, o stosunku

produkcji rolniczej do całokształtu życia narodowego i o stosunkach rolnych na ziemiach polskich. Część druga przedstawia rozwój i dzisiejsze bolączki polskiego areału. Mamy tu obszernie omówioną sprawę usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, komasację gruntów, serwituty, wspólnoty, parcelację i kolonizację wewnętrzną, których pojęcia autor dobrze precyzuje, wreszcie kwestję regulowania obrotu ziemią. Treścią części trzeciej najobszerniejszej jest wszystko to, co wchodzi w zakres ochrony i organizacji produkcji rolniczej, a więc towarzystwa i związki rolnicze, technika gospodarstwa wiejskiego, meljoracje rolne, prawodawstwo wodne, rybackie, współdzielczość w rolnictwie, kredyt rolny, ubezpieczenie, kwestja robotnika rolnego, polityka leśna i prawo łowieckie.

Autor sam zaznacza w przedmowie, że dziełu brak jeszcze finezji i że tylko konieczność dostarczenia podręcznika studentom skłoniła do do wydania pracy w obecnej formie, i obiecuje nam dalsze uzupełnienia z szczególnem uwzględnieniem bieżącego ustawodawstwa polskiego. Może jednak te uzupełnienia nie usuną pewnych braków, raczej superabundancji materjału pozytywnego, historycznego. Czasami ma się wrażenie, że się czyta historję prawa agrarnego. Wprawdzie tego elementu nie można pominąć w polityce rolnej, ale podręcznik prof. Ludkiewicza jest pod tym względem przeładowany. Uzupełnienia mogą natomiast usunąć inne braki, mianowicie pewną skromność w stawianiu jasnych i dowiedzionych wytycznych naszej polityce. Abstynencja w wyrażeniu kategorycznego sądu czy to w sprawie reformy rolnej, czy w kwestji podziału ziemi jest dość rażąca, tymczasem społeczeństwo (tem więcej słuchacze) chciałoby znać poważny sąd specjalistów w tym względzie. Inny brak, któremu nic autor nie winien, to problematyczność wielu dat statystycznych. Tutaj napewno dalsza praca doprowadzi autora do pewniejszych rezultatów, a niebawem skorzystają z tego i inni.

Podręcznik ma tę zaletę, że ma bardzo popularną formę i dlatego mogą z niego korzystać nie tylko Urzędy Ziemskie, którym go polecił Główny Urząd Ziemski, ale nawet laicy.

R. M.

Dr. Gerhard Rauschen: Grundriss der Patrologie mit besonderer Berücksichtigung der Lehrgehalts der Väterschriften. 6 u. 7 Auflage, neu bearbeitet von Dr. Joseph Wittig. Freiburg, Herder, 1921, 8° XXVI+330 S.

Rauschenowski »Zarys Patrologji« cieszył się zawsze na wydziałach teologicznych wyjątkowem wzięciem. W ciągu swego dziesięcioletniego istnienia doczekał się paru tłumaczeń na obce języki, — między innemi także na polski, a obecnie ukazuje się w swej ojczyźnie jako szóste i siódme, tym razem jako już pośmiertne wydanie, opracowane przez ks. Dr. Wittiga, wrocławskiego profesora teologji i starochrześcijańskiej historji kościelnej.

W zasadzie i w ważniejszych szczegółach pozostał dawny zrąb

dzieła. W chronologicznem jednakże i autorytatywnem, że się tak wyrażę, ugrupowaniu pisarzy prof. Wittig okazał się daleko bardziej konsekwentny, aniżeli sam twórca »Zarysu«. Nadto znacznie pomnożył poczet pisarzy orjentalnych, starał się również nieco wyraziściej wykreślić linję rozwojową w pojmowaniu i ujmowaniu dogmatów u Ojców Kościoła, a przedewszystkiem delikatnie zaretuszował owe ustępy, które niegdyś zamknęły wstęp Rauschenowi do seminarjów włoskich.

Jeżeli chodzi o względy praktyczne, wystarczy powiedzieć, że praca nosi znamię iście niemieckiej systematyczności. Gruntowność gwarantuje samo imię Rauschena i olbrzymia, jak na podręcznik, przetrząśnięta bibljografja. Warto jednak pamiętać o tem, że »Zarys« nie stanowi równocześnie »wypisów patrologicznych«, że w tym kierunku musimy szukać uzupełnień, zaznaczonych przez wydawcę, w trzech jeszcze enchiridjonach: Roueta (patrystyka), Kircha (historja kościelna) i Denzingera (dogmat).

Wobec pracy Wittiga przekład polski wymaga również gruntownej rewizji i rozbudowy. Zadanie zresztą niezbyt trudne, a nad wyraz owocne.

X.

Dr. P. W. Keppler Bischof v. Rottenburg: Homilien und Predigten 6—8 wyd. Fryburg, Herder, 1921.

Szóste wydanie »Homilij i Kazań« jest w znacznej części nowem dziełem. Dostojny autor w ostatniem opracowaniu swych przemówień opuszcza szczegółową egzegezę niedzielnych perykop jakoteż planowe rozkłady treści na jedno i to samo święto, by uzyskać miejsce dla nowych kazań. Dzieło rozpada się na trzy części. Pierwsza obejmuje homilje niedzielne i kazania pasyjne (w dwu serjach), druga kazania świętalne i okolicznościowe, trzecia listy pasterskie.

Przemówienia niedzielne, oparte na ewangelji, odznaczają się wielką przejrzystością, trafnością układu, lekkością wysłowienia, a nadewszystko odpowiedniością przystosowań do życia codziennego. Obfitość myśli i plastyka w ich rozprowadzeniu skutecznie może przemówić tak do sfer inteligentnych jak i do warstw niższych. W kazaniach okazyjnych przeważa ton dydaktyczny. Z listów pasterskich bardzo aktualnemi są 3 listy: o pracy, o wstrzemięźliwości, o nauce wiary i inne. Naogół o »Homiljach i Kazaniach« ks. Kepplera trzeba powiedzieć, że »Wskazówki homiletyczne« (z 1910 r.) znalazły w nich prawdziwie mistrzowskie urzeczywistnienie.

Ks. A. Ż.

Emmerich Raitz v. Frentz S. I.: Der ehrw. Kardinal Rob. Bellamin S. I. Ein Vorkämpfer für Kirche u. Papsttum, 1542—1621. Herder, Freiburg im Breisgau 1921. in 8° XIII+228.

Głębsze umysły dzisiejszej Europy żalą się na ogromny zanik nadprzyrodzonego pierwiastka w obecnem życiu i człowieka i narodów i całej ludzkości. Dziś coraz więcej jest takich, co widzą, iż kultura

niewybiegająca poza ramy rozwoju czysto przyrodzonego, a zwłaszcza czysto materjalistycznego, może ludzkość zepchnąć tylko w odmęty najstraszliwszej nędzy. To też we wszystkich niemal krajach Europy wieje jakiś ożywczy „prąd, skłaniający się do katolickiego rozwiązania problemu kultury. Dziś coraz częściej podkreśla się, iż duch ludzki orlim swym lotem powinien wznosić się ponad ziemię, wybiegać nie tylko w czysto przyrodzoną sferę prawdy (filozofji), dobra (doskonałości etyczno-moralnej) i piękna (sztuki), ale także powinien wzlatywać na skrzydłach wiary aż w krainę Prawdy, Dobra i Piękna nadprzyrodzonego życia.

Stawiać te najwznioślejsze jedynie ukochania godne ideały na ołtarzu dusz i serc dzisiejszego, gorączką użycia trawionego człowieka — odsłaniać piękno życia dla tych ideałów nieśmiertelnych przez biografje ich bohaterskich sług — oto cel, jaki pragną osiągnąć niemieccy jezuici przez szereg żywotów swych wielkich w życiu nadprzyrodzonem przodków.

Niniejszy żywot przedstawia nam typ katolickiego uczonego, zakonnika — kardynała i biskupa. Kardynał Bellarmin, którego proces beatyfikacyjny jest w toku, jest na pierwszem miejscu klasycznym typem katolickiego uczonego. Ten książe apologetów, autor 30 dzieł w całem swem życiu doświadczalnie odczuwał, że cała jego wiedza jest jedną wielką jałmużną Boga. To też raz po raz z piersi jego wyrywa się hymn wdzięczności dla Boga, iż mu się spodobało posłużyć nim, tak słabem narzędziem, do ujawnienia swej nieskończonej mądrości! Jako zakonnik — kardynał odstrzela od wszystkich spółczesnych taką wyższością nad wszystko, co ziemskie, takiem ukochaniem wszystkiego, co Boże, takiem bezinteresownem oddaniem się na służbę Namiestnikowi Chrystusowemu na ziemi, tak serdeczną troską o jaknajlepszy stan Oblubienicy Chrystusa — Kościoła, że jednem słowem można go całego scharakteryzować bez obawy przed jednostronnością, nazywając go ambasadorem interesów Jezusa Chrystusa na ziemi.

Bo też wielka ta dusza ogarniała swą troską cały Kościół Boży na ziemi, rozpoczynając od jego centrum, od samego Namiestnika Chrystusowego, a kończąc aż na Indjach i Japonji.

Niemałą cząstkę w sercu wielkiego kardynała miała i polska połać winnicy Chrystusowej. Świadczy o tem jego korespondencja z przyjacielem swym serdecznym, z kardynałem Radziwiłłem. Świadczy o tem korespondencja z biskupem Gembickim. A wreszcie wiekopomnem świadectwem tej jego troski o dobro narodu polskiego jest jego dzieło »De officio principis christiani libri tres«, napisane dla naszego króla Władysława, gdy był jeszcze następcą tronu.

Życie indywidualne wielkiego kardynała jest nawskróś nadprzyrodzone. Nosi ono na sobie piętno prawdziwego bohaterstwa duchowego, połączonego z życiem najzwyczajniejszem.

Szkoda tylko, że autor omawianej biografji nie wyzyskał posiadanego materjału, by czytelnikowi podać gotowy obraz tej wielkiej duszy katolickiej. Te bowiem ogólne tylko rysy, rozrzucone po różnych

miejscach, niedoskonały dają tylko obraz tej bohaterskiej duszy. Mimo to jednak żywot ten każdy katolik przeczyta i z dużą korzyścią dla duszy i z dużem zadowoleniem.

K.

Warszawa za Sejmu Czteroletniego w obrazach Z. Vogla. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań-Warszawa. (Bez daty).

Rozpoczyna się wreszcie ruch na terenie wydawnictw artystycznych, poświęconych naszemu malarstwu. W Warszawie Towarzystwo artystyczno-wydawnicze »Gryf« zapoczątkowało zbiór p. n. »Nasi malarze« (I Jan Matejko z tekstem Macieja Szukiewicza, II Józef Simmler z tekstem objaśniającym Tadeusza Jaroszyńskiego); Krakowska Drukarnia Narodowa, pomijając fotograwury według zdjęć fotograficznych: »Klejnoty Krakowa«, »Tatry-Zakopane«, »Tatry w zimie« i »Wilno«, wydała album p. n. »Jacek Malczewski« (reprodukcja 16 obrazów i winjeta); w Poznaniu Drukarnia św. Wojciecha wydała piękny zbiór, reprodukcję 70 obrazów z portretem malarza Z. Vogla, ucznia Bacciarellego pod napisem jak wyżej. Tekst objaśniający ułożył znany historyk życia Warszawy, Aleksander Kraushar. Książka ta, w gustownej formie zeszytu albumowego, przynosi prawdziwy zaszczyt wydawnictwu. Reprodukcje obrazów, wykonane starannie, dokładnie i wyraziście. Cecha charakterystyczna talentu malarza, który odzwierciedlał w swych dziełach samą Warszawę, architektonikę jej gmachów, perspektywę ulic, pozostawiając pendzlowi współczesnego sobie Canaletti życie miasta, daje się z łatwością wyczytać z reprodukcyj. Zaznaczyćby tylko trzeba, że wydawanie książek bez daty księgarskiej, tam, gdzie się praktykuje, zwykle posiada swój równoważnik w podaniu daty przez autora: pisałem dnia... Książka, która jak »Warszawa« tego nie posiada, naraża się na zaliczenie do dzieł »sine genealogia«.

St. M.

Emil Dimmler: Mystik. Gedanken über eine Frage der Zeit. Verlegt von Alf., Hug in Günzburg 1919, 12⁰ str. 88.

Dr. Engelbert Krebs: Grundfragen der kirchlichen Mystik dogmatisch erörtet u. für das Leben gewertet. Herder's Verlagbuchhandlung Freiburg im Br. 1921, 12⁰ str. 26[illegible].

Wśród autorów piszących o mistyce katolickiej ścierają się dość silnie dwa obozy. Na czele pierwszego możnaby postawić Poulain'a, Farges'a, na czele drugiego Lamballe'a, Sandrean'a, Zahna. Ci ostatni patrzą na życie mistyczne jako na dalszy, naturalny ciąg życia pobożnego. Mistyka jest według nich naturalną kontynuacją ascetyki. Twierdzą, że właściwie każdy człowiek wezwany jest do życia mistycznego, a jeśli do niego nie dochodzi to przedewszystkiem z własnej winy. Pierwsi zaś uważają życie mistyczne, a więc kontemplację wlaną, ekstazy, wizje, słowa wewnętrzne itd. za szczególniejszy charyzmat boży, do którego Bóg bynajmniej nie powołuje wszystkich, lecz udziela go temu, komu się mu spodoba. I choć zwykle żąda dużej czystości serca, zanim

udzieli tych cennych darów, to jednak można mieć taką samą świętość, a nawet wyższą, niż niejeden mistyk, a wcale tych darów nie otrzymać.

Do grupy tych, co niwelują mistykę z ascetyką, należy D i m m l e r, możnaby go nazwać ich skrajnym przedstawicielem. Życie mistyczne i zwykłe życie doskonałe to u niego jedna i ta sama rzecz. Snuje swoje wywody na ten temat a p r i o r i, nie uwzględnia zaś dokumentów, jakie nam o swem życiu zostawili mistycy, jak św. Teresa, Jan od Krzyża i tylu innych. Tymczasem nauka o mistyce opiera się nie tylko o aprioryczne zasady, wzięte z teologji, ale jest nauką w swoim rodzaju eksperymentalną, która się opiera na wewnętrznych przeżyciach samych mistyków, musi więc uwzględniać ich pisma, bo w nich tylko znajdujemy opisy tych przeżyć. Opisy te odznaczają się często, np. u św. Teresy, tak subtelną analizą, że nie powstydziłby się jej i współczesny psycholog. Zapatrzony w swoją tezę nie uwzlędnił Dimmler tego zasadniczego postulatu, dlatego próżnoby szukać u niego głębszego poznania mistyki. Mimoto warto przerzucić jego broszurę, ma sporo świeżych i ciepłych myśli, pobudzających do życia doskonalszego.

Do tego samego obozu, co Dimmler, należy i dr. K r e b s, jego praca jest jednak dużo gruntowniejsza. Rozwija w niej następujące tematy: I: Mistyka jako doświadczalne poznanie Boga według nauki Kościoła; II, III: Pismo św. i Tradycja jako źródło nauki kościelnej o życiu mistycznem; IV: Mistyka celem i owocem zdrowej pobożności; V, VI: Naturalne podstawy i nadnaturalne przyczyny życia mistycznego; VII: Jego stopnie i szczególne objawy; VIII: Zasady postępowania na drogach mistyki. — Tezą, która się przewija poprzez te ośm interesujących rozdziałów, jest twierdzenie, że między mistyką a ascetyką jest tylko różnica stopnia a nie jakości, że zatem kontemplacja bierna jest normalnym kresem życia duchownego, a konsekwentnie wszystkie dusze do niej pozytywnie dążyć powinny. Cała książka jest równocześnie polemiką z przeciwnym kierunkiem, zwłaszcza z O. Poulainem; traktuje go autor zgóry, choć go niezbyt dobrze rozumie. Niemile wprost uderza ta insynuacja, jakoby tylko interpretacja autora była zgodna »mit der gediegenen Theologie« i jedynie zbawienna w kierowaniu duszami, a teorja O. Poulain'a była niemal odnowieniem błędów Molinosa i prowadziła »zur Subjektiven Sektenmystik«!

Trudno wdawać się w szerszy rozbiór, czy polemikę, o parę jednak kwestyj warto potrącić. Bardzo słusznie podkreślił autor, że przeżycia mistyczne, choć są poniekąd bezpośrednim kontaktem duszy z Bogiem, nie są wyjęte z pod kontroli Kościoła. Że takiem było przekonanie całej tradycji chrześcijańskiej udowadnia autor w trzecim rozdziale. Uległość mistyków katolickich dla nauki i kierownictwa Kościoła chroniła ich od bezdroży i dziwactw, w które tak często popadali mistycy niekatoliccy, lub katolicy zbyt zaufani w boskie swoje natchnienie: u nas np. Towiański i jego zwolennicy. — Problematycznej jednak wartości są wywody autora, jakoby naturalną podstawą życia mistycznego stanowiło usposobienie artystyczne, które w każdym

z nas drzemie. — O ile się nie mylę, autor chce udowodnić na podstawie Pisma św., że wszystkim przyobiecane są dary mistyczne, że zatem wszyscy są do nich wezwani. Mają tego dowodzić np. takie teksty: »Nie zostawię was sierotami: przyjdę do was... W on dzień wy poznacie, żem ja jest w Ojcu moim, a wy we mnie, a ja w was. Kto mię miłuje... i ja go miłować będę i objawię mu siebie samego. Jeśli mię kto miłuje, będzie chował mowę moją, a Ojciec mój umiłuje go i do niego przyjdziemy, a mieszkanie u niego uczynimy«. (Jan 14. 18 n.) i t. p. Otóż te obietnice, że Chrystus przyjdzie do nas, że dusza go pozna, że on ją umiłuje i zamieszka w niej, mają zawierać w sobie obietnicę łask mistycznych i to powszechną dla wszystkich dusz. Oryginalny to pomysł! Ale egzegeza tych tekstów bynajmniej nie wymaga obietnicy ani kontemplacji biernej, ani zaręczyn czy małżeństwa mistycznego dla wszystkich. Inna rzecz, że skoro już zostały dane łaski mistyczne, czyli ex post, można z korzyścią do nich stosować te i tym podobne teksty. — To rzekomo powszechne wezwanie dusz do mistyki prowadzi autora do ciekawszych jeszcze twierdzeń, że nikt nie odpowiedział w pełni łaskom bożym, kto nie szedł drogami mistyki. Czy to zgodne z nauką wielkich pisarzy duchownych, o których wiemy na pewno, że znali z własnego doświadczenia i zwykłą drogę doskonałości i mistyczną? Przytoczymy tylko dwóch. Św. Franciszek Salezy: »Bardzo wielu jest Świętych w niebie, którzy nie znali kontemplacji, ani jej zachwytów, czy porwań, bo iluż to widzimy w historji męczenników i wielkich Świętych: mężczyzn i kobiet, którzy na modlitwie nie cieszyli się żadnym przywilejem, jak tylko pobożnością i gorliwością«. (Amour de Dieu, ks. 7. r. 7). Św. Alfons Liguori: »By dusza osiągnęła doskonałość, nie jest konieczne zjednoczenie bierne; wystarczy zjednoczenie czynne... Zjednoczenie to zależy na doskonałej zgodzie naszej woli z wolą bożą i na tej zgodzie polega bezwątpienia cała doskonałość bożej miłości«. (Homo apostol. app. I. 16). Powołuje się autor na św. Teresę, ale Święta, choć bardzo zachęca swe siostry, by wszystko czyniły, iżby godne były łask mistycznych, wyraźnie dodaje: »Chociaż i spełniwszy te warunki, być może, że łask tych nie otrzymacie; może wam ich Pan odmówi z powodów jemu tylko wiadomych«. (Twierdza wewn., mieszk. 3. r. 2).

Tak piszą ci wielcy mistycy i znawcy życia duchownego, ale bo też oni patrzyli się na mistykę jako na drogę niezwykłą, która nie jest jedynym środkiem osiągnięcia doskonałości chrześcijańskiej i do której trzeba szczególnego wezwania. Stali więc na bardzo różnem od autora stanowisku. *J. Andrasz.*

P. Sebastian v. Oer.: Ich, Selbstbetrachtungen. Herder, Freiburg, 1921. str. 99.

Niby strudzony podróżny, pod zachód swego życia, przystanął autor, aby pogwarzyć ze swymi przyjaciółmi z właściwą sobie wytwornością o prawdach bardzo poważnych: o celu naszego życia,

o stosunku naszego »ja« do Stwórcy i do otaczającego nas świata. Filozoficzne czy teologiczne wywody tak zgrabnie przeplata wspomnieniami z własnych przeżyć, że całość czyta się nietylko z pożytkiem, ale i z przyjemnością. W czasach wybujajego egotyzmu książeczka ta może niejednemu wskazać właściwy kierunek i miarę rozwijania swego »ja« według przemądrych a miłościwych planów Bożych.

X.

Gerard Diessel C. S S. R. „Die betrachtende Ordensfrau". Handbuch für Barmherzige Schwestern. Herder. Freiburg. 5 u. 6 Auflage. 10—13 Tausend.

Autor jest znany z innych prac religijnej treści; zajmuje wybitne stanowisko wśród pisarzy ascetycznych. Dobrze zasłużona sława ręczy zgóry, że mamy przed sobą dziełko niepośledniej wartości. Sprawiedliwa ocena nie może się jednak tym razem zadowolnić wskazaniem na znaną dzielność autora. Obecny tomik przewyższa pod niejednym względem poprzednie prace. Prasa zagraniczna podnosi z naciskiem zalety, których dawniejsze dziełka, przynajmniej w tym stopniu, jak Rozmyślania dla zakonnic, nie posiadają.

Rozkład tematów jest zwyczajny; stosuje się do świąt roku kościelnego. Każdy z dwóch tomów ma dodatek, zawierający rozmyślania na pierwsze piątki miesiąca, ma niektóre dni pamiątkowe i uroczystości więcej znanych Świętych.

Poszczególne rozmyślania ujęte są przeważnie w jeden punkt. Ale autor się tem nie krępuje. Jeżeli tego rzecz wymaga, podaje przedmiot w dwóch punktach. W pierwszym i drugim wypadku poprzedza rozważanie (Erwägung), następuje zastosowanie (Anwendung) i kończy każdą medytację postanowienie. Mimo to rozważania zawierają zawsze kilka myśli, liczbą lub kreską, zaznaczonych; a myślom podanym odpowiada zwykle równa liczba zastosowań, tak że w każdym punkcie zwykle trzy odrębne cząstki odróżnić i według upodobania nad każdą z nich z osobna zastanawiać się można.

Konsekwentne przeprowadzenie tego systemu nie jest łatwe. Trudniej jeszcze przychodzi rzecz urozmaicić, unikać powtarzania się, wlać w nią życie i ciepło. I stąd pochodzi, że podręczniki do rozmyślania tak mało kogo zadawalniają. Krótkość bywa niedostateczną, jasność rozwlekłą, zwięzłość niejasną; czasem treść czyli rozważanie jest niewystarczające, czasem zastosowanie nieodpowiednie lub zbyt ogólne; czasem jedno i drugie zadawalnia, ale niema związku między rozważaniem i zastosowaniem, stąd postanowienia stoją luźnie, brak im siły, którą przecież z treści rozmyślania czerpać powinne. Tych i podobnych niedomagań autor uniknął, a ponadto umiał nadać przedstawieniu rzeczy pewne namaszczenie i ciepło, które podbija wolę i do modlitwy usposabia.

Szerszemu zużytkowaniu książki zdaje się przeszkadzać zbyt szczegółowe przeznaczenie jej. Według tytułu i przedmowy ma służyć zakonnicom i to nie wszystkim, lecz tylko Siostrom miłosierdzia. I rze-

czywiście nie tylko w zastosowaniach, ale czasem także w doborze tematów trzyma się autor tego założenia. Przypatrzywszy się jednak książce bliżej, dochodzi się do przekonania, że może służyć, bez wielkiej niedogodności, wszystkim zgromadzeniom zakonnym i wogóle wszystkim stanom. Podłoże medytacji jest bowiem tak jasno przedstawione, zastosowanie jest tak naturalne, że bez wielkiej trudności da się pominąć właściwość nadająca się dla Siostry Miłosierdzia i dobrać to, co odpowiada innym stanom. Rzecz może wyjaśni jeden lub drugi przykład. Na piątek po 3 niedzieli Adwentu podana jest medytacja o prawdziwym szacunku samego siebie. Właściwa pobudka, ważność i doniosłość tej cnoty tak są gruntownie wyłuszczone, że, pomijając właściwości Siostry Miłosierdzia, każdy znajdzie z łatwością to, co jego stanowi przystoi. To samo można powiedzieć o rozmyślaniach na 3 i 4 tydzień po 3 Królach, które przedstawiają do naśladowania wzór P. Jezusa w Nazarecie przebywającego; lub na poniedziałek, wtorek i środę po 19 niedzieli po Świątkach, które przedkładają plan, jaki ma Opatrzność Boża w dopuszczaniu różnych krzyżów w ciągu tego życia. Jednem słowem książka może oddać dobre usługi jako podręcznik do rozmyślań na pierwszem miejscu zakonnicom, ale oprócz tego także osobom innych stanów, które mają chwalebny zwyczaj poświęcania codzień pewnego czasu modlitwie myślnej.

Ks. L. C.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Bibljoteka Narodowa Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Nr. 41. Ignacy Krąsicki: Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadki, opracował Bron. Gubrynowicz, 12⁰, str. 192.

Nr. 42. Zygmunt Krasiński: Irydjon, opracował Tad. Sinko, 12⁰, str. 204.

Nr. 46. Antoni Malczewski: Marja, opracował Józef Ujejski, 12⁰, str. 93.

Z księgarni S. A. Krzyżanowskiego:

Karol Ewald: Czworo miłych przyjaciół 12⁰. str. 125.

Wald. Bonsels: Pszczółka Maja i jej przygody, spolszczyła Marja Kreczowska, 12⁰, str. 141.

Z Księgarni Herdera we Fryburgu:

Otto Kasser S. J.: Der hl. Franz von Borja, General der Gesellschaft Jesu 1510—1572. 8⁰, str. 442.

Helene Riesch: Die hl. Katharina von Siena, mit 9 Bildern, 5 Auflage, 12⁰, str. 154.

Mutter Klara Fey: Advents- und Weinachtsbetrachtungen, 12⁰, str. XII i 286.

Prof. Jakob Schumacher: Kirchengeschichte in Zeit- u. Lebensbilder. Ausgabe für höhere Mädchenschulen. 12⁰, str. VIII i 116.

Nikolaus Faßbinder: Das Glück des Kindes. Erziehungslehre für Mütter und solche, die es werden wollen. 12⁰, str. XII i 242.

Maria Müller: Friedenglöcklein, Beichtgeschichten für größere Kinder. 12⁰, str. VIII i 152.

Ludwig Lallement S. I.: Der Weg zur Innerlichkeit in der Schule des hl. Geistes. Neue, gekürzte Bearbeitung von Bruder Herimann. 16⁰, str. XXXVI i 246.

Karl Haggenay S. I.: Der Gottessohn. Priesterbetrachtungen an das Johannesevangelium. Vierter (Schluß-) Teil. 12⁰ str. IV i 320.

Uwaga: Redakcja nasza nie podejmuje się pośrednictwa w sprowadzaniu tych książek.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Prawodawstwo małżeńskie Kościoła a ewangelicy.

Dzięki socjalistycznemu *Naprzodowi* dowiedzieliśmy się o skargach, jakie zanoszą ewangelicy warszawscy na Kościół katolicki. Mianowicie *Naprzód* prawie w całości przedrukował artykuł *Zwiastuna Ewangelicznego* — pisma znanego tylko wyznawcom luteranizmu — w którym skierowane są ataki na Konsystorz katolicki w Warszawie, a właściwie, jak się przekonamy, na Kościół katolicki w ogóle. Krakowski socjalistyczny dziennik, który od pewnego czasu *con amore* uprawia zawód adwokata wszystkich sekt i sekciarzy, solidaryzuje się oczywiście z wywodami *Zwiastuna.*

O cóż chodzi »ewangelikom polskim?«

Oto z oburzeniem przytaczają fakty, że konsystorz katolicki uznaje za nieważne małżeńskie śluby mieszane (protestancko-katolickie), jeśli nie zostały zawarte w świątyni katolickiej, zgodnie z konstytucją papieża Piusa X. *Ne temere.* Ogłosiwszy taki związek prawnie za niebyły, konsystorz katolicki pozwala stronie katolickiej wejść w powtórne związki. Organ »ewangelików polskich« występuje na ten raz w roli »obrońcy węzła małżeńskiego«, roli bądź co bądź niespodziewanej. Więc najpierw wygłasza swoje »hańba!« tym katolikom, a zwłaszcza katoliczkom, którzy i które, udając się po takie orzeczenie do konsystorzy katolickich, sami przyznają się, że swego małżeństwa, zawartego w protestanckim zborze, nie uważali za małżeństwo prawdziwe, lecz za nałożnictwo. Ale, co ciekawsze jeszcze, denuncjuje *Zwiastun* wobec władz państwowych władze kościelne katolickie o świadome prze-

kraczanie prawa państwowego, które protestanckie metryki ślubów mieszanych uznaje za ważne. Owszem dowiadujemy się nawet z tegoż artykułu, że z tego powodu konsystorz ewangelicki wystąpił do ministra sprawiedliwości z żądaniem pociągnięcia całego sądu arcybiskupiego do odpowiedzialności sądowej za „pogwałcenie praw w Rzeczypospolitej polskiej obowiązujących" i narzeka, że żądanie to pozostało dotąd bez skutku. Tak konsystorz luterski, jak i organ wyznawców tego wyznania, bawią się przytem w znawców i interpretatorów prawa i biorą w obronę zasadę supremacji — w zakresie spraw małżeńskich — prawa cywilnego nad kościelnem.

Notując te biadania i skargi ewangelików, nie myślimy zapuszczać się w teologiczne z nimi spory o kompetencję Kościoła katolickiego w dziedzinie prawa małżeńskiego. Nie możemy jednak nie zwrócić uwagi panów pastorów i ich socjalistycznych obrońców na parę okoliczności, oświetlających wartość ich narzekań na Kościół z samej już formalnej strony.

Najpierw mylą się panowie prawnicy z konsystorza ewangelickiego, twierdząc, że bulli (dokładniej konstytucji) *Ne temere* nie uznaje żadne państwo na świecie. Uznaje ją choćby tylko wirtualnie nasza marcowa konstytucja, która w art. 114 orzeka, że w Polsce »Kościół rzymsko-katolicki rządzi się własnemi prawami«. Otóż odnośny przepis *Ne temere* wszedł jako kanon 1094 i 1099, 2º do nowego kodeksu prawa kanonicznego, obowiązującego cały świat katolicki i polski Kościół nie stanowi pod tym względem żadnego wyjątku. Jeżeli gdzieindziej prawodawstwo cywilne nie jest uzgodnione z prawem kościelnem, albo jeśli gdzie istnieją obowiązkowe śluby cywilne, to w żadnym razie i nigdzie Kościół nie jest krępowany w swoich orzeczeniach co do ważności lub nieważności węzła małżeńskiego *in foro ecclesiastico*, i wszędzie też sprawy takie, jak przytoczone przez *Zwiastuna*, rozstrzyga tak samo, jak rozstrzyga je w Warszawie. Jeśli ewangelicy warszawscy albo socjaliści krakowscy o tem nie wiedzą, to zdradzają ignorancję, która pozbawia ich prawa dawać lekcje historji lub kanonów katolickim biskupom.

Ale w Polsce metryka kościelna jest zarazem »aktem stanu cywilnego«; jakże więc może konsystorz katolicki ogłosić za nieważny akt, dokonany przez urzędnika państwowego, w danym razie protestanckiego pastora? Prosta rzecz: tak samo, jak konstatuje nieważność ślubu, zawartego nawet w kościele katolickim, jeśli wykrytą została jakaś przeszkoda, nie dopuszczająca prawnego zawarcia małżeństwa, np.

jeśli się okaże, że ślub zawartym został nie wobec właściwego proboszcza, ale wobec innego choćby katolickiego, wszakże nie uprawnionego kapłana. I sytuacji w danym razie nie ratuje wcale ta okoliczność, że z dopełnienia ślubu została spisana metryka i że tę metrykę dotąd prawo cywilne uważało za ważną. Właśnie w Polsce, na terenie o którym mowa, t. j. w byłym zaborze rosyjskim, o ważności lub nieważności małżeństwa rozstrzyga władza kościelna, której wyrok staje się podstawą dalszych skutków prawnych wobec prawa cywilnego.

Ewangelicy polscy, twierdząc w swoim artykule, że bulla *Ne temere* sprzeciwia się prawu obowiązującemu w Polsce, zdaje się wychodzą z tego założenia, że rzeczona konstytucja nie uzyskała prawnego uznania ze strony rządu rosyjskiego. Gdyby nawet tak było, to dziwnem zaiste należałoby nazwać postępowanie ewangelików »Polaków«, odwołujących się do carskich aktów, wrogich Kościołowi polskiemu i jeszcze dziwniejszem byłoby stanowisko *Naprzodu,* który raz po raz oburza się na przeżytki rosyjskiego absolutyzmu w polskiem prawodawstwie, a tu naraz ucieka się do carskiego »placet«. Ale ewangelicy polscy, zarówno jak socjaliści, nie lepiej orjentują się w niedawnej historji, jak w prawie kanonicznem. Jeżeli już chodzi o carskie »placet«, to konstytucja *Ne temere* uzyskała je od Mikołaja II jeszcze 13 wrzesnia 1907 r. (cyrkularz Ministerstwa do biskupów katolickich z d. 19 września 1907 r. N. 5126), a więc konsystorze katolickie nawet z tego tytułu mają prawo na niej się oprzeć. Wprawdzie niebawem w stosowaniu jej poczęto ze strony rządu rosyjskiego czynić Kościołowi różne trudności, zwłaszcza kiedy chodziło o małżeństwa mieszane katolików z prawosławnymi, ale była to samowola podrzędnych organów państwowych (okólnik ministra Stołypina), nie mogąca być stawianą na równi pod względem prawnym z zezwoleniem cesarskiem, a zatem nie mogąca pozbawić tegoż zezwolenia jego prawnej wartości. Okólnik carskiego ministra, jako godzący w wolność Kościoła katolickiego, spotkał się w swoim czasie z powszechnem potępieniem polskiej prasy, nie wyjmując zapewne i socjalistycznej, i nie przyniosłoby zaszczytu dzisiejszej prasie, choćby czerwonej, gdyby stawała w jego obronie, owszem rozszerzała jego znaczenie. Kościół katolicki w Polsce konstytucję *Ne temere* zaczął stosować od początku. Na tem tle miał miejsce w r. 1912 słynny proces, wytoczony przez prokuraturę rosyjską biskupowi Ruszkiewiczowi i całemu składowi sądu arcybiskupiego w Warszawie za orzeczenie nieważności ślubu marjawickiego. Pamiętamy, że znowu cała polska prasa, o ile mogła wy-

powiedzieć swe zdanie, stanęła po stronie biskupa. Wyrok sądu okręgowego w Warszawie, skazujący ks. biskupa Ruszkiewicza na »degradację«, został uchylony w wyższej instancji. Obecnie, nie marjawici, ale ewangelicy domagają się identycznego procesu przeciw temuż warszawskiemu sądowi arcybiskupiemu. Zaiste nie wiele nauczyli się od historji i niezaszczytną podjęli rolę, rolę denuncjatorów; niema też czego winszować i ich obrońcom z *Naprzodu*, domagającym się kary na katolickiego biskupa.

Jeszcze jedno. Ewangelicy oburzają się na katolickie prawodawstwo małżeńskie i żądają uznania wszelkich swoich aktów, dokonanych nawet nad katolikami, wbrew prawom katolickim — w katolickim kraju. Nie zdają sobie wszakże sprawy, jaki policzek wymierzają katolickiemu społeczeństwu, rozrywając dziesiątkami i setkami małżeństwa zawarte w kościele katolickim przez obie strony katolickie, i przyjmując w tym celu fikcyjne zgłoszenia na protestantyzm osobników, frymarczących zarówno przekonaniami religijnemi, jak świętością swych przysiąg. Jeśli odpowiedzą, że czyniąc tak postępują zgodnie z zasadami swego wyznania, niech raczą uznać również przynajmniej formalną słuszność aktom Kościoła katolickiego w tych razach, kiedy on postępuje zgodnie z własnemi zasadami. Oburzają się na stronę katolicką, która wycofuje się ze związku małżeńskiego, o jakim odrazu musiała wiedzieć, iż jest wobec Kościoła nieważnym, a ułatwiają innym targanie przysiąg, składanych w czasie ślubu z całą świadomością ich dozgonnego znaczenia... Dlatego zamiast oburzania się na prawodawstwo katolickie, lepiejby uczynili panowie pastorzy, gdyby nie dopuszczali u siebie do ślubu katolików wbrew obowiązującemu ich w sumieniu prawu; zapobiegliby tym sposobem lekkomyślności wielu i wynikającym stąd tragedjom rodzinnym.

Nie możemy zakończyć tego tematu, nie dawszy paru słów odpowiedzi specjalnie socjalistycznemu dziennikowi. Zwyczajem swoim wchodzi on w przekomarzania się teologiczne na temat rozwoju Kościoła i rozwodów. Sądzi, że jeśli uznajemy w Kościele ewolucję, to winienby Kościół, na wzór protestantów, dopuścić u siebie rozwody. *Naprzód* stawia nam za przykład Chrystusa, który »wyraźnie podkreślał swój pogląd ewolucyjny«, kiedy odrzucił żydowskie prawo rozwodowe. Przepis zakonu o rozwodach — tak komentuje *Naprzód* słowa Zbawiciela — »powstał w odległej epoce, gdy żydzi byli barbarzyńcami i prawodawstwo religijne musiało ten stan uwzględniać, sam Chrystus zaś przeciwstawia temu — wobec wyższego stopnia uspołecznie-

nia — nierozerwalność małżeństwa«. Kościół, jeśli uznaje zasadę ewolucji, winien według *Naprzodu* znowu wprowadzić rozwody.

Czy *Naprzód* nie zauważył braku logiki w swoich wywodach? Więc »ewolucja« ma polegać na cofaniu się do tych form, które dobre były dla Żydów w epoce, kiedy jeszcze byli barbarzyńcami? Czy ludzkość powróciła do niższego stopnia uspołecznienia, niż ten, jaki był za czasów Chrystusa? Kościół uznaje ewolucję, ale tylko w jednym kierunku, ewolucję wzrostu i wzmacniania się wewnętrznego, ewolucję coraz lepszego uświadamiania w sumieniu ludzkości odwiecznych Bożych prawd i praw. W zakresie małżeństwa Chrystus stanął na najwyższym stopniu ewolucji, ogłaszając raz na zawsze jego nierozerwalność i pod tym względem »ewolucja« Kościoła polegać będzie tylko na coraz silniejszem akcentowaniu świętości i nierozerwalności tego związku wobec swawoli współczesnych umysłów, rzeczywiście cofających się na bagna przedchrześcijańskiej barbarji. Ewolucja Kościoła — powtarzamy — to wzrost i wewnętrzna konsolidacja, a nie gnicie i rozkład. Biedne głowy, które nie spotrzegają tej różnicy i wikłają się same w sprzecznościach.

Ks. Jan Urban.

Notatki ekonomiczno-społeczne.

Pod znakiem kryzysu. — Nasze rynki zbytu. — Towarzystwo Ekonomiczne w Krakowie. — Z polskiego ruchu spółdzielczego.

Opinja publiczna i sfery rządowe są od czterech miesięcy zaniepokojone przesileniem, jakie przechodzi polskie gospodarstwo społeczne. Ściślej mówiąc zdenerwowanie objawia się głównie wśród mas robotniczych, częściowo wśród kupiectwa, natomiast przedsiębiorcy przemysłowi uspokoili się znacznie, kiedy uzyskali w P. K. K. P. za zgodą ministra finansów kredyt prawie 40 miljardowy. Rząd zaś objawia dużo równowagi i spokoju wobec alarmów kryzysowych, do tego stopnia, że socjaliści posądzili go o lekceważenie sprawy.

Jakżeż się sprawa przedmiotowo przedstawia?

Dać na to pytanie całkiem ścisłą i pewną odpowiedź, jest w polskich warunkach rzeczą niemożliwą. Przedewszystkiem niewiadomo z całą pewnością, ilu dziś w Polsce jest bezrobotnych wogóle, a ilu na bezrobocie skazał kryzys ekonomiczny. Ostatnie sprawozdanie ministra Pracy i Opieki Społecznej mówi o 193 tysiącach bezrobotnych, zajętych do niedawna w fabrykach, a prócz tego o 100 tysiącach reemigrantów i zdemobilizowanych, szukających pracy. Są to cyfry wprawdzie poważne, ale sądzimy nieścisłe i same z siebie niewiele mówiące, a w każdym razie nie dające powodów do zbytniej trwogi. Nie dawniej jak

dwa lata temu mieliśmy w kraju więcej niż pół miljona bezrobotnych, Ameryka ma ich około 6 miljonów, w Anglji liczba bezrobotnych sięga dwóch, według niektórych nawet trzech miljonów. Jeśli więc kwestję rozpatrujemy ze stanowiska społecznego, jak to czynią socjaliści, możemy się jeszcze cieszyć, że obecnie u nas jest względnie dobrze. Przecież każdy z tych miljonów bezrobotnych w Ameryce, Anglji, czy gdzieindziej odczuwa równie dotkliwie brak zajęcia i środków utrzymania, jak i nasi bezrobotni. O tem, że u nas kryzys ekonomiczny nie ma jeszcze zbyt ostrych form, mówi trochę brak masowych ruchów demonstracyjnych. Chociaż z drugiej strony demonstracje same nie dowodziłyby jeszcze niczego, gdyż masy robocze można łatwo agitacją rozkolebać w groźne fale demonstracyjne, nawet bez dostatecznej racji.

Inna rzecz, jeśli się sprawie przyjrzymy z ekonomicznego stanowiska, wówczas nasze bezrobocie, obejmujące okrągło 300 tysięcy, może się przedstawiać groźniej niż owe sześć miljonów amerykańskich. Zależy to od ogólnej liczby robotników u nas i gdzieindziej. Lecz tu znów skazani jesteśmy na domysły, a w następstwie tego na niepewność. Jeden z organów chrześcijańskiej organizacji zawodowej[1]) podaje liczby robotników na ziemiach polskich. Według tego zestawienia, w całej Polsce, bez Górnego Śląska, byłoby 474 tysiące robotników, a więc liczba dotkniętych bezrobociem wynosiłaby 38·3% ogółu robotników. Znaczyłoby to innemi słowy, że i nasze życie ekonomiczne zamarło przynajmniej w tym samym procencie. Owszem zamarcie wytwórczości krajowej jest stanowczo większe choćby z tego względu, że wiele fabryk zredukowało ilość dni roboczych, albo ilość godzin pracy. Powyższa atoli ilość robotników jest stanowczo za mała ; o ile za mała trudno napewno powiedzieć. Pewne przybliżenie do prawdy mogłyby dać statystyki związków zawodowych różnych zabarwień, które jeszcze według zestawienia Min. P. i O. Sp. z 1 września 1919 liczyły ponad 900·000 członków. Naturalnie, że ta liczba jest znów przesadzona, bo związki aż nadto są skłonne do przesadzania swej liczebności z łatwo zrozumiałych względów. Z tej strony zatem nie da się zdobyć żadnej pewności.

Spróbójmy rzecz zbadać na podstawie danych o zamkniętych zakładach przemysłowych. Pewnej liczby nie podają żadne źródła. Nawet Ministerstwo Przemysłu i Handlu nie posiada ścisłych dat. Jeśli znów sięgniemy po wiadomości, podane przez różne dzienniki, to kryzys nie ma zbyt groźnego oblicza. Przemysł hutniczy w chwili największego napięcia kryzysu, w grudniu, według relacji sekretarza związku polskich hut żelaznych[2]) nie zatrzymał w zupełności ani jednego przedsiębiorstwa, w wielu natomiast zredukowano ilość dni roboczych. Trzebaby jednak wiedzieć, czy i ile przedsiębiorstw jest poza związkiem i jak w nich wygląda przesilenie. Przemysł włókienniczy, który był najbardziej dotknięty kryzysem w chwili rozwoju in plus kryzysu wykazywał,

[1]) Ruch robotniczy, 1922, Nr. 1.
[2]) Robotnik z 4 grudnia 1921.

według sprawozdania jednego z kierowników Związku przemysłu włókienniczego, Barcińskiego[1]), zmniejszenia się o 38·7% robotników. Dziś jednak wobec wspomnianego kredytu napewno o takiej cyfrze nie można mówić. Owszem, przesilenie przezwyciężył pierwszy przemysł włóknisty. Z innych dziedzin przemysłu mamy równie niepewne, a raczej jeszcze bardziej niepewne dane tak, że wyrobienie sobie jasnego poglądu na rozmiary obecnego przesilenia jest zupełnie wykluczone.

Z tego jednak powodu nie wynika, że niema u nas dość znacznego przesilenia gospodarczego; ono jest i prawdopodobnie dłużej trwać będzie, niż niektórzy sądzą. Przebieg, rozmiary i trwanie przesilenia zależą głównie od jego przyczyn. Przyczyną zaś zasadniczą jest naruszenie przez wojnę podstaw wszechświatowego życia ekonomicznego, wyważenie polityki ekonomicznej z utartych dróg, któremi zmierzała do coraz większego dobrobytu społeczeństwa. Podstawą tą jest pieniądz i jego wartość. Jeśli sobie przypomnimy to, że pieniądz jest w życiu ekonomicznem, zarówno przy wytwórczości, przy obrocie, jak i podziale dóbr materjalnych miernikiem wartości i jeśli do tego dodamy fakt, że ten miernik dzisiaj jest zmienny, i to raz się kurczy, raz wydłuża, to łatwo zrozumiemy, że po wojnie i wskutek wojny nie można się niczego innego spodziewać, jak tylko przesileń gospodarczych. To też kryzys przeżywa dziś każde państwo i to tem większy, im bardziej jest uprzemysłowione, im więcej w swej produkcji liczy na zagraniczne rynki.

Bardzo charakterystycznem zjawiskiem jest błąd, który się już drugi raz powtarza w historji. Wielu mianowicie sądzi, że państwa odcięte wojną od głównych dostawców pewnych produktów w czasach normalnych, rzucą się z chwilą zawarcia pokoju na oferowany towar, jak wygłodzony człowiek na pokarm. Wskutek tego mniemania produkuje się dawne ilości towarów z miłą perspektywą, że się je sprzeda masowo po ukończeniu wojny. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Organizm państw wojujących jest wprawdzie wygłodzony brakiem normalnej dostawy towarów, ale przytem jest tak ekonomicznie wyczerpany przez wysiłki wojenne, że nie jest w stanie przyjąć podanego pokarmu. Jest tu ciekawa analogja z organizmem fizycznym, który po przemęczeniu, mimo faktycznego głodu, musi wpierw przyjść przez odpoczynek do sił, by mógł z pożytkiem przyjąć pokarm. Błąd ten popełniła Anglja w okresie wojen napoleońskich, produkując wiele na zbyt po wojnie, tymczasem tego zbytu po Kongresie Wiedeńskim zupełnie się nie doczekała, natomiast rok 1815 podaje historja rozwoju gospodarczego, jako pierwszą datę nowożytnego kryzysu. W obecnej fazie powtarza się to niemal dosłownie. Dlatego w Ameryce musiało stanąć tysiące fabryk, czynnych w czasie wojny, dlatego już długo po wojnie w Argentynie czy Danji palono mięsem lub masłem, przeznaczonem na wywóz i zniszczonem w ten sposób wskutek braku odbiorców.

[1]) Robotnik 29 listopada 1921.

W naszych polskich stosunkach może częściowo w obecnym kryzysie mści się i ten błąd, ale są inne bardziej wyraziste przyczyny przesilenia. Kiedy marka polska nabrała jakiegoś dziwnego rozpędu do spadania coraz niżej i w całem społeczeństwie, a przedewszystkiem u tych, którzy byli właścicielami większych kapitałów, objawiła się anormalna tendencja wyzbywania się pieniędzy, względnie marki polskiej. Kupowano na wyścigi towary, choćby aktualnie zupełnie niepotrzebne, nabywano pieniądz obcy, zakładano bez liczby przedsiębiorstwa przemysłowe osobiste, spółkowe, w towarzystwach akcyjnych. Rok 1921 będzie prawdopodobnie notowany jako okres najbujniejszego rozwoju towarzystw akcyjnych w Polsce. Nikt natomiast się nie spieszył z lokatą pieniędzy w bankach. Naturalnie, że wśród tych setek, czy tysięcy nowopowstałych zakładów przemysłowych nie wszystkie były zakładane na zdrowych podstawach finansowych i wiele z nich miało wybitną cechę tego, co się w ekonomji nazywa grynderstwem. Wszystkim zresztą brakowało tej niezbędnej usługi, jaką mogą dać banki przez kredyt przy finansowaniu przedsiębiorstw przemysłowych. W tej akcji musiała jednak nastać kategoryczna perypecja. Momentem zwrotnym było właśnie gwałtowne podniesienie się kursu marki polskiej. Za niem powinno było pójść potanienie towarów.

Lecz tu znów nastąpiły nowe zawikłania ekonomiczne, potęgujące napięcie kryzysu. Bodaj zawsze tak było na świecie, że z drożyzną łatwiej sobie społeczeństwa radziły niż z taniością. Dla ilustracji warto przytoczyć jeden drugi fakt. Kiedy w r. 1893 francuskie winnice obrodziły tak świetnie, że produkcja wina dosięgła 60 miljonów hektolitrów, wobec 30, które wytłaczano przez podrzednich 15 lat, cena wina wynosiła zamiast 50—30 fr., 25—8 fr., a rząd był zmuszony spieszyć z zapomogami ludności, uprawiającej winnice. W Grecji swego czasu był omawiany projekt, czyby z polecenia rządu nie było dobrze zniweczyć pewnej części korynckich zbóż, by w ten sposób uniknąć gwałtownej taniości i jej skutków. Jeśli zatem potanienie jednego artykułu wywołuje taki wstrząs w życiu gospodarczem, cóż mówić o tendencji ku taniości wszystkich przedmiotów! Wobec niej każdy ma respekt i czeka, że nuż jeszcze bardziej potanieje. Dogmat taniości jest najmniej pewny, ale najłatwiej zyskuje wiarę. Największymi niedowiarkami okazują się kupcy, ale stąd wynika prosty skutek, że towary u nich leżą, ruch handlowy zamiera, fabrykom brak zamówień, muszą wreszcie, wcześniej lub później, stanąć i fabryki i czekać z całem społeczeństwem.

Niektóre z nich już więcej się nie ruszą, a przynajmniej nie u dawnego właściciela, inne znów po zorjentowaniu się kupców, że jednak w głosach o taniości jest część prawdy, będą pracować dalej. Tak mimo wszystko trzeba przyznać, że społeczeństwo samo winne jest w wielkiej mierze obecnemu przesileniu, ono je spotęgowało, ono teraz cierpi przez nie i ono w wielkiej mierze zupełnie nieświadomie przyczyni się do jego usunięcia.

Lecz prócz tej działalności nieświadomej musi być i planowa

akcja. Rząd nasz poczynił już poważne kroki w tym względzie. Zabezpieczenie kredytu przemysłowego, zniesienia podatku od węgla, zastosowanie taryf różniczkowych na kolejach, wszystko to wielkiej doniosłości fakty. Jest ich zresztą jeszcze więcej.

Popieranie i rozwój przemysłu w Polsce jest wprost bezwzględną koniecznością. Konieczność ta wynika z gęstości zaludnienia[1]). Mamy w przecięciu gęstość zaludnienia zbliżoną do stosunków francuskich, zaś cała południowo-zachodnia część Polski ma prawie wszędzie 120 mieszkańców na 1 klm², czyli zaludnienie tak gęste jak w Niemczech, są pozatem powiaty, które gęstością zaludnienia dorównują przeciętnej w Belgji. Jeśli ta ludność niema być skazana na ostatnią mękę i na emigrację, nasze stosunki przemysłowe muszą dosięgnąć miary co najmniej francuskiej, w pewnych wypadkach nawet niemieckiej.

Z produkcją jednak łączy się druga sprawa, równie ważna — rynków zbytu. Mamy już traktaty handlowe z Rumunją, Francją, czekający na Jaworzynę — obyśmy mogli powiedzieć na resztę Śląska Cieszyńskiego — z Czechosłowacją. Ostatni na razie jeszcze nierealny, ale choćby nawet był już ratyfikowany, to należałoby się obawiać jego wpływu na nasz bilans handlowy raczej ujemnego niż dodatniego. Francja prócz ropy nie wiele od nas będzie potrzebowała, do nas zato popłyną stamtąd kosmetyki, jedwabie i wyroby przemysłu artystycznego. Natomiast bardziej naszego przemysłu może potrzebować Rumunja. Lecz dziwna rzecz, od konwencji handlowej z Rumunją upłynęło już sporo czasu, a o jakimś większym ruchu handlowym z nią nie słychać. Pochodzi to może z owego, wspomnianego wyżej, wyczerpania wojennego, ale, kto wie, czy nie wchodzi tu w grę nasz przyjazny konkurent, Francja. Francję już przed wojną łączyły z Rumunją bliskie stosunki handlowe, dziś zaś liczy ona wiele na rumuński rynek, jak to widać z pism francuskich. Bezwątpienia przyjaźń Rumunji z Francją skończy się na tem, gdzie się zacznie jej interes i jeśli będzie miała lepszy interes w stosunkach z Polską, pójdzie za nim. Czy jednak i przyjaźń Francji do Polski nie będzie miała tam kresu, wolno się zastanowić i kto wie, czy względy polityczne nie zbudują silnej barjery między nami a Rumunją.

W ostatnich tygodniach przystąpiono w Warszawie do ułożenia traktatu handlowego z Rosją. Ze względu na obszerność tego rynku, na jego potrzeby i na dawne stosunki sprawa przedstawia się bardzo doniośle. Przed wojną Rosja stanowiła główny rynek zbytu przedewszystkiem dla wyrobów tekstylnych i przędzalniczych. Fabryki łódzkie, białostockie i sosnowieckie zaopatrywały wystarczająco rynek wewnętrzny i nadto wysyłały do imperjum do 80% swej produkcji. Eksport wyrobów włókienniczych na Wschód stanowił prawie 65% ogólnego eksportu Kongresówki i mimo, że z Rosji sprowadzano surowce i tkaniny wyższej jakości, dawał saldo na korzyść Królestwa ponad 200

[1]) Talbor: Przyszłość gospodarcza Polski. „Przegl. Wszechpolski" 1922, N. 1.

miljonów rubli. Dziś zapotrzebowanie Rosji jest daleko większe i to nie tylko w tym względzie, ale co do wszystkich produktów. Kiedy jednak ten rynek będzie zdolny przyjąć produkty naszych fabryk, to trudno powiedzieć.

Przedewszystkiem zdaje się, że między nami a Rosją braknie dostatecznej ilości pośrednika handlu — wartościowego pieniądza. Na ruble sowieckie nie warto będzie ryzykować wywozu naszych produktów, a złoto podobno znika coraz bardziej z rosyjskiej powierzchni. Potrzebne ono jest na zagraniczną agitację, a pozatem różni komisarze asekurują sobie przyszłość poza bolszewickim rajem. Wchodzi tu zresztą w grę rząd bolszewicki, z którym przedstawiciele naszego rządu pertraktują o możliwości i warunkach wymiany. Na razie sytuacja tak się przedstawia, że rząd bolszewicki chce cały handel skoncentrować w swojem ręku, a doświadczenie czteroletnie każe nam podejrzewać, i to bardzo, lojalność tego rządu.

Silniejszy zresztą ruch handlowy zależny jest od owej gospodarczej odbudowy Rosji, o której marzą Niemcy i Anglicy. Jest to aż nadto widoczne, że w tych marzeniach chodzi głównie o to, by wzmocnić siłę kupna w społeczeństwie rosyjskiem i w ten sposób przygotować sobie teren na eksport. Czy z tych marzeń będzie coś rzeczywistego, o tem powie nam przyszłość, a pewne światło na tą sprawę rzuci nam oczekiwana konferencja w Genui.

Sprawami gospodarczemi Polski zajmuje się bardzo poważnie i fachowo Towarzystwo Ekonomiczne w Krakowie. Dnia 1 marca będzie rok, jak się Towarzystwo ukonstytuowało, a już w ciągu pierwszego roku swego istnienia oddało społeczeństwu nieocenione usługi. Przedewszystkiem w sprawach aktualnych, piekących, jak sprawa waluty, rozbudowy miast, drogą ankiety zbadało opinję wybitnych ekonomistów teoretyków i praktyków, a równocześnie w niejednym punkcie wpłynęło na opinję społeczeństwa, otwierając przystęp publiczności do swych odczytów. Również pomogło dużo rządowi polskiemu, przesyłając swój sąd w niejednej sprawie; nadto na wezwanie Ministerstwa Skarbu opracowało ustawę czekową. Osobna komisja w łonie Towarzystwa pracuje nad redakcją prawa budżetowego. Najbliższem owocem pracy Towarzystwa w roku bieżącym ma być odpowiedź na kwestjonarjusz Ligi Narodów w sprawie produkcji, konsumcji, eksportu i importu całej Polski, a następnie ankieta na temat kompetencji i organizacji Naczelnej Izby Gospodarczej, o której wspomina 68 artykuł Konstytucji[1]).

Kiedy każdego, kto się zajmuje bliżej sprawami naszego gospodarstwa narodowego, muszą ucieszyć wyniki solidnej pracy Towarzystwa w sferze teorji, nie mniej zadowolenia odnosi się z postępów, jakie czyni równie solidna praca spółdzielni poznańskich w sferze

[1]) Sprawozdanie Tow. Ekon. w Krakowie za rok 1921. Kraków 1922.

praktycznej ekonomji. Rok ubiegły był rokiem 50-cio letniego jubileuszu istnienia Spółek Gospodarczych. Praca Br. Załuskiego [1]) i jubileuszowe Sprawozdanie Związku Spółdzielni Zarobkowych i Gospodarczych są najlepszemi dokumentami tej solidnej pracy. Nie potrzebują zresztą sami Polacy chwalić działalności Spółek, bo mieli dla niej wielki respekt nawet Niemcy, a znany angielski ekonomista, Henry Wolff, nie zawahał się napisać, że »Polacy w Prusach (pod zaborem pruskim, p. R.) wykazali bardzo znamienną zdolność do kooperatywy we wszystkich formach, szczególniej atoli do kredytu kooperatywnego«. Te zdolności, zapoznawane przez nas samych, wyniosły jednego z wybitnych działaczy na terenie Spółek do godności czynnego członka zarządu Międzynarodowego Związku Współdzielczego.

Stało się to jeszcze wówczas, kiedy Spółki nie rozwinęły się tak szeroko, jak dziś i kiedy istniał tylko jeden rodzaj kooperatyw kredytowych. Od tego czasu spółdzielczość znacznie postąpiła. Spółki kredytowe wzrosły w liczbę. Dziś, prócz Spółek odciętych i śląskich jest 201 Spółek, jednoczących około 119 tysięcy członków. Prócz tego od r. 1901 istnieją »Rolniki«, mające za cel pośredniczenie w sprzedaży i zakupie produktów rolnych, względnie towarów potrzebnych do produkcji rolnej. Poznańskie i Prusy Zachodnie liczą dziś 64 »Rolników«. Nadto od dwu lat rozpoczął się ruch spółdzielczy spożywców. W tak krótkim czasie powstało 55 tego rodzaju spółdzielni oddziałowych ze 170 filjami i 93 tysiącami członków. Jakie znaczenie ekonomiczne mogą mieć te spółdzielnie, może powiedzieć jedna cyfra, mianowicie, że ogólny obrót samych spółdzielni kredytowych wynosił w r. 1920 przeszło 52 miljardy marek.

Bezwątpienia i inne dzielnice Polski mają u siebie silny ruch spółdzielczy, a nawet przewyższają Wielkopolskę i Prusy ilością spółek i obrotów, lecz pod względem organizacji wewnętrznej, centralizacji przy równoczesnej autonomji, pod względem systematyczności w każdym kierunku spółdzielnie poznańskie stoją na pierwszem miejscu. Może jednak jednolita ustawa polska o spółdzielniach, obowiązująca od 20 października 1920 r., podniesie wszystkie spółdzielnie polskie na ten poziom, zjednoczy cały ruch spółdzielczy do spełnienia owego olbrzymiego zadania, jakie na nie czeka: spotęgowania siły gospodarczej Polski i unarodowienia naszego życia ekonomicznego.

Ks. Romuald Moskała.

Ze Związku Historyków Sztuki.

Na posiedzeniu Związku historyków sztuki, w Krakowie dnia 10. XII. 1921., prof. dr. Jerzy Mycielski wygłosił odczyt: „Fra Filippo Lippi w świetle najnowszej naukowej literatury angielskiej". Prelegent, świetny znawca Odrodzenia, w żywy sposób skreślił znaczenie now-

[1]) Spółki Zarobkowe i Gospodarcze w Poznańskiem i Prusach Zachodnich ze szczególnem uwzględnieniem „Rolników". Warszawa 1921.

szych badań angielskich i wykazał całe znaczenie tak niezwykłej postaci, jaką był Fra Filippo dla dziejów Renessansu. Obszerniej zajmowali się Lippim J. A. Crowe and G. B. Cavalcaselle w swej: »New History of Painting in Italy«, London, której pierwszy tom wyszedł jeszcze w 1864 r. i Eugène Müntz: »Histoire de l' Art pendant la Renaissance«, T. II. Paris 1891., dalej Supino: »Fra Filippo Lippi«, Firenze 1902. i współcześnie z nim E. C. Strutt: »Fra Filippo Lippi«, London 1901. Venturi w swej wielkiej: »Storia del' Arte Italiana«, nie doszedł jeszcze do Lippi'ego, dalej B. Berenson: »The Florentine painters of the Renaissance« 1904 i »Drawings of the Flor. painters« 1903 i »The study and criticism of Italian art« 1901—3. Najważniejszą jest praca C. Strutta, który oparł się na swych badaniach w archiwach, zwłaszcza w Archivio dei Ceppi w Prato, usunął wiele błędnych twierdzeń Vasari'ego i ustalił rok urodzenia Lippi'ego, około 1406. W historji sztuki André Michel'a piszący o Lippim Pératé, nie należycie korzysta z badań Strutta. W literaturze polskiej Lippi dotąd nie uwzględniony, stąd ważność sprawozdania o jego pracy prof. Mycielskiego.

F. Lippi, ur. we Florencji jako syn i wnuk ubogiego rzeźnika, stracił ojca mając dwa lata, a matka oddała go na wychowanie do klasztoru Karmelitów. Tu okazał się chłopiec krnąbrnym i leniwym uczniem, do końca nie nauczył się dobrze po łacinie, ale za to zdradzał ogromne zdolności malarskie; to też gdy miał lat 16, zajęty był przy malowaniu fresków w kaplicy Brancacci'ch, którą malował Masolino; jest to pierwszy okres twórczości Lippie'go 1420—1425, w którym pozostaje pod wpływem Trecentystów, zwłaszcza Lorenza Monaco, którego naśladuje w sposobie malowania jakby powiększonych minjatur, tchnących uczuciem religijnem; widać też wpływ Masaccia, ale im dalej, tem więcej traci dawne tradycje, a tem więcej występuje żywioł świecki i zdąża w kierunku, za którym poszli Rafael, Lionardo da Vinci i Michał Anioł. Dowodzą tego trzy obrazy: 1) Najświętsza Panna adorująca Jezusa w lesie, będący przejściem od obrazów w rodzaju Fra Angelica do malarstwa religijno-rodzajowego; Jezus leży tu na trawie pomiędzy kwiatami; 2) Narodzenie i 3) Zwiastowanie, bliskie jeszcze dziełom Lorenza Monaco. W r. 1431, za pozwoleniem przełożonych, Lippi opuszcza klasztor i otwiera we Florencji pracownię malarską i teraz zaczyna się drugi okres jego twórczości. W latach 1431—1441, tj. w pierwszym podokresie florenckim, opiera się jeszcze na religijnych wzorach Lorenza Monaco, Masolina i Masaccia, a w drugim podokresie florenckim 1441—1452 już widać wpływ świata i sztuki klasycznej. Artysta prowadzi teraz wesołe życie. Już w 1431 wchodzi w stosunki przyjaźni z Cosimą Medicim Starym, który żywi dla niego uwielbienie, pomaga mu w życiu i nigdy nie odstępuje. W 1433—4 jedzie Lippi na tak zwane »wygnanie« Cosima do Wenecji i Padwy i maluje freski, jak udowadnia Strutt, w kościele św. Antoniego w Padwie. Strutt zbija bajkę Vasariego, jakoby w czasie przejażdżki okrę-

tem obok Ancony, porwali go korsarze i uwieźli do Berberji, gdzie miał malować portret sułtana. Cosimo wraca do Florencji w jesieni 1434 r., a wraz z nim i Lippi i pozostaje z nim i z jego synem Giovannim i Pierem w przyjaźni. W tych latach maluje dla Cosima do jego kaplicy Madonnę, jako obraz ołtarzowy i sławne »tondo« z pokłonem trzech króli; w tych właśnie czasach cesarz bizantyński był na soborze Ferrarsko-Florenckim, a wspomnienia pochodów i uroczystości odbijają się w orszakach trzech królów. W 1440 do 41 maluje Madonnę do kaplicy Medicich w kościele S. Croce, w którym to obrazie przebija się »stil nuovo«, a architektura tła oparta na wzorach starożytnych i wspaniały obraz Koronacji Najśw. Panny, dla zakonnic u św. Ambrożego, który kończy po siedmioletniej pracy w 1441 r. (Dziś w Akademji we Florencji). Tu występuje niezwykły przepych, wiele portretowanych pań, nawet z dziećmi, wspaniale przybrani aniołowie itd. Następnie jest Najśw. Panna bawiąca się z Jezusem, w rodzaju tym, który przypomina już Rafaela. W r. 1442 zostaje rektorem kościoła San Quiriao w Legnaja. W tym czasie ma skandaliczny proces z pomocnikiem swym Giovanni da Rovezzano, który skarży go o niezapłacenie wynagrodzenia za pracę, a dla wydobycia zeznań poddany jest Lippi torturom. Papież Kalikst III potępia go: »qui plurima et nefaria scelera perpetravit«, Cosimo Medici mimo to nadal go popiera, po dwóch latach rzecz idzie w zapomnienie, a Lippi zostaje w dwóch klasztorach żeńskich, a z tych w jednym w Prato kapelanem.

Zaczyna się teraz okres w Prato 1452—1467. Tu malowany obraz okrągły Madonny z Jezusem jest portretem Lukrecji Buti, która wychowywała się u zakonnic, a następnie wstąpiła do zgromadzenia w Prato, oddana tam wraz z siostrą po śmierci rodziców. Wedle archiwum w Prato, zbadanego przez Strutta, obraz Najśw. Panny, oddającej pasek św. Tomaszowi: »Madonna della cintola«, zamówiła opatka i pozwoliła pozować Lukrecji. W r. 1456 odbywał się w Prato olbrzymi obchód »della Cintola«, a wśród procesji Lippi porwał Lukrecję i jej siostrę do swego domu, który miał naprzeciw klasztoru i tu je trzymał dwa lata, potem — rzecz dla naszych pojęć niesłychana — obie siostry wracają do klasztoru i czynią pokutę, syn zaś Lukrecji i Lippiego, pozostaje u ojca; jest to sławny potem malarz Filippino Lippi. Skoro został papieżem Pius II, dla zakończenia gorszącej sprawy niemoralnego duchownego, zwolnił go, jak i Lukrecję Buti od wszelkich ślubów i pozwolił im wstąpić w związki małżeńskie. W tych czasach maluje Lippi swe najwspanialsze utwory, Madonnę z Aniołkiem i freski w prezbiterjum katedry w Prato, z obrazami z życia św. Jana Chrzciciela i św. Szczepana, pełne życia i wyrazu; zwłaszcza niezwykłe jest przedstawienie uczty Heroda, z tańcem Herodjady, ze wspaniałemi postaciami ludzi, głowami pełnemi wyrazu, nieco smutnemi, ze wspaniałemi szatami, a wszystko w łagodnem świetle dostrojonych barw. Pogrzeb św. Szczepana wyobrażony z wielką prawdą życiową, święty leży na marach, otaczają go płaczące żałośnie postacie i osoby portretowane, jak zwykle na obrazach Lippiego. Do końcowych dzieł na-

leżą freski w absydzie katedry w Spoleto, ze zwiastowaniem, Narodzeniem, Śmiercią i ukoronowaniem Najśw. Panny; przy tej pracy pomagał mu Fra Diamante. Fra Filippo Lippi umarł 1469, pochowany w Spoleto.

Rozmaitości.

Odczyty ks. Oraczewskiego. — Ks. Oraczewski objechał świeżo ważniejsze miasta Polski z odczytami o nieśmiertelności duszy i o »tworzeniu siebie«. Zarówno tematy odczytów, jak sława prelegenta jako doskonałego mówcy, ściągnęły na salę tłumy słuchaczy. Zgodność wiary z wiedzą, zwłaszcza w zagadnieniu nieśmiertelności duszy, szukanie w religji stron radosnych i podnoszących, zachęta do wyrabiania siebie — to były momenta, o które mowcy chodziło, momenta bezsprzeczne wielkie i świadczące o najlepszej jego woli.

Powtarzam — woli, bo wykonanie nie odpowiedziało chęciom. Pomijam już naukową stronę, nad którą musiałby nieraz poważnie kręcić głową uważny przyrodnik i filozof, a zwracam się do innej ważniejszej. A były tam rzeczywiście rzeczy ciekawe. Usłyszeliśmy egzegezę niektórych tekstów Pisma św., jakiej może żadna szkoła dotychczas nie wydała. Wysłuchaliśmy kilka orzeczeń kościelnych, lecz zrozumianych inaczej dzięki »ewolucji dogmatu«. Dowiedzieliśmy się — co najbardziej oryginalne — że człowiek będzie miał zaraz po śmierci ciało (perisprit), ponieważ twierdzenie, że przed zmartwychwstaniem dusza jego istnieje »bez ciała... jest kamieniem obrazy; ludzie tego nie mogą pojąć, czują, że »forma separata« to jakaś fikcja, błąd logiczny«. Niedość na tem. Obok ezoterycznych twierdzeń o nadświadomości, wyższem poznawaniu przez miłość, »biologicznej miłości« Chrystusa Pana itp., mieliśmy najwyraźniejsze polecenie wiedzy hermetycznej, zwłaszcza teozofji. Powiadam — polecenie, ponieważ przedstawioną została jedynie w świetle dodatniem, związania z dążeniem do prawdy i podana jako etap na drodze do chrześcijaństwa, a natomiast nie słyszeliśmy o niej ani jednego słowa ujemnego, żadnej wzmianki o wydanym niedawno dekrecie Kościoła. Człowiek mało uświadomiony w rzeczach wiary mógłby odnieść wrażenie, że chcąc zostać dobrym katolikiem, trzeba naprzód zwrócić się do wiedzy wschodniej.

Zaszło tu więc jakieś nieporozumienie. Ksiądz katolicki, objeżdżający Polskę i szerzący pod okiem władz kościelnych takie błędy, to zaiste rzecz dziwna. Całe szczęście, że mglisty albo bałamutny sposób mówienia łagodził niebezpieczeństwo i niejeden słuchacz wyszedł z pierwszego odczytu »zbudowany", a z drugiego nie zepsuty. Ale tem uspakajać się nie można; propaganda, która zapomina o nauce Kościoła, która słuchaczom nie ma żadnej innej lektury religijnej do wskazania prócz Hoene-Wrońskiego i Cieszkowskiego, może być tylko szkodliwą, zwłaszcza w dzisiejszych czasach zamętu pojęć.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 27 lutego 1922.

Walka
o historyczne podstawy chrześcijaństwa.

III. Nie mit, lecz fakt.

Że chrystjanizm, jako religja, że Kościół, jako potężna instytucja, wyrosły, niby z korzenia drzewo, z przekonania o zmartwychwstaniu Jezusa, zmartwychwstaniu prawdziwem, w tem samem ciele, które z krzyża zdjęte złożone było do grobu, to widzieliśmy w poprzednich naszych rozważaniach. [1]) Przyznaje to wraz z nami prawie cały racjonalistyczny obóz protestancki. Widzieliśmy atoli, jak cały ten obóz pracuje mozolnie, by genezę owego przekonania pierwszych chrześcijan, owszem apostołów o zmartwychwstaniu Jezusa wyprowadzić skądinąd, byle nie ze stwierdzonego faktu prawdziwego wyjścia z grobu istotnie zmarłego Jezusa. Powstanie bowiem zmarłego z grobu byłoby niewątpliwie cudem, a możliwości cudu cały ten obóz za nic w świecie dopuścić nie chce.

W przeglądzie hipotez, jakich niewierząca krytyka tyle napłodziła, w celu uniknięcia cudu, pozostała nam do obszerniejszego omówienia teorja D. F. Straussa i całej opierającej się na nim szkoły. Jest to teorja Wizyj podmiotowych, krótko przez niemiecką krytykę zwana *Visionstheorie*.

Apostołowie byli przekonani o zmartwychwstaniu Mistrza — to pewnik, ale przekonanie to zrodziło się pod wpływem złudnych przywidzeń — oto wytłumaczenie psychologiczne owego pewnika. Taka jest istotna teza całej najliczniejszej jeszcze dziś racjonalistycznej szkoły.

Zajrzyjmy tej teorji bliżej w oczy, by ocenić jej »psychologiczną« wartość.

Najpierw ustalmy, o jakie to zjawianie się Chrystusa chodzi, które racjonalizm każe nam tłumaczyć za pomocą hipotezy złudzeń. Za punkt

[1]) Por. Przegl. Powsz. [illegible] 1922 r.

wyjścia do naszych rozważań weźmiemy jeden z najstarszych zabytków piśmiennych pierwotnego chrześcijaństwa, I. list św. Pawła apostoła do Koryntjan.

Według dość już ustalonej chronologji, list ten pisany był najpóźniej w r. 57 naszej ery. W nim Apostoł narodów, z powodu wynikłych w Koryncie wątpliwości co do zmartwychwstania nie Jezusa, ale powszechnego zmartwychwstania ludzi, powołuje się jako na podstawę nadziei zmartwychwstania na zmartwychwstanie Jezusa. W tym celu przypomina Koryntczykom, co o Jezusie przepowiadał im osobiście. Z tejże chronologji wiadomo, że w Koryncie był św. Paweł w 51 lub 52 roku, zatem nauka, którą im w liście przypomina, jest nauką jego z owych lat. Lecz mało tego. Wyraźnie zaznacza Apostoł, że to, co im wtedy podał, to były rzeczy, które »wziął«, jak wynika z innych miejsc listów Pawłowych, jużto od Pana w widzeniach nadprzyrodzonych, jużto od apostołów. Z listu do Galatów (II, 2) wiadomo, że całą swą naukę, z jaką, cudownie nawrócony, miał wystąpić wobec pogan, porównywał z nauką apostołów podczas swej bytności w Jeruzalem w r. 50, a może nawet już w r. 38, kiedy w trzy lata po swem nawróceniu odwiedził Apostoła Piotra w stolicy kraju i mieszkał u niego dni piętnaście (Gal. 1, 18) i kiedy poznał również Jakóba, brata Pańskiego (tamże 1, 19). Wtedy mógł dowiedzieć się o okolicznościach, jakie zaszły po zmartwychwstaniu Jezusa, zatem i to, co powie o zjawianiach się Jezusa zmartwychwstałego, będą to twierdzenia, z jakiemi występowali również Piotr, Jan, Jakób i inni apostołowie co najwięcej w kilka lat po śmierci Jezusowej, a przynajmniej twierdzenia z ich świadectwem nie sprzeczne.

Cóż tedy mówi o zmartwychwstaniu Jezusa?

»Naprzód podałem wam, com też wziął, iż Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma; a iż pogrzebion jest, iż też powstał z martwych trzeciego dnia, według Pisma; ą iż widziany jest od Cephy (t. j. Piotra), a potem od jedenastu (t. j. apostołów). Potem był widzian więcej niźli od pięciuset braci razem, z których wielu trwa aż dotąd, a niektórzy zasnęli. Potem był widzian od Jakóba, potem od wszystkich apostołów. A na końcu po wszystkich był widzian i odemnie« (I Kor. 15, 3—8). Co z tego świadectwa wynika? To, że apostołowie powoływali się, jako na dowody prawdziwego powstania Jezusa z pośród umarłych, nie na jakieś nieokreślone marzenia czy wizje chorobliwe tego lub owego z pośród siebie, ale i na wspólne ukazywanie się Jezusa całemu zgromadzeniu, raz jedenastu apostołom, to znowu odrazu 500 wiernym, z których — dodaje św. Paweł — wielu

żyje jeszcze, to znowu wszystkim apostołom. Są to więc określone fakta, z których uczyniono jakby katechizmowy spis, których uczono wiernych na pamięć od początku głoszenia dobrej nowiny. Św. Paweł, przypominając Koryntjanom tylko pokrótce, co im ustnie opowiadał, nie podaje w jakich okolicznościach odbywały się owe widzenia Jezusa; ale czy można przypuścić, że słuchacze z pośród Żydów, a tembardziej z pośród pogan nieskorzy, do wiary w zmartwychwstanie, byliby tak łatwo uwierzyli w zmartwychwstanie Jezusa i do niego się nawracali, gdyby im apostołowie nie przedstawili przekonywująco, jak się te zjawienia odbyły i dlaczego musiało się je uważać za prawdziwe, nie zaś za jakąś ułudę? I rzeczywiście, zgodnie z tym psychologicznym postulatem, czytamy w przechowanej nam mowie św. Piotra, przy nawróceniu Korneljusza, że Piotr wyraźnie powoływał się na to, iż on i jego towarzysze, apostołowie, świadkowie »wybrani od Boga«, jedli i pili z Jezusem po zmartwychwstaniu (Dz. Ap. 10, 41). I dlatego trzeba przypuścić z całą pewnością, że i owe opowiadania o zjawianiu się Jezusa zmartwychwstałego uczniom, o których czytamy w ewangeljach, utworzyły się nie z fantazji, ale na podstawie szczegółowych świadectw apostołów. Właściwie są to te same zjawiania się, których prosty spis podał św. Paweł. Łukasz np. (24, 34) wzmiankuje wyraźnie o objawieniu się Jezusa Piotrowi na trzeci dzień po śmierci; tenże Łukasz (24, 36) opowiada o objawieniu się Jezusa jedenastu apostołom zebranym w wieczerniku; Jan św. wyraźnie mówi (rozdz. 20), że takich objawień było dwa, a zatem zgodnie z tem, co Paweł pisze; św. Mateusz (28, 16) mówi o jakiemś objawieniu się Jezusa w Galilei na górze, na którą uczniowie zostali zawezwani umyślnie. Mogło to być owo zjawienie się Jezusa odrazu 500 braciom, t. j. większej grupie zwolenników Jezusa, znajdujących się właśnie w Galilei. Tak upada trudność, którą niekiedy podnoszą krytycy, jako sprzeczność między ewangelistami, że jedni z nich opisują zjawiania się Jezusa apostołom w Jerozolimie, a drudzy wkładają Mu w usta rozkaz, skierowany do apostołów, by szli do Galilei, gdzie Go ujrzeć mieli. Sprzeczności tu żadnej niema. Wskazane w Galilei miejsce miało być punktem zbornym dla większej liczby uczniów, co nie przeszkadzało, że samym apostołom objawił się Jezus dwa razy przed ich odejściem z Jerozolimy.

Czy te wszystkie, tak zaświadczane zjawiania się Jezusa uczniom wolno poczytać za złudzenia, za halucynacje? Że ludzie ulegają złudzeniom — to rzecz wiadoma, ale niemniej jest rzeczą pewną, że opisane zdarzenia nie posiadają żadnych znamion złudzeń. Krytycy racjo-

nalistyczni usiłują odtworzyć te stany psychiczne, które rzekomo mogły wywołać podobne halucynacje, opisując je tak żywo, jakby czytali w duszach apostołów. Ale czy to tak łatwo dopuścić, że halucynacji uległ nie tylko ten lub ów z apostołów w wyjątkowem napięciu nerwów, ale że jednocześnie ulegało jej całe zgromadzone grono apostołów, owszem, że dla widzenia Jezusa zebrało się aż 500 ludzi, zapewne umyślnie zwołanych przez apostołów, i że oni wszyscy widzieli Jezusa, choć Go tam wcale nie było, że zatem wszyscy w jednej chwili ulegli złudzeniu? Czy może św. Paweł tak śmiało powoływałby się na fakt przez siebie zmyślony, w 20 lat, kiedy łatwo mógłby się spotkać z kategorycznem zaprzeczeniem?

Halucynacja jest to stan nienormalny — projekcji na zewnątrz jagiegoś przeżycia, które dokonywa się w samej tylko wyobraźni pacjenta. Krytycy lubią wskazywać na tę okoliczność, że św. Paweł, dzięki swemu chorobliwemu usposobieniu — którego, nawiasem mówiąc, z jego listów nie można udowodnić — był podatnym subjektem do tego rodzaju przywidzeń i że do ich rzędu może być odniesiona i jego wizja na drodze do Damaszku, wizja, która z prześladowcy chrześcijan uczyniła go apostołem Jezusa. Mniejsza na razie o Pawła! Przypuśćmy, że on miał halucynacje, co to jednak ma do rzeczy, kiedy jest mowa o innych apostołach, owszem o pięćsetnym tłumie uczniów? Wszak chyba trudno przypuścić, by całe grono apostołów, czy cały ten tłum składał się z samych patologicznych subjektów, wizjonerów. Ciekawe, że ci wieśniacy, rybacy i robotnicy, żyjący na łonie przyrody, zdala od szarpiącej nerwą kultury, odrazu stali się osobnikami niepoczytalnymi, odrazu jakby na komendę widzieli rzeczy nie istniejące, i nie umieli połapać się na swojej iluzji! I jeszcze jedna w tem wszystkiem okoliczność dziwna, że te widzenia zjawiają się z całą wyrazistością przez czas jakiś, wszystkiego może sześć razy, a potem zupełnie ustają i więcej się nie powtarzają. Jak krytyka wytłumaczy, że apostołowie po kilku tygodniach odrazu wszyscy wyzdrowieli ze swego patologicznego stanu i stali się niezdolni do dalszych widzeń? Czyż nie należałoby się spodziewać, że skoro te widzenia były rezultatem zachwianej równowagi ich ducha, napięcia nerwów i rozpalenia wyobraźni, to winnyby się dalej powtarzać, tem bardziej, że entuzjazm apostołów dla sprawy Jezusa właśnie wzrósł i rozwinął się dzięki pierwszym widzeniom?

Następnie, halucynacje nie powstają z niczego. Wymagają one pewnych predyspozycyj, pewnego — że tak powiemy — materjału, który — jakby się wyraziła nowsza psychologja — gromadzi się i spo-

czywa głęboko gdzieś w »podświadomości«, by przy sprzyjających warunkach wyłonić się z niej wyraźnym obrazem. Czy takie predyspozycje, jakie przypuszczają u apostołów krytycy, istniały w rzeczywistości i czy byłyby zdolne wywołać złudzenia widzenia i obcowania ze zmartwychwstałym?

Wskazują krytycy na to, że apostołowie, podzielając rozpowszechnioną wiarę w nieśmiertelność duszy i w zmartwychwstanie ciał, łatwo mogli jakieś przywidzenie wziąć za rzeczywiste zjawienie się żywego Jezusa. To tłumaczenie wszakże nie wystarcza. Wszak wśród nas istnieje również wiara w nieśmiertelność duszy i ciał zmartwychwstanie, a czyż po stracie drogiej nam osoby, przypuściwszy, że nie tylko we śnie, ale i w jakimś chorobliwym stanie wyobraźni zobaczylibyśmy ją, czyż najprostszy nawet z naszych prostaczków wpadnie stąd na myśl i nabędzie głębokiego przekonania, że opłakiwana przezeń osoba wstała z grobu?

Lepszem bezwątpienia przygotowaniem do wizyj byłoby oczekiwanie przez apostołów zmartwychwstania Jezusa, jakkolwiek i takiego oczekiwania nie należy przeceniać. Formułę Renana, że »oczekiwanie zwykle tworzy swój przedmiot»[1]) można przyjąć tylko z wielkiemi zastrzeżeniami, — mianowicie, jeśli oczekujący ulegli takiemu zachwianiu równowagi duchowej, że stają się niezdolni do żadnej kontroli realności czy fantastyczności swych myśli. Atoli u apostołów po śmierci Jezusa nie można wcale wykazać żadnego oczekiwania zmartwychwstania Jezusa. Owszem, wszystko, co o nich wiemy, świadczy o czemś przeciwnem. Wprawdzie ewangelje podają, że Jezus kilkakrotnie przepowiadał swe zmartwychwstanie, ale krytyka racjonalistyczna sama odrzuca te przepowiednie jako później zmyślone; nie ma więc prawa widzieć w nich źródła nadziei uczniów. My, choć słowa Jezusa uznajemy za autentyczne, jednakże z tychże samych źródeł, w których je czytamy, wiemy, że nie były one zrozumiane przez apostołów. Stan ich umysłów był taki, że wprost w głowach ich wcale nie mieściło się się przypuszczenie, by obiecany Mesjasz, za jakiego mieli Chrystusa, mógł umrzeć wpierw, nim założy swoje królestwo; przepowiedni zatem o męce i zmartwychwstaniu słuchali tak, jak się słucha wielu innych rzeczy nie znajdujących w umyśle żadnego punktu zaczepienia. Sami zresztą krytycy racjonalistyczni ze Straussem na czele uznają, że ze śmiercią Jezusa uczniowie Jego zupełnie upadli na duchu, zwątpili o wszystkiem

[1]) Renan, Les Apôtres, wyd. 1867 r. str. 18.

i rozproszyli się. Z wyjątkiem rozproszenia wszystko inne jest prawdą. Apostołowie w istocie zmartwychwstania nie oczekiwali; ich usposobienie najlepiej oddał św. Łukasz w swojem opowiadaniu o dwóch uczniach, idących do Emaus (24, 13—33): »Myśmy się spodziewali, że On uwolni Izraela, a oto już trzeci dzień, jak się rozbiły nasze nadzieje«. Widzieli tylko dwie alternatywy: albo Jezus stanie się za życia Mesjaszem, według ich pojęcia, albo, jeśli umrze, to będzie znak, że Mesjaszem wcale nie był. I ewangelje opowiadają nam jeszcze, że wizyj zmartwychwstałego nie tylko nie wywołały żadne oczekiwania ich ze strony apostołów, ale że nawet wtedy, kiedy Jezusa ujrzeli, nie odrazu dali się przekonać, że to rzeczywistość, a nie złuda. Niewiasty przybiegły od grobu, zwiastując, że widziały aniołów, a nawet samego Pana, — nie wierzono im; Piotr ujrzał Jezusa, — inni mu jednak nie wierzyli; zjawił się Jezus dziesięciu apostołom, lecz i ich świadectwo nie przekonało nieobecnego Tomasza, dopóki sam Jezusa nie ujrzał i głosu z ust Jego nie usłyszał. Wiemy, że racjonaliści wszystkie te ostrożności apostołów i ten ich krytycyzm podają w wątpliwość, jako późniejsze zmyślenie; pytamy ich atoli, jeżeli już nie podoba się im ten lub ów szczegół z opowiadań historycznych, dlaczego odrzucają nawet ogólną, ujawniającą się w tych szczegółach tradycję, że apostołowie nie lekkomyślnie, ale po dobrem sprawdzeniu uwierzyli w rzeczywistość zmartwychwstania? Ta ogólna tradycja musiała się opierać chyba na opowiadaniach samych apostołów; lecz dlaczegóżby oni mieli oskarżać się o taką trudność uwierzenia w zmartwychwstanie, gdyby jej nie byli doświadczyli?

Jeżeli nie oczekiwanie zmartwychwstania, to co jeszcze mogło nasunąć apostołom myśl, że Jezus żyje i stworzyć w ich wyobraźni podłoże do wizyj? Racjonaliści, od Straussa począwszy, wskazują na księgi Starego Zakonu, w których zrozpaczeni mogli wyczytać proroctwo zmartwychwstania Mesjasza. Lecz i tego usiłowania krytyki nie można nazwać udanem. W mesjańskich pojęciach Żydów, wśród których apostołowie się wychowali, nie było wcale idei o tem, że Mesjasz będzie zabity i powstanie z grobu. Te ustępy Pisma, na które później apostołowie będą się powoływali w swej polemice z Żydami, były rozumiane za ich czasów inaczej i wogóle nie podejrzewano proroczego ich znaczenia. Zresztą, jak nam podają Dzieje Apostolskie (2, 24—31), apostołowie, twierdząc później, że Chrystus zmartwychwstał zgodnie z Pismem, powoływali się tylko na jeden wiersz Psalmu 15: »Nie zostawisz duszy mojej w piekle i nie dasz świętemu twemu oglądać ska-

żenia«. Czy ten wiersz Psalmu był na tyle jasny, by zrozpaczeni i upadli na duchu apostołowie mogli go wziąć ze przepowiednię mesjańską i wyczytać z niego pewność zmartwychwstania Jezusa? Wszak przez wieki całe czytano te słowa, a na taką myśl nikt nie wpadł! Jeżeli później apostołowie będą się powoływali na słowa psalmisty, to ewangelja (Łuk. 24, 45—46) tłumaczy nam, skąd pochodziło takie słów owych zrozumienie. Sam Jezus zmartwychwstały wskazał im, że ów psalm opiewał o Nim, i że potrzeba było, aby Chrystus umarł, zmartwychwstał i w taki sposób, a nie w taki, jaki oni sobie uporczywie wyobrażali, wszedł do chwały swojej, t. j. zainaugurował swoje królestwo. I dlatego chociaż w polemice z Żydami będą wskazywali na to, że ów wiersz psalmu usuwa trudność przypuszczenia śmierci Mesjasza, jednak swoje świadectwo o zmartwychwstaniu Jezusa nie na egzegezie owego ustępu Pisma opierać będą, ale na tem, że obcując z Nim po zmartwychwstaniu, stali się jakby urzędowymi świadkami prawdziwości Jego wskrzeszenia.

Racjonaliści wskazują jeszcze na osobisty stosunek, jaki łączył apostołów z Jezusem za życia. To ma być właściwe źródło, z którego zrodziły się ich wizje. Miłość do Mistrza, przywiązanie do Jego osoby, żywe wspomnienia otrzymanych od Niego dowodów dobroci, wiara w Niego, jako w obiecanego Mesjasza, mogły po śmierci Jezusa wywołać w sercach apostołów gorące pragnienie, aby to, co się stało na Golgocie, w jakiś sposób odstało się, żeby jakimś cudem cofniętem zostało. Oto rzekoma predyspozycja do wizyj.

Przypatrzmy się jednak bliżej tej mniemanej predyspozycji. Czy jest miłość mocniejsza nad miłość matczyną dla jedynaka syna? I oto tyle matek odbiera smutne wiadomości o brutalnej śmierci swych jedynaków na polu walki. I one pragną, aby to co się stało, odstało się w jakiś sposób, — czy jednak z tego mają wyniknąć wizje, albo jeśli któraś z matek ujrzałaby jakąś zjawę swego dziecka, czy poczyta to z koniecznością za dowód jego cielesnego zmartwychwstania? A dalej, czy faktycznie afekty apostołów względem Jezusa po śmierci Jego były tak silne, jak wystawiają sobie krytycy w interesie swej teorji? Co się tyczy wiary w mesjański charakter Jezusa, to ta — zgadza się na to i Strauss — prysła w chwili Jego śmierci i odrodzić się nie mogła, jak tylko na podstawie innych pojęć o Mesjaszu, a te inne pojęcia zrodziły się w apostołach dopiero wtedy, kiedy już byli pewni zmartwychwstania Jezusa. Z upadkiem zaś wiary, i miłość ku Jezusowi i przywiązanie do Niego musiały zostać zatrute uczuciem doznanego zawodu,

a zatem pewnego rodzaju upokorzeniem i płynącym stąd żalem do Jezusa. Czy z takich uczuć mogły powstać wizje Jezusa i to tak żywe, że wzięto je za rzeczywistość? Co pomaga tu świeże powietrze Galilei, jej ładne krajobrazy, którym wprost magiczny wpływ przypisują krytycy, jakoby one podniosły w apostołach upadłą wiarę i wskrzesiły entuzjazm! Zdrowe naturalne warunki, jeżeli coś mogły zdziałać, to chyba tylko rozprószyć resztę mirażów, jakie zaległy były dusze apostołów, a wobec katastrofy na Golgocie silnie się zachwiały.

Wszystko tedy, co racjonaliści odczytują w duszach apostołów, a co miało ich rzekomo usposobić do złudnych przywidzeń, wszystko to jest właśnie tylko przywidzeniem samych racjonalistów, potrzebnem dla ich negatywnego względem zmartwychwstania stanowiska. Niema zaś ani śladu tych usposobień w tradycji ewangelicznej, i po głębszem wmyśleniu się we wszystkie okoliczności, musi się przyjść do przekonania, że od wszelkich podobnych usposobień do wizyj i wiary w zmartwychwstanie Jezusa apostołowie byli dalecy, owszem na takowe odporni i do uwierzenia w zmartwychwstanie Mistrza trudni. Jeżeli pomimo to tak głęboko uwierzyli, że Jezus powstał z grobu, to ufajmy im, że rzeczywiście o prawdziwem zmartwychwstaniu Mistrza dowodnie się przekonali. Ewangelje nam mówią, jak się to stało. Oni widzieli Mistrza, nie jako jakieś widmo nieuchwytne, ale rozmawiali z Nim, odbierali od Niego dalsze nauki i polecenia, łamali z Nim chleb, dotykali śladów męki Jego.

Obok tych namacalnych dowodów zmartwychwstania Jezusa, mieli jeszcze inny dowód — grób pusty. Ten grób jest prawdziwym krzyżem dla racjonalistów, nic więc dziwnego, że czynią wiele wysiłków, by dowodową siłę jego umniejszyć. My mówimy: kiedy apostołowie doznali pierwszych widzeń zmartwychwstałego Mistrza, chyba pierwszą rzeczą, którą powinni byli uczynić było pobiec do grobu, by się upewnić, czy faktycznie Jezus powstał w ciele, czy też zjawianie się Jego jest ułudą, albo co najwięcej zjawianiem się Jego »ducha«. Ten postulat narzuca się z psychologiczną koniecznością, i ewangelje świadczą, że tak też apostołowie uczynili. Św. Łukasz (24, 24) wzmiankuje, że nietylko niewiasty — o czem wszyscy ewangeliści mówią — znalazły grób próżny i widziały przy nim aniołów, ale że i niektórzy z apostołów pobiegli do grobu i znaleźli, jako im niewiasty opowiadały. A św. Jan (20, 3—10), podając imiona dwóch z tych uczniów, co pierwsi grób badali, z plastycznością naocznego świadka przytacza

wszystkie szczegóły badania. Bieżeli do grobu we dwóch; Jan Piotra wyprzedził, nie wszedł atoli pierwszy do grobu, lecz Piotr, który za nim przybył. Widzieli grób pusty, a taśmy i chustę leżące zwinięte w dwóch osobnych miejscach..... Czy te szczegóły miały jakieś szczególne apologetyczne znaczenie, żeby je zmyślał pisarz, piszący z fantazji? Czy nie świadczą one raczej, że wyskoczyły wprost z żywych wspomnień kogoś, kto sam brał udział w opowiedzianem zdarzeniu?

Cóż więc z tym pustym grobem począć? Co do tego punktu zgoda między racjonalistami dotąd nie dała się osiągnąć. Najradykalniej poczyna sobie Loisy. Żadnego — twierdzi on, — grobu nie było; ciało Jezusa, jak innych straconych, rzuconem zostało do jakiegoś wspólnego dołu, i próżno byłoby wśród nich szukać ciała Jezusowego[1]).

Jest to rozpaczliwy wysiłek odstępcy, który za jakąbądź cenę chce pozbyć się konieczności przyjęcia prawdziwego zmartwychwstania, a jasno widzi, że apostołowie nie mogli nie interesować się grobem Jezusa, jeśli Jezus rzeczywiście był w znanem miejscu pogrzebany. Co do tej ostatniej niemożliwości, to zupełnie zgadzamy się z Loisym, co się zaś tyczy pogrzebu Jezusa, nie mamy potrzeby wiele z nim polemizować, skoro jego brutalne twierdzenie nie znalazło uznania nawet w kołach jego kolegów po krytyce. Powiemy tylko, że słuszną jest rezerwa tych ostatnich. Bo jeśli z ciałem Jezusa tak postąpiono, jak chce Loisy, to jakim sposobem utworzyło się przekonanie przeciwne o honorowym pogrzebie Jezusa, przekonanie, które znalazło wyraz u wszystkich ewangelistów, opisujących szczegółowo pogrzeb w pożyczonym przez Józefa z Arytmatei grobie? przekonanie, które — jak wnioskujemy z listu św. Pawła do Koryntjan — w pierwszych latach Kościoła było już jakby artykułem katechizmu i wyznania wiary, jak dotąd jest w naszem »Wierzę«, w którem powtarzamy: »umarł i p o g r z e b a n y jest«? Czy głosiciele wiary w Jezusa ośmieliliby się zmyślać ten pogrzeb, wobec faktu, że wielu jeszcze żyło, którzy mogli im kłam zadać, gdyby Jezus rzeczywiście był porzucony bez pogrzebu? Czy mógłby św. Piotr wobec tłumu słuchaczy, w kilka tygodni po śmierci Jezusa przeciwstawiać pusty już Jego grób grobowi Dawida, którego ciało uległo skażeniu? (Dz. Ap. 2, 29—31). Co byliby mu odpowiedzieli Żydzi na to? czy nie odparliby z triumfem, że Jezus przecież żadnego grobu nie posiada?

---

[1]) Les Évangiles synoptiques, t. I, str. 223.

Słusznie więc racjonaliści, z wyjątkiem Loisy'ego, przyjmują za fakt, że Jezus rzeczywiście był pogrzebany mniej więcej w takich okolicznościach, jak opowiadają ewangelje. Ale jeśli tak, to tem trudniej zrozumieć, w jaki sposób byłaby mogła powstać wiara w zmartwychstanie Jezusa, gdyby ciało Jego pozostało było w grobie. Do tego potrzebne jest racjonalistom nowe przypuszczenie: apostołowie zaraz po schwytaniu Jezusa rozpierzchli się, uciekając do swojej ojczyzny — Galilei. Tam mieli halucynacje zmartwychwstania Mistrza, lecz ich objektywności sprawdzić nie byli w stanie, będąc tak daleko od grobu Jezusowego. Ta hipoteza pokutuje już od czasów Straussa. Ale czy więcej ona warta od twierdzeń Loisy'ego? Jeżeli wszystkie wizje apostołów miały miejsce w Galilei, to jak zrozumieć powstanie w krótkim czasie tradycji, upamiętnionej w ewangeljach Łukasza, Jana i w zakończeniu ewangelji św. Marka, że większa ich liczba (bo wszystkie prócz dwóch) zaszły właśnie w Jerozolimie? Jeżeli niektórzy z krytyków uciekają się do nowej hipotezy, że apostołowie sami, albo ich najbliżsi następcy zmyślili jerozolimskie wizje i sprawdzanie grobu, by łatwiej o zmartwychwstaniu przekonać niewierzących, w takim razie nawracają do odrzuconej *en gros* hipotezy Reimarusa — hipotezy świadomego oszustwa — odrzuconej dlatego, że godzi w dobrą wiarę i szczerość apostołów, którą oni stwierdzili całem swem życiem i poświęceniem.

Na potwierdzenie swego przypuszczenia, że apostołowie mieli wizje tylko w Galilei, racjonaliści nowsi powołują się na urywek z apokryficznej, t. j. odrzuconej przez Kościół i potem zaginionej ewangelji Piotra, urywek znaleziony w jednym grobie w Akhmim w Egipcie r. 1886. Czytamy tam, że apostołowie, zrozpaczeni śmiercią Jezusa, opuścili Jerozolimę, by udać się do swych domów. A zatem, — mówią racjonaliści, — według świadectwa tego zabytku, apostołowie nie widzieli jeszcze Jezusa w pierwszych dniach po Jego śmierci, jak chcą ewangelje kanoniczne. Lecz godzi się zapytać tych krytyków, dlaczego przywiązują taką wagę do ewangelji, która, jak stwierdziła już krytyka, powstała dopiero w połowie 2 wieku, i to w kołach heretyckich i dlatego przez Kościół była odrzucona, a nie chcą wierzyć ewangeljom kanonicznym, o całe sto lat starszym, np. Łukaszowi, który opisuje widzenia miane przez apostołów w Jeruzalem? I skąd jakiś nieznany pisarz, podszywający się pod autorstwo Piotra, mógł mieć w 120 lat po wypadkach wiadomości dokładniejsze, niż te które trwały w tradycji Kościoła i w uznanych przez Kościół ewangeljach? Zresztą i omawiany apokryf przeczy przynajmniej częściowo wywodom krytyków: oni każą

apostołom ratować się ucieczką zaraz po uwięzieniu Jezusa, a apokryficzna ewangelja Piotra mówi, że oni opuścili miasto dopiero po skończeniu świąt wielkanocnych, czyli co najmniej w ośm dni po śmierci Jezusa. Czy wolno z jednego i tego samego świadectwa wybierać jedną wiadomość a odrzucać drugą?

Zresztą mniemana ucieczka apostołów nie na wiele przyda się racjonalistom. Strauss i wielu jego uczniów każe apostołom przebywać w Galilei nie parę tygodni, jak wynika z ewangelji i Dziejów Apostolskich, ale jakiś dłuższy, choć nieokreślony czas, w przeciągu którego miała powstać, rozwinąć się i utrwalić wiara w zmartwychwstanie Jezusa, bez możności sprawdzenia grobu. Przypuśćmy, że wszystko tak było, jak chcą krytycy. Wszakże wreszcie, dajmy na to po roku, apostołowie powrócili do Jerozolimy, gdyż według wszystkich tradycyj tam się pod ich kierunkiem zawiązała pierwsza chrześcijańska gmina. Czyż wtedy byliby obojętni na grób Jezusa i nie odszukali go, jeżeli nie dla upewnienia się o zmartwychwstaniu, bo przypuśćmy że i bez tego — w myśl hipotezy — już mocno wierzyli w nie, to przecież choćby dla samego uczczenia miejsca, gdzie ich Mistrz spoczywał? Jeśliby zaś znaleźli wtedy ciało czy kości w grobie, czyż nie prysłaby ich wiara, a jeżeliby grobu nie odszukali, czyż Piotr powoływałby się z taką śmiałością na grób Jezusowy?

Racjonaliści mają z grobem Jezusa zaiste wiele kłopotu. Wielu z nich dlatego częściowo kapituluje i zgadza się, że w istocie apostołowie musieli znaleźć grób pustym, ale — dodają — to niczego nie dowodzi, boć przecież coś innego mogło stać się z ciałem Jezusa niż powstanie z martwych. A co się stało? Jeżeli nie wykradli ciała apostołowie, jak chciał Reimarus, a czego dzisiejsi racjonaliści już nie dopuszczają, jeśli nie powstał Jezus z letargu, jak fantazjował Paulus, co jednak cała późniejsza krytyka słusznie wyśmiała, to kto i w jakim celu mógł usunąć z grobu ciało i czemu przypisać, że rzecz ta nie wydała się nigdy, choć tylu było interesowanych, przedewszystkiem wrogowie Jezusa, w wykryciu prawdy? Już za czasów Tertuljana [1]) ze strony wrogów chrześcijaństwa podsuwano przypuszczenie, że ciało z grobu usunął ogrodnik, by mu ciekawi odwiedzający nie zakłócali spokoju i nie deptali warzywa. Renan podejrzewa o to Magdalenę, która mogła to zrobić z wielkiej ku Jezusowi miłości[2]). Inni jeszcze, jak dwaj Holz-

[1]) De spectaculis, Migne, P. L. t. 1, col. 662.

[2]) Przypuszczenie takie wydaje się Renanowi możliwem (Les Apôtres, wyd. 1867, str. 36), chociaż kilka stron przedtem opisywał, jak Magdalena pierwsza

manny, widzą w wyobraźni, jak Józef z Arymatei, który, w obec nadchodzącego szabatu, pogrzebał ciało Jezusa w prowizorycznym grobie, zaraz po ukończeniu szabatu w nocy wywiózł je z Jerozolimy, by sprawić mu ostateczny pogrzeb w rodzinnym swym grobowcu na prowincji. Wiedzą nawet, ilu użył sług do tej ekshumacji i transportu zwłok. Ale czy chociażby najżywsza wyobraźnia może zastąpić brak dowodu? A te wszystkie przypuszczenia są tylko grą wyobraźni, którą wybacza się poetom, ale która jest niegodna roszczących sobie pretensje do naukowości i krytycyzmu autorów. Któżto był — pytamy — ten Józef z Arymatei? Czy wierzył w Jezusa, czy nie? Jeżeli nie, skąd się wziął u niego taki pietyzm dla skazanego na śmierć pseudo-mesjasza? Jeżeli zaś wierzył w Jezusa, jako Mesjasza prawdziwego, dlaczegóż ukrył zwłoki Jego w tajemnicy przed uczniami Jezusowymi? Jeżeli był bojącym się Boga, to jak wytłumaczyć jego uparte milczenie, kiedy jego czyn przyczynił się do utrwalenia błędu o zmartwychwstaniu Jezusa, błędu, na którym w jego oczach budowała się nowa religijna społeczność, Kościół, grożący ruiną ojczystej religji, a czemu wszystkiemu można było łatwo zapobiec przez proste wskazanie nowego miejsca spoczynku ciała. Ciekawe, że nie zdradził tajemnicy nikt ze sług, którzy Józefowi musieli pomagać w jego robocie! Pytania i dziwy mnożą się, a na żadne nie usłyszymy od racjonalistów żadnej prawdziwie racjonalnej odpowiedzi.

Jeszcze chcę zwrócić uwagę na jeden szczegół z przepowiadania apostołów o zmartwychwstaniu Jezusa, szczegół stwierdzający, że apostołowie musieli przekonać się o zmartwychwstaniu, jako o pewnym zewnętrznym fakcie przy skonstatowaniu próżnego grobu. Mianowicie we wszystkich, jakie doszły do nas, źródłach znajdujemy określoną datę zmartwychwstania Jezusa: powstał d n i a t r z e c i e g o po śmierci. Tak czytamy w ewangeljach, w mowach św. Piotra, przechowanych w Dziejach Apostolskich, wreszcie w liście św. Pawła do Koryntjan. Z tego listu można wywnioskować, że to była utarta już formułka, której na pamięć się uczono, jak i my dotąd ją powtarzamy: »trzeciego dnia zmartwychwstał«. Pamiątkę tego trzeciego dnia, to jest niedzieli, uczcił zaraz pierwotny Kościół, nazywając ją dniem Pańskim i czyniąc z niej święto zamiast żydowskiego szabatu.

Skąd apostołowie nabyli tej pewności, że Jezus zmartwychwstał

---

ujrzała jakieś widmo, wzięła je zrazu za ogrodnika, jak się pytała o ciało Mistrza, itd. Jeden z wielu lapsusów logiki u tego niezrównanego mistrza sofisterji!

właśnie trzeciego dnia? Gdyby ich wiara opierała się na jakichś nieokreślonych wizjach, mianych, według domysłu racjonalistów, dopiero w czas jakiś w Galilei, skąd byliby mogli wywnioskować, że Jezus powstał z grobu dnia trzeciego, a nie siódmego lub dziesiątego? Loisy znowu puszcza się na facecje. Trzeci dzień mógł apostołom się stąd nasunąć, że według pojęć ludowych do dnia trzeciego uważa się trupa za niezupełnie jeszcze umarłego, jako że dusza krąży jeszcze koło niego, a po trzech dniach trudno znowu spodziewać się zmartwychwstania, skoro dusza już definitywnie ciało opuściła [1]). Przytaczam ten koncept jako przykład, jakiemi dowodami racjonalistyczni krytycy podpierają swe teorje, byleby tylko uniknąć najprostszego rozwiązania, podanego przez ewangelje. A te wyraźnie rozwiązują nam zagadnienie daty zmartwychwstania: Apostołowie byli pewni, że Jezus dnia trzeciego zmartwychwstał, albowiem tego właśnie dnia znaleziono Jego grób pustym i On sam począł ukazywać się niewiastom i uczniom.

Lecz oto inny pomysł dla wytłumaczenia »dnia trzeciego«. Apostołowie mieli tę datę określić na podstawie ksiąg świętych, które jako proroctwa do Jezusa zastosowali. Czyż nie mówi św. Paweł: »iż też powstał z martwych trzeciego dnia według Pisma«? Niektórzy krytycy zadali sobie trud szperania po księgach Starego Testamentu, by wyszukać jakiś ustęp, któryby mógł służyć apostołom do obliczenia dnia rzekomego zmartwychwstania Jezusa. Szukali napróżno, albowiem ustępu takiego niema. Jedyny wiersz psalmu 15, na który się powoływali apostołowie w obronie zmartwychwstania Jezusa, jeżeli w ogóle przed samym faktem zmartwychwstania był tak ciemny, że nikt go do zmartwychwstania mesjasza nie odnosił, to już o »trzecim dniu« nie posiada ani cienia wzmianki. Prawda, że według ewangelji (n. p. Mt. 16, 21 i 17, 21) sam Jezus przepowiadał, że Syn człowieczy będzie zabity, lecz dnia trzeciego zmartwychwstanie; owszem wskazywał na Jonasza w brzuchu wieloryba, jako na figurę Syna człowieczego, mającego pozostać w łonie ziemi przez trzy dni. Racjonaliści wszakże rezygnują z tych proroctw Jezusa, nie chcąc ich uważać za autentyczne, — a jeżeli tak, to trudno przypuścić, by sami apostołowie w przygodzie, jaka spotkała Jonasza, dopatrzyli się figury zmartwychwstania Mistrza. Proroctwa to mają do siebie, że stają się zrozumiałe, kiedy przepowiedziany fakt nastąpi, przed tem są zwykle ciemne, tak że przynajmniej przyszłego faktu odtworzyć z nich nie podobna. A zatem nie z proroctw

[1]) Les Évangiles synoptiques I, 177.

wywnioskowali apostołowie, że ich Mistrz powstał z grobu dnia trzeciego; jeżeli więc przy artykule swego przepowiadania o zmartwychwstaniu dodają te słowa »według Pisma«, to chcą przez nie zwrócić jedynie uwagę, że sam fakt zmartwychwstania był w Piśmie przewidziany, choć ciemno zaznaczony; nie odnoszą atoli tych słów do okoliczności czasu, t. j. do momentu, w którym Chrystus powstał z grobu.

Ostatni pomysł wytłumaczenia »dnia trzeciego«, mianowicie przez zapożyczenie się z misterjów pogańskich Adonisa lub Ozyrysa, upada wraz z całą teorją pogańskiego pochodzenia chrystjanizmu[1]).

Czuję się winnym wobec czytelników, że tyle uwagi zająłem im drobiazgowemi aż do znużenia utarczkami z racjonalistyczną krytyką. Pozwolę sobie atoli dorzucić słów kilka na swe usprawiedliwienie. Katolickiego apologetę zmusza do takiego traktowania rzeczy konieczność; ograniczenie się bowiem do przeprowadzenia dowodów w głównych tylko linjach mogłoby go narazić na zarzut powierzchowności i zdawkowego traktowania tak poważnych przeciwników, za jakich się zwykło uważać nowocześnych krytyków chrześcijaństwa. Ci krytycy występują w imię nauki, ich teorje i systematy rozbrzmiewają przeważnie z uniwersyteckich katedr, z których przedtem usunięto teologów, uważanych już za przeżytek. Ci krytycy umieją imponować rozległością swych badań i olbrzymią produkcją swych pism. Św. Jan ewangelista, folgując wschodniej przesadzie w wyrażaniu się, napisał, że gdyby kto chciał spisać wszystkie czyny Jezusa, to świat nie zmieściłby ksiąg. Oczywiście była to figura retoryczna. Bez przesady atoli i bez retoryki można powiedzieć, że żadna bibljoteka nie objęłaby tych mas papieru, jaki od 150 lat zadrukowano ową »naukową« walką przeciw chrześcijaństwu, a w szczególności przeciw wierze w zmartwychwstanie Jezusa. Trzeba więc poważnie liczyć się z tym obozem i wchodzić z nim w utarczki nawet o drobiazgi.

Jeszcze jedno, co wikła i rozszerza prawie do nieskończoności polemikę z racjonalizmem. Racjonalistyczna krytyka chrystjanizmu, cudów, zmartwychwstania, to nie jest jakiś stały i jednolity organizm logiczny, któremuby można paru uderzeniami stos pacierzowy złamać; jest to raczej bestja ruchliwa, jak wąż śliska i ciągle wymykająca się, jest to hydra, której ucięte głowy wciąż odrastają. Trzeba śledzić wszystkie jej poruszenia, zamykać po kolei jedną za drugą wszystkie furtki-

[1]) Por. nasz artykuł: Bolszewizm w zagadnieniu o początkach chrześcijaństwa w Przegl. Powsz. styczeń 1919 r.

któremi wymknąć się usiłuje. Te furtki musi katolicka apologetyka wciąż zaryglowywać, by racjonalizm okazał się tem, czem jest w istocie, zamaskowanym ateizmem, którego punktem wyjścia jest ślepa wiara, że cud jest niemożliwy.

Co się tyczy naszego stanowiska, to pewność nasza o zmartwychwstaniu Jezusa nie jest bynajmniej wiarą ślepą i przesądem, jak chcieliby rzecz przedstawić nasi przeciwnicy, ale historycznym pewnikiem, opartym na świadectwie wiarygodnych świadków, którzy Jezusa po śmierci widzieli, z Nim obcowali i sprawdzili, że grób Jego został pusty. Pewnik ten sterczy, jak granitowa kolumna wśród piasków ludzkiego mędrkowania. Ostatnie 150 lat krytyka racjonalistyczna usiłuje coraz to nowemi metodami podgryźć tę kolumnę, Napróżno: zęby się zużywają, a granit pozostanie granitem. Wyjaśnić wiarę w zmartwychwstanie bez faktu zmartwychwstania nie udało się nikomu nawet w przybliżeniu. To nas napełnia otuchą, że i w przyszłości wiara nasza wszelkie próby wytrzyma. Cały arsenał broni już wyczerpany, wszystkie możliwe hipotezy już wypróbowane, a wszystkie zawiodły. Nie jest więc tak źle z naszą wiarą, jakby tego chcieli przeciwnicy, i dlatego z roku na rok będziemy z głębi przekonania śpiewali z Kościołem pieśń triumfu nad śmiercią:

Surrexit Dominus vere! Zmartwychwstał Pan prawdziwie, *Alleluja!*

Ks. J. Urban.

Przyszłość przemysłu samochodowego w Polsce.

Ze wszystkich gałęzi przemysłu metalowego w pierwszym rzędzie powstający u nas przemysł samochodowy i pokrewny mu przemysł motorowo-gospodarczy musi liczyć się w przyszłości z konkurencją obcą bardzo ciężką do zwalczenia.

Stworzenie przemysłu samochodowego w Polsce musi prędzej czy później nastąpić, jest to do pewnego stopnia koniecznością państwową, chociażby ze względów czysto wojskowo-technicznych. Budowanie jednak tego przemysłu w kraju nie jest rzeczą ani prostą ani łatwą, a jeżeli usiłowania w tym kierunku mają być w przyszłości uwieńczone pomyślnym rezultatem, to każdy krok zbliżający nas do tego celu wypada nader skrupulatnie rozważyć.

Przedewszystkiem zdać sobie trzeba dokładnie sprawę z ogólnego stanu, w jakim przemysł ten w światowym rozwoju obecnie się znajduje, następnie należy zbadać w jakim stosunku do rozwoju tego przemysłu dotychczas pozostawaliśmy, a dopiero wówczas nasunie się nam samorzutnie logiczny plan działania, który ściśle wykonanym być powinien.

Dla łatwiejszepo przeglądu i zorjentowania się co do stanu przemysłu samochodowego w rozwoju jego światowym, rozpatrzeć należy najpierw pewne dane statystyczne.

Ameryka posiada obecnie 132 fabryki wyrabiające samochody osobowe, 75 fabryk wyrabiających samochody ciężarowe i 88 fabryk wyrabiających traktory dla celów przemysłowych i gospodarczych. Francja ma fabryk samochodowych i motorowo-przemysłowych 109, Niemcy —50, Anglja —20, Belgja —15, Włochy —12, Austrja —9, Czechosłowacja —6, Szwajcarja —6. Na resztę państw europejskich przypada ogółem 11 fabryk tego rodzaju.[1])

[1]) Daty powyższe zaczerpnięte są z notatek dziennikarskich, częściowo także ze statystyk przedwojennych, być może zatem, że dzisiaj będzie stan rzeczywisty nieco inny.

Już z powyższego zestawienia widzimy, że Ameryka zajmuje w światowym przemyśle samochodowym stanowisko przodujące. Stanowisko to wywalczyła sobie Ameryka w ciągu lat 20, dzięki zastosowaniu u siebie na wielką skalę ostatnich zdobyczy naukowych na polu organizacji pracy. Zastosowanie praktyczne metod Taylora[1]) przy użyciu olbrzymich kapitałów, jakie Ameryka w każdej dziedzinie przemysłu lokuje, wydało także na polu przemysłu samochodowego niezwykłe wprost rezultaty. Wystarczy wskazać na największą dziś na całym świecie fabrykę samochodów Forda, jaka powstała w Stanach Zjednoczonych w 1911 i 12 roku i produkuje rocznie dzisiaj do miljona samochodów. Ford zatrudnia obecnie około 36.000 robotników, a praca tych ludzi zorganizowana jest tak nadzwyczajnie, że umożliwia fabryce oddawanie co 30 niespełna sekund jednego gotowego samochodu do dyspozycji biura sprzedaży. Wartość produkcji rocznej dochodzi tam do pół miljarda dolarów,[2]) a jak wynika z cyfr powyższych, na jednego robotnika przypada przeciętnie wyrób dwóch maszyn w jednym miesiącu. Fabryka Forda należy do tych, które niemal wszystkie części samochodu wyrabiają we własnym zarządzie.

Prócz takich fabryk istnieją nadto jeszcze w Ameryce fabryki inaczej zorganizowane, które w produkcji swojej opierają się w poważnej bardzo części o wszechstronnie tam rozwinięty przemysł metalurgiczny i metalowy. Fabryki te ograniczają funkcję swoją do wyrabiania niektórych tylko części i do montowania całości. Gdzieindziej wylewa się bloki do cylindrów i wszystkie części lane, gdzieindziej wyrabia się ramy podwozia, w innych znowu specjalnych fabrykach zazębia się i nastala konieczne do mechanizmu kółka zębate, a tylko złożenie całości jest potem zadaniem tych fabryk samochodowych. Produkcja fabryk takich, aczkolwiek nie może równać się z produkcją fabryki Forda, jest jednak bardzo znaczna, przeciętnie bowiem sięga cyfry kilku, względnie kilkudziesięciu tysięcy samochodów na rok.[3])

Zdawaćby się mogło pozornie, że taka szybka produkcja musi prowadzić do zupełnego nasycenia rynku i że w krótkim czasie zabra-

---

[1]) Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych, Taylor, tłum. Henryk Mierzejewski, Warszawa 1913.

[2]) W markach polskich przy obliczeniu 1 dolar. =2400 mk. suma ta wynosi 1200 miljardów mk. pol.

[3]) Jedna z firm takich, reklamując swój towar, starała się przekonać odbiorców, że produkt jej nie jest produktem masowym. Fabryka bowiem wyrabia rocznie zaledwie 75000 samochodów.

knąć powinno odbiorców, w rzeczywistości jednak tak nie jest. W 1921 r. zarejestrowano w Stanach Zjednoczonych 9.211.295 samochodów, z czego wynika, że na 11 mieszkańców przypadał jeden samochód. Stosunek w poszczególnych Stanach, do których należał i ultrarolniczy stan Ajowa, dochodził jeszcze w r. 1917 do 9 mieszkańców na jeden samochód.[1])

Widzimy zatem, że odbiorcy w wielkiej bardzo ilości znajdują się na miejscu, a pamiętać przytem należy, że dzisiaj Stany Zjednoczone zaopatrują w samochody osobowe, w traktory przemysłowo-gospodarcze i samochody ciężarowe nie tylko Amerykę, ale także Japonję, Chiny, Australję, Afrykę, a nawet starą Europę.

W Europie bowiem dopiero w czasie wojny powstała we Francji jedna fabryka »Citroen«, urządzona na wzór fabryk amerykańskich do wyrobu 25.000 samochodów rocznie. Reszta fabryk europejskich to przeważnie fabryki, których produkcja roczna wynosiła od kilkuset do zaledwie kilku tysięcy samochodów.

Podczas gdy w Ameryce produkcja zdążała i zdąża do jak najdalej idącej specjalizacji, co już przy przeglądzie przytoczonych danych statystycznych odrazu rzuca się w oczy, w Europie działo się i dzieje się dziś jeszcze niemal wręcz przeciwnie. Fabryki europejskie to przeważnie fabryki do wszystkiego, które w warsztatach swoich wyrabiają z równem powodzeniem wozy osobowe, jak i ciężarowe, tak dobrze motory gospodarcze, jak pługi motorowe, traktory, a nawet aeroplany. Wyrabiając towar ten w serjach nielicznych, zmuszone do podziału dużych kosztów fabrykacji na stosunkowo znikomą ilość sztuk, fabryki europejskie znajdują się dzisiaj w stosunku do fabryk amerykańskich w złem bardzo położeniu. Już przed wojną okazało się, że Ameryka, wyrabiając takie olbrzymie ilości, może produkować wprost śmiesznie tanio i że cła ochronne nie są w stanie obronić Europy przed jej groźną konkurencją.

W r. 1913 zaczęły niektóre fabryki w Europie interesować się metodami produkcji przyjętemi w Ameryce i usiłowały przystosować

---

[1]) W Sielsko-choziojstwiennaja Amieryka wo wriema wojny, N. A. Borodina i M. Wołkowy (Wydanie Narodnawo Prawa. Moskwa 1918) na str. 62 czytamy, że w r. 1917 było w Stanach Zjednoczonych w użyciu 4.242.295 samochodów, czyli że jeden samochód przypadał na 24 mieszkańców.

[2]) W obliczeniach 1820 r. według relacji dziennikarskich, które jednak nie wydają się ścisłe, przypadał w niektórych Stanach Ameryk jeden samochód na 6-ciu mieszkańców.

się do tych nowych wymagań.[1]) Sprawa to jednak nie jest tak łatwa, jakby się pozornie mogło wydawać. System bowiem amerykański, oparty na naukowej organizacji pracy, wymaga dla siebie w pierwszym rzędzie odpowiedniego budynku fabrycznego. Przyjęcie zatem tego systemu zmusza fabryki europejskie do gruntownej przebudowy, zaś w najlepszym razie do rozszerzenia własnych lokali fabrycznych, a trzeba uwzględnić, że nie wszystkie fabryki stać na wykonanie tych kosztownych robót i że wiele z nich, posiadając budynki w miastach, jest w takiej sytuacji, że nie ma wprost miejsca na odpowiednią rekonstrukcję swych warsztatów.

Nie trudno już dzisiaj przewidzieć, wobec wzrastającej z dniem każdym konkurencji amerykańskiej, że długo bardzo stan taki w Europie utrzymać się nie da. Wiele fabryk europejskich zmuszonych będzie wkrótce zlikwidować swe interesa i pozostaną tylko te fabryki, które czy to przez wzajemne połączenie się i odpowiedni podział pracy,[2]) czy to przez samodzielną przebudowę potrafią przystosować się do zmienionych zupełnie wymagań doby obecnej.

Otóż tak przedstawiałby się pobieżny rzut oka na stan ogólny przemysłu samochodowego.

Zobaczmy teraz w jakiem stadjum rozwoju pozostaje obecnie polski przemysł samochodowy.

Nie produkujemy dotychczas nic samodzielnie na tem polu, nie mamy ani jednej fabryki samochodów w kraju, zmuszeni jesteśmy korzystać wyłącznie z towaru importowego i rokrocznie wysyłamy na zakupno tego towaru setki miljonów.

Obraz już na pierwszy rzut oka — co najmniej nie wesoły. Przemysł nasz na tem polu ogranicza się do dzisiejszego dnia do kilkunastu, względnie kilkudziesięciu prywatnych warsztatów reparacyjnych samochodowych i do reparacyjnych warsztatów wojskowych. Wszystkie te warsztaty bez wyjątku nie posiadają odpowiednich warunków dla naukowego taniego zorganizowania pracy i nie posiadają koniecznych maszyn i urządzeń. Przeważnie wynajmują dla swych celów siłę popę-

[1]) Firma Laurin i Klement (Mlada Boleslaw — Czechosłowacja), wysłała w tym czasie inżynierów swoich do Ameryki i pobudowała już w czasie wojny u siebie jeden nowy oddział na wzór amerykański.

[2]) Zrozumienie tych konieczności zaznacza się w pierwszej linji coraz widoczniej w Niemczech, gdzie fabryki samochodowe nie tylko zaczynają dzielić pomiędzy siebie produkcję i specjalizować się w rozmaitych działach produkcji, ale nawet stwarzają obecnie biura wspólne sprzedaży pod hasłem „Konkurenz in der Qualität—Gemeinschaft im Verkauf".

dową i światło, z miejskich central elektrycznych i obliczone są tak, że dokonywują tak zwanych generalnych napraw przeciętnie około 30—40 na rok. Stan tych warsztatów jest na ogół biorąc obecnie taki sam, jaki był przed wojną, z tą tylko różnicą na ich korzyść, że chwilowo odpada przy remoncie maszyn konieczność liczenia się z konkurencją zagraniczną, która przed wojną wpływała[1]) korzystnie jeżeli nie na jakość remontu, to przynajmniej na unormowanie ceny przy naprawach generalnych, dokonywanych w kraju.

Śmiało można powiedzieć, że w przeważnej ilości warsztaty te dzisiaj robią, jak same chcą i liczą ile same chcą, pracują zaś na ogół wziąwszy, z małemi bardzo wyjątkami, źle. Nie można jednak w żadnym wypadku składać tego na karb nieudolności naszych robotników i techników, przyczyn zła należy raczej jedynie i wyłącznie szukać w niedostatecznych wyposażeniach tych warsztatów w odpowiednie urządzenia techniczne, [2]) których brak wprost uniemożliwia zorganizowanie sprawnej i wydajnej pracy. Skutkiem braków tych nie mogą one też pracować tanio, przeciwnie wszystkie prawie bez wyjątku pracują niesłychanie drogo, a rezultatem tego jest, że utrzymanie samochodu u nas jest niezwykle kosztowne.

W samej Warszawie mieliśmy z wiosną z. r. zarejestrowanych 1935 wozów ciężarowych i osobowych, zaś w całej Polsce mamy obecnie, nie licząc samochodów wojskowych, 6240 samochodów i przeszło 2000 pługów motorowych. Przyjmując dla sztuki wartość przeciętną tylko 1.000.000 Mk. widzimy, że dla kupna tych wszystkich maszyn wysłaliśmy za granicę sumę wynoszącą w dzisiejszej walucie co najmniej 8.240.000.000 (słowami: osiem miljardów dwieścieczterdzieści miljonów Mkp.)

Koszt naprawy samochodu, traktoru, względnie pługu motorowego, w pierwszym roku użycia przyjmują ogólnie fabryki na 3% od ceny

---

[1]) Wielu właścicieli samochodów — szczególniej w Małopolsce — zrobiwszy smutne doświadczenie z warsztatami krajowemi, wysyłało przed wojną maszyny do generalnych napraw zagranicę do fabryk, skąd samochody sprowadzone były. Bardzo często mimo kosztów transportu naprawy takie kalkulowały się korzystnie, a jeżeli nawet wypadały drożej, to w każdym razie właściciele samochodów mieli przynajmniej tę gwarancję, że remont dokładnie został przeprowadzony.

[2]) Pomijając już brak rozmaitych obrabiarek i automatów, upraszczających w wysokim stopniu pracę, wystarczy wskazać na fakt, że warsztaty, posiadające urządzenie służące do pomiaru sprawności motoru, należą w całej Polsce do bardzo nielicznych wyjątków.

kupna, w drugim roku użycia wzrasta koszt naprawy w przybliżeniu do 12%, w każdym roku następnym waha się między 8% a 20%. Ustalając koszt naprawy maszyn, jakie w kraju posiadamy, przeciętnie na 15% ich wartości, możemy powiedzieć, że poświęcamy rokrocznie 1,236.000.000. Mkp.[1]) dla tego celu i to przeważnie bez żadnej gwarancji ze strony istniejących warsztatów, że roboty dobrze i trwale wykonane zostały.

Z zestawień powyższych widzimy jasno, że nie tylko nie posiadamy w kraju żadnego własnego przemysłu samochodowego, ale nie mamy nawet urządzeń koniecznych do tego, ażeby móc tanio z obcych produktów korzystać.

A przecież pamiętać musimy o jednej rzeczy, że mamy kraj niemal cały wyniszczony wojną, że brak nam żywego inwentarza pociągowego, że sieć kolei naszych jest co najmniej niewystarczająca i że w tych warunkach nie tylko odbudowa kraju, ale wogóle całe nasze życie przemysłowe i gospodarcze, bez silnego oparcia się o przemysł ten, nie da się pomyśleć.

Wypada zatem gruntownie rozważyć, jak wziąść się rozumnie do dzieła, ażeby zło istniejące usunąć, aby przygotować oopowiednio teren i rzucić takie podwaliny, na których z biegiem czasu możnaby bez obawy obcej konkurencji zacząć własny przemysł budować.

Jest rzeczą jasną, że w pierwszym rzędzie, jak długo zmuszeni jesteśmy korzystać z produkcji obcej, powinniśmy wysiłki nasze skoncentrować w tym kierunku, ażeby utrzymanie samochodów u nas uczynić tanie i rentowne. Natychmiastowe założenie fabryki w kraju przy pomocy firm zagranicznych, z udziałem ich powyżej 50% kapitału akcyjnego (projekt wielokrotnie już w prasie rozważany), problemu tego wcale nie rozwiązuje i wydaje się nawet nie wskazany, gdyż może moment stworzenia własnego przemysłu samochodowego raczej opóźnić niż przyspieszyć. Obcy kupiec i obcy przemysłowiec będą mieć w pierwszym rzędzie własny interes na oku. Fabryki w ten sposób pomyślane, będą, śmiało powiedzieć można, jedynie skrzynkami pocztowemi, do których społeczeństwo nasze wkładać będzie pieniądze, przeznaczone w większej lub mniejszej mierze do wysyłki za granicę.

Ażeby utrzymanie samochodu uczynić taniem i rentownem, należy w pierwszym rzędzie stworzyć w kraju odpowiednie garaże, i niezależnie

[1]) Liczba ta wzrośnie wielokrotnie, jeśli uwzględnimy jeszcze samochody wojskowe, których ilości ze zrozumiałych powodów tu podawać nie można.

od tego stworzyć wielkie warsztaty reparacyjne, obliczone dla remontu większej ilości, a co najmniej jednego tysiąca samochodów roczniei Warsztaty należy zaopatrzyć we wszystkie odpowiednie urządzenia tech. niczne, tak ażeby mogły dawać pełną gwarancję za przeprowadzone przez siebie roboty i pracować dobrze i tanio. Praca w warsztatach takich powinna być odrazu zorganizowana na wzorach amerykańskich, a wówczas przemiana tych warsztatów we własną fabrykę będzie już wyłącznie tylko kwestją czasu.

Pewne i wygodne garażowanie samochodów ma doniosłe znaczenie i obniżyć może znacznie koszt ich utrzymania w większych miastach; kwestja to jest aż nazbyt jasna i specjalnego tłumaczenia nie wymaga. Zabezpieczenie natomiast taniej i dobrej naprawy przyczynsię bezsprzecznie do rentownego użycia nie tylko samochodów, ale wszelkich motorów wybuchowych w całym kraju.

Szkic dużych warsztatów reparacyjnych, pomyślanych w sposób powyższy, obejmować musi w pierwszym rzędzie długą na minimum 200 m. halę montaży i tak szeroką by w niej swobodnie ustawić można przynajmniej dwa rzędy samochodów.

Po bokach tej hali należałoby zaprojektować szereg warsztatów i montowni dla wszystkich głównych organów składowych samochodu oraz odpowiednie magazyny dla pomieszczenia ich części składowych. Wzdłuż jednej strony hali głównej poruszałyby się stopniowo samochody, przeznaczone do naprawy w czasie rozbiórki, wzdłuż drugiej strony poruszałyby się te same samochody w czasie ponownego ich składania z części przejrzanych i naprawionych w specjalnie do tego celu urządzonych działach warsztatowych. Dopiero takie warsztaty mogą stać się podwalinami pod przyszły własny przemysł samochodowy; szybko będą one mogły przejść do dalszej fazy rozwoju, a mianowicie do składania samochodów, traktorów i pługów motorowych z części sprowadzanych z zagranicy. Montaż taki może postępować lekko na tejsamej drodze jak montaż wozów reperowanych, bez tamowania normalnego ruchu w warsztatach.

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że w warsztatach tak zorganizowanych musi z biegiem czasu rozwinąć się typ własny, odpowiadający wszelkim warunkom lokalnym. Wówczas nastąpi — dla interesu narodowego najważniejsza chwila, a mianowicie: zupełne oswobodzenie się od wpływów obcych i przejście do własnej produkcji z uwzględnieniem koniecznej specjalizacji.

Narazie naturalnie ściśle w rachubę tego brać nie można, kalku-

lację wytrzymują doskonale same tylko warsztaty reparacyjne, a cyfra wyrażająca koszty napraw, jakie społeczeństwo nasze rok rocznie opłaca, przytoczona poprzednio, zwalnia od obowiązku szczegółowego udowadniania ich rentowności.

Przy umiejscowieniu jednak warsztatów nie podobna nie uwzględnić przyszłego ich rozwoju i dlatego umiejscowić je należy tak, ażeby zawsze rozszerzenie budynku było możliwe i aby w przyszłości rozrostowi ich nic nie stało na przeszkodzie.

Ze względu na wielką przyszłość łodzi motorowych, wydaję się bardzo odpowiednim dla warsztatów takich brzeg Wisły, naturalnie jednak tylko w takich miejscach, gdzie możnaby im równocześnie zapewnić bez zbytnich kosztów własne wygodne połączenie kolejowe.

Za pobrzeżem Wisły przemawia prócz tego i ta okoliczność, że jest to jedyna arterja wodna, łącząca nas bezpośrednio ze światem całym i że w wypadku, gdyby w przyszłości warsztaty chciały przerabiać u siebie półfabrykaty narodów obcych, z któremi Polska bezpośredniej granicy nie posiada, to produkty te doprowadzone być mogą najłatwiej tą właśnie drogą.

Tak zatem przedstawiałby się w ogólnych zarysach plan działania, zmierzający do rzucenia fundamentów pod rozwój własnego przemysłu samochodowego w Polsce. Byłoby rzeczą bardzo wskazaną, gdyby którekolwiek z istniejących już w kraju poważnych przedsiębiorstw akcyjnych powiększyło odpowiednio swój kapitał i przystąpiło możliwie najrychlej do jego urzeczywistnienia.

Feliks Sobolewski.

Sztuczne rozbicie atomu.

W badaniach nad drobnoustrojową budową materji dokonano znowu w czasach ostatnich odkryć zasadniczych. Od pierwszej chwili odkrycia przedziwnych zjawisk promieniotwórczych, które przed umysłem ludzkim otwarły nowe, niespodziewane i niedające się najśmielszemi oczekiwaniami przejrzeć horyzonty, starałem się informować czytelników »Przeglądu« o każdej wybitniejszej fazie tego pochodu triumfalnego nowoczesnej nauki. W miarę jego odkrywały się przed zdumionym zarówno badaczem, jak i z dalsza od fizyki stojącym czytelnikiem, fakty i zjawiska i teorje tak niezwykłe, tak wszelkie oczekiwania przewyższające, że wobec nich zbladła wyobraźnia autorów Gulliwera, podróż naokoło świata lub do księżyca, a nawet i najnowszego i najśmielszego z nich Wellsa. Widzieliśmy ów cudowny kamień, odkryty przez naszą rodaczkę, rad, który jakby jaka istota żywa zawsze o półtora mniej więcej stopnia stale wyższą ma temperaturę od otoczenia, a który ustawicznie wydaje ze siebie nie tylko energję cieplną, ale nadto wysyła owe trzy znane promieniowania: dodatnie, złożone z dodatnią elektrycznością naładowanych cząstek materji, które nazwano cząstkami alfa, równe ciężarem atomom helu, dalej promienie ujemne, złożone z cząstek zwanych beta, ujemny ładunek elektryczności na sobie dźwigających, lub może wprost będących atomami ujemnej elektryczności, gdyż ich masa, zależna zresztą od prędkości, z jaką się poruszają, jest 1830 razy mniejszą od najlżejszych, dotąd znanych cząstek materji, mianowicie od atomów wodoru, wreszcie promienie gamma, równe znanym skądinąd promieniom X czyli Röntgena. Wszystko zaś razem wziąwszy, ten dziwny rad, chociaż w małych istniejący dozach, stał się dla niejednego przyczyną zdrowia, lecz i niejednego już dotkliwie swojemi zimnemi, tajemniczemi, lecz bogatemi w energję swoistą promieniami poparzył.

Wszystko to niezwykłe, jakby opowiadanie z tysiąca i jednej nocy, a nie tylko sam rad i jego własności dziwne są i doniosłe, lecz także dziwne i to światło, którem rozświecił panujące dotąd ciemności co do wewnętrznej budowy materji. Że ta budowa opiera się na cząstkach bardzo małych, chemicznie niepodzielnych, o tem przypuszczano dawno. lecz nie umiejąc uchwycić bezpośrednio tego atomu, uczeni poczęli wreszcie kiwać nad nim znacząco głowami, zwać go zawsze hipotetycznym atomem i wreszcie zgoła wątpić w jego obecność, wskazując, że i bez atomu można sobie wytłumaczyć zjawiska chemiczne, zwłaszcza wobec powstałej w drugiej połowie wieku ubiegłego teorji faz. Otóż rad i jego działania rozwiały wątpliwości co do istnienia atomów chemicznych, rad i zjawiska promieniotwórcze pokazały, że atom istnieje, istnieje rzeczywiście, na pewno, tak jak na pewno istnieje kropla deszczu lub pyłek dymu.

Ale nie tylko o istnieniu atomu dostarcza fizyka najnowsza niezbicie pewnych dowodów, ona idzie dalej, bo wdziera się w głąb atomu i snuje teorje, nie dowolne, lecz na każdym kroku ścisłemi dowodami poparte, o samej wewnętrznej budowie atomu, o jego składzie ilościowym i jakościowym, o tem nawet, co się tam w tem wnętrzu dzieje. Aż wreszcie, jak dziecko zniecierpliwione piękną zabawką, tajemniczym wewnątrz mechanizmem opatrzoną, parte ciekawością dowiedzenia się, co tam jest w środku, rozbija zabawkę, tak i fizyk najnowszy, nacieszywszy się bezpośrednim prawie widokiem atomu, naprzekazywawszy się nim z triumfem przed całym światem, wołając: patrzcie, mam atom, widzę go prawie, rachuję, śledzę jego ruchy, obliczam jego masę i szybkość — wreszcie zostawszy sam na sam ze sobą, zniecierpliwiony mówi do atomu: czem ty jesteś? ja muszę zbadać twe wnętrze — ja cię rozbiję!

I rozbił go. A dokonał tego ten sam E. Rutherford, fizyk angielski, który od początku całej kampanji atomowo-promieniotwórczej zawsze idzie na czele, i swemi zdumiewającemi prostotą i genjalnością pomysłów pracami zdobył sobie pierwsze miejsce wśród pionierów nauki doświadczalnej w walce z przyrodą o jej najskrytsze tajemnice. Jak już nieraz miałem tu sposobność opisywać, nauka już od lat kilkunastu przypatrywała się zjawisku samorzutnego rozkładu atomu, boć działania promieniotwórcze pierwiastków na takim właśnie rozkładzie polegają, ale dotąd fizycy daremnie wszelkiemi możliwemi sposobami kusili się o to, by rozkładu takiego sztucznie dokonać. Łatwo też wyobrazić sobie jaki entuzjazm i podziw ogarnął cały świat naukowy, gdy Rutherford ogłosił swe prace i rezultaty nad tym przedmiotem otrzymane. I nic

dziwnego. Bo cóż to znaczy rozbić atom? Znaczy to rozbić twór przyrody, który w nauce uważano przez długi czas jako niewzruszony, wieczny, trwały i ten sam od początku wszechświata, który definjowano właśnie i nazwano jako niedający się rozłożyć, pokrajać, z greckiego atomos. Żadne siły znane, zarówno temperatury najwyższe sześć i więcej tysięcy stopni wynoszące, jak i najniższe, bliskie już zera absolutnego, bo około — 271 stopnia C., ani najgwałtowniejsze reakcje chemiczne, ani wreszcie przepotężne, a tak bardzo w głąb materji sięgające działania elektryczności, nie zdołały atomem zachwiać. Twór ten tak drobny, że blisko siedm miljonów atomów zmieści się obok siebie ustawionych na długości jednego centimetra, drwił sobie z działania i wszelkich poczynań człowieka — i na wszystkie zakusy odpowiadał: jestem atomos, niepodzielny. Aż wreszcie umysł ludzki znalazł pocisk, który i tę oporną bryłę materji potrafił rozbić i rozkruszyć. A pociskiem tym to właśnie wspomniane na początku cząstki alfa, które tak wybitną rolę odgrywają w zjawiskach promieniotwórczych. Cząstki te, prócz wielu niezmiernie ciekawych właściwości, mają i tę, że chociaż są bryłką zwykłej materji, bo mają masę równą masie atomu helu, a więc cztery razy większą od atomu wodoru, jednak poruszają się z szybkością, której w świecie materjalnym dotychczas nigdyśmy nie napotykali, bo dochodzącą do 20.000 kilometrów na sekundę, to znaczy, jak mówi Soddy, setki razy większą, niż największa znana dotąd szybkość przedmiotu materjalnego w całym wszechświecie. Taką największą szybkością jest szybkość spadającego meteoru, która dochodziła jednak tylko do jakich 60 kilometrów na sekundę[1]). O szybkości kul i pocisków sztucznych, niema nawet co mówić, bo one wobec cząstek alfa prawie zupełnie się nie poruszają. To też oblicza Soddy, że w czasie, w którymby meteor, biegnąc najwyższą szybkością, przeleciał z ziemi na księżyc, cząstka alfa doleciałaby z ziemi na słońce.

Jak wiadomo, liczba mierząca energję kinetyczną ciała, będącego w ruchu, jest równa połowie iloczynu liczby, mierzącej masę ciała przez kwadrat liczby, mierzącej prędkość ciała. Gdy więc szybkość cząstki alfa setki razy przewyższała znane szybkości ziemskie, to ich energja jest ćwierć miljona większą od energji ciał kosmicznych o tej samej masie, a miljony i miljony razy większą od energji naszych pocisków. Na szczęście niema obawy, by kule działowe lub karabinowe otrzymały kiedy choćby zbliżoną energję mimo najzłośliwszych wysiłków nowo-

[1]) Soddy: The Interpretation of Radium, London, str. 85.

żytnej niszczycielskiej techniki, ale gdyby ją otrzymały, to nie da się wyrazić, ile jedna z nich narobiłaby spustoszenia. Otóż takiego właśnie pocisku użył Rutherford przeciwko niewzruszalnemu atomowi — i użył skutecznie. Dotychczasowe jego doświadczenia wydały dodatnie rezultaty z atomami ciał tak zwanych lżejszych, a więc azotu i tlenu, atomy ciał cięższych okazują się i na takie nawet pociski narazie przynajmniej dostatecznie odporne.

Bezpośrednim punktem wyjścia prac Rutherforda nad rozbiciem atomu były zjawiska, odkryte w r. 1914 przez E. Marsdena w wodorze, poddanym działaniu cząstek alfa. Gdy mianowicie wodór, umieszczony w naczyniu pod zwykłem ciśnieniem atmosferycznem, wystawiono na bombardowanie cząstkami alfa, pochodzącemi z pierwiastka, zwanego emanacją radu, bo powstałego wprost z radu przez rozkład jego atomów, dostrzec można było zjawienie się nowych cząstek, naładowanych elektrycznością dodatnią, a obdarzonych szybkością bardzo wielką, bo cztery razy większą, niż szybkość cząstek alfa. Gdy zasięg, to znaczy swobodna droga cząstek alfa, służących do tych badań, wynosiła 24 cm., to droga swobodna owych nowych cząstek dodatnich dochodziła do 80 cm., i w tej odległości cząstki te posiadały jeszcze energję tak wielką, że uderzając o ekran z siarczku cynku, wywoływały zjawisko tak zwanej scyntylizacji czyli błyski światła, pochodzące z niezmiernie gwałtownego uderzania cząstek alfa o drobiny siarczku cynku. Bliższe pomiary, dokonane przez Rutherforda zwykłemi sposobami, używanemi przy badaniach promieniotwórczych, mianowicie przez poddawanie tych cząstek działaniu pola magnetycznego i elektrycznego o znanem natężeniu, wykazały, że owe szybkie cząstki dodatnio naelektryzowane, powstające w wodorze pod działaniem cząstek alfa, są poprostu atomami, albo ściślej mówiąc, jądrami wodoru, niosącemi na sobie dodatnie ładunki elektryczności, a powstałemi przez rozbicie atomu wodoru przez cząstki alfa. Gdy mianowicie taka cząstka alfa uderzy w środek atomu wodoru — co jednak zdarza się stosunkowo bardzo rzadko, z powodu niezmiernie drobnych wymiarów tego atomu — wtedy atom wodoru, składający się z dodatnio naładowanego jądra i ujemną elektrycznością obdarzonego elektronu, ulega rozbiciu i jądro, otrzymawszy od cząstki alfa wielką energję, biegnie z niezmierną szybkością, przeszło półtora raza większą nawet, niż ta, którą posiadała uderzająca cząstka alfa, gdyż masa jego jest cztery razy mniejszą od masy cząstki alfa.

Po otrzymaniu takich zdumiewających rezultatów narzucało się samo pytanie, czy te cząstki alfa nie wytrąciłyby jąder wodoru

także z takich ciał, w skład których wchodzi wodor. Rzeczywiście doświadczenie E. Marsdena i W. C. Lantsberry'ego, wykonane w r. 1915, dały na to pytanie odpowiedź twierdzącą. Tak np. gdy cząstki alfa przepuszczano przez cienką warstwę wosku, otrzymywano takie same szybko biegnące, dodatnio naładowane atomy czyli jądra wodoru, jakie powstawały przy doświadczeniach z czystym wodorem. Przy tych badaniach powyżsi fizycy dostrzegli nadto, że takie same dodatnie jądra wodoru zjawiały się i wtedy, gdy cząstki alfa uderzały o przedmioty, które wcale wodoru nie zawierają. Gdy mianowicie nieco Radjum C, substancji również promieniotwórczej, wysyłającej ze siebie cząstki alfa, przykryto blaszką niklową, rozgrzaną do 150 stopni, by z niej wydalić mogące się tam znajdować skądinąd naładowane atomy wodoru, dostrzeżono obecność owych jąder wodorowych. Rezultat niezmiernie dziwny, tak że do dalszych nad tym przedmiotem badań zabrał się sam mistrz, Rutherford i doszedł wkrótce do przekonania, że te cząstki nowe nie pochodziły bynajmniej ani z radu, ani z niklu, lecz z azotu powietrza, w którym te doświadczenia się odbywały.

Odkrycie to było właśnie początkiem i fundamentem zasadniczych, sensację w świecie naukowym wywołujących prac Rutherford'a nad rozbiciem sztucznem atomu. Rutherford udowodnił wkrótce, że gdy czysty chemicznie azot poddamy bombardowaniu cząstkami alfa — do prac swych i pomiarów używał głównie cząstek alfa, wychodzących z pierwiastka promieniotwórczego Radium C — powstawały cząstki dodatnio naelektryzowane, o znacznie większym zasięgu, niż cząstki alfa i obdarzone energją tak wielką, że uderzając o ekran powleczony siarczkiem cynku, wywoływały wyżej wspomniane scyntylizacje, to jest eksplozje molekuł, przy równoczesnych zjawiskach silnego światła. Bliższe badanie tych cząstek, zarówno za pomocą liczenia scyntylizacyj, przez nie wywoływanych, jakoteż za pomocą zwykłej metody pola elektrycznego i magnetycznego, wykazały, że cząstki te mają masę równą masie jądra wodoru i że są to poprostu jądra wodoru. Skąd się one wzięły wśród chemicznie czystego azotu, którym naczynie było napełnione? Oczywiście jedynie możliwe wyjaśnienie jest to, że siła uderzeń cząstek alfa o atomy azotu wytrąciła atomy wodoru z wewnątrz atomów azotu. A więc atom azotu już nie jest tworem pierwotnym, lecz wtórnym, powstałym ze złożeń, a jednym z jego składników jest atom wodoru.

Jak oblicza jednak Rutherford, na 300.000 cząstek alfa jedna zaledwie zdolna jest wywołać taki kataklizm wewnątrz atomu azotu, że

wylatuje z niego atom wodoru dostateczną energją obdarzony, by wywołać scyntylizację na ekranie siarczku cynku. I podaje Rutherford mały, lecz niezmiernie pouczający rachunek, z jakiemi ilościami mamy tu do czynienia. Otóż wedle jego oceny, gdyby do takich doświadczeń użyto całego grama radu, którego całkowite promieniowanie uległoby absorbcji przez azot, to wytwarzałoby się rocznie tyle wodoru, że za 2.000 lat dałoby to jeden milimetr sześcienny tego gazu. Do jakiej tedy czułości metod doszła nauka dzisiejsza, że tak niesłychanie ilościowo drobne zjawiska potrafi nietylko wykryć, ale najdokładniej mierzyć.

Lecz zwrócić uwagę trzeba na jedną jeszcze okoliczność, która doniosłością swą teoretyczno-naukową równoważna jest z samem rozbiciem atomu. Rutherford, jak widzieliśmy, oblicza, że tylko jedna z wielu tysięcy cząstek alfa wybija z jądra azotu atom wodoru. Cóż więc inne cząstki alfa robią, skoro wszystkie są obdarzone jednakową mniej więcej energją, czy może nie napotykają one po drodze atomów azotu? Owszem bardzo wiele, ale, jak już dawniej, na kilka lat przed pracami Rutherforda zwrócił Bragg na to uwagę, cząstki te przechodzą poprostu przez atom azotu bez oporu. »Każda cząstka alfa — mówi Bragg — biegnie po linji prostej, bez względu na to, na co się natknie, przechodzi przez wszystkie atomy, jakie napotka, czy one tworzą część ciała stałego, czy gazu (albo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, płynu), nie doznając żadnych zboczeń z powodu tego, na co się natknęła, aż chyba, przy samym końcu swego ruchu«. A ruch ten ma swój koniec dlatego, że każdy atom, przez który cząstka alfa przechodzi, pozbawia ją nieco jej energji, tak, że wreszcie prędkość a z nią i energja tak osłabnie, że się usuwa z pod czułości naszych badawczych przyrządów.

Znany fizyk, C. Wilson, wynalazł metodę niesłychanie interesującą zapomocą której patrzeć można bezpośrednio na ruch cząstek alfa i na ich drogę. Otóż widzimy tam, że droga ta jest zawsze prostolinijna, lecz czasami się trafia, że niektóre z tych dróg wykazują nagłe przy końcu ugięcia. Te właśnie ugięcia Rutherford, jak pokazało się zupełnie słusznie, wytłumaczył jako miejsca, gdzie właśnie cząstka alfa wybija z jądra azotu atom wodoru, doznając przy tem pod wpływem pola elektrycznego jądra silnego zboczenia. Zjawisko to naprowadza nas także na skonstruowanie modelu atomu. Mianowicie atom wyobrazić sobie trzeba jak twór, jakby konstelację kosmiczną, złożony z jądra i u wodoru z jednego, a u innych pierwiastków z większej liczby elektronów. Średnicę całego pola, jakie zajmuje atom, to znaczy aż do jego zewnętrznych

elektronów, ocenić trzeba na trzy stumiljonowe części centymetra, wielkość natomiast przekroju samego jądra wynosi u lżejszych pierwiastków jedną biljonową część centymetra, a więc 10.000 razy mniej. Wobec tego między jądrem a zewnętrznemi elektronami jest stosunkowo niezmiernie wielka wolna przestrzeń, bo wynosząca pięć tysięcy promieni jądra, a więc tysiące razy stosunkowo większą niż oddalenie księżyca od ziemi. W tej przestrzeni panuje jednak ogromne pole elektryczne, o bardzo wielkiem natężeniu, pochodzące z oddziaływania dodatnio naładowanego jądra na ujemnie naładowane elektrony zewnętrzne. Żeby więc przez to pole się przebić, musi cząstka alfa mieć wielką prędkość, ale przebiec przezeń może, a czyniąc to przebiega przez samo wnętrze atomu, czy konstelacji atomowej. Gdy się jednak zdarzy, że kierunek biegu cząstki alfa jest taki, że przechodzi przez samo jądro, następuje zderzenie, które wywołuje niesłychane wstrząśnienie wewnątrz budowy tego jądra, powoduje wyrzucenie na zewnątrz jednego z jego elementów składowych, jądra atomu wodoru.

Ale nie tylko jądro atomu wodoru. Pokazały bowiem dalsze badania, że prócz niego zjawia się wśród badanego azotu a także i tlenu nowy jeszcze atom, dotychczas w chemji nieznany, o ciężarze trzy razy większym od atomu wodoru. Ciałko to, niosące na sobie podwójny ładunek elektryczny, jest niczem innem, jak tak zwanym izotopem helu, to znaczy ciałem, mającem prawie te same własności fizyczne i chemiczne, co hel, lecz różnem od niego ciężarem atomowym.

Tu, dla braku miejsca, ta poezja zawrotna, lecz zupełnie ścisła najnowszej nauki urwać się musi, zaznaczę tylko, że wedle hipotezy Rutherforda jądra wszystkich pierwiastków są zbudowane z helu i wodoru, co zgodne jest zupełnie z dawną teorją Prouda i z nową teorją J. J. Thomsona [1]), tak wspaniale potwierdzoną przez jego analizę zapomocą promieni dodatnich, analizę czułością i rezultatami swemi niezmiernie przewyższającą nawet analizę widmową, którą dotychczas uważaliśmy za najczulszą. Wedle tej teorji materja zbudowana jest tylko z dwóch cegiełek, protonu tj. dodatnio naładowanej masy, o ładunku jeden i elektronu. Czy i jak ta teorja da się pogodzić z zasadniczą teorją przyrodniczo-filozoficzną Arystotelesa i św. Tomasza, tak zwanego hylomorfizmu, to obszerniej będę się starał omówić, tu tylko wspomnę, że się nie tylko z nią da pogodzić, ale że stanowi jej nowe, świetne potwierdzenie.

---

1) Sir J. J. Thomson: Rays of Positive Electricity and their Application to Chemical Analysis, London, 1921.

Philosophia perennis, która przez tyle wieków oparła się zwycięsko uderzeniom najwybitniejszych lecz uprzedzonych umysłów, z pewnością nie ulegnie pod uderzeniami potężnych cząstek alfa — które jednak wychodzą z tego samego, co i ona źródła, z mądrości i wszechmocy przedwiecznej Prawdy.

Tymczasem chciałbym zwrócić uwagę na jeden szczegół niezmiernie ciekawy, wynikający z dotychczas odkrytych zjawisk promieniotwórczych. Oto przy wszystkich zjawiskach promieniotwórczych, mamy do czynienia z r o z k ł a d e m atomu a zarówno wychodzące przytem na zewnątrz cząstki alfa i beta, to jest elektrony o masie 1823 razy mniejszej od masy wodoru, jak i promienie gamma i owa olbrzymia ilość energji, o której wspomniałem, to są wszystko produkty tego rozkładu, a więc pochodzą z wewnątrz atomu. Atomy więc pierwiastka macierzystego, które po takim rozkładzie pozostają, są uboższe i w masę i w energję i zawsze mamy do czynienia przy wszystkich tych przejawach z rozkładem, z dewolucją — a nigdy dotychczas nie zdołano zauważyć a tembardziej, sztucznie dokonać syntezy, czyli powstania atomu o wyższym ciężarze z atomów lżejszych. Tak jest z pierwiastkami promieniotwórczemi. Lecz nasuwa się silne przypuszczenie czy, podejrzenie, że jeżeli tak jest z uranem i radem i torem itd., to tak samo może być ze wszystkiemi innemi pierwiastkami, że więc atomy wszystkich pierwiastków nie są czemś trwałem, lecz ciągłemu podlegają rozkładowi, tylko że rozkład ten jest tak wolny, a stąd energja przy nim się objawiająca tak mała, że nasze przyrządy nie zdołają jej już wykryć. Wiadomo, że np. Uran I, praojciec radu i polonu, rozkłada się tak wolno, że jeżeli mamy pewną ilość tego pierwiastka, to aby rozłożyła się połowa atomów, potrzeba czekać 5 miljardów lat. Mimo to przyrządy nasze wykrywają ten tak wolny rozkład. Gdyby był jeszcze wolniejszy, to usunąłby się jednak z pod naszej obserwacji. A więc może wszystkie pierwiastki się rozkładają, tylko my dostrzec tego nie umiemy. Ale tak, czy nie, w każdym razie stoimy wobec faktu, że wiele już znanych pierwiastków ulega zmianie, ale zawsze tylko ku rozkładowi, zawsze tylko tak, że z cięższego atomu tworzą się lżejsze. Nasuwa się tedy natrętne pytanie: więc skąd się wzięły te pierwiastki najcięższe, które przedstawiają niezmiernie ścisłe skupienia owych trzech elementów budowlanych: helu, jego izotopu i wodoru.

Jasną jest rzeczą, że uczeni przyrodnicy i filozofowie katoliccy spokojnie oddawać się mogą badaniom i refleksjom nad tym przedmiotem, bo wiedzą, że na początku wszechrzeczy jest ów primus motor,

owo źródło wszelkiego bytu i siły, Stwórca. Od Niego wyszło wszystko — w jakim stanie, i w jakiej postaci, to nauka może spokojnie badać. Inaczej jednak rzecz się ma z badaczami monistycznymi, którzy muszą ciągle uważać, by kopiąc w tej głębi tajników przyrody nie trącili nieostrożnie kilofem i nie wywołali wytrysku źródła prawdy, któreby mogło zalać całą ich mozolną pracę, wcale w innym zamiarze przedsiębraną. Stąd w owych sferach przechodzi się koło tej kwestji tylko bardzo ostrożnie i z wielką niechęcią. Ale zagadka pozostaje i sfinks przyrody się uśmiecha.

Ks. Feliks Hortyński.

Charakterystyka metropolity Winnickiego[1]).

Że władycy zarówno uniccy jak i dyzuniccy nie mieli przyjaciół wiernych i statecznych jest rzeczą łatwo zrozumiałą, skoro zważymy stusunki wśród których żyli i działali. Walka ustawiczna, którą z obozami przeciwnemi a częstokroć i z własnymi zwolennikami, podwładnymi diecezjanami toczyli, jest źródłem nieustannych kalumnij, paszkwilów, oskarżeń i owych protestacyj w sądach rozmaitych instancyj, protestacyj jako z obozu przeciwników pochodzących, więc jednostronnych, bardzo przesadzanych a nawet wręcz fałszywych. Stąd pochodzą owe przciwieństwa w zarzutach sobie stawianych, niezgodności w owych przekazach, od których się roją zwłaszcza akta sądowe; spory bowiem nie kończyły się na oczernieniach i słownych walkach, lecz jak już dowodnie wiemy, nosząc na sobie piętno gwałtów bezustannych, niekiedy krwawych, kończyły się częstokroć śmiercią uczestników owych starć wrogich obozów. Przeciwnicy, wstąpiwszy potem na drogę sądową, obrzucają się zarzutami prawdziwemi i nieprawdziwemi.

Gdyby jednak zarzuty, a nawet fakta, świadectwami i przysięgami stwierdzone w odniesieniu do metropolity Antoniego Winnickiego w małej tylko części były prawdziwe, nie mógłby na ich podstawie historyk powziąść dodatniego sądu o charakterze metropolity. Nigdzie, czy to w pismach lub też w sporach słownych, w świadectwach składanych przez zwolenników lub też przeciwników, nie spotkać rysów dodatnich, jakiejś szlachetności duszy, humanitarności, sprawiedliwości... szędzie natomiast występują rozmaite wady klasowego zwierzchnika jakie spotykaliśmy u rozmaitych innych klanowców w Urożu. Co-

[1]) Niniejszy artykuł jest zakończeniem szeregu artykułów z historji ruskiej Cerkwi w diecezjach przemyskiej i lwowskiej drukowanych w Przeglądzie Powszechnym od r. 1918.

prawda znajdujemy w aktach pochwały, wzmianki o zaletach, te jednak pochodzą od niego samego, a w gruncie rzeczy i te są nikłe. Mówi o sobie, jako o dobrym obywatelu rzpltej, który na Żółtych Wodach dostał się do niewoli, że krew i życie poświęcał, że majątek na wykupno z niewoli stracił, że pracował gorąco nad tem, aby Kozaków, wrogów ojczyzny, przywrócił do jej usług [1]). Tymczasem szlachta, która brała udział w wojnach, bardzo poważnie podkopuje owe pochwały. Imieniem ziemian żydaczowskich występują Mikołaj Hoszowski i Maciej Witwicki, składając świadectwa w sądzie grodu lwowskiego [2]), że Winnicki na wzruszenie pokoju ojczyzny a na wzniecenie przyszłych pożóg, synem i bratankiem wroga ojczyzny, Ostafiego Hohola, nie tylko się zaopiekował, ale nadto z kowiktu jezuitów lwowskich, gdzie byli na wychowaniu w czasie najazdu zbuntowanych Kozaków przez sług swych »modo furtivo«, dawszy im uniwersał na wolny przejazd do Ukrainy do Ostafiego do Brahiłowa wysłał drogą na Śniatyn, za poradą Jana Mazarakiego. Zarzutu tego nie odparł Winnicki dokumentalnie lub świadectwami, a tylko ogólnikiem[3]), że oskarżenie to jest sprawką Józefa Szumlańskiego mnicha, Jana Złoczowskiego chorążego halickiego, wreszcie Piotra Telefusa, zawsze godzących na jego honor. W dwa lata dopiero odpowiada na owe zarzuty, i to pozwem o dyffamację. Inne pochwały są wynikiem próżności. Z powodu tej wady lubuje się w tytułach, przydając sobie tytuł metropolty Wszej - rossiejskiego, kochając się w bogatych obrazach, szubach, sobolach i ryzach moskiewskich. Chciwiec do tego stopnia, że wysyłając mnicha po sakrę do Carogrodu, wysyła go drogą na Moskwę, aby tam wyżebrać fundusze, a w Carogrodzie każe zakupić mnichowi wschodnie towary i nocą przywieść do klasztoru i tu zbywa chętnym nabywcom oczywiście bez opłaty cła. Toż inny mnich bazyljanin, O. Atanazy Sokulski, długoletni dawniej administrator dóbr władyczych, wiedząc o tej wadzie metropolity, postanowił z niej skorzystać. W 1677 r. przydany będąc do boku bratanka metropoliciego Michała Winnickiego, wysłanego »za wiedzą króla do Moskwy« [4]), pozakupywał tam szuby sobole i futra, w których tak się lubował pyszny metropolita. Gdy wracano z Moskwy, Bazyljanin u granic Wołynia pożegnał się z Michałem Winnickim i pojechał do siebie do Łucka, podczas gdy Michał poje-

[1]) C. Pr. 406 p. 614. A. Ter. Prem. 132 p. 46.
[2]) Dnia 1 września 1667 r. C. Leop. 419 p. 1865.
[3]) C. Pr. 406 p. 612.
[4]) C. P. 424 p. 1717.

chał do stryja swego do Uroża. Na rozjezdnem oświadczyć kazał O. Sokulski metropolicie, że sam przywiezie mu szuby. Okazało się później, że najważniejsza część bodaj owej misji do Moskwy nie została po myśli metropolity wykonana. Brakowało sorok soboli wartości ówczesnej 1500 złp. i dwie pary szub sobolich wartości 300 zł, nie licząc braku gotówki 120 zł., zapewne z jałmużny pochodzących. Metropolicie nie pozostał inny środek do zastosowania, celem odzyskania moskiewskich futer, jak tylko skarga o zabrane illicito modo rzeczy, prawdopodobnie mało skuteczna.

Pochwały o swej dla cerkwi działalności są czczą tylko przechwałką i pokrywką skąpstwa. Na zaproszenie metropolity Sylwestra Kossowa o datek na uposażenie kollegjum w Kijowie, składa 200 zł., ale wszyscy inni władycy dają po 500; natomiast sam przyjmuje od Chmielnickiego epitrachit z czerwonego aksamitu złotem szyty, jak jego wrogowie twierdzili, »ob spem rebellium Kozacorum« dla katedry przemyskiej, zapewne o wartości godnej, by dać dla kollegjum uposażenie w wysokości datku innych kolegów[1]). Darowuje Bazyljanom przemyskim monaster Św. Onufrego ławrowski, per iniuriam zaniedbany w dezolacji zostający z wsią Nanczółką[2]), oczywiście darowywał własność cudzą i nawet uzyskał na to potwierdzenie w kancelarji koronnej. Broni dóbr cerkiewnych, jak np. roli do cerkwi wileńskiej Przemienienia Pańskiego należącej, a przez Bąkowskich zajętej[3]), ale sam nexu amicabili na szkodę cerkwi uszczupla jej dobra przy rozgraniczeniu Straszewic, o co go własna skarży kapituła[4]). Skarży administratora Tyrawy Solnej, gdy ten w sam dzień ruskiej Paschy nakazał panew do warzenia soli naprawić, a innym włościanom religji greckiej drwa rąbać z pogwałceniem świąt greckiego obrządku[5]), on sam zaś nie wahał się gwałcić sumień wielu duchownych i świeckich osób, zmuszając ich prawem i lewem do wyprzysiężenia wiary przez nich wyznawanej.

Nawet w obronie swoich wyznawców nie był konsekwentnym, lubo tak nienawidził unję, że eucharystję unicką znieważył, antymin zniszczył, unitę kapłana na nowo święcić kazał, ciało władyki Krupeckiego obedrzeć kazał, a winę zepchnął na krewnych Krupeckiego, którzy go przecież o toż obdarcie skarżyli, rzucając na nich kalumnję,

[1]) Ter. Prem. 125 p. 72 in.
[2]) C. Prem. 400 p. 1460.
[3]) C. Pr. 388 p. 1855.
[4]) Ter. Prem. 128 p. 657.
[5]) C. San. 189, p. 1151.

że jak go za życia przez lat 40 wyzyskiwali, tak i nagiego pochowali. Stwierdzili bowiem kapłani, że prześladował igumenów jakoby schizmatyków, to znowu jako wyznawców unji, jak mu się podobało i więził w swoim Urożu. Była jakaś przewrotność, jakiś fałsz w duszy jego, na skutek czego nie miał nikogo sobie szczerze oddanego, nie oparł się o żadnego przyjaciela, gdyż wszyscy go nienawidzili. Weźmy np. szlachtę, a dostrzeżemy, że nie tylko w ustawicznej jest ona z nim wojnie, procesach, zatargach, groźnych, zajazdach, bójkach, ale też i serdecznie go nienawidzi. On ze swej strony każe bić a nawet zabijać szlachtę, jak np. Jana i Abrahama Cierzanowskich, a potem zasądzony wnosi skargę ale do sądu sejmowego o dyffamację [1]). Nawet duchownych swoich używa do pobicia Stanisława Krowickiego [2]). Nie zważając na cudze granice, jak dziedzica Taranowic, Stefana Ledochowskiego, kasztelana wiskiego, każe je nocą zajechać swoim urzędnikom i ludziom ze Straszewic [3]). Nierzadkie są wypadki, kiedyto zapomina się w swej nienawiści ku swemu nieprzyjacielowi, sąsiadowi szlachcicowi, że przesyła mu »odpowiedź«, tj. grozi jego życiu [4]), przenosi grozić temu skarbowi ludzkiemu za pośrednictwem rąk innych lub też wyrządzać szkody napastliwością i procesami. Takich poszkodowanych ze szlachty jest dużo, z kasztelanami i starostami, zwłaszcza przemyskimi na czele, aż do zagrodowej szlachty, którą uciska procesami, jak Wysoczańskich, zakupując np. u Pawła Wysoczańskiego za 1075 złp. część jego w Wyżnym Wysocku bez zgody żony i zmuszając ją tem do procesu tak przeciwko władyce jako i przeciwko mężowi zwróconego o unieważnienie kontraktu, bardzo ją krzywdzącego [5]). Inni Wysoczańscy z tegoż Wysocka, Konstanty ojciec i synowie tegoż Andrzej, Jerzy i Michał uchodzą za żebraków, gdyż metropolita wszedłszy w ugodę z Pawłem Wysoczańskim zabrał część pól tymże służącą, użytkują przez całe sześć lat, poddanych rujnują pańszczyzną, zabierają im woły i inwentarz żywy, rozpędzają ich i niszczą. Żebranym musimy żyć chlebem wołają poszkodowani . . . do których należą także i Paweł i Stefan z tegoż Wysocka, od których również zastawem nabywa ziemie i niszczy ich doszczętnie [6]).

---

[1]) C. Pr. 387 p. 532.
[2]) T. Pr. 131 p. 1980.
[3]) C. Leop. 485 p. 1434, A. 432 p. 1694.
[4]) Swodnaja let. I. 881.
[5]) Ter. Prem. 127 p. 228.
[6]) Ter. Prem. 136 p. 812, 819, 1485.

Mówiliśmy, że i Winnickich krzywdził, z własnym rodem Sasów pozostawając w zatargach krwawych, które król uspakajać usiłował bardzo wysokiemi wadjami [1]); tu dodajmy, że i z własnym bratem Stefanem w r. 1655 władyka w tak zaciekłych trwał sporach, że ten ostatni list otwartej nieprzyjaźni, ową znaną »odpowiedź« przesłał władyce, a król kładąc tamę zawiści, mogącej się łatwo skończyć zbrodnią i to na dostojniku cerkwi przez brata, naznacza między śmiertelnie zwaśnionymi również wysokie wadjum gdyż 30,000 zł. p.[2]). A dodajmy do tego, że ten brat był obsypany łaskami władyki i zapewne tylko wstawiennictwu władyki zawdzięczał i honory i majątek, albowiem już 1652 r. pozyskał intratne wójtowstwa w Samborskiem w Stronnej, Łukawicy, Nanowej [3]), a biedny szlachcic podgórski, stał się w kilkanaście lat później tak bogatym, że w 1664 r. miał w Samborze cały szereg kamienic. I nie dziwna; nie tylko, że z łaski brata dzierżawił dobra cerkwi, leżące w ziemi samborskiej, ale nadto był dzierżawcą dóbr królewskich w tejże Samborszczyźnie, jak Łopusznej, Monasterza, Łukawicy, Stronnej, Winnik i oczywiście Uroża, którego części był dziedzicem [4]). Jakieś interesy łączyły obu braci, skoro się przecież niebawem pogodzili i wspólnie proces o zabójstwo Teodora toczyli, wspólnie najeżdżali szlachty dobra.

Poddani władycy są rozpasani, w Straszewicach nawet bardzo majętni są zbójami [5]), inni towarzyszą wszystkim zajazdom władyki, bójkom krwawym, nocnym wyprawom i oczywiście soborczykom, na których się owe najazdy przygotowywały. Był ogółem dla nich, podobnie jak i klan cały Winnickich, bardzo srogim i Walawianie np. długo pamiętali krzywdy metropolity, gdyż i po śmierci jego w protestacji, wymierzonej przeciwko następcy na katedrze przemyskiej a bratankowi zgasłego, Janowi Innocentemu Winnickiemu, skarżą się [6]), że metropolita, nie słuchając przywileju i praw tudzież zwyczajów dawnych, wielkie krzywdy i uciążenia tymże czynił, jako o tem w grodzie przemyskim są protestacje. Grożą tedy, że nie mogąc wydołać ciężarom tym nowym, rozejść się muszą. Ze Straszewic, z Werhun chłopi władyccy biją, rabują, gwałcą niewiasty, a metropolita podów-

[1]) C. Pr. 379 p. 959. Cf. Ter. Prem, 127 p. 469.
[2]) C. Pr. 382 p. 2042.
[3]) C. Pr. 399 p. 534.
[4]) C. Pr. 402 p. 1290.
[5]) C. Pr. 431 p. 1573.
[6]) C. Pr. 431 p. 1397, 1490.

czas i jego plenipotenci tak są przekonani o współwinie w tych zbrodniczych czynach, że nie stawią się na terminie i władyka popada w banicję. Mimo srogości z jednej a faworyzowania złych poddanych z drugiej strony, zbiegają oni masami do dóbr starostwa samborskiego, będących w zarządzie starostów, skąd nieustanne procesa i nieprzyjaźń stała ze starostami, jak np. z Daniłowiczami, albo też nawet uciekają do szlachty sąsiedniej, jak np. do Romerów [1]).

Nienawiść odpłacano władyce nienawiścią. Nawet słudzy własni jego, Uruski, Jaworski, Jan i Samuel Dubrawscy bezczeszczą go, gdy w Starej Soli zaszedł do domu Terenczowskiego, łają, obsypują obelgami, wreszcie biją, gotówkę kulbakę z wojłokiem, olstrę, pistolety, bandolet, sutannę, pasy jedwabne mu zabierają [2]). W szczególności mieszczanie ciągłej do tejże doznający podniety z powodu nienasyconej jego chciwości, zakupowania domów, kamienic po miastach [3]), zajmowania się handlem, gdyż sprowadzał wschodnie towary z Carogrodu przez swoich mnichów i te, przywiezione bez opłaty cła, sprzedawał, długów zaciągniętych u mieszczan, jak np. w Samborze, nie płacił, intromisji w domy swe miejskie zbraniał i jak burmistrz samborski, Sebastjan Barkmanowicz, się skarżył, do tego wszystkiego jeszcze korupcje brał... a ukontentowania nie dawał [4]). Owszem wyciągał rękę do mieszczan, jak np. do stauropigjan lwowskich, ażeby go »w teraźniejszych jego niedostatkach«, było to w 1669 r. »sumptem suppeditowali« [5]). Z powodu zachłanności uzyskuje cesję prawa kaduka, lubo prawni sukcesorowie mieszczanina samborskiego pozostali, uzyskuje dekrety w trybunale i tak prawnego sukcesora rajcę samborskiego, Dra Wojciecha Jużkiewicza, do ruiny doprowadza [6]). Co więcej, metropolita handel tamuje i jak się skarżą Samborszczanie, każe na staję od monasteru spaskiego na gruntach klasztornych, lecz na drodze publicznej, czyhać na kupców w szczególności z winem do składu samborskiego jadących, zagradza drogę z ludźmi brata Stefana i beskidnikami, do gwałtów skłonnymi, zawraca kupców z wozami i winem do klasztoru i wino zabiera bez jakiejkowiek zapłaty. W taki to sposób

---

[1]) C. Sanoc. 188 p. 697.

[2]) C. Pr. 394 p. 867.

[3]) Jak np. w Wiszni, Przemyślu, Jarosławiu, Samborze, Starem Mieście, Sanoku itd. Ter. Pr. 132 p. 43. C. Leop. 422 p. 465.

[4]) Ter. Prem. 130 p. 272.

[5]) List metrop. z 29 kwietnia 1669 w Swodnej letop.

[6]) C. Leop. 417 p. 2001.

zabrał Winnicki dziesięć kuf i cztery antały wina wspomnianemu kupcowi Sebastjanowi, i to wina z suchej jagody (tokaju) wyrobionego, a na przedstawienia szlachty i mieszczan nie zważał i nie oddał cudzego, a nawet cła od beczki nie zapłacił [1]). Sprawa stała się głośną i władyka pragnął układem pozasądowym załagodzić ów zabór cudzej własności.

Umie się Winnicki poniżyć, użyć wpływów swoich na sejmikach, zażyć tamże pomocy u stronników swych, by ujść kompromitacji, a i zysku materjalnego nie stracić i przeciwnika załagodzić. Będąc niebezpiecznym dla każdego, który mu stawał w drodze, dawał mu niejako do wyboru, albo otwartą walkę, połączoną z widokami utraty zdrowia a nawet życia, z drugiej zaś strony zgodę ale za cenę dużych ustępstw. W czasach, kiedy otrzymał metropolję — w okresie pomiędzy unją hadziacką a pokojem andruszowskim — i takie ustępstwo mogło dla przeciwnika uchodzić za dobrodziejstwo ze strony dostojnika, nie skłonnego wogóle do kompromisów.

Syn patrjarchy klanowego na wzór tego środowiska, z którego pochodził, urządza sobie otoczenie, tylko stosownie do swych dochodów, bogactw, mając na celu tylko używanie. Zmysłowy grzęźnie w rozkoszach [2]), dając najgorszy przykład, o ile że stosunki owe nie mogły pozostać tajemnicą, przedostały się bowiem do sądów, pociągnęły za sobą zeznania, stwierdzone urzędownie przez świadków. Chytry, podstępny, to znowu niecierpliwy, wybuchający gniewem, chciwy tak grosza jak i zemsty, chociażby i krwawej, daje się powodować namiętnościami o ile, że i rozum nie zbyt duży niezdolny stawić tymże hamulca. Toż on hołduje jeszcze opinjom przestarzałym, w klanie panującym, jak np. zabobonom, nasyłaniu czarownic, a nawet wzywaniu szatana, jak o tem zeznawał długoletni jego towarzysz prac władyczych Ojciec Pimen. Napięcie woli, skierowane u niego w kierunku zbrodni — żadnego wyrzutu sumienia, żalu, skruchy nie odczuwa, ból moralny nie dotyka go nigdy, dlaczego też ze zbrodni do zbrodni nieustraszony i niezłamany kroczy. Jego rozkoszą jest znęcanie się, udręczanie, prześladowanie innych, dochodzące do tyranji. Z błyskiem nienawiści w oczach pastwi się w wymyślony sposób, okrutny nad nieszczęsnemi swemi ofiarami, bezprzykładne im zadając cierpienia i tortury. Współcześni mówią wyraźnie, że zadawał inauditas nefandas violentias, że wielu mąk jego znieść nie mogąc, wieszało

[1]) C. Leop. 415 p. 292, 293.

[2]) Sprawa deflorationis Anny Baranieckiej; Ter. Prem. 130 p. 334 in.

się..., wielu katowi na męki zdanych [1]). Równocześnie wszelkie przeciwko sobie zwrócone skargi, chociażby pochodziły z ust wiarogodnych, jak np. Ojca bazyljanina Lenkiewicza, umiał on udaremniać protestacjami, w których przedstawiał przeciwników jako zbrodniarzy, oszczerców, wagabundów, niegodnych wiary [2]), siebie zaś jako obywatela zacnego, zasłużonego królowi i rzptej i niewinnego jak baranka. Uparty nie daje się odwieść od złego żadnemi argumentami, a w zaciętości wywiera zemstę i to krwawą nad tymi, którzy się poważą reflektować jego zbrodnicze zapędy. Jest ciemiężycielem i prześladowcą włościan dla interesów materjalnych, jest wrogiem świaszczeników swoich, skoro ci nie dają się powodować jego szalonym zamiarom.

Niepohamowanie próżny, nie baczył nawet, ile łez, niedoli była przyczyną jego ambicja... dla której sam ponosi cięgi, bicia, obelgi poniewierkę, nawet od sług własnych, na jaką naraża władyczą dostojność... Ze wszystkich przeciwników swych najbardziej nienawidzi władykę Szumlańskiego, gdyż ten przypominał mu własne jego wady, jak mściwość i namiętność... Z drugiej strony zwycięstwo nad nim ze strony ludzi wierzących potęguje jego zazdrość do stopnia okrucieństwa, zaślepia go, czyni go obojętnym dla zasad, byle uzyskać metropolję, cel swych ambitnych dążeń... Prawdy religijnej nie widział ani przez pryzmat szlachetnej duszy nękanego przez się władyki Krupeckiego, ani przez cierpienia Pimena i tylu innych ofiar swej tyranji, gdyż żadnej religji nie nosił w sercu — skoro hołdował zabobonom klas niższych i nostalgja za religją nie opanowała nigdy jego duszy. Szczyci się swym herbem i szlachectwem, broni przed zarzutami, narzuca się niem ziemianom na zjazdach szlacheckich i sejmikach, na sejmach nawet poza sejmami... ale szlachetności w nim nie masz i można było doń z Opalińskim powiedzieć:

Nic w tobie wolności
I szlachectwa niemasz, bo to z cnoty idzie.
Jak cię wolnym nazwać, a tyś siła zbrodni
Szkaradnym niewolnikiem...

Rządy też w diecezji, w metropolji noszą na sobie piętno jego charakteru... Zamęt w nich dochodzi do szczytu. Człowiek, który z powołania pokój miał wnosić do obszernych ziem, wnosi zgiełk, bójki krwawe, bitki zacięte i trwałe, znęcanie się, udręczenia, pastwienia się, prześladowania słabszych. Jego gwałty skłaniają szlachtę i ma-

[1]) C. Prem. 397 p. 1497.
[2]) C. Pr. 380 p. 1703.

gnatów, wreszcie świaszczeników na stronę przeciwników jego, jak Chmielowskiego, i wielu uznaje obedyencję tego ostatniego.

Nienawiść nie może rodzić dobrych owoców... a że nienawidził wszystkich ogółem, którzy nie chcieli się poddać arbitralnej jego woli, czy to oni byli łacinnicy lub unici lub dyzunici, przeto nikt z ziomków nie mógł mieć doń zaufania, tem mniej przywiązania, wszyscy się go bali, lubo w gruncie rzeczy lekce sobie go ważyli i nienawidzili. Unikali go łacinnicy i chyba taką bratowa, jaką była pani Stefanowa, mogła stanąć po stronie zwolenników jego religijnych, wystrzegali się wejścia w stosunek z władyką unici, lub wprost wrogo stawiali się mu, jeżeli ich zaczepiał, a wreszcie dyzunici, względem których zastosowywał wszystkie możliwe środki celem ich zatrzymania przy sobie, opuszczali obóz, którym dowodził znienawidzony człowiek. Są wsie całe, mówi szlachta na sejmiku wiszeńskim [1]), które nie chcą być pod obedyencją władyków, ale węgierskiemu ritus graeci poddają się posłuszeństwu. Powszechnie wiedziano, że jak jego poprzednik na władyctwie, unita Krupecki, aczkolwiek surowy i wymagający, łożył i fundusze i prace swe na wychowanie kleru, Winnicki dbał tylko o dochody, o ściąganie poborów i to do tego stopnia, że np. pogłówne, pobierane na ręce urzędników od popów, tonęły gdzieś bez śladu i szlachta sejmikowa musiała następne uwalniać od kontrybucji, oczywiście ze swą i swych poddanych szkodą. Ale to jego obdzierane duchowieństwo, jak to powszechnie było wiadomo, niesłychanie gburowate i nieoświecone, widząc reformy unitów, czuło to dobrze, że że wina tych wad jego ciężyła na władyce, który się wcale nie starał o ich wychowanie, ani o młodzież swego wyznania i nie umiał ani też chciał inteligentniejszą część kleru do cerkwi przywiązać. Stąd nowe źródło odpadnięć od dyzunji tak duchownych jako i świeckich osób, tak mnichów jak i świeckich księży, tak mieszczan jak i chłopów, tak szlachty zagrodowej jako też i ziemian... Pod koniec życia byłby Winnicki dojrzał, czego w zaślepieniu swem pewno nie widział, a tylko odczuwał, że jest przedstawicielem niejako tonącego okrętu, z którego wszystko uciekało. Gorliwi katolicy, jak chorąży koronny Mikołaj Sieniawski, w dobrach swych dawali prezenty już tylko unitom, z tem, żeby nabożeństwo według unji było sprawowane i żeby beneficjat pod władzą unickiego władyki Małachowskiego pozostawał —

[1]) Laudum wiszeńskie z 26 czerwca 1662.

czynili beneficjatów namiestnikami klucza i nakazywali, by im nie zeprzszkadzano w ich urzędowaniu [1]).

Z sejmików, które on przez swoich satellitów zaburzał, wychodzą pod koniec jego działalności, głosy przyjazne dla unji; sejmik daje subsydja władyce unickiemu przemyskiemu, jak Małachowskiemu [2]), wiodącemu dyzunitów ad oboedientiam, a pozbawionemu dochodów jużto skutkiem rozrzutności i złej admistracji metropolity, jużto skutkiem tego, że inni przeciwnicy dyzunji posiadali wszystkie dobra i dochody władycze. I ten sam sejmik drugiemu następcy na stolicy przemyskiej nieunickiej po metropolicie i jego satellitach, krewnemu metropolity Innocentemu Winnickiemu, śpiewa hołd czci dla heroicum jego opus: cura ac sollicitudine jego czułego pasterza djecezji in ritu graeco przemyska diecezja do społeczności Kościoła św. rzymskiego, czego wieki i przodkowie nasi oczekiwali przyszła, przeto aby dawne konstytucje circa libertatem cleri uniti ad executionem przywiedziono...[3]) Inny znowu sejmik wotuje, że ponieważ episkop ten nie ma dostatecznych dochodów, aby król z dochodów rzymskiego biskupstwa ex primis vacantibus wyznaczył...

Mając za zadanie przedstawienie zrębu wypadków, stanowiących walkę o unję w przemyskiej i lwowskiej ziemi w ciągu XVII w., nie mogliśmy mówić o wiążących się z tą walką kwestjach, jak o stanowisku sejmu, a zwłaszcza Kościoła rzymskiego w obec unitów lub też dyzunitów, toczących zaciekłe boje, zawieruszające obszerne ziemie rzptej. Są to tak ważne pytania, że wymagałyby osobnego opracowania, a i po źródła należałoby sięgnąć nie tylko do ksiąg i archiwów sądowych aktów, ale przedewszystkiem do kapitulnych. Jednakże już w powyższem przedstawieniu jest częściowa odpowiedź na zarzuty, które historycy nawet bardzo poważni, jak historyk »Unji Cerkwi ruskiej z Rzymskim Kościołem«, ks. biskup przemyski Pełesz, swego czasu poczynił był episkopatowi łacińskiemu z powodu tegoż stanowiska w obec unji i unitów. Zarzut jakoby biskupi łacińscy nie protestowali przeciwko ustępstwom królów i sejmów na rzecz dyzunitów, powtórzony za Suszą i to względem prałatów, którzy zawsze i wszędy bronili episkopat unicki, zawsze równolegle z episkopatem unickim zakładali protestacje, ściągać się może chyba do jednego wypadku, że nie

[1]) Arch. miasta Przemyśla w opisie M. Błażewskiego. Dokument z 1674 r
[2]) Ob. lauda sejmu wiszeńskiego i lat następnych aż do 1679.
[3]) Sejm wiszeński z 1693.

zaprotestował zaraz przeciwko ustępstwom poczynionym dyzunitom w traktacie hadziackim. Ale nie sięgając do stosunków politycznych ówczesnych, o których możnaby powtórzyć słowa, które do innej chwili stosuje Stebelski w swoich »Dwóch Światłach«, że względy państwa skłoniły takiego króla, jakim był Władysław IV, do ustępstw dla dyzunitów, są inne jeszcze ważne powody, któremi się kierował przychylny unji episkopat łaciński. Boć nie potrzebując nawet uwzględniać ciężkości chwili ówczesnej politycznej, a samym tylko interesem powszechnego Kościoła kierowany, mógł w ustępstwie na rzecz dyzunitów widzieć środek jedyny pozyskania i tych synów rzptej dla Kościoła powszechnego, a więc było to ustępstwo in spe unionis zrobione; wszakże chciano osobnego patrjarchatu dla wyznawców unji i dyzunji, zapewne nie w innym celu, jak tylko aby podzielonych pozyskać w ich głowie, a potem i w członkach dla Kościoła. Zresztą, skoro się tylko okazało, że Kozaczyzna zrywa układy i stanowczo nakłania się w stronę wrogów rzptej, wyparto się owych ustępstw z wielką rezerwą a nawet — dwójznacznie zredagowanych i to właśnie z tego powodu, iż przewidywano zgóry, że wszelkie ustępstwa ani do politycznej zgody ani też do jedności religijnej nie doprowadzą tych, którzy bardziej się skłaniali do stosunków przyjaźni z wrogami rzptej aniżeli do takichże z nią samą. Próba zawiodła i episkopat łaciński znowu protestuje, jak zawsze protestował przeciwko ustępstwom na rzecz dyzunji czynionym. Formowano dawniej i teraz jeszcze powtarzany zarzut z powodu rozciągnięcia przez rzymskich biskupów jurysdykcji nad grekami. Otóż świaszczennicy, którzy na skutek przylgnienia do oświaty polskiej, do jej literatury pięknej, do rodzin polskich, przekonani o świętej jedności porzucali dyzunję — w obec tego, że w djecezjach wielu nie było biskupa unickiego, musieli przecież zwrócić się do jakiejś władzy, by ich przyjęto do katolicyzmu, by uzyskać zatwierdzenie w duchownem urzędowaniu a zarazem i opiekę i obronę. Powtóre w czasach, kiedy i nieuniccy władycy zapraszają nietylko katolickich kapłanów ale także i unickich świaszczenników jako reformatorów kleru swego, później zaś w skutek obawy przed rozruchami lub innych względów poczynają prześladować swych pomocników, dokądże zwrócić się mieli ciemiężeni, więzieni, jeżeli nie do duchowieństwa i do episkopatu łacińskiego, który to nie tylko że jurysdykcję na nich obejmował, ale nadto opiekuńczą ręką od gwałtów bronił.

Powtórzył też biskup Pełesz dawny zarzut, że nie brano władyków do senatu, jak to radził papież Klemens VIII. Otóż w czasach

tego papieża unja dopiero co się zawiązała, urosła i właśnie takie powołanie unickich władyków do senatu mogło tylko wzrostowi jej zaszkodzić a nadto rzptą narazić na wojnę domową, gdyż dyzunici, jako zdawna uprzywilejowane wyznanie, byliby niezawodnie w tem powołaniu unitów do senatu z pominięciem własnych władyków widzieli pogardę swej religji i tem srożej byliby wystąpili przeciwko unitom w jej obronie a przez to samo byliby też i sroższe burze i zamieszki wywoływali w rzptej; wszakże już z powodu faworyzowania unitów przez Zygmunta III dyzunici brali udział w rokoszowych walkach, zwróconych ostrzem przeciwko temu królowi. W czasach późniejszych zaostrzonych walk unitów i dyzunitów tem bardziej należało w interesie pokoju publicznego i bezpieczeństwa rzptej starać się gasić ogień a nie dolewać oliwy do ogniska, a taką czynnością byłoby niezawodnie powołanie władyków do senatu. Pomijamy i to, że jak to z powyższego przedstawienia poznać było można, ani nawet taki Krupecki nie stanął inteligencją swą na wysokości senatora, a z drugiej strony dyzunici, jak Piotr Mohyła, Sylwester Kosow byli luminarzami, ludźmi zachodniej kultury, szerzący też ją według wzorów polskich a nawet i przy pomocy Polaków w Kijowie. Nie chcemy w powyższej odpowiedzi wykluczyć zupełnie zarzutu o uprzedzenie polskiego episkopatu do władyków, boć jeżeli uprzedzenie władyków, jak to w powyższem przedstawieniu dowodnie stwierdzono, towarzyszy tymże nawet w stosunku do ich dobrodziejów i protektorów biskupów łacińskich, toć oczywiście nie jest wykluczonem, że i łacińscy biskupi, poznawszy grę dwójznaczną z powodu braku ufności pochodzącą, również poczynali być uprzedzonymi względem swoich niepewnych kolegów. Zresztą to uprzedzenie ze strony łacińskiego episkopatu w obec powyższych motywów mogło tak tylko znikomą odrywać rolę w kwestji niepowołania władyków do senatu.

I zarzut biskupa Pełesza co do obojętności łacińskiego duchowieństwa względem unji [1]), jest tylko powtórzeniem zarzutów dawniejszych historyków, a najmniej nie uzasadnionych. Nie da się zaprzeczyć, że tu i ówdzie spotkać mogła unitę obojętność ze strony duchownego łacińskiego, a nawet że tu i ówdzie trafił się duchowny a nawet dygnitarz łaciński nie sprzyjający unji, lecz zapytajmy odwrotnie, czy unja sprzyjała rzymskiemu wyznaniu i księdzu? Wszakże unja już w swych prowodyrach uszczuplała liczbę i siłę rzymskich katolików

[1]) Gesch. der Union II. 259—261.

i siłą propagandy nowej czyniła większe szczerby w Kościele na wschodnich połaciach rzptej, gdzie parafje łacińskie były rzadkie, a napływ ludności wiejskiej wobec pustynności ziemi wielki, aniżeli to dawniej dyzunja czyniła. A gdybyż ta propaganda prowadziła zawsze do katolicyzmu, na który kler łaciński nie mógł być obojętny, lecz lud podług nauki jaką otrzymywał, nie wiedział właściwie w co wierzył — przyznawał unję lub dyzunję według tego, kto był parochem w cerkwi, albowiem raz duchowni unici wypędzali z niej dyzunitów, to znowu dyzunici unitów. Dodajmy, że w czasie wojen kozackich i jedni i drudzy wyznawcy greckiej wiary wycinali Lachów, księży, mieszczan, szlachtę, i to aż po źródłowiska Sanu i Wisłoka na całej wschodniej połaci rzptej, a będziemy mieli bardzo wymowną odpowiedź na ów zarzut obojętności, czyniony łacińskiemu klerowi przez historyka Unji.

A jeżeli zważymy to wahanie się od unji do dyzunji ze strony ludu bałamuconego przez podżegaczy: Arjan, Kozaków lub carogrodzkich i atoskich emisarjuszy, to czyż zadziwi nas żądanie episkopatu łacińskiego co do rozciągnięcia jurysdykcji i nad unitami? Wszakże ludność nie wiedziała w co wierzyć ma, wszakże widząc i biorąc udział w bojach władyków uciekała o pomoc do zagranicznych władyków, jak do węgierskich, jak to już wyżej zaznaczono. Takie zwracanie się do zagranicy mogłoby chyba służyć za dowód obojętności względem unji ze strony władyków unickich, a przecież tego żaden z historyków unji nie uczynił, jakkolwiek wiadomem jest, że i ów Susza, który głównie zarzuty przeciwko episkopatowi łacińskiemu sformułował, jeździł 1664 r. do Rzymu właśnie celem usprawiedliwienia się, co też uczynił przedkładając swą pracę: De laboribus Ruthenorum. A temuż Suszy również zarzucano, że dbał raczej o honory aniżeli o owieczki, jak tego dowodzą jego zabiegi o protoarchimandrję bazyljańskiego zakonu, a także o objęcie dóbr biskupstwa przemyskiego. Na sejmiku wiszeńskim zebrana szlachta, oceniając te zabiegi o dobra przemyskie, miarą ówczesnych stosunków zażądała, by one pozostały w ręku władyki, który je posiadał, lecz nie broniła Suszy, by stosownie do praw rzptej, jako władyka sąsiedni, wykonywał jurysdykcję nad unitami. Ze względu na te rysy charakteru dzielnego zresztą władyki, jakim był Susza, czyż nie należało usunąć w zupełności zarzutu odeń pochodzącego co do obojętności episkopatu łacińskiego względem unji, skoro wszakże zarzut taki, jak łatwo się dorozumieć można, posłużyć mógł na własne jego usprawiedliwienie? Unici zresztą sięgali w swych pretensjach do rzymskiego

Kościoła nawet po beneficja Kościoła łacińskiego i jak w początkach 1691 r. zażądali od króla, by wakujące opactwo Świętokrzyskie nadał unicie Wyhowskiemu. Król był przychylnym wszelkim żądaniom unitów, w kościelnych jednak sprawach zależnym był sąd jego od duchowieństwa i od Kurji apostolskiej. Ta ostatnia zarządziła była już dawniej, by zakonnicy sami sobie wybierali opatów, toż i król musiał odpowiedzieć posłom ziemi przemyskiej [1]), że jak wszystkich innych prałatów do zatwierdzenia podanych na wakujących opactwach, tak i Wyhowskiego papież nie zatwierdził, z powodu właśnie owego postanowieni a kurji Inne wszystkie żądania zatwierdził łaskawie, a władykę Małachowskiego, by nie był przeszkodą Innocentemu Winnickiemu, wziął na swój żołd.

Duchowieństwo rzymskie ważny wywiera wpływ na miasta i zarządy miejskie. Rządzą się one prawem niemieckiem, jak wiadomo bardzo ekskluzywnem, niedopuszczającem obcych wyznań nie tylko już do zarządu miasta, ale nawet do kupiectwa, do obywatelstwa, nie mówiąc już o cechach. Otóż w chwili przyjęcia unji miasto Przemyśl uchwala przybrać do rajców miejskich jednego unitę, a król zatwierdza uchwałę z tem, żeby po śmierci unity inny tegoż wyznania był obrany do rady; a co do wyboru dwóch rajców, których lud wybiera, pozostawia się mu wolny wybór bez względu na obrządek [2]). A przecież było to ustępstwo z wyłomem prawa połączone!

W powyższem przedstawieniu skonstatowano nie tylko opiekowanie się, otaczanie protekcją i obsypywanie dobrodziejstwami unitów ze strony episkopatu łacińskiego, lecz także obronę ich od gwałtów ze strony ich przeciwników. Duchowieństwo rzymskie samą powagą interwencji swej zażegnywa krwawe walki zajadłych na się przeciwników. Wielki takt biskupów przemyskich tudzież arcybiskupów lwowskich musiał oczywiście wpływać nie tylko na uśmierzanie sporów, walk i bójek zawieruszających prowincje wschodnie, ale także wogóle na rezultat walki, którym był powolny ale stały powrót do unji brzeskiej. Niechaj ci, którym archiwa kapitulne i biskupie stoją otworem, stwierdzą z aktami w ręku te krótkie zdania końcowe. Zarówno w dotacjach, erekcjach dla unickiej cerkwi, jako też w reskryptach duchowieństwa rzymskiego znajdą do tego tematu ważny materjał, stwierdzający życzliwość i opiekę dawaną unitom, przy jednoczesnej tolerancji dyzunji.

[1]) C. Prem. 462 p. 2391.

[2]) Archiwum miasta Przemyśla.

Dr. A. Prochaska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. A. Klawek: Das Gebet zu Jesus. (Eine biblisch-theologische Studie). Neutest. Abhandlungen, VI B., 5 Heft, Münster, Aschendorff, 1921, str. XI i 119.

Tenże: Noc Betleemska. Historja czy legenda? Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań, 1921, str. 64.

W autorze wymienionych dwóch prac zyskuje polska nauka teologiczna poważną siłę. Przeszedł on niemiecką szkołę, która mniej się zaznacza na polu rozwoju scholastyki, zato gruntownie uczy pracować w dziedzinach teologji pokrewnych, w dyscyplinach pomocniczych, a zwłaszcza w teologji pozytywnej, w szczególności — biblijnej. Że młody polski kapłan przyswoił sobie całkowicie metodę swych mistrzów, o tem świadczy przedewszystkiem jego praca niemiecka, będąca pracą doktorską. Z wszechstronnem wyzyskaniem literatury, z drobiazgową dokładnością i skrzętnością zestawia on z Nowego Testamentu i patrystyki najstarszych czasów wszystkie miejsca, które świadczą o kulcie religijnym oddawanym osobie Jezusa Chrystusa w samem zaraniu chrystjanizmu i o pozytywnym względem tego kultu stanowisku samego Mistrza. Praca, oprócz teoretycznego interesu, posiada wielkie znaczenie apologetyczne, dostarczając dowodu, że wiara w Bóstwo Jezusowe nie jest późniejszym wytworem religijnego entuzjazmu chrześcijańskich gmin, ani rezultatem wpływów pogańskiego świata, ale wyrasta z posiewu, rzuconego w umysły i serca apostołów dłonią samego Siewcy, który się Prawdą i Drogą i Żywotem nazwał. W świetle tego rodzaju prac występuje cała dowolność owego liberalnego odłamu neo-protestantyzmu, obozu Harnacków i Boussetów, którzy osobę Chrystusa wyrzucają poza nawias treści chrześcijaństwa. Do charakterystyki pracy Dr. Klawka trzeba dodać sumienną oględność jego egzegezy: które teksty są wątpliwe albo dwuznaczne, z tych rezygnuje, jako z dowodów na swoją tezę. Tak np. odsuwa na bok nawet owe »Syn Boga żywego« w wyznaniu św. Piotra u Mateusza. Ta ostrożność wzmacnia siłę innych pewnych dowodów.

W broszurze polskiej Dr. Klawek zajmuje sie historją narodzenia P. Jezusa według ewangelji św. Łukasza. Wykazując, że opis nie został utkany z żadnych wpływów Starego Testamentu, ani tem bardziej

z mitów ościennych religij, stwierdza tem samem jego oryginalność co do treści, choć w pewnych wyrażeniach mogły być pewne wpływy, np. opisów narodzin Cezara. Opowiadanie św. Łukasza o nocy betleemskiej odnosi autor, jako do źródła, do Matki Jezusowej, „która przechowywała wszystkie te słowa w sercu swojem". Jeżeli, abstrahując od dowodu z wiary, argumenty czerpane z ewangelji, jako ze źródła historycznego, może są za słabe, aby pozytywnie rodziły pewność historyczną »nocy betleemskiej», to praca Dr. Klawka przynajmniej to wykazuje, że przeciw ich historyczności nic poważnego nie można przytoczyć i że źródłem negacji krytyków liberalnych jest nie co innego, jak ich aprioryczne stanowisko negatywne względem cudu.

Broszura o nocy betleemskiej, jak nas poucza autor, jest jednym rozdziałem monografji obszernej o Bożem Narodzeniu, nad którą pracuje. Oczekujemy na zapowiedzianą monografję. Obecnie wydany rozdział stanowi znowu drugi zeszyt cyklu prac pt. »Sprawy biblijne«, jaki zamierza wydawać księgarnia św. Wojciecha. Życzymy jej, aby znalazła do tego równie poważnych pracowników, jak autor omówionych przez nas broszur. *Ks. J. Urban.*

René Guénon: Le théosophisme, histoire d'une pseudoreligion. Paris. Nouvelle librairie nationale, 1921, str. 307.

Znana ze swych gruntownych wydawnictw »Francuska Bibljoteka filozoficzna« poświęciła tom niniejszy kwestji bardzo aktualnej, mianowicie szerzącej się w tak niezdrowy sposób teozofji. Autor, wybornie przygotowany do swego dzieła przez fachowe studja nad religjami dawnych i dzisiejszych Indyj, tłumaczy na wstępie, dlaczego chce mówić o »teozofizmie«, nie o »teozofji«, i dlaczego rzecz traktuje czysto historycznie, nie poddając jej filozoficznej analizie. Rozmyślna zmiana nazwy kierunku ma zgóry zaznaczyć, że pseudoreligja czy pseudowiedza, która początek swój zawdzięcza Helenie Bławackiej, nie ma ani dziejowych, ani rzeczowych związków z »autentyczną« teozofją Swedenborga, Böhmego, Saint Martin'a, Law'a i wielu innych podobnych; traktowanie zas rzeczy czysto historyczne uzasadnia się tem, że niedorzeczny zlepek fantastycznych baśni, które »Towarzystwo teozoficzne« podaje jako swą naukę, usuwa się właściwie z pod wszelkiej krytyki filozoficznej. Wystarczy przedstawić rzeczywistą historję tego kierunku, aby odrazu wiedzieć, co o nim sądzić.

A historję tę przedstawia R. G. w sposób rzeczywiście mistrzowski. Od pierwszych początków działania H. Bławackiej aż do ostatnich czy to ideowych przemian, czy zewnętrznych kolei „Towarzystwa teozoficznego", rozwijają się przed czytelnikiem zwięźle, ale najdokładniej przedstawione dzieje tego chorobliwego ruchu, tak charakterystycznego dla psychologji nowożytnej niewiary. Zupełnie bezstronnie, ale z nieubłaganą dokumentacją, opartą na ogromnej znajomości źródeł przedmiotu, prowadzi autor pewną ręką przez labirynt tych najpospolitszych oszustw i grubej szarlatanerji, wahań i sprzeczności, roz-

terek wreszcie i rozłamów wewnętrznych, z których wyszła »teozofja« w dzisiejszej swej postaci. W trakcie zaś tego przedstawienia wykazuje niezbicie, że dzieło H. Bławackiej, mimo obrania za główną swą siedzibę indyjskiego Adyar, nie ma nic wspólnego z tradycjami Bramanizmu czy Budyzmu, prócz kilku egzotycznie brzmiących, a fałszywie tłumaczonych wyrażeń. Zarówno istnienie i komunikaty tybetańskich »Mahatmasów« jak wogóle rzekome podstawy nauki w tajemnych indyjskich księgach, są najczystszą bajką, obliczoną albo na bezgraniczną naiwność, albo na tę autosugestję, bliską umysłowego zboczenia, która w teozofiźmie odgrywała od początku tak wielką rolę. Treścią całej tej nauki, jeśli o nauce może być tu mowa, jest czysto zachodnia i nowoczesna, Hindusom najzupełniej obca, idea ewolucji, zmieszana z fantastyczną, do najwyższego stopnia niedorzeczną kosmologją i antropologją, a zabarwiona tą mglistą etyką i uczuciowym humanitaryzmem, który u wielu nowszych sekt protestanckich uchodzi za najwyższą formę chrześcijaństwa. Że jednak teozofizm z rzeczywistem chrześcijaństwem nie ma żadnych punktów stycznych, i owszem, że mu jest zasadniczo przeciwny, to R. G. wykazuje w sposób zupełnie oczywisty. Ważne to jest przedewszystkiem dla ludzi, co chcieliby widzieć w teozofji jakiś pomost, po którym umysły współczesne mogłyby zbliżyć się do Kościoła.

Niektóre poglądy autora, np. na genezę teozoficznej nauki o reinkarnacji, mogą podlegać dyskusji, ale całość jego wywodów, która zamyka się twierdzeniem, że teozofja jest stekiem najnieprawdopodobniejszych nonsensów, zakrawających chyba na kpiny ze zdrowego rozsądku, jest naszem zdaniem nie do obalenia, bo zbyt potężnie na dokumentach oparta. Z całą też słusznością mówi R. G. w zakończeniu swej książki, że jednego przynajmniej zarzutu ze strony teozofów się nie obawia, tj. zarzutu ignorancji, dał bowiem niezbity dowód, że dzieje i treść ich systemu zna równie dobrze, jak oni sami, a raczej lepiej od przeważnej części ich adeptów.

Uważamy tę książkę za niezmiernie pożyteczną dla wytrzeźwienia ludzi, których do teozofji pociąga czy to rzekoma jej głębokość, czy pseudomistyczny charakter, czy wreszcie tendencyjne jej podszywanie się pod stare tradycje ludzkości, przechowane w łonie mitycznej »białej loży«. Przydałby się bardzo polski przekład tej wybornej książki, jako skuteczne lekarstwo przeciw takim publikacjom, jak warszawski »Przegląd Teozoficzny«, które niestety i u nas bałamucą źle zrównoważone umysły. *Ks. Jan Rostworowski.*

Zdzisław Morawski: Sacco di Roma. Kraków, 1921, str. 189.
Tenże: Z Rawenny. Kraków, 1921, str. 97.

Przed trzydziestu laty, na Zjeździe historyków polskich wyraził się profesor Oswald Balzer w następujący sposób: »Będąc nie najgorsi pod względem znajomości historji powszechnej, stoimy w szeregu narodów cywilizowanych na szarym końcu pod względem naukowego

jej opracowania. Piszemy głównie o rzeczach polskich, im poświęcamy cały nakład pracy życiowej: studja z zakresu dziejów powszechnych, lubo się u nas ukazują od czasu do czasu, należą przecież — przyznać trzeba — do wyjątków, które kierunkowi naszej historjografji wybitnego piętna nie nadają. Nie czynimy tak, jak Anglicy, Francuzi, Niemcy, którzy piszą nie tylko o rzeczach angielskich, francuskich i niemieckich, ale wciągają w zakres swych badań całą historję ludzkości, zacząwszy od napisów klinowych i wykopalisk trojańskich a skończywszy na założeniu nowego państwa niemieckiego za Wilhelma I.«

Te słowa znanego profesora i dziś jeszcze się sprawdzają. Dzięki Bogu owe wyjątki są częstsze i właśnie te dwie książki są takim wyjątkiem, o którym jednak trzeba dodać, iż mimo że niewielkie, zbyt są charakterystyczne, by nie nadawać pewnego wybitnego piętna kierunkowi naszej historjografji. Są one pisane na sposób popularno-naukowy w celu uprzystępnienia ich najszerszym warstwom społeczeństwa, ale mają tę zaletę, iż świadczą o wielkiej znajomości tak historji powszechnej, jak i o biegłości w metodzie pracy historycznej. Nie można niestety powiedzieć tego o szeregu dzieł, które wyszły z pod pióra Chłędowskiego. Ten autor tak samo w swych dziełach z upodobaniem pisze o Włoszech i traktuje nawet tę samą epokę. Ale sposób jest bardzo odmienny. Obaj wprawdzie autorzy — Morawski i Chłędowski — są świetnymi stylistami: Morawski bardziej poważny i spokojny, Chłędowski lekki i błyskotliwy. Ale jeśli chodzi o treść, to pierwszy niewątpliwie przewyższa drugiego. W dziełach Morawskiego znajdujemy osiągnięty, o ile nas na to obecnie stać, cel historji, mianowicie prawdę dziejową. Chłędowskiego trzebaby zaś raczej nazwać kompilatorem ujemnych stron osobistości wybitniejszych z czasów Renesansu. On nie szuka wcale prawdy historycznej, ale stara się działać na uczucie i zainteresowanie czytelnika, który nie posiada zmysłu krytycznego. Do Chłędowskiego możnaby zastosować owe słowa wybitnego uczonego (Krausa) »ein Mistwurm auf dem Felsen Petri«, tak dalece znajduje on upodobanie w wyszukiwaniu i ponętnem przedstawianiu pewnego rodzaju ujemnych stron i wad.

Całkiem inaczej ma się rzecz w dziełach Z. Morawskiego. Rezultatem jego sumienności w dążeniu do prawdy dziejowej, jest przedstawienie postaci takiemi, jakie były w rzeczywistości, o ile nam na to obecne źródła pozwalają. Jestto ogromnie ważnym przyczynkiem do charakterystyki osób wybitniejszych, występujących w tej epoce, i wielką zasługą autora. Jak bardzo np. zyskuje uwypuklenie postaci Klemensa VII., to przedstawienie jego zdolności, jako doradcy poprzedników, obok tej ambicji, która go pcha do ubiegania się wszelkiemi sposobami o najwyższą godność w chrześcijaństwie, tej ambicji, za którą tak ciężko musiał pokutować widząc, iż właśnie za jego rządów i z winy jego nierozwagi tak ciężkie ciosy padły na państwo kościelne, na stolicę chrześcijaństwa i powodują oderwanie się Florencji, w której tak pragnął zapewnić rządy członkom swej rodziny.

Zajmującym przyczynkiem do historji, to sumienne wykazanie na podstawie listów stanowiska przeciwnika głównego Klemensa VII., cesarza Karola V. — Z tych listów i źródeł dopiero poznaje się całą przebiegłość, posuniętą aż do chytrości, ową mściwość, która kieruje postępowaniem cesarza, oraz nadzwyczajną zdolność dyplomatyczną, obok pewnego rysu dodatniego, tak właściwego owej epoce, pewnej głębokiej religijności, której skutkiem ów późniejszy żal i wyrzuty sumienia, iż posunął się za daleko w postępowaniu względem głowy chrześcijaństwa; dalszym skutkiem owa jego rezygnacja i wstąpienie do klasztoru, w czem naśladuje św. Franciszka Borgjasza, który dłuższy czas pracował na jego dworze przed zmianą, jaka zaszła później w jego życiu. Są to rysy, których nie znajdziemy później, np. w trzy wieki potem w postaci takiego przeciwnika papiestwa, jakim był Napoleon I.

Drugie dziełko, zatytułowane »Z Rawenny« nie ma już tego rysu ogólno historycznego, którym się pierwsze oznacza. Jestto może raczej rezultat wrażeń odniesionych w tem mieście, w którem krzyżowały się, łącząc się i zlewając w jedną artystyczną całość, wpływy romańskie i bizantyńskie, starego i nowego Rzymu. Lamprecht w swem dziele »Einführung in das historische Denken«, zwraca uwagę, jak dalece sztuka jest rezultatem i miernikiem wpływów pojęć i zapatrywań przeważających w jakiejś epoce. Otóż z tak charakterystycznie łączących się w sztuce raweńskiej wpływów zachodnich z Rzymu i wschodnich z Bizancjum, można wnosić jak przesiąknięte niemi było samo życie i obyczaje mieszkańców owej stolicy exarchatu. Morawski świetnie umie przedstawić wrażenia odniesione w Rawennie. Tak trafnie i żywo, konkretnie i barwnie maluje nam owe pamiątki i ruiny, owe lśniące pięknym kolorytem mimo swej starości mozaiki.

W pierwszem swem dziele »Sacco di Roma«, autor szerzej pojął swe zadanie. Zamek św. Anioła staje się dla niego sposobnością do rzucenia poglądu, nie długiego wprawdzie, ale bardzo trafnego, na złączone z tym zamkiem, panującym nad całem Zatybrzem, dzieje papiestwa. W drugiem dziełku wybiera dwa momenty historyczne. Są to postacie i momenta równie wielkie pod względem politycznego znaczenia, jak też nadzwyczaj trafnie wybrane z punktu widzenia kulturalnego. Przez te dwie szparki, jakie nam otwiera na dzieje owych epok, pada obfity snop światła na chwile przełomowe w historji powszechnej. Rawenna była owem miastem, gdzie krzyżowały się wpływy dwóch tak rozmaitych kierunków w historji kultury, owe momenta zaś, skrystalizowane w Galli Placydji i Dantem, są chwilami przełomowemi, kiedy starożytność przechodzi w średnie wieki, a te ostatnie w epokę humanizmu, w postaci najwybitniejszego swego przedstawiciela Dantego, o którego »Boskiej komedji« tak pogardliwie wyraża się w swych dziełach Chłędowski.

Życzyć trzeba, by dzieła Morawskiego wyparły choć w części i naprawiły zły wpływ, jaki mogły wywrzeć książki Chłędowskiego.

Ks. M. Skibniewski.

Jules Lebreton: La Resurrection de la Pologne, Paris, 1920, str. 259.
Alfred Baudrillart: Une campagne française. Paris, 1918, str. 270.
René Pinon: L'Europe nouvelle et le catholicisme. Paris, 1921, str. 47.

Tyle słyszało się o francuskiej nieznajomości spraw polskich, iż z pewnem niezaufaniem bierze się do rąk książki napisane o Polsce czy o Polakach nawet przez profesorów. A tymczasem wielki naród misjonarzy religijnych ma i swoich »misjonarzy« naukowych, który z wnikliwością właściwą synom tego narodu umieją nie tylko zrozumieć nasze położenie, ale dla nas nawet pożyteczny i pewny zebrać materjał, wysnuć z niego syntezę prawdziwie naukową.

Świeżo właśnie wydał Francuz szkice historyczne o Polsce zmartwychwstającej, napisane po części jeszcze podczas Wielkiej wojny. Mimo że są to artykuły, rodzące się z chwili bieżącej, jednak świetnie opracowane, oparte o materjał pierwszorzędny wówczas, bo zebrany z agencji prasowej w Lausanne, Bernie i Paryżu, mogą być spokojnie nazwane historją nowej Polski. A ponieważ »Wskrzeszenie państwa polskiego« (Bobrzyńskiego) ukazało się dopiero 1920 r., zaś Stan. Kutrzeby »Polska odrodzona« 1921 r., książka francuska podana do druku już 1919 r. byłaby »pierwszą historją« zmartwychwstałej Polski.

Jakaż treść książki? Czy to może zbiór poetycko-historjozoficznych uwag o Polsce w rodzaju Lammenaisego czy Montalemberta czy Hugo'a? Czy to tylko dziennikarskie uniesienia nad tą »la nation la plus malheureuse du monde«? Nie, to prawdziwy obraz historyczny naszej gehenny wojennej, zdumiewający wprost swą wiernością. »La Pologne en ruines« — oto umiejętne zestawienie dowodów, opowiadających o naszej nędzy w czasie tych huraganów, uderzających z zajadłą wściekłością o siebie od wschodu i zachodu. Powołuje się tu autor nie tylko na świadectwa polskie, jak hr. Ledóchowskiej lub dr. Budzińskiej-Tylickiej, ale i niemieckie, jak dr. Straussa i z kolei omawia nędzę w Małopolsce, Królestwie i najdotkliwszą na Litwie, a zarazem wyraża swój podziw dla narodu, który umie zorganizować samopomoc i pracować wśród rozwalisk.

»La Pologne sous le joug allemand« nie jest, jakby się na pierwszy rzut oka sądziło, tylko obrazem walki naszej w Poznańskiem, ale w ogóle i w okupacji. Autor stara się wykazać objektywnie i dowodnie, jak Niemcy, nie złuźniając bynajmniej jarzma Poznańczykom, podstępnie a tu i owdzie nawet brutalnie nakładali je Królewiakom, jak Polacy na ogół, znając swoich wrogów, nie dowierzali im. Znamienny fakt z ks. Edwardem Gorczycą, któremu władze niemieckie (podp. Graf Carmer, Kreischef) odpowiadają po łacinie, byle nie użyć języka polskiego. Niemcy używają i wpływów żydowskich, a co ciekawsze i masońskich, otwierając loże rozmaite.

»Entre la guerre et la paix« przedstawia okres tuż przed zawaleniem się potęgi niemieckiej. Umiejętnie kreśli stan tych spraw, które są, jeśli można powiedzieć za pewnym powieściopisarzem francuskim,

jakby »pisane na wodzie«. Ciekawe tu zwłaszcza, co pisze o Ukrainie i unitach, o posłannictwie Polski jako apostołki na wschodzie.

»La Crise suprême«, Polska już zmartwychwstała, ale to dopiero marzec 1919 r., to okres najgwałtowniejszego fermentu wewnątrz i walki niepokojącej na zewnątrz z Niemcami, Czechami, Ukraińcami. Podziwiać, jak objektywnie ten ksiądz francuski umie scharakteryzować socjalistę polskiego w Belwederze, jak wprost po mistrzowsku kreśli wielkie posłannictwo Paderewskiego, tego »Orfeusza polskiego«, łagodzącego polską niezgodę, jak jasno prace i rozszerzanie i zwężanie się wływów Komitetu paryskiego i »dwóch bogów« na przeciwnych sobie biegunach: Dmowskiego i Piłsudskiego!

Rzecz całą kończy »La résurrection de la Pologne«, rozdział krótki ale prawdziwie piękny; wykazuje jak Polska »miała nadzieję przeciw nadziei« i obecnie patrzy w tworzącym się sejmie na ziszczenie się wielkich marzeń.

Ponieważ książka jest tak poważnie i tak umiejętnie napisana, warto wskazać na drobne w stosunku do całości wiernie podanego materjału błędy, dla nas jednak i dla przyszłych wydań ważne. Autor zna prócz niemieckiego i język polski i stąd nie popełnia błędów ortograficznych co do nazw i nazwisk, lecz niektóre błędy rzeczowe. W czasie Kulturkampfu biskupem był nie Celichowski (38), lecz Cybichowski, w Poznaniu radnym miejskim był nie M. Karwowski (48), lecz Stanisław Karwowski, znany tu historyk, autor trzytomowej »Historji W. Księstwa Poznańskiego« (Poznań 1918). Żydzi w Królestwie po miastach stanowią jednak więcej niż 30 czy 35% (78). O Przemyślu nie można powiedzieć, że zburzyły (?) go dwa oblężenia (126), ani o dawniejszych profesorach galicyjskich, że żyli »dans une large aisance«(127). Podobnie dwuznaczne orzeczenie, że Tadeusz Kościuszko i Adam Mickiewicz to Litwini (149). Msza przed sejmem poznańskim (3 grudnia 1918 r.) odbyła się nie w katedrze (177), lecz w przepięknej pojezuickiej Farze. Czy można Poznań nazwać »stolicą religijną«, a Kraków »stolicą naukową« Polski? (211) Czy wolno było pisać, że już u nas »kiełkował i kwitł czerwony kwiat rozwalisk, bolszewizm«? (215) Księży w Małopolsce, jak wykazuje »Gaz. kość.« zamordowali Ukraińcy tylko kilku (199). Stroje nasze narodowe w czasie nabożeństwa przedsejmowego błędnie przedstawione.

I tak zdaje się już wszystkie błędy zanotowane! W rzeczach istotnych, dotyczących rozwoju wypadków, znajdujemy raczej taką ścisłość i wierność, że i Polak opisując tak ten okres dzisiejszy zasłużyłby sobie na pochwałę. A tem większą wartość ma ta książka Francuza, napisana jak rzadko która sine ira et studio, że zdala od kraju, zdala od partyjnictwa nszego oddaje objektywnie każdemu, co mu się należy, a przytem wykazuje niespożytą moc narodu. To też jakkolwiek podkreśla, że Polska odrodzenie swoje zawdzięcza koalicji, to jednak »plus encore qu'aux alliés c'est à elle même que la Pologne doit sa renaissance: il n'eût servi à rien de la délivrer, si elle n'était restée vivante« (243).

Zwrócenie szczególnej uwagi na wpływ religijny, w odrodzeniu Polski jest wielką zasługą książki Lebretona. Autor znakomicie wyczuł cześć narodu zwłaszcza dla Królowej Korony polskiej, napiętnował obłudę protestancką, usiłującą wyzyskać tę cześć Maryjną i wskazał na zlanie się w narodzie tych dwóch przymiotów jego duszy: patrjotyzmu i religijności. Książka pozostanie nie tylko cennym dokumentem historycznym, ale i znakiem przyjaźni dwóch narodów.

Kto jest Baudrillart? Zna go dziś niemal cały wykształcony świat katolicki, nie tyle jako znakomitego historyka, autora kilkutomowego dzieła »Philippe V et la Cour de France«, czy założyciela i długoletniego redaktora »Revue d'Apologétique«, ile jako wodza w duchowej, umysłowej walce o orjentację katolików w czasie Wielkiej wojny. Wydał wtedy w drugim roku wojny owo sławne dzieło »Guerre allemande et le Catholicisme«.

Otóż zbiorowe to dzieło, publikowane w sześciu językach: francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, angielskim i niemieckim, mieszczące w sobie rozprawy Gandeau'a, Goyau'a, Franciszka Veuillota, jego własne i innych, jest powodem zaciekłej wojny na pióra między Niemcami a Francuzami, jest powodem szeregu artykułów zamieszczonych przez Baudrillarta czy to w »Echo de Paris« czy też w »La Croix«. Z temi artykułami połączone w tej książce przedmowy do rozmaitych dzieł, jak do drugiej zbiorowej książki »L' Allemagne et les Alliés devant la Conscience chrétienne«, rozmaite interwiewy i sprawozdania z działalności „Comité catholique de propagande française à l'étranger".

Ponieważ chodziło w czasie wojny nietylko o sukcesy orężne, ale i o zdobywanie opinji świata, a Niemcy znakomicie umiały ją urabiać, założono osobny komitet katolicki, któremu przewodniczyli jako honorowi prezesi kardynałowie Luçon z Reims i Amette z Paryża i minister Cochin, a kierował nim X. Baudrillart wraz z Veuillotem i X. X. Griselle'm i Gay'em. Zadaniem tego komitetu była właśnie ta walka o umysły i serca katolików neutralnych i o jego pracach dowiadujemy się właśnie z tych zebranych prac X. Baudrillarta.

Jak zacięta była to walka, świadczą choćby skargi biskupów niemieckich zasyłane do cesarza Wilhelma i książki niemieckie sypiące się jak z rogu obfitości a daremnie usiłujące dać Francuzom odprawę, a wkońcu i oszczerstwa miotane na X. Baudrillarta. Kiedy wezwano go do Rzymu, rozeszła się pogłoska, że to papież sam wkracza w tę walkę i „głównemu sprawcy" udziela nagany, tymczasem ani papież ani jego sekretarz Gasparri nawet nie wspomnieli o książce X. B., jego samego przyjmując bardzo życzliwie.

Trudno rozwodzić się czyto o kłamstwach prasy, czy o podróży agitacyjnej X. B. po Hiszpanji, która z początku była niemal zupełnie germanofilską, kto ciekaw, niech sięgnie po samą, świetnie z temperamentem napisaną książkę! Zawarte tam są echa tej wielkiej duchowej walki, jaka toczyła się poza frontem i dopiero wsłuchując się w te ha zrozumie się potęgę słowa drukowanego z jednej strony, a z dru-

giej sprawiedliwość sprawy francuskiej. Dzięki rzutkości Francuzów, udało się katolików przekonać, że mimo pogańskiego rządu jednak zwycięstwo Francji będzie zwycięstwem katolicyzmu, że zaś zwycięstwo Niemiec byłoby klęską dla Kościoła.

René Pinon to pisarz polityczny, już nieco znany autor szkiców z współczesnej historji jak „France et l' Allemagne", „François Joseph, essai d' histoire psychologique" itp.; drukował już swoją „L' Europe nouvelle et le catholicisme" na łamach „Le Correspondant'a" (z 25. marca 1921). Rzeczywiście z ciekawością bierze się książeczkę do ręki, boć mowa o największej idei duchowej na przełomie czasów i rychło spostrzega się, że wszelkie przepowiednie o Malachjaszowej „Religio depopulata" świetnie odpiera rzeczywistość.

W Rosji wprawdzie toczy się walka przeciw religji, ale właśnie nadchodzi chwila, kiedy Kościół będzie mógł z powodzeniem podjąć wielkie dzieło misjonarskie. Nawrócenie Rosji jednak dokona się jedynie w cerkwi unickiej. Skąd i dlaczego ta pewność? Autor, spiesząc się, nie ma czasu zastanowić się nad tem głębiej. Na szczęście i w samej Francji wie się, co znaczy dziś unja. Niedawno był w „Revue bleue" (25. XI. 1921) artykuł, wróżący powodzenie raczej projektowi arc. Roppa niż zabiegom arc. Szeptyckiego.

Najlepsza część książki to r. IV. o Kościele w krajach dawniejszej Austrji a zwłaszcza w Czechach i Jugosławji, gdzie wygląda smutnie, ale nie tak rozpaczliwie, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło.

Zato w Niemczech katolicyzm nabiera siły zwłaszcza od kongresu w Würzburgu 1920 r.; nawet między protestantami zaznacza się zwrot w kierunku katolicyzmu. W Anglji coraz wyraziściej objawia się tęsknota za Kościołem. Na konferencji w Lambeth, w lipcu 1920, gdzie się zgromadziło 250 biskupów, anglikańskich, objawiono życzenie nawiązania stosunków z katolicyzmem. Stolica Apostolska, u której mają dziś swoich przedstawicieli już niemal wszystkie państwa cywilizowane, staje się potężnym czynnikiem w odbudowie Europy.

Temat wspaniały, materjału byłoby dużo, tylko należało się szerzej obejrzeć i więcej podać faktów, po prostu treści. Ale mimo tego ubóstwa treści przypomina się jeszcze nieszczęsny krok wiernopoddańczy kard. Puzyny (29), zato milczy się o organizacji Kościoła polskiego, wątpi się, czy misja polska mogłaby Rosję nawrócić.

Katolicy francuscy, jak to widoczne już z tych trzech książek, krzątają się i na polu umysłowem, a wszędzie zabiegają nie tylko około własnego kraju i narodu, lecz i całego „Królestwa Bożego na ziemi".

Ks. N. Cieszyński.

Ludwik Janowski: Wszechnica Wileńska. 1578—1842. Wilno. Nakład i druk L. Chomińskiego 1921. Str. VI + 60, in 8°.

Obszerniejszą pracę o uniwersytecie wileńskim, pióra niedawno zmarłego a nieodżałowanego prof. L. Janowskiego, przyniesie nieba-

wem VIII Rocznik T-stwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Wydawnictwo jednak tak poważne, opatrzone suchym a ogólnym tytułem, przytem droższe z natury rzeczy nie będzie mogło spełnić roli informatora szerszych sfer o przeszłości wileńskiej Almae Matris. Dobrze się tedy stało, że wstęp do tej rozprawy, pod tytułem wyżej wskazanym, wyszedł osobno i wcześniej. Dziełko omawiane jest pieśnią łabędzią autora, dla którego Universitas Batoreana, w przeszłości i dziś, była ukochaniem gorącem od wielu lat.

Nazwa wstępu jest mniej właściwą dla tej pracy, bardziejby dlań pasowała inna — konspekt. W istocie jest to skrót o dwóch częściach: 1. Rzut oka na przeszłość wszechnicy wileńskiej i 2. Roztrząśnięcie upowszechnionych poglądów na uniwersytet w Wilnie. Autor, który jak nikt inny, wtajemniczony był w dzieje uniwersytetu wileńskiego, przy największej krótkości omawiania, umie wydobyć z przeszłości jego to właśnie, co najbardziej charakteryzuje rzeczy i ludzi. Jednem np. z zamierzeń założycieli wszechnicy było, by dojrzalsi z młodzieży nabywać w niej mogli »lustru i cnoty« (str. 2). Czytelnik polski dozna znowu uczucia chluby, gdy się dowie, że ongi Wilno ściągało na studja przybyszów aż z Norwegji i Szkocji! Lub gdy przeczyta o niezmiernie wydatnej roli uniwersytetu w przeprowadzeniu unji brzeskiej, zaprowadzeniu kalendarza gregorjańskiego w Polsce i t. d. Prof. Janowski twierdzi (str. 4), że akademja jezuicka (Kraszewski ją nazwał akademją walki) więcej zwracała uwagi na zwycięstwo zewnętrznego katolicyzmu, niż na górowanie cechami moralnemi, zawartemi w doktrynie katolickiej. Czy jednak słusznie? Zupełnie już niesłusznie autorowi wymyka się z pod pióra nieco niżej frazes: »preponderencja żywiołu zakonnego nie pozwalała nauki unowożytnić i dać dostępu wielu gałęziom wiedzy« itd. (str. 5). Dlaczego tego nie przypisać wprost czy brakowi przedsiębiorczości naukowej, czy miernocie umysłowej odpowiedzialnych kierowników? Ciekawy jest z dziejów uniwersyteckich szczegół (str. 9), że w r. 1800 był projekt oddania uniwersytetu wileńskiego w ręce Jezuitów połockich. Car Paweł zaakceptował, a za sprzeciw — w postaci jednak pokornej prośby — tej translokacie, rektor Strojnowski wtrącony został do więzienia. Tylko dzięki okolicznościom przypadkowym wszechnica pozostała w Wilnie. Przesadnie, naszem zdaniem, brzmi zaliczenie Lelewela do rzędu »pierwszych historyków świata« (str. 14). Nie zaniedbał dalej prof. Janowski tła kulturalnego w życiu akademików: mówi np. o nauce „talentów przyjemnych" (muzyka, tańce, ekwitacja, fechtunek), o hołdowaniu w Wilnie zasadzie: gdzie się kończy łacina, tam się kończy Europa, o prozie wileńskiej, o kwietniówkach i majówkach itd. Wszystko są to cenne wskazówki dla przyszłych badaczy życia umysłowego na Litwie. Zgoła natomiast niedostrzega zmarły profesor panoszenia się na wydziale teologicznym uniwersytetu, a potem w akademji duchownej w Wilnie józefinizmu, bez którego dziś nie da się zrozumieć geneza akcji tak Siemaszki i Zubki, jak Żylińskiego i Sęczykowskiego. Nie możemy sobie odmówić przyjemności

zacytować tu charakterystyczny ustęp o wileńskich akademjach duchownej i medycznej, o których W. Korotyński w Kłosach 1881 N 833 tak pisał: »młodzież, sposobiąca się do stanu duchownego, posiłkowała się wykładami profesorów akad. medycznej; młodzież, kształcąca się na lekarzy, chodziła na wykłady akademji duchownej; wielu zaś było takich, którzy nie myśląc ani o medycynie, ani o stanie duchownym, szukali jedynie wykształcenia ogólnego. Wzajemne oddziaływanie obu akademij na liczne zastępy młodzieży utrzymywało spójnię moralną między dwiema tak różnemi od siebie drogami wiadomości ludzkich, i dobroczynne skutki wydawało na przyszłość. Jak niegdyś z uniw. wil., tak później z akademji wychodzili nie tylko specjaliści, ale zarazem ludzie harmonijnych pojęć, a nadewszystko obywatele kraju w najpiękniejszem znaczeniu wyrazu, z sercem otwartem dla wszystkiego, co szlachetne. Znaliśmy ich między lekarzami, między duchownymi i piszącymi, wiemy o wielu, których uniosły fale życia, i sumiennie możemy oddać im to świadectwo. Jak w organiźmie ludzkim po przewiązaniu jednej arterji wyrabia się krążenie krwi przez rozszerzenie naczyń pomniejszych, tak i tutaj krew duchowa uniwersytetu była wyrobiła sobie nowe oboczne drogi i odżywiała organizm społeczny« (str. 33). Ciekawy to obrazek, chociaż nie zupełnie secundum Tridentinum...

Druga część pracy prof. Janowskiego nosi charakter zlekka polemiczny, jako zabarwiony szlachetną zresztą animozją w stosunku do Bielińskiego, autora trzytomowego »Uniwersytetu Wileńskiego«. Mimo cały szereg faktycznych sprostowań, poczynionych przez spółczesnego historyka, stary Bieliński jeszcze długo będzie istną kopalnią wiadomości o wszechnicy Batorego ongi, a nawet vade mecum dla poszukiwań dalszych. Dla wielu drobnych poprawek, wniesionych przez prof. Janowskiego do skarbnicy zgromadzonych już dotąd faktów o niej, ta część dziełka może być nazwana po części mozaikową. Szczyt scholastycyzmu w nauczaniu teologji dla autora stanowi rozwiązywanie tezy: „kiedy manna ustała i jeśli w niej równie czuli smak źli i dobrzy“ (str. 39; z Łukaszewicza Hist. szkół II 129). W pamięci wilnian kilku profesorów medycyny zapisało się tak chlubnie, że do niedawna pospólstwo nazywało lekarza panem profesorem! (str. 51). Ambicję wilnian mile łechce opinja rosyjskiego pisarza Poleżajewa o Wilnie: »O ojczyzny prawych studentów, Getyngo, Wilno i Oksfordzie! U was nie może dostać patentów głupiec, hultaj lub niecnota« itd. (str. 57; z poematu „Sasza“). Na zarzut, że uniwersytet wileński uprawiał polonizację, prof. Janowski odpowiada: »uniwersytet wileński nie polonizował, ale przeszkadzał rusyfikować« (str. 57) Indae irae rosyjskie!

Trzeba przeczytać tę pracę nieboszczyka historyka, by ocenić bogactwo jej treści. *Ks. Wł. Tołłoczko.*

Prof. Dr. F. Haase: Die religiöse Psyche des russischen Volkes (Osteuropa-Institut in Breslau). B. G. Teubner in Leipzig und Berlin 1921, in 8°, VI + 250.

Powstały w r. 1918 »Osteuropa - Institut in Breslau« miał szczęśliwą myśl w programie prac swoich wyznaczyć miejsce i dla religjoznawstwa. Praca, do której krótkiego omówienia zabieramy się, jest właśnie drugiem z kolei wydawnictwem tego działu. Niełatwego dla uczonych zachodnich zadania — zaciekawienia ogółu niemieckiego religijną psychą narodu rosyjskiego, podjął się znany a pracowity ks. dr. Feliks Haase z Wrocławia. Nie po raz pierwszy zabiera on głos o wschodzie prawosławnym; znamy wcześniejsze jego prace z tego zakresu, np. »Gedanken zum Ausbau der slavisch-orientalischen Kirchenkunde« (Münster 1918), również artykuły w »Theologie u. Glaube« i »Katholik«.

Jak widać z przedmowy, autor w swej ostatniej, omawianej pracy chce walczyć z ogromnym brakiem znajomości psychologji narodu rosyjskiego, o której, zdaniem Nowikowa, mniej się wie niż o papuasach. Wobec dziwnego zrostu w duszy rosyjskiej pierwiastków religijnych z całem jej bytowaniem, Haase swą pracą o religijności rosyjskiej naogół ułatwia lepsze zrozumienie naszego wschodniego sąsiada. By wżyć się w orjentalny świat uczuć i myśli, autor przewertował moc pierwszorzędnego dla tego tematu materjału i zamierza napisać jeszcze szereg innych publikacyj, np. „Weltanschauung der russischen Philosophen". Do pracy Haase zabiera się z rzetelnością największą, tłumiąc uczucia osobiste, zdolne ożywić temat, ale nieraz też zamącić prawdę. Studjum składa się z ośmiu części, zawierających każda kilka rozdziałów. Plan logiczny pozwala książkę podzielić na dwie zasadnicze części, z których pierwsza omawia wpływ na duszę ludu rosyjskiego dogmatyki, sekciarstwa, samej Cerkwi i liturgiki (I, II, III, IV), druga przedstawia właściwą psychę religijną niższych warst narodu, stosunek doń socjalizmu i bolszewizmu oraz różnych grup inteligencji (V, VI, VII). Zakończenie i wysoce aktualny spis literatury dopełniają całości. Jasność układu jest tak wielka, że brak »Sachen- und Namenregister« mało się odczuwa.

Znakomite opanowanie odnośnej literatury i umiejętność narracji złożyły się u Haasego na to, że dzieło jego, mimo swej zwięzłości, czyta się wcale łatwo, a nawet zdolne jest przykuć uwagę czytelnika. Mówiąc o dogmatyce prawosławnej, profesor wrocławski najsumienniej stara się zreferować tak naukę, jak opinje jej przedstawicieli. Ta część pracy zawiera niejako krótki konspekt całej doktryny prawosławnej i ma dla zachodu wartość orjentacyjną. Duży interes budzi trafny podział sekt, według wewnętrznego ich charakteru, i względnie wyczerpujące omówienie ich doktryny i praktyki (podane są nawet niektóre modlitwy i pieśni). Od sekciarstwa Haase przechodzi do Cerkwi, kreśląc stan duchowieństwa prawosławnego, tak na podstawie świadectwa samego kleru, jak odbicia jego życia i losu niezazdrosnego w wiernem zwierciadle literatury rosyjskiej. Szczególnie smutny obraz przed-

stawia kler prawosławny wiejski, często jęczący pod brzmieniem trosk materjalnych, dwakroć cięższych dla człowieka z rodziną. Nie lepszy jest stan w Rosji duchowieństwa zakonnego, które znowu, wskutek bogactw nadmiernych (przed rewolucją) oddaliło się od ideału swego. Ratują honor życia ascetycznego t. zw. starcy, rzecz typowa dla Cerkwi rosyjskiej. Stosunek archierejów do duchowieństwa przeważnie jest bardzo zły, bo urągający wszelkim pojęciom o poszanowaniu godności podwładnego. Brak kazań w cerkwiach nie jest zjawiskiem powszechnem, jak sądzi zachód, i więcej się spotyka na wsi niż w miastach. Częściowo tłumaczy się on długością niepomierną liturgji i nocnego nabożeństwa. Zajmujący jest ustęp książki, gdzie Haase mówi o pięknie liturgji wschodniej, owianej słodkim dla duszy rosyjskiej mistycyzmem. Tu przesuwają się przed nami ważniejsze święta cerkiewne, sakramenta (odgrywające u prawosławnych rolę mniejszą niż u katolików), obrzędy pogrzebowe, nabożeństwa ludowe (dokładny opis prawosławnego różańca — czotok), wreszcie sztuka cerkiewna (opis słynniejszych obrazów etc.) i śpiew łącznie z dumą Cerkwi — dzwonami. Nie potrzebuję dodawać, że stan śpiewu w cerkwiach bardzo upokarza nas katolików i nasze sławetne chóry kościelne.

Mówiąc o religijnej psyche narodu rosyjskiego, Haase odróżnia wielkorusów od ukraińców i białorusinów, przyczem podkreśla oddziaływanie wpływów zachodnich (Kościoła, Polski) na dwa ostatnie szczepy plemienia ruskiego. Omówiwszy z dużą precyzją przesłanki etnologiczne i socjalne, autor rozdział za rozdziałem omawia tak wdzięczne i dotąd chyba nietknięte piórem badacza tematy, jak religijna psyche rosyjskiego dziecka (obraz dość pogodny) i dorosłych; pojęcia ludu o Chrystusie, świętych, djable; wiara ludu i pobożność (rozdział b. ważny dla prawidłowej oceny życia religijnego w Rosji), wreszcie religijne typy (jeden z najciekawszych rozdziałów!). Tę część swej pracy Haase opracował również, posiłkując się odbiciem się rzeczywistości rosyjskiej w bogatem piśmiennictwie rosyjskiem. Dla zrozumienia spółczesnego stanu rzeczy w Rosji pod względem religijnym ważnem jest to, co omawiana książka mówi o stosunku do religji i Cerkwi socjalizmu rosyjskiego, naprzód naukowego, potem będącego dziś u steru rządów bolszewizmu. Jak wszędzie, dużo tu cennego materjału informacyjnego. Sądzić z faktów można, że ostrze bolszewizmu, wymierzone ku Cerkwi, z biegiem czasu trochę się stępiło.

Ostatnia z kolei część pracy Haasego zajmuje się określeniem stosunku do religji inteligencji i znowu, w imię przejrzystości, autor omawia kolejno stosunek młodzieży klas majętnych, studenterji (lepiej: akademików), niewiast, szlachty i obywateli, wojskowych, lekarzy, urzędników, kupców, literatów, poetów (antologja religijna w minjaturze) i artystów. Sądzę, że już to wyszczególnienie będzie wcale dobrą rekomendacją dla książki Haasego.

W zakończeniu autor daje próbę syntezy, która może niejednemu czytelnikowi polskiemu wyda się zbyt pochlebną dla prawosławia, ktorą

jednakże potwierdzają dochodzące również skądinąd wiadomości o reakcji religijnej przeciw bolszewickiemu ateizmowi.

Haase uwzględnił materjał aż do połowy r. 1921, co świadczy o jego aktualności.

Spostrzegliśmy w książce kilka małych błędów. Na podstawie chyba bałamutnych w prasie wiadomości, Haase mylnie sądzi, że patrjarcha Tychon został zamordowany, a miejsce jego zajął Sylwester. Tychon żyje i sprawuje swój urząd. Transkrypcja słów rosyjskich na język niemiecki nadzwyczaj dokładna, gdzieniegdzie tylko spotykamy nieznaczne omyłki, np. Bortiaki zamiast Bosiaki, Tiutsew zamiast Tiutczew i in. *Ks. Wł. Tołłoczko.*

W. Bojarski: Wiadomości z nauki o wychowaniu. Lwów-Warszawa 1920, Gubrynowicz i Syn, in 8°, str. 78.

Książka niniejsza jest rzadkim przykładem umiejętnego pomieszczenia ogromnego materjału na kilkudziesięciu stronach, w sposób przystępny i jasny. Pod skromnym tytułem »wstępu« zawiera ona zebrane najważniejsze wiadomości, dotyczące samej pedagogiki, w dalszych zaś ustępach przechodzi kolejno środki wychowawcze, oraz wskazówki wychowania ciała, poznania, uczucia i woli. Rzeczowe uzasadnienie wszelkich twierdzeń, zdrowe zasady broniące praw dziecka i rodziny, nacisk na wychowanie narodowe, wzniosły duch, jaki uderza na każdej stronie, a przytem silne zaznaczenie wartości religji katolickiej w całem wychowaniu i kształceniu, sprawiają — że jeśli nawet w jednym lub drugim punkcie jesteśmy odmiennego zdania, to braki te znikają wobec zalet książki, którą można polecić tym wszystkim pedagogom, którzy pragną mieć treściwy i dobry a praktyczny podręcznik z tego zakresu. *S. P.*

Jakob Schumacher: Kirchengeschichte in Zeit- und Lebensbildern. Ausg. für höhere Mädchenschulen. 2. u. 3. Aufl. Herder, Freiburg in Breisg., 1921; str. VIII+115.

Dla księży katechetów średnich i wyższych szkół żeńskich będzie zapewne interesującem bliższe zapoznanie się z tym podręcznikiem, który w krótkich rozmiarach podaje całość historji kościelnej, w sposób odpowiadający potrzebom dziewczęcego umysłu i starający się osiągnąć właściwy cel tej gałęzi nauki: poważanie i ukochanie Kościoła. Metoda autora polega na tem, że wybiera tylko najwybitniejsze postaci poszczególnych epok i koło nich grupuje resztę wydarzeń i osób, a przytem wtrąca osobne ustępy, poświęcone jedynie typom kobiecym tych czasów. Wydanie obecne sięga do ostatnich lat, a nowością jego jest bliższe uwzględnienie obecnych stosunków na polu kościelnem i akcji katolickiej. Całość zdobi wstępny obraz bazyliki św. Piotra, 24 ilustracyj w tekście i 2 mapy. Podręcznik ten ma również tę zaletę, że obejmując całość Kościoła, stara się uwzględnić szczególnie rozwój jego w ojczystym kraju i dlatego wysuwa na czoło jego świętych i jego

warunki. Zdaje się, że tego rodzaju rzecz, z analogicznem uwzględnieniem stosunków polskich i może większem jeszcze skróceniem innych części, zwłaszcza z dziejów dawniejszych, byłaby bardzo pożądaną dla naszych szkół żeńskich.

St. Podoleński

Lebenserinnerungen des hl. Ignatius von Loyola, nach dem Urtext übertragen von Alfred Feder S. J. Regensburg, Kösel-Pustet 1922. Str. XI i 140 in 12⁰.

Wśród wielu pism wydanych z okazji 300letniej rocznicy kanonizacji św. Ignacego znajdzie poczesne miejsce niniejszy miły tomik, zawierający przekład i objaśnienia tych pamiętników własnego życia, jakie na niedługo przed śmiercią podyktował Święty jednemu ze swych najznamienitszych synów, O. Ludwikowi Gonzalez. Treść tych wspomnień znana jest w całości z dawniejszych i nowszych biografij wielkiego Zakonodawcy, ale czcicielom jego i badaczom jego życia miło będzie znaleźć zebrane w jednem miejscu to, co zazwyczaj znajduje się po żywotach podzielone na części i rozwodnione mnóstwem dodatków obcej ręki. Przekład jest zwłaszcza pod tym względem wzorowy, że doskonale oddaje ogromną prostotę i niezrównaną plastykę oryginału. Komu nie są dostępne wielkie Monumenta historica Societatis Jesu, zawierające krytyczne wydanie oryginału wedle watykańskiego rękopisu (Codices Societatis Jesu n. 2), temu dla charakterystyki Świętego odda niniejszy tomik bardzo pożądane usługi.

J. R.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Aleks. Maciesza: G. Rzączyński S. I. Pierwszy fizjograf Polski. Sandomierz, Księgarnia »Ognisko«, 8⁰, str. 20.

Ks. Józef Watulewicz: Z pamiętników proboszcza łacińskiego w Felsztynie w latach wojny 1914—1919, z 7 ilustracjami. Przemyśl 1920. Drukarnia Zagajewskiego, 8⁰, str. 71.

Georges Guitton: Louis Lenoir S. J. Un »preneur« d'âmes. Aumônier des Marsouins 1914—1917. J. de Gigord, Éditeur. Paris. 1922, 8⁰, str. 543.

Melanja Parczewska: O Śląsku i dla Śląska, powieść, Warszawa 1922. Nakład »Narodowo kulturalnej Pracy dla Śląska Górnego«, 12⁰, str. 214.

P. Leon Dauchez: Le Docteur Henry Dauchez, Paris. 1921, Gabriel Beauchesne, 12⁰ str. 158.

Hanna Zahorska (Savitri): Dniom Zmartwychwstania, Wilno 1921, Księgarnia Nauczycielstwa Polskiego, 8⁰, str. 127.

J. P.: Idea chrześcijańsko-społeczna w historycznym rozwoju. Kraków 1922, Nakład Związku chrześcijańsko-społecznego, 12⁰, str. 31.

Dr. Z. Daszyńska-Golińska: Miasta rolników jako dopełnienie reformy rolnej w Polsce. Warszawa 1922. Drukarnia »Jan Cotty«, 8⁰, str. 43.

Maurycy Straszewski: Filozofja św. Augustyna na tle epoki. Wyd. 2 uzupełnione i poprawione, Lwów 1922, Wydawnictwo »Przeglądu Teologicznego«, 8⁰, str. 289.

Aleksander Birkenmajer: Bibljoteka Ryszarda de Fournival, poety i uczonego francuskiego z początku XIII wieku, i jej późniejsze losy. Kraków 1922. Nakład Polskiej Akademji Umiejętności, 8⁰, str. 102.

Bibljoteka Narodowa Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Serja I. Nr. 45. Leonard Sowiński: Wybór poezyj, opracował Wład. Bryda. 12⁰, str. 150.

Serji II. Nr. 11. Arystofanes: Rycerze, przełożył i opracował Bogusław Butrymowicz. 12⁰, str. 96.
Nr. 13. Eurypides: Medea, przełożył i opracował Bogusł. Butrymowicz. 12⁰, str. 95.
Mr. 17. Homer: Iliada, w przekładzie Dmochowskiego opracował Tad. Sinko. 12⁰, str. 388.

Z księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Florence Barklay: Głos z oddali, powieść, przekład Hel. Brzezińskiej, 8⁰, str. 294.

R. H. Benson: Światło niewidzialne, opowiadania, 12⁰, str. 216.

Maciej Wierzbiński: Szalony rok, powieść historyczna z roku 1848, 12⁰, str. 361.

H. G. Wells: Pierwsi ludzie na księżycu, powieść, przekład St. Mazanowskiego z ilustracjami M. Janoszanki, 12⁰, str. 227.

W. Gomulicki: Powiastki: »Zakazane« — »Sołdat« — »Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd »pism« swoich napisać« — »Syrena« — »Strach«.

Mich. Bałucki: »Za późno« — »Latawica« — »Dawni ludzie«

Hel. Mrozowicka: Bez ten święty opłatek, sztuka ludowa w 3 odsłonach. (Teatr lud. Nr. 18.) Wyd. 2, 12⁰, str. 42.

Henr. Rieff: Jestem rabusiem, farsa w jednym akcie, (Teatr lud. Nr. 50.) 12⁰, str. 27.

A. Stodor Cehak: Czarna ściana, nowela na tle obrony Lwowa w 1918 r. str. 64.

I. Gajewska: Kierdej, powieść z życia pensjonarek, wyd. 2, 12⁰, str. 224.

Kapitan Marryat: Wśród Koralowych raf, przekład Stelli Kozłowskiej, 12⁰, str. 298.

— Perły, nowele autorów szwedzkich, przełożył Konst. Bukowski, 12⁰, str. 240.

M. Reynès-Monlaur: Tajemnicze słowa, przekład Kryst. Czosnowskiej, 12⁰, str. 159.

Ks. dr. Wacław Kalinowski: Krótka historja święta z wyjaśnieniem prawd religijno-moralnych do użytku w klasach niższych z 55 ilustracjami, 12⁰, str. 153.

Dr. A. Koperska: Zasady polityki chrześcijańskiej 8⁰, str. 137.

Dr. Dobrzyńska-Rybicka: Chwila obecna, próba analizy psychologiczno-etycznej, 8⁰, str. 65.

Wiktor Przecławski: Felicjan Medard Faleński, żywot i dzieła, 8⁰, str. 223.

Ks. Zygm. Cieplucha: Wykłady dla młodzieży, 8⁰, str. 206.

Ks. Franc. Hattler T. J.: Kwiaty Bożego Ogrodu. Zbiór legend z życia Świętych. Przekład z niemieckiego Ant. Domańskiej, 12⁰, str. 248.

Dr. Leon Halban: Zasady społeczne nowego kodeksu prawa kościelnego. Próba syntezy, (Głosy na czasie Nr. 48.) 12⁰, str. 88.

Józef Ciembroniewicz: O zawodowe przygotowanie polskich nauczycieli. (Głosy na czasie Nr. 49.) 12⁰, str. 120.

Zdzisław Morawski: Św. Karol Boromeusz na tle odrodzenia religijnego w XVI wieku. 12⁰, str. 138.

Dr. Antoni Ski: Stanowisko religji w szkole. Wyd. 2 na nowo opracowane. 12⁰, str. 110.

B. Balczyńska: Nowa stenografja polska, 10 zeszycików.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

List pasterski biskupów polskich o małżeństwie. — Nowe zamachy rządu bolszewickiego na wolność religijną.

Ze wszystkich bez wyjątku ambon katolickiej Polski ogłoszone zostało, w ciągu kilku pierwszych niedziel W. postu, orędzie episkopatu niezwykłej wagi. Jest nim wspólny list wszystkich biskupów polskich do duchowieństwa i wiernych »O małżeństwie«, podpisany jeszcze »w dzień św. Jana Kantego« (20 października) 1921 r., celowo jednak opublikowany jednocześnie w całym Kościele polskim w kilku niedzielnych dniach, poprzedzających datę 12 marca b. r.

Głos pasterski o małżeństwie przyszedł w samą porę. Od dłuższego już czasu pracuje komisja kodyfikacyjna, która oczywiście nie pominie rewizji ustaw prawa małżeńskiego obecnie różnorodnego w różnych dzielnicach polskich. Łatwo może ulec pokusie przygotowania dla całej Polski ślubów i rozwodów cywilnych znanych już w byłym zaborze pruskim. Obrabiają już w tym duchu opinję publiczną te koła i partje polityczne, które wytrwale dążą do ześwietczenia wszystkich stron ludzkiego życia, a więc i instytucji małżeństwa. Agitacja w tym kierunku pada, niestety, na grunt dość podatny, bo przygotowany przez rozprzężenie życia rodzinnego i obniżenie uczuć religijnych w czasie wojny. Schlebiając namiętnościom ludzkim, buntującym się przeciwko prawu Bożemu, agitacja puszcza zagadnienia tak poważne, jakiemi są świętość i nierozerwalność małżeństwa, na fale kurjerkowych ankiet i plebiscytów gawiedzi rozbawionej, przyczem — niewiadomo, chytrze czy naiwnie — robi widoki zwolennikom rozwodów i »małżeństw na próbę«, że i Ko-

ściół z opinją publiczną będzie musiał się liczyć i jakiś sposób przystosowania »przestarzałych« swych zasad do »nowoczesnych wymagań życia« znajdzie. W takim momencie wprost koniecznym był głos autorytatywny, któryby dobitnie przypomniał stanowisko Kościoła Chrystusowego w sprawie małżeństwa i wezwał wierzący ogół katolików do śmiałej a zgodnej obrony religijnego jego charakteru i zasad niem rządzących, a płynących z nauki Chrystusa. Taka zwłaszcza obrona może w krótkim czasie okaże się niezbędną. Gdy bowiem katolicy wierzący milczą wobec agitacji, łatwo odosobnione głosy zwolenników rozwodów mogą być poczytane za wyraz opinji i żądań całego ogółu narodu. Głosom takim przeciwstawić trzeba zgodny chór głosów tych, co chcą pozostać wierni nauce Chrystusa i Kościoła. Wtedy dopiero okaże się, co jest istotną opinją i żądaniem katolickiej Polski.

Dlatego list pasterzy polskich, wyłożywszy zwięźle, lecz jasno naukę katolicką o małżeństwie i wskazawszy na zgubne skutki wszelkiego odchylenia się obyczajów i praw ludzkich od niej, zwraca się do wierzącego ludu z następującem wezwaniem: »Gdyby zaś w Sejmie gotowano się mimo wszystkie przytoczone tu powody do wprowadzenia w nasze ustawodawstwo ślubów czysto cywilnych i cywilnych rozwodów wołajcie z miljonów piersi, mężczyzni i niewiasty, młodzieńcy i dziewice, wołajcie na całą Polskę: Nie wolno tykać świętej arki małżeństwa chrześcijańskiego; małżeństwo musi nadal zostać w Kościele, gdzie je sam Bóg umieścił!« Aby zaś z góry sparaliżować mogące grozić Polsce niebezpieczeństwo uchwalenia ustaw małżeńskich, przeciwnych prawom Kościoła, biskupi wzywają katolików, iżby do sejmu wybierali tylko takich ludzi, którzy publicznie przed wyborami złożą przyrzeczenie, że do wprowadzenia ślubów świeckich i rozwodów nie dopuszczą. Przypomina orędzie pasterskie jeszcze jeden pod tym względem obowiązek: obowiązek zerwania z karygodną pobłażliwością, tolerującą w towarzyskiem pożyciu te stadła, które zawiązały się, korzystając z cywilnych rozwodów lub drogą apostazji od wiary, z podeptaniem zwłaszcza uprzednich ważnych wobec Boga i Kościoła ślubów. Takie stadła opinja katolicka musi piętnować jako pożycia nieprawe, konkubinaty, wyciągając z uznanych zasad wszystkie praktyczne konsekwencje nawet w stosunkach towarzyskich.

List pasterski, zapobiegając rozluźnieniu węzłów małżeńskich przez niezgodne z nauką Kościoła ustawy, jednocześnie zwraca uwagę na inne nie mniej groźne niebezpieczeństwo zapoznania w społeczeństwie świętego celu sakramentu małżeństwa. Chorobą moralną, gdzieindziej już

prawie powszechną, a w nasz organizm społeczny coraz bardziej wgryzającą się, jest praktyka sztucznego ograniczania liczby dzieci. Zaraza ta, obok zbrodni masowych morderstw niewinnych istot jeszcze zanim ujrzą świat Boży, cofa nowożytne cywilizowane społeczeństwo do moralnego poziomu pogańskich społeczeństw z czasów największego upadku obyczajów, grożąc przytem całym narodom najdotkliwszemi stratami, a może i wymazaniem ich imion z listy narodów. Ona jest też może najczęstszą przyczyną apostazji od wiary i Kościoła. Praktyki ohydne znajdują gdzieindziej nawet teoretycznych obrońców i propagatorów; agitację w tym kierunku przyjął do swego programu socjalizm, upatrujący w przyroście ludności proletarjackiej niebezpieczeństwo obniżenia zarobków robotniczych. Sprzyja jej drożyzna powszechna i chęć używania bez wielkich ofiar z wygód życiowych. Wskutek tych przyczyn coraz częściej spotykamy się z zapatrywaniami na małżeństwo, jako na środek egoistycznego użycia, zamiast widzieć w niem powołanie i obowiązek społeczny i religijny. Przeciw temu obniżeniu świętości małżeństwa występują nasi księża biskupi z całą energją, piętnując je jako zbrodnię przeciw religji, obyczajom i przeciw narodowi i Ojczyźnie, zapowiadając, że w tej także sprawie Kościół nie uczyni żadnych ustępstw i nie usłucha zdradliwej rady, że lepiej poświęcić część religji i etyki, by uratować resztę, i wzywając społeczeństwo i państwo, aby ścigało propagatorów niemoralności, a dążyło równocześnie do ułatwienia utrzymania rodzin uczciwych, mających liczną dziatwę.

Jak widzimy, list pasterski przewiduje szeroką i energiczną akcję nad uzdrowieniem atmosfery moralnej tam, gdzie ona najczystszą być winna, w rodzinach chrześcijańskich, akcję zarówno wychowawczą, jak i prawną i represyjną. Nic dziwnego też, że wywołał on już odruch w obozie, który postawił sobie za cel nie tylko przewrót w stosunkach społeczno-ekonomicznych, ale i w dziedzinie religji i etyki. Socjalistyczny Robotnik podsuwa biskupom złośliwie uboczne polityczne i egoistyczno-klasowe klerykalne pobudki: list episkopatu o małżeństwie, dąży, według głównego organu P. P. S., do narzucenia narodowi takich posłów, którzyby zapewnili supremację Kościoła nad państwem i całość majątków kościelnych.

Oczywiście, nie wielu zapewne czytelników Robotnika aż tak »głęboko« będzie sięgało w zamiary biskupów. Bądź co bądź wystąpienie socjalistycznego organu jest znamienne: dowodzi ono, że rzeczywiście w krótkim czasie może się rozegrać batalja o chrześcijańskie małżeństwo. Do tej batalji zawczasu muszą być zmobilizowane kato-

lickie szeregi. Wezwanie episkopatu o wybieranie na posłów tylko takich ludzi, którzy zobowiążą się do obrony religijnego charakteru małżeństwa, musi znaleźć oddźwięk w umysłach i sercach wszystkich prawdziwych, nie paszportowych tylko katolików. Wobec zaś systemu głosowania nie na osoby, ale na listy partyjne, tylko te stronnictwa polityczne winny doznać poparcia swych list ze strony katolików wierzących, które do swych programów partyjnych wciągną, obok zasady wolności Kościoła, religijności nauczania w szkole, także obietnicę obrony katolickiego małżeństwa przed zakusami zwolenników wywrotu i obrońców moralnego rozpasania.

Podczas gdy niektóre dzienniki donoszą o rzekomej zgodzie rządu bolszewickiego na przyjazd do Rosji misjonarzy katolickich, byleby nie Polaków i Francuzów, skądinąd nadchodzą bardziej autentyczne wieści o srożącem się w Sowdepji prześladowaniu wszelkiej religji, a więc i Kościoła katolickiego.

Warto przypomnieć etapy, po jakich kroczyła dotychczasowa polityka sowietów w stosunkach wyznaniowych. Zaraz wkrótce po zagarnięciu władzy, bo już 23 stycznia 1918 r. ogłosili bolszewicy dekret o rozdziale Kościoła od państwa i szkoły od Kościoła. Wprawdzie dekret ten mówił, że w republice socjalistycznej niema miejsca na prawa ograniczające wolność sumienia, jak z drugiej strony i na prawa, stwarzające uprzywilejowane stanowisko z tytułu przynależności do tego lub innego wyznania, dalszy jednak rozwój wypadków objaśnił obywateli socjalistycznej republiki jak należy rozumieć bolszewicką wolność sumienia. Niebawem odebrano urzędom parafjalnym akta stanu cywilnego; kościołom i parafjom, jak również instytucjom religijnym odjęto charakter osób prawnych, a całą ich własność ogłoszono jako dobro »narodu«. Świątynie tylko zostały oddane do użytku grup religijnych, wszystkie wszakże utensylja kościelne, nie wyjmując przedmiotów ściśle liturgicznych, zinwentaryzowano jako narodową własność i powierzono straży odpowiednich wyznaniowych grup. Na razie nie wtrącano się przynajmniej do sposobu odprawiania nabożeństw i głoszenia słowa Bożego, owszem tu i ówdzie zezwolono przynajmniej milcząco na uroczyste procesje i inne manifestacje religijnego ducha. Szkołę wprawdzie zupełnie zlaicyzowano, zabraniając w niej — nawet w szkołach i przytułkach ściśle prywatnych — wykładu religji, wyrzucając modlitwy, krzyże i wszystko coby przypominało religję; wprowadzono natomiast do szkoły formalną propagandę ateizmu; przy tem wszystkiem nie za-

branianp przynajmniej wykładów religji dla dzieci szkolnych w obrębie świątyń.

Już 24 sierpnta 1918 r. wydano instrukcją o porządku wprowadzenia w życie styczniowego dekretu. Punkt 4 owej instrukcji wymagał, aby parafje zawarły formalne umowy z sowietami o korzystanie z świątyń i rzeczy kościelnych, ogłoszonych własnością narodu. Tym sposobem usiłowano przymusić władze kościelne i grupy wierzących do uznania zasady, że dobra kościelne są odtąd rzeczywiście »własnością narodu«. Inne punkta tejże instrukcji zabraniały umieszczania krzyżów i obrazów w biurach i na innych miejscach publicznych, prawo dawania rozwodów zastrzegały sowietom, wprowadzały konieczność uzyskiwania pozwoleń na piśmie na odbywanie procesyj itd. Od gorliwości i temperamentu miejscowych komisarzy i innych władz sowieckich zależało w praktyce zupełne albo tylko połowiczne urzeczywistnienie rzeczonej instrukcji. Wszakże, na ogół biorąc, wprowadzenie jej w życie przybrało charakter okrutnego prześladowania. Wielu biskupów i duchownych prawosławnych przeszło przez więzienia, niektórzy z nich pod znaną w bolszewji »ściankę«. Ponieważ przedstawiciele Kościoła katolickiego protestowali przeciwko zaborowi kościelnego mienia, przeto więzienia sowieckie zapełniły się księżmi. Niemal wszyscy księża z Petersburga, Moskwy, z gubernji białoruskich i z miast Rosji centralnej i Syberji aż do Bajkału, zakosztowali więzienia bolszewickiego. Część ich tam zmarła, kilku rozstrzelano. W r. 1920, po uwięzieniu arcybiskupa mohilewskiego Roppa i biskupa mińskiego Łozińskiego, którzy uwolnieni przybyli do Polski, i po wyjeździe biskupa saratowskiego Kesslera i kamienieckiego — Mańkowskiego, na całym obszarze Rosji sowieckiej wraz z połączonemi z nią republikami pozostał tylko jeden biskup katolicki, sufragan mohilewski ks. arcybiskup Cieplak, który również kilka razy już był więziony przez sowiety.

Od stycznia b. r. prześladowanie religijne znacznie się zaostrzyło. Przedewszystkiem ogłoszono nowe niegodziwe dekrety, dotyczące nauczania religijnego. Mianowicie już nie tylko w szkole, ale i prywatnie i w świątyniach nie wolno nauczać religji młodzieży poniżej lat 18, dopóki, jak się wyrażają sowiety, umysły młode nie mogą samodzielnie reagować na nauczanie zabobonu. Chodzi więc wyraźnie apostołom ateizmu o to, aby religję zupełnie wyrwać z duszy narodu. Gdy ze strony katolików czynione były przedstawienia władzom sowieckim, że wolność religijną dla Polaków zapewnił traktat ryski, odpowiadano, że traktat ryski ma być rozumiany według litery i ducha wewnętrznego pra-

wodawstwa rzeczypospolitej sowieckiej. Drugie rozporządzenie zmierza do ograniczenia nauki religji nawet dla dorosłych. Mianowicie wznowiono przepis z najgorszych czasów caratu, aby kazania i nauki przed wygłoszeniem ich w świątyni były przedkładane do cenzury władzom sowieckim, a trzeba zauważyć, że te władze składają się w przeważnej części z żydów i zdeklarowanych ateuszów. Jest to więc ciekawy komentarz do zasady wolności sumienia, zebrań, słowa, prasy i związków, zasady, w imię której przecież socjalizm rosyjski wystąpił do walki z absolutyzmem rządów carskich.

Wreszcie 16 lutego wydano instrukcję o odebraniu świątyniom wszystkich wyznań utensyljów kościelnych, przedstawiających jakąś materjalną wartość. Grabież tę motywowano potrzebą walki z klęską głodu. Specjalnie do tego utworzone komisje mają obchodzić cerkwie, kościoły, a jak dekret mówi i synagogi, i zabierać kosztowności według spisów dokonanych w początkach bolszewickiego przewrotu. Zapewne nie natrafią na żaden poważniejszy opór, gdyż wiadomo jakie skutki pociąga za sobą wszelka próba opierania się zarządzeniom władz sowieckich.

Czy z zaboru kosztowności kościelnych dużo skorzystają głodni — w to można mocno wątpić. Klęska głodu sroży się nie z powodu braku pieniędzy, lecz z powodu braku chleba i złego stanu dróg, któremiby chleb skądinąd można było dowieźć. Dla ratowania głodnych w Rosji zmobilizował się cały niemal świat, lecz cała ta akcja o tyle tylko dopnie swego celu, o ile nie sparaliżują jej rozpaczliwy stan komunikacji i różne trudności, jakie komisjom ratowniczym czyni sam rząd bolszewicki. Trudności tych nie usunie bynajmniej zabór kościelnego dobra i trzeba mocno podejrzewać, że walka z głodem to dogodny pretekst, poza którym ukrywa się wstydliwie istotny cel grabieży — wzmocnienie funduszów na komunistyczną propagandę w Europie. Kiedy więc Europa, wiedziona chrześcijańską miłością bliźniego, czyni wielkie wysiłki, by zmniejszyć w Rosji rozmiary katastrofy głodowej, jednocześnie żydowsko-bolszewiccy panowie Rosji za pieniądze kościelne będą dalej propagowali ateizm, gotując ruinę cywilizacji chrześcijańskiej.

Zdaje się, że po ostatnich zarządzeniach bolszewickich do reszty spadnie łuska z oczu tym, co jeszcze wierzyli w szczerość socjalistycznych haseł o wolności sumienia, a podrażnienie do żywego uczuć religijnych ludności może przyspieszy koniec rządów żydowsko-komunistycznej bandy.

Ks. Jan Urban.

Z Wystaw krakowskich.

I. Wystawa „Sztuki Rodzimej" w gmachu Tow. Sztuk pięknych.

Bezowocne dotąd poszukiwania nowej orjentacji odbiły się fatalnie na malarstwie naszem i rzeźbie. Tęsknota za czemś nowem w dziedzinie intellektu artystycznego, a więc nietylko w sztukach plastycznych, ale także w poezji, muzyce i architekturze, daje się spostrzegać w całym świecie cywilizowanym i jest powodem, że burzy się gmach, zbudowany na fundamentach tradycji, zanim inny, nowy — został wzniesiony. Taką zaś pogardę żywi się dla wszystkiego, co nam przekazała przeszłość, że byle głupstwo przyjmowane bywa za rzecz mądrą, a byle brzydactwo za dzieło sztuki, jeżeli tylko posiada stempel nowości oraz stanowi negację zdobyczy kulturalnych z czasów dawniejszych.

Jednym z ubocznych wyników tej pogoni za nowemi formami, w dziedzinie np. malarstwa, jest zacieranie się jego cech narodowych. Sprawa to pierwszorzędnej wagi, bo twierdzenie, że »sztuka jest międzynarodową«, nie wytrzymuje krytyki i okaże się zwykłym frazesem, nie aksjomatem, gdy głębiej się nad niem zastanowimy. Weźmy, dajmy na to, język francuski, który dzięki powszechnemu użyciu w dyplomacji stał się międzynarodowym, Ale, czy stracił przez to na swych cechach specjalnych, narodowych? Bynajmniej. Taksamo i malarstwo polskie, nie pozbawiając się dobrowolnie charakteru narodowego, pozostać może w ramach tej spólnoty, jaką jest sztuka wszystkich narodów, wzięta w całości. I tak było u nas dawniej, gdy polskie »par excellence« dzieła, które tworzyli — że wymienię tylko najważniejszych — Matejko, Grottger, Pruszkowski. Chełmoński, nietylko że nie obniżały stanowiska naszego malarstwa w Europie, ale, owszem, zdobywały mu miejsce, wprawdzie odrębne, ale bardzo poczesne.

Aby ułatwić nawrót do tych dawniejszych stosunków powstało świeżo w Krakowie zrzeszenie artystów-plastyków pod nazwą: »Sztuka rodzima«, jasno jego cel wskazującą. Jakimi będą w przyszłości losy tego zrzeszenia — przewidzieć trudno, szczególniej, gdy wspomnimy, że w Krakowie narodzinom niejednego zrzeszenia artystycznego — »Salon«, »Związek Zer.« i t. p. — towarzyszył głośny »huczek«, poczem następował krótki i marny żywot, zakończony cichym zgonem. Bardzo być może, iż dla »Sztuki rodzimej« dobrym prognostykiem jest ta właśnie cisza, w jakiej została założona. Pierwsza zaś jej wystawa, z której zamierzam zdać sprawę, więcej waży, niż szumne odezwy bez czynów dokonanych.

Po tej pierwszej wystawie sądząc, »Sztuka rodzima« posiada przed sobą przyszłość, jeżeli jej inicjatorom nie zabraknie wytrwałości i zgody, tak rzadkich u nas przymiotów, nawet w przedsięwzięciach artystycznych. Rzecz prosta, że jako pierwsza tego rodzaju wystawa posiada sporo braków specyficznie w odniesieniu do swego charakteru, ale lody zostały przełamane i uczyniony pierwszy najtrudniejszy krok do stworzenia sta-

łych, co pewien czas, przeglądów dzieł sztuki o charakterze rodzimym, polskim. Życzyć sobie należy, w interesie naszego dorobku kulturalnego, abyśmy następną tego rodzaju wystawę mogli oglądać jeszcze bogatszą, jeszcze mniej usterek posiadającą niż obecna.

Ilościowo przedstawia się I. wystawa »Sztuki rodzimej« poważnie. Wzięło w niej udział 29 malarzy i 1 rzeźbiarz z przeszło 250 eksponatami. Ważną jej zaletą jest: utrzymanie dość wysokiego poziomu artystycznego. Rzeczy zupełnie słabych i niedokończonych szkiców, w które obfitują nieraz wystawy w Towarzystwie Sztuk pięknych, nie widać na niej wcale.

Cały kompleks prac, zgromadzonych na tej wystawie, można podzielić na dwie główne grupy: krajobrazów (widoków morskich, widoków architektonicznych, wnętrz) i prac mających w mniejszym, lub większym stopniu charakter obrazów kompozycyjnych. Dział portretów, szczególnym zbiegiem okoliczności, jest nader słabo reprezentowany; tosamo jest z kwiatami, których zwyczajnie ogląda się na wystawach mnóstwo. Jeden zaś rzeźbiarz z jedną pracą działu rzeźby stanowić nie może.

W dziale obrazów z kompozycją figuralną zajął pierwsze miejsce Stachiewicz swoim projektem fryzu, który, już wykonany w mozaice, zdobi wnętrze nowego kościoła Ks. Jezuitów przy ul. Kopernika w Krakowie. Dzieło to, przedstawiające naród polski, uosobiony w swych świętych i błogosławionych oraz w przedstawicielach wszystkich stanów, gdy adoruje N. Serce Jezusowe, przyjęte zostało przez krytykę bardzo chłodno. W jednem z pism krakowskich, które umieściło dość szczegółowy opis nowego kościoła, z racji jego poświęcenia, fryz zbyto paru słowy i nie wymieniono nawet nazwiska jego autora! Takie postąpienie mogło wyniknąć jedynie z osobistej animozji, bo najsurowszy nawet, lecz bezstronny krytyk przyznać musi temu fryzowi pierwszorzędne zalety kompozycji i wykonania, których wynikiem jest dzieło o wysokim nastroju religijnym, a posiadające bezwzględną, dużą wartość artystyczną.

Stachiewicz jest też mistrzem w ilustracji, tak zaniedbanej teraz przez malarzy naszych, i w malowaniu kwiatów. Dał on z tych działów: ilustrację do piosenki ludowej, rysowaną sangwiną i kwiaty, malowane z nadzwyczajną precyzją i świeżością kolorytu. Główki zaś kobiece i dwie Madonny z Dzieciątkiem, także sangwiną rysowane, są ostatnim wyrazem subtelnego wykończenia, stawiającego je na przeciwległym biegunie od sposobów malowania, czy rysunku, któremi posługują się malarze młodszego i najmłodszego pokolenia.

»Archanioł Michał strącający szatana do piekieł« — oto temat, który pokusił się przedstawić na sposób zupełnie oryginalny Rzegociński. Skały, które artysta wprowadził na swym obrazie, wydają mi się niezbyt fortunnym pomysłem, bo odbierają tej scenie, mogącej się rozgrywać tylko w nieskończonej przestrzeni niebios, właściwy cha-

rakter. Zresztą, obie postacie narysowane są dość poprawnie (szatan nawet śmiało) i szczęśliwie utrzymane w kontrastowym kolorycie.

Przez Hofmanna wykonana »Andromeda«, nosiła przedtem, podobno, tytuł: »Slavia« i wtedy była ta naga postać niewieścia przykuta do skały więcej zrozumiałą, jako uosobienie Słowiańszczyzny, którą trzyma zazdrośnie w niewoli germanizm, uosobiony w postaci jakiegoś złego ducha, czy wiedźmy uskrzydlonej. Postać niewieścia rysowana jest słabo, koloryt nie wyróżnia się ani siłą, ani soczystością, a symbolika kompozycji, którą trudno brać za odtworzenie klasycznej Andromedy, jest niejasną. Wogóle rzecz ta nie udała się Hofmanowi, co zdarza się czasami nawet tak utalentowanym, jak on, malarzom. W dodatku trzeba jeszcze przy tym obrazie postawić znak zapytania, niewiadomo bowiem z jakiej racji znalazł się na wystawie sztuki rodzimej — sztuki polskiej?

Niezawsze wprawdzie, a szczególniej w sztuce, znajduje potwierdzenie paradoksalne zdanie, że »vouloir c'est pouvoir«, ale niekiedy uwzględniać należy przy ocenie dzieł malarskich dobrą wolę i szlachetny zamiar ich autorów. Taki np. Jabłoński, młody malarz, nawiasem powiedziawszy, posiadający tylko jedną rękę, porwał się na wymalowanie rodzajowego obrazu ze sceną dramatyczną i figurami naturalnej wielkości. Jestto przedsięwzięcie, powiedziałbym, zuchwałe, które jednak udało się mu w czyn wprowadzić prawie że pomyślnie. I chociaż jego »Sąd« (polowy niemiecki), skazujący dwóch starców, prawdopodobnie na śmierć, ma fatalne błędy rysunkowe — nogi wszystkich postaci za krótkie, głowy na drugim planie większe, niż na pierwszym i t. d. — to i tak zastanawia energiczną chęcią wypowiedzenia się w sposób nie banalny. Druga kompozycja tego artysty pt. »Jeszcze Polska nie zginęła!« należy do rzędu tzw. kompozycyj literackich, tj. wymagających komentarza. Jestto niezawodnie kardynalna wada, ale mimo tego ten żołnierz rosyjski Polak — rzucający broń pod wpływem słów pieśni, śpiewanej przez jeńców, których miał pilnować — robi pewne głębsze wrażenie na widzu.

Zdaje mi się, że bez obawy pomyłki, mogę przewidywać, iż z Jabłońskiego wyrobi się kiedyś — może nawet niezadługo — tęgi malarz rodzajowy, nie bojący się chwytać życia w rozmaitych jego objawach. A jak potrzeba naszej sztuce takich malarzy!

»Grajek« Klimowskiego, przedstawiający krakowskiego parobczaka, przygrywającego na skrzypcach wiejskiej piękności w celu, oczywiście, jej skaptowania, jest scenką rodzajową bardzo przyjemną dla oka, podobnie jak Misky'ego »Gęsiarka«, wyjęta, zda się, z bajki ludowej i umieszczona na tle wybornie pochwyconego polskiego krajobrazu.

Do przedstawicieli najnowszych kierunków w malarstwie należą, obok kubistów, futurystów, formistów, ekspresjonistów itp., »rytmiści«, odrobinę mniej zbakierowani od poprzednich. Ich przedstawicielem jest na obecnej wystawie Jakubowski, który zaprodukował się dwoma

kompozycjami, noszącemi tytuły: »Walka ze smokiem« i »Bożek słowiański«. Na pierwszy rzut oka widzimy na nich tylko orgję barw i farby kładzione nie pędzlem, ale szpachlą na grubość centymetra, tak jak gdyby to była płaskorzeźba stiukowa. Po dłuższem dopiero wpatrywaniu się rozróżniamy na płótnie zarysy jakichś postaci, drzew, kwiatów, roślin, niebo i wiele jakichś jeszcze innych rzeczy, które zdefinować trudno.

Stasiak wystawił scenę rodzajową, którą namalował z właściwym sobie rozmachem, nie omieszkawszy umieścić w niej autoportretu, który stał się ostatnimi czasy jego ulubionym tematem. Scena ta potrzebuje także komenterza, bo nie tłómaczy się sama. Jestto, zdaje się, pożegnanie młodego chłopca, polskiego żołnierza, przez rodzinę, czy coś podobnego. (Autor nie dał tytułu tej kompozycji).

Gdyby szło o przyznanie pierwszej nagrody w dziale krajobrazów na I wyst. »Sztuki rodzimej« — zadanie »jury« byłoby niesłychanie trudnem i nie pozostawałoby nic innego, jak przyznać ją »ex aequo« Terleckiemu, Ćwiklińskiemu i Jaxie Małachowskiemu, których rzeczy wystawione stoją na tymsamym wysokim poziomie. Pierwsi dwaj dali skąpane w słońcu zimowe widoki tatrzańskie, trzeci fragmenty »polskiego« morza i parę widoków, wziętych porą letnią.

Interesującym wielce jest szybki rozwój talentu Terleckiego. Dwa czy trzy lata temu debiutował on na wystawie Tow. Szt. Piękn. widokami tatrzańskiemi, na które już wtedy zwróciłem uwagę miłośników sztuki. Młody ten malarz kocha słońce i czyste powietrze górskie. Kocha też Tatry i odtwarza ich piękno zarówno o porze zimowej, jak letniej, wprowadza dużo szczegółów do swego pejzażu, a przecież nie zatraca w nim całości. Nic łatwiejszego, jak, przy malowaniu śniegu, silnie promieniami słońca oświetlonego, popaść w przesadę, kładąc na nim zbyt niebieskie cienie rzucone. Ten błąd spotyka się często. Umie go jednak uniknąć Terlecki, trzymając w przedziwnej harmonji całą bogatą skalę barw i nasilenia światła, od rażących swym blaskiem płaszczyzn śniegu, na które padają wprost promienie słoneczne, aż do głębokich, lecz przejrzystych cieniów w innych partjach krajobrazu. Droga, jaką przebył Terlecki w stosunkowo tak krótkim czasie zapowiada, że powinien zajść daleko i stać się jednym z luminarzy naszego malarstwa, do czego mu niewiele brakuje.

To co wyżej powiedziałem o technicznej stronie malowania Terleckiego, odnosi się również do krajobrazów Ćwiklińskiego, z tą jedynie różnicą, że ten ostatni, jako starszy i doświadczony malarz, doszedł do tych rezultatów przez długi szereg studjów, podczas gdy u Teleckiego są one raczej wynikiem intuicji.

Jeden ze spółczesnych, wybitniejszych krytyków niemieckich wyraził się paradoksalnie, ale nie bez racji, że ceni tylko tego malarza, »der keine Kunstanschauung hat«. Pod »Kunstanschauung« rozumiał oczywiście z góry powziętą doktrynę malarską, krępującą indy-

widualizm artysty. Dla niego ten tylko naprawdę jest malarzem, co daje bezpośredni wyraz swym imspulsywnym odczuciom natury i życia, nie oglądając się na żadne formułki, jakie daje szkoła, lub moda. Idealnym pod tym względem malarzem wydaje mi się być Jaxa Małachowski, którego niepodobna »przypisać« do żadnego klanu malarskiego. Odczuwa nadzwyczajnie morze, ale je maluje zupełnie inaczej, niż Niemcy lub Francuzi, wrażliwym jest bardzo na piękno polskiego pejzażu, ale odtwarza go w inny sposób, niż dziesiątki — a może setki — naszych pejzażystów. Jednem słowem — jest sobą i to mu zapewnia to wybitne stanowisko, jakie zajął, w polskiem malarstwie.

W łufcu tych młodszych malarzy krakowskich, którzy ostatnimi laty ogromnie się wybili, znajduje się Turek, równocześnie doskonały pejzażysta i malarz (rysownik) architektury. Wystawiona przezeń dość duża akwarella »Ojców« i kilka lekko kolorowanych rysunków, przedstawiających stare, bardzo charakterystyczne budowle na żydowskiem przedmieściu Krakowa, Kaźmierzu, są próbkami tego, co w tych dwóch działach artysta zdoła stworzyć. Powtarzam: »próbkami«, bo tym razem nie wystąpił Turek w całej pełni swej twórczości.

Równocześnie z kilkudziesięciu akwarelami o motywach zebranych podczas pobytu we Włoszech, wystawił Janowski także kilka drobnych krajobrazów swojskich. Między nimi zwraca uwagę »Brzeg lasu« z jedną łąką, oświeconą pełnem słońcem.

Rzegociński, o którym wyżej była mowa, nadesłał bardzo dobrego »Kosiarza« (góral kószący w dzień upalny półko owsa), Olszewski — interesujący »Widok Tatr«, Machalski — »Rynek krakowski nocą« (wcale dobry, przypominający manierę Jaxy-Małachowskiego w analogicznych widokach nocnych), Zarzycki — kilka drobniejszych, udatnych notatek pejzażowych i Korpal — dobry »Wiatrak«.

Osobnej wzmianki warte są: wspaniała, efektownie przez zachodzące słońce oświecona »Sosna« Fabijańskiego, oraz Rychter-Janowkiej kilka miłych wnętrz i bardzo prawdziwych w kolorze widoków zimowych.

Akwaforty Stankiewiczównej z fragmentami »Starej Warszawy« budzą we mnie zazdrość, że artystce nie przyszła dotąd ochota uwiecznić swym świetnym rylcem fragmentów »Starego Krakowa«, których jest bez porównania więcej i bardziej interesujących, niż w Warszawie. Mieliśmy wprawdzie i mamy w Krakowie znakomitych malarzy, odtwarzających jego cudną szatę architektoniczną — Tondos, Wyczółkowski, Turek — ale żaden z nich nie uprawiał akwaforty, którą po mistrzowsku włada Stankiewiczówna, a za pomocą której jedynie wydobyć można poetyckie nastroje w stare mury zakute.

Przewodniczący zrzeszeniu »Sztuka rodzima«, wielostronny i ruchliwy malarz Kowalski, dał obok kilku dobrych z francuskiem zacięciem rysowanych pastelą główek niewieścich, »Portret« kobiecy, przedstawiający damę, otuloną futrem, na tle doskonale podmalowanego krajobrazu zimowego. Jestto wyborny »plein air« i portret bez zarzutu,

w którym elegancja wykonania nie obniża — jak to się często przy podobiznach niewieścich zdarza — realnej jego wartości malarskiej.

»Portret mężczyzny« w kontuszu Janowskiego będzie kiedyś stanowił interesującą cząstkę »galerji przodków« — jeżeli wówczas następcy nasi będą jeszcze takie galerje utrzymywali.

Jedynym rzeźbiarzem — wystawcą o którym wspomniałem na wstępie, jest Hukan, który dał kapitalny »Biust p. G.«, dzieło naprawdę rzeźbiarskie. Tasama pełnia odczucia plastyki i tasama, że tak powiem, dostojna powaga, które cechują prace figuralne tego artysty, widne są i w tej podobiznie, zapowiadającej, że przybywa polskiej rzeźbie, tak ubogiej w ludzi utalentowanych, znakomity rzeźbiarz-portrecista.

Józef Nekanda Trepka.

Wykopaliska w Palestynie po wojnie.

Działania wojenne, które rozgrywały się też i na terytorjum palestyńskiem, przerwały poszukiwania wykopaliskowe, które z wielką energją były tam prowadzone w ostatnich czasach przez naukowe Towarzystwa i instytucje. Po skończonej wojnie Palestyna otrzymała nowy rząd i nowych gospodarzy: na mocy traktatu w San Remo gospodarzami kraju stali się Żydzi pod opieką i zwierzchnictwem Anglji. Nieliczna w stosunku do ludności miejscowej (620,000) grupa żydowska (78,000) ujęła rządy w kraju i dąży dość energicznie, aby kraj stał się »Ziemią Izraela«. (Jest to teraz tytuł oficjalny kraju zamiast — Palestyna). Czy się to uda — rzecz wątpliwa.

Pod względem badań archeologicznych nowy rząd wprowadził wiele udogodnień, które niewątpliwie przyniosą większy pożytek dla nauki. Dawniej wykopaliska były prowadzone przeważnie metodą rabunkową, i przedmioty odnalezione były rozwożone do wszystkich muzeów stołecznych. Na miejscu zostało względnie niewiele. Dzisiaj rząd palestyński stworzył Departament Starożytności, do którego należy: konserwacja i obrona zabytków przeszłości, planowe i systymatyczne prowadzenie badań wykopaliskowych i wreszcie utworzenie Muzeum archeologicznego palestyńskiego na miejscu, tj. w Jerozolimie. Kierownictwo Departamentu zostało oddane w ręce członków szkoły angielskiej, na czele której stoi dobrze zasłużony prof. J. Garstang.

Utworzenie Departamentu w bardzo wielkim stopniu wpłynie na dalszy bieg wykopalisk i odda wielki usługi palestynologji: wszystkie bowiem przedmioty wykopane lub odnalezione w Palestynie, nie będą odtąd rozrzucone po całym świecie, ale zostaną na miejscu zebrane i uporządkowane w specjalnem Muzeum. Przy ułatwionych warunkach komunikacyjnych oglądanie i badanie ich będzie ułatwione, każdy badacz Palestyny będzie mógł z nich korzystać.

Departament starożytności nie wyklucza inicjatywy, nie wzbrania

prac wykopaliskowych osobom prywatnym lub instytucjom naukowym obcym, owszem wszystkim może pozwolić ich prowadzenie, jednak pod warunkiem, że będą prowadzone z wiedzą i pod kontrolą Departamentu, a przedmioty odnalezione zostaną oddane do Muzeum Palestyńskiego.

Już w tym czasie, tj. w 1920—21 r., staraniem angielskiego Towarzystwa Palestine Exploration Fund, a pod kierunkiem prof. Garstanga były prowadzone badania wykopaliskowe w m. Askalon nad brzegiem m. Śródziemnego. Miasto to było w 1270 r. zburzone i zrównane ze ziemią przez Turków, potem piaski zasypały ruiny i rosły na niem trawy i drzewa. Pod warstwą jednak piasku ukryte były ruiny jego wraz z tem, co w ciągu kilku tysięcy lat tam się znajdowało. Przekopano rowy w kilku miejscach głębokości do 8 m. i dokopano się na tej głębokości do warstwy miasta filistyńskiego. Roboty narazie przerwano, ale kierownik ma zamiar rozkopywać dalej aż do gruntu skalistego, jak to zwykle bywa przy tego rodzaju badaniach.

Dotychczasowa praca bardzo się opłaciła, albowiem odnaleziono znaczną ilość rozmaitych przedmiotów, jak np. lampy, odłamki wazy w stylu piksoskim, skorupy gliniane z ornamentacjami, przeważnie ze świata zwierzęcego. Z późniejszych czasów, tj. z okresu grecko-rzymskiego odnaleziono marmurowe figury bogiń Tyche, Nike, Irene z palmą, prawdopodobnie przez Heroda W. sprowadzone.

W innej miejscowości, przy dawnem Kariathiarim, natrafiono przypadkowo przy równaniu terenu na grotę podziemną z okresu chananejskiego, a więc przed wejściem Izraelitów do Chanaanu. Grota była sztucznie wykuta w skale i służyła za cmentarzysko dla ówczesnych mieszkańców. Szczęśliwym trafem grota owa była nienaruszona od 3000 lat mniej więcej, i dlatego odnaleziono w niej sporą ilość przedmiotów, jak np. wielką urnę, w której znajdowały się kości dziecięce (takich urn gdzieindziej np. w Geser odnaleziono przedtem więcej), sporo dzbanów rozmaitej wielkości i formy, jakie znamy również wykopane w innych miejscowościach, naczynia małe, prawdopodobnie do oliwy lub maści.

W miejscowości Ain Duk, na północ od Jerycha, OO. Dominikanie, którzy przy swojej szkole biblijnej założyli w 1920 r. specjalne Towarzystwo do badania Wschodu, odkopali w zeszłym roku piękną mozaikę, prawdopodobnie pozostałość po dawnej synagodze. Napisy hebrajskie pismem kwadratowem są bardzo cennym dokumentem dla epigrafiki hebrajskiej.

Pod opieką Departamentu i Żydzi założyli Żydowskie Towarzystwo archeologiczne Palestyny. Pod koniec 1920 r. i w 1921 prowadziło ono badania wykopaliskowe w Khirbet el hammam, 3 klm. na południe od Tyberjady, pod kierunkiem Dr. Nahuma Slusch'a, twórcy tego Towarzystwa. Hammat było miastem dawniej, wspominanem już w ks. Jozuego (19, 35.), ale największe znaczenie zdobyło po zburzeniu Jerozolimy (79 r. po Chr.). W Tyberjadzie bowiem i okolicy skupiło się żydowstwo i przez długi czas była ona ogniskiem życia religijnego

i umysłowego. Roboty wykopaliskowe powiodły się: odkopano fundamenty i ruiny synagogi, w której prawdopodonie nauczał głośny Rabbi Meir, uczeń głośniejszego jeszcze R. Akiby i jeden z twórców Miszny. Z przedmiotów odnalezionych zasługują na wzmiankę: filary ozdobione, rzeźby, dekoracje, wśród których t. zw. menora, tj. podobieństwo siedmioramiennego lichtarza, szofar tj. trąba, jaka była używana w świątyni jerozolimskiej.

Staraniem Muzeum uniwersytetu w Pensylwanji pod kierunkiem prof. Fischer'a rozpoczęto pod koniec 1921 r. kopanie w staro-chananejskiem mieście Beisan w Galilei.

Palestyna najpóźniej wzbudziła zainteresowanie wśród archeologów — pierwsze prace wykopaliskowe rozpoczęły się tam dopiero od 1890 r., — jednakże powyższy krótki przegląd prac, dokonanych jakby nazajutrz po zakończeniu działań wojennych, wykazuje, że w najbliższej przyszłości należy się spodziewać większego zajęcia się nauki tym krajem. Bo kraj ten biblijny na to zasługuje. Dawniej myślano, że Palestyna nie wiele posiada w swem łonie zabytków przeszłości, gdyż chyba żaden kraj na świecie tyle nie przechodził i nie doznawał takich niszczycielskich losów, co ona, jednakże dotychczasowe prace wykopaliskowe kłam temu zadały. Wprawdzie rezultaty poszukiwań palestyńskich nie są tak wspaniałe, jak w Egipcie lub Mezopotamji, jednakże są one całkowicie wystarczające, aby na ich podstawie poznać i przedstawić historję i rozwój kulturalny ludów, co tam kolejno przebywały. Właśnie na podstawie tych rezultatów dominikanin H. Vincent napisał bardzo cenną i ciekawą pracę p. t. Canaan d'après l'exploration récente, Paris 1907.

Wspomnieć też należy prace R. Weill'a p. t. La cité de David. Compte rendu des fouilles exécutées à Jerusalem sur la site de la ville primitive, campagne, de 1913—14. Paris 1920. Jest to sprawozdanie z prac wykopaliskowych, prowadzonych przez autora w południowowchodniej części Jerozolimy. Celem poszukiwań, koszta których ponosił Rotszyld, było odnalezienie grobu Dawida. Praca pod tym względem zawiodła, grobu nie odnaleziono, natomiast udało się Weillowi odkopać resztki murów pierwotnego miasta i kilka grobów.

Ks. J. Archutowski.

Nowe wyniki z zakresu badań nad pasami polskiemi.

(Streszczenie odczytu w Związku Polskich Historyków sztuki w Krakowie).

Na mocy badań tak ornamentu, jak i sposobu tkania wielkiej ilości pasów polskich staje się pewnem, że nie wszystkie pasy ze znakiem F. S. można przypisać fabryce w Słucku, mianowicie tylko niektóre z mających na zakończeniach dwa motywy z kwiatów otoczo-

nych wężykowatemi linjami owalnemi, inne zaś wykonane były u Puciłowskiego w Krakowie, albo we Francji, ze znakiem zaś F S. są roboty Filsjean'a w Kobyłce. Pasy ze Słucka, podpisane cyrylicą po białorusku, nie są późniejsze od podpisanych po polsku czy po łacinie, bo istnieje wiele typów pasów, podpisanych raz jednemi, to znów drugiemi głoskami. Wybija się natomiast grupa prymitywów słuckich, podpisanych i nie podpisanych. W fabryce Filsjean'a w Kobyłce ukazało się kilka rodzajów pasów o wschodnim charakterze, wspaniałych wzorem i barwami, które uważano za wschodnie, a nadto pas tejże fabryki z kozłem na zakończeniu. Na mocy porównania ornamentu można przyjąć, że Selimand, który prowadził fabrykę pasów w Korcu, był też zajęty w Kobyłce, natomiast nie miał z tą fabryką nic wspólnego Paschalis, jak to wynika z zamieszczonej przez niego wiadomości w »Korrespondencie Krajowym i Zagranicznym« z r. 1793, dotąd zupełnie nieznanej, z której nadto dowiadujemy się, że fabryka jego w Lipkowie powstała w r. 1789 albo 1790., że równocześnie z założeniem fabryki, ponieważ wtedy wielka ilość ludzi zaczęła przebierać się po polsku, tak że pracownie krajowe nie mogły nastarczyć pasów, wysłał swe wzory do fabrykanta w Paryżu, nakazując dawanie znaku P I, dla zaznaczenia, że to są jego własne wzory, ale fabrykant wyrabiał pasy z podlejszego materjału, a wkońcu, że fabryka Paschalisa była bardzo wielka, bo wykształciło się w niej kilkaset osób.

U Masłowskiego w Krakowie spotykamy rodzaj pasów o bardzo silnym połysku, który powstaje przez dawanie grubych silnie naciągniętych nitek kruszcowych przetykanych tylko rzadko cienką osnową; tym sposobem wyrabiane są pasy innych fabryk krakowskich. Nadto u Masłowskiego jest drugi rodzaj, o drobnym wzorze, silnie załamującym się w miejscach obwódek, co wygląda jak gdyby pas był zeszyty z małych blaszek, a wkońcu jest tu grupa pasów o lekkim wzorze, którą możnaby przypisać Kobyłkom, albo francuskim fabrykom, gdyby nie podpis na niektórych z tych pasów. Krakowskiemu fabrykantowi należy przypisać niektóre pasy ze znakiem ⌐ ∽ i wszystkie z F K. Znany dotąd z badań archiwalnych dyr. dr. A. Chmiela, krakowski pasiarz Józef Trojanowski używał znaku T I albo »J o s e f F e c i t«. Nowością jest znalezienie pasów Andrzeja Belicy i udowodnienie, że był fabrykantem krakowskim; podpisał się on A. B. albo »A n d r e a B e l l i c a«, przez jedno albo dwa l. Następnie ustalono pasy z fabryki Zakhübera w Siedlicach pod Gdańskiem, odmienny sposób ich tkania i udowodniono, że ornamentykę z przeżytkami baroku gdańskiego można tylko jemu przypisać. Dalej niektóre pasy o europejskiej ornamentyce ze znakiem SŁUCK, musimy na mocy sposobu tkania przypisać fabrykom francuskim, z których wyszły też pasy ze znakiem P I i niektóre z ⌐ ∽ i wiele nieoznacznych, o motywach zebranych z rozmaitych pasów wschodnich.

Pasy rozmaitych fabryk można podzielić na grupy artystyczne, wedle tego czy dany tkacz chciał wywrzeć wrażenie drobiazgowością,

czy wyrazistością wzoru, ilością barw, czy też ich subtelnem zestawieniem, połyskiem całości powierzchni, czy tylko części.

Ks. dr. Tadeusz Kruszyński.

Rozmaitości.

Uniwersytet katolicki w Medjolanie. — Radosną chwilę przeżył 7 grudnia z. r. obecny Ojciec św. podczas swego krótkiego pobytu w Medjolanie, prezydując przy uroczystem otwarciu tamtejszego uniwersytetu katolickiego, pod wezwaniem Serca Jezusowego. Wszystkie wyższe uczelnie włoskie przysłały swych przedstawicieli na tę epokową dla katolików włoskich, chwilę, a podziw budziło dzieło, dokonane w niespełna trzech latach dzięki hojności ofiarodawców i energji franciszkanina O. Gemelli, niegdyś doktora medycyny, dziś znanego zaszczytnie ze swych prac filozoficznych i naukowych. Oczywiście są to dopiero początki, a jednak już one przedstawiają się pokaźnie: 53 katedry filozofji i nauk prawno-społecznych, bibljoteka licząca 50.000 tomów, laboratorjum biologji i psychologji doświadczalnej, jedno z najlepszych we Włoszech, wszystko to pozwala rokować najlepsze nadzieje na przyszłość. Profesorów zgłosiło się więcej, niż można było przyjąć, jedyną troską jest więc tylko zabezpieczenie bytu materjalnego, czem zajęło się osobne stowarzyszenie »przyjaciół uniwersytetu katolickiego«. Warto zaznaczyć, że pomiędzy ofiarodawcami figuruje także sławny Giovanni Papini, który choć do niedawna biedny, dał 20.000 lirów na cele uniwersytetu z honorarjum literackiego za swoje »Dzieje Chrystusa«.

Związek katolików Ameryki Środkowej. — Przewroty społeczne i zaburzenia polityczne, nawiedzające tak często kraje Ameryki środk., propaganda zgubnych doktryn socjalistycznych, popierana przez masonerję i działalność przelicznych sekt protestanckich sprawiły, że katolicy tamtejsi, czując, iż brak organizacji nie pozwala im na skuteczną obronę, postanowili się skupić i utworzyć jednolity front. Już w połowie 1920 r. kilku wybitnych ludzi utworzyło w Guatemali związek katolicki i rozesłało prospekt jego celów i organizacji do wszystkich biskupów okolicznych. Sprawa spotkała się z żywem przyjęciem z ich strony i 2 sierpnia 1921 r. ukazał się list, skierowany do całego duchowieństwa Ameryki Środkowej, a podpisany przez trzech arcybiskupów, siedmiu biskupów, jednego administratora apostolskiego i dwóch wikarjuszów kapitularnych. Skonstatowawszy, że wzmagającym się niebezpieczeństwom może zapobiec tylko wspólna i jednolita akcja wszystkich katolików, poleca on założoną niedawno »Konfederację katolicką łacińskiej Ameryki« (C. C. L. A.), której głównym celem jest: połączyć w jedną potężną organizację wszystkie siły katolickie Ameryki łacińskiej«, aby skutecznie ratować te »kraje Kolumba, ktore otrzymały niegdyś od swej matki Hiszpanji cenny skarb religji katolickiej«.

Organizacja obmyślana jest w sposób następujący: w każdej diecezji powstanie pod zarządem czynników kościelnych federacja wszelkich istniejących związków katolickich, która umożliwi porozumienie i zgodność ich działania, pozostawiając równocześnie pełną autonomję poszczególnym częściom. Federacje te diecezjalne połączą się w jeden związek krajowy, rezydujący w stolicy państwa, wszystkie zaś związki krajowe stworzą dopiero jedną centralną organizację C. C. L. A., której kierownictwo znajdzie się bezpośrednio w ręku episkopatu. Oprócz stałej korespondencji odbywać się będą celem utrzymania łączności kongresy, diecezjalne co pół roku, krajowe corocznie, a generalne przynajmniej co pięć lat. List kończy się wezwaniem do duchowieństwa, by po przejrzeniu programu i ewentualnem poczynieniu swych uwag, przystąpiło zaraz do dzieła, którego ideałem jest »obrona wiary katolickiej i czystości obyczajów«.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 31 marca 1922.

Względność prawa własności.

Obecny okres przemian społeczno-ekonomicznych możnaby nie bez pewnej słuszności scharakteryzować jako swego rodzaju przesilenie w pojęciu o własności. Jeśli własność wogóle określa się jako wyłączne prawo do korzystania z pewnego przedmiotu, to aż nadto widocznem jest, że to wyłączne prawo faktycznie doznaje w dzisiejszych czasach coraz większego ograniczenia.

Takiem ograniczeniem i gdzieindziej i u nas są ustawy o reformie rolnej, które w gruncie rzeczy zaczepiają wprost dotychczasowe pojmowanie własności i występują przeciw określeniu własności jako »wyłącznego prawa korzystania z pewnego przedmiotu«. Stawiają one ustawowe określenie, dające się mniejwięcej tak sformułować: »dotychczasowi właściciele nie mają wyłącznego prawa korzystania, a więc sprzedaży, lub jakiejkolwiek innej aljenacji, nie mogą w zupełnie dowolny sposób korzystać z ziemi, ale w tych wypadkach muszą iść po linji wytkniętej ustawą«. Nadmienić tu warto, że ta przemiana pojęć prawa własności w naszej ustawie o reformie rolnej dotyka prawa własności nie tylko t. zw. obszarników, lecz i nabywających parcelowane grunta, gdyż i im zabrania dowolnej sprzedaży i dzielenia ziemi przed upływem 25 lat. Zresztą prawie wszystkie paragrafy ustawy o reformie rolnej i sławne rozporządzenia Głównego Urzędu Ziemskiego w swojej treści zawierają tę przemianę tradycyjnych pojęć o własności.

Podobne zresztą zjawisko daje się zauważyć i w drugiej dziedzinie wytwórczości ludzkiej, mianowicie w przemyśle. Czemżeż są ustawy niemieckie, austrjackie lub angielskie, zastrzegające robotnikom udział w zarządzie przedsiębiorstwami przemysłowemi, jak nie prawnem ograniczeniem prawa własności? Przedsiębiorca na podstawie tych ustaw nie może dowolnie urządzić swej fabryki, regulować pracy, dobierać sił pomocniczych, ale musi w tych wypadkach oglądać się na sąd

i wolę robotników, którzy przecież nie są współwłaścicielami przedsiębiorstwa, a jednak mają wpływ na samą własność.

Można tu nadto potrącić o tendencję zmierzającą do dopuszczenia robotników do udziału w zyskach przedsiębiorstwa, która dotychczas tylko we Francji przybrała charakter ustawy, ale raczej w teorji niż w zastosowaniu, a u nas bezwątpienia w bliższej lub dalszej przyszłości przybierze też konkretny kształt, a może nawet więcej realizmu. Jest to również ograniczenie tej wyłączności korzystania z własności, choć co prawda teoretycznie można sprawę ująć inaczej. Dążność do udziału w zyskach, czyli do podziału dochodów z produkcji między właścicielem przedsiębiorstwa a pracownikami, opiera się na supozycji, że ci są pewnego rodzaju współwłaścicielami wytworów. Przedsiębiorca jest jej właścicielem cząstkowym przez kapitał, jaki w nią włożył, a robotnicy przez pracę »zakrzepłą w towarze« jakby Marx powiedział. W tym więc wypadku mielibyśmy pewne ograniczenie prawa własności jednego podmiotu przez prawo własności podmiotu drugiego. Takie zjawisko nie jest nowe i wszystkie prawa regulujące współposiadanie, prawa mówiące o dojazdach itd. do swej realności, są właśnie takiem ograniczaniem własności przez własność. Natomiast nowym jest fakt, że powstaje w wypadku dopuszczenia robotników do udziału w zyskach ograniczenie własności, którego dotychczas nie było, przez własność powstającą z tytułu, który w tej formie dotychczas nie wywoływał prawa własności. Nowość więc w ograniczeniu prawa własności przedsiębiorców przemysłowych jest, że się tak wyrazimy, pośrednia, nie mniej przeto rzeczywista.

Wszystkie te i inne ograniczenia i przewartościowania prawa własności, dokonują się dziś przeważnie pod wpływem socjalistycznych doktryn, na których dnie leży zawsze komunizm tej czy innej formy. Nie jest to zresztą ostatnia faza, jak myślą socjaliści, w tych przemianach prawa własności. Ostateczną ich formą ma być wspólna własność społeczna, czy narodowa, komunizm czystej krwi. Na razie wprawdzie przycichły głosy o uspołecznieniu kopalń, fabryk, ziemi, słowem wszystkich źródeł produkcji. Ucichły, po smutnych doświadczeniach monopolizacji, sekwestru. Owszem można powiedzieć, że idea wspólnej własności ziemi została jeszcze dalej odepchnięta, boć jasną jest rzeczą, że trudniej będzie zmusić do rezygnacji z prawa własności wielu chłopów osiadłych na rozparcelowanych działkach niż jednego obywatela, który pierwotnie był jedynym panem i właścicielem tych wszystkich parcel. To wszystko jednak nie znaczy, że socjalizm, nasz czy inny,

wyrzekł się idei socjalizacji i że przy pierwszej lepszej sposobności nie uczyni o nią dotkliwego alarmu.

Ten fakt, że atak na dotychczasowe pojmowanie prawa własności wyszedł głównie z lewej strony, spowodował, że owe jego ograniczenia uważa się dość powszechnie za zbrodniczy zamach na świętość prawa własności. Ludzie, którzy skądinąd mało dbają o jakąkolwiek świętość, dla których zasady moralne przedstawiają niesłychanie rozciągliwą względność, a stawianie niezmiennych, jedynie prawdziwych i pewnych dogmatów za śmieszną naiwność, podnieśli głos w obronie świętości, b e z w z g l ę d n o ś c i, odwieczności prawa, które się nazywa własnością. Oglądają się z całem zaufaniem za autorytatywnym głosem w tej sprawie ze strony Rzymu, a w każdym razie uważają, że cały Kościół nauczający powinien stanąć w obronie dogmatu bezwzględności prawa własności. Tymczasem na te wezwania odpowiedzią jest głuche milczenie, a nawet tu i ówdzie słychać głosy, całkiem dobitne, sankcjonujące w niejednym wypadku powyższą zmianę w pojęciu prawa własności. Wtedy mówi się śmiało, że i Kościół się radykalizuje, a nawet powietrze nad ziemią polską drgało nieraz falą zdania, że P. Jezus był pierwszym socjalistą.

Warto więc przyjrzeć się całej kwestji i odpowiedzieć sobie jasno na to zasadnicze zagadnienie, czy prawo własności jest bezwzględne, czy też z wielu racji i bardzo względne. Na tle odpowiedzi na to zagadnienie, będziemy mieli równocześnie rozwiązanie kwestji, czy nowe przejawy w pojęciu prawa własności, mające tak konkretne kształty, są pod względem moralnym zjawiskiem dodatniem, czy też ujemnem.

Gdybyśmy w tym wypadku pytali historji, tej *magistra vitae,* tobyśmy się przekonali, że pozytywne prawo dotyczące własności jest faktycznie bardzo względne. Nie potrzebujemy tutaj bynajmniej stawać na stanowisku Laveleya, że pierwotną formą własności były wspólnoty, komunizm rodowy lub szczepowy. Nowsze badania wykazały, że dowody na to ryczałtowe twierdzenia są zupełnie nie wystarczające. Inna rzecz, że źródła historyczne uczą nas, iż u pewnych ludów, w pewnych okresach właśność miała formę wspólnoty, która z czasem przeradzała się we własność indywidualną. Już sam taki fakt dowodzi, że prawo własności jest względne. W pewnych mianowicie warunkach wydawała się korzystniejszą własność wspólna, lecz później jej korzyści malały, własność wspólna okazała się niepraktyczną i musiało prawo wspólnej własności ustąpić prawu własności osobistej. To czego się domyślamy w dziejach dawno minionych, odbywa się niejako w naszych oczach

wśród współczesnych nam, a nawpół dzikich ludów Rosji, wśród Kirgizów, Burjatów, Kozaków itd. Tam mianowicie spotykamy prawie równocześnie wszystkie możliwe stadja rozwoju prawa własności. Są okolice, w których tamtejsze plemiona dziwią się, gdy ich ktoś pyta, czyj ten lub ów kawałek pola, łąki, lasu. Niczyj, poprostu. Jest ziemi i lasu tyle, że każdy z nich korzysta gdzie, kiedy i ile chce. O jakiejkolwiek własności wspólnej, czy prywatnej niema mowy. Są inne okolice, gdzie już tej swobody niema, jest natomiast własność indywidualna, są inne, gdzie własność obejścia domowego jest prywatna, własność zaś ziemi wspólna. J. St. Lewiński twierdzi i twierdzeń swoich dowodzi faktami, że stadja rozwoju własności tak się układają: Najpierw niema żadnej własności, potem jest własność indywidualna, następnie wspólna [1]).

Czy wszędzie własność przechodziła takie stadja i w tym porządku, to rzecz inna, w każdym razie ta ewolucja własności, której tyle dowodów mamy we współczesnych nam plemionach rosyjskich, dowodzi bezsprzecznie, że forma własności jest dość elastyczna, że może ulegać zmianom, słowem, że jest bardzo względna.

Jeszcze dowodniej o tej względności świadczą zmiany prawa własności, które zauważyć możemy w społeczeństwach cywilizowanych, opartych na formie prywatnej własności. Wystarczy przecież pobieżnie przerzucić historję prawa rzymskiego, żeby zobaczyć wprost zdumiewający rozwój prawa własności w przeciągu kilku wieków. Rozwój ten dokonywa się, rzecby można, we wszystkich wymiarach prawa własności i jak chodzi o jego ekstensywność, co do podmiotu zdolnego być właścicielem, i co do przedmiotu, podpadającego pod prawo własności, i co do intensywności tego prawa, a więc swobodnej rozporządzalności przedmiotem, zwłaszcza przy pozbywaniu się, względnie nabywaniu jakiegoś przedmiotu.

Rozwój prawa własności ze względu na podmiot zdolny do posiadania przechodzi bardzo długą drogę. Od jedynego podmiotu w rodzinie, którym był *pater familias,* rozciąga się coraz bardziej na synów w formie *peculium* zwykłego, które następnie rozszerza się w *peculium castrense* by następnie rozepchnąć i te prawne ramy i przejść niemal w pełne prawo własności z tytułem *quasi peculium.* Analogicznej ewolucji podlega to prawo w kierunku *matris familias* a nawet w stronę niewolników. Nieco inną ewo-

[1]) J. St. Lewiński: „Powstanie własności i formowanie się wspólnoty gminnej".

lucję, nie mniej jednak wyraźną, zauważamy jak chodzi o obcokrajowców.

Mniej rozmaitości i radykalnej zmiany widzimy w kwestji przedmiotu posiadania. Pierwotne ograniczenia odnoszące się do *solum Italicum* z czasem coraz bardziej nikną i faktyczna własność pozorowana różnego rodzaju wybiegami prawnemi zyskuje całkiem normalną formę.

Najbezpośredniej naszej kwestji dotyczy rozwój prawa własności odnośnie do form alienacji. Sławna zasada, że właściciel jest absolutnym panem przedmiotu własności i może *ipso uti et abuti* godziła się przecież z niesłychanie ciasnemi formami aljenacji. Sławne podziały na *res mancipi, nec mancipi,* których konsekwencją czy podstawą były owe wyłączne trzy formy aljenacji: *mancipatio, in iure cessio i traditio* ze znaczeniem prawnem *ius Quiritium*, ograniczały w wysokim stopniu samo prawo własności. Ewolucja, którą tutaj zauważamy, idzie w kierunku zniesienia tych prawnych podziałów i ograniczeń i początkowo stosuje różnego rodzaju paljatywy prawne w formie t. zw. interdyktów, własności bonitarnej itd., posługuje się niemi coraz częściej, aż wreszcie dochodzi do tego, że ktoś jest prawnie właścicielem danego przedmiotu *ex iure Quiritium,* a drugi faktycznym, bronionym przez prawo pretorskie posiadaczem i właścicielem tego samego przedmiotu. Wynikiem tej kolizji jest karykatura prawna, t. zw. *nudum ius Quiritium,* a więc prawny tytuł własności, ale bezprzedmiotowy. Ostatecznie Justynjan względnie Karakalla odważył się znieść wszelką różnicę i wszelkie ograniczenie powyższej natury.

Coś podobnego zresztą spotkaćby można prawdopodobnie w dziejach każdego narodu. Niestety dotychczas nie posiadamy jeszcze specjalnej monografji, oświetlającej prawo własności z tego punktu. Jeśli jednak rzuciwszy okiem na dawne prawo polskie, w którem spotykamy według dzisiejszych pojęć, takie osobliwości jak *glebae adscriptio,* przywilej szlachty nabywania ziemi, prawo rugowania włościan i t. p., a z tem zestawimy dzisiejsze pojęcia o równości wobec prawa pod tym względem, to znów musimy zauważyć znaczny rozwój prawa własności, a tem samem jego względność.

Zauważyć tu trzeba, że jakkolwiekby prawo własności ulegało ewolucji, jakeśmy to nazwali, pod względem ekstensywnym, t. zn. że rozszerza się np. tylko pod względem podmiotowym, mimo tego pośrednio ogranicza potencjalne prawo własności dotychczasowych uprzywilejowanych. Obalając ich wyłączność temsamem wprowadza, przynaj-

mniej w zasadzie, konkurencję, a więc utrudnienia w korzystaniu z tej potencjonalności prawa.

Mamy zresztą w naszej historji fakty, bezpośredniej ingerencji w prawo własności. Przykładem tej bezpośredniej ingerencji są ustawy o uwłaszczeniu chłopów. Jest to jeden z najdosadniejszych przykładów względności prawa własności.

Z konieczności musimy się ograniczyć do takiego tylko narzucenia przykładów, choć zdajemy sobie sprawę, że dopiero ich szczegółowa analiza wyświetliłaby doskonale fakt względności. Lecz już z tego pobieżnego przejrzenia historycznego rozwoju prawa własności można powiedzieć napewno, że nie jesteśmy dziś w prawie twierdzić, iż prawo własności dobiegło obecnie kresu swej ewolucji, że dosięgło najwyższego szczytu swej doskonałości i dziś posiada bezwzględną wartość niezmienną. Byłoby to swego rodzaju zarozumiałością, gdyby świat dzisiejszy, noszący tyle jęczącej i umierającej nędzy, zechciał twierdzić, że to, co jest podstawą wszelkiego dobrobytu, a więc prawo własności, jest dziś w swej formie najdoskonalsze.

Jednakże te wszystkie przykłady względności prawa własności nie rozwiązują zasadniczej kwestji, mianowicie, czy te zmiany prawa pozytywnego szły po linji prawa moralnego, czy wogóle ze stanowiska moralności katolickiej można przyjąć względność prawa własności. Bo jeśli moralność naturalna, czy oparta na objawieniu, stoi na zasadzie bezwzględności, tedy trzebaby z góry powiedzieć, że ta historyczna ewolucja, choć może dobra ze stanowiska czysto gospodarczego, doczesnego, kryje w sobie zło moralne.

Jeżeli w tak postawionej kwestji zwrócimy się po odpowiedź do monografij o prawie własności, to rozwiązania jasnego prawie że nie znajdziemy. Nic w tem dziwnego. Ostatnie półwiecze wydało bardzo dużo specjalnych prac na temat własności prywatnej, ale prawie wszystkie były skierowane przeciw tym, którzy kwestjonowali wogóle prawo własności prywatnej, przeciw socjalistom. Autorom monografij chodziło przedewszystkiem o uzasadnienie historyczne, społeczno-ekonomiczne i moralne konieczności własności prywatnej. Przytaczają więc cały szereg dowodów pozytywnych za własnością prywatną i negatywnych z konsekwencyj ustroju komunistycznego. Wśród licznych monografij, któremi posługiwaliśmy się przy pisaniu tej pracy, najcharakterystyczniejsze zdanie, przemawiające za względnością prawa własności spotkaliśmy w Ekonomji ks. Pescha [1]). Czytamy tam na str. 188 t. I: »To, co mówi

[1]) H. Pesch: „Lehrbuch der Nationalökonomie" I. Grundlegung, Freiburg 1905.

Rodbertus o państwie, można zastosować do prawa własności: Nie fakt kreacji, ale historja ją stworzyła. Odnosi się to przedewszystkiem — komentuje ks. Pesch — do pozytywnego prawa własności. Bywały inne prawne określenia własności, a dzisiejsze w każdym razie nie jest tego rodzaju, by sobie lepszego życzyć nie można«. Na dnie tego twierdzenia jest supozycja, że prawo własności jest względne, a ponieważ ks. Pesch rozpatruje kwestję ze stanowiska etyki chrześcijańskiej więc przyjmuje, że względność ta da się pogodzić z jej zasadami.

Jest to jednak dowód za kruchy, choć powaga, wygłaszająca to zdanie, cieszy się pierwszorzędnem znaczeniem wśród ekonomistów katolickich. Musimy dlatego dotrzeć do podstaw, które pozwoliły ks. Peschowi przyjąć taką supozycję.

Punktem wyjścia w tej kwestji jest przedmiotowa decyzja o ontologicznem źródle prawa własności. Jeśli bowiem prawo własności prywatnej jest prawem natury w ścisłem tego słowa znaczeniu, wtedy wszelkie naruszenie tego prawa musi być poczytywane za pogwałcenie prawa natury, a temsamem za objaw moralnie ujemny. Wtedy nie można mówić o względności, bo to prawo, równie jak natura sama, jest niezmienne, odwieczne, konieczne.

W tym właśnie punkcie niestety niema wśród nowszych autorów dostatecznej precyzji. W pracach specjalnych o własności prywatnej spotyka się najczęściej twierdzenia, że prawo własności, własność prywatna, jest naturalna, nieodłączna od natury ludzkiej. Lecz obok tego u tych samych autorów spotykamy twierdzenia konstatujące pewną ewolucję prawa własności. Dla charakterystyki przytoczymy wyjątki z polskiej monografji ks. Zegarlińskiego p. t. »Prawo własności«. »Istnienie zatem tej instytucji (własności prywatnej) jest prawem natury«, czytamy tam na str. 107. Lecz to kategoryczne twierdzenie poprzedza takie zdanie: »Kiedy jednak społeczeństwa wytworzyły się, ludność wzrosła, ziemi zaczęło brakować, a środki żywności trzeba było zdobywać przez wytężającą pracę, nastała także konieczność większego szanowania własności osobistej, wtedy dopiero prawo to stawało się koniecznością społeczną«. Sądzimy, że autor miał słuszne zapatrywania w tej sprawie, ale w każdym razie słowne ujęcie tego zapatrywania nie jest wcale jasne. Aż nadto widoczną jest rzeczą, że prawem natury w ścisłem tego słowa znaczeniu nie jest to, co jest dopiero uwarunkowane pewnemi okolicznościami społecznemi. Inna rzecz, że te warunki mogą się domagać pewnej instytucji z koniecznością moralną, lecz nie fizyczną, naturalną.

Gdybyśmy stanęli na stanowisku konieczności prawa własności

z prawa natury, nie zdołalibyśmy sobie wytłómaczyć w żaden sposób faktu, że były okresy, w których te i inne grupy ludzkości nie pojmowały prawa własności w dzisiejszem znaczeniu. Choćbyśmy zresztą na upartego twierdzili, że nawet u najpierwotniejszych ludów istniała własność prywatna odnośnie n. p. do skóry, jaką dzikus na swych biodrach nosił, jeszcze trudności wszystkich nie usuwamy. Czyż można uznać za przeciwne naturze takie n. p. zjawisko, w którem jakiś osobnik nie posiada żadnej nieruchomości, ani nawet ruchomości, bo nawet ubranie to, które ma na sobie jest pożyczone? Czyż stan zakonny, w którym ludzie zrzekają się prawa własności i do największych rzeczy i do najmniejszego nawet drobiazgu, słowem do wszystkiego, można nazwać za stan sprzeciwiający się prawu naturalnemu? Gdyby tak było, nie możnaby mówić o stanie zakonnym jako o stanie *perfectionis christianae acquirendae,* bo konsekwencją prawa natury w tym względzie byłaby bezwzględna konieczność, by każdy człowiek był panem pewnej własności.

Celem wybrnięcia z tych trudności sięgniemy po oparcie do czasów, w których doktryny społeczno-ekonomiczne i namiętności sporów nie przeszkadzały precyzji wyrażania i trzeźwości poglądów.

Św. Tomasz z Akwinu pisze o własności prywatnej bardzo mało, ale pisze w tej formie, że można z kilku jego zdań wiele światła zaczerpnąć w tej, zagmatwanej ostatniemi czasy, sprawie. Można się bezpiecznie na nim oprzeć, jako na pierwszorzędnej powadze filozoficznej i sankcjonowanej przez całą filozofję katolicką.

Wszystko to, co czytamy w Summie Teologicznej [1]) o własności prywatnej, jest niezmiernie charakterystyczne. Przedewszystkiem św. Tomasz stawia sobie pytanie: czy jest moralnie godziwą rzeczą mieć jakąkolwiek własność prywatną? Supozycją więc tego księcia filozofów jest nie wątpliwość, czy jest rzeczą przeciwną prawu natury lub prawu pozytywnemu nie mieć własności prywatnej, ale wątpliwość, czy własność prywatna nie sprzeciwia się jednemu z tych praw. Na tak postawioną kwestję tę daje odpowiedź: »Co się tyczy przedmiotów materjalnych dwa prawa ma człowiek: jednem z nich jest możność nabywania i pozbywania się ich i pod tym względem jest rzeczą godziwą, by człowiek miał własność prywatną. A jest to konieczne z trzech względów: najpierw dlatego, że człowiek z większą troską stara się o to, co do niego wyłącznie należy, niż o to, co jest wspólne wszystkim lub wielu;

[1]) Secunda secundae Q. LXVI, a. 2.

gdyż każdy chcąc uniknąć pracy zostawia drugiemu troskę o to, co jest wspólną własnością.....; następnie dlatego, że troska o sprawy dotyczące człowieka odbywa się w większym porządku, jeśli każdy z ludzi ma pieczę o zdobycie pewnego przedmiotu.....; potrzecie dlatego, że w ten sposób zabezpiecza się pokój społeczny, kiedy każdy człowiek zadowolony jest ze swego. Boć widzimy, że między tymi, którzy posiadają jakąś rzecz wspólnie, często bardzo dochodzi do niesnasek. — Drugiem prawem, przysługującem człowiekowi (w stosunku do przedmiotów materjalnych) jest ich użycie; a pod tym względem człowiek nie może mieć przedmiotów materjalnych jako własnych, lecz jako wspólne, aby mianowicie z łatwością udzielał ich innym w razie potrzeby. Stąd to Apostoł mówi: Bogatym tego świata rozkazuj... łacno dawać, użyczać. (I. Tym. 6. 17—18).

W całej tej kwestji św. Tomasz wychodzi z założenia, które pomieszcza w odpowiedzi na trudności: »Wspólność dóbr jest prawem natury, nie w tem znaczeniu jakoby prawo natury nakazywało posiadać wszystkie przedmioty wspólnie, a niczego nie mieć na własność, lecz w ten sposób, że z prawa natury niema rozróżnienia własności, ale raczej z umowy ludzkiej, która należy do prawa pozytywnego. Stąd to własność prywatna nie jest przeciwna prawu natury, ale jest jego uzupełnieniem, przez twórczość rozumu ludzkiego«.

Ze słów św. Tomasza, sądzimy bez żadnego wypaczenia jego myśli, dadzą się ustalić następujące tezy: 1⁰ Przedmioty materjalne z prawa natury są wspólną własnością wszystkich ludzi.

2⁰ Rozum ludzki ze względów społeczno-gospodarczych wprowadził własność prywatną.

3⁰ Własność prywatna jest uzupełnieniem prawa natury.

4⁰ Własność prywatna nie jest czemś absolutnem, ale w swych przejawach musi się liczyć z gospodarczem położeniem innych.

Wystarczy przeprowadzić uzasadnienie i analizę tych tez, by dojść do zupełnie ścisłego i pewnego pojęcia w sprawie względności prawa własności.

Wobec tego, że św. Tomasz własność prywatną uważa za zupełnie racjonalną instytucję, sens pierwszej tezy o wspólnej własności przedmiotów materjalnych należy rozumieć w ten sposób, że wszyscy ludzie i każdy człowiek z osobna ma jakby naturalne prawo udziału w korzystaniu z dóbr materjalnych. Sytuacja więc taka, w której ktoś z braku pożywienia lub odzieży, nie wskutek *vis major* przyrody lub przypadku, ale wskutek tradycyjnych zapatrywań i warunków spo-

łeczno-ekonomicznych umiera z głodu, jest przeciwna prawu natury. Prawo natury nic nie mówi, co dane indywiduum z pośród nieprzeliczonej ilości zasobów materjalnych ma mieć, mówi natomiast w każdym razie to, że w skarbcu dóbr ziemskich jest złożona dla każdego pewna ilość przedmiotów, do których się ma bezwzględne prawo i słuszną pretensję, by używając ich można żyć i rozwijać się.

Uzasadnieniem tego prawa jest równość natury wszystkich ludzi i celowość stworzenia człowieka oraz świata materjalnego. Dobra ziemskie są stworzone dla człowieka, a nie człowiek dla nich. Kto nie stoi na stanowisku antropocentrycznego światopoglądu, ten temsamem odrzuci powyższe pojęcie celowości świata materjalnego. My tę celowość bezwzględnie przyjmujemy, pomijając jej uzasadnienie, któreby nas zbyt daleko odwiodło od naszego tematu. Jeśli więc weźmiemy pod uwagę naturę ludzką jako taką, bez względu na jej konkretne przypadkowe uzdolnienia i życiowe akty, to musimy przyznać, że ona jest jednaka we wszystkich ludziach i w każdem indywiduum i że taką samą relację do dóbr ziemskich na podstawie swej natury ma jeden człowiek, jak i drugi, jak zresztą wszyscy. Wobec tego z zupełną słusznością można powiedzieć, że dobra materjalne są wspólnym spichrzem wszystkich ludzi.

Kiedy jednak przejdziemy do konkretnego życia, musimy się zgodzić na to, że owa wspólna własność rozpada się najpierw w użyciu, a potem i w posiadaniu na własności indywidualne. Św. Tomasz nam przytacza racjonalne powody powstania prywatnej własności. Powody te były u kolebki wszystkich społeczeństw i dziś też są równie aktualne. Większa troska o swoje niż cudze, skrzętniejsza gospodarność, oszczędność i zgoda społeczna — oto racje przemawiające za własnością prywatną. Bezwątpienia wystarczające i rozumne.

Skoro wnikniemy w te racje, nie możemy się oprzeć wrażeniu, że mimo wszystko własność prywatna jest koncesją na rzecz słabości ludzkiej. Gdyby bowiem ludzie równie miłowali drugich jak siebie, tąsamą pieczą otaczali potrzeby cudze jak swoje, wówczas obeszłoby się zupełnie bez własności prywatnej. To też pisarze katoliccy przypuszczają, że w razie gdyby był nie zaszedł ów fakt, który rozpętał wszystkie namiętności ludzkie, mianowicie grzech pierworodny, nie byłoby własności prywatnej. Ponieważ jednak ten fakt miał miejsce, a przezeń moralna siła człowieka ogromnie osłabła, własność wspólną należy uznać za moralną niemożliwość. Mówimy wogóle, gdyż pewna daleka możliwość istnienia własności wspólnej jest, tak jak jest możliwość spotęgo-

wania osłabionej grzechem pierworodnym moralnej siły człowieka przez wewnętrzne wyrobienie, oparte na zasadach prawdziwej religji. Dlatego ludzkość zna takie zjawiska, jak oddawanie swej własności dla dobra ogółu, na wspólny użytek, w pierwszych gminach chrześcijańskich, jak wspólna własność i brak wszelkiej własności prywatnej w zakonach. Te zjawiska społeczno-ekonomiczne opierają się na tem głębokiem wewnętrznem wyrobieniu, które jest koniecznym warunkiem wszelkiego uspołecznienia. To też kiedy socjaliści w swych manifestach marzą o komuniźmie, nie w tem jest ich grzech, że komunizm stawiają wyżej od własności prywatnej, ale w tem, że nie zwracają zupełnie uwagi na tę *conditio sine qua non,* owszem jeszcze bardziej osłabiają moralną siłę człowieka i sądzą, że da się ją w zupełności zastąpić doktrynerstwem. Dopóki społeczeństwa nie odzyskają tej siły moralnej potrzebnej przy komuniźmie, o komuniźmie nie może być mowy. Ponieważ zaś miernoty moralne są i będą zawsze przeważającą większością w ludzkości, więc też i marzenia o powszechnym komuniźmie nigdy się nie urzeczywistnią i ludzkość musi korzystać z tej koncesji, której rezultatem jest własność prywatna.

Własność zatem prywatna przedstawia się jako konieczność wynikająca konkretnie z osłabionej grzechem pierworodnym natury ludzkiej i jako racjonalne zapobieżenie większemu złu. Dlatego w pewnym znaczeniu można o niej powiedzieć, że jest wynikiem natury ludzkiej, że człowiek do niej dochodzi *naturą duce,* lub jak powiedział Leon XIII w encyklice »Rerum novarum«, własność prywatna jest: *natura datum,* lub jakeśmy to wyrazili powyżej w trzeciej tezie wysnutej z poglądów św. Tomasza: własność prywatna jest uzupełnieniem prawa natury.

Na trzech poprzednich tezach opiera się jakby na przesłankach teza czwarta, mianowicie, że własność prywatna nie jest czemś absolutnem, ale w swych przejawach musi się liczyć z gospodarczem położeniem innych.

Parę słów objaśnienia wystarczy do zupełnego zrozumienia słuszności tej tezy.

Własność prywatną wprowadził rozum ludzki li tylko po to, by ułatwić wszystkim korzystanie z naturalnego prawa każdego człowieka do dóbr ziemskich. Prawo to, jak już widzieliśmy, jest zasadnicze, pierwotne i wobec niego własność prywatna przedstawia się jako prawo pochodne. Jeżeli więc gdziekolwiek i kiedykolwiek zewnętrzne objawy owego prawa pochodnego tak się ułożyły, że przeszkadzają realizacji

prawa pierwotnego, wówczas to prawo pochodne traci rację bytu. Konkretnie rzecz biorąc, trzeba powiedzieć, że jeżeli w jakimś okresie historji któregokolwiek społeczeństwa, własność prywatna doprowadziła do takiego absurdu, że przez nią wielka część społeczeństwa cierpi niedostatek, wówczas ta własność prywatna nie tylko nie jest z prawa natury, ale jest przeciwna pierwotnemu prawu natury.

Cóż więc, czy należy wtedy znieść własność prywatną? Bynajmniej, gdyż ta sama natura ludzka, roszcząca sobie prawo do czerpania ze skarbca dóbr materjalnych, domaga się własności prywatnej jako źródła ułatwiającego owe czerpanie. Jeśli więc urządzenie własności prywatnej w danym wypadku przedstawia się jako zło, to jej zniesienie byłoby większem jeszcze złem. Pozostaje zatem złoty środek: pewnej reformy prawa własności, zmian koniecznych w tem prawie.

Oto mamy bezpośrednią konkluzję z owych czterech tez opartych na nauce św. Tomasza, powiedzmy raczej na filozofji chrześcijańskiej, konkluzję, którą nazwaliśmy względnością prawa własności. Zatem względność prawa własności jest tak pewna, jak pewne jest prawo własności, bo ta sama natura ludzka domaga się prawa własności i jego względności.

Mając przed oczyma ten pewnik, wypada jeszcze przyjrzeć się bliżej przejawom tej względności, wskazanym zarówno przez źródła objawienia, jak i przez samą ekonomję.

Względność prawa własności, czyli pewną regulację stosunków społeczno-ekonomicznych nadwyrężonych własnością prywatną, wskazuje Pismo św. zarówno Starego jak i Nowego Testamentu jako obowiązek dawania jałmużny, wspierania ubogich. Teologja moralna podkreśla ten obowiązek i w pewnych warunkach uznaje, że jego zaniedbanie obciąża sumienie grzechem ciężkim. Naturalnie, ponieważ dziś ludzie grzechu ciężkiego się nie boją, obowiązek wspomagania ubogich przedstawia się jako coś tak dalece zależącego od dobrej woli każdego, że bez skrupułów oddala się z kwitkiem potrzebujących. Tymczasem sprawa ta przedstawia się bardzo poważnie. Ojcowie pierwszych wieków Kościoła św. Bazyli, św. Grzegorz Nysseński, św. Jan Chryzostom nie wahają się nazwać złodziejami tych, którzy żyjąc w dostatku, zaniedbują jałmużnę. Z wyrażeń Pisma św. i teologów da się wysnuć ogólną zasadę, że ludzie nie mogący w żaden sposób własnemi siłami zapewnić sobie utrzymania, mają prawo do szukania pomocy u ludzi zasobnych. Prawo to jest tak wielkie, że jakkolwiek siódme przykazanie mówi ogólnie »nie kradnij«, a kradzieżą nazywamy przywłaszczenie sobie cudzej własności,

to teologja katolicka nie nazywa kradzieżą przywłaszczenia sobie cudzej własności przez człowieka znajdującego się w ostatniej nędzy, celem zaspokojenia pierwszej potrzeby. W tym wypadku teologja najwyraźniej opiera się na względności prawa własności, czyli, że to prawo ma dotąd swą moc i wartość, dopóki się nie sprzeciwia owemu pierwotnemu prawu do korzystania z dóbr ziemskich, jakie przysługuje każdemu człowiekowi.

Prawdy te zresztą są dość powszechnie znane w swej prymitywnej treści i formie, lecz dziś trzeba dodać do nich bardziej nowożytny komentarz. Jeśli obowiązkiem każdego posiadającego, a większym obowiązkiem więcej posiadającego, jest czynne ratowanie zgłaszających się sporadycznie po jałmużnę ubogich, również obowiązkiem posiadających jest utrzymywanie zakładów, w których koncentruje się nędza ludzka. Dzisiejsza liczba nędzarzy po miastach i po wsiach jest wprost przerażająca, podlegają jej zarówno niedołężni starcy jak i dzieci, a w wielu wypadkach nawet młodzież. Zadaniem dzisiejszej akcji filantropijnej jest skupić w zakładach potrzebujących wsparcia, by w ten sposób racjonalniej urządzić rozdzielanie zapomóg i w możliwy sposób dostarczyć przedewszystkiem zajęcia tym, którzy mogą pracować. Zakłady te mają prawo do oglądania się za odpowiedniem wsparciem ze strony posiadających i nie tylko o tyle, o ile ci potrafią na balach wytańczyć i biletami wstępu na słodkie marzenia koncertowe zapewnić jakiś jednorazowy dochód, ale mają prawo do stałego utrzymania z ich strony. W razie gdyby tej stałej pieczy dobrowolnej o zakłady dobroczynne ze strony posiadających nie było, opuszczeni nędzarze, nie mogący w inny sposób zdobyć środków do życia, mieliby prawo wyciągnąć rękę po cudzą własność. Nie jest to naturalnie w żadnym wypadku pożądane, by zakłady jakieś urządzały tego rodzaju zdobywcze ekspedycje i ich prawo w takiej sytuacji przechodzi na władze komunalne, względnie państwowe, które celem zabezpieczenia utrzymania biednych mogą nakładać podatki, a nawet stosować wywłaszczenie. Taki jest pierwszy rezultat prawa własności, o którym mówią źródła katolickiej moralności.

Sprawa jednak ostatniej nędzy i obowiązków ciążących względem niej na prywatnej własności jest na tem miejscu tylko poboczną kwestją. Jądro kwestji tkwi w zagadnieniach poruszonych na początku niniejszego artykułu, w dotknięciu prywatnej własności przez reformę rolną i analogiczne reformy w dziedzinie przemysłowej. Czy tam również można zastosować względność prawa własności i dlaczego? Czy mamy jakieś

ślady w źródłach Objawienia lub wogóle w nauce Kościoła o możliwości tego zastosowania?

Teoretycznie rzecz biorąc, trzeba powiedzieć, że względność obejmuje wszelkie prawo własności, najpierw z tego tytułu, że jako instytucja pozytywna ludzka może być z rozwojem ludzkości udoskonalana. Chcemy przez to wyrazić przypuszczenie, że ludzkość mimo wszystko, jako całość, postępuje pod względem moralności, a ten postęp wymaga równoległego postępu w pojmowaniu i stosowaniu prawa własności, skoro własność jest instytucją ludzką. Nie chcemy wchodzić w szczegóły, jak dalece przypuszczenie to odpowiada rzeczywistości, w każdym razie nie jest ono tylko nasze. Ten fakt np., że dziś niema chyba nikogo, któryby kwestjonował pełnię prawa cywilnego każdego obywatela polskiego, w zestawieniu z wyłącznym przywilejem szlachty w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej posiadania realności ziemskiej, świadczy wymownie o postępie i w dziedzinie moralności i w pojęciu prawa własności.

Lecz ten postęp dokonuje się w bardzo ciekawy sposób, mianowicie wbrew utartemu adagjum: *natura non patitur saltus* rozwój w sferze własności odbywa się gigantycznemi skokami i inaczej prawie że być nie może. Dzieje się to dlatego, że własność prywatna, choćby była w początkach najidealniej, najsprawiedliwiej rozłożona, z czasem doprowadza do konfliktu z zasadniczem prawem każdego człowieka do korzystania z dóbr materjalnych. Sprzeczność prawa własności z owem prawem natury powstaje powoli, z czasem potęguje się coraz bardziej, aż wreszcie prowadzi wprost do niemożliwych stosunków, do katastrofy społeczno-ekonomicznej, w której następuje konieczna rewizja prawa własności. Gdyby ludzie mieli dość delikatne sumienia i gdyby żądza mienia, wspierana pewnym tytułem prawnym, nie zasłaniała owych małych rys, tworzących się dzięki prawu własności w społecznych stosunkach, słowem gdyby ludzie zdawali sobie z tego sprawę, że prawo własności jest względne, że ono ma ułatwić wszystkim korzystanie z darów przyrody, rewizja własności prywatnej odbywałaby się stopniowo, zapobieganoby samorzutnie tworzącym się szczelinom. Niestety daleko do tego. Potrzeba dopiero, by skutki błędu były wprost rażące, prawdziwie katastrofalne, a wówczas następuje pewna refleksja u wszystkich.

Myśl tę doskonale objaśnia fakt z historji rozwoju prawa własności u Kozaków. Ponieważ ziemi pod uprawę na terytorjum zamieszkałem przez Kozaków było aż nadto, postawiono zasadę, że to, co ktoś

zdoła uprawić, jest jego własnością. Weźmy więc najidealniejsze warunki równości, że każda rodzina w chwili postawienia tej zasady całkiem słusznej składa się z 4 osób zdolnych do pracy i posługuje się jednym zaprzęgiem. Nie potrzeba napewno stu lat, by ta zasada, tak sprawiedliwa na oko, nie przyniosła najfatalniejszych rezultatów. Nierówne rozmnażanie się bydła i ludzi, śmiertelność wśród ludzi, padanie bydła w pewnych gospodarstwach sprawią, że siła gospodarcza poszczególnych rodzin będzie bardzo różna i u rodzin bogatszych zdolność zawłaszczania będzie się stale potęgować, u uboższych maleć. »Mając do swej dyspozycji dwa zaprzęgi do pługa i pozatem 3—4 woły, bogaty chłop może rozpocząć młócenie zboża przed końcem żniwa. Gdy przy tych robotach część jego inwentarza jest jeszcze zajęta, jeden zaprząg z pługiem wychodzi na niezajęte pola i orze najlepszą ziemię. Biedak, posiadający jedną lub dwie pary wołów lub koni, nie może jednocześnie wykonać tych robót. Musi on najpierw zawieść zboże do stodoły, dopiero potem może je młócić i nie jest w stanie zabrać się do orki przed końcem jesieni. Z konieczności więc zmuszony jest zająć gorsze ziemie niezorane przez bogatych i nie ma czasu na uprawę większego obszaru..... Słyszymy o Kozakach, którzy przywłaszczyli sobie 1000 i więcej dziesięcin, którzy posiadają 75 bron i 30—40 pługów. Na przeciwnym końcu drabiny społecznej widzimy proletarjat małorolny zmuszony do służenia bogaczom« [1]). Ten obrazek, odmalowany przez prof. Lewińskiego, możnaby z wielkiem prawdopodobieństwem uzupełnić. Jeśli mianowicie dalej stosowana będzie zasada swobodnego zawłaszczania, liczba bogaczów będzie maleć, majętności ich będą wzrastać, a liczba proletarjatu może dojść do takich rozmiarów, że braknie dla niego pracy i może być skazany na ostatnią nędzę i wtedy rewizja tytułu własności musi bezwzględnie nastąpić.

Tak niesprawiedliwych rezultatów sprawiedliwej z początku zasady nie przewidzieli odrazu Kozacy, ale możliwość przewidzenia była, boć bogacenie się szybkie jednych, ubożenie drugich wnet dawało się spostrzec. I gdyby Kozacy i inne szczepy, kierujące się tą zasadą, przed żądzą mienia dawały posłuch prawu miłości bliźniego, wyrównywanie mogło się dokonywać tą drogą, że posiadający większą ilość zaprzęgów przez pewien czas pracowaliby na rzecz uboższych. Naturalnie, taka pretensja przeraża nawet wielu chrześcijan i nie znajduje uznania nawet w społeczeństwach cywilizowanych, cóż więc dziwnego, że nie zważały na nią dzikie szczepy.

[1]) Lewiński, o. c.

Może nie unikatem, ale w każdym razie doskonałym przykładem konieczności ustawicznego wglądania w prawo własności i regulowania własności prywatnej, jest prawo żydowskie, pochodzące bezpośrednio od Najwyższego prawodawcy. Co sześć lat naród żydowski według przepisu Księgi »Leviticus« obchodzić miał rok jubileuszowy, w którym nie wolno było uprawiać ziemi żadnemu właścicielowi, ani urządzać zbiorów, jak po inne lata. To, co ziemia sama urodziła, było jakby *res nullius* i każdy równe miał do tego prawo. »Te wam będą na pokarm tobie i niewolnikowi twemu, niewolnicy i najemnikowi twemu i przychodniowi, którzy gośćmi są u ciebie« (XXV. 6). Już przez to prawo wstrzymany był bieg bogacenia się zamożniejszych. Drugie zaś prawo jeszcze radykalniej reformowało własność prywatną, prawo t. zw. wielkiego jubileuszu, który przypadał co 49 lat. W roku tym, jak czytamy w wierszu 10, »wróci się człowiek do majętności swojej i każdy się wróci do domu swego«, czyli że nieruchomości miały powracać do dawnych właścicieli i nikt według prawa nie mógł bez końca pomnażać swej nieruchomości nawet drogą kupna, sekwestrem za długi itp. Naturalnie, że Żydzi, którzy tak łatwo przekraczali ważniejsze prawa boże, umieli obejść i powyższe. W każdym razie mamy w tym miejscu kapitalny dowód na względność prawa własności i na konieczność niemal ciągłych poprawek nawet przy założeniach zupełnie sprawiedliwych.

Lecz jeśli do rażącej nierówności w stosunkach społeczno-ekonomicznych dochodzi się nawet przy założeniu najidealniejszej równości, do czego dojść muszą te stosunki, jeśli w założeniu już była uświęcona prawem zasada nierówności? A właśnie Europa w wieku XIX rozwijała się na zasadzie nierówności. Tę zasadę przyjął i za naczelną postawił liberalizm ekonomiczny. *Laissez faire,* wolna konkurencja, współzawodnictwo aż do całkowitego utrącenia słabszych przedsiębiorstw, panowały wszechwładnie i przybierały najostrzejsze formy w różnego rodzaju trustach. O akcji wyrównawczej nie było ani wzmianki. Czyż więc może dziwić kogo rezultat, że z jednej strony wyrośli królowie kapitalistyczni, a z drugiej rozlało się morze głodującego proletarjatu?

To samo zjawisko nastąpiło z tą samą koniecznością i w rolnictwie. Cóż z tego, że chłopu nadano równe prawa cywilne, że mu pozwolono bez ograniczenia nabywać ziemię, kiedy on z góry skazany był na to, że tej ziemi nie będzie mógł nabyć? Właściciele ziemscy, posiadający dotychczas ziemię na podstawie dawnych przywilejów, byli faktycznie

dalej uprzywilejowani. Renta gruntowa, czy zyski ciągnięte z posiadłości, dawały im możność powiększania swoich majątków przed chłopem, który ni renty ni zysków nie miał i w wolnej konkurencji musiał przegrać. Rezultatem tego musiał być wzrost liczby proletarjatu rolnego. U nas w Polsce konkretnie przedstawiał się wynik tej rolnej konkurencji, tej pozornej równości prawa jako 4 miljony ludzi skazanych na emigrację wskutek braku zajęcia i utrzymania w kraju i 50% ogólnej ludności, żywiącej się niżej ogólnej normy potrzeb ludzkich.

Można tu wprawdzie powiedzieć, że ten stan nie jest wynikiem fałszywie ujętego prawa własności, ale ogólnego przeludnienia Polski. Czyby jednak faktycznie stosunki te nie wyglądały inaczej, gdyby właściciele włości, znów idąc za zasadą miłości bliźniego, rozumiejąc prawo każdego człowieka do korzystania z zasobów ziemi, oglądali się w prowadzeniu swego gospodarstwa nie tylko na własny interes i *maximum* korzyści osiągalne z własności, ale i na potrzeby wszystkich głodujących na terenie ich posiadłości, wątpliwości, zdaje się, żadnej być nie powinno.

Byłoby zresztą tak, czy inaczej, dzisiejsze stosunki są tego rodzaju, że wymagają koniecznej rewizji w prawie własności. Obecny okres jest właśnie tym, w którym ludzkość nabiera rozmachu do skoku na drodze postępu. Do tego zmierzają, względnie mają zmierzać wszystkie reformy dotyczące podziału zysku w przedsiębiorstwie, podziału ziemi w rolnictwie.

Reformy te na podstawie dotychczasowej naszej analizy mają zupełne uzasadnienie w prawie natury, w źródłach objawienia i w faktycznym rozwoju społeczno-ekonomicznym. Dobra materjalne są dla wszystkich, a własność prywatna ma tylko uprzystępnić wszystkim korzystanie z nich. Z chwilą kiedy własność prywatna zamiast tego uprzystępnienia staje się przeszkodą, trzeba koniecznie poddać ją rewizji i zaprowadzić w niej odpowiednie zmiany.

Mówimy wyraźnie: odpowiednie zmiany, a więc takie, któreby ze stanowiska ekonomicznego nie tamowały produkcji, ale przeciwnie ułatwiały ją, a w każdym razie przy tymsamym tempie wytwórczości zapewniały racjonalniejszy podział dóbr, przynajmniej na najbliższą przyszłość. Zastrzeżenia te czynimy dlatego, że chociaż ogólnie wypowiadamy się za możliwością i koniecznością reformy rolnej i reform w sferze interesów robotników fabrycznych, nie chcemy na tem miejscu rozstrzygać kwestji, czy nasza ustawa o reformie rolnej, a tembardziej jej przeprowadzenie odpowiada tym wymaganiom stawianym przez moral-

ność i ekonomję. Zastrzeżenie to odnosi się i do reform, dotyczących robotnika zatrudnionego w przemyśle. Chcemy przytem zwrócić uwagę na to, że choćbyśmy się dziś urządzili pod tym względem jaknajlepiej i jaknajsprawiedliwiej, przyszłe pokolenia muszą nas znów poprawiać, wskutek błędów naszych reform, których albo nie przewidujemy, albo które na razie lekceważymy.

Ks. Romuald Moskała.

Organizacja i działalność katolików w Stanach Zjednoczonych.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że ruch katolicki w Stanach Zjednoczonych rozwija się w sposób uderzający. Przeciwnicy Kościoła widzą w tem skutek jedynie licznej immigracji katolików, którzy bezpośrednio przed wojną, nim wydano zarządzenia, ograniczające immigrację, stanowili sześćdziesiąty odsetek ogólnej cyfry napływającej ludności. Rzeczywiście nawet gorliwy katolik, prof. Hayes, przyznaje, że choć liczba katolików w ciągu stu lat wzrosła z 40.000 na 20.000.000 tak, że stanowią 20% ludności Stanów, to jednak wzrost ten nie jest równomierny z wzrostem ogólnej liczby zaludnienia. Jest znaczna liczba nawróceń co roku, ale nie wyrównują one ubytków wskutek odstępstwa. Słusznie jednak Hayes zaznacza, że wzrost czy ubytek liczebny jeszcze niczego nie dowodzi, bo odstępują od wiary z pewnością jednostki mniej wartościowe, obojętne dla religji wogóle, a których nie braknie wśród wykolejeńców, rzuconych na drugi brzeg oceanu. Ważniejszym jest fakt, że katolicy prawdziwi, nie ci tylko nominalni, mają w Stanach wysoki poziom moralny. Świeżo też stwierdził publicznie jeden z arcybiskupów amerykańskich, że większość innowierców w tym kraju nie jest nieprzychylną katolicyzmowi, że Kościół cieszy się powszechnym szacunkiem i ludzie myślący widzą w jego zasadach jedyny praktyczny środek do uzdrowienia stosunków społecznych. To zaszczytne stanowisko zawdzięcza Kościół w znacznej mierze bardzo rozwiniętej i żywej działalności społecznej stowarzyszeń katolickich, o której mało wiemy i którą mało się interesujemy, chociaż jesteśmy tak skłonni czasem i przeceniać pracę protestanckich stowarzyszeń amerykańskich, a zawszę nie doceniać niebezpieczeństwa, jakie nam grozi z ich strony. W ostatnich latach stowarzyszenia kato-

lickie związały się w jednolitą organizację i o niej tylko będę mówić, nie zajmując się zupełnie olbrzymią i imponującą działalnością poszczególnych zrzeszeń, do niej należących.

Przed niewielu jeszcze laty odnosił się ogół do katolików amerykańskich raczej nieufnie. Rdzeń narodu jest protestancki, jak protestantami byli osadnicy, którzy przybyli do dzisiejszych Stanów na sławnym statku Mayflower i dali tam początek osadnictwu. Katolicy są przeważnie potomkami później napływającej ludności lub sami całkiem świeżo się osiedlili, więc na ich patrjotyzm patrzano podejrzliwie. To też w r. 1884 biskupi Stanów na trzecim swym zjeździe w Baltimore uważali za potrzebne wydanie deklaracji, stwierdzającej lojalność i patrjotyzm katolików, i praca Kościoła poszła odtąd w kierunku nie tylko religijnym, ale i narodowym.

Wybuch wojny był odpowiednią chwilą do jeszcze dobitniejszego zamanifestowania patrjotyzmu katolików. W dwanaście dni po przystąpieniu Stanów Zj. do akcji wojennej, 18 kwietnia 1917 r., episkopat amerykański powtórzył owo zapewnienie z przed 33 lat w adresie do prez. Wilsona, oddając pracę wszystkich katolickich obywateli kraju na usługi rządu. Była to pierwsza społeczność religijna, ofiarująca bez zastrzeżeń zupełne poparcie prezydentowi i rządowi, więc nie minęło to bez wrażenia. Nie poprzestano jednak na gołosłownem stwierdzeniu lojalności, ale przystąpiono natychmiast pod egidą episkopatu do stworzenia olbrzymiej organizacji, ogarniającej cały kraj, a która powstała z iście amerykańską, dla nas wprost oszałamiającą szybkością.

Zrzeszeń katolickich dobroczynnych, społecznych czy kulturalnych, było oddawna mnóstwo, niektóre zdumiewające działalnością, jak np. rozproszeni po całej Ameryce »Rycerze Kolumba« [1]). Teraz szło nie o stwarzanie nowych rzeczy, tylko o skoordynowanie, zjednoczenie i wprawienie w ruch tych wszystkich czynników dla pracy nad materjalnem i duchowem dobrem żołnierza tak w kraju, jak zagranicą. Pewnem ułatwieniem było istnienie od kilku lat narodowej konferencji katolickich stowarzyszeń dobroczynnych. Na jej zjazdach co dwa lata wygłaszano referaty o sprawach aktualnych z zakresu filantropji katolickiej i dyskutowano nad niemi. Bywały też i bywają mniejsze zjazdy o podobnych celach, np. zakonnic różnych reguł, oddających się dziełom miłosierdzia. Ta wymiana zdań i myśli okazała się w skutkach nader zbawienną, bo doprowadzała przedewszystkiem do wzajemnego

[1]) Szczegółowiej pisano o nich w „Przeglądzie" w listopadzie 1921 r.

porozumienia się i ujednostajnienia pracy. Można powiedzieć, że wpłynęło to i na utworzenie t. zw. »Narodowej Rady Katolickiej dla prac wojennych« (National Catholic War Council) o celach wyżej wymienionych, zawiązanej natychmiast po wysłaniu wspomnianego pisma do rządu. Na jej czele stanęło czternastu arcybiskupów, a organem wykonawczym stał się komitet administracyjny, złożony z czterech biskupów, a funkcjonujący przy pomocy dwóch innych komitetów, mianowicie ogólnego komitetu dla prac w okresie wojny i komitetu Rycerzy Kolumba oraz całego szeregu subkomitetów dla różnych działów pracy. Przystąpiły do tej organizacji liczne zrzeszenia katolickie.

Szczegóły o jej działalności mamy w niedawno wydanej książce Michała Williamsa: »Katolicy amerykańscy w czasie wojny« (American catholics in the war, The Macmillan Company, New York). Otóż najpierw zwrócono się do opieki nad żołnierzem w kraju i zagranicą. Tą pracą zajmowali się głównie Rycerze Kolumba, zakładając wszędzie po świecie, gdzie był żołnierz amerykański, gospody, dostarczające rozrywek i oświaty i setki bezpłatnych biur pośrednictwa pracy dla zdemobilizowanych; obecnie przekształcają te gospody na kluby dla chłopców i młodych ludzi. Ogólny komitet założył i utrzymywał 22 klubów dla żołnierzy i marynarzy, a korzystało z nich 1,200,000 ludzi. Skłonił nadto 357 już istniejących klubów do otwarcia się dla żołnierzy.

Założył dalej w okolicy nadmorskiej dwa schroniska dla rekonwalescentów, którzy po wyjściu ze szpitala musieli nieraz długo czekać na załatwienie formalności, złączonych z zwolnieniem z wojska. Dawało to powód do licznych narzekań na opieszałość rządu, szło więc o zajęcie się nimi w tym przykrym okresie czekania. W schroniskach tych, z których jedno szczególniej ważne, bo przeznaczone dla nerwowo chorych, otoczono żołnierzy rodzinną atmosferą, w której raz pierwszy od długiego czasu odetchnęli od karności wojskowej. Świadczą o tem liczne listy dziękczynne, opublikowane w organie Rady.

Przykrym był też los pielęgniarek wojskowych, pracujących w opłakanych warunkach, bez odpowiedniego umieszczenia i opieki, nie mówiąc już o rozrywkach. Tego wszystkiego dostarczył przeszło stu pięćdziesięciu wśród nich klub, założony przez Radę w Waszyngtonie, połączony z gospodą dla żołnierzy, leczących się w szpitalu.

W porozumieniu z rządowemi czynnikami otwarła też Rada dwie szkoły dla inwalidów. Ci byli często w nader trudnem położeniu: do dawnego zawodu wrócić nie mogli lub nie chcieli, a nie wiedzieli,

jaki wybrać, trzeba było ich zatem dopiero wypróbować. Wielu nie miało najelementarniejszego przygotowania, dlatego utworzono najpierw półroczny kurs przygotowawczy, a dopiero potem zaczęła funkcjonować szkoła, kształcąca w różnych praktycznych zawodach. Korzystano tu z pomocy uniwersytetu katolickiego w Waszyngtonie. Z początku trudno było znaleźć uczniów, gdyż woleli przeważnie wprost ze szpitala wracać do domu, ale serdeczne przyjęcie pierwszych zachęciło innych i szkoły cieszyły się znaczną frekwencją.

Rada sprawiła niemniej szybkością i rzutkością akcji, że 45 oddziałów oświatowych wojska umieszczono w katolickich kolegjach.

Opieka nad żołnierzami nie ustawała i po ich śmierci. Oficjalne listy strat nie podawały religji żołnierzy, więc parafje zajęły się zestawianiem spisów poległych parafjan i Rada starała się zapewnić im grób w ziemi poświęcanej i krzyż nad grobem.

Wreszcie Rada dostarczyła przeszło sześć miljonów artykułów dewocyjnych kapelanom wojskowym, przy pomocy których nieraz także pośredniczyła między żołnierzem, a jego rodziną.

Praca Rady nie ograniczyła się jednak do opieki nad żołnierzem, lecz zajmowano się każdą, można powiedzieć, aktualną pracą. Za propagandę w sprawie pożyczki państwowej otrzymała Rada specjalne podziękowanie od władz rządowych.

Miała też sposobność występować w obronie interesów katolicyzmu. I tak popierała bill w sprawie potrojenia liczby kapelanów wojskowych; bill ten przeszedł mimo bardzo czynnej i wpływowej opozycji; zapewniła właściwy procent kapelanów katolickich; zwalczała dwa bille, tyczące się poboru do wojska słuchaczów teologji, które byłyby wpłynęły na prawie całkowite opróżnienie seminarjów, wreszcie wpłynęła na zmianę brzmienia billu, zabraniającego używania napojów wyskokowych w czasie wojny, gdyż pierwotna jego redakcja uniemożliwiłaby używanie wina dla celów nabożeństwa.

Rada współpracowała z rządową komisją hygjeny społecznej przez przedstawienia i konferencje w sprawie wstrzemięźliwości i moralności; zainicjowała nawet walkę przeciw uświadamiającym filmom, organizując opinję katolicką, która wreszcie zmusiła oficjalne czynniki do cofnięcia udzielonej już aprobaty.

Na polu wychowawczem objęła Rada za specjalnem pisemnem upoważnieniem Ojca św. opiekę nad ruchem skautowym po parafjach, organizując w nich drużyny. Rządowi oddała na usługi konferencje

św. Wincentego w 52 miastach. Otwarła i prowadziła 15 domów ludowych, z których korzystało blisko 700.000 osób.

W pracach tych brały nader czynny udział kobiety. W chwili wybuchu wojny tylko Y. W. C. A. była upoważniona do pracy dla żołnierza. Po rocznych staraniach uzyskała Rada pozwolenie na podobną pracę i dla katoliczek. Z ich pomocą założyła 12 gospod dla żołnierzy, które po wojnie oddała do dyspozycji departamentowi wojny.

Organizacje kobiece prowadziły też 28 domów ludowych, przeważnie dla płci żeńskiej a departamentowi dostarczyły wykwalifikowanych sekretarek dla opieki nad dziewczętami w miejscowościach garnizonowych.

Rada wystarała się także o 87 miejsc w wyższych zakładach naukowych katolickich dla dwóch grup Francuzek, które w latach 1918 i 1919 przybyły na studja do Ameryki z inicjatywy Stowarzyszenia kolegjów amerykańskich. Posyłała Rada po każdą taką grupę do Francji specjalną delegatkę, która zostawała z studentkami w kontakcie nawet wtedy, gdy wolały kształcić się w niekatolickich zakładach.

Z tem przechodzimy do pracy Rady Katolickiej zagranicą. Wysłała ona tam 112 wypróbowanych pracownic, które zakładały w Francji, Belgji i Włoszech gospody, schroniska, kluby, boiska dla zabaw, domy ludowe, hotele przeważnie dla kobiet tubylczych, zajętych pracą wojenną i dla przyjścia z pomocą okolicom, nawiedzonym przez wojnę. Étoile club w Paryżu, przeznaczony dla żołnierzy, został uznany za wzorowy w swoim rodzaju. W jednej miejscowości otwarto schronisko dla pielęgniarek na wyraźne żądanie władz rządowych w 48 godzin po wpłynięciu tego żądania. Zawarto stosunki także z innemi krajami, między któremi sprawozdanie wymienia i Polskę. Do Czecho-Słowacji wysłano specjalną komisję, która ułatwiła zawiązanie serdecznych stosunków między Czecho-Słowakami z dwóch stron Oceanu i starała się tam — jak mówi odnośny komunikat — »zapewnić konstytucjonalną gwarancję wolności religijnej i harmonję między państwem a Kościołem w zgodzie z ideałami amerykańskiej demokracji«. Instytucje, założone w tych krajach, przekazano potem miejscowym czynnikom, które co pewien czas składają Radzie sprawozdania o dalszej pracy. Pracownice Rady zagranicą związały się z czasem w własne stowarzyszenie i klub.

Co jest uderzającem, to unikanie dyletantyzmu w tej pracy. Odrazu z początkiem wojny Rada założyła szkołę, przygotowującą

kobiety do pracy społecznej; w ciągu pierwszego roku z 252 kursistek otrzymało 242 natychmiast zajęcie.

Koszta tych przedsięwzięć pokrywano przeważnie drogą składek. Administracja funduszów pozostawała pod kontrolą rządową. Zresztą koszta były stosunkowo małe, bo wielu katolików służyło ochotniczo, a przytem zużytkowano już istniejące organizacje. Trzeba też sprostować bardzo u nas rozpowszechnione mniemanie, jakoby w Ameryce nikt nie oddawał się pracy społecznej czy dobroczynnej za darmo; może taka bezinteresowna praca jest rzadsza, niż u nas, ale w każdym razie zdarza się często przynajmniej wśród katolików.

Ze zwykłą praktycznością amerykańską umieją też katolicy dać poznać swoją pracę ogółowi, nie kryjąc światła pod korzec. To też jednem z najczynniejszych biur było to, które zbierało i zbiera materjały o pracy katolików w czasie wojny, a więc listy i pamiętniki żołnierzy i kapelanów, świadczące o ożywiającym ich duchu, fotografje, spisy odznaczeń, otrzymanych przez katolików, sprawozdania stowarzyszeń oraz zgromadzeń religijnych, druki, opisy obchodów patrjotycznych, dowody pracy i bohaterstwa jednostek itd. Pismo New World zbierało wiadomości o czynach żołnierzy katolickich po szkołach parafjalnych od uczniów i zamieściło przeszło 12.000 takich informacji.

Gdy przy końcu wojny obrachowano się z wynikiem pracy, mógł wydać ogólny komitet broszurkę p. t. »Spełniona obietnica«, nawiązując do wyżej wspomnianego pisma episkopatu, obiecującego państwu pomoc katolików amerykańskich w czasie wojny. Stwierdza tam komitet, że praca Rady katolickiej zapewniła katolikom reprezentację w różnych komitetach i urzędach, jak np. w bardzo ważnym »Komitecie sześciu«, do którego należeli przedstawiciele wyznań religijnych, a który był komitetem doradczym Departamentu wojny i Komisji oświatowej wojskowej w kwestjach o charakterze moralnym i religijnym. Ks. John Burke, generalny sekretarz Rady, był od początku przewodniczącym tego komitetu. Dalej zapewniła Rada katoliczkom urzędowe uznanie ich pracy dla żołnierza. Złączyła do wspólnej pracy 9714 męskich organizacyj (nie licząc Rycerzy Kolumba) i 4959 kobiecych, czyli razem 14673 i mogą one być puszczone w ruch w ciągu 24 godzin. Co najważniejsze może, to to, że podniosła się gorliwość i zainteresowanie dla spraw społecznych samych katolików, zyskali oni uznanie władz, weszli w stosunki z zagranicą, co jest ważne ze względu na międzynarodowy charakter prac społecznych, a przedewszystkiem przekonali się sami, czego potrafią dokonać.

Taka dodatnia praca nie powinna była zatem doznać zastoju po ukończeniu wojny. Rada katolicka to zrozumiała i postanowiła nabyte doświadczenie zużytkować w czasie pokoju.

Zaraz więc po podpisaniu zawieszenia broni zajęła się najpierw zdemobilizowanymi żołnierzami, zakładając i prowadząc dla nich i ich rodzin przy pomocy Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i innych instytucyj bezpłatne ambulatorja lekarskie w 15 katolickich szpitalach; prócz tego zaczęto przygotowania do prac już czysto pokojowych.

Obmyślenie ich nastąpiło na zjeździe biskupów we wrześniu 1919. I znowu, jak z początkiem wojny, wydali oni wspólną enuncjację, w której uroczyście stwierdzają spełnienie swej obietnicy. Ten list pasterski, bardzo obszerny (80 stron), porusza wszelkie zagadnienia bieżącej chwili, począwszy od spraw czysto religijnych; przechodzi kwestję wychowania, ustawodawstwa, stosunków politycznych, społecznych, towarzyskich, małżeństwa i rozwodu, sprawę kobiecą, misyj, obywateli kolorowych państwa, emigracji, szkół i prasy katolickiej, stowarzyszeń katolickich, wszystko rozpatrując ze stanowiska naszego wyższego przeznaczenia i dając całokształt programu pracy katolickiej w czasie powojennym. Uzupełnieniem listu jest wcześniej nieco wydana broszura o odbudowie społecznej oraz cały szereg drobniejszych, o poszczególnych żywotnych kwestjach, jak o kolonizacji, wychowaniu obywatelskiem itd. Jedna z tych broszur: »Kościół a odbudowa« objaśnia stanowisko Kościoła wobec kwestji społecznej, bo chociaż list pasterski i te broszury zostały przyjęte z uznaniem nawet przez innowierców, nie brakło napaści na nie i to nie tylko ze strony tych, którym ich stanowisko wydało się zbyt zacofane, ale i ze strony katolickich kapitalistów, którym program wydał się zbyt radykalny.

Po tem teoretycznem postawieniu kwestji przystąpiono na tymże waszyngtońskim zjeździe do reorganizacji Rady katolickiej, aby jej działalność przystosować do zmienionych warunków pracy w czasie pokoju. Zmieniono nawet odpowiednio nieco jej nazwę (National Catholic Welfare Council). Miała Narodowa Rada Katolicka pozostać organizacją pod hasłem: »Bóg i Ojczyzna«, godłem jej — krzyż w dwóch współśrodkowych kołach z nazwą jej w otoku. Jej celem jest, by autorytatywnie reprezentowała opinję katolicką wobec ogółu. Stanął na jej czele Komitet administracyjny, złożony z siedmiu przedstawicieli episkopatu. Ukonstytuował on pięć departamentów: wychowania, pracy społecznej, praw i ustawodawstwa, prasowy i organizacyj świeckich. Arcybiskup z San Francisco został głównym prezesem, na czele każdego

z departamentów stanął jeden z biskupów. Dla przestrzegania jedności działania Komitet administracyjny stworzył w Waszyngtonie Ogólny Komitet narodowy, złożony z pięciu delegatów departamentów. Pracami kieruje wydział wykonawczy i generalny sekretarz Rady, obecnie jak wspomniałam, ks. Burke, autor programowej broszury o celach Rady.

Do Rady tak zorganizowanej postarano się wciągnąć przedewszystkiem istniejące organizacje, którym zostawia się zupełną autonomję, nie krępując ich w pracy, lecz przeciwnie pomagając w niej. Prócz tego zaczęto tworzyć nowe organizacje parafjalne, przyczem gorliwie zajęto się osadami wiejskiemi, bardzo zaniedbanemi pod tym względem. Interesujące są bardzo sprawozdania proboszczów o tej pracy. Charakterystycznem jest, że wszędzie zaczynają od dostarczania rozrywek — nawet partje kart są używane — a przedewszystkiem od sportów. Nacisk położony jest na to, by parafjanie znali się między sobą i żeby każdego przybysza wprowadzić natychmiast w styczność z dawnymi. Do ulubionych środków propagandy należy oczywiście kino. Niektóre diecezje wprowadziły coroczne zjazdy instytucyj społecznych dla wzajemnego porozumiewania się i zdawania sprawy z czynności.

W pracy pomaga katolickim organizacjom Wydział wykonawczy Rady, układając dla nich plan działania i poddając pomysły. Założył też w Waszyngtonie bibljotekę dzieł pedagogicznych i społecznych i pozostaje w ciągłych stosunkach z rządem, udzielając mu informacyj w sprawach, w których katolicy są interesowani, np. o stanie katolicyzmu na Filipinach, o zapatrywaniu episkopatu na kwestję rozbrojenia itd. Uzyskał w ten sposób poparcie rządu dla misji katolickiej na Haiti, zapewnił mimo ograniczeń immigracji dostęp do Ameryki dla księży i zakonnic, ułatwiając im otrzymanie paszportu w krajach ogarniętych wojną, zwalczał lub popierał pewne bille itd. Założył też biuro dla podniesienia poziomu moralnego przedstawień kinematograficznych; wydało ono swój program powszechnie chwalony. Wszyscy zgodnie przyznają, że Rada zdziałała pod tym względem więcej, niż którakolwiek inna instytucja.

Dla popierania czystej, uczciwej sztuki zakłada Wydział Kółka dramatyczne i muzyczne. Szczególnego rozgłosu nabrały zwłaszcza widowiska pasyjne w Kalifornji.

Wszystkich tych prac dokonywuje Wydział przy pomocy poszczególnych departamentów. Jednym z pierwszych, wprowadzonych w życie,

był Departament wychowania, który pracuje w porozumieniu z katolickimi wychowawcami całego kraju. Dla wejścia w kontakt z nimi objeżdżał sekretarz departamentu, ks. Ryan, przez pierwsze lato kursa letnie dla nauczycielek zakonnych po uniwersytetach i kolegjach i zapoznawał je z zadaniami departamentu; słuchało go w ten sposób przeszło 4000 osób.

Celem tego departamentu jest 1) zbieranie i udzielanie informacyj o katolickiem wychowaniu i zakładach wychowawczych; 2) udzielanie porady w sprawie wychowania i dopomaganie odpowiednim katolickim instytucjom; 3) pośrednictwo w sprawach wychowania między czynnikami rządowemi a katolickiemi; 4) organizacja czynnej ochrony katolickich zasad wychowawczych. Dla spełnienia tych celów utrzymuje departament biuro, złożone z fachowego personalu, dzielące się na kilka działów, i bezpłatne biuro pośrednictwa pracy dla nauczycieli.

Zbiera to biuro i udziela informacyj o wychowaniu i wykształceniu, pozostając w tym celu w kontakcie z władzami i organizacjami pedagogicznemi. Świeżo wydało schematyzm katolickich zakładów naukowych i wychowawczych w Stanach. Zajmuje się kwestją studentów katolików w niekatolickich uczelniach, preparand dla nauczycieli, stowarzyszeń katol. w szkołach itd. Zbiera dokumenta i przepisy kościelne, odnoszące się do wychowania, wydaje dzieła, broszury, cyrkularze. Wysłało do Peru 25 nauczycieli katolików na skutek żądania tamtejszych władz. Obecnie zamierza zorganizować dla zakonnic kursa pedagogiczne przez korespondencje i szkołę dla murzynów.

Inicjatorowie Departamentu praw i ustawodawstwa wychodzili z założenia, że uchwalone ustawy są często wyrazem woli mniejszości społeczeństwa, mniejszości zręcznej, ruchliwej, podczas gdy większość jest ospała. Ogół dowiaduje się często o jakiejś ustawie dopiero, gdy wchodzi ona pod obrady, a nawet dopiero, gdy już została uchwaloną. Dlatego ważnem jest, aby projekty ustaw, odnoszące się do najświętszych i moralnych praw były zawczasu rozpatrzone przez opinję publiczną ze względu na ich cele i możliwe skutki. Takiemi ustawami są np. te, które dotyczą ochrony kobiety i dziecka, hygjeny społecznej, albo bardzo obecnie żywotny w Ameryce projekt federalizacji oświaty i zmonopolizowawania jej przez państwo, któryby w razie wprowadzenia w życie podkopał byt szkół prywatnych, a więc i katolickich. Departament założył zatem biuro, informujące katolików o projektowanych ustawach, udzielające im wskazówek, czy te ustawy popierać czy zwalczać. Władze udzielają mu informacyj z całą gotowością.

Kilkakrotnie występował departament publicznie w imieniu katolików, wyjaśniając ich punkt widzenia w jakiejś sprawie lub popierając odpowiednie wnioski. Pomagał też zdemobilizowanym żołnierzom w otrzymaniu zasiłków, pensji, wynagrodzenia od rządu, w wyrabianiu paszportów, udzielał informacyj w kwestjach prawnych itd. Wydaje broszury i urządza wykłady oraz posługuje się prasą przy pomocy departamentu prasy.

Ten rozsyła dziennikom katolickim, nawet i zagranicznym, informacje o bieżących kwestjach w oświetleniu katolickiem. Ma korespondentów we wszystkich większych państwach, z wyjątkiem oczywiście Polski. Te informacje zużytkowane są także w 45 szkołach dla zaznajamiania uczniów z tem, co się dzieje w świecie. Informuje biuro departamentu także inne departamenty o sprawach je obchodzących. Obecnie tworzy publiczną narodową bibljotekę katolicką.

Praca Departamentu, prowadzona z współudziałem dawniej już istniejącego Stowarzyszenia prasy katolickiej, zwróciła powszechną uwagę; przyjeżdżali delegaci z Francji, Anglji, Hiszpanji, Irlandji i Filipin, aby zbadać jego organizację. Liczne wydawnictwa Rady wychodzą głównie pod kierunkiem tego departamentu.

Szczególnie liczne są te publikacje, które stoją w związku z działalnością departamentu pracy społecznej. Jest to jeden z pierwszych, które działać zaczęły. Główna praca poświęcona jest wychowaniu obywatelskiemu, dalej kwestji robotniczej i organizacjom dobroczynnym. Departament zbiera i udziela informacyj w tym zakresie, urządza odczyty po klubach i szkołach (295 w ciągu ubiegłego roku), posługując się też kinematografem. Co tydzień rozsyła do wszystkich katolickich czasopism Stanów i kilku najważniejszych pism robotniczych wiadomości z zakresu kwestji społecznej z komentarzami w duchu programu listu pasterskiego i broszury o odbudowie. Urządził w 43 wyższych szkołach żeńskich biura porady w sprawie wyboru zawodu. Udziela wskazówek co do zakładania organizacyj społecznych i dobroczynnych. Wielki nacisk położono na kształcenie ogółu w sprawach społecznych. Po różnych miastach potworzono w tym celu kluby, złożone z 15—20 samych czynnych członków, którzy kolejno wygłaszają referaty na podstawie wydanego przez Radę »Katechizmu kwestji społecznej«. Odbywa się to pod kierunkiem człowieka fachowego, który jednak sam nie wykłada, lecz tylko kieruje referatami i dyskusją. Departament udziela szczegółowych informacyj o sposobie prowadzenia tych kursów. Zabawnym dla Europejczyka jest sposób reklamowania Katechizmu;

czytamy w ogłoszeniach, że na jego podstawie może sobie katolik przyswoić praktyczne wskazówki co do problemów społecznych i sposobu rozwiązania ich w duchu Kościoła — w ciągu pół godziny!

Departament świeckich organizacyj zajmuje się sprawami dwóch wielkich zrzeszeń, mianowicie Narodowej Rady Katolickiej Mężczyzn (National Council of Catholic Men) i Narodowej Rady Katolickiej Kobiet (Nat. Council of Cath. Women).

Rada Katolicka Mężczyzn została założona 6 maja 1920. Odrazu postawiła sobie za cel zebranie 25 miljonów dolarów dla sfinansowania prac całej Rady. Należy do niej 1000 stowarzyszeń, reprezentujących wyżej miljona członków, m. i. Kat. słowacka federacja i Związek czeskich katolików; o Polakach niema wzmianki. Wśród tych stowarzyszeń są takie, o których u nas nawet marzyć trudno, jak Stowarzyszenie aktorów katolickich; na ich prośbę Rada umieściła po lokalach publicznych informacje, gdzie i kiedy odbywają się nabożeństwa katolickie w danej miejscowości, aby członkom tak licznych w Ameryce trup wędrownych ułatwić branie w nich udziału.

Rada stara się pozyskać na członków mężczyzn, nienależących do żadnego stowarzyszenia katolickiego, a liczba takich wynosi 72% katolików.

Cała organizacja opiera się na Radach parafjalnych, złożonych z wszystkich mężczyzn parafji. Każda taka rada wysyła jednego lub więcej delegatów do Rady obwodowej, złożonej z rad parafjalnych większego miasta i sąsiednich osad, a rady obwodowe łączą się w diecezjalne.

Rada mężczyzn nie wchodzi w drogę dawnym organizacjom, lecz dopomaga im i tworzy nowe dla prac jeszcze nie podjętych, pomagając pod tym względem proboszczom w parafjach dotąd niezorganizowanych i popiera pracę innych departamentów. Główne usiłowanie skierowano do opieki nad młodzieżą męską, tworząc dla niej kluby i organizując ją. Zwraca też Rada uwagę na problem kolorowych obywateli, więc Indjan i Murzynów. Najważniejszą pracą jest protektorat nad ruchem skautowym. Zorganizowano 2000 drużyn, czyli 100.000 chłopców. W programie pracy ładnie powiedziano, że trzeba przyrodzone cnoty, będące podstawą kodeksu harcerskiego, uczynić naprzyrodzonemi, więc nauczyć kochać cnotę nie tylko ze względów ludzkich, ale dlatego, że ją Bóg nakazuje. Te drużyny należą do najlepszych w Ameryce. Na prośbę Francji urządzono tam obóz skautowy letni dla sierot wojennych. Również w lecie odbywają się w jednej z naj-

pięknejszych okolic Stanów kursa dla kierowników drużyn. Na zeszłorocznym praca szła nader intensywnie od $5^1/_2$ rano do 10 wieczór, a zapał był taki, że nawet przerwy obracano na dyskusje. Biskupi bardzo gorliwie popierają tę pracę, prowadzoną przez duchowieństwo parafjalne. Teraz ma zostać otwarta szkoła pracy społecznej dla mężczyzn na wzór tej, jaka już istnieje z ramienia Rady Katolickiej Kobiet.

Wspomniałam już, że z początkiem wojny praca dla żołnierza nie była zrazu dostępna dla katoliczek, nie były one zresztą do niej odpowiednio przygotowane. Dopiero zawiązanie Rady katolickiej ogólnej zmieniło sytuację i kobiety dokazały tyle w krótkim czasie bez przygotowań, z środków, będących pod ręką, iż to dowiodło, co mogłyby zdziałać przez stałą organizację. To też zaraz po wojnie pomyślano o niej i zawiązano ją w marcu 1920 r. Cele jej takie same, jak później zawiązanej Rady Mężczyzn, a należy do niej 1050 organizacyj i 7000 indywidualnych członków, między nimi są i zakonnice. Wydała Rada kilka broszur, zawierających praktyczne wskazówki co do zakładania instytucyj i stowarzyszeń społecznych i dobroczynnych i na ich podstawie rozwinęła żywą działalność organizatorską nawet w Indjach i na Filipinach. W pewnem mieście mała grupka katoliczek zyskała w krótkim czasie 1000 członków różnych narodowości; podzielono miasto na obwody i w każdym utworzono odrębną grupę, na czele której stanęła przedstawicielka najliczniej tam reprezentowanego narodu. W innem mieście wybrano wydział, złożony z 15 członków, wśród nich 8 reprezentantek obcych narodowości, m. i. i Polkę. Więc organizacja zastosowana jest do stosunków lokalnych. Delegatki Rady jeżdżą w celach agitacyjnych. Wszystkie afiljowane stowarzyszenia otrzymują co miesiąc okólnik z informacjami o sprawach Rady.

Rada Kobiet pomaga w pracy poszczególnym departamentom, zwłaszcza domy ludowe, kluby, gospody itd. pozostają prawie wyłącznie pod jej kierunkiem. Wysyła ona wyszkolone ekspertki na meetingi, odczyty itd., by brały udział w dyskusjach, wyświetlając katolicki punkt widzenia w odnośnych sprawach. Głównemi jednak celami Rady są: opieka nad dziewczętami, nad immigrantami i utrzymywanie szkoły pracy społecznej dla kobiet.

Opieka nad dziewczętami polega głównie na zakładaniu dla nich home'ów i klubów, dostarczaniu rozrywek, urządzaniu kursów naukowych i zawodowych. Bardzo to ciekawy dział pracy, ale praktykowany i u nas choć na mniejszą skalę. Zato prawdziwą zazdrość budzą spra-

wozdania o katol. szkole pracy społecznej w Waszyngtonie. Fakt jej założenia wypłynął z przekonania, że praca społeczna powinna być traktowana fachowo. Może ją natchnąć dobry motyw i intencje, ale one same bez wykształcenia fachowego nie wystarczą. Działaczka społeczna musi być przedewszystkiem wykształcona gruntownie w wierze katolickiej, aby zrozumiała, jak ta wiara powinna przenikać każdy objaw życiowy. Musi dalej mieć wykształcenie zawodowe, znać problemy społeczne, sposób ich traktowania, środki zaradcze itd. Wspominałam już, że zaraz z początkiem wojny otwarła Rada tego rodzaju kursa sześciotygodniowe dla swych funkcjonarjuszek, te z biegiem czasu stawały się coraz dłuższe, cieszyły się znaczną frekwencją, absolwentki dostawały odrazu zajęcie i to nawet czasem w organizacjach niekatolickich; także rząd wysłał 15 z nich do Koblencji dla pracy oświatowej wśród żołnierzy. Sprawozdanie podaje, że pracowały i w Polsce.

W listopadzie z. r. nastąpiła ostateczna organizacja szkoły jako kursów dwuletnich, z których każdy ma stanowić pewną całość tak, że po ukończeniu roku studjów kandydatka może ewentualnie być użyta do pracy społecznej. Plan nauki obejmuje etykę, ekonomję, socjologję, prawodawstwo społeczne, hygjenę, gospodarstwo domowe i w szerszym zakresie, jak prowadzenie kawiarń, klubów etc., organizację instytucyj społecznych, ekonomicznych i dobroczynnych, naukę o ludach, przybywających do Ameryki itd. Na pierwszym kursie przeważa teorja, na drugim praktyka. Do przyjęcia wymagane ukończenie szkoły średniej; można też wstąpić odrazu na drugi kurs, w razie wykazania się odpowiedniemi studjami. Mają się także odbywać kursa fakultatywne o krótszem trwaniu, np. letnie, w pewnych tylko sprawach, np. kurs wychowania obywatelskiego. Wyjątkowo mogą być dopuszczone słuchaczki i na pojedyńczę przedmioty, ale tylko w liczbie ograniczonej. Ze szkołą połączony jest internat, by był ciągły kontakt z uczennicami i by obracały się w atmosferze katolickiej. Kompleks budynków szkoły wznosi się w dużym ogrodzie w jednej z najpiękniejszych dzielnic miasta. Opłata wynosi 250 dolarów na półrocze. Jest w b. r. szkolnym 75 uczennic. Rada postarała się o zapewnienie 12 miejsc dla cudzoziemek, między niemi są dwie Polki: pp. Jadwiga Romerówna i Helena Sołtanówna. Referent spraw szkoły na przeszłorocznym zjeździe Rady Kobiet stwierdził, że wykształcenie rzeszy zawodowych pracownic nie uczyni bynajmniej zbędną pracę wolontarjuszek, które mogą się wyszkolić pod kierunkiem tych fachowych pracownic i dopiero wtedy naprawdę działać z pożytkiem. Na tymże

zjeździe, w którym brało udział 1200 kobiet, subskrybowały uczestniczki 47.000 dolarów na szkołę i gwarantowały dalsze $^1/_2$ miljona, przez co zapewniony jest byt szkoły na trzy lata.

Na sam koniec pozostawiłam rozpatrzenie bardzo ważnego działu pracy Narodowej Rady Katolickiej, bo jesteśmy w nim bezpośrednio interesowani. Mam na myśli amerykanizację cudzoziemców. Wojna okazała w Stanach niebezpieczeństwo istnienia w państwie licznych gromad ludzi, którzy nie czują się jego obywatelami i mogą ewentualnie stać się żywiołem dla państwa destrukcyjnym. Rozpoczął się więc żywy ruch nad pozyskaniem ich dla przybranej ojczyzny, a w tym ruchu, jak w każdej innej żywotnej sprawie, katolicy nie mogli zostać w tyle tem bardziej, że już dawno odzywały się wśród nich głosy, wzywające do pracy nad immigrantami, w przeważnej części katolikami, a nad którymi dotychczas rozciągała opiekę Y. M. C. A. z wielką szkodą dla ich wiary religijnej. Pracę tą podjęła zatem Rada w czasie wojny pod hasłem: »Ameryka w 100% amerykańską«. Zastrzega się uroczyście, że nie ma na celu wynaradawiania cudzoziemców, lecz jedynie przygotowanie ich do przyjęcia amerykańskiego poddaństwa, nie zdaje mi się jednak, aby w tej akcji nie tkwiło poważne niebezpieczeństwo dla naszych polskich wychodźców tak licznych, a tak słabo narodowo uświadomionych.

Rada wydała i rozdała tysiące egzemplarzy broszury p. t. »Podstawy wychowania obywatelskiego« m. i. i w polskiem tłómaczeniu. Urządza też na ten temat pogadanki w organizacjach. Oprócz tego zakłada przy pomocy obu świeckich organizacyj kółka samokształcenia w tym kierunku na podstawie wydanego przez siebie: »Katechizmu wychowania obywatelskiego«. Zawiera on na 71 stronach 17 rozdziałów, rozłożonych na 41 lekcyj; pisany jest nader przystępnie, a wydany naraz w dwóch językach, aby mógł służyć obcokrajowcom jako rodzaj podręcznika do zaznajomienia się z angielszczyzną.

W czerwcu z. r. wysłała Rada do Europy p. Józefa Breen'a, dziennikarza z zawodu, uważanego w Ameryce za znawcę międzynarodowych stosunków, gdyż pracował w kilku zagranicznych konsulatach. Miał on na miejscu zapoznać się z warunkami, w jakich odbywa się emigracja, a pracę rozpocząć od Gdańska i Polski. Badanie tych stosunków wykazało, że emigrantami zajmują się jedynie organizacje protestanckie, brak natomiast akcji katolickiej w tym kierunku z wyjątkiem Niemiec. Później na życzenie Ojca św. współdziałano w pracy nad emigrantami z komitetem włoskim.

Dla opieki nad immigrantami otwarła Rada w Nowym Yorku biuro blisko kolei, łączącej miasto z Ellis Island, zwykłem miejscem wylądowania wychodźców. Jego funkcjonarjusze pracują za specjalnem upoważnieniem władz rządowych. Ma ono filje w innych portach, a nawet i w Europie.

Do końca czerwca 1921 r. przybyło do Ellis Island w ciągu 12 miesięcy 600.000 immigrantów, mimo że napływ jest mniejszy niż dawniej. Nie wszyscy oni jednak zostają dopuszczeni do Stanów. Najpierw komisja rządowa bada każdego, czy zdrów fizycznie i umysłowo, czy nie analfabeta, sprawdzają dokumenta etc., potem część wylądowuje, a chorych odsyła się do szpitala; kobiety i dzieci, dążące do New Yorku lub okolicy muszą czekać, aż kto z krewnych lub znajomych zgłosi się po nie, również tacy, co do których są wątpliwości, zostają zatrzymani. Te wątpliwe wypadki rozstrzyga komisja złożona z 3 inspektorów, od której wyroku jest jeszcze apelacja do wyższej władzy. Sprawozdanie, z którego czerpię, chwali na ogół urządzenia rządowe w porcie, prostuje pogłoski, jakoby ludzi zasługujących na przyjęcie odsyłano z powrotem dla braku funduszów, broni urzędników, że są nieprzekupni, lecz owszem wspierają immigrantów. Wychodźcy mają na miejscu tani bufet i biuro wymiany pieniędzy według oficjalnego kursu. Ale ich położenie jest bardzo przykre, szczególnie tych, którzy apelowali, bo nieraz trwa długo, nim przyjdzie odpowiedź lub żądana gwarancja, że immigrant nie stanie się ciężarem dla państwa. Wśród nich zatem pracuje Rada, a jeszcze większej pomocy i pociechy potrzebują ci, którzy pozwolenia na wylądowanie nie odebrali. Odwiedzający ich członkowie Rady spotykają się z wielkiem uznaniem i wdzięcznością. Krewni nie potrzebują sami przyjeżdżać do portu po przybyłych, wystarczy zawiadomić biuro Rady o dniu spodziewanego przyjazdu, a ono ich przyjmie, zawiadomi rodzinę o ich przybyciu, wezwie ją, jeśli potrzeba, zaopiekuje się tymczasem wychodźcą, udzieli porady prawnej itd.

Gdy już emigrant zamieszka na ziemi amerykańskiej, rozpoczyna się dalsza praca dla niego. Rada katolicka stawia tu bardzo mądry program. Jest zdania, co do którego można chyba mieć wątpliwości, że ze starego świata przybywają jego jednostki najbardziej wartościowe, przynajmniej fizycznie, opatrzone duchem przedsiębiorczości, a spotykają się często z pogardą i naigrawaniem. Trzeba się niemi zaopiekować, kształcić ich. Polecają tu pokazy kinematograficzne z dziesięciominutowym wykładem co najwyżej (szczególnie z nauki obywa-

telskiej), bo ludzie lubią patrzeć, ale nie lubią słuchać. Nowym przybyszom trzeba dostarczać rozrywek, ale w urządzaniu ich powinni oni sami współdziałać i mieć głos, by się czuli nie w gościnie lecz u siebie. Ci, którzy umieją po angielsku, niech mówią tym językiem, ale nie trzeba ich poprawiać bez potrzeby, bo to ich zniechęca i onieśmiela. Nie trzeba ich zmuszać do zarzucania właściwości narodowych, języka i zwyczajów, nie zmieniać ich gwałtem na Amerykanów. Jeśli obcy otrzymywać będzie więcej rad niż prawdziwej nauki, zrazi się. Odczyty na tle kultury amerykańskiej wygłaszać należy bądź po angielsku, bądź w języku słuchaczy. Program wychowania obywatelskiego, wydany przez Radę, mówi także: »Ucząc patrjotyzmu immigrantów, trzeba wyzyskać natchnienie, jakiego dostarczyć może studjowanie życia europejskich patrjotów, jak Lafayette, Kościuszko, Pułaski, którzy przybyli do tego kraju, by walczyć o wolność!«

Podobnie dr. Lapp z departamentu pracy społecznej przestrzega, by nie odstraszać immigrantów zbytniem wynoszeniem nowego świata w przeciwstawieniu do starego, lecz amerykanizować za pomocą dobrego przykładu, szerzyć demokrację nie słowem, ale w czynie wykazywać dobre skutki tego ustroju, dać obcemu oświatę, zapewnić mu opiekę prawa itd., a uczyni się z niego łatwo obywatela nowej ojczyzny.

W ten sposób pracują liczne katolickie domy ludowe dla cudzoziemców, dostarczając im rozrywek, w pierwszym rzędzie naturalnie sportów, urządzając kursy angielskiego, ogólnie kształcące, zawodowe, wychowania obywatelskiego itp.

Na szerszą skalę rozwinął tę pracę ks. Jan de Ville z ramienia departamentu pracy społecznej. Utworzył on w Gary Ind. organizację 11 narodowości »Lojalni Amerykanie«. Każda narodowość stanowi osobną grupę, na pierwszem miejscu wymienieni »Lojalni polscy Amerykanie«. Celem tego zrzeszenia jest przygotowanie członków do naturalizacji i sumiennego spełniania obowiązków obywatelskich. Utworzono wydział doradczy, złożony z prezydentów poszczególnych grup narodowościowych, ich proboszczów i wybitnych obywateli miejscowych, aby obcy weszli w stosunki z tubylcami i aby w razie grożącego przesilenia ekonomicznego czy społecznego móc przedsięwziąć wspólną akcję. Utworzono biuro porady prawej dla ochrony cudzoziemców przed wyzyskiem; na jego czele stanął widocznie Polak, adwokat Menczyński. Urządzają się kursa języka angielskiego i wychowania obywatelskiego w centrach parafjalnych, gdzie cudzoziemcy są między sobą.

Unika się przytem wszelkiej agresywności i przymusu. Na zebranie konstytuujące, 15 sierpnia 1920, nie przybyło kilku księży z powodu meetingu polskiego, odbywającego się równocześnie, wogóle delegatów polskich było jedenastu, ale wszystkie nazwiska tak poprzekręcane, że trudno się domyśleć, że to są Polacy. Przy wspólnym obiedzie usługiwały dziewczęta w strojach narodowych i na ilustracji, dodanej do sprawozdania, można odróżnić gorsety krakowskie.

Jest też ochronka dla dzieci polskich w Milwaukee. Zorganizował ją Narodowy katolicki dom ludowy na prośbę polskich księży w polskiej dzielnicy. Nie podano, jakim językiem posługuje się kierowniczka w stosunku z dziećmi, ale w komitecie zarządzającym niema ani jednego polskiego nazwiska. Studentami kat. z Filipin i Meksyku zajmuje się specjalnie Rada Mężczyzn przy pomocy biur w kilku miastach. Biura te utrzymują stosunki z rządami owych krajów.

Wyniki pracy w kierunku amerykanizacji przedstawiono w czasie dorocznego zjazdu episkopatu w październiku ubiegłego roku na specjalnej wystawie publikacyj, fotografij uczestników kursów, prac uczniów, sprawozdań itd.

Ów zjazd rozpatrzył sprawozdania z dotychczasowej działalności Rady i zatwierdził program prac na rok bieżący. Sprawozdania składa wogóle Rada bardzo sumiennie i szczegółowo. Mieszczą się one w jej organie, dwuarkuszowym Biuletynie, rozsyłanym dotychczas co miesiąc afiljowanym stowarzyszeniom bezpłatnie, obecnie za niską prenumeratą. Pierwsza też Rada wpadła na iście amerykański pomysł używania kinematografu w celu zdawania sprawozdań i filmy, przedstawiające jej pracę w czasie wojny, objeżdżają całą Amerykę, gdzie nawet małe osady mają instalacje kinowe. Na przedstawienia takie przychodzili innowiercy, pozbywając się dzięki temu wielu uprzedzeń względem katolików. Dopiero za przykładem Rady poszły inne stowarzyszenia amerykańskie.

Już reklamować to umieją się i katolicy po amerykańsku. Każde najmniejsze odznaczenie, każdy głos pochwały notowany jest skrzętnie w Biuletynie. Mogliby i pod tym względem służyć przykładem naszym instytucjom katolickim, które nie umieją dać się poznać ogółowi, a nawet własnym członkom i których cicha, a skuteczna praca dzięki temu nie znajduje należytego poparcia.

Dr. M. Estreicherówna.

Prasa katolicka w dobie dzisiejszej.

II. Strona finansowa i organizacyjna.

Najlepszy nawet program i chęci nie wystarczą do zapewnienia bytu i wpływu katolickiej prasie, jeżeli nie będzie odpowiednich ludzi i środków.

O ile grono redakcyjne składa się z ludzi fachowo wykształconych, zdolnych stylistów, pełnych taktu i ogarniających należycie potrzeby czasu — dziennik jest dostatecznie zabezpieczony, a jeśli znajdzie się przy nim jakiś człowiek wybitny, powodzenie jest zapewnione.

Lecz jeśli trudność doboru odpowiednich współpracowników jest tylko zagadnieniem lokalnem, to istnieje dziś inna bolączka, dotykająca bezpośrednio całą prasę katolicką świata — brak katolickiego biura telegraficznego. Wszystkie wielkie ajencje: Reutera, Wolffa, Havasa, Stefaniego są żydowskie lub prawie zupełnie opanowane przez żydów. Prasa katolicka pomnaża więc wydatnie ich dochody, a w zamian otrzymuje wiadomości skąpe, zestawione przez ludzi nierozumiejących się na urządzeniach Kościoła i stąd często błędne, niekiedy nawet tendencyjnie przekręcone.

Wielką jest rzeczą — pisała też słusznie niedawno *Allg. Rundschau* (1921, nr. 38) — założyć dzienniki katolickie, redagować je i rozszerzać, cenną jest działalność związków prasowych, »ale co nam to wszystko pomoże, jeżeli się nie uda zreformować i zdobyć samych źródeł prasowych, informacyj i korespondencyj«. Dopóki tego nie osiągniemy, całe dzieło będzie tylko połowicznie spełnione, bo musimy chcąc nie chcąc, czerpać ze źródeł zatrutych i szkodzić przez to dobrej sprawie.

Lecz sprawa redaktorów, dobrych i licznych korespondentów oraz biur telegraficznych prowadzi nas do kwestji, będącej kluczem całego zagadnienia — środków pieniężnych.

Pomijając już rozległą stronę techniczną przedsiębiorstwa, nie zdobędzie bowiem redakcja dobrych współpracowników, jeżeli nie będzie posiadała dostatecznych zasobów. Zwyczaj spuszczania się na dobrą wolę i ofiarność dla wielkich celów, może być tolerowany tylko chwilowo, ale nie może być stanem normalnym, a tem mniej zasadą.

To też zależność prasy — katolickiej także — od pieniądza jest faktem niezaprzeczonym i nieuniknionym, z nim ona stoi i upada. Koniecznem więc jest, rozglądnąć się za jego źródłami; są one dwojakie: zwyczajne i nadzwyczajne.

Do pierwszych zaliczyć wypada stałe, regularne dochody, płynące z opłat prenumeraty i anonsów. Tamte pokrywają oczywiście tylko część wydatków, główny ciężar utrzymania spada na inseraty i dlatego dział ten powinien być przedmiotem szczególniejszej pieczy ze strony katolików.

W artykule, poświęconym specjalnie tej sprawie w jednem z zagranicznych czasopism, skarży się autor, że katolickie pisma mają w porównaniu z innemi małą ilość inseratów i uważa to za niedobry objaw. Dwojakim sposobem grzeszą tu katolicy jego zdaniem: przez nieumieszczanie ogłoszeń we własnych dziennikach i przez nieczytanie zamieszczonych tamże. A jednak ten dział powinien być dla nich szczególnie ważny ze względu na popieranie się wzajemne; tu powinien każdy dowiadywać się o swoich firmach kupieckich i bankach, by nie wspomagać żydowskich, tą drogą poszukiwać nauczycieli, sekretarzy, pomocników, robotników. Gdy to nastąpi i czytelnicy będą pilnie przeglądali nie tylko dział redakcyjny, ale i inseratowy, wtedy podniesie się poczytność pisma, wzrośnie liczba ogłoszeń, a tem samem wzmoże się finansowa strona i z nią jakość wydawnictwa.

Drugą rubrykę stanowią dochody nadzwyczajne. Jedne z nich, to darowizny i zapisy, o których nie powinni dziś zapominać ludzie bogaci, pragnący hojną dłonią przyczynić się do poparcia dobrego celu — a trudno chyba o lepszy nad apostolstwo katolickiej prasy.

Innym ze sposobów, który coraz więcej wchodzi dziś w użycie zagranicą, jest dzień prasy.

Biskup w swej diecezji, albo też cały episkopat kraju, wyznacza jedną niedzielę i każe ją poświęcić całkowicie sprawie prasy. W każdym kościele odbywa się na tę intencję uroczyste nabożeństwo, kazania i konferencje zajmują się jedynie tym tematem, przyczem wiernych wzywa się zarówno w kościele, jak i poza nim, do prenumerowania

pism katolickich, rozszerzania ich wśród innych i składania ofiar pieniężnych na cele prasy. Oczywiście akcja taka musi być zawczasu przygotowana i dobrze zorganizowana. Propaganda w dziennikach i przez odezwy, stosowne odczyty i manifestacje, wszystko ma służyć do poruszenia ogółu wiernych, uprzytomnienia im doniosłości sprawy i skłonienia do skutecznego jej popierania. Przy zgodnem współdziałaniu duchowieństwa i świeckich, uroczystość taka wypada zawsze okazale i zasila wydatnie fundusz prasowy.

»Dni« takie urządza się dziś w wielu krajach, a towarzyszy im niejednokrotnie osobny list pasterski. Tak np. biskupi Apulji ogłosili w r. 1920 trzecią niedzielę postu, jako »dzień prasy« i wydali wspólny list do duchowieństwa i wiernych, w którym wyłożyli znaczenie prasy, obowiązek i sposoby popierania jej i zakończyli słowami: »Bez wątpienia jest bardzo dobrą rzeczą, składać ofiary i zapisy za biedne dusze w czyśćcu... aby je wybawić z cierpień. Lecz czyż nie jest z drugiej strony równie cennem dziełem, popierać dobrą prasę, aby wiele dusz mogło zostać oświeconemi, żyć cnotliwie i w ten sposób ujść kar piekła?« — W Hiszpanji dzień św. Piotra i Pawła, 29 czerwca, wyznaczono zgóry, jako doroczne święto prasy; w r. 1920 przyniosło ono w samej tylko diecezji Madrytu 25 miljonów pesetów.

Na olbrzymią skalę zorganizowano tę akcję w Stanach Zjednocz. Am. Półn., gdzie na skutek decyzji National Catholic Welfare Council poświęcono w r. 1921 cały miesiąc marzec dziełu prasy (w roku obecnym miesiąc luty). W celu rozbudzenia zainteresowania u ogółu wiernych wydano osobną broszurę: »Catholics: do you know?« (Katolicy, czy wiecie?) i wystosowano odezwę do katolików świeckich z wezwaniem do wzięcia udziału. »Bez dostatecznej prasy katolickiej — czytamy w tej broszurze — Kościół nasz będzie na łasce wrogów... Dajemy wam jedyną sposobność przysłużenia się Kościołowi i rozszerzenia królestwa Chrystusowego na ziemi.« Do pomocy zaproszono wszelkie istniejące organizacje, przyłączył się także do nich świeżo założony związek księgarzy katolickich i porozsyłano na wszystkie strony kraju listy z zaproszeniami, broszury z informacjami o nowo powstałem biurze prasowem, ozdobne afisze z portretami biskupów, do przybicia w przedsionkach kościołów, w klubach Rycerzy Kolumba, szkołach i instytucjach katolickich. Biskup Russel zaś, prezes departamentu prasowego w N. C. W. C. wysłał list do wszystkich arcybiskupów i biskupów, by polecili duchowieństwu energiczne poparcie akcji »miesiąca prasy«. Nic dziwnego, że zapał ten musiał się udzielić

wszystkim i że dzieło prasy katolickiej postępuje tam raźno naprzód, jak o tem jeszcze poniżej powiemy.

Obok tego rodzaju zbiórek, zasilających jednorazowo kasę większemi sumami, istnieją inne źródła, przynoszące skromniejsze, lecz stałe dochody. Do nich zaliczyć należy różne organizacje, których członkowie płacą pewną oznaczoną wkładkę, co miesiąc, kwartał lub rok. Jest to najpospolitszy sposób rozwiązania sprawy, różnica polega na tem, że jedne związki skupiają mniejszą ilość członków, raczej z pośród inteligencji, ale płacących nieco większą kwotę, inne zaś starają się objąć najszersze warstwy i w tym celu wyznaczają skromną tylko wkładkę, a za to rozwijają szeroką propagandę.

Typowym przykładem takiej organizacji jest francuskie dzieło »Franc de la Presse", założone niedawno dla rozszerzania dobrej prasy i jej materjalnego poparcia. Organizacja ta ma centralny komitet w Paryżu, który pozostaje w łączności z komitetami diecezjalnemi, te zaś z parafjalnemi i ich delegatami. W celu zebrania jak największej liczby członków ustanowiono niską wkładkę jednego franka na rok. Dziesiętnicy zbierają pieniądze i oddają delegatowi parafjalnemu, poczem przez pośrednictwo komitetu diecezjalnego posyła się je do Paryża, który rozdziela zasiłki według potrzeby i po dokładnem jej stwierdzeniu przez urząd diecezjalny. Według sprawozdania z ostatniego ogólnego zjazdu przedstawicieli związku, odbytego 25 listopada 1921 r. w Paryżu, zdołano mimo tak nikłych wkładek zebrać sumę, która pozwoliła na zakupno jednej drukarni i udzielenie zapomóg dziesięciu przedsiębiorstwom prasowym.

Wyjątkowy wprost przykład zwycięskiego uporania się z trudnościami finansowemi dały nam Węgry.

Położenie ich było bardzo trudne, cała prawie prasa pozostawała w ręku żydowskiem. Nie odstraszyło to jednak garści ludzi nieugiętej woli, którzy postanowili dążyć do jej wyzwolenia. Rozpoczęto od zbierania pieniędzy u magnatów, bogaczów i wyższego kleru, lecz ten system okazał się wnet »beznadziejnym«. Próbowano więc założyć towarzystwo akcyjne na wzór innych, lecz i ta droga zawiodła, ponieważ nie udało się zebrać nawet jednego miljona. Wtedy postanowiono jąć się innego sposobu i zwrócić się do szerokich warstw całej ludności katolickiej. W tym celu obrócono cały zebrany kapitał tylko na propagandę w celu zyskania członków dla nowego towarzystwa akcyjnego, które wydało akcje po 25 koron. W całym kraju zaczęto urządzać zebrania i zakładać komitety organizacyjne, przy pomocy du-

chowieństwa i świeckich. Termin tej kampanji wyznaczono na 15 marca 1918 roku, a tymczasem już z początkiem lutego zebrana suma przekroczyła o półtora miljona zakreślony pierwotnie kapitał trzech miljonów. Subskrybowali bogaci, ale przeważnie średnie i niższe warstwy: konduktorzy, policjanci, niżsi urzędnicy, rzemieślnicy, wieśniacy, robotnicy. Sprawa szła tak dobrze, że już na początku podwyższono kapitał zakładowy na trzynaście miljonów. Wtem przyszła rewolucja, rozpoczęły się szykany i prześladowania, inicjator i dusza całego ruchu, ks. Bangha T. J. musiał uciekać, pieniądze przeważnie przepadły, niewiele tylko zdołano uratować.

Z tą resztą rozpoczęto po obaleniu bolszewizmu pracę na nowo, w ten sam sposób, jak przedtem. Dzięki niesłabnącej energji dawnych kierowników miano już we wrześniu 1920 r. około piętnastu miljonów koron, akcje były w rękach 200.000 ludzi, którzy poczytywali sobie za obowiązek zyskiwać nowych członków i popierać założone pisma. Wykupiono z rąk żydowsko-masońskich wspaniałą drukarnię Pallas, obecnie jeden z ajwiększych zakładów katolickich na świecie; posiada ona 6 wielkich maszyn rotacyjnych, 23 maszyn pospiesznych i 21 maszyn do składania, najnowszego systemu, a zatrudnia dzień i noc około 500 ludzi.

Powyższe przykłady mogą służyć za wzór głównych i z powodzeniem stosowanych sposobów załatwienia się z podstawową, finansową stroną akcji prasowej.

Wspomnieć można jeszcze inny, podrzędny jednak środek, jakim niektóre pisma usiłują dziś ratować swą egzystencję, mianowicie otwieranie osobnego funduszu wydawniczego i zbieranie składek w tym celu, notowanych sumiennie na łamach wydawnictwa. Spokojna, cicha ta droga niewiele jednak przynosi i okazuje się korzystniejszą, jeżeli zostaje otwartą jako rubryka wsparć, umożliwiających niezamożnym abonentom prenumeratę po zniżonych cenach. Tak np. paryski *La Croix* zamknął ją w r. 1920 sumą 81.046 franków, a wiedeńskie *Neues Reich* zebrało do dnia 2 kwietnia b. r. 1.444.594 koron.

Już z powyższego zestawienia widocznem jest, że akcja, mająca na celu zabezpieczenie materjalnego bytu prasy, musi być systematycznie i planowo przeprowadzona, wymaga zatem ludzi sobie stale oddanych i rozumiejących się na rzeczy. Jeżeli do tego dodamy, że ten sam postulat jest niezbędny dla redakcyjnej strony pisma i skutecznej propagandy prasy katolickiej, to zrozumiemy, że stworzenie odpowie-

dniej, silnej organizacji jest pierwszym i koniecznym warunkiem powodzenia całej sprawy.

I faktycznie organizacje takie istnieją prawie we wszystkich krajach, gdzie katolicy stanowią większość lub poważniejszy procent ludności. Nie zamyślamy tu oczywiście podawać ich katalogu, owszem nie dadzą się one nawet podporządkować ściśle pod pewne kategorje, tak różnorodną jest ich struktura. Dlatego ograniczymy się raczej do zestawienia wspólnych im cech, a następnie przyjrzymy się bliżej kilku organizacjom, więcej typowym, które dadzą nam obraz, w jakich kształtach i rozmiarach przedstawia się dziś ta niesłychanie ważna gałąź pracy za granicą.

Różnolitość jej jest naturalnie nieuniknioną. Inne warunki będą w kraju katolickim, inne, gdzie wyznania są różne, a i tu jeszcze wiele zależeć będzie od tego, czy katolicy są w większości, czy też stanowią mniejszość. Nadto charakter ludności, ofiarność jej i zrozumienie ważności sprawy, również nie wszędzie są jednakie. Wreszcie w pewnych krajach istnieją odrębne związki, które biorą na siebie poszczególne zadania i tylko wspierają się wzajemnie, gdzieindziej zaś jedna centralna organizacja przejmuje całość pracy na siebie. Wszystko to sprawia, że akcja prasowa przybiera przeróżne formy i musi wszędzie dostosować się do potrzeb miejscowych.

Jedną wszakże cechę ma wspólną i ta musi bezwzględnie być zachowaną: ścisłą łączność z hierarchją kościelną, która jest równocześnie duszą całego ruchu i rękojmią jego powodzenia. Na czele centralnego komitetu, rezydującego zwykle w stolicy państwa i złożonego z duchowieństwa i ludzi świeckich, stoi biskup lub ksiądz wydelegowany przez episkopat, który musi jednak być wolny od innych zajęć, jeżeli ma odpowiedzieć należycie swemu zadaniu, rozumieć dobrze ducha i potrzeby czasu, i nie być organicznie związany z żadnem stronnictwem. Pod bezpośredniem kierownictwem tego zarządu pozostają komitety diecezjalne, cieszące się pewną autonomją, podobnie jak zawisłe od nich komitety miejskie (w dużych miastach) i parafjalne. Tym sposobem wszelkie wskazówki, wychodzące z łona naczelnego komitetu, dochodzą przez pośrednie te instancje do wiadomości członków, których życzenia, sprawozdania i wkładki płyną odwrotną drogą do głównego zarządu. Ponieważ każde rozporządzenie tegoż czy odezwa nosi na sobie pieczęć władz kościelnych, przeto księża muszą się zająć niemi sumiennie, a pomagają im w tem gorliwsi z pośród parafjan. Ci stanowią pod przewodnictwem swego proboszcza komitet parafjalny,

ściągają członków do związku, zbierają pieniądze, rugują złą prasę, a starają się wprowadzić do domów dobrą, pracują nad obudzeniem sumienia katolików i zainteresowania się tą sprawą przez urządzanie odczytów, a jeżeli można, także czytelni i wypożyczalni książek.

Centralny komitet stara się mieć zawsze jasny pogląd na funkcjonowanie całej organizacji i czuwa nad ogólnym stanem prasy katolickiej w kraju. Informuje się więc pilnie o poszczególnych dziennikach, w miarę zasobów wspiera je w potrzebie materjalnie, a przedewszystkiem stara się zaopatrzyć je w telegramy i wiadomości kościelne, oraz dobre artykuły, ku czemu stwarza osobne biuro prasowe i zaprząga do współpracy wybitniejsze osobistości z całego państwa. O ile komitet stał się właścicielem jakich pism, musi im zapewnić dobrych redaktorów; z redakcjami innych dzienników stara się wejść w przyjazne porozumienie, polegające przedewszystkiem na zasilaniu ich wiadomościami ze świata katolickiego. W celu zapewnienia sobie pewnych i szybkich informacyj wchodzi w kontakt z podobnemi organizacjami zagranicznemi, zobowiązując się do wzajemnego przesyłania doniesień z kraju. Do niego też należy inicjatywa i naczelny zarząd propagandy, przez urządzanie »dni prasy« i odczytów, przez wydawanie ulotnych broszur, czuwanie nad antyreligijną i niemoralną literaturą, ułatwianie prenumeraty niezamożnym itp. Działalność zaiste bogata i doniosła, godna, by się jej oddać całą duszą i nie szczędzić dla niej żadnych ofiar.

W praktyce, jak już wspomniałem, nie zawsze wszystkie te zadania schodzą się w jednem ręku; obok komitetów parafjalnych i diecezjalnych, niezawsze spojonych w jeden centralny związek, pracują niekiedy inne pokrewne organizacje, uzupełniające się wzajemnie. Krótki przegląd ważniejszych z pośród nich da nam pewne pojęcie o stanie tej, świeżej jeszcze pracy w dobie dzisiejszej.

Przykładem organizacji początkującej, skromnej w rozmiarach, ale która wśród trudnych warunków rozwija jednak żywotną działalność, jest »Centralny komitet katolickiego związku prasowego« w Szwajcarji. Pomimo szczupłej liczby katolików, wynoszącej według ostatniego spisu ludności 1.528.002 osób, trudności wynikających z przeważającego liczbą otoczenia protestanckiego i podziału na kantony, który przy wielojęzyczności mieszkańców uniemożliwia stworzenie jednego dziennika katolickiego dla całego kraju, zdołał on jednak dokonać wiele. Doroczne zebranie związku, odbyte 24 lutego 1921 r. w Zurychu przy udziale reprezentantów biskupich, wykazało, że liczba

członków doszła do 4.500, a fundusze, dzięki wkładkom, darowiznom i »dniom prasy«, wzrosły też niemało. Działalność dotychczasowa rozciągnęła się na różne pola; zajmowano się energicznie propagandą prasową, przez »dni prasy«, odczyty i zakładanie organizacyj lokalnych; popierano materjalnie ludowe bibljoteki i czytelnie i utworzono związek ochronny drukarni katolickich; ostatnio zajęto się założeniem centralnego biura do zaopatrywania pism katolickich w feljetony i poważniejsze artykuły, a do współpracy zaproszono stowarzyszenie katolickich publicystów i szereg wybitniejszych osobistości.

W odmiennych warunkach pracują dwie wielkie organizacje prasowe w Hiszpanji, kraju naogół katolickim, w którym do zwalczenia pozostają, obok wciskających się prądów radykalnych, brak uświadomienia i pewna ospałość ludności. „La Grande Obra de la Buena Prensa" (Wielkie dzieło dobrej prasy), z główną siedzibą w Madrycie, rozporządza dziś znacznemi kapitałami, których używa do popierania katolickich pism, bibljotek i czytelni. Utrzymuje ono własną ajencję informacyjną, która przesyła wiadomości do kilkudziesięciu dzienników i czasopism, a nadto posyła im od czasu do czasu artykuły znanych pisarzy katolickich; oprócz tego wydaje tygodnik i nosi się z zamiarem założenia wielkiego dziennika.

Odmienny nieco dział pracy obrała sobie druga organizacja prasowa, »Apostolado de la Prensa« (Apostolat prasy). Założona w r. 1891 w Madrycie i zaszczycona już w dwa lata potem listem pochwalnym Leona XIII, urosła dziś do wielkich rozmiarów dzięki współdziałaniu duchowieństwa i świeckich. Wydając piękny ilustrowany tygodnik „La Lectura Dominical", w nakładzie 35.000, postawiła ona sobie za główne zadanie propagandę dobrej prasy przez rozszerzanie książek i broszur, sprzedawanych po cenie kosztu, a w znacznej części rozdawanych za darmo. Do połowy r. 1920 wydano tam $5^1/_2$ miljona większych książek, podzielonych na trzy kategorje: apologetyczne, literackie, i historyczne, oraz $8^1/_2$ miljona broszur, w formacie 16-ki o 64 stronach, głównie o treści apologetycznej, z których $2^1/_2$ miljona rozdano za darmo.

Wzorową organizacją, zwracającą się więcej w kierunku prasy codziennej, jest rozwijający się wspaniale „Katholischer Pressverein für Bayern", rezydujący w Monachjum. Jest on dziś potęgą finansową, która w samem Monachjum jest właścicielem trzech pism, nie mówiąc o kilkunastu innych, w których umieściła swe kapitały. Miarą energji że kiedy podczas wojny musiano zamknąć nie

które czasopisma dla braku funduszów, to równocześnie monachijskie przedsiębiorstwa związku zdołały uwolnić się zupełnie z długów. Liczba filij jego wzrasta szybko i w r. 1921 doszła do poważnej cyfry 800, reprezentujących kilkadziesiąt tysięcy członków i wielką ilość mniejszych stowarzyszeń, które przystąpiły do niego. Dodać możemy że nakład dzienników katolickich powiększył się w ostatnich dziesięciu latach więcej niż trzykrotnie, jak stwierdzono na generalnym zjeździe, odbytym w Monachjum z końcem września ubiegłego roku.

Obok działalności czysto dziennikarskiej pracuje też związek gorliwie nad popieraniem dobrej literatury. Jego 660 bibljotek i czytelni ludowych i dla młodzieży posiada przeszło pół miljona książek, a podczas wojny rozesłano gratis 7,753.502 książek i broszur żołnierzom w polu i po szpitalach. Nadto urządza związek odczyty z obrazami świetlnemi, w samem Monachjum dał ich już przeszło pięćset.

Szeroko zakreślona katolicka akcja prasowa we Francji poszczycić się może szeregiem wydawnictw, jakich nie posiada może żaden inny kraj, a przytem rozporządza znacznemi środkami. Wystarczy wymienić paryski »Maison de la Bonne Presse«, założony w roku 1873, jedno z największych przedsiębiostw wydawniczych na świecie; obok książek i obrazów wydaje ono 30 różnych czasopism i zatrudnia stale 700 osób personalu płatnego, nie licząc ochotników. Właściwa akcja prasowa nie jest tu jednak, zdaje się, należycie skoncentrowana i poza naczelnem »Bureau catholique de Presse«, z René Bazin na czele, rozdziela się między kilka większych organizacyj, z których jedne starają się dostarczać materjału redakcjom dzienników katolickich, inne wydają różne czasopisma i książki.

Do większej może konsolidacji dochodzą dziś Włochy. Obok »Unione Editoriale Italiana«, wydającej kilka dzienników po różnych miastach i diecezjalnego związku »Buona Stampa« w Medjolanie, którego celem jest głównie propaganda dobrych pism przez broszury, odczyty itd., powstało w r. 1915, za inicjatywą papieża Benedykta XV, naczelne biuro prasowe »Opera Nationale della Buona Stampa«, z siedzibą w Rzymie. Pozostając pod dyrekcją prezesa, mianowanego przez władze kościelne, wydaje ono parę pism, głównem jednak jego zadaniem jest rozszerzanie istniejących pism katolickich, podtrzymywanie ich egzystencji oraz przygotowanie dobrych publicystów, przez ułatwianie im słuchania odpowiednich kursów na uniwersytecie gregorjańskim. Założony staraniem »Partito Popolare« sekretarjat prasowy pod przewodnictwem ks. G. de Rossi, pomaga dzielnie w nawiązywaniu

i utrzymaniu łączności pomiędzy centralnym tym związkiem a organizacjami i redakcjami prowincjonalnemi.

Młoda jeszcze i pozostająca w tyle pod względem ilości wydawnictw, akcja prasowa w Stanach Zjednoczonych Am. Pn., przewyższa jednak, zdaje się, wszystkie pozostałe pod względem organizacyjnym. W łonie wspomnianej już organizacji katolików tamtejszych, »The Nation. Cath. Welfare Council«, istniejącej dopiero od roku 1917, stworzono później osobny »Departament prasowy i publicystyczny« na czele którego stoi Mgr. W. T. Russel, biskup z Charleston, podczas gdy czynne kierownictwo całej pracy pozostaje w rękach J. Mc Grath'a, wytrawnego publicysty, który spędził już długie lata w służbie dziennikarskiej i M. Williams'a, niedawnego konwertyty.

Po należytem przygotowaniu rozpoczęto odrazu na wielką skalę działalność, której głównym celem miały być podniesienie i propaganda dobrej prasy. Wprzągnięto więc do dzieła wszelkie istniejące już pisma katolickie, zaczęto zakładać związki diecezjalne i parafjalne, urządzać odczyty i zebrania, wydawać broszury ulotne, całe zaś duchowieństwo rozwinęło z polecenia biskupów ożywioną akcję wśród wiernych, zwłaszcza w okresie »miesiąca prasy«. Jakie powodzenie towarzyszyło tej kampanji, świadczy między innemi fakt, że po jednym takim »miesiącu« wzrósł *Baltimore Catholic Review* z 8 na 18 tysięcy prenumeratorów.

Rozumiejąc jednak, że pisma katolickie o tyle tylko spotkają się z uznaniem, o ile staną na wysokości swego zadania, postanowiono dopomóc im w tem szczególniej, a założone w tym celu prasowe biuro wywiadowcze »The Press Service«, stanowi może najświetniejszą kartę dotychczasowej działalności departamentu. Posiadając korespondentów nie tylko w różnych miejscach Stanów Zjedn., ale także w Europie, zbiera ono z całego świata wiadomości kościelne, które nie są czysto miejscowe, lecz mogą interesować ogół katolików, sprawdza je, sortuje, a następnie zależnie od ważności przesyła pocztą, telegracznie lub telefonicznie do redakcyj pism, które zgłosiły się, jako stali odbiorcy biura prasowego. Co tydzień wychodzi specjalny arkusz *News Sheet*, który w kilku kolumnach zawiera świeżo nadesłane wiadomości, oraz artykuły pisane przez najtęższych współpracowników i rozchodzi się do kilkudziesięciu redakcyj, nawet poza granice Stanów Zjednoczonych; dzięki bowiem doborowi i sumiennej kontroli, zestawienia te poszukiwane są nawet w Europie i niedawno jeden z ko-

respondentów oświadczył, że najlepsze informacje ze świata katolickiego dochodzą dziś do Anglji przez Amerykę.

Obok ajencji wywiadowczej, pozostającej na usługach pism, stworzono dla użytku ogólnego osobne biuro informacyjne dla spraw katolickich »Bureau of Catholic Information«, którego potrzebę dawno już odczuwano. Fachowy personal zajęty jest tam stale gromadzeniem wycinków z wszelkich pism, poruszających sprawy Kościoła lub jego przedstawicieli i kataloguje je według działów, by móc w potrzebie służyć materjałem do każdej kwestji, obchodzącej katolików. To też ze wszystkich stron zwracają się tu nie tylko księża i świeccy katolicy, ale redakcje obcych pism i nawet władze rządowe z prośbą o informacje. Posiadanie pewnych wiadomości pozwoliło też rozwinąć akcję w celu obrony osób i interesów katolickich, zaczepianych lub fałszywie przedstawianych po różnych pismach; nie tylko zamieszcza się zaraz wtedy wyjaśnienia w organach katolickich, ale posyła się je do odnośnych redakcyj z żądaniem sprostowania, uwieńczonem zazwyczaj pomyślnym skutkiem. W ostatnich czasach podjęto wreszcie inną jeszcze myśl. Zwrócono się do wszystkich nakładców książek katolickich z prośbą o przysłanie jednego egzemplarza, który ogłasza się zaraz w *News Sheet*, z książek zaś, zebranych tą drogą, spodziewa się zarząd stworzyć wielką bibljotekę katolicką, na wzór »Bibljoteki Narodowej« w Waszyngtonie.

Tak przedstawiałyby się w ogólnych zarysach główne typy istniejących związków prasowych katolickich. Pozostaje jeszcze do urzeczywistnienia poruszana już nieraz myśl złączenia ich w jedną międzynarodową organizację światową, posiadającą własne biuro telegraficzne. Pozostając w bliskim kontakcie z głową Kościoła, jednoczyłaby ona wysiłki katolików całego świata, kierowała jednolicie ich akcją i pomogła do skutecznej obrony wspólnych interesów. Próbą takiej centrali jest zawiązana niedawno »Agence Catholique Internationale de Presse« we Fryburgu w Szwajcarji, z Dr. Ferd. Rüegg'em na czele, która rozpoczęła nawet pracę i rozesłała odezwy do różnych związków i redakcyj. Narazie widoki powodzenia tej instytucji są jednak słabe; dopóki bowiem nie powstaną i nie dojrzeją wszędzie doborowe związki krajowe, tak długo nie może być mowy o skutecznem poparciu i działaniu światowej organizacji.

W kraju naszym nie posiadamy nic podobnego poza drobnemi poczynaniami lokalnemi. Trudno tu oczywiście winić kogokolwiek.

Akcja prasowa katolicka na większą skalę jest dopiero dziełem lat ostatnich, a zatem okresu, w którym umysły wszystkich zaprzątała jedna myśl zabezpieczenia bytu narodowego i wszystkie wysiłki zmierzały głównie ku tej stronie. Jeżeli inne państwa, którym po wojnie światowej przypadło tylko zadanie rekonstrukcji, stoją jeszcze słabo na polu prasy i zewsząd dochodzą skargi na niedostateczność poparcia i szczupłe rezultaty dotychczasowych usiłowań — tem mniej mogą one dziwić u nas.

Lecz równowaga ustała się powoli, a wraz z nią nadciągają nowe groźne niebezpieczeństwa. Zasadniczo wroga Kościołowi masonerja i socjalizm, intenzywna propaganda sekt, prowadzona czasem zgoła niechrześcijańską ale ponętną metodą przekupstwa, ignorancja religijna u bardzo wielu katolików, zarówno z pośród warstw niższych, jak inteligencji, a wreszcie materjalizm i obniżenie poziomu moralnego po wojnie światowej, zbierają się jak czarne chmury na horyzoncie naszego kraju i zmuszają do walki nieugiętej w obronie świętej sprawy — a w walce tej prasa dobra jest nam niezbędną.

Jak wyobrażalibyśmy sobie polską organizację prasową?

Najchętniej na wzór amerykański. Musiałaby zatem zostać założoną i pozostawać w ścisłej zależności od episkopatu, którego przedstawiciel stałby na czele, podczas gdy główna praca zostałaby oddaną fachowym ludziom świeckim; ci musieliby jednak posiadać dane, o które dziś może najtrudniej u nas, tj. łączyć rozległą wiedzę z duchem katolickim, ujmować zagadnienia społeczne i polityczne ze stanowiska chrześcijańskiego, a nie zamykać Kościoła w ciasnych ramach partji. Centralny ten komitet stworzyłby biuro prasowe, które dostarczałoby wiadomości i artykułów tym wszystkim pismom katolickim, jakie weszłyby z niem w porozumienie; założyłby biuro informacyjne dla spraw katolickich i czuwał nad prasą, mieniącą się być katolicką lub niekatolicką, by w potrzebie stanąć w obronie prawdy; w interesie wreszcie propagandy wszedłby w ścisły kontakt z diecezjalnemi związkami prasowemi, które należałoby jak najrychlej założyć i rozciągnąć na wszystkie parafje. Związki te rozszerzałyby dobrą prasę, urządzały »dni prasy« i odczyty, a duchowieństwo, idąc za wskazaniami biskupów, podtrzymywałoby usilnie całą akcję. Ostatniem zadaniem organizacji centralnej byłoby założenie wielkiego dziennika bezpartyjnego, w którymby mogli wypowiadać się katolicy wszystkich odcieni bez względu na przynależność do tego lub owego stronnictwa, oraz innych czasopism dla młodzieży, rodzin itd.

Na taką organizację zdobyć się musimy, wzorem całego pozostałego świata katolickiego, jeżeli nie chcemy zaprzepaścić sprawy Bożej. Liczne referaty i dyskusje naszych zjazdów katolickich, które stale obracają się koło kwestji dobrej prasy, są najlepszym dowodem, że wszyscy odczuwają głęboko jej potrzebę. Dotychczas wprawdzie wołania te odbijały sią tylko wielokrotnem echem po kraju, by potem ucichnąć i przebrzmieć bez wyraźniejszego śladu, lecz dłużej tak zostać nie powinno. Potrzeba tylko garści ludzi czynu i wielkiego serca!

Ks. Stanisław Podoleński.

Nasza belletrystyka ostatniej doby

Nad literaturą powojenną w Polsce unosi się duch hedonizmu. Odeszły widma cierpienia i śmierci. I zamiast po ciężkiej próbie rozpocząć życie nawrócone i skierowane ku budowaniu królestwa Bożego na ziemi — ludzie opierścienili się chciwą, zachłanną samozachowawczością. Ludzie po pijawczemu przyssali się do każdego skrawka uciechy i piją rozkosz skąd się da — z kałuż, z puharów, z gwiezdnego nieba i z filmu.

Jest w tem z gruntu mylne założenie. Już nie mówimy o kryterjum wieczności i prawdy, ale z punktu życia samego. Uczucie radości i szczęścia zjawia się jako objaw wtórny, towarzyszący twórczości duszy zgodnej z sobą i zjednoczonej ze światem. Dusza taka hartownie spotyka ból i śmierć i znajduje w pięknie własnem i mocy pociechę. Jeżeli zaś celem szczęście — lada materjalna dolegliwość je obala. Dążący do szczęścia spotyka ból — tworzący ponad siebie bez myśli o szczęściu znajduje je.

Ta poszukiwana przez ostatnie pokolenie rozkosz i radość jest albo szkarłatnym szałem zapomnienia, albo samozakochaniem się, koło którego snuje się szary bezsilny smuteczek.

Taką jest poezja J. K. Iłłakowiczówny w zbiorku »Śmierć Feniksa«. Tęsknota za szczęściem osobistem, w braku wydarzeń rzeczywistych wyrywanie się z szarzyzny dnia przez stworzenie fantastycznych wizji. Jako jeden z głodów życiowych — pragnienie komfortu i użycia (Władysław i Euzebja, wszystko, co będę miała). I wreszcie w pewnej chwili krzyk przerażenia: Boję się głębi świata, boję się własnej duszy!

A tymczasem dusza ta sądzi, że ma mocne oczy i skrzydła orle. I w chwili, gdy chce lecieć, zostaje samotna i bez oparcia, z szeptem nieskończenie bolesnym: już się nie wydźwignę...

Radosne upojenia i pragnienia życiowe w »Djamżjach« Jaro-

rosława Iwaszkiewicza i w »Musującym Poranku« Zygmunta Karskiego robią podobne wrażenie. Umiłowanie życia i rozkoszy, umiłowanie wartości djonizyjskich, tęgi kult płci aż do perwersji włącznie, jak u Karskiego, u którego w musujący poranek wizje miłości i gilotyny splatają się w jedno. A na ostatku krzyk bez ratunku lub osamotnienie...

Lub nawet bluźnierczych zarzutów Bogu za »świat, Twoje wielkie widowisko». Oto »Droga« Szereszewskiego. Są dusze, które wśród krwawej kurzawy wojny, w obcowaniu z śmiercią i bólem spotężniały i dojrzały dla nieśmiertelności. Są to natury mniej podatne na zmysłowo-cielesną stronę życia. Zaś wrażliwcy zmysłowi nie mogą się opamiętać na widok rozdartych trzewi. Jakby nie był straszniejszym od nich pogłos duszy zanurzanej w nieprawości. I oto wyrzucają do Boga oskarżycielskie apostrofy:

„Stałem się lirą jednostrunną wzniosłej wiedzy Twego świata. Szarpnij — a oddźwięczą ci, odpowiedzą — wszystkie ciała zohydzone — głowy, nogi i kadłuby — dymiące trzewia i cuchnące jęki, krzyki i charczenia — krzyki pomsty i rozpaczy".

U ludzi nieobytych z myśleniem religijnem, dla których Bóg jest nie miłością nieogarnioną i bezbrzeżną obok określonego i przemyślanego, jasnego, jak pochodnia pojęcia, lecz czemś metafizycznem, w które się leje »serc swoich rdzawe niedokwasy« — u ludzi takich Bóg za wszystko odpowiada. Jest tu, spotykające się zresztą na każdym kroku wśród ogółu wierzącego, pomięszanie pojęć Wszechmocy Bożej i wolnej woli człowieka. Mechanistyczne pojęcia naukowe nieświadomie przesiąknęły w tę dziedzinę. Bóg utożsamia się z niezmiennym mechanizmem przyrody. Bóg jest deterministyczną siłą, tkwiącą poza wszystkiem. —

Pojęciu o Bogu, wyrobionemu pod wpływem nauki może i przeciwstawia się i to, które kształtuje w ludziach sztuka. Bóg jest nieskończoną, spontaniczną twórczością. Bóg jest oceanem szczęścia wolnej woli, samorzutnie nigdy samej sobie nierównej, zawierającej w sobie bezgraniczne możliwości. I tę samą wolną wolę ma człowiek. Wszelka interwencja Boża w porządku świata jest możliwa. Ale człowiek, dla którego życie jest czasem próby, aby dorość i zasłużyć na obecność Bożą, ma włożoną na siebie odpowiedzialność i prawo wyboru. I kiedy korzystając z tego prawa, postawiwszy prawo ciała nad prawem duszy, człowiek czyni piekło na ziemi, wtedy ślepi i przeciemnieni wieszcze rwą struny i rzucają Bogu pod stopy: Tyś Bóg? Tyś to uczynił?! Tyś dopuścił?!

To się nazywa logiką na ziemi naszej.

Ten sam rozmach erotomańsko-hedonistyczno-indywidualistyczny mają utwory prozaiczne »Historja jednego podwórza« Zygmunta Bartkiewicza, »Kontryfałowe lichtarze u św. Agnieszki« Marji Jehanny hr. Wielopolskiej« i »Czarci Młyn« W. Filochowskiego. Każda z tych książek (najbardziej utalentowaną są »Kontryfałowe lichtarze«) przynosi duże wartości literackie. Bartkiewicz ma doskonałą obserwację rzeczywistości ludzkiej i zwierzęcej i nowoczesny, migawkowo-filmowy sposób pisania. Ale realistyczny temperament trzyma go w sferach przyziemnych. Dobrze są zrobione zaloty psów i fornali z dziewkami, psychologicznie odtworzony rozwój instynktów zbrodniczych w człowieku, smętny i ładny liryzm jest w historji obumierającego dworu szlacheckiego, który bezpowrotnie zabijają nowe formacje gospodarcze i to może jest najcenniejszą stroną dzieła. Ale zamknąwszy książkę, dusza pozostaje »nienakarmiona« i nie napojona«. I zapytuje: po co czytałam?

Naród zmartwychwstały powinien oprzeć się na mocnej podstawie optymizmu życiowego. Trzeba stawiać przed oczy formy pożądane, a nie utrwalać i pogłębić w nas obumierające, upiorne wizje życia zmierzchającego.

Rozamorowujące wszechświat, nie przepuszczające nawet mnichom i mniszkom są bachanckie sarabandy p. Wielopolskiej. Jeżeli niektórzy usprawiedliwiają erotyczny podkład obecnej sztuki, jako podniecający w ludziach instykty rozrodcze po wojnie, to p. Wielopolska spełnia w zupełności to zadanie. Jej finezyjne, pełne uroku dytyramby na cześć nóg, szyj etc. są rozkoszną i musującą zawrotnie trucizną. P. Wielopolska nie wierzy nawet ascezie papieża Grzegorza VII, surowego mnicha Hildebranda. Uważa ascezę za wroga radości życia i piękna, nie mając wyczucia dla liljowych ekstaz, dla słonecznej i skrzydlatej radości ciał bezgrzesznych, dla szczęścia duszy potężniejącej wśród przezwyciężeń...

W naszem ograniczonem, zmaterjalizowanem, wilczem życiu wszystkie uczucia skurczyły się. Systemy filozoficzne, usprawiedliwiające egotyzm, a nawet egoizm, wytępiły w nas wiele uczuć, znanych w znacznie silniejszym stopniu starożytności i średniowieczu. Piszemy całe tomy o miłości i jej objawach. Niema, nie spotyka się prawie książki, opartej na uczuciach ucznia do mistrza, dzieci do rodziców, przyjaciela do przyjaciela. A w miłości wysforowały się na pierwszy plan nie przeżycia uczuciowe, nie subtelności i odcienia, nie gra stanów i nastrojów, w których objawia się rozbudzona pełnia sił duchowych człowieka,

lecz te odczucia — naskórkowe. I to nie żeby po prostu — ale idąc przeciw duszy, razem idzie się przeciw naturze. Exemplum: Evers i jego perwersje. Czego nie kupić i u nas, chociaż w mniejszym stopniu. Czemu poezja nie uczy ludzi miłości między mężczyzną i kobietą pięknej, czystej i uduchowionej? Wszelkiej innej wcale uczyć nie trzeba — sami umieją.

»Czarci Młyn« Filochowskiego jest pełen ładnej liryki poetycznej, lecz zarazem głębokiego pesymizmu. Humor jego, wpadający w groteskowość, bywa prawie szubieniczny. Ostatecznie niewiara w skuteczność usiłowań ludzkich, w zwycięstwo pierwiastków wyższego życia nad jego powszednim turkotem nadaje młodemu autorowi oblicze melancholijne, podobne trochę do Makuszyńskiego. Prawdziwego śmiechu, zupełnie wesołego, a jednocześnie wytwornego jeszcze w Polsce nie mamy. Zawsze to albo zamaszysta i rubaszna wickowackowatość, albo wyjący poza maską skrzywioną księżycowy sentymentalizm.

A życiu czynnemu i twórczemu potrzebna wesołość. Ta płynąca z wewnętrznego rozradowania mocy i zgody ze sobą, ze zdrowia i przelewającej się siły, z pogodnego i ufnego patrzenia w twarze ludzi.

Tematy wojenne przynoszą nam trzy nowe książki: »Koń na wzgórzu« Eugenjusza Małaczewskiego, »Płaczące Reims« Edwarda Ligockiego i »Bolszewicy« Wacława Sieroszewskiego.

»Koń na wzgórzu« wyszedł już w drugiem wydaniu. Ale należy się książce tej wzmianka, bo autor, młody oficer polski, zamknął na wieki oczy, dobity przez suchoty w Zakopanem.

Wielka to strata dla literatury. Była to jedna z tych słonecznych prawdziwie polskich, łatwo wzruszających się i unoszących natur, które stanowią prawdziwą chlubę rasy. Czysto sienkiewiczowskie zacięcie nowelistyczne, które nawet tragizm życia okrasza optymizmem idei i niespożytym, złotym humorem polskim, zapowiadało utwory niepowszednie. Wiersze jego — proste pieśni — na tematy zużyte — chociażby o słowikach i wiośnie, były tak pełne nieoczekiwanej świeżości, czegoś nowego a mocnego, jakby zabrzmiały pierwszy raz pierwszego dnia ziemi.

Przeżycia własne ułożył autor w formę opowiadań. Zacięcie żołnierskie, humor, niepokonana, roztęczona wszystkiemi barwami miłość Polski, odczucie prawie kiplingowskie przyrody — ile stron tej twórczości, tyle zalet.

Ale od zalet literackich straciliśmy coś ważniejszego. Oto umarło i piękne serce człowieka. Małaczewski przeżył cały ból i ofiarną mękę wojny, twarzą w twarz obejrzał jej grozę, skupiającą się w straszliwym symbolicznym obrazie: konia obdartego ze skóry. I wyniósł z tego wiarę, że tylko miłość Najwyższa może odrodzić życie. I zapowiada, że już się przygotowuje, zbiera, już jest w drzwiach legjon takich, jak on...

„Walka ze złem w imię Miłości Najwyższej trwać musi i będzie! Jeśli dotychczas zwyciężaliśmy złe, działo się to dlatego, iż walczące z nami hordy przerastaliśmy zawsze o jakąś jedyną piędź miłującego ducha, odmierzoną królewskim szponem Orła Białego. Lecz jeżeli chcemy zwyciężyć wszystko zło, musimy wpierw przerość je duchem Miłości o całe niebotyczne Tatry".

Tak pisał młody żołnierz polski przed śmiercią, taki testament zostawiał ten, który sterał młode, ładne, wysokie swe życie dla Miłości Najwyższej.

»Płonące Reims« Edwarda Ligockiego, pisane z trochę jednostronną partyjnością, daje materjał historyczny mniejszej wagi. Są to materjały faktyczne i liryczne, zebrane na wojnie, ułożone luźnie, nie opracowane w całość artystyczną, jak u Małaczewskiego.

»Bolszewicy« Sieroszewskiego, wystawieni w teatrze Rozmaitości w Warszawie, znaleźli się też w wydaniu książkowem. Jest to doskonała sztuka propagandystyczna, która zwalcza bolszewizm. Atoli w założeniu jest tam pewien błąd: bolszewickiej rewolucji socjalnej przeciwstawia się — dwór polski w idealnych formach. Więc bolszewizm zwalcza się w imię form istniejących. Tymczasem wątpliwem jest, czy obszarnictwo, jako historyczna formacja społeczna, utrzyma się w Polsce. I ci, którzy powinni być przekonani co do zła bolszewizmu, napewno dadzą się przekonać nie w imię choćby najidealniejszego i najfilantropijniejszego obszarnictwa, lecz w imię ewolucji społecznej, odbywającej się w innej i skuteczniejszej, niż bolszewim postaci. Przeciwstawienie zatem bolszewikom młodzieży, włościan i robotników polskich, stawiających im świadomy opór, byłoby skuteczniejsze co do wpływu na masy.

Nie obeszło się bez wiekuistej wspaniałomyślności polskiej: koniecznie gdzieś obok Płuta wstawić Rykowa. Oni nie starają się nigdy dać nam takiej kompensaty i większość typów polskich w literaturze rosyjskiej — to istoty ohydne, »polacziszki« — plugawi i godni pogardy. Sieroszewski zaś pokazał nam znowu »szlachetnego żandarma« — Razina.

W wydaniu książkowem ukazała się również »Ulica dziwna« Kazimierza Andrzeja Czyżewskiego, wystawiona przez teatr Reduta. Ten płód futuryzmu nie jest jednak pozbawiony tradycji literackiej: jest w nim coś z Wyspiańskiego. Symbolika utworu jest tak niejasna i zamazana, że pochwytuje się ogólne dążenie bohatera, Andrzeja, do wyłamania się ze zwykłych dróg, do odkrywczych podróży metafizycznych wśród najzwyklejszego odcinka życia — biegnącej w obie strony ulicy — ale sprecyzować się ta idea nie daje. Nóż był symbolem mordu — czegóż on jest symbolem u szlifierza Czyżewskiego? Każdy może komentować i każdy po swojemu.

Zasługują jeszcze na uwagę dwie książki: Janusza Korczaka »Sam na sam z Bogiem« i Jadwigi Marcinowskiej »Chrzciciel«.

Książka Korczaka jest interesującą próbą zbliżenia się do Boga człowieka, który jest poza Kościołem i jego kultem tradycyjnym. Próba ta, uczyniona przez bałwochwalcę życia, polega nie na dążeniu do podniesienia się ku Bogu, lecz do ściągnięcia Boga tu, w ludzki, powszedni, pełny małości i słabości światek.

Oburza to uczucia człowieka wierzącego. Na usta cisną się słowa Wyspiańskiego: »Tylko świętości nie szargać, bo trza, by świętemi były«. Bo nie znaczy to, że Bóg ma być tylko na wysokościach, a życie — oderwane od Niego. Przeciwnie, można nawet małe sprawy rozdalić, rozszerzyć, opromienić poczuciem wszechobecności Boga i łączności z Nim. Trzeba żyć ciągle pod oczami wiecznemi i słonecznemi, cicho i cudownie promieniejącemi z góry. Ale pojęcie, ale poczucie Boga przykrawać do codzienności ludzkiej, do jej małostek i słabostek, że tak powiem, klepać Pana Boga po ramieniu — przeciwko temu buntuje się prawdziwa wrodzona potrzeba adoracji. Oto lekkomyślna kobieta rozmawia z Panem Bogiem, jak z dobrym staruszkiem, który musi mieć wyrozumiałość dla jej miłostek, oto malutkie dziecko skarży się na nieporządek swój, który ściągnął karę matki... To wszystko nie to. Korczak wychodził z założenia, że każdy wyobraża sobie Boga na swoją miarę. Otóż on wyobraża Go sobie na obraz dobrotliwego pedagoga, takiego współczesnego, zarażonego pojęciami hedonizmu.

Wśród tych modlitw »dla tych, co się nie modlą« jest parę perełek, które chętnie i wierzący przygarnie do serca: Modlitwa matki i Modlitwa uczonych, a nawet i Modlitwa radosna.

Dziełem ducha dyscyplinowanego i wprawnego w myślenie filozoficzno-religijne jest »Chrzciciel« Jadwigi Marcinowskiej. Jest

to dalszy ciąg »Vox clamantis« i »Anima mundi«. Książka dotykająca tak niezmiernie bogatej i interesującej epoki, jak ta, która poprzedziła wystąpienie na widownię świata Zbawiciela, oparta jest na bardzo gruntownych studjach hebraistycznych, może nawet cokolwiek przeciążających książkę. Doskonale są odmalowane stosunki wewnętrzne Żydów między sobą, z Rzymianami, z dworem Heroda. Nastrój oczekiwania Mesjasza oddany z całym żarem, z całą potęgą tęsknoty, jaką musieli żywić ludzie ówcześni. Oczekiwania Kajafy i jego stronnictwa, by Mesjasz przyniósł niepodległość narodową, przeciwstawione są tym, którzy przeczuwali, że przyszedłszy, Syn Boży powie: Królestwo Moje nie z tego świata jest.

Jan Chrzciciel przedstawiony jest jako należący z początku do sekty wtajemniczonych Esseńczyków, z którymi zrywa, ponieważ ci prawdę chcą zachować tylko dla wybranych, tymczasem zaś zwiastun Zbawiciela, tak samo jak sam Zbawiciel, chce rozdać ją masom maluczkich. Postać surowego proroka-ascety, spędzającego całe życie w oczekiwaniu i wyrównywaniu ścieżek Pańskich, jest odmalowana dobrze. Odmalowana jest przez duszę, która zna sama chwile modlitwy i umie obcować z Wiecznością. Motyw główny — niezdrowa aż do perwersji miłość Herodjady do Chrzciciela, już zbyt oszargany, a przytem nie znajdujący żadnego oparcia w źródłach ewangelicznych; razi nawet uczucia religijne wierzących. Że jednak sama postać Proroka odrysowana tak czysto, więc książka nie jest taką profanacją, jaką bywa postać kapłana na scenie, grana przez rozhulankowanego aktora.

Obok pewnej wartości religijnej, »Chrzciciel« ma niepoślednie wartości artystyczne. Doskonale są skreślone postacie Annasza i jego zięcia Kajafy, kobiet wszystkich, Heroda i Herodjady i przepysznego ich dworu. Książka ta nie została doceniona pod względem artystycznym, gdyż wysoki polot i cały zakres idei tej książki może jest zbyt daleki od wielu współczesnych.

Hanna Zahorska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Paul Bureau: L' Indiscipline des Moeurs. Paris, Bloud et Gay. 1921, str. 608 in 8-o.

Niniejsza książka nie jest słowem tylko, lecz czynem, pełnym wielkiej odwagi naukowej, obywatelskiej i chrześcijańskiej. Autor jej, chlubnie już znany z poprzednich swych prac socjologiczno-moralnych oraz z wykładów na paryskim wolnym fakultecie prawnym i w szkole wyższych nauk społecznych, położył tem ostatniem dziełem niespożytą zasługę nietylko koło własnej ojczyzny, ale i koło ogólnoludzkiej kultury.

Pobudką do napisania tej książki było to, co stanowi w tej chwili ogromną troskę wielu myślicieli francuskich, mianowicie rosnące odludnienie Francji, które zwłaszcza po świeżych stratach wojennych grozi całemu krajowi ekonomiczną i polityczną ruiną. Rozmaici pisarze szukali przyczyn tej klęski w rozmaitych faktach psychologicznej i społecznej natury. P. B. nie zawahał się sięgnąć głębiej, by odkryć i po nazwisku wskazać właściwe źródło złego: rozwiązłość obyczajów, tj. rozkiełznanie i wypaczenie płciowego popędu. Popęd ten dany został przez Stwórcę jako przedziwny i nad wyraz święty warsztat rozrodczy ludzkości, przeznaczony jedynie dla prawidłowego użytku w małżeństwie: wielka wina obecnego społeczeństwa, mszcząca się na niem całem mnóstwem zgubnych następstw, polega na tem, że z funkcyj seksualnych chce się osiągnąć możliwie największą sumę zmysłowej rozkoszy, ograniczając przytem do minimum obowiązki i ciężary, jakie Bóg do tych funkcyj przywiązał. Rosnąca w zastraszający sposób obawa przed dzieckiem jest jednym z objawów i złowrogich skutków tego zasadniczego nadużycia.

Wychodząc z zasady, że żeby skutecznie leczyć, trzeba najpierw odsłonić ranę w całej jej grozie, poświęca B. pierwsze rozdziały swej książki zestawieniu faktów, tj. opisowi tych seksualnych zboczeń, które niestety zdobyły sobie w opinji i w zwyczajach spółczesnych rodzaj prawa obywatelstwa, oparte na cichej jakiejś konwencji uznanie. Przesuwają się więc tu przed oczyma czytelnika, poparte zawsze nieubłaganą dokumentacją, nadużycia płciowe młodzieży męskiej w okresie życia poprzedzającym małżeństwo, potem nadużycia małżonków i wszystkie środki pomocnicze tych zbrodni: prostytucja, usuwanie płodu i zabój-

stwo noworodków, zapobieganie zapłodnieniu, pornografja w najróżniejszych swych formach, rozwody, cały szereg teoryj pseudonaukowych, które mają za zadanie usprawiedliwić lub nawet uzasadnić straszliwy en rozstrój obyczajów. Po zestawieniu tych cyfr doprawdy wstrząsających, następuje nie mniej groźny bilans ich następstw, tj. nieuchronnego upadku kraju w społecznej, ekonomicznej, kulturalnej i politycznej dziedzinie. W częściach drugiej, trzeciej i czwartej, po wykazaniu niedostateczności środków, które usiłują zażegnać wyludnienie przez premje lub ochronę prawną licznych rodzin itp., rozwija B. po mistrzowsku główną swą tezę, że jedynem lekarstwem na seksualne nadużycia i płynące z nich społeczne niedomagania jest wznowienie mocnej i zdrowej dyscypliny moralnej, opartej o religijne wierzenia i praktyki. Publiczny powrót do zasady, że przed małżeństwem obowiązuje nietylko kobiety, lecz mężczyzn bezwzględna czystość, podniesienie świętości i absolutnej nierozerwalności małżeńskiego związku, uzdrowienie opinji na punkcie nadużyć małżeńskiego pożycia, nieubłagana walka ze wszystkiem, co popęd płciowy nadmiernie rozbudza i rozkiełznaniu jego dopomaga — oto są sposoby, które B. uważa za jedynie skuteczne do uleczenia zgangrenowanych nieczystością społeczeństw. A dowody na tę tezę przeprowadza tak potężnie i tak gruntownie, że doprawdy niewiadomo, co w tem dziele bardziej zasługuje na podziw, siła argumentacji czy bogactwo statystycznego materjału, bystrość spostrzegawcza czy subtelne odczucie psychologicznych stron społecznego życia, głęboka wiedza czy kryształowa czystość moralnych zasad. Pomimo że jest wierzącym katolikiem, traktuje autor swój przedmiot z punktu widzenia samej socjologji, nie wprowadzając w wątek rozumowań żadnych dogmatycznych założeń. Dowodem jego nieuprzedzenia są między innemi dość poważne zarzuty postawione duchowieństwu katolickiemu za brak dostatecznej energji wobec pewnych ogólnie przyjętych seksualnych zboczeń.

Chociaż w porównaniu do ogromnych zalet tej znakomitej książki znikają nieomal wszystkie jej braki, nie możemy przecież nie zwrócić uwagi na jeden jej niedostatek, który wchodzi w sferę rzeczy dość zasadniczych i bardzo ważnych. P. B. mimo niepospolitego daru obserwacji i odczuwania, jest umysłem raczej abstrakcyjnym, skłonnym do patrzenia na życie po akademicku, według pewnych naukowych czy moralnych teoryj. Właściwością zaś takich umysłów jest, że normy mające życiem rządzić układają im się w linje zbyt proste i dlatego zbyt mało uwzględniające gibką i niesłychanie różnorodną rzeczywistość. Jednym z objawów tej prostolinijności poglądów jest zanadto silne podkreślenie o b o w i ą z k u w s t ą p i e n i a w s t a n m a ł ż e ń s k i; innym ważniejszym błędem, płynącym z tego samego źródła, jest prawie zupełne przyjęcie nie neomaltuzjanizmu, z którym autor zawzięcie walczy, ale pierwotnej, czystej teorji Maltusa o konieczności ograniczenia potomstwa. Wiadomo, że głośny, choć swego czasu bardzo mało znany, pastor z Ailesbury, wychodząc z ekonomicznej zasady, że ilość środków żywności na ziemi dużo wolniej wzrasta, niż wzrastałaby ilość ludzi,

gdyby liczby potomstwa nie ograniczano, żąda od rozważnych rodziców nie sztucznego zapobiegania poczęciu, co słusznie uważa za ciężką zbrodnię, ale tego *moral restraint,* które po pewnym czasie umie się powstrzymać od małżeńskiego pożycia. Otóż na tę teorję pisze się B. prawie bez zastrzeżeń i uważa ją za nieodzowny moralny i ekonomiczny postulat dzisiejszego rozwoju ludzkości. Dlaczego naszem zdaniem, takie postawienie kwestji jest błędne, tego niepodobna nam w krótkiej recenzji dokładnie uzasadnić. Powiemy tylko, że nie może być ekonomicznie prawdziwem, co jest moralnie i psychologicznie niewykonalne. Skazać bowiem większość małżeństw po czworgu czy pięciorgu dzieci na zupełną wstrzemięźliwość jest zadaniem tak wygórowanem, że do tego heroizmu nie dorosły i chyba żadnem wychowaniem nie dadzą się doprowadzić siły przeciętnych ludzi. Stąd chociaż zalecenia ufności w Opatrzność Bożą, jakie zwykł w tych wypadkach dawać Kościół, uważa B. za »pobożną, lecz czczą gadaninę«, musimy przypuścić, że najmędrsze i opatrzne prawa, rządzące nietylko rozwojem pojedynczych rodzin, ale i rozwojem całej ludzkości zamieszkującej naszą planetę, przewidziały inne sposoby zapobieżenia nadmiernemu przeludnieniu. I w rzeczy samej, mimo, że wedle abstrakcyjnych obliczeń dawno już nie powinno być ani miejsca ani chleba na ziemi dla miljardowych rzesz dzieci Adama, widzimy naocznie, że ani miejsca dotychczas nie brakuje, ani ekonomiczne życie na zbytek rąk do pracy nie cierpi. Argumenty zresztą Maltusa i P. B. udowadniają za wiele, bo choćby wszystkie rodziny do czworga tylko dzieci ograniczyć, gdyby światem rządziła abstrakcyjna cyfra, a nie opatrzny Bóg, za lat dwieście nie pomieścilibyśmy się na naszym globie. Sądzimy więc, że *moral restraint* jest w małżeństwie z wielu względów konieczne, sądzimy, że na niem doskonale wyjdzie i świętość tego stanu i zdrowie potomstwa i moralny rozwój rodzin, ale nie sądzimy, żeby można w tym względzie stawiać jakiekolwiek ogólne przepisy. Samo bowiem życie, które nieświadomie nawet porusza się po kolejach głębokich i teoretycznie nieraz nieznanych praw Bożych, samo to życie, wsparte zdrową moralną dyscypliną, znajdzie praktyczne rozwiązanie dla problemu grożącego przeludnienia.

Pomimo ustępu o niebezpieczeństwach zbytniej płodności, który wolelibyśmy, żeby był wypadł nieco inaczej, nie mamy dla dzieła P. B. dość słów głębokiego uznania. Pragniemy najgoręcej, by ta książka znalazła się w ręku jaknajwiększej liczby mężczyzn w Polsce i przyczyniła się do tak niezmiernie potrzebnego i u nas wznowienia silnej moralnej dyscypliny popędów płciowych. Jakkolwiek bowiem autor ma na oku przedewszystkiem Francję, przeważna część jego wywodów ma doniosłość zupełnie ogólną.

Ks. Jan Rostworowski.

J. P.: Rola Chrześcijańskiej Demokracji w życiu społeczno-politycznem. Kraków 1921, 8° 35.
J. P.: Idea chrześcijańsko-społeczna w jej historycznym rozwoju. Kraków 1922, 8° 31.
Ks. Stanisław Adamski: Zadania Chrześcijańskiej Demokracji w Polsce, Poznań 1922, 8° 43.
Dr. A. Koperska: Zasady polityki chrześcijańskiej. Poznań 1921, 8° 137.
Dr. Leon Halban: Zasady społeczne nowego Kodeksu Prawa Kościelnego. Poznań 1922, 8° 88
Ks. I. Charszewski: Polska między Bogiem a szatanem. Włocławek 1922, 8° 26.

O zasadach chrześcijańskiej demokracji pisano u nas trochę już wpierw nim było stronnictwo, które się nazwało tym tytułem, a dziś, kiedy zasady Kościoła katolickiego stały się wytycznemi jednego ze stronnictw politycznych, kiedy na nich zaczyna się w wielkim stylu odbudowę społeczno-ekonomiczną, kiedy powstają setki stowarzyszeń z chrześcijańskim celem kulturalno-oświatowym, fakt pojawienia się kilku prac w tym kierunku należy powitać ze szczerą radością.

Nawiasem dodajemy, że grupując wymienione prace pod jednym tytułem, nie chcemy decydować o przynależności autorów do stronnictwa politycznego, lecz czynimy to tylko ze względu na ideowe powinowactwo omawianych.

Ks. Charszewski odmalował w swej broszurze jaskrawo, w kapitalnych, może za kapitalnych zwrotach smutny fakt, że Polska żyje pod wpływem zmaterjalizowanego, rewolucyjnego socjalizmu, liberalnego kontrrewolucjonizmu i szatanizującego żydowstwa, słowem zamiast Bogu w wielkiej mierze wysługuje się szatanowi. Niezaprzeczoną zasługą autora jest uwypuklenie niebezpiecznej działalności stronnictw, które w narodowej działalności podporządkowały dobra wieczne dobrom doczesnym, choć szkoda, że autor zstąpił tutaj aż do nazwisk, którym przystawił niepochlebne epitety. Sądzimy też, że do zobrazowania niebezpieczeństwa żydowskiego nie potrzeba zupełnie powoływać się na »Protokoły Mędrców Syonu«, o które autor kruszy kopję prawdopodobnie daremnie. Pozytywnego ujęcia pracy i programu w duchu Bożym w broszurze nie znajdujemy, bo to leżało poza ramami broszury. Autor kończy tylko wezwaniem »do ofensywy«! »Do ofensywy przeciw apoteozującemu się szatanowi lewicy! Do ofensywy ducha katolickiego przeciw popieranej złotem ofensywie masońsko-żydowskiej«!

Mniej fascynującą formę, owszem możnaby rzec za ubogą formę, lecz zato sporo elementu pozytywnego posiadają dwie broszury »Rola Ch. D. w życiu społeczno-politycznem« i »Idea chrześcijańsko-społeczna w jej historycznym rozwoju«. Są to dwa pierwsze numery powstającej w Krakowie »Bibljoteki Chrześcijańsko-społecznej«. Pierwsza po omówieniu ujemnych stron ruchu socjalno-demokratycznego, po rzucie oka na historję demokracji chrześcijańskiej wyłuszcza znaczenie owego ruchu w życiu politycznem i społecznem. Jest też w niej ustęp o istocie chrześcijańskiej demokracji. Rzecz najważniejsza, ale stanowczo za słabo,

a bodaj nawet trochę mętnie pojęta. Autor mianowicie utożsamia, albo — powiedzmy ściślej — dedukuje sprawiedliwość społeczną z miłości chrześcijańskiej. Tymczasem miłość chrześcijańska sięga o wiele wyżej niż sprawiedliwość i często niemal w żadnej proporcji z nią nie stoi. Inna sprawa, że jedna i druga musi być podstawą demokracji chrześcijańskiej. Tą nieścisłość można złożyć na karb wielkiej zwięzłości broszury. Autor zresztą sam to czuł, że jego broszura jest tylko szkicem do całego szeregu następnych prac, w których szczególne kwestje roli Ch. D. trzeba omówić monograficznie. Przypuszczenie to opieramy choćby na fakcie, że jego druga broszura w ten sposób traktuje historję ruchu demokratycznego. W broszurze tej przechodzi genezę kwestji społecznej i stanowisko wybitnych katolików wobec niej we Francji, w Anglji, Niemczech, Austrji, Belgji i Włoszech, czyniąc wzmiankę w paru wierszach o Polsce. Osią treści tej broszury są orędzia Leona XIII o zagadnieniu społecznem. Sztuką niezwykłą musi być pomieszczenie tak obszernej treści na 30 stronach, to też chętnie nazwalibyśmy tę pracę repetitorium historji ruchu chrześcijańskiej demokracji. Zdaje nam się, że popularnością cieszyć się ona nie będzie, ale tym, którzy w obszerniejszych dziełach przyglądali się historycznemu rozwojowi idei chrześcijańsko-społecznej, bezwątpienia posłuży w niejednym wypadku do odświeżenia zaczerpniętych skądinąd wiadomości.

Mniej więcej tę samą myśl co »Rola Ch. D.« przedstawia praca ks. St. Adamskiego. Jest to już druga z rzędu praca autora na ten temat w całym cyklu broszur, które wychodzą w Poznaniu nakładem Chrześcijańskiego Narodowego Stronnictwa Pracy, pod ogólnym tytułem »Bibljoteka społeczno-polityczna«. — W omawianej przez nas broszurze mamy głębsze i, co bezwątpienia jest wynikiem czynnego udziału autora w polityce, praktyczne ujęcie zadań chrześcijańskiej demokracji. Obok trafnego i silnego przedstawienia konieczności nie tylko sympatyzującego z katolicyzmem, ale prawdziwie katolickiego stronnictwa, spotykamy tu wiele mówiące szczegóły o stosunku Polski do Rzymu, słuszne uwagi o zagadnieniu żydowskiem i t. d. Autor znalazł miejsce nawet na uprzedzenie pewnych trudności i zarzutów o klerykaliźmie, a co ciekawsze — podał bardzo praktyczne i potrzebne uwagi o zakładaniu kół Ch. D. i systematyczny wykaz dzieł i broszur z zakresu jej ideologji. Pod koniec autor zastrzega się, że »stronnictwo Ch. D. nie aneksuje idei katolickiej dla siebie«. Jest to prawda, bo można należeć do innego stronnictwa i być katolikiem. Ale pewno i to prawda, że kto nie należy do Ch. D., ten najwidoczniej wyznaje inny program niż Ch. D., a skoro ma odmienny od niej program, tedy trudno powiedzieć, że ma program encykliki »Rerum« i trzeba chyba powiedzieć, że zboczył z tej drogi na lewo, albo na prawo i szuka dróg katolickich swą własną powagą, co napewno jest mniej bezpieczne. Tak się zdaje przynajmniej ze stanowiska teoretycznego, a ze stanowiska praktycznego, może jeszcze wątpliwiej. Lecz ta nasza wątpliwość nie ujmuje bynajmniej

wartości broszury, która swą treścią i formą powinna sobie utorować drogę do najszerszych kół.

Kiedy się czyta broszurę ks. Adamskiego, ma się chwilami wrażenie, że całe stronnictwo i pracę Ch. D. konstruuje się celem obrony interesów Kościoła czuje się brak uzasadnienia, że program chrześcijański jest bezwzględną koniecznością, o ile chodzi o *maximum* szczęścia na ziemi i dla jednostek i dla społeczeństw. Brak ten świetnie wprost uzupełnia praca Dr. Koperskiej: »Zasady polityki chrześcijańskiej«. Autorka roztrząsa najpierw kwestję stosunku religji i etyki do polityki. Na tem tle bada bardziej szczegółowe zagadnienia demokratyzmu społecznego i politycznego, istoty państwa i jego zadań, pochodzenia i granic władzy państwowej, stosunku rodziny do państwa i Kościoła do państwa, własności prywatnej i obowiązków z niej płynących. Są to wszystko sprawy zasadnicze, podstawy zarówno światopoglądu jak praktycznej akcji. W tem już leży wielka zasługa autorki, że w swych dziesięciu wykładach potrafiła tak umiejętnie dobrać to, co najważniejsze.

Większą jeszcze zasługą jest sposób ujęcia tych arcyważnych lecz i wcale niełatwych problemów. Tu, zdaje się, autorka osiągnęła, jak dotąd, rekord i w jasności i ścisłości rozpatrywania poszczególnych zagadnień. Przy każdej kwestji ustala i objaśnia przedewszystkiem pojęcia, poczem dopiero głęboko i przystępnie a przytem zdumiewająco logicznie analizuje i uzasadnia same zagadnienia. Tak prawdziwie pokatolicku i tak głęboko pojęte problemy rzadko wychodzą nawet z pod męzkich piór. Niektóre ustępy są wprost świetne. Do nich należą obydwa wykłady o demokratyźmie, w których spotykamy doskonale ujętą konieczność demokratycznych stosunków z niemniej trafną oceną dzisiejszej demokracji wogóle. Książka ta powinna się znaleźć w ręku, owszem w głowie i w sercu każdego, który chce stanąć pewną nogą na gruncie katolickim w pracy społecznej, czy politycznej, o ile skądinąd nie studjował zawodowo tej kwestji. Może z niej zresztą korzystać każdy zwyczajny śmiertelnik, bo zaledwie parę ustępów wymaga pewnych objaśnień.

Kilka szczegółów w wykładach dla zupełnej ścisłości wymaga nieznacznego uzupełnienia. Autorka n. p. twierdzi, że wolność woli nie polega na wyborze między złem a dobrem. Że tylko na tem nie polega, zgoda, ale że i na tem nie, to trudno przyznać. W kwestji pochodzenia władzy od Boga autorka zajęła stanowisko pośredniego pochodzenia i przedstawia je jako naukę teologów. Prawda, że są powagi naukowe, tak twierdzące, ale są inne twierdzące co innego i to należało zaznaczyć dla ścisłości. Ogólne twierdzenie »podobnież wszelkie przepisy n. p. policyjne, administracyjne, pocztowe, kolejowe, celne i t. p.« możnaby zaliczyć do moralnie obojętnych — tak i nie. Moralnie obojętny jest przepis, ile może ważyć przesyłka pocztowa, jaki wymiar ma mieć pocztówka, ale nie jest obojętny moralnie przepis opłaty pocztowej. Oryginalna i w swej koncepcji prawdziwa jest egzegeza au-

torki aksjomatu: »salus reipublicae suprema lex esto«, lecz powszechnie rozumie się go inaczej, mniej po katolicku.

To co p. A. Koperska wywnioskowała drogą dedukcji, z natury ludzkiej i objawienia, tosamo mamy ujęte na podstawie pozytywnej i najnowszej nauki Kościoła, mianowicie Kodeksu Prawa Kanonicznego w pracy dr. L. Halbana. Autor trochę niesłusznie zatytułował ją »Zasady społeczne«, bo równorzędnie omawia i zasady polityczne nowego Kodeksu. Mamy tu omówione z wielkim pietyzmem wzniosłe prawdy miłości i sprawiedliwości, któremi Kościół chce się kierować w życiu rodzin, narodów, państw, w życiu ogółu wiernych i duchowieństwa. Nie jest to jeszcze zestawienie zupełnie wyczerpujące, ani dość systematyczne, ale w każdym razie cenne. Tu i ówdzie autor przeciągnął trochę ścisłe wyrażenia kanonów, jak n. p. w twierdzeniu, że Kodeks stoi na stanowisku rozdziału Kościoła od państwa, że duchowni wszyscy są obowiązani do ścisłego posłuszeństwa, że Kościół żadnej wojny nie uważa za sprawiedliwą, że każde pobieranie podatków potępia. Do takich twierdzeń trzebaby dołączyć obszerny komentarz, żeby nie przedstawiały niebezpieczeństwa fałszu. Czynienie pewnej paraleli między Ligą Narodów a powszechnością Kościoła jest okaleczone głównym brakiem Ligi, brakiem jednych wspólnych i wiecznych zasad etycznych, czego autor nie podkreślił.

Wymienione więc tutaj prace, zebrane razem przypadkowo, uzupełniają się dość szczęśliwie i mogą stanowić cenny nabytek w bibljotekach organizacyj katolickich, jak i w prywatnych.

Ks. R. Moskała.

Rafał Taubenschlag: Spólnoty gminne w zorganizowanych prowincjach rzymskiego Wschodu. Kraków, 1921, 8° 15.

Praca przeciążona aparatem naukowym, a do tego nie dowodz zasadniczej tezy autora, że pierwotną formą własności była własność wspólna, komunizm. Możnaby zresztą i tak powiedzieć, byle przez słowo »pierwotny« nie oznaczać najpierwotniejszej formy własności. Mamy na to prawie współczesne dowody, współczesne w porównaniu z zamierzchłemi dziejami cesarstwa rzymskiego, o formowaniu się własności i wspólnoty gminnej wśród nawpół dzikich ludów dawnego imperjum rosyjskiego. Wykazał to doskonale J. St. Lewiński w swej pracy: »Powstanie własności i formowanie się wspólnoty gminnej«. Również wniosek, że serwituty i podobne obciążenia własności prywatnej są jakby szczątkowemi organami dawnego komunizmu, nie jest dostatecznie uzasadniony, bo tego rodzaju urządzenia tłómaczy dostatecznie konieczność społecznego współżycia ludzi. Samo zebranie i zestawianie źródeł, dowodzących istnienia w rzymskich prowincjach wspólnoty, jest bardzo cenne.

R. M.

Dr. Z. Daszyńska-Golińska: Miasta rolników jako dopełnienie reformy rolnej w Polsce. Warszawa 1922, 8° 43.

»Miasta rolników« a raczej dzielnice miast powiatowych, w których skupiłyby się hurtownie i centrale powiatowe poważnych kooperatyw wiejskich, szkoły zawodowe gospodarstwa wiejskiego, urzędy i biura itd., urządzane po nowożytnemu, ulice szerokie, domy parterowe, czy jednopiętrowe w okoleniu zieleni ogrodów, z oświetleniem elektrycznem, siecią sklepniczą — i bez Żydów, oto obraz, jaki autorka naszkicowała w swej pracy. Bezwzględnie piękny, oby przynajmniej w przyszłem pokoleniu stał się rzeczywistością! Konieczność racjonalnej, postępowej i uprzemysłowionej gospodarki małorolnej wynika i z obawy ujemnych następstw reformy rolnej i z faktycznego przeludnienia polskiej wsi. Uprzemysłowienie ma się według autorki odbyć drogą współpracy w kooperatywach, postępowość przez szkoły, kursy, doświadczenia, dozór. Czy jednak nie można tu powtórzyć za poetą: »nim słońce wzejdzie, rosa oczy myje?« Fakt, że kooperatywy różnego typu rozwijały się bujnie na gruncie polskim w ostatnich latach, nie świadczy jeszcze o tem, że nasze społeczeństwo dorosło do spełnienia zadań spółdzielni. Najświeższe spostrzeżenia świadczą o tem, że do kooperatyw ludność była pędzona wyjątkową biedą. Gdy tego bicza brakło, spółdzielnie zaczęły się rozsypywać. Do przygotowania społeczeństwa, zwłaszcza chłopa, w tym kierunku potrzeba sporo czasu i pieniędzy. A jeszcze więcej pieniędzy wymagać będą szkoły zawodowe, bez których trudno naprzód ruszyć.

Gdyby autorka do liczb statystycznych, bardzo interesujących i do projektu ustawy o miastach rolników dołączyła projekt budżetu, który musi być podstawą powstania takich miast, a w pracy autorki powinienby służyć za tło owego nęcącego obrazu, wówczas stanęlibyśmy bliżej rzeczywistości, napewno mniej różowej. Dobrze jednak, że w literaturze gospodarczej pojawiła się tego rodzaju praca, bo jest podstawą do celowej dyskusji. *R. M.*

Wł. Gostyński: Cud Wisły w świetle zasad strategji. Zamość 1921, 8° 46.

M. Handelsman: W piątym pułku legjonów. Zamość 1921, 8° 96.

Prócz wydawnictw warszawskiej Księgarni Wojskowej, która niejako ex professo zajmuje się perypecjami polskiego Marsa, wydała i księgarnia Z. Pomarańskiego parę drobniejszych prac na ten temat, z których dwie mam właśnie przed sobą.

»Cud Wisły w świetle zasad strategji«. Tytuł sam już trochę mówi o wartości broszurki. Wierzymy, że autorowi nie chodziło o kurczenie wiary, jaka trwa do dziś w wielu polskich sercach, o nadzwyczajnej pomocy bożej w dniach grozy. Jednakowoż to, że o tym entuzjaźmie całego narodu, którego podstawą była uporczywa nadzieja zwycięstwa, popierana niemilknącemi w dzień i w nocy modłami, autor

ani słówkiem nie wspomina, pozostawia po przeczytaniu tych kilkudziesięciu stron niemiły posmak. Nikt przecież z Polaków nie wątpi o wielkim wysiłku sztabu generalnego i polskiego żołnierza, ale ślepy chyba zechce twierdzić, że było tylko to i nic więcej. Zresztą na podstawie broszury możnaby też coś o tem powiedzieć. Autor pozytywnie przedstawia wartość wyprawy kijowskiej, przynajmniej w planach naczelnego dowództwa, ale wmówić w społeczeństwo równie pozytywnych bezpośrednich rezultatów tej wyprawy wobec bolesnych skutków nikt nie potrafi. Lecz jeśli w pierwszym i w drugim wypadku, przy wyprawie na Kijów i obronie Warszawy, była równa genjalność, skąd się wzięły przeciwne dwa skutki?.....

Prof. Handelsman w swej broszurze przedstawia szczyptę wrażeń, jakie odniósł w ochotniczej służbie między piątakami. Chodzi mu głównie o odtworzenie piórem typu »leguna«. Udało mu się to naprawdę doskonale. Podchwycił bardzo paradoksalne, a jednak rzeczywiste sprzeczności w pojęciach, usposobieniu, w mowie i w sposobie postępowania polskiego legjonisty. Samo to sprawia, że z zajęciem i pożytkiem czyta się broszurę. Mamy w niej jednak równie dobre charakterystyki żołnierza-bolszewika, żołnierza litewskiego i białoruskiego społeczeństwa. Trafność w odtworzeniu typu »leguna« każe nam wnioskować, że i te charakterystyki są podobnie objektywne, a w takim razie tem cenniejszą jest broszura dla wszystkich, dla których stosunki białoruskie i wygląd armji litewskiej jest jakiemś ignotum X.

R. M.

Dr. Fr. Bujak: Dziejowe znaczenie morza. Zamość 1921, 8o 30.

Autor w ogólnych obrazach przedstawia wpływ morza na kulturę i siłę narodów i państw. Pod tym kątem rozpatruje dzieje Fenicji, Grecji, imperjum rzymskiego, potęgi mahometańskiej, Skandynawji, narodów romańskich, Niemiec i Anglji. Wnioskiem tego kalejdoskopicznego przeglądu wiekowych dziejów tych potęg światowych jest zdanie: Musimy z największym wysiłkiem dążyć do silnego usadowienia się w delcie wiślanej i jej okolicach pod względem gospodarczym i ludnościowym. »Polski kurytarz do morza musi się przemienić w skrzydło gmachu Rzeczypospospolitej, jeżeli ten gmach ma być naprawdę silny i trwały«. Można jednak, zdaje się dodać, że jeśli nam się to, do czego zresztą mamy prawo, nie uda, to pozostanie nam pociecha w wielkościach Assyrji i Egiptu, w trwałości Węgier bez morza, i w zacofaniu Hiszpanji lub Portugalji i tylu innych państw i narodów nadmorskich. I trzeba będzie wielkości i trwałości szukać w tem morzu, którem są zdolności naszego narodu i bogactwa przyrodzone polskiej ziemi. *R. M.*

Dr. Dobrzyńska-Rybicka: Chwila obecna, próba analizy psychologiczno-etycznej. Poznań, księg. św. Wojciecha, 1922. Str. 65.

Ciekawe i aktualne studjum podjęła tu autorka, wychodząc z za-

łożenia, że »świadomość powszechna i indywidualna, to zjawisko jakościowe jedno«, poddaje różne objawy naszego życia narodowego i społecznego analizie psychologiczno-etycznej, by z jej pomocą wykryć podłoże i przyczyny pewnych braków dzisiejszych. Kolejno przesuwają się więc przed nami różne ujemne strony społeczeństwa: chęć używania i lenistwo, dzielnicowość i niezgoda, brak zaufania do siebie i niedocenianie siebie, skłonność do krytykowania wszystkiego i przygnębienie, trudność urządzenia machiny państwowej, stronnictwa i przekładanie ich ponad dobro państwa, nieobowiązkowość i nieuczciwość publiczna. Rozbieranie ich zmusza naturalnie do wciągnięcia stosunkowo znacznego, ale zwięźle i jasno przedstawionego materjału z zakresu teorji poznania, logiki, etyki i psychologji doświadczalnej.

Godząc się na tok rozumowania, ujętego trafnie w szczupłych ramach, pragnąłbym jednak zwrócić uwagę na parę szczegółów. Trudno się zgodzić na zbyt jednak ogólnie postawione zdanie o sprzeczności uczuć rodzinnych i społecznych (str. 22); również spencerowskie określenie »konieczności« w poznaniu (str. 43) stanowczo nie wystarczy do jej uzasadnienia. Wreszcie zarzut »nieubłaganego defetyzmu«, wiejącego z kazań sejmowych (str. 64), byłby wtedy jedynie słuszny, gdyby Skarga miał na ustach tylko wyrazy lamentu i bólu, płynących z wizji przyszłości; tymczasem on nawoływał do czynu, a zapowiedź nieszczęścia była tylko groźbą, podyktowaną widokiem niepoprawności szlachty i gorącą miłością ojczyzny. Lecz gdy wyższe pobudki nie pomagają, wolno zawsze tak czynić; przecież rodzice w domu i nauczyciel w szkole mogą grozić nieposłusznemu i leniwemu dziecku, że czekają je przykre następstwa — a nikt nie powie, że przez to przyswają ono sobie myśl upadku.

Całość jednak przedstawia się dobrze: jeżeli niema w niej optymizmu, to daleką jest również od pesymizmu, a bijąca z niej troska o dobro ojczyzny i poczucie obywatelskie jej synów, każą nam pracę tę przyjąć z uznaniem i oczekiwać zapowiedzianych dalszych jej części.

St. Podoleński.

Stefan Papée, Henryk Sienkiewicz jako humorysta, Poznań, 1922, str. 158.

W literaturze krytycznej o Sienkiewiczu rozróżnić możemy trzy okresy. Pierwszy to okres entuzjazmu, gdzie najdonośniej rozlegają się głosy Józafata Nowińskiego (Sienkiewicz 1901) i Stan. Tarnowskiego, który zresztą słusznie powieść Sienkiewicza nazywa »nietylko ozdobą i zaszczytem literatury, ale zdrowym pokarmem, wzmacniającym kordjałem dla narodu« (Historja lit. p., Kraków 1907, t. VI. cz. II. str. 417). Nawet trzeźwy Chmielowski, który może zbytnio uzależnia naszego pisarza od Dumasa, chyli z uznaniem głowę przed »znakomitemi powieściami« (H. Sienkiewicz w oświetleniu ktytycznem, Lwów 1901).

Już Brückner podkreśla zwrot w krytyce w wielkim powieściopi-

sarzu, a zwłaszcza ukazuje sentyment Młodej Polski. Rzeczywiście gorzką ironją drga głos Stanisława Brzozowskiego, jej utalentowanego herolda, kiedy rzuca się na autora »Rodziny Połanieckich« i tego »idyllicznego paszkwilu« »Quo Vadis« (»Legenda Młodej Polski, Lwów 1910). Acz Sienkiewicza niby broni, to jednak wtóruje krytykowi młodemu krakowski komiwojażer literatury najnowszej, Wilhelm Feldmann, podkreślając, iż głośny pisarz »do skarbca ludzkości ni narodu nie wniósł ani jednej prawdy« (Piśmiennictwo polskie, Lwów 1905 t. III, 28.)

Najnowszy okres stoi pod znakiem Matuszewskiego, a więcej jeszcze Konstantego Wojciechowskiego. Poczynają się już badania nad »wpływologją«, którą daremnie usiłował ośmieszyć Adam Grzymała-Siedlecki. Wojciechowski stawia paralelę między Żytkiewiczem Czajkowskiego, a Zagłobą, niżej podpisany między Strusiem Szarzyńskiego a Longinem. (Pam. lit. 1916 X I—II, 104 i »Przegl. Powsz.« 1919 r. X, 246.) Obecnie zajął się humorem Sienkiewicza Stefan Papée, słusznie dobierając sobie taki temat, boć humor i plastyczność to dwa potężne skrzydła, na których wielki nasz pisarz szybuje najgórniejszemi szlaki. A była to praca niełatwa, boć tej strony działalności pisarskiej nie opracowano dotąd specjalniej.

Humor Sienkiewicza to zdrój tryskający potężną fontanną zaraz w początkach jego zawodu, kiedy się jeszcze krył za tarczą »Litwą«. Wzorując się na Dickensie, Szekspirze, Beniowskim, używał szczególnie ostrza ironji i satyry. Talent jego wnet roześlniony tęczowemi kolory tworzyć począł i »Postaci śmieszne« jak Rocha Kowalskiego, Sanderusa i »Postaci»naiwne« jak Longina, Litkę, słowem przebogatą galerję, dobrze wszystkim znaną, wydał zwłaszcza Zagłobę.

Autor przystąpił do swego studjum z całym aparatem naukowym, co już widoczne z licznych przypisków zamieszczonych na końcu dzieła. Starał się więc zużyć wyniki badań estetycznych zdobyte przez Volkelta, Lipsa, Höffdinga. Starał się pogłębić paralele między humorystą naszym a zagranicznymi. Tak udała się nieźle paralela między Dickensowskim Micawberem a Pławickim. Lecz warto było szerzej się rozwieść, porównując postaci Sienkiewicza i Cervantesa, a osobliwie podkreślić różnice w ironji naszego pisarza a autora podróży w krainę Honyhnmów (J. Swift. A voyage te the country of the Honyhnhms, Leipzig 1847 str. 262), zwłaszcza to, że polski twórca umie i ostrą satyrę opromienić dobrocią. A dalej, jakże autor mógł nazwać śmierć Petronjusza piękną? (str. 43). Przecież sam Tacyt nie chwali podobnej śmierci Vestinusa, a zato on oszczędny w słowach, unosi się nad wytrwałością wyzwolonej Epicharis, która nie drży nawet przed wyszukanemi katuszami. (Opera t. XV). O ileż bardziej chrześcijański pisarz winien piętnować samobójstwo, choćby i takiego estety!

A co powiedzieć o metodzie młodego autora? Niestety, niezupełnie zadowala! Drobiazgowe gromadzenie przykładów, suche katalogowanie spostrzeżeń, brak intuicyjnego wniknięcia w postaci żywe wielkiego twórcy, to raczej blada, bezkrwista analiza niż syntetyczne od-

tworzenie wielkich pomysłów. Mógł był się autor wzorować przecież na świetnej charakterystyce Sienkiewiczowskich kreacyj, podanej przez Konstantego Wojciechowskiego (Henr. Sienkiewicz, Lwów 1917). Jakże odtworzony tam humor drga życiem, kiedy profesor lwowski mówi o »Jamiole«, czy Zagłobie czy Rzędzianie!

Wogóle w dziele Papéego, dość sucho napisanem, humor Sienkiewiczowski rozanalizowany, rozpylony ulatnia się gdzieś i mało czuć jego świeży przecież i wonny zapach. Gdyby autor może później to dzieło napisał, kiedy to człowiek z latami nabiera zwłaszcza w dziedzinie humoru więcej doświadczenia, pewnie, że inaczej byłaby rzecz wypadła.

I forma wywołuje nieco zarzutów, szyk, podział na ustępy, bezbarwny sposób pisania, wątpliwe czy błędne zwroty, jak »klęcia« (97), »wartało« (99), »ofiarowuje się« (102), »krewni się« (111), »burda« (113), »oddecha« (135), »chłostający« (147)!

Pomijając jednak te krytyczne uwagi należy podkreślić, że książka oparta o rzetelny podkład naukowy i szerokie oczytanie także w literaturze obcej, ma i mieć będzie znaczenie w naszem piśmiennictwie o Sienkiewiczu. Pierwsza to, o ile nam wiadomo, praca większa autora, więc vivant sequentes!

Ks. N. Cieszyński.

Hartman Grisar S. J.: Luther zu Worms u. die jüngsten drei Jahrhundertfeste der Reformation. Herder, Freiburg i. B. 1921.
Tenże: Luthers Kampfbilder I. Passional Christi Antichristi. Eröffnung des Bilderkampfes (1521). Herder, Freiburg i. B. 1921.

Wybitny autor trzytomowej monografji o Lutrze wydaje obecnie w związku z rocznicą spalenia bulli i wystąpienia Lutra na sejmie rzeszy w Wormacji szereg broszurek, które pisane naukowo-popularnie, przedstawiają te sprawy zupełnie bezstronnie. Przemowy i pisma protestanckie, odnoszące się do tych faktów, wymagały sprostowania. Ks. Grisar czyni to w bardzo spokojny sposób, opierając się na sumiennie zebranym materjale historycznym.

Nikt naturalnie nie był w stanie wystąpić w tej kwestji i przedstawić ją w sposób bardziej gruntowny jak autor dzieła, które nawet ze strony protestantów spotkało się w swoim czasie z korzystną oceną.

Jest niewątpliwie rzeczą bardzo pożyteczną, iż Luter i jego czasy doczekały się dzieł napisanych przez tak wybitnych historyków, jakimi są Grisar i Denifle. Były to czasy i fakta, których najbardziej nadużywają protestanci przeciw katolicyzmowi. Dobrze jednak zwrócić uwagę, iż żaden ze świętych i wybitnych działaczy Kościoła katolickiego nie ma dotąd tak obszernych i gruntownych biografji, jakiemi są właśnie te wspomniane życiorysy Lutra. Zwłaszcza w Polsce ograniczamy się do drobnych, popularnych broszurek, nie mających nieraz żadnej wartości naukowej. Grisar najpierw napisał gruntowne dzieło biograficzno-historyczne, a potem przystąpił do spopularyzowania tegoż przez mniejsze

przystępne broszurki. Byłoby bardzo do życzenia, by wybitniejsze jednostki w Kościele katolickim, które tak ważną rolę nieraz odgrywały, zwłaszcza pod względem społeczno-kulturalnym, doczekały się też biografji, tak gruntownie opracowanych, by mogły być przyczynkiem do historji kultury umysłowej lub życia społecznego, które dotąd w porównaniu do ilości opracowań dziejów politycznych bardzo mało są badane zwłaszcza w naszym kraju.

Ks. M. Skibniewski.

Mutter Klara Fey: Advents- und Weihnachtsbetrachtungen. Herder, Freiburg i. Br. 1921.

Rozmyślania matki Klary Fey, założycielki stowarzyszenia od Ubogiego Dzieciątka Jezus — wydane przez jej córki z notatek datowanych od r. 1847—1872 — a te szczegóły budzą pewne uprzedzenie, mimo wydania cyklu rozmyślań na post tej samej autorki w r. 1920.

Przerzucając książkę, znachodzi się w każdem rozmyślaniu cytat z ewangelji, zawsze nową modlitwę wstępną lub treść do niej, przygotowania, z których pierwsze streszcza rozmyślanie, a drugie nasuwa prośbę o owoc z niej, a wreszcie omówienie głównych myśli podanego zdarzenia ewangelicznego, bez podziału na punkta; tylko nowy wiersz rozpoczyna się przy nowej myśli, a każda myśl nawiązana jest do tekstu, względnie do części przytoczonego faktu, jest jasno i jędrnie wytłómaczona, z dołączeniem licznych, bardzo trafnych zastosowań. Książka jest pożyteczną i zajmującą. Uprzedzenie, jeżeli się je miało, biorąc książkę do ręki, niknie przy jej czytaniu. Autorka wprawdzie miała, pisząc rozmyślania, na oku swe zakonne córki, ale ten wzgląd nie spowodował jednostronności. Gruntowne uchwycenie prawdy ewangelicznej, znajomość psychy ludzkiej wogóle, uwzględnienie powszechnych warunków życia, utorowały drogę do zastosowań, które z jednej strony płyną z zadziwiającą naturalnością z przytoczonych faktów, a z drugiej strony obejmują szeroki widnokrąg różnych warstw społeczeństwa.

Ks. L. C.

Maria Müller: Friedensglöcklein, Beichtgeschichten für grössere Kinder. Herder, Freiburg in Br., 1921, in 16°, str. VIII+ 152.

Jest to oryginalna i rzeczywiście piękna książeczka, której zadaniem jest dalsze przygotowanie do spowiedzi. Cechą jej jest to, że nie zawiera żadnych suchych wywodów teoretycznych, lecz albo przystępne i ożywione objaśnienia w formie rozmowy, albo przykłady, które starają się uzmysłowić poszczególne prawdy. W pierwszej części autorka mówi o karach doczesnych, wieczności piekła, śmierci i grzechu, ilustrując je przykładami, a kończy ją opowiadaniem o ustanowieniu sakramentu pokuty, któremu poświęcona jest druga część książki. Rachunek sumienia, sąd ostateczny, żal za grzechy i postanowienie poprawy, spowiedź i zadośćuczynienie, przeplatane są znowu zajmującemi opowiadaniami,

a ostatnie z nich kończy trzecią część, rozwijającą krótko naukę o łasce. Widać, że autorka zna dobrze te rzeczy i przejęta jest głęboko duchem wiary; książka jej będzie też zajmującą i pożyteczną nawet dla tych dzieci, które już dłuższy czas się spowiadały. *S. P.*

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

— Celniejsze hymny kościelne w nowym przekładzie przez ks. T. Karyłowskiego T. J. Wilno 1922. Księgarnia J. Zawadzkiego, 16⁰, str. 64.

Boy: Nowe studja z literatury francuskiej. Kraków 1922. Krakowska Spółka Wydawnicza, 12⁰, str. 292.

— Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym. Dzieło zbiorowe pod redakcją prof. Ludwika Krzywickiego. T. I. cz. I. Warszawa 1922, Two wydawnicze »Ignis«, 8⁰, str. 232.

Ks. Ludwik Zalewski: Bibljoteka Ks. Ks. Kanoników Regularnych Lateraneńskich. Lublin 1922, J. Pietrzykowski Zakł. Graf., 8⁰, str. 37.

— Wzorowe wioski jako program działalności Towarzystwa Gniazd Sierocych. Warszawa 1921. druk L. Bogusławskiego 12⁰, str. 56.

Z wydawnictw Herdera we Fryburgu:

Joh. Jos. Laux: Der hl. Bonifatius, Apostel der Deutschen. Mit 11 Bildern. 8⁰, str. XII i 308.

Filippo Crispolti: Don Bosco. Leben u. Werk eines gottbegnadeten Priesters, Jugendfreundes u. Erziehers. Bearbeitet von Fr. Ritter von Lama. Mit 5 Bildern. 8⁰, str. VIII i 332.

Wiktor Cathrein S. J.: Katholik u. katholische Kirche, oder was hat der Katholik an seiner Kirche u. was schuldet er ihr? 8⁰, str. XIV i 364.

Jos. Keulers: Die eschatologische Lehre des vierten Esrabuches. (XX Band der »Biblischen Studien«). 8⁰, str. X i 204.

Des hl. Ignatius von Loyola: Geistliche Briefe u. Unterweisungen. Gesammelt u. übersetzt von Otto Kerner S. J. (Bücher für Seelenkultur) 8⁰, str. VIII i 298.

J. H. Karol Newmann: Christentum. I Band: Weg zum Christentum. Advent. 8⁰ pg. XX i 72. Fülle der Zeiten. 8⁰, pg VIII i 84. Bearbeitet von Przywara u. Karrer S. J.

Dr. Alfons Heilmann: Das Schönste aus den Kirchenvätern. 12⁰, str. VIII i 406.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Orędzie Papieża z okazji konferencji w Genui. — Ludowcy wobec listu biskupów o małżeństwie. — Religja w programie Stronnictwa Prawicy Narodowej.

Konferencja w Genui jest jednem z tych spotkań się mężów stanu, na których miała się odbyć odbudowa zrujnowanego przez wojnę świata. Powszechnie zrozumiano, że w zaprowadzeniu nowego ładu muszą odegrać rolę czynniki głębsze i szlachetniejsze, niż same tylko ekonomiczne względy. Pomiędzy temi czynnikami idealnemi pierwsze bezwątpienia miejsce należy się religji, która nadaje sankcję naturalnemu prawu, z jakiem winny się liczyć wszystkie zarządzenia polityki. Chociaż zdawano sobie sprawę, że na straży religijnych ideałów stoi przedewszystkiem Stolica Apostolska, mimo to zadawnione animozje sekciarskie nie dopuściły Papieża do obrad nad ustaleniem pokoju świata. Znany układ londyński z r. 1915, ustępując żądaniom Włoch, z góry wykluczał z przyszłej konferencji pokojowej najwyższą moralną potęgę świata. Nie widziano zatem przedstawiciela Papieża ani w Wersalu, ani na następnych konferencjach; nie dopuszczono go również, pomimo głosów niektórych członków, do składu Ligi Narodów.

Ten stanowczy bojkot naturalnego stróża prawa Bożego nie mógł oczywiście zrazić Papieży i przeszkodzić im zabierania głosu w sprawach tak żywo całą ludzkość obchodzących, jak ustalenie pokoju i zagojenie zadanych ludzkości przez wojnę ran. Obcy uczuciu animozji i zemsty Kościół nie przestawał w orędziach Benedykta XV wskazywać światu te podstawy, na których winien się oprzeć powszechny pokój, jeżeli ma być trwały; nie przestawał też Kościół służyć tejże

sprawie i środkiem nadprzyrodzonym, modlitwą, do której wzywał wszystkich wiernych, ilekroć rządcy państw i narodów zbierali się na wspólne obrady. W ślady swego poprzednika wstąpił także obecny Papież Pius XI. Przed rozpoczęciem konferencji w Genui arcybiskup tego miasta, Signori, wezwał wiernych swej diecezji do modlitw o powodzenie prac konferencji. Ojciec św. w liście swym z 7 kwietnia 1922 do rzeczonego arcybiskupa pochwala całkowicie jego wystąpienie, wypowiadając się ze swej strony jakie zasady przyświecać powinny zebranym w Genui mężom stanu. Nawiązując do hasła Czerwonego Krzyża: »inter arma charitas«, wskazuje Ojciec św., że tembardziej po wojnie miłość chrześcijańska winna lec w osnowę stosunków międzynarodowych. Wzajemne bowiem zaufanie i przyjaźń będą lepszą rękojmią pokoju, niż las bagnetów. Choćby do osiągnięcia tego celu trzeba było pewnych ofiar, to i tak te ofiary stokroć się opłacą, otwierając światłą drogę pracy, postępu i cywilizacji po ośmiu latach cierpień i zniszczenia ludzkości. Powszechne braterstwo narodów to ideał, nad którego urzeczywistnieniem pracował zawsze Kościół katolicki.

List papieski, jakkolwiek nie adresowany do państw i ich rządców, wywołał jaknajlepsze wrażenie. Za ciekawy symptom należy poczytać, że przedstawiciel tych samych Włoch, które zabiegały o wykluczenie Papieża z konferencji pokojowej, prezydent ministrów Facta, poświęcił mu na konferencji kilka ciepłych słów uznania. Oczywiście, znaleźli się i tacy, którzy jeśli nie w wierszach, to przynajmniej pomiędzy wierszami listu papieskiego starali się odczytać ślady niechęci Piusa XI do polityki francuskiej, a zbytnich sympatyj dla Niemiec. Wielkie dzienniki, pozostające w rękach masońsko-żydowskich, jak *Times, Temps*, przodowały w tego rodzaju insynuacjach. Niechętne te głosy jednak nie wywołały szerszego echa w świecie: wszyscy rozsądni rozumieją, że wspólny Ojciec chrześcijaństwa musi się odwoływać do sumień wszystkich narodów, nie utożsamiając swoich intencji z pragnieniami jednej tylko strony. Rzeczone insynuacje zresztą nawet z francuskiego punktu widzenia znalazły dzielny odpór ze strony Ch. Maurras'a w *Action française*, gdzie znakomity ten publicysta konserwatywny, choć osobiście niewierzący, umiał wykazać, że zastosowanie się do wskazań papieskich zarówno jest potrzebnem i pożytecznem będzie dla Francji zwycięskiej, jak i dla pobitych Niemiec. Zresztą intencje Ojca św. oceni tylko ten, kto zapomni o poszczególnych rozrachunkach między tem i owem państwem, a wzniesie się na ów wysoki poziom ideału powszechnego pokoju i powszechnej pomyślności.

Miesiąc temu notowaliśmy na tem miejscu stanowisko, zajęte przez obóz socjalistyczny względem listu biskupów polskich o małżeństwie. Stanowisku temu nie dziwiliśmy się wobec powszechnie znanej a stałej taktyki obozu czerwonego — zwalczania wszystkiego, co wychodzi od Kościoła. Nie przypuszczaliśmy wszakże, żeby w danym razie ze stanowiskiem P. P. S. solidaryzować się miało Polskie Stronnictwo Ludowe. Dlatego wystąpienie posła Dębskiego w Sejmie w imieniu partji Piastowców przeciwko orędziu biskupów zjawiło się jako istna niespodzianka. O co właściwie Stronnictwu idzie? P. S. L., według tekstu oświadczenia, »jako organizacja polityczna, nie miesza się do przepisów kościelnych, a co do rozwodów, sprzeciwia się im z punktu widzenia dobra społecznego«. Jeśli tak, to należało się spodziewać ze strony stronnictwa raczej aprobaty dla listu księży biskupów. Cóż mogło zaszkodzić stronnictwu, oświadczającemu się zasadniczo przeciw rozwodom, orędzie biskupów nawołujące wiernych, aby do przyszłego Sejmu wybierali posłów, którzy staną na straży nierozerwalności małżeństwa? Właśnie oświadczenie się przeciw rozwodom ze strony Piastowców byłoby usunęło jeden ze szkopułów, jakie stoją na drodze do zupełnego zbliżenia się stronnictwa do Kościoła i nawzajem wierzących katolików do stronnictwa. Tymczasem oświadczenie posła Dębskiego, odmawiające biskupom prawa przestrzegania wiernych przed oddawaniem głosów na ludzi wrogich zasadom katolickim, oświadczenie przytem złożone w tonie lekceważącym nasz episkopat, musi wywołać podejrzenia, że i zasadnicze stanowisko prowodyrów stronnictwa względem rozwodów nie jest takie, o jakiem czytamy w oświadczeniu. Tym sposobem stronnictwo najniepotrzebniej pogłębia tę przepaść między sobą a Kościołem, którą częściowo już wykopało swojem stanowiskiem wobec szkoły wyznaniowej i przy głosowaniu nad ś. p. ustawą o przeniesieniu praw kolatorskich na gminy wyznaniowe. Trudno też zrozumieć, jak klub P. S. L. mógł powiedzieć, że cała akcja księży biskupów przeciwko rozwodom »została rozpoczęta bez żadnej przyczyny ze strony Sejmu«, skoro powszechnie wiadomo, że obóz lewicowy przy każdej sposobności kwestję reformy prawa małżeńskiego w kierunku ślubów cywilnych i rozwodów stawia na porządku dziennym. W tym razie Stronnictwo Ludowe chciało widocznie odegrać rolę parawanu, zasłaniającego przed ogółem zakusy lewicy. Parawan ten wszakże łatwo będzie rozedrzeć i menerzy P. S. L. dużo mogą stracić na zaufaniu w swoją prawdomowność u tych licznych jeszcze członków stronnictwa, którzy bynajmniej nie pragną walki z Kościołem i religją.

Kiedy stronnictwa lewicowe, a jak dopiero co widzieliśmy i centrum ludowe, przez jakiś dziwny atawizm chcą uczynić z walki z Kościołem narzędzie przedwyborczej agitacji, w innych stronnictwach dojrzało już przekonanie, że pierwiastek religijny jest najważniejszym czynnikiem zdrowego rozwoju życia narodowego i że dlatego należy popierać tę organizację, która hoduje i rozwija ów pierwiastek religijny. Świeżo ogłoszony »Program Stronnictwa Prawicy Narodowej« czyni z religji jedną z trzech — obok praworządności i wzmocnienia państwowości — podstaw polityki zachowawczej. Z Programu widać, że właśnie nad problemem religijnym najsumienniej zastanawiali się jego autorzy. Stronnictwo Prawicy Narodowej obiecuje dążyć do oparcia nietylko życia prywatnego, ale i życia publicznego na zasadach moralności chrześcijańskiej, »tak znakomicie — jak mówi — od tylu wieków przez Kościół katolicki bronionej i rozwijanej«. Odrzuca czysto racjonalistyczne systemy etyki, jako zbyt chwiejne i dowolne, a zwraca się do moralności bezwzględnej, na prawie bożem opartej. Tą moralnością pragnęłoby przepoić nasze życie rodzinne, wychowanie i nauczanie młodzieży, całe szkolnictwo, stosunki między klasami społecznemi, nasze życie polityczne i partyjne, ustawodawstwo, a wreszcie stosunki międzynarodowe, »gdzie tak długo i tak ohydnie była moralność chrześcijańska gwałconą«. Przy Kościele katolickim staje stronnictwo, jak się wyraża, »z tradycyjną wiernością«, oświadczając się jednocześnie za hasłem tolerancji religijnej; oświadcza się także za zawarciem konkordatu między państwem polskiem a Głową Kościoła katolickiego.

Program będzie zapewno komentowany w prasie i zapewne niejeden brak w nim będzie wytknięty. Naszem zdaniem p. XI Programu, omawiający kwestje społeczne, jest zbyt ogólnikowy i pobieżny. Zapewne jest to już w obozie konserwatywnym wielkim krokiem naprzód, jeżeli się mówi o potrzebie ustawodawstwa socjalnego: jakże dalecy jesteśmy od *laissez faire, laissez passer* i od patrjarchalnej dobroczynności klas wyższych względem proletarjatu! Ale zdaje się, że na dopuszczeniu klas robotniczych do uczestnictwa w kulturze i oświacie, w dobrodziejstwach hygjeny i w rozmaitych asekuracjach nie może się skończyć reforma społeczna, i stronnictwo, które — jak głosi — chce się oprzeć na moralności przez Kościół wykładanej, będzie musiało pójść nieco dalej, kierując się duchem encyklik Leona XIII. Tylko, że wtedy nazwa stronnictwa, jako Stronnictwa z a c h o w a w c z e g o, może nie będzie odpowiadała rzeczywistości.

Inne punkty Programu na tem miejscu pomijamy. Wyrazić chcemy

tylko pragnienie, aby S. P. N. w stosunku do religji i Kościoła pozostało wiernem ogłoszonym tak uroczyście zasadom. Podkreślając tak silnie znaczenie pierwiastka religijnego i chrześcijańskiej moralności w życiu publicznem, stronnictwo bez sprzeniewierzenia się hasłu tolerancji winnoby konsekwentnie pielęgnować religijność uorganizowaną i uspołecznioną w Kościele katolickim, a z większym krytycyzmem, niż się dotąd w organach stronnictwa obserwowało, odnosić się do religijności indywidualistycznej, do wszelkich mistycyzmów anarchicznych tych różnych sekt i grup religijnych, jakie w ostatnich czasach wciskają się do Polski, a z których nawet szlachetne hasło tolerancji nie wykuje czynnika ładu, praworządności i jedności narodowej. Afirmując potrzebę moralności w rodzinie i w wychowaniu, winnoby stronnictwo przyczynić się do sanacji atmosfery moralnej także w dziedzinie sztuki, teatru i literatury, a pierwszym krokiem na tej drodze byłaby może ściślejsza cenzura tego, co się pisze o tych dziedzinach na łamach własnego dziennika. Hołdowanie, naprzykład, zasadzie amoralizmu w recenzjach teatralnych może podać w podejrzenie szczerość wiary w zasady moralne, kiedy chodzi o stosunki społeczne i międzynarodowe, a takiego podejrzenia i we własnym interesie i dla dobra całej Polski stronnictwo powinno za wszelką cenę uniknąć.

Ks. J. Urban.

Z nad granicy dwóch światów.

W Paryżu odbyło się w niedzielę 19 marca w *Bon Théatre* doroczne uroczyste zgromadzenie, które ściąga stale nietylko tłumy uczestników bezpośrednich, lecz zwraca na siebie uwagę całego cywilizowanego świata i wzbudza zawsze silne, choć rozmaicie odczuwane i motywowane zainteresowanie. Na zgromadzeniu tem bowiem lekarze biura stwierdzeń w Lourdes zdają sprawę z nienaturalnych uleczeń, jakie w ubiegłym roku w Lourdes stwierdzono i, o ile to możebne, przedstawiają chorych, którzy dostąpili w Lourdes uzdrowienia. Jak bowiem powszechnie wiadomo, od lat już wielu istnieje w Lourdes osobne biuro »Bureau des Constatations de Lourdes«, prowadzone przez wybitnych, sumiennych lekarzy, którzy chorych, przybyłych do Lourdes, badają wszystkiemi sposobami, jakiemi nauka najnowsza rozporządza, przyczem oczywiście i promienie Röntgena znajdują obszerne zastosowanie, wyniki badań, jakoteż poprzedni przebieg choroby, po-

dany przez stałego lekarza chorego, ściśle zapisują, a gdy zajdzie fakt jakiś nagłego uzdrowienia, znowu z całą sumiennością i bezstronnością poddają uleczonego badaniom, by zupełnie dokładnie i przedmiotowo przedstawić zaszłe w organiźmie chorego zmiany. I jest rzeczą znaną, że przy tych właśnie pracach biura i przy bezpośredniem zetknięciu się z faktami nawróciło się już wielu lekarzy sceptyków, których oczywiście do obserwacji i badań nad chorymi i uleczonymi biuro chętnie dopuszcza.

Obecnie po nieodżałowanym znakomitym doktorze Boissarie, który to biuro założył, objął trudne i wysoce odpowiedzialne kierownictwo biura dr. E. Le Bec i on też osobiście odczytał sprawozdanie za rok 1921. Wedle tego sprawozdania, fala pielgrzymów z całego świata, po przerwie spowodowanej wojną, napływa na nowo i w tym jednym roku przesunęło się przez Lourdes 800.000 pątników, pośród których było 7000 obłożnie chorych, pielęgnowanych w miejscowym szpitalu przez 391 lekarzy, pomiędzy nimi 105 obcych. Był jeden z Afryki południowej, jeden z Nowych Hebrydów, inny z Chin i wogóle wszystkich zakątków świata, między nimi protestanci i *libres-penseurs*, a wszyscy przypędzeni jednem pragnieniem: »Nie wiemy co tu jest, chcemy widzieć«. Jak dr. Bec zaznacza, Biuro sprawdzań jest »bardzo często dla kolegów niewierzących lub wątpiących punktem wyjścia do nawrócenia«. Przytacza też dr. Bec wypadek, gdzie jeden jezuita, ks. Lookwood, miał wykład w Londynie przed licznem gronem protestanckich lekarzy i przedstawiając fakty uleczeń w Lourdes, zmusił ich do przyznania możliwości, że ma się tu czynienia z czemś nadnaturalnem. Po odczycie dyskusja była żywa i długa, aż wreszcie lekarze oświadczyli: »Jeżeli cuda, o których nam się mówi, wydarzyły się w Lourdes, jest niemożliwe zaprzeczenie pierwiastka nadprzyrodzonego«. Po dr. Bec'u zabrał głos wiceprezydent Biura, dr. Marchand, by zdać sprawę ze stwierdzonych świeżo uleczeń. W ciągu krótkiego czasu, bo od 1 maja do 15 sierpnia 1921 r., biuro autentycznie przekonało się o 15 wypadkach ważniejszych uzdrowień, przyczem większą część wypadków chorób stanowiły tuberkuły w rozmaitej postaci.

Z kolei więc trzej lekarze, jeden po drugim, opisują dokładnie wypadki trzech wybitnych uzdrowień, które zaszły już po 15 sierpnia, przyczem każdy z tych lekarzy podaje wypadek, który sam bezpośrednio i szczegółowo badał, ręcząc swym lekarskim honorem za sumienność i autentyczność poszukiwań, a słowom ich dodaje niezmiernej wagi fakt obecności dwóch chorych osób, teraz już zdrowych, które były przedmiotem uleczenia. Więc najpierw dr. Mordret opisuje chorobę dziewiętnastoletniej Ireny Salin, z Mouries (Bouches-du-Rhone), która była dotknięta ciężkiem i bardzo bolesnem, tuberkulicznem zapaleniem kości kręgosłupa (mal de Pott lombaire), tak, że jej podróż do Lourdes była nieprzerwanem pasmem dotkliwych boleści. Pomimo, że ją dwukrotnie w sadzawce Lourdes zanurzono, nie doznała Irena ulgi i z nieuleczoną chorobą wsiadła do powrotnego pociągu. W drodze je-

dnak, przed przybyciem do Tuluzy, nastąpił nagły powrót do zdrowia, a gdy przyjechała do Arles, wyskoczyła zdrowa i wesoła z wagonu, trzymając niepotrzebną już rurkę przetokową pod pachą.

Drugi przypadek przedstawia dr. Brzezicki: uzdrowioną jest Siostra Marja Saint-Marcel, zakonnica de la Compassion z Beauvais, która obecna na zgromadzeniu zasiada zarumieniona na scenie. Była ona chora na bardzo ostre tuberkuły gardła, jak to orzekł specjalista, który ją badał 6 sierpnia 1921 r., dodając wówczas przy diagnozie: *exitus rapidus*, koniec chorej rychły. Gdy przybyła do Lourdes po ratunek nadprzyrodzony, była już zupełnie bez głosu, a choroba rozwinęła się tak, że nawet przełykanie śliny sprawiało chorej ból dotkliwy. 15s sierpnia obecną była na procesji i w chwili, gdy koło niej przechodził Najśw. Sakrament, zaczęła nagle modlić się głośno, a następnie śpiewać. W Biurze sprawdzań badał ją natychmiast dr. Bec przez pięć kwadransy i przekonał się, że chora uleczona jest zupełnie, a z całych tuberkuł pozostało w gardle tylko lekkie zaognienie miejscowe, »jakby pieczęć cudu«, jak pięknie dr. Bec się wyraża. Dziś po siedmiu miesiącach Siostra Marja jest zupełnie na gardło zdrowa.

Trzeci wypadek, najbardziej typowy, to uzdrowienie dwudziestosześcioletniej panny Emilji Cailleux, u której do tuberkulicznego zapalenia kręgosłupa przyłączyło się jeszcze porażenie dolnej części ciała i skurczenie nóg, tak że nawet stać nie mogła. Badania röntgenograficzne stwierdziły deformację stosu kręgowego, a więc absces wewnętrznego kręgowego kanału. Po całorocznym pobycie w szpitalu Saint-Louis stan chorej tak się pogorszył, że pozostał z niej prawie tylko szkielet zupełnie wynędzniały i osłabiony. Gdy w gorsecie gipsowym przybyła do Lourdes, nie można było nawet mówić o zanurzeniu jej w sadzawce, obwijano jej tylko nogi serwetami maczanemi w sadzawce. Odmawiała tedy tylko różaniec przed grotą — i przy końcu piątej dziesiątki uczuła nagle, jakgdyby wytrysło w niej nowe jakieś życie. Odwiązują z niej bandaże, niosą ją do Biura sprawdzań, tu chora wstaje i chodzi i przekonywują się, że nastąpiło uzdrowienie nagłe i całkowite, zdolność zupełna i bezbolesna do wszelkich ruchów, a dziś zdrowa staje przed zgromadzeniem, by obecnością swą potwierdzić wszystko, co o niej i o jej chorobie mówiono.

Oczywiście nie trzeba sądzić, że trzy wypadki dopiero co opisane, albo nawet owych piętnaście, o których wyżej wspomniano, stanowią całkowitą sumę zeszłorocznych uleczeń w Lourdes. Właśnie w najnowszym numerze znanego czasopisma filozoficznego *Revue de Philosophie* ten sam dr. Bec umieścił obszerny, bo 40 stron liczący, niezmiernie interesujący artykuł, pod tytułem: »Dowody medyczne cudownych uleczeń«, w którym w sposób najzupełniej ścisły i naukowy roztrząsa ze stanowiska medycyny zjawiska uleczeń w Lourdes, ilustrując swe wywody kilkoma typowymi wypadkami uleczeń w Lourdes z lat ostatnich, i całkiem spokojnie i przedmiotowo rozważa pytanie, czy takie uleczenia można wytłumaczyć w jakikolwiek naturalny sposób.

Przedewszystkiem zaznacza dr. Bec i dowodami stwierdza, że »Bureau des Constatations de Lourdes« to instytucja nawskróś naukowa, przystępna dla wszystkich lekarzy, jacy tylko się tam zgłoszą, uposażona we wszelkie najnowsze środki badania i wystrzegająca się najstaranniej wszystkiego, coby mogło słusznie podać w choćby cień wątpliwości jej orzeczenia. »Lepiej milczeniem pominąć wiele cudów pewnych, niż ogłosić jeden fałszywy«, oto jedno z haseł Biura. Stąd takie przepisy drakońskie, że n. p. z pod orzeczeń wyłączone są wszelkie choroby nerwowe, nie połączone z widocznemi zmianami anatomiczno-patologicznemi. Do Lourdes przyjechał np. pewien żołnierz, który na wojnie ostatniej przy wybuchu tuż przy nim granatu został przywalony całkiem ziemią. Wydobyto go sparaliżowanego na całem ciele i troskliwe leczenie w szpitalach wojskowych przez przeciąg czterech lat nie pomogło. To też do sadzawki w Lourdes musiano go przynieść na noszach. Zanurzony do wody uzyskuje natychmiast zdrowie zupełne. Cud — ale Biuro sprawdzań nie uznaje tego uleczenia za cud, gdyż u chorego żołnierza nie było żadnych anatomicznych oznak naruszenia systemu nerwowego.

W artykule swym opisuje dr. Bec typowe uleczenie niejakiego Piotra de Rudder, który pracując jako drwal, doznał złamania nogi przez spadające nań drzewo. Było to jeszcze w r. 1867, ale zaraz zobaczymy dlaczego to uleczenie teraz dopiero przedstawia niezmiernie interesującą wartość. Po założeniu opatrunku noga się zaogniła, ropiała przez lat ośm, tak, że z ropą wydostał się i odpadł odłamek kości długości sześciu centymetrów. Chciano choremu wielokrotnie amputować nogę, ale on się nie zgadzał, wolał cierpieć. Wreszcie utworzyły się takie rany, że wychodziły przez nie oba końce kości, a z otworów sączyła się ropa niezmiernie cuchnąca. Gdy już tedy ustała nadzieja wszelkiej pomocy ludzkiej, de Rudder zwrócił się do Niepokalanej Dziewicy z Lourdes, lecz nie mogąc udać się do samego miejsca cudownego, powlókł się na kulach do wozu, by przynajmniej dostać się do imitacji tej groty w Oostacker, koło Gandawy. Rana psuła się już tak, że woźnica ostro zgromił nieszczęśliwego chorego, bo we wozie pozostała kałuża ropy. Smutny i pogrążony w modlitwie siedział de Rudder na ławce, gdy w tem uczuł nagle jakieś gwałtowne wewnętrzne wzburzenie. Wstał i odrzucił precz kule, a spostrzegłszy, że jest nagle całkiem uzdrowiony, udał się na kolanach do groty, by podziękować za otrzymaną łaskę, poczem popędził cwałem do pociągu. Powrócił zdrów i czerstwy do dawnego zawodu drwala i dożył zdrowo ośmdziesiątego roku życia, a zmarł na starcze zapalenie płuc. Po śmierci naturalnie rzucono się na zbadanie szkieletu nogi de Ruddera i obecnie właśnie przedstawił dr. Bec na publicznym odczycie w Paryżu wierny odlew tego szkieletu złamanej nogi. Są na nim widoczne ślady, że kość była złamana, ale uleczenie było zupełne. Było ono nagłe, jak widzieliśmy, natychmiastowe, podczas gdy wedle doświadczeń klinicznych, na utworzenie się normalne tak wielkiej ilości

nowej tkanki kostnej, jakiej tam brakowało, potrzeba dla człowieka w tym wieku, w którym był wówczas de Rudder, przynajmniej dni czterdziestu. Ale na jedną jeszcze okoliczność niezmiernie ciekawą i uderzającą zwrócił tu dr. Bec uwagę. W. skład tkanki kostnej wchodzi fosforan wapna i na utworzenie się takiego, jak u de Ruddera odłamka kości potrzeba tej soli 500 gramów. Tymczasem całkowita jej ilość, zawarta w krwi człowieka, wynosi tylko 160 gramów. Skądże więc, pyta dr. Bec, nagle wzięło się brakujących 340 gramów? Ażeby je otrzymać z pokarmu, musiałby człowiek spożyć, jak oblicza dr. Bec, 320 kilo, czego oczywiście nawet w kilkudziesięciu dniach dokonać nie zdoła. Oczywiście wobec takiego faktu nauka stoi niema, a każdy uczciwy i rozumny uczony musi przyznać, że ma się tu do czynienia ze zjawiskiem przechodzącem zupełnie siły przyrody.

Niepodobna streszczać tu obszerniej całego, niezmiernie interesującego artykułu dr. Bec'a, ale pozwolę sobie przytoczyć jeszcze fakta uleczeń, szczególnie typowe i pouczające. Pewien lekarz z północnej Francji zachorował na tuberkuły kiszek. Otworzono mu wnętrzności i wypuszczono około ośm litrów ropy, przyczem zauważono na kiszkach granulacje tuberkuliczne. Po operacji chory czuł się lepiej, lecz już po kilku miesiącach utworzył się absces na bliźnie, a za nim przetoka do jelita. Lekarz nasz wiedział, że w tych okolicznościach operacja przedstawia niezmiernie małe prawdopodobieństwo uleczenia, zwrócił się więc o ratunek do Niepokalanej z Lourdes. Gdy po czterdziestogodzinnej podróży, w czasie której ustawicznie wymiotował, dojechał do hotelu, był tak wyczerpany i cierpiący, że przeniesienie do sadzawki sprawiało mu męki niezmierne. Zanurzono go bez skutku. Gdy jednak dnia czwartego był obecnym podczas procesji, uczuł nagle gwałtowne bóle i zawołał do stojącej obok matki: »Mamo, sądzę, że jestem uleczony«. Wrócił do hotelu, zerwał bandaż i zobaczył, że otwór kiszkowy się zasklepił. Uleczenie było zupełne, lekarz ten żyje, praktykuje w Paryżu, jest silny, zdrów i nie odczuwa żadnych boleści. Zeszłego roku widział go dr. Bec w Paryżu w tym stanie, a jest to już lat ośmnaście po uleczeniu.

Lecz jeszcze jeden wypadek z wielu. Pewien stary człowiek w Anglet koło Biarritz zachorował na raka w policzku. Po operacji w jakiś czas nastąpiła recydywa, a że chory miał już lat 82, lekarz nie chciał oczywiście podjąć się operacji. Córka chorego zaczęła nowennę do Matki Boskiej z Lourdes i czyniła choremu okłady z wody z Lourdes, mimo, że chory nie miał już nadziei wyzdrowienia. Gdy po kilku dniach przyszła ze Mszy i odwiązała bandaże, ze zdumieniem stwierdziła zniknięcie skira. Stwierdził to też dr. Moynac, który chorego poprzednio operował, mimo to, że lekarz ten nie był wcale pochopny do wierzenia łatwo w cuda. Bliższe rozpatrzenie sprawy pokazało, że dnia pierwszego zniknął rak z policzka, lecz pozostał na wardze, a na drugi dzień zniknął i z wargi.

Ogólną cechą cudów w Lourdes, o ile są one zupełnie stwier-

dzone, jest, zdaniem dr. Bec'a, najpierw nagłość, momentalność uzdrowienia, następnie brak wszelkiej rekonwalescencji, — chory powraca natychmiast do zajęć zdrów i silny, mimo całkowitego nieraz przedtem wyczerpania — i wreszcie trwałość uzdrowień, o czem można się przekonać na ludziach żyjących, lub już zmarłych, którzy długie lata po cudzie cieszą się zupełnie czerstwem zdrowiem.

Prócz cudów materjalnych dzieją się tam niezliczone i większe jeszcze cuda duchowne, psychologiczne, do których jednak Biuro sprawdzań nie sięga. To tylko pewna, że, jak mówi dr. Bec, od czasu przyjścia Chrystusa za ziemię, nie działo się nigdy tyle cudownych uzdrowień, co obecnie w Lourdes. O cudach dokonanych przez Chrystusa nieraz ludzie niewierzący wątpią, bo, jak powiadają, nie było wówczas możności naukowego ich stwierdzenia. Dziś ta możność istnieje, do Lourdes może iść każdy, do prac bezpośrednich Biura sprawdzań dopuszczają każdego lekarza i wszelkiemi sposobami, jakie najnowsza nauka daje, można tam te cuda badać. Dziś więc wymówki niema: kto nie wierzy, lub wątpi, niech bada sam i roztrząsa podane fakta, fakta udowodnione z taką ścisłością, na jaką tylko nauki doświadczalne zdobyć się mogą. Kto tego nie czyni, lecz wątpi dalej, postępuje nierozumnie, nienaukowo.

Ks. Feliks Hortyński.

Towarzystwo Gniazd sierocych.

Szerokim warstwom naszego społeczeństwa nieznane jest młode jeszcze, ale rokujące piękne nadzieje Towarzystwo Gniazd Sierocych, pragnące przez materjalne i duchowe podniesienie jednostek przyczynić się do stopniowego odrodzenia społeczeństwa. Otrzymane niedawno sprawozdanie i parę odezw pozwala nam zapoznać się bliżej z tą instytucją.

Z ideą założenia »gniazd sierocych« wystąpił obecny dyrektor Towarzystwa, Kazimierz Jeżewski, już w r. 1908 w Krakowie, właściwą jednak pracę rozwinięto dopiero od r. 1911 w Kongresówce. Wojna pociągnęła za sobą dotkliwe straty, dzieła jednak nie przerwano, owszem zmartwychwstanie Polski dodało tem silniejszego bodźca inicjatorom, którym nie brak było zapału, lecz tylko środków. To też w marcu 1920 r. Zarząd T. G. S. zwrócił się do Zarządu Związku Sejmików z prośbą o współdziałanie, a sprawa ta stanęła na dobrej drodze dzięki przychylnej opinji komisji rzeczoznawców, która zbadała program wychowawczy i całą dotychczasową działalność Towarzystwa.

Jakie są cele i organizacja T. G. S.?

Przyjmuje ono sieroty od 6 lat i rozmieszcza po dziesięcioro po gospodarstwach wiejskich, t. zn. »gniazdach«, w których wypróbowani i podlegający kierownictwu Towarzystwa gospodarze zastępują dzieciom

ojcą i matkę. Charakter rodzinny jest więc do pewnego stopnia zachowany, chłopcy i dziewczęta pozostają tu najdalej do 16-go roku życia, dopóki nie ukończą szkoły powszechnej. Po wyjściu z »gniazda« przechodzą do drugiej grupy B, w której uczęszczają do szkół zawodowych, lub w razie wybitnych zdolności nawet do wyższych. Po zdobyciu stanowiska stają się zupełnie samodzielnymi i wstępują do grupy C, noszącej miano »Związku społecznych pracowników«. W projekcie jest jeszcze grupa D, która wychowując niemowlęta, dostarczałaby dzieci do grupy A. Co się tyczy samego wychowania, stara się Towarzystwo, obok uwzględnienia wszelkich jego postulatów, o wpojenie w młodzież ducha pracy, poczucia obowiązków społecznych i religijnych. »Chcę — powiada w odezwie do wychowanków dyr. K. Jeżewski — abyście byli ludźmi, którzy wszystkie swoje obowiązki względem Boga i Kościoła, względem Ojczyzny i względem bliźnich spełniają dobrze, wytrwale, ciągle«.

Rezultaty tej pracy, choć nie uderzają liczbą, są rzeczywiście piękne. W r. 1921 Towarzystwo miało w sześciu gniazdach sierocych 90 młodszych dzieci, a poza gniazdami 140 starszych, z których około 90 chłopców i dziewcząt skończyło lub kończy szkołę gospodarczą albo rolniczą, wśród reszty mamy rzemieślników wszelkiej kategorji, uczniów szkoły leśnej i ogrodniczej, nauczycieli i nauczycielki, kandydata na księdza i 6 akademików.

Tych, którzy kończą szkołę gospodarczą, pragnie T. G. S. osiedlić na roli, przez siebie przyznanej, dając im możność wykupienia jej po pewnym czasie, pod warunkiem, że będą dobrymi gospodarzami i troskliwymi opiekunami powierzonych im na wychowanie dzieci (z grupy A). »Gniazda« te zakładać się będzie możliwie blisko, by skupić je we wzorowo prowadzone wioski, które poddane pod kontrolę inspektora Towarzystwa, stałyby się ogniskiem szerzenia kultury w kraju i zarazem wspierały czynnie akcję T. G. S.

Mając ze strony władz samorządowych pewne obietnice pomocy w prowadzeniu »gniazd«, potrzebuje jednak T. G. S. funduszów na ich założenie i w tym celu zwraca się do społeczeństwa z prośbą o poparcie. Jako najskuteczniejszy sposób proponuje ufundowanie stałego jednego miejsca w »gnieździe sierocem«, która to wieczysta fundacja nadaje ofiarodawcy zastrzeżone statutem prawo wpływania na program wychowawczy i bieg spraw T. G. S.; suma, potrzebna do tego celu, wynosi dziś 500.000 Mkp, które mogą być wpłacone w dwóch ratach w roku. Szczegółowych informacyj udziela centralne biuro Towarzystwa w Warszawie (Wilcza 2). *S. P.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 1 maja 1922.

Nadprzyrodzony charakter Biblji [1]).

Biblja ma, nie mniej jak inne zabytki dawnej przeszłości, swoją historję. Możemy oznaczyć czas jej powolnego powstawania. Znamy przeważnie autorów jej części składowych. Poszczególne księgi biblijne noszą znamię indywidualne, odzwierciedlają charakter swych twórców i stosunki, w których powstały. Biblja ma, oprócz wielkich zalet, też niektóre braki, niedoskonałości pod względem formy, nawet i rzeczowe niedokładności. Słowem, pod wielu względami Biblja jest zupełnie podobną do innych ksiąg. A jednak wyróżniamy ją z całej literatury wszechświatowej. Nazywamy ją księgą w szczególnem tego słowa znaczeniu, jak to już z greckiego pochodzący wyraz Biblja oznacza, mianujemy ją księgą nad księgami, uważamy ją za świętą, nie tylko z powodu treści, ale też ze względu na sposób powstania, mamy ją za księgę boską, od samego Boga nam daną. Na jakich podstawach ta wiara nasza się opiera i jaki jest właściwy jej przedmiot, z tego mamy sobie dziś zdać sprawę.

I. Znamiona wewnętrzne.

Przystępując do naszego zadania z tym spokojem i z tą rozwagą, jakiej każde prawdziwie naukowe badanie wymaga, odpowiedzmy sobie najpierw na pytanie, czy Biblja rozpatrywana sama w sobie posiada jakie cechy swego nadprzyrodzonego, boskiego pochodzenia.

Takich cech Biblji nie brak. Wprawdzie od najstarszych aż do najnowszych czasów podnosiły się głosy mniej lub więcej liczne i mniej lub więcej śmiałe, według falowania prądów myśli ludzkiej — pod-

[1]) Odczyt, wygłoszony w Warszawie 23 marca 1922 r.

nosiły się głosy, odmawiające Biblji nadprzyrodzonego charakteru. Nowoczesny racjonalizm wskazuje przedewszystkiem na uprzystępnione nam ostatniemi czasy przez postęp studjów językoznawczych święte księgi innych religij, które rzekomo dostarczać mają dowodu, że Biblja chrześcijańska nie jest księgą jedyną w swoim rodzaju, lecz tylko jedną z pomiędzy wielu innych, do niej zupełnie podobnych i dlatego też nie może uchodzić za dar samego Boga, lecz za twór czysto naturalny ducha ludzkiego.

Jednak takie twierdzenie opierać się może jedynie na powierzchownem tylko zbadaniu rzeczy, albo na czysto apriorycznem, niczem nie uzasadnionem przypuszczeniu, że rzeczy nadprzyrodzone wogóle nie istnieją lub nawet są niemożliwe. Ktokolwiek przystąpi do czytania Biblji z nieuprzedzonym umysłem, podda się niezwykłemu urokowi jej formy, wniknie nieco głębiej w jej treść, ten chętnie przyzna i przyznać musi niezrównaną wyższość tej księgi nad inne pomniki literatury wszystkich wieków.

Ta wyższość Biblji jest tak oczywistą, że niejednokrotnie ludzie o wybitnej inteligencji, nawet obojętnie lub wrogo do chrześcijaństwa się odnoszący, czuli się zniewoleni ją uznać. Taki naprzykład zwolennik skrajnego religijnego liberalizmu, lecz zarazem wielce zdolny poeta i krytyk-estetyk, jakim był Henryk Heine, rozczytawszy się po raz pierwszy w Biblji, napisał w swych pamiętnikach: »Co za dziwna księga! Więcej jeszcze podziwienia godnym niż treść jest jej sposób przedstawienia... To jest rzeczywiście słowo Boże, podczas gdy inne książki świadczą tylko o dowcipie ludzkim« [1]). A w szczególności o ewangeljach naszych znane są słowa Goethego, który powiedział: »Ja uważam wszystkie cztery Ewangelje za niewątpliwie autentyczne, bo z nich bije odblask tego majestatu, który odznaczał osobę Chrystusa i który posiada tak wyraźne znamię boskości, jakie kiedykolwiek na ziemi się ujawniło« [2]).

Wiadomo też jak nasi wielcy wieszcze wysoko cenili Biblję, np. Mickiewicz lub Słowacki, który dostawszy już w dojrzałym wieku po raz pierwszy Biblję do rąk, więcej z nią nie chciał się rozstać i wyrzekł: Ta księga każdemu człowiekowi przez całe życie towarzyszyć

[1]) Heinrich Heines nachgelassene Memoiren, herausgegeben von Engel. Hamburg 1884. Według Zöckler, Handbuch der theol. Wissenschaften, Nördlingen 1889 t. I, str. 9.

[2]) Gespräche mit Goethe, herausgegeben von Eckerman. Część trzecia. Rozmowa z 11 marca 1832.

powinna [3]). Takie wrażenie robi Biblja na człowieku o dobrym sądzie już przy pierwszem zapoznaniu się z nią.

Słusznie powiedziano: zapoczątkowane na większą skalę w połowie zeszłego wieku przez Maxa Muellera wydawnictwo starożytnych ksiąg religijnych niech postępuje dalej, niech zostaną jak najlepiej zbadane indyjskie Wedy, Avesta Persów, Kingi Chińczyków, święte księgi Budyzmu i innych religij, niechaj poważne studja nad porównaniem religij, jak najwięcej się rozszerzą i jak najbardziej pogłębią, — Biblja przez to nic nie straci, lecz tylko zyskać może! Biblja przewyższa bowiem najpierw treścią swoją niezrównanie wszystkie inne święte księgi. Nigdzie nie znajdujemy podobnego i prawdzie tak odpowiadającego rozwiązania podstawowych problematów religijnych, tak jasnej odpowiedzi na pytania o pochodzeniu i przeznaczeniu człowieka i wszechświata. Biblja głosi, od pierwszej stronicy począwszy, czysty monoteizm, wiarę w jedynego, osobowego Boga, Stworzyciela, Prawodawcę i wszystko przenikającego Rządcę wszechświata! Wszystko to głosi Biblja z największą jasnością i stanowczością. Jakże to odmienne od mglistej mitologji i czczego naturalizmu pogańskich ksiąg religijnych!

Jeśli zaś częściowo naukę wiary oraz etykę biblijną odnajdujemy także i w innych kodeksach religijnych, to nie zmniejsza to wcale powagi Biblji. Wszak Biblja sama, przypisując sobie nadprzyrodzony początek, powstanie pod nadzwyczajnym wpływem Bożym, uznaje wyraźnie inną księgę Bożą, mianowicie księgę natury, wielką jak wszechświat cały, otwartą dla każdego, w której każdy człowiek dobrej woli główne prawdy religijne odnaleźć może, choćby nawet innych ksiąg czytać nie umiał. Stary i Nowy Testament zgodnie nauczają, że niewidzialne doskonałości Boskie przez stworzenie świata stały się widzialnemi dla naszego umysłu [2]), oraz, że wszyscy ludzie od urodzenia noszą prawo Boże wypisane na sercach swoich [3]). Zresztą przy bliższem przypatrzeniu się łatwo można dostrzec, że i te prawdy, które są rozumowi ludzkiemu dostępne, w Biblji przedstawione są jaśniej i pełniej, bo oczyszczone od przymieszek błędów, jakiemi w pogańskich księgach zostały przyćmione.

Na szczególną uwagę zasługuje konsekwencja, z jaką Biblja swoją

---

[1]) Małecki, Juljusz Słowacki. Lwów 1901, t. II str 20
[2]) Ks. Mądr. 13, 5; Rzym. 1, 20.
[3]) Rzym. 2, 20.

naukę przeprowadza. Jakże zmiennym jest duch ludzki! Errare humanum est, mówi stare przysłowie. Możliwość, a bardziej jeszcze częsta rzeczywistość mylenia się pociąga za sobą zmianę zapatrywań. Ileż takich zmian zna historja filozofji! Nawet największy z Ojców Kościoła, św. Augustyn, napisał pod koniec swego życia osobne dzieło w dwóch księgach pod tytułem »Retractationes« (Poprawki, odwołania), gdzie rzeczywiście ten wielki genjusz w różnych kwestjach co dawniej był napisał, uzupełnił, poprawił albo nawet wprost odwołał. W Biblji nie znajdujemy nic podobnego. Biblja przytacza wprawdzie dużo przykładów ludzkiej zmienności, ale sama w tem, co od siebie twierdzi i naucza, niczego nie odwołuje i niczego nie zmienia. Nie tylko nauka poszczególnych ksiąg jest jednolita od początku do końca, ale też i całego ich zespołu, całej Biblji razem wziętej — chociaż na nią składa się więcej niż 70 ksiąg, napisanych przez różnych autorów, w różnych ośrodkach kulturalnych, w różnych czasach, wiekami, nawet kilkonastoma wiekami od siebie przedzielonych! Mimo to, te wszystkie 72 księgi, od pierwszej aż do ostatniej, są ze sobą zgodne! Późniejsze księgi rozwijają, pogłębiają i rozszerzają naukę ksiąg starszych, zupełnie według zasad rozumnej pedagogiki; lecz nigdy ani w żadnym punkcie jej nie zaprzeczają. Niema też żadnej sprzeczności ani między Nowym i Starym Testamentem, pomimo, że pisarze Nowego Zakonu narażeni byli na gwałtowne prześladowanie ze strony urzędowego przedstawicielstwa Zakonu Starego.

Chociaż na pozór zewnętrznie tylko ze sobą połączone, przecież w rzeczywistości księgi biblijne wykazują i wewnętrzną jedność, bo ożywia je wszystkie ta sama myśl przewodnia, ten sam cel mają na oku, mianowicie pouczenie ludzi o ich właściwym stosunku do Boga i skierowanie wszystkich umysłów i serc ku jedynemu pośrednikowi między Bogiem i ludźmi, ku Chrystusowi. Już pierwsza księga Biblji zapowiada Zbawiciela, wszystkie następne księgi St. Testamentu poświęcone są przygotowaniu ludzkości na jego przyjście. Księgi zaś N. Test. opowiadają, w jaki sposób Chrystus odkupienia naszego dokonał i zachęcają do korzystania z owoców jego dzieła. Ostatnia księga Biblji, Objawienie św. Jana, kończy się zapowiedzią powtórnego przyjścia Chrystusa i modlitwą o to przyjście, rzewną prośbą: »Przyjdź, Panie Jezu«.

Wewnętrzna jedność Biblji jednak bynajmniej nie jest równoznaczną z jednostronnością, ciasnotą. Jednostronną jest Biblja tylko o tyle, że wszystko rozpatruje w świetle religijnem; zresztą jednak

okazuje ona taką szerokość umysłu i serca, jakiejbyśmy gdzieindziej napróżno szukali. W przeciwieństwie do świętych ksiąg innych religij Biblja nie zacieśnia swego widnokręgu do jednego lub kilku krajów i narodów, lecz całą ludzkość, nawet wszechświat cały ma na względzie [1]). Już pierwszy rozdział Biblji daje obraz stworzenia całego świata, opowiada początek całego rodzaju ludzkiego; drugi rozdział opisuje, jakiem szczęściem wszyscy ludzie według pierwotnych zamiarów Bożych cieszyć się mieli; trzeci rozdział wyjaśnia przyczynę, dla której położenie całej ludzkości tak radykalnej uległo zmianie. Następne rozdziały kreślą sumarycznie dalszą historję także całej ludzkości. A kiedy później Biblja szczególną uwagę poświęca narodowi, przez Boga wybranemu dla przygotowania dzieła zbawienia, nie traci ona ogółu ludzkości z oczu. Opowiadając wybranie Abrahama, dodaje natychmiast, że w nim i przez niego mają być zbawione wszystkie pokolenia ludzkie [2]). Zresztą ten uniwersalizm Biblji wynika z jej naczelnej idei religijnej, z jej monoteizmu, ponieważ monoteizm z istoty swej jest uniwersalnym, jak politeizm z istoty swej partykularystycznym. Jeśli bowiem Bóg jest jeden, to jest Bogiem i Panem wszystkich ludzi i całego świata; przeciwnie jeśli ktoś przyjmuje więcej bogów, to musi też sferę wpływów każdego uważać za ograniczoną. I rzeczywiście Biblja głosząc: Jahve jest jedynym Bogiem, głosi też: Jahve jest Bogiem wszystkich ludzi i całego świata, do Niego powinny się nawrócić wszystkie narody, tylko u Niego można znaleźć zbawienie i szczęście. Tę prawdę powtarzają często już prorocy, a jaśniej jeszcze księgi Mądrości; ewangelje zaś wielbią Chrystusa jako zbawcę świata [3]), jako światło oświecające każdego człowieka przychodzącego na ten świat [4]) i zapisują polecenie dane apostołom: »Idźcie i nauczajcie wszystkie narody« [5]), a reszta ksiąg przedstawia wykonanie tego rozkazu lub poświęcona jest doskonalszemu jeszcze jego wypełnieniu.

Chociaż księgi biblijne w pierwszym rzędzie napisane były dla ludzi współczesnych, to jednak nie wyłącznie dla nich. Słusznie można Biblję nazwać księgą ludzkości, bo ona może i ma służyć całej ludzkości, wszystkim narodom i pokoleniom. Nie tylko treść, ale i forma Biblji jest tak przystosowana do natury ludzkiej, że jej na każdym

---

[1]) Por. Meyenberg, Religiöse Grundfragen, Lucerna 1908, str. 249.
[2]) Ks. Rodz 12, 3.
[3]) Jan 1, 29.
[4]) Tamże 1, 9.
[5]) Mt. 28, 19.

stopniu rozwoju odpowiada. Z Biblji równie nowonawrócony Murzyn i Indjanin jak też i na szczycie kultury stojący Europejczyk religijne światło i pociechę czerpać może. O Biblji można z św. Pawłem [1]) powiedzieć, że zawiera równie mleko dla religijnych niemowląt, jak i stały pokarm dla dusz dojrzałych, bo jest przystępną dla maluczkich, ale i najbardziej wykształconym i najgenjalniejszym daje obfity przedmiot do głębokich rozważań.

Wspomniawszy o stronie formalnej ksiąg biblijnych, nie mogę pominąć nadzwyczajnej powagi, z jaką Biblja swoją naukę przedstawia. Co w Chrystusie wyznali jego słuchacze, że nigdy tak człowiek nie nauczał, jak ten naucza [2]), bo Chrystus mówił i nauczał jako władzę mający, a nie jak żydowscy uczeni i faryzeusze — to stosuje się też do Pisma św. Biblja nie podaje tylko przypuszczeń lub hipotez, jak to zwykli czynić filozofowie, lecz najtrudniejsze zagadnienia rozwiązuje Biblja jasno i stanowczo, z największą pewnością siebie, nie zdradzając ani nie dopuszczając żadnego powątpiewania. Nie sili się też Biblja na liczne a mniej jeszcze na sztuczne dowody, lecz naukę swoją przedstawia autorytatywnie, oświadczając z powagą nadziemską: tak jest, tak być powinno; ktokolwiek nie usłucha, ściągnie na siebie niechybnie takie a takie następstwa.

Kto wspomniane właściwości Biblji należycie rozważy, kto zważy czystość i wzniosłość dogmatyki i etyki biblijnej, jej jedność i uniwersalność, a nadto sposób, w jaki jest przedstawiona, ten łatwo przyzna wyższość Biblji nad inne kodeksy religijne i może dojść do przekonania, lub przynajmniej utwierdzić się w skądinąd powziętem przekonaniu, że Biblja nie jest tworem czysto ludzkim, lecz dziełem pod bezpośrednim, nadzwyczajnym wpływem samego Boga przez ludzi napisanem.

Taką konkluzję nasuwa Biblja rozpatrywana jako całość i w głównej swej treści. Gdy jednak wzrok nasz zatrzymamy na niektórych tylko jej częściach, trudniej już możemy dojść do pewności o ich boskiem pochodzeniu na podstawie wewnętrznych tylko kryterjów. Wszak w różnych krótszych, nawet i dłuższych ustępach jest mowa o rzeczach i zdarzeniach, które św. pisarze naturalnym sposobem znać mogli. Co do tych więc, nie można drogą czysto rozumową wykazać, że zostały pod nadprzyrodzonym wpływem napisane. A jednak wierzymy i obo-

---

[1]) I Kor. 3, 2.
[2]) Jan 7, 46

wiązani jesteśmy wierzyć, że cała Biblja z wszystkiemi swemi częściami jest dziełem Bożem, Boga ma za głównego autora. Na czem więc ta wiara nasza się opiera? Wolno, owszem powinniśmy się nad tem zastanowić. Bo wiara ma wprawdzie być poddaniem rozumu, lecz — jak Kościół św. zawsze nauczał i na ostatnim powszechnym Soborze uroczyście oświadczył — wiara ma być r o z u m n e m poddaniem rozumu. Rozumnie zaś możemy wierzyć wiarą religijną i boską tylko w to, co jest poręczone boską powagą, co nam Bóg objawił. To odnosi się do wiary w ogólności, więc też do wiary w nadprzyrodzony charakter Biblji. A zatem w boskie pochodzenie Biblji możemy i mamy dla tego wierzyć, że Bóg je nam objawił.

II. Świadectwo objawienia.

Świadectwo objawienia boskiego o nadprzyrodzonym charakterze niektórych części Biblji znajdujemy w niej samej. Rozpatrując bowiem księgi biblijne jedynie jako wiarygodne źródła historyczne, dowiadujemy się z nich, że pośrednicy objawienia Bożego, których misję w niewątpliwy sposób sam Bóg przez nadzwyczajne znaki uwierzytelnił, zaświadczyli boskie pochodzenie Biblji.

Już Mojżesz, autor pierwszych ksiąg biblijnych, świadczy w ks. Wyjścia 17, 14 i 34, 27, że od Boga odebrał polecenie utrwalenia na piśmie otrzymanych przykazań i innych dowodów miłościwej Opatrzności Bożej. Taksamo wspomina Izajasz dwukrotnie (8, 1 i 30, 8), że Bóg mu nakazał spisać Jego słowa i dlatego prorok nazywa księgę swoją księgą Bożą i zachęca lud izraelski do pilnego jej czytania (34, 16). Obszerniej jeszcze opowiada Jeremjasz, jak z rozkazu Bożego napisał otrzymane nadprzyrodzone oświecenia, żeby były czytane w domu Bożym przed całym ludem zebranym. Stąd i z dokładniejszego niezawodnie jeszcze ustnego pouczenia powstała wiara ludu izraelskiego w boskie pochodzenie ksiąg biblijnych.

Istnienie i powszechność tej wiary stwierdzają historyczne świadectwa Nowego Testamentu. Wiadomo, jak często w Ewangeljach, Dziejach i Listach apostolskich jest mowa o zbiorze ksiąg, nazwanym »Pismo«, albo »Pisma« lub z dodatkiem »Pisma św.«, jak często powtarzają się formuły: »Pismo mówi«, lub »napisano jest«. Z tego sposobu wyrażania się, bez jakiegokolwiek bliższego objaśnienia, wynika jasno, że pisma te były Żydom powszechnie znane i jako nieomylna wyrocznia w sprawach wiary ogólnie uznane.

Potwierdzają to zresztą i pisma żydowskich autorów z onego czasu, Filona i Józefa Flawjusza. Ten ostatni podaje dokładny spis żydowskich ksiąg świętych i świadczy, że uchodziły za napisane z boskiego natchnienia i tak wielką otaczane były czcią, że nikt nie odważył się cośkolwiek w nich zmienić, ani dodać ani odjąć [1]). Takie było zapatrywanie Żydów na księgi Starego Testamentu. Chrystus, który według własnego wyznania przyszedł na świat, aby świadectwo dać prawdzie [2]), Chrystus, który tak ostro karcił i starannie prostował wszelkie odchylenia nauczania żydowskiego od prawdy i od objawienia Bożego, ten Chrystus, powiadam, wiary w boskie pochodzenie Biblji nie zganił, lecz przeciwnie uroczyście wielokrotnie potwierdził. Chrystus wyraźnie uznał bezwzględną powagę Biblji. Powoływał się na nią dla udowodnienia swego boskiego posłannictwa i dla wykazania prawdy swojej nauki, nawet wprost oświadczył, że Biblja mylić się nie może [3]), że wszelkie jej powiedzenie, każda jej przepowiednia spełnić się musi [4]); że Biblję powinni wszyscy uważać za normę postępowania i sam ją za taką uważał. W chwili największego niebezpieczeństwa, gdy się zbliżało nieprzyjazne żołdactwo, żeby go pojmać, nie chciał Chrystus prosić Ojca Niebieskiego o pomoc, albowiem jakby się spełniło Pismo, że tak się stać powinno? [5]). Wreszcie wyjawił Chrystus też wewnętrzną przyczynę tej powagi Pisma św., oświadczając, że ono jest słowem Bożem, bo od Boga pochodzi [6]) i w Duchu św. to znaczy pod nadzwyczajnym wpływem Ducha św. zostało spisane [7]).

Od Boskiego Mistrza przejęli apostołowie ten sam szacunek dla Pisma św. Wyrażają się też o niem zupełnie podobnie jak Chrystus; przypisują Biblji nieomylną powagę, głoszą, że wszystkie jej przepowiednie muszą się wypełnić, ponieważ przez proroków i innych autorów ksiąg św. Duch św., czyli sam Bóg mówił. »Musiało się spełnić Pismo, twierdzi Piotr św.[8]), które przez usta Dawida zapowiedział Duch Święty«.

---

[1]) Contra Apionem I, 8.
[2]) Jan 18, 37.
[3]) Jan 10, 35.
[4]) Łk. 24, 44.
[5]) Mt. 26, 54.
[6]) Mt. 22, 31.
[7]) Mt. 23, 43.
[8]) Dziej. Ap. 1, 16.

Najwyraźniej wypowiedziane jest boskie autorstwo Pisma św. w dwóch tekstach: w II liście św. Piotra i w II liście św. Pawła do Tymoteusza. Św. Piotr zaręcza, że nie opowiada próżnych baśni ani czczych wymysłów swej wyobraźni, lecz co na własne oczy widział i własnemi uszami słyszał, szczególnie gdy był obecny przy przemienieniu Zbawiciela na górze Tabor — a potem dodaje, że mamy jeszcze silniejszy i pewniejszy dowód aniżeli świadectwo własnych zmysłów, mianowicie świadectwo Pisma św.: »Albowiem — tak pisze książę apostołów dosłownie (rozdz. 1, 21) — wolą ludzką nigdy proroctwo nie było przyniesione, ale Duchem św. unoszeni, mówili ludzie święci Boży«. Proroctwo znaczy tu według kontekstu prorockie Pismo; to zaś wyrażenie według zwyczaju żydowskiego określa nie tylko pisma prorockie w ściślejszem znaczeniu, lecz także inne święte księgi Starego Zakonu, ponieważ wszystkie przepowiadały lub przygotowywały przyjście Mesjasza. Więc takim sposobem naucza św. Piotr, że cały Stary Testament powstał nie z myśli ani woli czysto ludzkiej, lecz pod nadzwyczajnem działaniem Ducha Świętego.

Św. Paweł wypowiada tę samą myśl, używając tylko nieco odmiennego wyrażenia, które jednak później powszechnie się przyjęło i stało się terminem technicznym dla określenia wpływu, jaki Bóg na powstanie Pisma św. wywarł. Klasyczny ten tekst znajduje się, jak już wspomniałem, w II liście do Tymoteusza rozdziale 3, w 15 i nastp. Apostoł napomina tam ukochanego ucznia swego, żeby trwał wiernie przy tem, czego się od niego nauczył; między innemi także, aby nie ustawał w pilnem czytaniu Pisma św., ponieważ stąd może odnieść wielki pożytek, tak dla własnego zbawienia, jak i dla wykonywania obowiązków swego biskupiego urzędu; albowiem »wszelkie Pismo od Boga n a t c h n i o n e jest i pożyteczne ku nauczaniu, ku strofowaniu... ku ćwiczeniu w sprawiedliwości, aby człowiek Boży stał się doskonałym«. Przez Pismo św., które tu nazwane jest natchnionem przez Boga, ponieważ one znane było Tymoteuszowi już od młodych lat, trzeba tu rozumieć przedewszystkiem Pismo Starego Testamentu, ale może także, jak niektórzy tłumacze sądzą, także istniejące już wtedy niektóre księgi Nowego Zakonu.

W każdym razie z przytoczonych świadectw jasno wynika, iż Chrystus i Apostołowie nauczali, że świętym księgom Starego Zakonu przysługuje bezwzględna, boska powaga, ponieważ są słowem Bożem, gdyż od Boga pochodzą i z natchnienia Bożego zostały napisane.

Gdy teraz zwrócimy się do ksiąg Nowego Testamentu, to trzeba

przyznać, że w Biblji samej znajdujemy mniej jasne świadectwa o ich boskiem pochodzeniu. To atoli nie może wcale budzić zdziwienia, gdyż te pisma dopiero z wolna powstawały i powaga ich opierała się głównie na ustnem świadectwie żyjących jeszcze apostołów.

Jednak z drugiego listu św. Piotra poznajemy, że książę apostołów zaliczał listy św. Pawła do ksiąg św., do tej samej kategorji, co Pisma Starego Testamentu, wspomina bowiem z ubolewaniem, że już wtedy ludzie nieoświeceni niektóre ustępy z listów św. Pawła przekręcali, podobnie jak inne pisma. »Najmilszy brat nasz Paweł, tak czytamy tam w rozdz. 3, 15—16, wedle danej sobie mądrości do was pisał, jako i we wszystkich listach, o tem w nich mówiąc, w których są niektóre rzeczy trudne do zrozumienia, które nieoświeceni i niestateczni przekręcają, jako i inne pisma, ku swemu własnemu zatraceniu«. Że wyraz »pisma« oznacza tu księgi święte, nie ulega najmniejszej wątpliwości, ponieważ powiedziane jest, że przekręcanie ich pociąga za sobą zgubę wieczną, co tylko do ksiąg stanowiących normę wiary stosować się może.

Dalej czytamy w ostatniej księdze Nowego Testamentu, w Objawieniu św. Jana, że Apostoł odebrał od Boga rozkaz spisania otrzymanych od Niego objawień [1]).

O Boskiem natchnieniu innych ksiąg Nowego Testamentu zaświadczyli apostołowie, o ile nam wiadomo, tylko ustnie. Lecz już bezpośredni uczniowie apostołów, czyli tak zwani Ojcowie apostolscy, zostawili nam na piśmie dowody tegoż świadectwa, dowody pod każdym względem wiarygodne. Wiemy bowiem jak wielokrotnie i z jakim naciskiem w samem Piśmie św., szczególnie w listach św. Pawła wyraźona jest zasada, że trzeba bezwzględnie trwać przy tem, co naucza Chrystus i apostołowie, że wszelką nową naukę w rzeczach wiary, dla tego samego, że nowa, trzeba odrzucić. Wiemy, że Ojcowie apostolscy sami tę zasadę głosili, wreszcie, że prawość i prawdomowność swoją śmiercią męczeńską przypieczętowali. Ta daje nam, rzecz naturalnie biorąc, zupełną pewność, że ci mężowie przekazali nam naukę apostołów o Piśmie wiernie, mówię już naturalnie rzecz biorąc, choćby ktoś nie uwzględnił działalności Ducha św. w Kościele dla zachowania nieskazitelności Boskiego objawienia.

Otóż Ojcowie apostolscy stawiają pisma Nowego Testamentu na równi z księgami Starego Zakonu i taką samą im przypisują powagę.

---

[1]) Obj. 1, 11, 19; 2, 18; 12, 18; 3, 1, 7 itd.

Ś. Klemens, biskup rzymski, w liście swym do Koryntjan, pisanym według zdania najpoważniejszych historyków około roku 96-go, zaleca swym czytelnikom pilne rozważanie Pisma św. szczególnie listu, który im św. Paweł prawdziwie z natchnienia Ducha św. napisał [1]).

W liście Barnaby, pochodzącym także z pierwszego jeszcze wieku, przytoczony jest [2]) cytat z ewangelji św. Mateusza z użyciem formuły: »jak napisano«, która w ówczesnym języku oznacza tekst wzięty z Biblji. Że zaś autor, zaliczając w ten sposób Ewangelje do ksiąg św., bynajmniej nie wprowadzał nowego zapatrywania, upewnia nas najlepiej, że sam przypomina czytelnikom apostolską zasadę: zachowaj, coś otrzymał w spuściźnie, nic nie dodając ani nie ujmując [3]).

Św. Ignacy, męczennik, drugi następca św. Piotra na stolicy biskupiej Antiochji, umęczony r. 107 w Rzymie, stawia kilkakrotnie Ewangelje narówni, owszem nawet wyżej jak księgi Starego Testamentu [4]).

Prostych zaś cytatów, dosłownych albo prawie dosłownych przytaczań tekstów nietylko Starego, ale i Nowego Testamentu jest już w krótkich naogół i wcale nielicznych pismach Ojców apostolskich tak dużo, że samo ich zestawienie tj. tabelaryczny spis samych liczb rozdziałów i wierszy, jaki zwykle naukowe wydania dzieł Ojców apostolskich podają, wypełnia szereg stronic, np. w wydaniu Funka 14 stronic formatu wielkiej ósemki [5]).

Z wzrostem literatury chrześcijańskiej w drugim i trzecim wieku mnożą się też świadectwa o wierze w boskie natchnienie Pisma św. tak Nowego jak i Starego Testamentu. Około roku 150 wyjaśnia św. Justyn, męczennik, że księgi św. nie są jak dzieła filozofów tworem ludzkim, lecz boskim. Dlatego też nie mogą zawierać żadnego błędu [6]). Zalicza zaś do świętych ksiąg także Nowy Testament, bo przytacza z niego teksty słowy »napisano jest« [7]), używanemi tylko o księgach biblijnych.

Pod koniec drugiego wieku wskazuje św. Teofil antiochijski na

---

[1]) 45, 2; Patres apostolici, edit. Funk, Tybinga 1901. t. I str. 157; 47, 3, str. 161.

[2]) 4, 14. Wyd. Funka t. I str. 49.

[3]) 19, 11. Wyd. Funka t. I, str. 93.

[4]) Do Smyrn. 5, 1; 7, 2; Filad. 5, 1. Wyd. Funka t. I, str. 279, 281, 267. T. II str. 451—465.

[6]) Dial. n. 7. Migne P. G. 6, 491.

[7]) Dial. n. 49, 103, Migne 6. 584, 718.

doskonałą harmonję, jaka istnieje między księgami Starego Testamentu i Ewangeljami. Źródło jej upatruje w tem, że wszyscy autorowie byli natchnieni jednym i tym samym Duchem Bożym [1]).

Na przełomie drugiego i trzeciego wieku dowodzi św. Ireneusz już obszernie przeciwko Gnostykom, że Bóg równie jest autorem Nowego jak i Starego Testamentu, bo przez ewangelistów tak samo Bóg do nas przemawiał, jak przemawiał do żydów przez proroków [2]). Św. Ireneusz, choć rodem z Wschodu, żył potem i pisał na Zachodzie i zmarł śmiercią męczeńską, jako biskup lyoński około r. 202.

Na Wschodzie nauczał w tym czasie Klemens aleksandryjski tak samo. Biblja według niego od dzieł filozofów różni się szczególnie tem, że głównym jej twórcą jest Bóg, czego o innych pismach powiedzieć nie można [3]).

Wielki uczeń i następca Klemensa w kierownictwie słynnej szkoły aleksandryjskiej, Orygenes, zaraz na wstępie swego obszernego dzieła De principiis nazywa Pismo św. boskiem, ponieważ z natchnienia Ducha Bożego powstało i zaznacza, że prawda o natchnieniu Ksiąg św. należy do najwięcej znanych i najwyraźniej w Kościele głoszonych [4]), a szerszemu rozbiorowi tej prawdy poświęca wielki uczony osobno czwartą księgę wspomnianego dzieła [5]).

Nasuwającej się naszemu rozumowi trudności, jak można księgi biblijne Boskiem dziełem zwać, kiedy przecież zostały napisane przez ludzi historycznie znanych, nie taili Ojcowie św. ani przed sobą ani przed wiernymi, lecz starali się tę trudność jakkolwiek usunąć, uciekając się do różnych porównań, co najlepiej pokazuje, jak silnie byli przekonani o konieczności wierzenia w Boskie autorstwo Biblji.

Już w piśmie noszącem tytuł »Napominania Greków« z pierwszej połowy drugiego wieku, przyrównani są pisarze ksiąg świętych do cytry i liry, z których Duch św., niby artysta, wydobywał dźwięki [6]). Św. Augustyn mówi, że Bóg posługiwał się przy spisaniu ksiąg św. ludźmi, jakby ręką swoją [7]), św. Leon — jakby palcem [8]), św. Grzegorz

---

[1]) Ad Autol. 3, 12. Migne 6, 1138.
[2]) Adv. haer. 3, 16, Migne 7, 921.
[3]) Cohort. ad gent. 7, Migne 8, 183.
[4]) 1. 4, Migne 11, 118.
[5]) Migne 11, 342 i nastp.
[6]) 8 nstp. Migne 6, 255.
[7]) De consensu evang. 1, 35. Migne P. L. 34, 1070.
[8]) Sermo 69, 3, Migne 54, 377.

W. — jakby piórem [1]). Całą zaś Biblję nazywają Ś. Jan Złotousty [2]), Ś. Augustyn [3]), Ś. Grzegorz [4]) listem wszechmogącego Boga do stworzeń, listem przysłanym z niebieskiej ojczyzny na nasz padoł płaczu.

Jasnych dowodów na istnienie wiary w nadprzyrodzony charakter Biblji dostarczają także historyczne świadectwa o wielkiem uszanowaniu, jakie starożytni chrześcijanie praktycznie księgom św. okazywali. Zaraz po napisaniu ksiąg Nowego Testamentu czytano je obok pism Starego Zakonu na wspólnych nabożeństwach, jak świadczy już św. Justyn [5]). Zwłaszcza czytania ewangelji słuchano stojąc, bo jak powiada Augustyn św.: »Tak wypada słuchać ewangelji jakby samego Boga obecnego« [6]). Za nader szczęśliwych uważali się ci wierni, którzy kopję ksiąg św. mogli nabyć na własność, pilnie i z wielkiem uszanowaniem, zwykle w pozycji klęczącej lub stojącej je czytać. Nawet poganom było wiadomo, jak wysoko chrześcijanie Biblję cenili. Gdy wskutek tego srogi prześladowca Dioklecjan 303 r. nakazał wszystkie święte księgi wydać na spalenie, woleli liczni wierni najgorsze katusze nawet śmierć ponieść, aniżeli do tego rozkazu się zastosować. Donosi o tem obszernie historyk Euzebjusz [7]). Zachowane aż dotąd akta męczeńskie zawierają dużo wzruszających scen, szczegółów, które dowodzą wielkiego uszanowania pierwszych chrześcijan dla Biblji. Tak czytamy w aktach męczeńskich św. Ireny i sióstr jej Agapy i Chionji następujące wyznanie św. Ireny, złożone wobec władz pogańskich: »Św. księgi znajdowały się w naszym domu, lecz nie śmiałyśmy ich wyjąć z ukrycia. Z tego powodu doznawałyśmy wielkiego udręczenia, że nie mogłyśmy w nich czytać dniem i nocą, jakeśmy od samego początku miały zwyczaj aż do zeszłego roku, kiedyśmy zmuszone były je ukryć«. Św. Irena otrzymała wraz z siostrami koronę męczeńską 1 kwietnia r. 304, spalona żywcem na stosie.

Nie od samych tylko pogan, ale i z innej strony groziło Biblji niebezpieczeństwo. Różni heretycy nie tylko przekręcali niektóre teksty biblijne, co słyszeliśmy już z ust Piotra św., ale podsuwali nawet

---

[1]) In Job. praef. 1, Migne 75, 515
[2]) In Gen. hom. 2, Migne P. G. 53, 28.
[3]) In Ps. 90 sermo, 2, I Migne P. L. 36, 307
[4]) In Job. praef. 2, Migne 75, 515
[5]) Apol. 1 n. 67, Migne P. G. 6, 430.
[6]) In Joa. tr 30, 1, Migne P. L. 35, 1673.
[7]) Hist. eccl. 8, 2 nstp. Migne P. G. 20, 743 nstp.
[8]) Ruinart, Acta Martyrum. Verona 1731 str. 350.

całe pisma fałszywe, podając je za natchnione. Nadto i mniej oświeceni wierni nie zawsze dostatecznie odróżniali księgi biblijne od innych pism pobożnych, jakie coraz w większej liczbie się ukazywały i często do ksiąg biblijnych było bardzo podobne, bo także nauką i życiem Chrystusa się zajmowały. Lecz gorliwość bardziej oświeconych i czujność władz kościelnych pokonały grożące z tego powodu niebezpieczeństwo. Niepewność, która z wspomnianych powodów gdzieniegdzie powstała co do tego, które pisma za natchnione przez Boga uważać trzeba, została usuniętą. Biskupi i zebrania biskupów czyli synody ogłosiły dokładny spis ksiąg świętych czyli kanonicznych, to znaczy miarodajnych. Tak uczynił synod, odbyty w Rzymie r. 382 za papieża Damazego [1]). Podobnie postąpił synod zebrany r. 393 w Hipponie, stolicy biskupiej św. Augustyna, gdzie zarazem postanowiono, że oprócz ksiąg świętych w urzędowym spisie wymienionych, żadnych innych narówni z tamtemi publicznie podczas nabożeństwa czytać nie wolno[2]). Wobec błędu Manichejczyków i Gnostyków, uważających Stary Testament za dzieło złego ducha, żądano wyraźnego przyznania, że Bóg jest równie autorem Starego jak i Nowego Testamentu, jak czytamy w aktach synodu kartagińskiego z piątego wieku [3]). Z powodu wznowienia dawnych błędów oświadczył na nowo na Soborze Florenckim r. 1441 papież Eugenjusz IV uroczyście: »Św. Kościół Rzymski uznaje jedynego i tego samego Boga za twórcę Starego i Nowego Testamentu, ponieważ autorowie obydwóch Testamentów tym samym Duchem Św. natchnieni byli« [4]). Sobór Trydencki, powtórzywszy to samo wyznanie dodał, że za święte i kanoniczne trzeba uważać te wszystkie księgi z wszystkiemi ich częściami, jakie zawiera wydanie Biblji powszechnie używane w Kościele, czyli tak zw. Wulgata [5]). Najdokładniejsze orzeczenie o nadprzyrodzonym charakterze Biblji wydał ostatni powszechny Sobór, odbyty w Rzymie w Watykanie 1869—70. W rozdziale drugim a sesji trzeciej tegoż Soboru czytamy, po odrzuceniu niektórych fałszywych zdań, że księgi biblijne uważać trzeba za święte i kanoniczne dlatego, że z natchnienia Ducha św. napisane Boga mają swym twórcą i jako takie zostały Kościołowi oddane [6]).

---

[1]) Denzinger, Ehchiridion symbol. Wyd. 10. Fryburg 1908 n. 84.
[2]) Mansi Conc. Coll. III, 924.
[3]) Mansi III, 950.
[4]) Denzinger n. 706.
[5]) Denzinger n. 784.
[6]) Denzinger n. 1787.

III. Istota natchnienia.

Kościół skarbu sobie powierzonego nie utracił ani nie zakopał, lecz na wysokiem umieścił miejscu i rzęsistem otoczył światłem. Według dawnego zwyczaju przechowywano Biblję na ołtarzu, blisko Najśw. Sakramentu. I teraz jeszcze kładzie się Biblję na ołtarzu podczas zebrań kościelnych czyli synodów; Ewangelje zaś spoczywają podczas każdej mszy św. na ołtarzu, a podczas uroczystej mszy św. otaczają akolici z zapalonemi świecami księgę ewangelji. Lecz nie to miałem właściwie na myśli, wspominając, że Kościół umieścił Biblję na wysokiem miejscu i światłem otoczył; raczej rozumiałem słowa moje w przenośnem znaczeniu; chciałem mianowicie podnieść to staranie, jakiego Kościół św. dokłada, aby Biblja była przez wiernych w swojej nieocenionej wartości coraz lepiej poznaną.

Broniąc faktu natchnienia boskiego ksiąg św., starał się Kościół równocześnie doprowadzić wiernych do coraz głębszego zrozumienia właściwej natchnienia istoty. Jest to bowiem znana właściwość umysłu ludzkiego, jak indywidualnego, tak i zbiorowego, że do głębszego poznania prawd, szczególnie trudniejszych prawd, dochodzi tylko zwolna i po dłuższych wysiłkach. Od samego początku wierzył i nauczał Kościół, za przykładem Chrystusa i apostołów, że Biblja jest dziełem i słowem Bożem, ponieważ z natchnienia Bożego napisaną została, lecz z postępem czasu stawała się ta wiara i nauka coraz wyraźniejszą i dokładniejszą, coraz głębiej odsłaniała istotę tego tajemniczego wpływu, który Bóg na powstanie Biblji wywarł, tego wpływu, który sprawił, że Bóg stał się głównym twórcą Biblji, chociaż i ludzie przy jej napisaniu prawdziwie współpracowali.

Do bliższego określenia istoty natchnienia biblijnego przyczyniła się konieczność odparcia błędów, jakie się w tej kwestji w ciągu wieków ujawniły. Błędy te, chociaż między sobą dość różne, dadzą się sprowadzić do dwóch kategoryj, bo albo istoty natchnienia nie doceniają, albo mają o niej wyobrażone przesadne. Przesadne pojęcia o natchnieniu biblijnem istniały u Żydów bezpośrednio przed Chrystusem i później. Wspomniany już uczony żyd-hellenista Filon sądzi, że natchnienie Boskie pozbawiało człowieka używania władz duszy, odbierało mu nawet świadomość siebie i że w takim stanie, zupełnie bezwiednie napisali prorocy swoje księgi i dlatego Pismo św. nie tylko co do treści, ale i co do formy jest bezpośrednio i wyłącznie dziełem

Boga [1]). Zupełnie podobne pojęcie natchnienia rozszerzali Montaniści, zwolennicy sekty powstałej w drugim wieku.

W kołach katolickich takiego zdania nigdy nie podzielano; przeciwnie stanowczo je odrzucano, jak przekonać się można z dzieł antymontanistycznych. Jeśli zaś Ojcowie Kościoła niekiedy mówią, że Bóg posługiwał się ludźmi, jakby ręką lub piórem, to przez te i tym podobne porównania, chcą tylko jak najwyraźniej zaznaczyć, że Bóg był głównym twórcą ksiąg św., a ludzie tylko w zupełnej zależności od Boga jako jego narzędzia. Bynajmniej jednak nie wyobrażają sobie Ojcowie pisarzy św. jako narzędzia martwe albo nieprzytomne, bo gdzieindziej wyraźnie mówią o świadomej ich współpracy i tą tłumaczą różne właściwości poszczególnych ksiąg biblijnych.

Dlatego też nie da się pogodzić z nauką Ojców mniemanie, które rolę św. pisarzy ogranicza do czynności czysto mechanicznej, sądząc, że natchnienie polegało na poddawaniu lub dyktowaniu gotowych zdań i wyrażeń. Tak tłumaczyli powstanie Biblji zwolennicy wyznań, które w wieku szesnastym odłączyły się od Kościoła. Odrzuciwszy powagę żywej władzy nauczającej, chciano się oprzeć na samej tylko Biblji i w tym celu usiłowano dowieść, że Biblja całkiem — nie tylko myśli w niej zawarte ale i poszczególne słowa, nawet znaki pisarskie — bezpośrednio od samego Boga pochodzi, że dlatego Biblja jest bezwzględnie doskonałą, więc też i zupełnie jasną i żadnego nie wymaga tłumacza.

Przeciwko takiemu przedstawieniu rzeczy sama Biblja protest podnosi. Albowiem w samej Biblji powiedziano, jakeśmy już dziś słyszeli, że niektóre jej ustępy są trudne do zrozumienia. Nadto niektórzy autorowie ksiąg biblijnych świadczą sami, że zbierali mozolnie materjały do swych ksiąg, zasięgali informacyj i korzystali ze źródeł pisanych [2]); zaręczają też, że starali się wywiązać z swego zadania jak najlepiej, lecz wyrażają obawę, że im się to nie udało w tym stopniu, jak tego pragnęli, jak czytamy wyraźnie w drugiej księdze Machabejskiej [3]). Pomijam różnicę stylu, jaka poszczególne księgi cechuje i różnorodność uzdolnienia i wykształcenia św. pisarzy uwydatnia, odmienne przedstawienie tych samych, nawet bardzo ważnych zdarzeń, jak usta-

---

[1]) Obszerne cytaty z jego dzieł podaje Pesch, De inspiratione Sacrae Scripturae, Fryburg 1906, str. 19 nstp.

[2]) 2 Machab. 2, 27 nstp; Łuk. 1, 3.

[3]) 2 Machab. 15, 39.

nowienie Najśw. Sakramentu [1]) i inne jeszcze racje, które przeciwko teorji dosłownego natchnienia przemawiają. A mogę je tem łatwiej pominąć, ponieważ przypuszczenie, że natchnienie polegało na dosłownem dyktowaniu gotowego tekstu, obecnie już nie ma żadnych poważniejszych obrońców.

W nowszym czasie raczej błędy rozpowszechniły się wprost przeciwne, błędy zmniejszające znaczenie natchnienia, aż do jego negacji. Najdalej idą w tym względzie ci, którzy twierdzą, że natchnienie biblijne nie różniło się istotnie od natchnienia, któremu inne wybitne pomniki literatury zawdzięczają swe powstanie. Błąd ten powstał, zdaje się, albo przynajmniej rozpowszechnił się częściowo z tego powodu, że wyraz »natchnienie« bywa w różnem znaczeniu używany. Niekiedy nazywamy natchnieniem wszelkie silniejsze pobudzenie lub podniecenie władz duszy, chociaż ono w samem człowieku ma swoje źródło lub w innych naturalnych przyczynach. W tem znaczeniu mówimy o natchnieniu poetów, mowców itp. W języku religijnym zwiemy natchnieniem także wszelkie poruszenie łaski, przez które nas Bóg do dobrego pobudza. Lecz w odniesieniu do Pisma św. brano ten wyraz zawsze w wyższem, zupełnie specjalnem znaczeniu. Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że św. Paweł, Ojcowie Kościoła i Sobory powszechne, mówiąc o natchnieniu Pisma św., mieli na myśli nie tylko nadprzyrodzone ale i nadzwyczajne działanie Boże, bo działanie, które tylko przy powstaniu ksiąg św. miało miejsce, które Boga uczyniło w właściwem tego słowa znaczeniu autorem tych ksiąg.

Dlatego też, chociaż w najnowszych czasach nie brakło prób rozszerzenia błędu, który natchnienie biblijne utożsamia z naturalnym religijnym entuzjazmem, także pomiędzy wiernymi, najwyższa władza kościelna nie uważała za potrzebne, wydawać w tej kwestji nowego orzeczenia, lecz przypomniała tylko na nowo jasną w tym względzie naukę Ojców św. i Soborów, jak to uczynił Pius X w swej Encyklice przeciwko błędom modernistycznym [2]).

Niedostatecznem też jest przypuszczenie niektórych teologów, że pisarze św. zostali przez natchnienie boskie zachowani jedynie od popełnienia błędów, zresztą zaś byli zostawieni samym sobie, swoim własnym zdolnościom i własnej woli, albo nawet, że Bóg ograniczył się tylko do uznania już napisanej księgi za wolną od błędu. Oby-

[1]) Mt. 26, 26 nstp; Mk. 14, 22 nstp.; Łk. 22, 19 nstp.; 1 Kor. 11, 23 nstp.
[2]) Z dnia 7 września 1907 r. Denzinger n. 2090; 2102.

dwie te hypotezy zostały słusznie przez Sobór Watykański potępione, albowiem w takim razie nie możnaby Boga uważać prawdziwie za autora Biblji, jak nie możemy człowieka nazywać autorem jakiegoś dzieła, przy którego powstaniu nie był czynnym.

Jeśli Bóg, według nauki objawionej, jest głównym autorem ksiąg św., to trzeba przyznać, że one powstały z Jego myśli, z Jego woli i pod Jego działaniem, a ludzie przy tem czynni byli tylko jako Jego narzędzia. Wprawdzie św. pisarze, jak z wyżej wspomnianych oznak wynika, kierowali się też w swej pracy własnym rozumem i własną wolą, jednak nie niezależnie, lecz pod nadprzyrodzonym wpływem Bożym, który tak był dostosowany do natury ludzkiej, że wrodzonych zdolności nie niweczył ani nie krępował, ale je potęgował i uzupełniał. Gdy chodziło o spisanie rzeczy pisarzom naturalnie lub z uprzedniego objawienia znanych, nie było im potrzeba nowego objawienia. Dlatego nie wolno natchnienia uważać za równoznaczne z objawieniem, chociaż niejednokrotnie natchnienie mogło być połączone z właściwem objawieniem, zawsze atoli musiało natchnienie obejmować takie nadprzyrodzone oświecenie umysłu, że św. pisarze zrozumieli, co w postanowionem przez Boga celu napisać mieli i takie pobudzenie woli, że do napisania tego, co Bóg chciał, zdecydowali się i wreszcie taka nadprzyrodzona pomoc podczas całej pracy, że ją doskonale spełnili. W ten sposób tłumaczy istotę natchnienia papież Leon XIII w słynnej swej Encyklice o Piśmie św., wydanej 18 listopada 1893 r., gdzie czytamy: »Tak Bóg nadprzyrodzoną siłą pisarzy św. do pisania pobudził i poruszył, tak piszącym pomagał, że to wszystko i to tylko, co sam polecił, dobrze rozumem pojęli i wiernie napisać chcieli i właściwie z nieomylną prawdą wyrazili« [1]).

To jest nadokładniejsze autentyczne wyjaśnienie natchnienia ksiąg biblijnych, jakie dotąd władza kościelna wydała. Pius X w swych enuncjacjach powołuje się na to i na starsze orzeczenia [2]). Tak samo uczynił niedawno zmarły Benedykt XV w Encyklice ogłoszonej r. 1920 z okazji 1500-letniej rocznicy św. Hieronima, gdzie wykazuje, że ten św. Doktor, który całe życie poświęcił tłumaczeniu i badaniu Pisma św., już taką samą o niem wykładał naukę, jaką dziś Kościół głosi [3]).

* * *

[1]) Denzinger n. 1952.
[2]) Denzinger n. 2009 nastp.; 2102.
[3]) Acta Apostolicae Sedis z 15 września 1920 r.

Wszystko powiedziane da się w kilku słowach streścić i niejako w jednym przejrzystym obrazie przedstawić. Biblja to na pierwsze wejrzenie księga zupełnie podobna do innych ksiąg, bo to księga przez ludzi, według ludzkiego sposobu myślenia i wyrażania się napisana. Skoro jednak przypatrzymy się tej księdze bliżej, to widzimy, że z niej wychodzą promienie jaśniejące nadziemskim blaskiem. Takie promienie wysyłają szczególnie czystość, wzniosłość, jedność i uniwersalność biblijnej nauki, oraz jasność, prostotę i powagę, z jaką ta nauka jest przedstawiona. Jeśli zdziwieni tym niezwykłym blaskiem, nachylimy ucha i wytężymy słuch nasz, to słyszymy głos samego Boga, uznający tę księgę za swoje własne dzieło. Ten głos, chociaż po raz pierwszy słyszany był przed licznymi wiekami, po dziś dzień jeszcze nie przebrzmiał. Bo z ust Chrystusa przejęli go i podali dalej apostołowie, od apostołów zaś ich uczniowie i tak dalej z pokolenia na pokolenie aż do dzisiejszych następców apostołów. Ciągłość tego głosu i zgodność dzisiejszej nauki Kościoła o Biblji z nauką apostołów i samego Chrystusa można i naukowo historycznie wykazać, jakeśmy widzieli, z nieprzerwanego łańcucha świadectw historycznych. Te dwie powagi, głos żywego nauczycielstwa kościelnego i źródła historyczne, pouczają nas, jak o fakcie natchnienia ksiąg biblijnych, tak i o tegoż właściwej istocie, wyjaśniają nam, że natchnienie polegało na takiem nadprzyrodzonem i nadzwyczajnem oświeceniu rozumu i pobudzeniu woli św. pisarzy i na takiej pomocy podczas całej ich pracy, że choć nie krępowani w używaniu swoich władz duchowych, wiernie i nieomylnie napisali to i tylko to, co im Bóg napisać polecił. Taki jest nadprzyrodzony charakter Biblji, tak przedstawia się natchnienie boskie Biblji w świetle rozumu i wiary.

Ks. Alojzy Bukowski.

O zdrowie moralne w naszych rodzinach.

W ostatnim swoim liście pasterskim »O małżeństwie« dotknęli nasi Księża Biskupi choroby moralnej, o której u nas w Polsce dotąd prawie nic się nie pisało. »Niebezpieczeństwem wielkiem — piszą Księża Biskupi — dla małżeństw, zarazą, która toczy ich wnętrze, jest praktyka ograniczania sztucznie liczby dzieci przez niedopuszczanie do zawiązywania się życia, przez gaszenie zawiązującego się życia w jego źródle«.

Praktyki, jakich dotknęli Księża Biskupi, są wśród kół katolickich zagranicy przedmiotem bogatej już literatury. Sprawą tą zajmują się liczne kongresy, jak np. we Francji specjalne kongresy zwane »de natalité«; przeciwko grzechom pożycia małżeńskiego występują często biskupi w swoich orędziach, dla użytku młodzieży i nowożeńców wydawane są osobne katechizmy i pouczenia [1]); u nas do ostatnich czasów pisarze katoliccy prawie że nie poruszali tej bolączki [2]). Może tłumaczono sobie, że w naszym narodzie zło nie stało się jeszcze dość powszechnem, by o niem publicznie mówić; może czuliśmy się zbyt zażenowani omawiać tak drażliwe tematy, lub obawialiśmy się, aby ich poruszanie nie zgorszyło niewinnych. Jakkolwiek bądź było dotąd, zdaje się, że podniesienie potężnego głosu w obronie świętości pożycia małżeńskiego stało się już i u nas nakazem chwili: Księża Biskupi stwierdzają, że zło, o którem mowa, »nie jest u nas już tylko czemś wyjątkowem, ale że jak rak zapuściło swoje zatrute korzenie także

[1]) Taką jest np. znakomita książeczka kanonika Nystena z Liége, p. t. „Le vice et le Devoir conjugal", licząca wiele wydań i polecona przez wielu biskupów i krytykę katolicką.

[2]) Zanotować wszakże trzeba broszurę Ks. J. St. Adamskiego: „W imię Ojczyzny — naszym rodzinom", Poznań, nakł. Księgarni św. Wojciecha i kilka ustępów w praktycznej książce C. Zyberk-Platerówny „Na progu małżeństwa", Warszawa, Gebethner i Wolff.

w zdrowe jeszcze do niedawna warstwy ludowe pod wpływem zwłaszcza zgorszeń, jakie dokoła siebie roztaczała ostatnia wojna«.

W istocie mamy już zbyt wiele dowodów, że rak niemoralności rozszedł się po naszych rodzinach. Czyż mogło być inaczej? Wszak podczas wojny władze wojskowe, austrjackie czy pruskie — nie mamy wiadomości pod tym względem o polskich — urządzały specjalne odczyty dla żołnierzy, pouczające, jak przy korzystaniu z prostytucji ustrzec się jej fatalnych skutków, chorób wenerycznych, a pomiędzy zalecanemi środkami wskazywano na wynalazki, służące jednocześnie do zapobiegania zapłodnieniu. Nic dziwnego, że pojętny żołnierz łatwo przyswajał je sobie i po powrocie do domu wnosił do życia małżeńskiego! Wszak wiemy nadto, że podczas modnych niedawno uświadamiań płciowych młodzieży rozdawano tu i ówdzie, np. w Krakowie, nawet dziewczętom 15-letnim szczegółowe instrukcje z opisami przyrządów przeciwko zapłodnieniu. W tych warunkach i w takiej atmosferze krępować się jeszcze omawianiem tego tematu w celu zwalczania zła byłoby chyba żenadą tych, co wystrzegają się mówić o powrozie w domu powieszonego, a »zgorszenie«, jeżeli się jakie wywoła takiem omawianiem, będzie można poczytać za zwyczajny faryzaizm.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że praktyka sztucznego ograniczania liczby dzieci stoi w związku z ogólniejszem zagadnieniem, mianowicie czy wogóle wolno woli ludzkiej wpływać w jakiś sposób na płodność małżeńskich stadeł. Tak postawione zagadnienie nie jest tak proste, jakby się mogło zdawać na pierwszy rzut oka i nie można z niem rozprawić się krótkiem powołaniem się na kategoryczny zakaz Boży. Ci, którzy częściej stykają się z życiem, a zwłaszcza mają sposobność wglądania w sumienia ludzkie, dobrze wiedzą, że jest to zagadnienie jedno z najbardziej zawikłanych w całej etyce, wiedzą, jakie racje bywają przytaczane na usprawiedliwienie uchylania się od ojcostwa i macierzyństwa, a racje te są tak liczne, tak silne i takie pozory słuszności mające, że często zagłuszają zupełnie głos sumienia, przestrzegający przed grzesznemi praktykami, a spowiednikom sprawiają trudności nie do przezwyciężenia, stanowiąc prawdziwy »krzyż« ich kapłańskiego urzędu. Dlatego zagadnienie to zasługuje, by mu się przypatrzyć ze wszech stron. Jest to zagadnienie nie tylko moralne, ale ekonomiczne i polityczne, a w rozwiązaniu swem chrześcijańskiem przybiera charakter wielkiego problemu pedagogiki, który dotąd bodaj że nie został z całą śmiałością i precyzją postawiony.

Udział woli w regulowaniu płodności małżeństw jest najpierw zagadnieniem społeczno-ekonomicznem. Gdy się je rozpatruje z tego względu i abstrahując od jakości używanych środków, pewien wpływ rozumu i woli na rozrodcze czynności człowieka należy uznać za usprawiedliwiony. Od czasów Malthusa [1]) można uważać za rzecz udowodnioną, że wzrost środków utrzymania nie idzie z tą szybkością, z jaką postępowałoby rozradzanie się ludzi, gdyby naturalnej fizjologicznej ich płodności nie tamowały przeróżne czynniki. Obliczenia Malthusa mogą chybiać w szczegółach: tak np. nie doceniał on tego wzrostu produkcji środków żywności, jaki zawdzięczamy nowożytnym wynalazkom i ulepszeniom w dziedzinie agronomji. Bądź co bądź ogólne prawo Malthusa, według którego środki żywności w świecie wzrastają w progresji arytmetycznej, tj. 1, 2, 3, 4 itd., podczas gdy nietamowana płodność ludzka wykazuje progresję geometryczną tj. 2, 4, 8, 16 itd., należy uważać przynajmniej w przybliżeniu za dowiedzione. Owszem, jeżeliby trzeba poprawić obliczenia Malthusa, to poprawka raczej powiększyłaby dysproporcję pomiędzy dwiema wzmiankowanemi progresjami. Malthus przyjmował za podstawę swoich obliczeń dwojenie się ludności w przeciągu lat 25. Gdyby nie było śmiertelności dzieci, i gdyby wszyscy dorośli wstępowali w związki małżeńskie, obrachowanie byłoby już prawdziwem w przypuszczeniu, że każda para będzie miała tylko czworo dzieci. Jeżeli się weźmie wszakże pod uwagę przeciętną zdolność rozrodczą organizmu ludzkiego, to łatwo się przekonać, że zdolność ta przechodzi wymienioną liczbę czworga dzieci przynajmniej w dwójnasób, jeżeli nie więcej. Stąd wynika, że gdyby nie dobrowolne ograniczanie potomstwa w wielu małżeństwach, liczba zrodzonych przez nie dzieci napewnoby wyrównała nietylko braki, jakie pochodzą ze śmiertelności dzieci, z fizjologicznych niedostatków innych osób i z celibatu tych, którzy od związków małżeńskich powstrzymują się dla wyższego powołania. Rezultat więc byłby rzeczywiście taki, że w ciągu 25 lat ludność by się dwoiła i tak co lat 25, stąd zaś w ciągu lat tysiąca wzrost ludności z jednej pary przedstawiałby się w formułce 2^{41}, czyli, rozwiązując tę formułkę na zwyczajne liczby, dałby horendalną cyfrę 2,199,023,552, t. j. 1370 razy tyle, ile liczy obecnie nasz glob mieszkańców. Jeżeli przeciwko tym cyfrom występuje się ze

[1]) Thomas Robert Malthus (1766—1834), protestancki pastor angielski i ekonomista, autor słynnego dzieła „Essay on the Principle of Population", które poraz pierwszy ukazało się w 1798, wielokrotnie potem przerabiane i tłumaczone na rozmaite języki.

świadectwem faktu, że przecież świat po wielu tysiącach lat istnienia liczy dopiero półtora miljarda ludzi, to oczywiście stwierdza się tylko istnienie potężnych czynników, które przyrost ludności, do jakiego płodność fizjologiczna jest zdolna, ustawicznie hamują. Już Malthus uczynił klasyfikację tych czynników, sprowadzając je do 3-ch kategoryj: moralnego p a n o w a n i a nad popędem płciowym (restraint moral), w y s t ę p k u i c i e r p i e ń [1]). Do cierpień zalicza wszystkie plagi, jakie ludzkość trapią, jak wielka smiertelność dzieci, wojny dziesiątkujące dorosłą ludność, epidemje, wyludniające niekiedy całe kraje, klęska głodu; występki — to rozpusta i idące za nią w ślad choroby i sztuczne ograniczanie w małżeństwach liczby dzieci. Otóż jeśli weźmie się pod uwagę, że ludność dzięki postępom hygjeny walczy coraz skuteczniej ze śmiertelnością dzieci, że dąży do takiego uregulowania stosunków międzynarodowych, aby wojna, słusznie uważana za zło fizyczne i moralne, znikła z oblicza ziemi, że ulepszeniem środków komunikacji usiłuje złagodzić skutki objawiającej się sporadycznie to w tym, to w innym zakątku ziemi klęski głodu, że czyni pewne wysiłki w celu zwalczenia chorób, które ujemnie wpływają na płodność, — to stąd wyniknie, że stopień działania owych zapobiegających przeludnieniu czynników ustawicznie się obniża, a zatem, że jeśli się nie ma dopuścić do rychłego przeludnienia ziemi, które już w lat 50 od obecnej chwili mogłoby dosięgnąć największej możliwej cyfry (6 miljardów ludzi), jaka zmieścić się może, według obliczeń, na kuli ziemskiej, pozostaje coraz bardziej stosowanie środków zapobiegawczych, leżących w mocy ludzi. Tem samem natura niejako daje wskazówkę, że człowiek ma prawo w jakiś sposób regulować rozumem i wolą swoje zdolności rozrodcze i chodzi tylko o to, jakie środki do tego celu są godziwe.

Malthus surowo potępiał ową drugą kategorję czynników hamujących zbyt szybkie rozmnażanie się, tj. s z t u c z n e ograniczanie potomstwa w pożyciu małżeńskiem, czyli tak zwany pospolicie onanizm małżeński, zowiąc go, jak zasługuje, występkiem, i dlatego nazwa »małtuzjanizmu«, używana często na oznaczenie grzesznych praktyk małżeńskich, jest krzywdzeniem pamięci pobożnego i surowego w swej etyce pastora. Dla niego, jako środek zapobiegawczy przeludnieniu, a zależny od woli człowieka, istniał tylko »restraint moral«, t. j. powściąganie się w pewnej mierze od funkcyj płciowych, przez późne zawieranie małżeństw i ograniczanie się dobrowolne małżonków w korzystaniu z praw małżeńskich.

[1]) Cfr. Essai... Wyd. Bruxelles, 1841, t. I, str. 26.

Uczniowie Malthusa w ekonomji wypaczyli zupełnie jego myśl. Zapatrzeni w niebezpieczeństwo przeludnienia, nie mieli wszakże odwagi głosić moralnej jego zasady: »restraint moral« pozostawiono na boku, na czoło praktycznych koncesyj wysunął się właśnie występek, tak surowo potępiony przez mistrza. Ten kierunek, nazwany potem »neo-maltuzjanizmem«, poczęto propagować zarówno w uczonych traktatach, jak w broszurach popularnych; w r. 1877 powstała już w Londynie powołana przez Dr. C. L. Drysdale'a do życia specjalna liga do szerzenia niemoralnych praktyk onanistycznych, która niebawem znalazła zorganizowane naśladownictwo i w innych krajach.

Propaganda neo-maltuzjanizmu znalazła żywy oddźwięk nie tylko w sferach, które już były oswojone z występnemi praktykami, ale i w szerokich kołach ludności wiejskiej i robotniczej. Nic dziwnego, trafiła bowiem na sprzymierzeńca w postaci indywidualnych wyrachowań egoizmu i zmysłowości ludzkiej. Jeśli dla ekonomistów, w rodzaju Malthusa i jego uczniów, pobudką do ograniczania potomstwa była obawa przeludnienia, to szerokie masy znalazły pobudki bliższe i daleko zrozumialsze dla siebie. Oczywiście, rzadko kto w swojem życiu seksualnem będzie powodował się jakiemiś ogólno-światowemi względami; pobudką do ograniczania potomstwa bywa zawsze coś bliższego, coś bardziej indywidualnego. Paul Bureau w znakomitej swojej książce »L'Indiscipline des Moeurs« tak mniej więcej opisuje pobudki, jakie kierują w tych razach małżeństwami. Unika się dalszego pomnażania liczby dzieci raz aby zapewnić córce jedynaczce gruby posag, to znowu, aby uniknąć podziału rodzinnego majątku, kiedyindziej chce się staranniej wychować dziecko, zapewnić mu wyższy stopień wykształcenia i stanowiska w hierarchji społecznej, jeszcze kiedyindziej unikanie potomstwa usprawiedliwia się względem na zdrowie kobiety, zmęczonej poprzedniem macierzyństwem, chce się jej oszczędzić trudów nowej ciąży i karmienia nowego dziecka. Dla wielu kobiet światowych wystarczającą pobudką do zrzucenia z siebie obowiązków macierzyńskich jest pragnienie zachowania większej wolności osobistej, możności bywania na balach, wieczorach i w teatrze, a często nawet chęć zachowania świeżości cery, figury i pragnienie większego podobania się mężowi. W klasach niższych te ostatnie względy może mniejszą odgrywają rolę, ale za to rachuby ekonomiczne wysuwają się na czoło. Ekonomiści stwierdzili, że tam, gdzie lud osiągał wyższy stopień dobrobytu, chwilowo przynajmniej wzrastała liczba urodzin. Takie zjawisko obserwowano np. w Kanadzie przy kolonizacji tego kraju i wogóle w krajach,

gdzie przybysze mogli zajmować znaczne przestrzenie ziemi. W tych warunkach większa liczba dzieci bywała pożądaną, bo one dostarczały pomocy w gospodarstwie, jakiej skądinąd miećby nie można było. Podobnież w Anglji w epoce pierwszego rozkwitu przemysłu fabrycznego i górnictwa, kiedy jeszcze nie było ustaw ograniczających pracę nieletnich dzieci, rodziny robotnicze wykazywały wielką płodność, albowiem dzieci po kilku latach życia pomnażały już zarobek rodziny. Po pewnym czasie jednak, kiedy staje się już ciaśniej, kiedy dzielenie kolonij groziłoby pauperyzmem, a większa ilość dzieci w rodzinach robotniczych staje się ciężarem ponad siły, liczba urodzin nagle spada. I ostatecznie trudno się temu dziwić i trudno domagać się od prostego robotnika, aby z chęcią podejmował się rozmnożenia swojej rodziny, której pracą swoją wyżywić nie może, zwłaszcza jeżeli i żona, zajęta liczną dziatwą, nie jest w stanie przyjść mu z pomocą zarobkiem poza domem.

Tem się też tłumaczy łatwe przyjęcie się praktyk neomaltuzjańskich przedewszystkiem w środowisku robotniczem. Wzmiankowane wyżej ligi zwróciły się też ze swoją propagandą przedewszystkiem do kół robotniczych, rozrzucając nawet wśród młodych robotnic swoje broszury i manifesty, nawołujące do sztucznego ograniczania potomstwa. Partje i związki socjalistyczne gorliwie poparły tę propagandę, widząc w niej jeden ze środków zwalczania kapitalistycznego ustroju i militaryzmu: grève des ventres miała skutecznie poprzeć grève des bras.

Propaganda neo-maltuzjańska znalazła jeszcze innego sprzymierzeńca. Były nim koła wolnomyślicieli, w których praktyki niemoralne miały się stać narzędziem do zwalczania Kościoła i odciągnięcia ludności od religji. Już bowiem A. Comte zauważył, że etyka katolicka, sama w sobie najzupełniej uzasadniona i dla społeczeństwa najkorzystniejsza, ma wszakże tę jedną kapitalną wadę, że jest głoszona i broniona właśnie przez Kościół katolicki. Że więc etyka neo-maltuzjańska, wręcz katolickiej przeciwna, znalazła tak licznych i potężnych obrońców, to się tem tłumaczy dostatecznie, iż w walce z religją i w szczególności z Kościołem wszystkie środki w pewnych kołach uważa się za dobre.

Wobec tylu egoistycznych i zmysłowych pobudek, bronionych przez zastępy filozofów i uczonych ekonomistów, uniewinnianych i opiewanych przez powieściopisarzy i poetów, szerokie masy ludności wszelkich stanów nie ograniczyły się do umiarkowanego stosowania polecanych im praktyk, lecz wprowadziwszy skwapliwie do swego życia rodzinnego wynalazki nowożytnej techniki, szukały jednego tylko: jaknajwięcej zmysłowej rozkoszy przy jaknajmniejszej mierze obowiązków

rodzicielskich. Skutek z tego był taki, jakiego ani Malthus, ani pierwsi jego zwolennicy, ekonomiści i politycy, nie przewidywali. Neomaltuzjanizm, nietylko że zapobiegł nadmiernemu wzrostowi ludności, ale w niektórych krajach zaczyna doprowadzać do przewagi liczby trumien nad iczbą kołysek. Tak już jest we Francji, a do tego zdają się zdążać i inne kraje. Ekonomiści i politycy stanęli wobec nowego niebezpieczeństwa stopniowego obniżenia się ludności. Przed temi krajami i narodami, gdzie to niebezpieczeństwo w porównaniu z krajami i narodami innemi jest większe, staje perspektywa osłabienia politycznego, zalewu przez obcych i stopniowego zacierania się własnej narodowej i kulturalnej fizjonomji. Weźmy np. Francję. Posłuszny neomaltuzjańskiej teorji wieśniak francuski ogranicza się zwykle do dwojga dzieci. Lecz w tych warunkach, nie mając kim obrobić swego gospodarstwa, zmuszony jest sprowadzać siły robocze z ludniejszych krajów. Przemysł, bogaty w kapitał, nie może na miejscu znaleźć robotnika i znowu musi szukać go gdzieindziej. Prawda, że te masy obcokrajowców nie stają się zaraz dziedzicami bogatego farmera ani współwłaścicielami francuskiej fabryki, mogą się wszakże, zwłaszcza w czasach wzmożonej propagandy socjalistycznej, poczuć wkrótce na siłach i dopomnieć się o równe z obywatelami kraju prawa. Na razie jeszcze wysoka kultura francuska może wchłaniać i asymilować stopniowo te obce elementy, choć ze szkodą oczywiście dla czystości rasy, ale dojść może rychło do tego, że te elementy obce będą przedstawiały masę niezdolną już do rozpuszczenia w narodzie francuskim. Nadto, zanim te obce żywioły podzielą się mieniem swoich obecnych egoistycznych pracodawców, bezwątpienia już są elementem politycznie raczej ujemnym niż dodatnim i w razie walki o egzystencję narodową z potężniejszym sąsiadem trudno będzie na nie liczyć, zwłaszcza jeżeli one są awangardą właśnie owych wrogich sąsiedzkich zastępów. Wszelkie sztuczne łagodzenie złych wpływów immigracji obcych żywiołów, w rodzaju niemieckiego systemu rugowania na zimę sezonowych robotników, okażą się za słabe wobec wymagań życia i ekonomicznych potrzeb, i naród, który najdalej zajdzie na drodze neomaltuzjańskich praktyk, musi z czasem ulec przewadze ekonomicznej i politycznej swoich płodniejszych sąsiadów. Nic więc dziwnego, że w kraju, gdzie ten niepokojący problem osiągnął najwyższą wyrazistość, trąbi się głośno na alarm, zakłada się naprzeciwko dotychczasowych lig neomaltuzjańskich nowe ligi de natalité, obmyśla się środki podniesienia liczby urodzin w rodzaju coraz większych premij pieniężnych za każde nowe dziecko, itd. P. Bureau w cytowanej

książce świetnie wykazuje, że wszystkie te nawoływania i zabiegi pozostaną bezskuteczne, dopóki nie nawróci się obyczajów w rodzinach do tradycyjnej etyki katolickiej. Uwagi godna jest rzecz, że jeżeli kwestję zaludnienia traktuje się jedynie pod kątem widzenia ekonomicznym i politycznym, każdy naród byłby zainteresowany nietyle w tem, aby wzrosła ludność we własnym jego kraju, jak raczej w tem, aby się zmniejszyła w krajach innych, zwłaszcza sąsiednich, od których grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo zalewu. Mamy tu analogiczne zjawisko do zagadnienia militaryzmu: kraje i państwa bardzo pragnęłyby, aby demobilizację i ograniczenie zbrojeń rozpoczęli inni. Z drugiej strony, gdyby chciano urządzać rodzaj wyścigów pomiędzy narodami co do wzrostu ludności, by liczbą górować nad sąsiadami, rychło znowu narażonoby świat na przeludnienie, pauperyzm, nowe wojny i idące za niemi inne nieszczęścia.

W Polsce, na której »króliczą« płodność skarżył się Bismark, do ostatnich czasów nie było jeszcze niebezpieczeństwa obniżenia się ludności, nawet względnego w porównaniu do narodów sąsiednich. Wszak dostarczaliśmy niezliczonych rzesz robotników dla Niemiec, Szwecji, Danji i Francji, owszem wysyłaliśmy miljony naszego ludu za Ocean. Mimo to, choćby nawet względna liczba urodzin w naszym kraju nie malała, grozi nam niebezpieczeństwo inne: oto Polska traci coraz bardziej charakter państwa narodowego z powodu szybszego wzrostu w niej żywiołów obcych, zwłaszcza żydostwa. Dość powiedzieć, że w chwili rozbioru naszej Ojczyzny Żydzi stanowili conajwięcej 10% ogółu ludności [1]), dziś stanowią już przeszło 14%. Zwyżkę tę spowodował nie tyle napływ do Polski obcych Żydów, bo ci »litwacy«, których nam Rosja przed 30 laty podarowała, byli to przeważnie synowie i wnuki Żydów, jacy po rozbiorze Polski posunęli się na wschód; stosunkowy więc przyrost ludności żydowskiej w Polsce jest rezultatem większej płodności tego plemienia i mniejszej śmiertelności wśród dzieci żydowskich niż wśród dzieci naszego ludu. Otóż jeśli stosunek liczbowy Żydów do narodu naszego będzie w dalszym ciągu zmieniał się na naszą niekorzyść, to przemiana naszej Ojczyzny w prawdziwą Judeo-Polonję staje się tylko kwestją czasu i to może nie bardzo dalekiego. Zdaje się, że nasi statyści i politycy dotąd nie zauważyli tej strony niebezpieczeństwa żydowskiego.

Z dotychczasowych wywodów jasną jest rzeczą, że jak z jednej

[1]) Korzon, Wewnętrzne Dzieje Polski, t. I, str. 320.

strony ludzkość nie może bez narażenia się na straszne a szybkie konsekwencje puszczać cugli swoim skłonnościom rozrodczym bez ograniczenia, tak z drugiej strony zbytnie ograniczanie liczby potomstwa grozi narodom niemniej ciężkiemi następstwami. Dla uchylenia tych ostatnich następstw nie wystarczy odwoływać się do kobiet w imię pobudek patrjotycznych. Apel o jak największą liczbę żołnierzy-obrońców Ojczyzny, o jak najwięcej rąk roboczych dla rozwoju rodzimego przemysłu ma w sobie coś moralnie odstręczającego. Niejedna matka, która opłakała zgon swoich synów na polu walki, raczej przestrzeże swoje córki, by ze swoich rodzin nie czyniły jakichś seminarjów militaryzmu, jakichś fabryk żeru dla armat, i robotnik w naszym ustroju społecznym może za mało jest zainteresowany w rozroście przemysłu, aby miał dostarczać dlań jak największej liczby rąk roboczych. I dlatego, jeśli chodzi o zatrzymanie spadku liczby urodzin, należy odezwać się do sumień ludzkich w imię innych pobudek.

Takich pobudek dostarczyć może jedynie religja. I oto wchodzimy w dziedzinę zagadnienia ściśle moralnego.

Chyba nie potrzebuje długich dowodów zasada, że celem naturalnym popędu płciowego, tak w świecie ludzkim jak i w zwierzęcym, jest rozmnażanie. Fizjologiczna funkcja płciowego aktu z natury rzeczy zmierza do tego, by do organizmu kobiety doprowadzić tę substancję, która jest koniecznym warunkiem i współczynnikiem powstania nowego życia. Towarzysząca aktowi przyjemność to rzecz poboczna. Stwórca natury, aby osiągnąć swoje cele, nie zawsze używa formalnego nakazu; często prowadzi swe stworzenia drogą instynktów, jakie włożył w ich naturę i jakim większa liczba tych stworzeń napewno ulegnie. Rolę takiej instyktownej przynęty w dziele rozmnażania stanowi przyjemność fizjologicznego aktu. Człowiek, uznający mądrość Bożą i celowość Jego zarządzeń, może nadto widzieć w tej przyjemności niejaką zapłatę, udzielaną rodzicom za trudy ojcowstwa i macierzyństwa. Z tych rozważań wynika, że emocje erotyczne nie mogą być w życiu człowieka celem same w sobie; są one tylko zjawiskiem wtórnem, towarzyszącem głównemu i ułatwiającem osiągnięcie właściwych celów życia płciowego.

Powyżej określoną zasadę zupełnie wypaczyła szeroko rozwielmożniona praktyka. Erotykę, najpierw w życiu a potem i w teorji, uznano za coś, co jest godne pożądania samo przez się. Zmysłowość wyzwolono z konieczności podporządkowania się wyższym obowiązkom. To oddzielenie przyjemności od trudu oczywiście było znane i trafiało

się często nawet między ludami, stojącemi na najniższym stopniu kultury, ale proste jego formy wyzwolona z pod wpływu religji cywilizacja doprowadziła do wyrafinowania i obok prymitywnego wybiegu biblijnego Onana zjawiły się bardziej wyszukane i bardziej niezawodne środki nowoczesnej techniki i farmacji. Propaganda neomaltuzjańska, sprzymierzona z niewiarą, z nienawiścią do wszystkiego co katolickie, z chciwością kupiecką wyrabiających wynalezione narzędzia, ze zmysłowym egoizmem człowieka, wreszcie — trzeba i to przyznać — z milczącą pobłażliwością zażenowanych stróżów moralności, — całe to wieloliczne przymierze doprowadziło do tych skutków, na jakie w wielu krajach z przerażeniem patrzą ekonomiści i politycy. Nietylko radykalnie zapobieżono przeludnieniu, ale wystawiono kraje i narody na niebezpieczeństwo śmierci powolnej.

Niektórzy zwolennicy wyzwolonej etyki, nie śmiejąc potępić praktyk neomaltuzjańskich, występują jedynie przeciwko ich nadużywaniu i sądzą, że przy umiarkowaniu i rozumnem ich stosowaniu dałoby się sharmonizować dobro narodu z prywatnemi względami. Jest to wszakże złudzenie. Kto bowiem będzie sędzią, w jakich granicach miałoby być wolno uciekać się do neomaltuzjańskich praktyk? Czy jest do pomyślenia jakaś określona liczba dzieci, których naród i państwo miałyby się prawo domagać od każdego małżeńskiego stadła? Jeżeli tą liczbą miałaby być cyfra wydedukowana z naturalnej płodności człowieka z ograniczeniem do pojemności naszego globu i bogactwa środków utrzymania, gdyby taką liczbą miała być — jak niektórzy chcą — cyfra trojga dzieci na każde małżeństwo, la meilleure natalité, czyż państwo miałoby prawo narzucić pewnej liczbie rodzin żądanie, aby wychowywały większą liczbę dzieci, żeby uzupełnić braki pochodzące ze sprzeniewierzenia się innych rodzin swemu powołaniu? Czyż stadło, które zgodnie z obliczeniem statystyki spełniło swój obowiązek, nie mogłoby odpowiedzieć, że nie jest obowiązanem własnym kosztem naprawiać grzechy innych, ciągnących ze swych grzechów doczesne korzyści? Czyż wreszcie byłby jakiś sposób kontroli że niepłodność tych innych małżeństw jest rzeczywiście dobrowolna, a więc zawiniona, antyspołeczna i niepatrjotyczna? Dlatego, jeżeli się nie potępi zasadniczo praktyk neomaltuzjańskich, jedynym sędzią co do rozmiarów godziwego ich stosowania będą sami zainteresowani, i przeciwko ich subjektywnej ocenie nie będzie można nic racjonalnie powiedzieć. Bo czy nie jest z pewnego punktu widzenia uzasadnione tłumaczenie się wielu, że nie posiadają dosyć środków dla wychowania więcej jak jednego lub dwojga

dzieci? Jeżeli się im odpowie, że trzeba żyć oszczędniej, obniżyć stopę życiową a więcej pracować, to czy nie będzie to nieszczerem wobec wielu małżeństw, gdzie się już więcej pracować nie może i gdzie niema już miejsca na obniżanie stopy życiowej? Gdy znowu wzgląd na zdrowie kobiety uzna się za wystarczający powód do stosowania zabiegów neomaltuzjańskich, w takim razie otwiera się drogę do bezkresu nadużyć, bo czyż jest ciąża, któraby nie była połączona z niebezpieczeństwem dla matki, czy jest macierzyństwo, któreby nie wyniszczało sił kobiety?

Ale nie dość na tem. Dopóki się nie potępi zasadniczo praktyk neomaltuzjańskich, dotąd nie tylko nie uzyska się umiarkowania w ich stosowaniu, ale nie będzie się miało prawa potępiać żadnych innych nadużyć i występków życia płciowego. Jest to wielką zasługą cytowanego wyżej P. Bureau, że wykazał dowodnie ścisłą moralną i logiczną solidarność i jedność pomiędzy wszystkiemi objawami rowiązłości płciowej, jak z drugiej strony solidarność i jedność wszystkich nakazów i zakazów chrześcijańskiej etyki w tej dziedzinie. Oto w streszczeniu dowód autora. Jeżeli się raz odłączyło przyjemność płciową od naturalnego jej celu, czyniąc z niej cel godny pożądania sam przez się, w takim razie nie ma się prawa potępić żadnego innego przejawu zmysłowego wyuzdania. Najpierw, jeśli zarzuca się naczelną zasadę podporządkowania przyjemności zmysłowej twórczym celom, usunie się podstawę z pod obowiązku wierności małżeńskiej. Jeżeli bowiem człowiek ma prawo szukać zaspokojenia swojego popędu płciowego z uchyleniem jego naturalnego przeznaczenia, jeżeli się nadto twierdzi, że uleganie temu popędowi jest koniecznością natury, a hamowanie go wpływa ujemnie na zdrowie, w takim razie trzeba rozgrzeszyć zupełnie tego małżonka, który w czasie przymusowej dłuższej rozłąki lub choroby żony szuka zaspokojenia swych zmysłów gdzieindziej. I oto już w zasadzie usprawiedliwiliśmy tę najwstrętniejszą instytucję, jaką zepsucie ludzkie zrodzić zdołało — prostytucję. Dalej, jeśli wolno żonatym i zamężnym poszukiwać i korzystać z wrażeń erotycznych bez podporządkowania ich celom twórczym, dlaczegóż tego samego prawa mielibyśmy odmówić celibatarjuszom i młodzieży obojga płci, skoro tylko dojrzałość płciową osiągną? Nawiasem dodamy, że robienie różnicy pod tym względem pomiędzy młodzieżą męską a żeńską, owa »podwójna etyka«, według której jednej stronie poczytuje się za upadek to, co innej wybacza się jako zupełnie niewinną i usprawiedliwioną słabostkę, jest sama w sobie nielogiczna i dla jednej strony wielce

krzywdząca. Wreszcie obok niewierności małżeńskiej, obok prostytucji trzebaby również usprawiedliwić wszelkiego rodzaju pornografję, albowiem jeśli cel — używanie zmysłowe z wyzwoleniem się od obowiązków jest godziwy, w takim razie za godziwe należałoby poczytać i środki doń prowadzące, a są niemi wszelkie kształty pornografji.

Tę solidarność wszystkich form rozwiązłości płciowej uznała zresztą cała opinja publiczna. Z równą obojętnością a nawet aprobatą, jak środki neomaltuzjańskie, spotykają się w kołach wyzwolonych z etyki katolickiej i łamanie wiary małżeńskiej, prowadzące do tak częstych rozwodów, i prostytucja, byleby nie dotyczyła najbliższych osób, i wszelkiego rodzaju pornografja w powieści, w poezji, na scenie i na ekranie. Z wyzwolonej z pod wszelkich więzów erotyki uczyniono nawet jakiś rodzaj kultu religijnego. Jeżeli w starożytności znano wstrętny kult fallistyczny, to zasadniczo był on mniej przewrotny od nowożytnego kultu Wenery; tam bowiem chodziło o uczczenie źródła życia i płodności, tutaj zaś mamy do czynienia z apoteozą samej niekrępowanej niczem rozkoszy zmysłowej. Możnaby tę nowożytną religję zmysłów przyrównać chyba do wschodnich praktyk »świętej prostytucji«. Ta nowożytna religja ma swoich teoretyków, broniących nawet najbardziej wyrafinowanych jej praktyk aż do homoseksualizmu włącznie, ma swoich piewców-kapłanów i ma swoje ołtarze ofiarne. Nasza kulturalna wyobraźnia wzdryga się przed okrucieństwem Chińczyków, rzucających tysiącami swe dzieci na pożarcie zwierzętom, wzdryga się przed okrucieństwem starożytnej Syrji, ciskającej niewiniątka w rozpaloną paszczę Molocha; a oswoiła się z tem, że w naszych rzekomo chrześcijańskich społeczeństwach dla ułatwienia korzystania z przyjemności życia zabija się w łonie matek miljony istot niewinnych, które nie miały szczęścia ujrzeć jeszcze światła dziennego. Sam Paryż, ten nowoczesny Babilon zepsucia, pomimo szerokiego stosowania praktyk, zapobiegających poczęciu, praktykuje corocznie, według przypuszczalnych obliczeń wtajemniczonych w tę ciemną stronę życia, przynajmniej 50.000, a Francja 300.000 operacyj, w celu spędzenia zawiązanego już płodu. Otóż i z tą horendalną hekatombą, składaną na cześć Wenery oswoiło się współczesne sumienie. W ustawach pozostały jeszcze paragrafy, ścigające ten występek, nikt wszakże się z nim nie liczy: lekarze, uprawiający korzystny proceder, prawie zawsze znajdą usprawiedliwienie dla swojej działalności w prawdziwem czy zmyślonem niebezpieczeństwie dla zdrowia kobiety z przedłużenia ciąży; w salonach opowiada się o tego rodzaju operacjach, jak o czemś zupełnie zwy-

czajnem, a teoretycy występku domagają się głośno skreślenia z prawodawstwa przestarzałych według nich artykułów. Najgłośniej pono tego rodzaju domagania odzywają się w szeregach wyzwolonych emancypantek: jedna z nich, cytowana przez Bureau M. Pelletier, żąda, aby kobiecie zamężnej czy niezamężnej wolno było pozbyć się swojego płodu, tak »jak wolno jej obciąć sobie włosy lub paznokcie«.

Uzdrowienia obyczajów, a w szczególności obyczajów pożycia małżeńskiego, można spodziewać się jedynie od etyki chrześcijańskiej. Należy ją wszakże wprowadzić w całej rozciągłości. Duszą tej etyki jest zasada naczelna, którąśmy wyżej przypomnieli, że erotyczna strona funkcyj płciowych może i powinna służyć jedynie tworzeniu nowego życia. Prawda, że etyka katolicka zna jeszcze tak zwany drugorzędny cel małżeństwa, finis secundarius, którym jest zaspokojenie zmysłowego popędu, sedatio concupiscentiae. Ale ten cel, jakkolwiek bezpośrednio bywa pobudką funkcyj płciowych, tak że często może nawet najmoralniejsi małżonkowie o innym dalszym celu w danej chwili nie myślą, nie powinien wszakże faktycznie emancypować się z pod celu ostatecznego czynności rozrodczych, ani nie dopuszczać niczego, coby ten cel dalszy wykluczało. W świetle tej zasady muszą być kategorycznie potępione wszelkie praktyki sztucznie zapobiegające zapłodnieniu, bez względu czy to będą prostackie ostrożności na wzór Onana, czy też wyrafinowane subtelności nowszego wynalazku.

Kościół katolicki stoi na stanowisku zasadniczem i nieubłaganem. Nie będę tu przypominał znanych moralistom dekretów Stolicy Św., które nie tylko kategorycznie potępiają praktyki neomaltuzjańskie, jako przeciwne prawu natury, ale uważają za karygodne opuszczenie ze strony kierowników sumienia praktykę systematycznego milczenia i nie pytania na spowiedzi o tej materji. Tutaj wyznać należy, że w istocie kiedy zło rozszerzyło się w niektórych krajach, jak np. we Francji, wiele konfesjonałów sprzeniewierzyło się swej roli; to, o czem nie wahał się pisać wyraźnie w swej »Filotei« wielki Doktor Kościoła, św. Franciszek Salezy, to, co przypominał każdy nawet mały katechizm, świętość pożycia małżeńskiego — poczęto pokrywać milczeniem, zbytnio rozciągając słuszną w wyjątkowych razach zasadę, iż nie należy z grzechów materjalnych czynić grzechów formalnych i ścisłem wymaganiem zachowania prawa Bożego odstręczać ludzi od Kościoła, sakramentów i religji. Trzeba było dopiero, aby zło przybrało postać już nie tylko materjalnego grzechu poszczególnych stadeł małżeńskich, ale wprost postać plagi i niebezpieczeństwa społecznego, żeby tak szeroko stoso-

wana ekonomja milczenia, doczekała się wreszcie surowej oceny. Bądź co bądź dziś niema chyba żadnego katolickiego kraju, w którymby od czasu do czasu nie rozlegał się głos urzędowych stróżów moralności chrześcijańskiej, potępiający ohydne praktyki, tylko, że w jednych miejscach mówi się, iż zło nie przybrało jeszcze tak wielkich rozmiarów, aby zwalczać je publicznie piórem i słowem, a w drugich załamuje się ręce, stwierdzając, że zło doszło już do takiego stopnia potęgi, iż wszelka z niem walka będzie bezowocną.

W zwalczaniu neomaltuzjańskich form pożycia małżeńskiego tam, gdzie się faktycznie do tej walki występuje, łatwo zauważyć inny błąd taktyczny. Potępiając przeciwne naturze praktyki, zachęca się małżonków winnych jedynie do zdania się całkowicie na Opatrzność Bożą bez względu na wszystkie przytaczane przez nich racje. Wyżej już zaznaczyliśmy, jak w wielu razach taka perswazja okazuje się bezskuteczną, i zdaje mi się, że niejeden, który do niej się ucieka, nieraz czynić to musi nieszczerze, nie wierząc w gruncie rzeczy ani w słuszność swych argumentów, ani w ich skuteczność. Pochodzi to stąd, że nawet w nauczaniu etyki katolickiej, gdy się gromi występek, nie wskazuje się stojącej na przeciwnym biegunie cnoty. Tą cnotą jest w naszym wypadku c z y s t o ś ć m a ł ż e ń s k a, polegająca nie tylko na zaniechaniu nienaturalnych praktyk, ale i na d o b r o w o l n e m u m a r t w i a n i u z m y s ł ó w i ograniczaniu korzystania z praw małżeńskich. Milczenie o tej cnocie pomaga do utrwalenia się poglądu, że w małżeństwie »wszystko wolno«, że nie obowiązuje tam żadna miara i żadne nad sobą panowanie, że raczej wskazanem jest tam zupełne puszczenie cugli popędom, byleby tylko nie czynić niczego przeciw naturze. Otóż tu byłoby pożądane uświadomienie sobie tej prawdy, że w życiu płciowem człowieka, nawet w małżeństwie, już samo tylko pobłażanie bez granic popędowi rozrodczemu jest czemś nienaturalnem. W świecie zwierzęcym instynkt rozrodczy przywiązany jest najczęściej do pewnych czasów i objawia się w pewnej tylko mierze; jeżeli u ludzi jest inaczej, to chyba jest to wskazówką natury, aby człowiek, istota rozumna i wolną wolą obdarzona, sam swoim naturalnym instynktom nakładał rozumną miarę i wędzidła.

Zapomnienie o tej prawdzie i o tym królewskim przywileju człowieka — panowania nad swojemi niższemi popędami — jest właśnie jednym z czynników owej rozwiązłości ogólnej, która, przekazywana we krwi i w wychowaniu, pogarsza rzecz z pokolenia na pokolenie i z nadużyć czyni rzekomy głos i konieczność natury. Na to, że zbyt

mało przypomina się małżonkom obowiązek czystości i panowania nad sobą, a może zbyt silnie natomiast podkreśla się, zwłaszcza kobietom, obowiązek małżeńskiego posłuszeństwa, oburzają się już delikatniejsze natury i sumienia. W swojej, nie wolnej wprawdzie od pewnych przesad, ale pod wielu względami znakomitej książeczce «Vom Mädchen zur Frau«, wyrzuca p. Meyer, kobieta-lekarka, nowożytnym moralistom, że za mało uwzględniają potrzebę powstrzymywania się w małżeństwie od stosunków małżeńskich. Według żądania tej kobiety-lekarza, zupełna powściągliwość w małżeństwie winna być naprzykład stanowczo zachowana nie tylko w dniach cięższego fizycznego lub duchowego cierpienia kobiety, ale również przez cały czas ciąży i przez najbliższe tygodnie po rozwiązaniu. Inni idą jeszcze dalej, żądając zupełnej abstynencji przez cały czas karmienia dziecka. Trzeba przyznać, że argumenty, przytaczane przez tych autorów, muszą trafić do przekonania ludzi, których namiętność nie zaślepia. Przedewszystkiem godność kobiety domaga się tego, aby jej nie traktowano jako rzecz bezduszną i nie obracano w proste narzędzie zmysłowości mężczyzny, lecz uszanowano to naturalne jej przeznaczenie, które Bóg postawił przed nią, wzywając ją przedewszystkiem do własnego indywidualnego kształcenia swojej duszy i osiągnięcia ostatecznego celu. Gdyby do tych bardzo uzasadnionych wymogów naturalnej etyki powszechnie się zastosowano, gdyby wznowiono praktykę starożytnego i średniowiecznego chrześcijaństwa — wstrzemięźliwości małżonków w czasach pokuty, np. w Wielkim poście, o czem dotąd rytuały każą pouczać nowożeńców, jużby się uniknęło bez żadnych sztucznych środków przeciążania rodzin zbytnią liczbą potomstwa, zaoszczędziłoby się sił i zdrowia kobiety, tak często marnowanych przez zbyt częste macierzyństwo jak i przez nadużycia w korzystaniu z praw małżeńskich, wreszcie uchyliłoby się w znacznej mierze to dalsze niebezpieczeństwo przeludnienia, wraz z widmem idących za niem nieszczęść pauperyzmu, chorób i wzajemnego zjadania się ludzi. Rzeczoną zasadę wstrzemięźliwości w małżeństwie oczywiście trzeba rozciągnąć jeszcze dalej względem tych stadeł, w których czy to dla ubóstwa czy dla zdrowia uchylenie się od nowych ciężarów ojcowstwa i macierzyństwa jest usprawiedliwione.

Z zastosowania tego środka przeciwko zbyt częstemu macierzyństwu nie potrzeba się obawiać ani nadużyć, ani niebezpieczeństwa wyludnienia kraju. P. Bureau zauważył, że pojęte po chrześcijańsku pożycie małżeńskie jest kolejnem następstwem po sobie dwóch form he-

roizmu; heroizmem jest poddać się wszystkim obowiązkom ojcostwa i macierzyństwa i od tego heroizmu nie można się inaczej uchylić, jak przez heroizm czystości, i naodwrót: uchylenie się od tej trudnej cnoty winno się opłacić heroicznem podjęciem ciężaru rodzicielskiego. W harmonijnem zespoleniu i kolejnem następstwie tych dwóch heroizmów byłaby najlepsza rękojmia zarówno fizycznego jak i moralnego zdrowia rodziny, równowagi społecznej i politycznej państw i narodów.

Z rozwiązania, jakie przynosi dla męczącego problemu etyka chrześcijańska, powstaje nader ważny p r o b l e m p e d a g o g i c z n y. Czystość małżeńska, taka jaką opisaliśmy powyżej, zapewne przestraszy niejednego swoją surowością i może niejednemu moraliście wyda się rzeczą zbyt ryzykowną jej przypominanie. Zapewne wymaganie to byłoby za trudne, gdyby się je wyrwało z całokształtu przykazań Bożych w zakresie moralności płciowej. Gdzie tu mówić o czystości małżeńskiej ludziom, którzy wmawiają w siebie i w innych jakąś konieczność natury, rozgrzeszającą ich nawet z wiarołomstwa, popierania prostytucji, gdzie mówić o obowiązku panowania nad zmysłami osobnikom, których nieledwie od dzieciństwa uniewinniało się z ich młodzieńczych grzechów i słabostek? Moralność chrześcijańska — przypominamy — jest we wszystkich swoich nakazach i zakazach logicznym i solidarnym organizmem i dlatego, chcąc uzdrowić moralność w rodzinach, należy oczyścić z trujących miazmatów całą atmosferę, w jakiej wzrastają przyszli mężowie i żony, ojcowie i matki. Chcąc otrzymać czyste rodziny, trzeba posiadać czystą młodzież i to zarówno płci męskiej, jak żeńskiej. Dopóki panuje przekonanie, że młody chłopiec »musi wyszumieć«, że potem wolno mu ubiegać się o rękę i serce niewinnej dziewczyny, choćby szedł do ołtarza drogą skropioną przez łzy innych uwiedzionych i najpiękniejsze kwiaty swych uczuć zmarnował w domu rozpusty, — dopóty nie możemy marzyć o stworzeniu prawdziwie moralnych stadeł małżeńskich. Dlatego musi się zerwać z karygodną pobłażliwością wobec młodzieży i w wychowaniu, opartem o zasadę obowiązku, panowania nad sobą, umartwienia, przygotowywać ją do zupełnie czystego życia ochraniając jej cnotę przed wszelkiem zgorszeniem, przed wszelkiemi powiewami współczesnego moralnego bagna. Mało jeszcze tego; stawiając kategoryczne żądanie całkowitej abstynencji płciowej przed zawarciem małżeństwa, wychowanie musi uprzedzić młodego człowieka i młodą dziewczynę, że z chwilą zawarcia ślubów małżeńskich nie kończy się dla nich obowiązek czystości, tylko przybiera inne kształty i że życie małżeńskie przynosi nowe obowiązki. Licencje w pożyciu małżeńskiem

nie mogą być rozumiane jako jakaś nagroda za wstrzemięźliwość przed ślubem. Pomiędzy temi dwoma stanami niema diametralnego przeciwieństwa, owszem czysta młodość to szkoła tych cnót, które są potrzebne w chrześcijańskiem małżeństwie, a etyczne pożycie we dwoje po ślubie to dalszy ciąg i korona tej cnoty, jaka powinna była zdobić młodzieńca i dziewicę.

Jak dokonać uzdrowienia naszych stosunków moralnych? Zaprawdę trudno na to pytanie odpowiedzieć. Nasi Księża Biskupi w swoim liście »O małżeństwie« odwołują się już wprost do sumień ludzkich, ale apelują również do władz świeckich, aby »podały rękę władzy duchownej i wspierały ją w tępieniu zarazy moralnej«. Jest to apel całkowicie słuszny, ale można powątpiewać, czy okaże się skutecznym. Zapewne, ze strony państwa potrzeba niejednej reformy, któraby ułatwiła znośne życie rodzinom liczniejszym. Obecnie, kiedy cały ustrój społeczny jest raczej dostosowany do tego, aby faworyzować ludzi nieżonatych lub posiadających jak najmniej dzieci, kiedy płaca familijna robotników jest zaledwie odległem marzeniem kilku teoretyków, kiedy polityka fiskalna wkłada najcięższe jarzmo w postaci podatków pośrednich na rodziny najliczniejsze, posiadające najwięcej konsumentów, kiedy stosunki mieszkaniowe po miastach i ludniejszych ośrodkach fabrycznych urągają najprymitywniejszym wymogom wygody, — w tych warunkach odwoływanie się nawet do sumień wierzących będzie paraliżowane. Dopiero prawodawstwo mądre i konsekwentne, biorące w obronę życie ludzkie i dostarczające mu warunków znośnej egzystencji, ułatwiłoby propagandę i skuteczność moralnych i religijnych zasad. Czy prędko do tego dojdziemy?

Gorzej się rzecz przedstawia, jeżeli chodzi o publiczne zwalczanie innych objawów niemoralności, które wszakże — jak widzieliśmy — ściśle łączą się z nadużyciami w małżeństwie. Należałoby przecież wszystkiemi środkami prawnemi zwalczać plagę prostytucji; w tym celu są gdzieindziej przynajmniej czynione pewne próby w programach tak zwanego abolicjonizmu. Lecz czyż można się spodziewać, że rządy i prawodawstwa uczynią pod tym względem jakiś krok decydujący, kiedy doszło się do przekonania, że prostytucja jest jakąś bezwzględną koniecznością w stosunkach ludzkich, kiedy rządy ze względów higienicznych, bez rezultatu zresztą, uczyniły z publicznego nierządu jakąś instytucję stojącą pod szczególną opieką prawa, kiedy władze wojskowe, jak to miało miejsce zwłaszcza podczas wojny, sprowadzały kobiety nierządne i utrzymywały domy publiczne dla żołnierzy i oficerów na koszt skarbu,

kiedy tylu naszych panów, zajmujących wpływowe stanowiska, jest osobiście zainteresowanych w utrzymaniu tej formy nierządu? Podobnież rzecz się ma z pornografją. Czy można spodziewać się wielkiej pomocy od wpływowych czynników w społeczeństwie w zwalczaniu bezwstydu w literaturze i sztuce, skoro w społeczeństwie zatracono już prawie doszczętnie poczucie, co należy uważać za bezwstyd, skoro prawie powszechnie przyjęła się zasada emancypacji sztuki z pod zasad etycznych, skoro nawet te koła i te pisma, które uważają religję i moralność za podstawę życia publicznego, pragnąc nawet użyć w razie potrzeby Kościoła do roli żandarma, kiedy idzie o trzymanie w ryzach klas niższych, rozgrzeszają samych siebie z wszelkich norm etycznych, gdy rozchodzi się o recenzje teatralne, o bale, mody i inne okazje, wśród których bezwstyd zwykł się panoszyć?

To zwątpienie w pomoc decydujących czynników w rządzie czy w społeczeństwie w zwalczaniu nierządu nie może oczywiście upoważniać wierzących ludzi do bezczynności. Przeciwnie, nakłada na nich podwójny obowiązek borykania się ze złem rozwielmożnionem. Kościół katolicki, więcej dzisiaj niż kiedykolwiek, musi uważać za zwrócone do siebie słowa Boże, wypowiedziane przez Proroka: *Clama, ne cesses, quasi tuba exalta vocem tuam,* wołaj, nie przestawaj, jak trąba podnieś głos twój! I właśnie, jeżeli kiedy, to w dobie obecnej katolicyzmowi nie wolno wchodzić w żadne kompromisy ze złem i nie wolno milczeć. Jeżeli gdzie, to w dziedzinie moralności płciowej milczenie Kościoła wobec zła, które się nawet wcale nie ukrywa, jest brane za ustępstwo, za pogodzenie się z niem, za milczącą aprobatę. Kościół dwudziestego stulecia musi zastosować te same metody walki ze złem, z jakiemi wystąpił w wieku pierwszym swego istnienia. A wtedy wobec zgangrenowanego moralnie świata starożytnego nie milczał, ale wystąpił z głośnem potępieniem występków. Nie mówili małodusznie ówcześni pasterze Kościoła, że zło jest zbyt wielkie, by można było sobie tuszyć odnieść nad niem zwycięstwo; oni przeciw zepsuciu świata wyszli z bronią nieugiętych zasad i wzniosłych ideałów. Przeciw powszechnym rozwodom ogłosili zasadę Chrystusową nierozerwalności małżeństwa; przeciw wyuzdaniu życia wyszli z chorągwią, na której było wypisane hasło umartwienia i ideał dobrowolnego dziewictwa: od okrutnych i lubieżnych widowisk odwrócili się ze wstrętem, widząc w nich ową »pompę djabelską«, której kazali się wyrzekać ludziom przed przyjęciem do chrztu św. Lubieżny świat klasyczny ogłosił tych pionierów surowej moralności za nieprzyjaciół rodu ludzkiego

— *inimici generis humani,* szlachetniejsze jednak dusze lgnęły do nich właśnie dla ich wzniosłych zasad i powiększając grono wyznawców Chrystusa, przygotowywały triumf chrześcijańskiej moralności. I w naszych czasach, zdaje się, odrodzenie moralne musi się rozpocząć od nielicznej grupy zwolenników krzyża Jezusowego. Z góry można być i trzeba być przygotowanym, że większość naszych nominalnych chrześcijan głosu Kościoła, nawołującego ich do poprawy, nie usłucha. Pójdą swoją drogą, ale Kościół, piętnując głośno ich występki, spełni swoje posłannictwo i uratuje przed potomnością swój honor.

Zepsucie moralne samo sprowadza swoją karę. *Peccatum consummatum generat mortem,* mówi św. Jakób. Nie wolno się wprawdzie cieszyć z cudzego grzechu, ale wśród smutnych myśli, jakie wierzącemu człowiekowi nasuwa rzeczywistość życiowa, to jedno może go nieco pocieszać, że rozpusta sama niszczy swoich zwolenników. Te indywidua i te rodziny, wśród których rozwielmożniła się prostytucja, rozwody, ohydne praktyki neomaltuzjańskie, zabójstwa własnych dzieci, same piszą na siebie wyrok zagłady. Nazwiska ich będą może w najbliższych pokoleniach wymazane z listy żyjących. Pozostanie przeważnie tylko to, co się rodzi z cnoty, co wzrasta pod opiekuńczem działaniem Bożego prawa.

Kiedy za dni Noego »wszelkie ciało popsowało drogę swoją« i Bóg zdawał się żałować, że tchnął w materję nieśmiertelnego ducha, szczupła arka urátowała z powszechnego potopu nasienie przyszłych pokoleń ludzkich. Kościół katolicki ze swą od Boga daną moralnością jest dzisiaj jedyną arką zbawienia dla zagrzęzłej w złem ludzkości. Nie może on kompromisem zatrzymywać na swym pokładzie tych, co prawa Bożego uznać nie chcą. Raczej z mniejszą ale bardziej dobraną garścią wiernych Bogu będzie sterował po wodach nowoczesnego potopu ku lepszemu jutru.

Ks. J. Urban.

Teorja ewolucji wobec najnowszych wyników nauk biologicznych.

Długie, bo wieki całe, od Heraklita może począwszy, trwające spory i walki o ewolucję, które od czasu zwłaszcza Darwina i jego prac nad pochodzeniem gatunków wstrząsały gwałtownie nietylko ściśle naukowym, ale wogóle całym ciwilizowanym światem, obecnie uciszyły się znacznie. A na pokój ten, czy też może na zawieszenie broni, prócz powszechnego stłumienia ruchu naukowego przez wojnę ostatnią i idące z nią zniszczenie, wpłynęły dwie przedewszystkiem okoliczności. Pierwszą z nich, to brak czynnika, który do wywołania i prowadzenia jakiejkolwiek wojny jest niezbędny, a mianowicie nieprzyjaciela. Można dziś śmiało powiedzieć, że na biologiczną teorję ewolucji tak zwanych gatunków biologicznych zgodzili się wszyscy, którzy wogóle o tej sprawie myślą, lub naukowo nią się zajmują. Po przypatrzeniu się bowiem bliżej problemowi ewolucji i po roztrząśnieniu go gruntownem a bezstronnem, poznano i uznano, że problem ten nie jest problemem czysto biologicznym, że więc nie może go rozstrzygnąć i nawet doniosłości i granic jego należycie oznaczyć sama biologja, ani też tem mniej jedna lub niektóre jej gałęzie, jak anatomja i embrjologja porównawcza, paleontologja lub fizjologja. Ewolucja jest to problem należący do zakresu filozofji przyrody, a więc syntetyczny, związany ze wszystkiemi naukami, na doświadczeniu opartemi, nie wyłączając historji i psychologji. Ta ostatnia zwłaszcza nauka dużą tu oddała usługę, oznaczając granicę górną, do której ewolucja organiczna, u najniższych szczebli bytowania życiowego poczęta, w rozwoju swym dojść mogła. Gdy tedy wykazano jasno i stanowczo, że granicą tą musi być psyche ludzka, w najwyższych swoistych swych działaniach i bytowaniu od materji niezależna, że więc ta psyche nie mogła w żaden sposób zjawić się

na świecie jako produkt ewolucji organicznej, obóz tak zwanych kreacjonistów, to jest tych uczonych, którzy za przykładem takich znakomitych przyrodników, jak Cuvier, Agassiz i inni, przypisują powstanie nie tylko całej przyrody, ale pojedynczych nawet gatunków, aktowi twórczemu Boga, zmalał znacznie. Toteż dziś przeważna część uczonych katolickich, stanowiących dawniej główny, choć wcale nie jedyny zastęp przeciwników ewolucji, idzie za znakomitym przyrodnikiem, O. Wassmanem, jezuitą, który w wielkim, choć pewnemi zastrzeżeniami ujętym zakresie, przyznaje się do zwolenników ewolucji. Odtąd też przeciwnicy tej teorji albo zamilkli, albo zniknęli, a więc i wojny o ewolucję niema z kim prowadzić.

A druga okoliczność, która wpłynęła na uciszenie się walki o ewolucję, to stosunki i nastroje, jakie zapanowały w czasach ostatnich w samym obozie najgorliwszych nawet i najbardziej krańcowych nie tylko zwolenników, ale bojowników ewolucji. I ta właśnie okoliczność, te usposobienia i nastroje zmuszają obecną filozofję przyrody zwrócić uwagę, zajętą obecnie kwestjami, związanemi z genjalnemi pracami Einsteina, a dotyczącemi samych podstaw przyrody i jej filozofji, to jest materją, czasem i energją, na teorję ewolucji i jej obecne w nauce stanowisko. A pochop bezpośrednio daje do tego magistralne prawdziwie sprawozdanie, wygłoszone przed kilku miesiącami przez jednego z najwybitniejszych żyjących obecnie biologów ewolucjonistów, na tle i wobec audytorjum, które wartość i znaczenie tego sprawozdania niezwykle podnoszą.

W ostatnich dniach mianowicie ubiegłego roku obradował jakby wielki parlament naukowy najpotężniejszych dziś pod każdym względem, a więc i pod względem naukowego rozwoju i stanowiska krajów świata. Parlament ten, to olbrzymie stowarzyszenie naukowe, utworzone na wzór sławnego stowarzyszenia brytyjskiego, a noszące nazwę urzędową American Association for the Advancement of Science (Stowarzyszenie amerykańskie dla postępu nauki), podobne więc do British Association for Advancement of Science, które odbyło doroczne swe uroczyste zebranie w zeszłym roku w Torronto. Zjechali się tedy najwybitniejsi przyrodnicy nie tylko Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale i świata całego, a na prelegenta z zakresu biologji zaproszono między innymi sławnego w całym świecie przyrodnika, znanego zwłaszcza z prac z zakresu mendlizmu, członka królewskiej Akademji londyńskiej, W. Batesona. Ten od lat już czterdziestu pracując na polu biologji, właśnie problemowi ewolucji, której odrazu stał się entuzjastycznym

zwolennikiem, największą swą uwagę i swe wysiłki poświęcał. Wykład Batesona stanowił przeto great attraction całego zebrania przed wygłoszeniem, a po wygłoszeniu stał się sensacją, o której mówią i długo jeszcze mówić będą w sferach naukowych obu półkul świata. Już sam tytuł odczytu: Wiara w ewolucję i najnowsze wątpliwości (Evolutionary Faith and Modern Doubs)[1]) był tego rodzaju, że użyty przez kogoś innego »podejrzanego«, a nie przez Batesona, mógłby zrazić każdego zwolennika ewolucji. By jednak wygłosić bezkarnie to, co Bateson w tym odczycie wygłosił, trzeba być Batesonem, a i on, jakby przejęty trwogą wobec słów własnych, prawomyślność swą salwować i podkreślić się starą zapomocą gwałtownej inwektywy na »obskurantyzm« tych, którzyby ze zdań i zeznań jego chcieli wysnuć jakieś nieprzychylne dla ewolucji wnioski. Jednak my do takich nie należymy, a całem naszem pragnieniem, jak z pewnością i każdego z naszych czytelników, jest poznanie bezstronne obecnego stanu tej tak niezmiernie ważnej, a pięknej i głębokiej teorji, jaką jest bezsprzecznie teorja ewolucji. Ale poznanie, powtarzamy, bezstronne — a więc wolne od wszelkiego uprzedzenia apriorystycznego, które tak bardzo krępuje i bałamuci monistów wszelkiego rodzaju, a którego uświadomieni katolicy od dawna się wyzbyli. Żadna bowiem teorja naukowa, filozoficzno-przyrodnicza, a więc i teorja ewolucji biologicznej, o ile opiera się na faktach prawdziwych, nie stoi i stać nie może w sprzeczności z jakimkolwiek dogmatem katolickim, jak to już dawno udowodnił Tomasz z Akwinu. Możemy więc z całym spokojem rozpatrywać wywody niezmiernie interesujące Batesona, pierwszorzędnej na tem polu powagi, interesujące tem bardziej, że prelegent grupuje je około wspomnień własnych prac i dążności naukowych, które, jak sam wyznaje, skierowane były zawsze, pośrednio czy bezpośrednio, do problemów ewolucyjnych.

Łatwo też można sobie wyobrazić, że z żalem pewnym i rozczarowaniem musiał Bateson wygłosić następujące słowa na samym wstępie odczytu: »Zdawać się może, że nie stosuję się do wymagań czasu; gdy proszę państwa, by poświęcili godzinę na stary problem ewolucji. Lecz chociaż przedmiot ten nie stoi już na przedniem miejscu rozważań, sądzę — tłómaczy się prelegent — że nie jest nigdy bardzo dalekim od progu naszych umysłów«. Co wpłynęło na przyodników monistycznych, że tak ostygli wobec sprawy ewolucji, która

[1]) Nature, London, April 1922, str. 553 i nast.

przecież stanowi zasadnicze ogniwo monizmu? »Dyskusje nad ewolucją skończyły się przedewszystkiem dlatego, że stało się widocznem, iż nie uczyniono żadnego postępu« — mówi autor nieco dalej. A postępu tego oczekiwano ciągle gorączkowo, zwłaszcza zaś od czasu około roku 1883, od którego prelegent zaczyna swe wspomnienia. Przybył on wtedy właśnie, jako młody przyrodnik, do Ameryki, do letniego laboratorjum biologicznego w Hampton w Virginji, by pod okiem sławnego wówczas profesora W. K. Broksa czynić badania morfologiczne nad morskiem zwierzęciem, zaliczanem przez niektórych systematyków do robaków, znanem pod nazwą zbiorową już dzisiaj Balanoglossus, a swą osobliwą budową ciała i swą larwą, zwaną tornaria, budzącem żywe nadzieje dla teorji ewolucji. Był to bowiem czas, gdzie ewolucję »udowodnić« sobie obiecywano zapomocą badań morfologicznych nad kształtem i rozwojem ciała zwierzęcego. »Morfologję badano — mówi Bateson — gdyż sądzono, że to jest najsposobniejszy materjał do wyjaśnienia problemów ewolucji, i myśleliśmy wszyscy, że w embrjologji mieściła się kwintesencja prawdy morfologiczne w sposób najbardziej dotykalny. Każdy tedy wyżej dążący zoolog był embrjologiem, a jedyny przedmiot rozmowy fachowej stanowiła ewolucja«. Zdziwiłby się zapewne czcigodny prelegent, że w krajach co prawda dalekich i dzisiaj jeszcze, nie tylko na odczytach popularnych, lecz i na wykładach ściśle naukowych używa się argumentów morfologicznych na udowodnienie teorji ewolucji. I naodwrót — zdziwiłby się niejeden z uczonych krajów dalekich, dla którego ewolucja jest jeszcze kwintesencją biologji, gdyby słyszał dalsze słowa Batesona: »Tak tedy mówiliśmy ciągle o ewolucji. To było tylko czterdzieść lat temu; dziś czujemy, że milczenie jest metodą bezpieczniejszą«.

Rozczarowani zawodem, jaki sprawiła morfologja, »zwróciliśmy się w inną stronę. Zmienność i dziedziczność, dwa składniki drogi ewolucyjnej, poczęto następnie badać. Staliśmy się genetykami, w przekonaniu, że tutaj przynajmniej musi się znaleść mądrość ewolucyjną«. Genetyka było to badanie powstania gatunków na podstawie założenia, bez przyjęcia którego powstanie jednego gatunku z drugiego wogóle pomyśleć się nie da, to jest na podstawie zmian powolnych, lecz przechodzących zapomocą dziedziczenia z jednego osobnika na jego potomstwo i gromadzących stę pod wpływem otoczenia tak, że wreszcie sumując się utworzą osobnik o cechach gatunku zupełnie nowego. Założenie takie zupełnie logiczne, jasne i nawet konieczne ze stanowiska teorji ewolucji. Cóż jednak się stało? »Nauka nie dająca się przyjąć o wie-

kowych przemianach mas przez gromadzenie zmian niedostrzegalnych, okazała się nie tylko nieprawdopododną, lecz »dowolną«. Powstało zupełne zamięszanie pojęć i walka między biologiem teoretykiem a systematykiem. Ten ostatni z pogardą począł patrzeć na ewolucjonistę teoretyka, który w oczach jego był tylko »lichym obserwatorem i bardzo prawdopodobnie niszczycielem nieodpowiedniego materjału«. A znowu z drugiej strony »ewolucjonista z lat ośmdziesiątych był zupełnie pewnym, że gatunki były tworem umysłów systematyków, niegodnym uświadomionej uwagi«.

Tymczasem przyszedł mendlizm. Przyszedł on już co prawda znacznie wcześniej, bo jeszcze w r. 1866 ogłosił sławny czeski katolicki kapłan-zakonnik, Jan Grzegorz Mendel w Bernie, wyniki swych wiekopomnych badań, wobec których, mówiąc szczerze, ustąpić muszą daleko badania Darwina i wielu innych sław uznanych. Ale że przyszedł z kół »obskurantystów«, więc oczywiście nikt ze współczesnych przedstawicieli urzędowej nauki nie raczył zwrócić uwagi na pracę Mendla, albo może i znaczenia ich nie umiał ocenić. Uczynili to dopiero przyrodnicy angielscy w kilkadziesiąt lat później, bo w r. 1900. Cicho, w ukryciu i bez żadnego rozgłosu rozpoczął Mendel swe badania na skromnych grządkach ogrodu swego klasztoru, a przedmiotem doświadczeń był zwykły groch jadalny. Przypatrzywszy się dokładniej tej roślinie, jej budowie i rozmnażaniu, dostrzegł Mendel, że pojedyncze osobniki różnią się między sobą rozmaitemi cechami, które w następnych pokoleniach dziedziczyły się i krzyżowały, tworząc przeróżne odmiany tego samego gatunku rośliny. Badania takie nad krzyżowaniem się, zarówno u roślin jak i u zwierząt, robiono na wielką skalę dawno przed Mendlem, a Darwin rezultaty tych prac zebrał w znanej książce nad odmianami zwierząt i roślin hodowanych przez człowieka [1]). Ze względów teoretycznych zarówno jak i praktycznej hodowli najciekawszym problemem były hybrydy, to jest osobniki, pochodzące z krzyżowania dwóch różnych ras, czy odmian. Badacze doszli tutaj na podstawie wielu i długich doświadczeń do wniosku, że hybrydy takie są czemś pośredniem między rodzicami i noszą zwykle na sobie cechy obu rodziców, zmieszane jednak w rozmaitych proporcjach. Otrzymywano w ten sposób odmiany o cechach często pośrednich, lecz nie stałe, i nie można było dostrzec prawa, wedle którego rozchodzą się cechy rodziców na potomstwo. Nieraz też odmiany pochodne cofały się nagle w swem

[1]) C. Darwin: Variation of Animals and Plants under Domestication.

potomstwie do cech rodziców i wogóle nadzieja otrzymania w ten sposób nowego stałego gatunku zawiodła najzupełniej.

Na takie podłoże wniósł Mendel swą myśl genjalną, jasną a prostą jak zresztą wszystko, co prawdziwie wielkie. Badanie dziedziczności cech, zwłaszcza u hybryd, jest rzeczą teoretycznie bardzo trafną a praktycznie pożyteczną. Ale osobnik, to zbiór cech przeróżnych i bardzo powikłanych. Czyż tedy nie należy zadowolić się raczej obserwacją i wyodrębnieniem jednej lub drugiej cechy i tak powoli rozwikłać zbiór cech w organiźmie, niż zajmować się wszystkiemi cechami odrazu? W ogrodzie klasztornym rósł groch jadalny, ale pojedyncze odmiany jego rozmaitemi odznaczały się cechami. Między innemi dostrzegł O. Mendel, że jedne dochodzą do sześciu stóp wysokości, drugie niższe, nie przewyższają dwóch stóp nawet. Gdy obie rasy skrzyżował między sobą, pokazało się ciekawe zjawisko, że całe potomstwo było wysokie, brak zupełnie było niskich, a niektóre okazy przewyższały wzrostem swych rodziców. Pośrednich również nie było zupełnie. Nasiona jednak, otrzymane z tych hybryd przez samozapłodnienie, wydawały rośliny jedne wysokie, drugie niskie, a znowu brak było pośrednich. Przez tego rodzaju badania i wyodrębniania, prowadzone przez szereg pokoleń, wykrył Mendel, że istnieją w grochu dwie odrębne cechy, jedna cecha wysokości, druga cecha niskości, a gdy obie te cechy są w roślinie danej obecne, to jedna, mianowicie wysokość, przygłusza drugą. Roślina wysoka produkuje komórki rozrodcze, tak zwane gamety, niosące w sobie cechę wysokości, a rośliny niskie rodzą gamety o cesze niskości. Hybrydy tedy, to znaczy rośliny powstałe z skrzyżowania roślin niskich i wysokich, miały cechy jedne i drugie, ich komórki zwane zygotami, jednoczące w sobie oba gamety, zawierają czynnik czyli determinant wysokości i niskości. Przez dalsze krzyżowania i samozapładniania można jednak dojść wreszcie do wyprodukowania rasy tak zwanej czystej, to jest dającej stale potomstwo o pewnej określonej cesze. Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na jakąś inną cechę, naprzykład na kształt lub barwę rośliny, na wielkość ziarna itp., to można przez wyodrębnione krzyżowanie cech tworzyć rasy nowe, o skombinowanych cechach, rasy nawet takie, jakich się w przyrodzie nie spotykało. Ale nie można nigdy — i to dla teorji ewolucji jest przykre — stworzyć nowych gametów, czyli nowego gatunku.

Na tle genjalnych prac i odkryć Mendla powstały dzisiaj olbrzymie pracownie, tak teoretyczne, jak i praktyczne; pierwsze doprowadziły całą sprawę do bardzo subtelnej teorji o hormonach, która ma zadanie wyjaśnienie sposobu działania gametów; drugie natomiast usiłują wy-

twarzać i rzeczywiście dokonują tego z bardzo wybitnym skutkiem, nowe rasy, zarówno zwierząt, jak i roślin, odpowiadające potrzebom rolnictwa, lub warunkom klimatycznym i innym danego terenu i miejscowości. Zwłaszcza w Ameryce, gdzie zmysł praktyczny dostrzegł odrazu, iż warto tu poświęcić czas i kapitał, doszli do bardzo wybitnych rezultatów, a przyrodnicy i socjologowie zaczynają nawet oglądać się dzisiaj za możliwością, by metody te mendlowskiej eugenetyki zastosować i do człowieka i w ten sposób poprawiać rasę narodu. Pomijając jednak obecnie kwestję eugenetyki i powracając do teorji ewolucji, słuchajmy, co mówi dalej Bateson. »Analiza mendlowska wykryła mnóstwo cech charakterystycznych, dających się przenosić. Kombinacją ich wystarcza, by obficie dostarczyć szeregu typów, które mogłyby uchodzić za nowe gatunki, i z pewnością za takieby je uznano, gdyby je spotkano w przyrodzie. A jednak, badając krytycznie, przekonujemy się, że nie są one oddzielnemi gatunkami, i nie mamy powodu do przypuszczenia, że jakiekolwiek nagromadzanie cech charakterystycznych tego samego rzędu doprowadziłoby do wytworzenia odrębnych gatunków«.

Zarówno więc teorja Darwina, której »uroszczenia naturalnego doboru, jako głównego czynnika w wyznaczaniu gatunków, zdyskredytowano«, jak i znana teorja mutacyj de Vriesa, gdzie tyle swego czasu rozgłośne i w tak wielkie nadzieje ewolucyjne brzemienne prace nad zmianami rośliny gatunku Cenothera »illustrują w sposób najjaskrawszy, jak grube i niedostateczne przypuszczenia podtrzymywaliśmy, zanim odkryto świat gamet«, jak wreszcie genjalny mendlizm, nie dały doświadczalnego na faktach opartego wytłumaczenia pochodzenia gatunków.

Cóż wobec tego powie Bateson o samej teorji ewolucji, która przecież cała obraca się około problemu powstawania gatunków, dla wyjaśnienia tego problemu powstała i istnieje i wraz z nim koniecznie zapaść się musi? Autor nasz znalazł niezmiernie interesujące wyjście z kłopotliwego wobec faktów nauki położenia. Oto poprostu rozróżnia między teorją ewolucji a sprawą pochodzenia gatunków i powiada dosłownie: »chociaż nasza w i a r a w ewolucję stoi niewzruszalna, nie posiadamy dającego się przyjąć wytłómaczenia pochodzenia gatunków«.

Przyznać każdy musi, że takie wyznanie niewzruszonej wiary w jakiś dogmat ewolucyjny z jednej strony, a równoczesne wyznanie, na podstawie fachowej, długoletniej i pierwszorzędnej wprost znajomości faktów, że nauka dotychczas nie zdołała wyśledzić, czy i w jaki sposób gatunki przechodzą jedne w drugie, ma bardzo cenne znaczenie. Widzimy tu bowiem z jednej strony stwierdzenie jasne i stanowcze,

że ewolucja nie jest »faktem«, jak to niektórzy utrzymują, skoro jej najwalniejsza podstawa i zadanie, jakiem jest bezsprzecznie wyjaśnienie pochodzenia i przemiany gatunków, są faktami dotychczas zupełnie niestwierdzonemi. Z drugiej zaś strony słyszymy z prawdziwem zdumieniem, że uczony przyrodnik, który wszystko chce oprzeć na faktach, odrywa się w tej tak zasadniczej sprawie od faktów i mówi o »dogmacie« ewolucyjnym, o »wierze« w ewolucję. O dogmacie — przez kogo postawionym? o wierze — na czem opartej? »Oświadczmy głośno — ścisłym a nie dwuznacznym językiem — woła Bateson przy końcu swego wykładu, że nasza wiara w ewolucję jest niewzruszona. Każda linja dowodów, jaką tylko otrzymać możemy, zwraca się ku tej niedającej się uniknąć konkluzji«. A więc, tłómacząc na język logiczny wywody Batesona, teorja ewolucji jest bardzo prawdopodobna — ale nie pewna, nie taka, by można w nią wierzyć wiarą »nie dającą się zachwiać«. Bo i filozofja i doświadczenia tylowiekowe, które ludzkość zdobyła na wszystkich polach działania, tak naukowych jak i praktycznych, przypominając choćby przeliczne doświadczenia z zakresu sądownictwa, uczy, że między prawdopodobnem a prawdziwem leży przepaść.

Takie myśli nasunąćby się musiały, gdy się roztrząsa bezstronnie i nawet życzliwie bardzo gruntowne skądinąd i w głównych zarysach ściśle przeprowadzone wywody Batesona. Ale niestety koniec tego pięknego odczytu dziwnie nie dostraja się do wyżyn całości. »Przedłożyłem przed Wami — kończy prelegent — całkiem otwarcie rozważania, które sprawiły, że co do obecnego sposobu i procesu ewolucji jesteśmy agnostykami. Gdy się czyni takie wyznania, nieprzyjaciele nauki dostrzegają sposobną dla nich chwilę. Jeżeli nie możemy tutaj i teraz oświadczyć, jak powstały gatunki, ofiarują nam z uprzejmością rozwiązania, któremi zadowalnia się ich obskurantyzm«. Jakie to rozwiązania ma na myśli p. Bateson, tego nawet nie śmie wymówić. Ciągnie tylko z oburzeniem dalej: »Obskurantyzm nie ma nic takiego do poddania, coby było godnem nawet chwili uwagi. Trudności, które ciążą na fachowym biologu, nie powinny niepokoić laika. Nasze wątpliwości nie dotyczą rzeczywistości lub prawdy ewolucji, lecz pochodzenia gatunków. Któregokolwiek dnia tajemnica ta może być rozwiązaną«.

Zawiele miejsca zajęłoby i zbytecznem jest nawet podkreślać i roztrząsać niesłychany brak logiki i przedmiotowości, jak i ścisłości naukowej tych zdań ostatnich Batesona. Nastrój psychiczny, który uczonego tej miary, co Bateson, przywiódł do wygłoszenia tego całego ustępu,

można chyba określić tylko jako przerażony prawdą naukową fanatyzm. Dla nas, którzy na całą teorję ewolucji patrzymy z przychylną przedmiotowością, cennemi są następujące wyniki powyższego odczytu Batesona:

1) Nauki przyrodnicze do dziś dnia nie mają faktów, któreby rzeczowo, doświadczalnie, ostatecznie wykazywały przechodzenie jednych gatunków w drugie. Stąd

2) ci przyrodnicy, dla których ewolucja biologiczna jest pewną, uważają ewolucję za dogmat, na którym opierają całą swą filozofję przyrody, ale na którego uzasadnienie nie zdołają przytoczyć nic, prócz argumentów »zmierzających do tej nieuniknionej konkluzji«.

3) Z przykrością, niesmakiem i najwyższą obawą o dobro nauki stwierdzić trzeba, że nawet wśród najlepszych przyrodników dzisiejszych, zamiast podmiotowego dążenia do poznania prawdy, panuje na uprzedzeniach apriorystycznych oparty fanatyzm, który w braku rzeczowych dowodów sypie rzeczywistym czy urojonym przeciwnikom w oczy piasek obelg i pustych frazesów.

Czekajmy tedy z upragnieniem na ów dzień, zapowiedziany przez Batesona, a wyglądany już od tak dawna, w którym »tajemnica ewolucji będzie rozwiązaną«. Zanim to nastąpi — a wedle zdania i przekonania bardzo wybitnych przyrodników i myślicieli, nie nastąpi to nigdy — badajmy i śledźmy z zapałem poszukiwania nad przyrodą, ową księgą tak jasną i prostą, lecz tak bezdennie głęboką, w której na każdej karcie wypisana nieskończona Prawda i Mądrość i Miłość.

Ks. Feliks Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ks. Dr. W. Szczepański: Najstarsze cywilizacje Wschodu klasycznego. T. I. Egipt. Lwów. Nakł. Zakładu im Ossolińskich, 1922. str. 256.

Prace wykopaliskowe, prowadzone na Wschodzie przez cały wiek XIX, nagromadziły dużo ciekawego materjału, rzucającego światło na historję i kulturę dawno zamarłych ludów i państw. Pracami wykopaliskowemi zajmowano się i interesowano wszędzie, we wszystkich państwach rządy popierały usiłowania archeologów, i dlatego tam od dłuższego już czasu orjentalistyka rozwinęła się nadzwyczaj bujnie. U nas sprawami Wschodu nie zajmowano się prawie wcale. Nie tylko nie braliśmy udziału w pracach wykopaliskowych, ale nawet mało interesowaliśmy się ich rezultatami. Opisów i opracowań tych rezultatów dotychczas nie posiadaliśmy. Dlatego też szczerą wdzięczność należy wyrazić ks. prof. Szczepańskiemu, że podjął się opracowania najstarszych cywilizacyj Wschodu klasycznego. Luka, którą oddawna odczuwaliśmy, będzie w ten sposób wypełniona, a czytelnik polski pozna przynajmniej w głównych zarysach wielkie centra kultury starożytnej, której blask sięga nawet naszych czasów i z której nie jedno odziedziczyliśmy.

Pierwszy tom poświęcony jest cywilizacji egipskiej. Praca ta, jak sam autor oświadcza, ma charakter naukowo-popularny. Autor zestawia w niej i opowiada w bardzo lekkiej formie — może nieraz zbyt popularnej — o tem wszystkiem, co stanowiło cywilizację egipską od najstarszych czasów aż do czasów grecko-rzymskich, gdy Egipt wraz ze swą kulturą długich wieków legł do grobu i piaskami został zasypany. Najwięcej miejsca, jak przystało, poświęca literaturze i sztuce (str. 91—232), natomiast o egiptologji, odkryciach, jak również o piśmie, języku, religji i dziejach Egiptu podaje tylko pobieżne, szkicowe uwagi (str. 1—76). Wszystko wprawdzie zostało uwzględnione, ale szkicowe potraktowanie nie daje dokładnego pojęcia o tych bądź co bądź bardzo ciekawych tematach, nie mówi o tych wielkich i długich wysiłkach, które wytworzyły dzisiejszą egiptologję. Najbardziej zaś uderza zbyt pobieżne przedstawienie religji egipskiej (o jej ustroju, kapłanach niema mowy), która przecież, jak sam autor kilkakrotnie za-

znacza, jest podstawą wszelkich objawów cywilizacji egipskiej. A przy tem uważam za przesadne twierdzenie o monoteiźmie egipskim, czy to czasów dawniejszych, czy też czasów Amenhotepa.

Rozdział o literaturze egipskiej jest najobszerniejszy. Wielu autorów traktuje ten dział według rodzajów literackich. Ks. S. natomiast przedstawił go w historycznym porządku, co lepiej pozwala poznać postęp i upadek myśli egipskiej. Stosownie do czterech okresów, na jakie zwykle dzielą historję literacką egipską, autor podaje odpowiednie przykłady z każdego rodzaju literackiego, a więc z poezji, dydaktyki, powieści, baśni etc. Materjał literacki egipski jest przeobfity, ale ks. S. podał tylko niektóre (choć dość liczne) przykłady, bardziej charakterystyczne. W wyborze ich poszedł całkowicie za M. Gressmannem (Altorient. Texte zum Alten Testamente), który uwzględniał tylko te teksty, które miały większe znaczenie dla studjów biblijnych. Szkoda, że autor nie rozejrzał się w innych specjalnych opracowaniach literatury egipskiej i nie przytoczył wzorów bardziej ciekawych i ważniejszych pod względem literackim. Jednak i te, które mamy podane, dostateczne dają nam światło o literackim smaku starożytnych Egipcjan.

W rozdziale o sztuce omówił ks. Sz. wszystkie rodzaje sztuki od czasów przedhistorycznych do czasów greckich, podzieliwszy przy tem jej historję na siedm okresów. Treściwa ale dokładna charakterystyka jest podana przy każdym rodzaju, a załączone liczne ryciny są doskonałą ilustracją, która zupełnie daje pojęcie o rozwoju sztuki egipskiej. Uderzającą jest rzeczą, że tak w dziedzinie literackiej, jak i artystycznej w większości wypadków nie znamy autorów i twórców. Jest to dowód, że na Wschodzie większe posiadała znaczenie rzecz sama, aniżeli jej twórca. W dziedzinie sztuki występują tylko szkoły i masy: szkoły, jako ogniska twórczości, masy, jako wykonawcy. Szkoda, że autor, mówiąc o sztuce przedhistorycznej, nie zwrócił uwagi na jej pochodzenie i stosunek do sztuki sumeryjskiej, o czem głośny badacz J. Morgan tyle pisał.

Dzieło ks. S. jest bardzo bogato ilustrowane, bo ma 240 rycin i 8 tablic. Na dzisiejsze czasy — to luksus, ale przyznać trzeba, ryciny zebrane są dobrze i przez to wartość książki znacznie podnoszą. Ilustracje, z nielicznemi wyjątkami, wykonane są dobrze. Zarzucić tylko można ich rozkład; niema stronicy, którejby ilustracje były uzgodnione z tekstem. *Ks. J. Archutowski.*

Ks. Józef Archutowski: Co to jest Pismo św.? Nakład księgarni św. Wojciecha. Poznań-Warszawa, 1922.

To pierwszy zeszyt serji prac: Sprawy biblijne. Z natury rzeczy wypadało na wstępie wytłumaczyć zasadnicze pojęcia wchodzące w obręb takiej serji. To właśnie autor uskutecznił w tym pierwszym zeszycie. A wywiązał się ze swego zadania nader chlubnie. Jasność tłumaczeń, przeźroczystość zestawień i ugrupowań, czyni lekturę nie tylko pożyteczną, ale i przyjemną. Na szczególną uwagę zasługuje

aktualność ujęcia przedmiotu. Do tego przyczynia się przedewszystkiem ostatni rozdział, poświęcony porównaniu tak zwanych ksiąg świętych, jakie posiadają także wszystkie inne religje, z właściwem Pismem św. To zestawienie usuwa wiele nieporozumień i mylnych zdań, które mają w niedokładności i niedostatku wyrażeń i w celowej gmatwaninie pozornie uczonych wywodów swe źródło. W interesie pracy możeby było nie od rzeczy dokładniejsze przeprowadzenie porównania figurującego na str. 71. Choć bowiem myśl autora jest widoczna i każdy obeznany z rzeczą porównanie przyjmie w dobrem znaczeniu, to jednak przedmiotowo tłumaczenie różnicy między księgami innych narodów a Pismem św. przez różnicę między religją Izraela a chrześcijańską nie jest ścisłe. Z tego samego powodu zalecałoby się wzmiankę o różnicy objawienia i natchnienia na str. 31. raczej skrócić, a zadowolnić się podobną obietnicą, jak autor wyraził na str. 58, t. j. że na innem miejscu w innej pracy dokładnie rzecz omówi. *R.*

Bernard Duhr S. J.: Geschichte der Jesuiten in den Ländern deutscher Zunge. III-ter Band, II-te Hälfte des XVII-ten Jahrhunderts. Regensburg, Manz, 1921, str. 923.

Bardzo poważne miejsce wśród historjografów Towarzystwa Jezusowego zajmuje Duhr, którego III-ci tom Historji Jezuitów w Niemczech wyszedł w przeszłym roku. Dotychczas wypadałoby może uważać za najwybitniejszego ks. Tacchi-Venturi, którego znakomite dzieło, ujmujące całe tło kulturalno-historyczne we Włoszech za czasów powstania Zakonu Towarzystwa Jezusowego w XVI. w., z bardzo korzystną spotkało się krytyką. Na równi z nim stoi historja ks. Duhr'a i hiszpańska Astrain'a. Ks. Załęskiego »Historja Jezuitów w Polsce« była wprawdzie pierwszą w szeregu tych dzieł, ale znacznie pozostaje w tyle, tak co do metody historycznej jak i co do krytyki źródeł i wyzyskania tychże.

Dzieło ks. Duhra przewyższa właśnie pod tym względem ks. Załęskiego, a wskutek tego jest o wiele bardziej ścisłe, a przytem zwięźlejsze i bardziej poglądowe. Podczas gdy ks. Załęski nieraz jest rozwlekły, skłonny do optymizmu, a nawet czasem i do panegiryzmu, bardziej polemista i apologeta niż historyk, to ks. Duhr ma sąd trafny, skłaniający się może raczej do surowości, a przytem bardzo bezstronny w przedstawieniu rzeczy.

Zajmującym przykładem przedstawienia rzeczy ks. Duhr'a jest np. opis działalności ks. Voty T. J., nadwornego kapelana i spowiednika królów Jana III. Sobieskiego i Augusta II., którzy bardzo go cenili i często w najrozmaitszych sprawach chętnie się nim posługiwali. Na tem stanowisku wdał się w sprawy polityczne wbrew poleceniu i duchowi Zakonu, przełożeni zaś nie mieli dość informacyj, by temu przeszkodzić. Znany on jest ze swych usilnych starań w sprawie koronacji elektora brandenburskiego Fryderyka III. w r. 1701. Ks. Vota w swym optymiźmie sądził, iż przyjdzie do nawrócenia się elektora, a przynajmniej do pewnych korzyści dla Kościoła. Dzięki jego zabie-

gom otrzymał elektor, mimo protestu Stolicy św., poparcie króla polskiego, co było warunkiem niezbędnym koronacji. Vota z drugiej strony sam miał nadzieję otrzymania godności kardynalskiej. Mimo iż to tak niezgodne z duchem zakonnym, poczynił w tym celu pewne kroki. Ks. Załęski broni go, ks. Duhr zaś gani słusznie, podnosząc jednak wielkie jego zdolności i gorliwość.

Gdzie Duhr dotyka historji polskiej, zachodzą czasem niedokładności. Tak np. na str. 237, kiedy mówi, że »in raschem Siegeslauf eroberte Karl Gustav fast ganz Polen« należałoby później równie krótko zaznaczyć, że Szwedzi opuścili Polskę. Dowiadujemy się tylko: »dieser Krieg... endigte... infolge eines Gleichgewichtes der Kräfte«. Na stronie 282 pisze autor: »Als bei dem Einfall der Russen im Jahre 1657 die Jesuiten aus Polen und Litauen vertrieben wurden, bat Nickel am 4 Dezember 1655 die oberdeutsche Provinz um Aufnahme der zerstreuten polnischen Mitbrüder«. Z tegoby wynikało iż O. Jen. Nickel dwa lata już przed napadem Rosjan prosi o przyjęcie polskich Ojców, zanim jeszcze byli rozproszeni. Dalej trzeba zaznaczyć, iż w tym roku 1657 nie było wojny moskiewskiej. Pierwsza wojna moskiewska skończyła się 1656-go zwycięstwem Potockiego pod Ochmatowem, druga zaś zaczęła się 1658. Moskale nigdy tak daleko nie dotarli, by z Polski wygnać jezuitów. Może więc autor ma na myśli wojnę szwedzką, wtedy druga data 1655 odnosiłaby się do obu faktów. W r. 1657 był wprawdzie napad Rakoczego, ale z Litwą nie miał on nic do czynienia.

Trzeba jednak zaznaczyć, iż są to bardzo drobne szczegóły, nie ujmujące bynajmniej wartości oraz wielkiej doniosłości tej książki. Przypominają one jednak mimowoli sposób traktowania historji polskiej przez niektórych pisarzy niemieckich, którzy zdają się sądzić, iż jeśli chodzi o Polskę lub jej historję, to nie potrzeba być dokładnym. O. Duhr nie postępuje jednak w ten sposób, a wspomniane fakta są znikomą drobnostką wobec niezaprzeczonej wartości dzieła.

Przy omawianiu tego dzieła trzeba na jedną jeszcze rzecz zwrócić uwagę. Oto napisanie historji takiego zakonu, jakim jest Towarzystwo Jezusowe, natrafia wobec rozległego pola jego działań na trudność opanowania nadzwyczaj obszernego materjału. Nie wiele ułatwia zadanie podział na rozmaite kraje. Z tem łączy się nadto trudność rozkładu i dyspozycji tegoż materjału. Może byłoby korzystniej, tak ze względu na niego jak może bardziej jeszcze na stosunek do historji powszechnej, opracować materjał w poszczególnych krajach, dzieląc go na monografje odnoszące się do rozmaitych pól pracy, na historję kaznodziejstwa jezuitów, ich działalności pedagogicznej, ascezy i życia duchownego, pracy społecznej i rozwoju związków, bractw, misyj i t. d. Bezpośrednią korzyścią byłoby ułatwienie w opanowaniu i ugrupowaniu materjału historycznego. Naturalnie każda tego rodzaju monografja musiałaby bardzo szeroko uwzględniać tło kulturalno-politycznych i społecznych warunków i musiałaby być napisana przez kogoś, który będąc biegłym w metodzie pracy historycznej, równocześnie fachowo obeznany jest z każdym z poszczególnych tych przedmiotów. Przedewszystkiem

przyczyniłyby się takie prace ogromnie do głębszego poznania historji kulturalno-społecznej narodu. Działalność każdego zakonu, czy też jednostki wybitnej, pracującej w kierunku duchowo-religijnym, ascetycznym lub moralnym, odnosi się w pierwszym rzędzie do podniesienia poziomu kulturalnego i dlatego do wyświetlenia głębszego znaczenia zakonów lub wybitniejszych ich członków jest koniecznem zbadanie i przedstawienie rezultatów ich pracy w kierunku kulturalno-moralnym. Wtedy dopiero możemy zrozumieć czem są zakony dla społeczeństwa. A jest to tem bardziej ważnem w historji zakonu tak ściśle przez swą pracę i działalność złączonego, zlanego po prostu, z narodem i społeczeństwem wśród którego pracuje, jakim jest Towarzystwo Jezusowe.

W świetle tego rodzaju badań zrozumiałoby się dopiero bardzo wiele stron działalności i sposobu postępowania w danej epoce, wśród pewnych stosunków. Tak np. w kierunku pedagogicznym, zapewnie i jezuici mogli doprowadzić do reformy szkolnictwa, jaką z takim pożytkiem dla społeczeństwa przeprowadził Konarski. Trzeba jednak rozważyć, że ten ostatni zawdzięczał swoje nowe poglądy studjom i długoletniemu wychowaniu zagranicą. Jezuici zbyt byli ściśle złączeni ze społeczeństwem i przejęci pojęciami narodu i tradycjami pedagogicznemi przeszłości, by dać inicjatywę do tego rodzaju reformy. Ale tem bardziej z punktu widzenia narodowego zarzutu im z tego robić nie można. Może raczej pod tym względem, iż przy ścisłej centralizacji zakonu o wiele łatwiej, niż kto inny, mogli otrzymać to wykształcenie w innych prowincjach i krajach, które Konarskiemu dało podstawę i wyrobienie potrzebne do zrozumienia potrzeby i podjęcia tego rodzaju reformy.

Są to jednak kwestje, które tylko przy bardzo gruntownem badaniu i opracowaniu odpowiednich działów historji Zakonu dałoby się zadowalniająco wyświetlić.

Ks. M. Skibniewski.

Otto Karrer S. J.: Der heilige Franz von Borgia, General der Gesellschaft Jesu. Freiburg, Breisgau, Herder Co, 1921.

Postać św. Franciszka Borgjasza żywo zajmuje w ostatnich dziesiątkach lat hagjografję i historję. Jest to, bądź co bądź, osobistość wybitna XVI. w. Przyjaciel Karola V., Vice-król Katalonji i dziedzic księstwa Gandji, nie mógł być obojętnym na bieg współczesnych dziejów. Przerwa w tym toku życia nastąpiła po zamianie książęcych szat na ubogą suknię nowo założonego Towarzystwa Jezusowego. Ale i wtenczas jeszcze, na schyłku życia, rozkazem Piusa V. był zmuszony do wzięcia udziału w delegacji, wysłanej do panujących zachodniej Europy w sprawie wyprawy na Turków. Hagjografa oczywiście obchodzi przedewszystkiem moralna strona życia. Musi on jednak, chcąc wiernie odtworzyć postać swego bohatera, uwzględnić cały niejako jego życiowy dramat. Autor wywiązał się z tego zadania po mistrzowsku. Na podstawie wszystkich, znanych dotychczas źródeł, przedstawia moralny rozwój Świętego ze ścisłością najsurowszego krytyka. Nie przy-

znaje mu najmniejszej zalety, którejby źródła nie dowodziły, nie tai żadnej ujemnej strony, która wyszła na jaw. Tak zwany *advocatus diaboli* przy procesach kanonizacyjnych nie mógłby sumiennej spełnić swego obowiązku, jak autor to czyni w swojej pracy. A jednak się ostatecznie bohater wyłania jako Święty i nabiera się przekonania, że przydomek: *Miraculum principum*, który mu nadali współcześni, nie był przesadą, a zakonne życie dodało poprzedniej cnocie nowego blasku. Dojrzały czytelnik wyniesie z lektury życiorysu wiele zachęty i wiele praktycznych wskazówek do życia wewnętrznego, a na podłoże historyczne owej epoki wyrobi sobie niejeden nowy pogląd. *P.*

Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, tom VII. r. 1919—1921. Drukarnia „Lux." Wilno, 1922, str. 212 + karta osobna.

Jak widać z przytoczonego wyżej tytułu, Rocznik niniejszy zasłużonej instytucji naukowej w Wilnie obejmuje okres czasu, od roku wyzwolenia Wilna aż do chwili obecnej. Publikacja omawiana jest świadectwem wymownem tego ożywienia, jakie wskrzeszony w Wilnie uniwersytet wniósł do życia cichego a poważnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Tylko przymusowym przerwom w jego pracy i wysokim kosztom wydawniczym przypisać chyba należy, że tom VII Rocznika wyszedł mniejszy i na gorszym papierze, niżby zapewne życzył sobie niejeden z członków Towarzystwa i czytelników jego wydawnictw.

Na wstępie umieściła redakcja hołdowniczy adres T. P. N. w Wilnie, złożony uniwersytetowi Stefana Batorego w dniu uroczystego otwarcia tegoż 11 października 1919, krótki nekrolog z powodu zgonu ś. p. prof. Janowskiego, niezmordowanego historjografa wszechnicy batorowej. Rzec można, cały ten VII Rocznik wyraźnie stoi pod znakiem uniwersytetu wileńskiego, zawiera bowiem (str. 7—139) część I »Historjografji uniwersytetu wileńskiego«, dłuższej pracy prof. L. Janowskiego, »urwanej niemal w pół zdania«, jak o tem świadczą zostawione na stole uczonego korektowe arkusze... Strata to dla wyższej uczelni nad Wilją niepowetowana, bo nikt nad nieboszczyka nie był bardziej odpowiednim do podjęcia i dokonania jej historjografji. Przecie rozprawą o pierwszym rektorze wileńskim, Skardze, śp. Janowski rozpoczął w Kijowie swą działalność naukową, a i potem nigdy o uniw. wil. nie zapomniał, gotując się stopniowo do wydania kiedyś większego o nim studjum, mającego stanowić dla zmarłego Opus vitae. Niestety, wskutek nagłej śmierci autora, zaledwie posiadamy opracowany fragment części I, a ciąg jej dalszy i część II pozostały chyba w stanie surowym.

Ponieważ dwa pierwsze rozdziały tej pracy wyszły osobno p. t. »Wszechnica Wileńska« 1578—1832 i zostały na szpaltach Przegl. Powsz. (kwiecień 1922) szerzej już omówione, wypada nam słów kilka powiedzieć o dalszych jej rozdziałach, jak np. III »Kronikarze dawnej Akademji« (autor nie dość wnika w supremację u jezuitów celów pedagogicznych nad scientyficznymi i dlatego czuje żal do dawnej akademji), IV. »Szkoła Główna i czasy następne«, V. »Historjografja uni-

wersytetu za dni jego świetności«. Praca ś. p. J. odznacza się dużą ścisłością, niekiedy przytłaczającą czytelnika mnogością drobiazgów.

W ciągu dalszym Rocznika znajdujemy szereg wykładów wstępnych, jakimi profesorowie różnych fachów rozpoczynali swe prelekcje w roku wskrzeszenia uniwersytetu. Tak prof. Wł. Dziewulski wydrukował »Historję astronomji w uniwersytecie Wileńskim«, prof. St. Glixelli »O nauce języków romańskich w Wilnie 1781—1832«, odsłaniając w tym wykładzie bardzo mało znaną stronicę z dziejów Wilna i Litwy, będącej ongi pod silnym wpływem bardzo rozpowszechnionych tu języków francuskiego i włoskiego. Prof. Alf. Parczewski dał swój wykład pt. »Wilno a nauka historji ustroju państwowego i dawnego prawa w Polsce«, gdzie wywołał z zapomnienia nazwiska dawnych tu historyków prawa, od Olizarowiusa do Daniłowicza i Jaroszewicza. Istnym wesołym promieniem słońca jest to, co wygłosił w prelekcji wstępnej dziekan wykładu sztuk pięknych, prof. F. Ruszczyc — »Tradycje sztuki w Wilnie«. Rzecz ta, jak zresztą każdy występ krasomówczy tego profesora, celuje niezwykle piękną a subtelną formą. Szereg tych profesorskich p r i m u m d i c o kończy wykład ks. Bron. Żongołłowicza »Fakultet teologiczny w oddziale Nauk moralnych i politycznych w r. 1832«. Temat to ciekawy, bo w owym roku skasowany został w Wilnie fakultet teologiczny, ustępując tamże miejsca Akademji Duchownej. Ks. Ż. omawiając tę przełomową chwilę, jednocześnie zaczyna polemikę z historykami, którzy pomawiali tak fakultet ten, jak i akademję o józefinizm (arbp. Symon, bp. Godlewski, Bieliński, Kurczewski).

Dwie ostatnie rozprawki w naszym Roczniku, nic nie mające już wspólnego z uniwersytetem wileńskim, przynoszą nieznane szczegóły do życiorysu Mickiewicza i Słowackiego. Prof. St. Kościałkowski zamieścił tu »Nieznany przyczynek do lat młodych Mickiewicza«. Czterowiersz Adama, wyciskany na laku, sprzedawanym w Wilnie przez pewnego drobnego handlarza, postawił autora w stan oskarżenia przed władzami carskiemi, sprawa jednak została rychło umorzoną — bez złych skutków dla »winowajcy«. Archiwarjusz m. Wilna, W. Studnicki podał cenne »Źródła do lat szkolnych Słowackiego«, zamieszczając wraz z tekstem objaśniającym fotocynkografję matury Juljusza, a także informacje o nauczycielach jego, oraz cenzury z 2-ej klasy gimnazjalnej, gdzie Julek był dwa lata, »zapewne z powodu, że był jeszcze za młody i fizycznie za słaby« (str. 207). Załączony jest tu również spis jego kolegów klasowych.

Wbrew zwyczajowi lat ubiegłych, ostatni Rocznik nie zawiera żadnych szczegółów o życiu wewnętrznem T. P. N., a szkoda!

Ks. Wł. Tołłoczko.

Karol Ewald: C z w o r o m i ł y c h p r z y j a c i ó ł. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Kraków 1922, str. 125.

Waldemar Bonsels: P s z c z ó ł k a M a j a i j e j p r z y g o d y. Spolszczyła M. Kreczowska. Nakład tejże księgarni str. 141.

Na zbyt bogatą własną literaturę dla dzieci nie możemy jeszcze narzekać. Owszem, często jej brak dotkliwie odczuwamy. Toteż dobrze

uczyniła księgarnia Krzyżanowskiego, wydając parę dziełek, przeznaczonych dla najmłodszych czytelników. Są to tłumaczenia.

Czy wybór zupełnie szczęśliwy? Jeśli chodzi o Ewalda, wypada raczej zaprzeczyć. Jakkolwiek pisarz ten pochodzi z ojczyzny Andersena, nie odziedziczył po nim jego lekkości i poezji. Djalogi, jakie prowadzą ze sobą różne czworo- i sześcionogi, lub dwunogi — do nich zaliczony został także najmędrszy człowiek — są nudne. Ponadto zamieszczenie opowieści o wynalazkach »dwunogiego« w serji opowiadań, osnutych na tle życia zwierząt, uważamy za niepedagogiczne. Sam ten fakt i tytuł może naprowadzić młodocianego czytelnika do przejęcia się fałszywą hipotezą absolutnego ewolucjonizmu.

Niezrównanym natomiast obserwatorem i humorystą jest monachijski pisarz Bonsels (ur. 1881). W djalogach pełno głębszych satyrycznych refleksyj na temat wzajemnych stosunków między ludźmi. W spolszczaniu radziłbym szan. tłumaczce pójść jeszcze o krok dalej i powyrzucać Maje, Fridolinów, Sepów itd. a wprowadzić nazwy o brzmieniu polskiem. *X.*

Jan Powalski: Nad jeziorem. (Sielanka wielkopolska z XIII w.) Nakład Gebethnera i Wolffa, 1921 str. 310.

Po różnych »łunach« i »pożarach« ostatniej wojny z radością chwytamy za powieść, która nam przynosi ukojną ciszę sielanki, i to nie bylejakiej, ale z zamierzchłych czasów z przed siedmiu wieków. Ale mniejsza o sielankę, o gruchania miłosne Jarosta z Nawajką, mniejsza nawet o zaciszny żywot OO. Cystersów w rokitniańskim klasztorze; ważniejsze to, że w powieści wyczuwamy wszystkie te prądy, jakie wstrząsały organizmem współczesnej, dzielnicowej Polski. Pod względem religijnym możnaby współczesną umysłowość porównać ze starym borem, w którego mrokach błądzą fosforujące ogniki, bo tu z podłoża spróchniałych pogańskich przesądów rodzą się naiwne, dziwnym lękiem owiane wierzenia i praktyki kościelne. Wśród duchowieństwa subtelne dyskusje o przypadłościach i podmiocie, o indywidualizacji i powszechności nie są rzadkością, ale biorą w nich udział jedynie wybrańcy w mniszym habicie, podczas, gdy kler świecki z nielicznemi wyjątkami zadowala się znajomością »Wierzę« i oficjum o N. Marji Pannie. Mimo to znaczenie duchowieństwa rośnie, mnożą się dlań nadania i wpływy na dworach panujących książąt, ale też ściga je niechęć możnowładztwa i rycerstwa. Nawet kolonizacja niemiecka jest w tej powieści bronią zwróconą przeciwko klasztorom. Takie jest ogólne tło sielanki.

W malowaniu szczegółów z wyjątkowem znawstwem przystąpił p. Powalski do odtworzenia dawnych zwyczajów i pieśni ludowych. Zalecanki i wesela, zwady i pogrzeby — a zwłaszcza igrzyska ludowe na »Biały Jan« (św. Jana Chrzc.) wraz z »porywaniem sabinek« występują z ram powieści wprost z niezwykłą wyrazistością i wdziękiem, który jeszcze bardziej potęguje nadzwyczajne bogactwo form w dialogach — a w spisach: słownictwa staropolskiego. Powalski jest także

jednym z pierwszych, który dokładniej (daleko sumienniej niż np. Berent w »Żywych kamieniach«) zwiedził urządzenia dawnych klasztorów i przypatrzył się zajęciom mnichów. Rozczytał się w brewjarzu i w dziełach Ojców, przestudjował dzieje Cystersów na ziemiach polskich i zapoznał się z ich regułą. Mimo tej erudycji, której dowody podziwiamy niemal na każdej stronicy, nie ustrzegł się drobnych pomyłek. I tak trudno się zgodzić, że jeszcze w XIII w. kapłani cysterscy nosili habity, porzucili je już w XII w. Również Polak na stanowisku opata w XIII w. jest anachronizmem, gdyż nawet w najstarszym polskim klasztorze cystersów, w Jędrzejowie, widzimy na tej godności Polaka dopiero w dwa wieki później. Sądzimy więc, że i w Rokitnie, gdyby naprawdę istniało takie opactwo, nie innym torem potoczyłyby się jego dzieje. Na szczęście, — czy nieszczęście — w Rokitnie była tylko prepozytura, zależna od opactwa w Zemsku. Nie z jego wszakże historji zaczerpnął autor historycznych szczegółów, — lecz raczej jak się zdaje, z dziejów łęknowskiego (później wągrowieckiego) klasztoru. Zaznaczone transpozycje każdy łatwo wybaczy. Trudniejsza sprawa, kiedy patrzymy na rozluźnienie dyscypliny klasztornej. Barwy w malowaniu tych plam zbyt silnie przypominają słynne »Statuty« Br. Ed. de Cruce, — pochodzące jednak dopiero z XVI w. Przyznaję, że w końcowych rozdziałach rzucił autor na klasztor N. M. Panny całe snopy iście bożych blasków, ale przez to samo, nie usunął naszem zdaniem niepotrzebnej, plamy. Przytem transfiguracja opata wydaje nam się nieco marjonetkowa. Zdaje się, że jeszcze literatura nasza musi długo czekać na utwór choćby w stylu »Dreizenlinden« Webera. Wątpimy także, czy pod koniec XIII w., a więc po słynnym synodzie z 1215 r. nieprzestrzeganie celibatu było istotnie tak powszechne, tak typowe, jak się każe autor domyślać z opisu plebana Kawki, niedołęgi fizycznego i umysłowego. Żal nam także, że biskup Boguchwał tylko okazałym brzuchem przysparzał P. Bogu chwały.

Mimo zaznaczonych niedoborów sielanka »Nad jeziorem« podbija każdego swym idealizującym realizmem, — imponującem znawstwem folkloru i staropolszczyzny. Jeżeli p. Powalski jest jeszcze narazie sumiennym terminatorem — to wolno nam się spodziewać, że wkrótce powitamy w nim świetnego majstra. *J. K.*

Eugenja Żmijewska: Żona. Powieść. Nakładem „Bibljoteki dzieł wyborowych" Warszawa 1922, str. 256.

Mająca duże zasługi przed polskim ogółem czytającym, Bibl. dz. wybor. wznawia obecnie swą działalność, przerwaną wojną i idącym w ślad za nią, kryzysem w życiu wydawniczem i księgarskiem. Pod dobremi auspicjami rozpoczyna zasłużone wydawnictwo nowy okres swego istnienia, wypuszczając na rynek księgarski podwójny (894—895) tomik, zawierający najnowszą powieść Eugenji Żmijewskiej, pt. Żona.

Jest to powieść godna największej uwagi, jako dzieło świetnego pióra i subtelnej analizy psychicznej, ukazującej przekrój duszy ciasno pojmującej miłość żony i zdradzającego ją, bo żądnego silniejszych

podniet zmysłowych, męża. Czystem swem piórem E. Ż. tak ujęła ten temat, że powieść omawiana zasługuje znaleść się w ręku każdej młodej mężatki, szukającej jeszcze właściwego dla siebie typu — żony. Czy taż powieść będzie mogła stać się dla mężów pożytecznem memento? Nie wiemy. Ktoś nawet odradzał czytać ją mężom, by nie utwierdzili się bardziej w przekonaniu o ślepej miłości żon. Autorka jednak na wstępie zaleca przeczytanie tej powieści tak żonom, jak i mężom.

Książka podzielona jest bałamutnie, np. o istnieniu pierwszej w niej części, stanowiącej pewną całość, dowiadujemy się tylko z tytułu drugiej; rozdziały niektóre są bez numeru, lub ze ?, lub zgoła bez inskrypcji. Trochę się uzbiera omyłek drukarskich. Papier dosyć lichy. Ale to wszystko drobnostki, w niczem nie obniżające istotnej wartości tej powieści. *Wł. Tołłoczko.*

Jan Papini: Dzieje Chrystusa. Cykl pierwszy. Przełożył W. Rzymowski. Two Wydawnicze w Warszawie 1922.

Literatura katolicka ostatnich czasów notuje coraz częściej i we wszystkich krajach takie przemiany, jakie swego czasu nazwał Adolf Retté: »Du Diable a Dieu«. Dusze głębsze, szczerze szukające światła i prawdy, wracają po długotrwałych wikłaniach się i walkach do stóp Chrystusa. Jan Papini jest z ich liczby. Niedawno jeszcze gorszył świat i Polskę »Pamiętnikami Pana Boga«, w których radził Stwórcy, wytworzonemu nibyto przez fantazję ludzką, aby nie męczył więcej głów naiwnych Sobą, żeby dał spokój światu — aż oto, nie oczekiwane przez nikogo, ukazują się »Dzieje Chrystusa« (Storia di Christo), płomienne wyznanie wiary w Boga i konsekwentnie odwołanie, potępienie wszystkiego, co dotąd napisał. Polecać tej książki osobno nie potrzeba. Dwa wydania w przeciągu niespełna trzech miesięcy, 40000 egzemplarzy w lot rozchwytane, setki artykułów, recenzyj rozrzuconych po pismach Włoch, Anglji, Francji, Niemiec i indziej mówią same za siebie. — Przekład W. Rzymowskiego, będący zarazem wobec społeczeństwa polskiego miłą i pożądaną ekspiacją za przekład »Pamiętników Pana Boga«, nie daje całości odrazu, tylko w 3 cyklach. Język przekładu piękny i jędrny, oddający dalsze dwa stany duszy nawróconej: zachwyt i stanowczość przekonań, wskazuje, że tłumacz z pietyzmem i talentem zabierał się do dzieła. Po przeczytaniu »pierwszego cyklu«, mimowoli chciałoby się mieć już pod ręką dalsze. *S. M.*

Z wydawnictw Księgarni św. Wojciecha: M. Reynés-Monlaur: Tajemnicze słowa; I. Gajewska: Kierdaj (z życia pensjonarek); H. G. Wells: Pierwsi ludzie na księżycu; Kap. Marryat: Wśród koralowych raf; Michał Bałucki: Zapóźno. — Latawica; Wiktor Gomulicki: Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd pism swoich napisać? Zakazane, Syrena, Strach; Juljan Jasiński: Dawni ludzie; A. Stodor-Cehak: Czarna ściana; Henryk Rieff: Jestem rabusiem; Irena Mrozowicka: Bez ten święty opłatek.

Przytoczone powyżej wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha, tak powieści, jak nowele i farsy dla teatru ludowego, nie zawierają w swej

treści nic nadzwyczajnego, coby wzbogacało lub posuwało naprzód literaturę piękną. Na ich pochwałę można to wszakże powiedzieć, że dostarczają przeciętnej rzeszy czytelników dobrą lekturę, zdrową pod względem religijno-moralnym a przytem pełną epizodów z ciekawemi przygodami, także na tle niedawnej wojny, zdobycia Reims, (Tajemnicze słowa) i obrony Lwowa (Czarna ściana). A dziś i to jest zasługą wobec gangreny, rozrzucanej tysiącami z innych półek księgarskich. Z obowiązku sprawozdawcy zaznaczyćby można, że np. powieść »Tajemnicze słowa« posiada partje, które swem pięknem odcinają się od średniego poziomu opowiadania. Opis katedry w Reims należy do ich liczby i widocznie wypłynął z pod pióra autorki francuzki i katoliczki w chwili żywszego entuzjazmu. *S. M.*

Ks. Antoni Huonder T. J.: U Stóp Mistrza. Przełożył ks. dr. Jan Korzonkiewicz. Poznań-Warszawa, Księgarnia św. Wojciecha, wyd. 2 r. 22

Nad tą książeczką nie potrzeba już rozwodzić się. Jest ona bowiem powszechnie znaną i cenioną. Do szybkiego rozpowszechnienia się jej w Polsce przyczyniało się nie mniej piękne tłumaczenie, jak wewnętrzna wartość treści. W drugiem wydaniu przesunięto ostatnie rozmyślanie na właściwe miejsce i zastosowano przepisy nowej ortografji. Zwięzłość, praktyczność zastosowań i stąd łatwość korzystania — to są zalety, w podręczniku do codziennych kapłańskich rozważań, szczególnie pożądane. A nimi się właśnie odznacza książka ks. Huondera. Nie będzie więc autor zbytecznym w bibljotece kapłana, choćby zwykle z innych dziełek tego rodzaju korzystał. Brak czasu, zwłaszcza w podróży wymaga ułatwień, które właśnie ten skrót daje.

Ks. L. C.

M. Zdziechowski: Gloryfikacja pracy. Myśli z pism o pismach Stanisława Brzozowskiego. Kraków, Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej. 1921, str. 106.

W każdej publikacji prof. M. Zdziechowskiego tkwi taka głębia myśli i gorącość uczucia, że czytający jego dzieła czuje się niebawem przeniesionym jakby na wielkie boisko duchowe, gdzie ścierają się ze sobą przednie idee wieku w walce o przodownictwo najbliższemu jutru. Nie trzeba wiele mówić o ostatniem dziełku profesora wileńskiego uniwersytetu, zawierającem pochwycone przez jego pryzmat duchowy, wybitniejsze myśli z pism St. Brzozowskiego i uwagi nad niemi (noszącem wspaniały tytuł *Gloryfikacja pracy*). Wszyscy dziś odczuwamy potrzebę wszechstronnej pracy, z nią wiążemy tyle nadziei na lepszą przyszłość, jednak co krok u nas widzimy też dowody owej *improductivité slave*. Powagę, wiejącą z kartek tego dziełka, podnosi znacznie ta okoliczność, że prof. Z. pisał tę rzecz »w najcięższych dniach« swego życia, »pod obuchem ciosu«, straty ukochanego syna, będącego w rozkwicie bujnej młodości, a zmarłego czasu wojny. Jemu to poświęcił zbolały ojciec swą pracę, zrodzoną w tęsknocie i bólu. Te uczu-

cia towarzyszyły poznawaniu twórczości pisarza St. Brzozowskiego, w którym syn profesora i jego rówieśnicy rozczytywali się, szukając na tle spółczesności idei ojczyzny. Szukali i znaleźli.

Otóż przez ośm rozdziałów autor Glorifikacji pracy, umiejętnym doborem cytat z różnych dzieł St. B., zaznajamia nas z wytycznymi jego myśli, dążącej do syntezy. Przyostro brzmią dla spółczesnego niektóre sądy St. B. o zasadniczej grzeszności naszego Ja (str. 12), pozatem nie można nie zgodzić się z krytyką licznych fałszywych dziś pozycyj światopoglądu, tak europejskiego, jak polskiego. Zwłaszcza interesujący się socjologją i najnowszymi prądami myśli katolickiej znajdą w tem dziełku niemało podniety do głębszego zastanowienia się. Chociaż cytaty St. B. spotykają się często na każdej stronicy tej książki, niech nikt nie sądzi, że osoba prof. Z. jest w niej całkiem bez znaczenia i jakby w cieniu. Prof. Z. najwyraźniej przestawił całego St. B., usystematyzował jego światopogląd, opatrzył mniej jasne miejsca komentarzami, przerzucając na śmiałych łukach mosty logiczne między pozornie dalekimi sobie ideowo pojęciami i przedmiotami.

Ks. Wł. Tolkowski.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Z księgarni Herdera, Freiburg i Br.:

Erich Przywara S. J.: Vom Himmelreich der Seele I. Bändchen: Geist. 12⁰, str. VIII i 80. II B.: Ernst, 12⁰, str. VIII i 128.

— Eucharistische Funken. Blütenlese frommer Gedanken u. Gespräche zu Füssen Jesu im allerhl. Altarssakrament. Aus dem Italienischen übers. von Ottilie Bödiker. IV. Bändch. m. 12⁰, str. VIII i 140.

Thomae à Kempis: Opera omnia. Volum VII. Edidit M. I. Pohl. 12⁰, str. VI i 622.

Dr. Odo Casel O. S. B.: Die Liturgie als Mysterienfeier (IX. Bändchen der »Ecclesia Orans«) 12⁰, str. XII i 160.

Georg Harrasser S. J.: Marienblumen. Liebfrauen-Erzählungen neuerer katholischer Schriftsteller. 12⁰, str. VIII i 190.

Georg Harrasser S. J.: Marianisches Leben. Bilder aus dem Walten u. Wirken der Marianischen Kongregationen. 12⁰, str. VIII i 230.

Maria Müller: In der Kongregationsschule. Vorbereitungsunterricht zur Aufnahme in die Marianische Kongregation. 12⁰, str. XVI i 188.

— Herders Konversations-Lexikon. II Ergänzungsband. Erste Hälfte: A bis K. w. 8⁰, str. 927.

Schriften zur deutschen Politik:

1 u. 2 Heft, Dr. Georg Schreiber: Deutsche Kulturpolitik u. der Katholizismus. 12⁰, str. XIV i 108.

3 Heft, Dr. Jos. Mausbauch: Religionsunterricht und Kirche. 12⁰, str. 47.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rzym, Genua i Moskwa. — Rozkład wewnętrzny we wschodniem prawosławiu: Konstantynopol, Antjochja, Jerozolima, Rosja.

Zaczynamy od sprawy przebrzmiałej i dosyć wyjaśnionej, której wszakże w miesięcznym przeglądzie »spraw Kościoła« pominąć nie wolno.

Obok innych sensacyj, jakich dostarczała dziennikom konferencja w Genui, jedną z najbardziej intrygujących było stanowisko Papieża względem konferencji i względem Rosji. Ojciec św. nie zadowolnił się wezwaniem wiernych do modlitwy o błogosławieństwo Boże dla prac konferencji w Genui i o pomyślne jej wyniki; ojcowskiem sercem obejmując wszystkie kraje i narody, odczuwając wszystkie nieszczęścia, jakie poprzednia wojna sprowadziła na ludzkość, postanowił zwrócić się do wszystkich państw, biorących udział w konferencji, z wezwaniem, aby użyły wszystkich środków, aby zdobyły się na wszystkie możliwe ofiary, by utrwalić dzieło powszechnego pojednania i pokoju. Pismo, wystosowane w tym duchu do kardynała Sekretarza Stanu Gaspari'ego, zostało przyjęte przez polityków bardzo przychylnie, jakkolwiek nie przez wszystkich w tej czystej intencji, w jakiej było pisane. Niestety, ten, który najbardziej pochlebnie wyrażał się o orędziu papieskiem, Loyd George, widział w niem przedewszystkiem środek moralnej presji na inne państwa, które chciał nagiąć dla swojej polityki naftowej. Inaczej już bowiem patrzał na inne orędzie papieskie, jakie przywiózł do Genui specjalny wysłannik Piusa XI, Mgr. Pizzardo, a w którem wzywa Ojciec św. rządy, aby przy zawieraniu traktatu zażądano od bolszewików rękojmi dla wolności religijnej w Rosji i zwrotu

zagrabionego kościelnego mienia. Wtedy premjer kupieckiej Anglji dał niedwuznacznie do poznania, że sprawa uzyskania przez kapitał angielski koncesji na pola naftowe w Baku jest tak ważna, że warto dla niej poświęcić taką małostkę jak wolność religijna, której podnoszenie mogło komplikować układy. Tem bardziej, że tu nie chodziło o owe »mniejszości narodowe« w Polsce lub w Rumunji, których prawa i przywileje pod tak czułą opiekę brano w Wersalu i w St. Germain.

Konferencja w Genui skończyła swój niesławny i bezowocny żywot. Złożono ją do grobu, pocieszając ją perspektywą rychłej reinkarnacji w Hadze. Można już teraz powątpiewać, czy obrady nad Morzem Północnem będą szczęśliwsze, niż wiośniane dni na wybrzeżach uroczej Ligurji. Jeśli bowiem uczestnicy konferencji mają jedno tylko na względzie, by wzajemnie sobie wydzierać prawo eksploatacji ekonomicznej zrujnowanej Rosji, jeśli humanitarne hasła sprawiedliwości międzynarodowej są tylko listkiem figowym dla brudnego egoizmu, jeśli wreszcie, pertraktując z bandą zbirów, nie ma się odwagi zażądać od nich zaniechania zbójeckich metod rządzenia, a przedewszystkiem respektowania tego, co jest dla miljonów ludzi najdroższem — wolności sumienia i poszanowania rzeczy świętych, to zgóry można przewidzieć smutny koniec wszelkich obrad i wszelkich wzajemnych oszukiwań się »kulturalnych« członków konferencji.

Jeszcze jedno trzeba zauważyć *à propos* genueńskiej konferencji, że prasa rozmaitych odcieni, nie bardzo czuła na niemoralność zaproszenia do wspólnego stołu obrad ludzi o zakrwawionych rękach i o zupełnem zaniku zasad moralnych, okazała się przeczuloną, kiedy zauważyła jakiekolwiek zbliżanie się przedstawicieli Kościoła do delegacji bolszewickiej. Gorszono się, że arcybiskup Genui, spotkawszy się na bankiecie z Cziczerinem, a może złośliwie nawet posadzony przez gospodarzy vis-à-vis rosyjskiego nihilisty, zamienił z nim zdań kilka. Z rozmowy tej, jak również z faktu doręczenia memorjału papieskiego Cziczerinowi przez Mgr. Pizzardo, zrobiono złośliwie niemal że zawarcie konkordatu, a ten nieistniejący konkordat już wyzyskiwano przeciwko papieżowi, rzekomo uznającemu temsamem de jure władzę sowietów i aprobującemu ich okrucieństwa. Kilkakrotne kategoryczne wyjaśnienia *Osservatore Romano* wykazały całą przesadę i złośliwość tych krzywdzących insynuacyj. W Rzymie, może lepiej niż w Genui, wiedzieli i wiedzą o niegodziwościach popełnianych wobec chrześcijańskiej społeczności i chrześcijańskiej kultury przez żydowską klikę obecnych rządców Moskwy. Ale właśnie dlatego, że dobrze tam są

o stosunkach rosyjskich poinformowani, tembardziej odczuwają konieczność użycia wszelkich dostępnych środków, by ulżyć cierpieniom fizycznym i moralnym znękanych mas. Taką próbą ulżenia cierpieniom fizycznym było wysłanie przez papieża pociągu aprowizacyjnego do Rosji wraz z kilku kapłanami, którzy mieli dopilnować rozdziału żywności. Goniąca za sensacją prasa, — nie wyłączając polskiej, która stale jest źle poinformowana o ile chodzi o sprawy Kościoła — uczyniła z tej humanitarnej akcji jakąś wyprawę misyjną dla nawracania Rosji i już to oburzała się na papieża, że wyzyskuje smutne położenie prawosławia, by je poddać pod swoją władzę przy pomocy Sowietów, już to litowała się nad utopją Watykanu, wiecznie, pomimo tylu zawodów, goniącego marę Unji kościelnej. To znowu gorszono się z tego, że przedstawiając Cziczerinowi memorjał papieski, mniej nalegał Mgr. Pizzardo na jego trzeci punkt, dotyczący zwrotu majątku kościelnego; udawali, że są tem zgorszeni, nawet tacy, którzy pragnęliby zupełnego obdarcia Kościoła we własnych krajach. Ten faryzaizm notujemy tutaj dla przestrogi na przyszłość: tylu doświadczeniami nauczona, nasza prasa, przedewszystkiem prawicowa, nie powinna rozszerzać alarmujących i krzywdzących Stolicę Apostolską pogłosek, dopóki nie zostaną sprawdzone u samego źródła.

Kiedy we wszelkich wystąpieniach Kościoła katolickiego, choćby płynęły z poczucia najświętszej jego misji lub najczystszych humanitarnych pobudek, upatrywać się zwykło jakąś podejrzaną i zagadkową »politykę watykańską«, warto się przypatrzeć, jak wygląda rzekoma apolityczność kościołów wschodnich, owych prototypów dla wszelkiego rodzaju pomysłów unarodowienia Kościoła w katolickich krajach.

Jak dalece polityka rozbiła jedność prawosławia, świadczy najlepiej sprawa wyboru nowego patrjarchy w Konstantynopolu. Ze sprawą tą warto się zapoznać również ze względu na doktrynalny rozkład w łonie Kościołów prawosławnych.

Stolica patrjarchy carogrodzkiego, noszącego tytuł patrjarchy »powszechnego«, była opróżnioną od października 1918. Wtedy to bowiem German V, zwolennik mocarstw centralnych, musiał po przegranej tychże mocarstw zrezygnować ze swojej godności i usunąć się w zacisze prywatnego życia. Były to jednak czasy tak niespokojne, że o zwołaniu zebrania wyborczego dla obioru nowego patrjarchy nie mogło być mowy. Wybrano więc tymczasem chwilowego zastępcę, *locum tenens*, i oczekiwano uspokojenia i zjednoczenia obszarów po-

dlegających jurysdykcji patrjarchy carogrodzkiego. Konferencja paryska, na którą Grecy z Carogrodu wysłali swoją deputację, później rokowania w Sèvres zawiodły oczekiwania tych, co pragnęli wzmocnienia imperjum bizatyńskiego na gruzach pobitej Turcji. W Atenach herold zjednoczenia Greków, Venizelos, musiał ustąpić powracającemu z wygnania królowi Konstantynowi i sam z niewdzięcznej Ojczyzny uchodzić. W Carogrodzie wszakże przeważały w kołach greckich nadal wpływy Venizelistów, podczas gdy w królestwie greckiem stali się oni ofiarami prześladowania, nie wyłączając biskupów, których masowo pousuwano, by zrobić miejsce dla zwolenników Konstantyna.

W tych okolicznościach wybór patrjarchy carogrodzkiego znowu wydawał się niemożliwym. Procedura bowiem tego »konklawe« jest zbyt skomplikowana. Patrjarchatowi podlega 80 metropolij, często zresztą prawie tylko tytularnych, skoro się weźmie pod uwagę, że cała prawosławna ludność patrjarchatu wynosi niespełna półtora miljona, czyli równa się ludności przeciętnej jakiejś katolickiej diecezji. Nie przeszkadza to wszakże, że do wyboru patrjarchy muszą być uruchomieni owi wszyscy metropolici, że nadto z każdej, często minjaturowej, diecezji ma być wysłanych kilku delegatów duchownych i świeckich, do ciała wyborczego w Konstantynopolu. Otóż terytorjum patrjachatu, owej cerkwi, *megale ekklesia*, jak się dumnie patrjarchat tytułuje, znalazło się podzielonem politycznie i zajętem przez różne wojska. Oprócz kilku diecezyj, jakie już w r. 1913 przypadły Grecji, wojska króla Konstantyna, posuwając się w Małej Azji coraz dalej, zajmowały coraz to nowe części patrjarchatu; resztę Anatolji zajmowały wojska nacjonalistyczne Mustafy Kemala, który poprzecinał prawie wszystkie nici łączności z Carogrodem; jakieś skrawki patrjarchatu dostały się Serbji, — więc pod władzą sułtana pozostała zaledwie stolica z najbliższą okolicą i tym sposobem skurczyła się sfera bezpośrednich oddziaływań tymczasowych stróżów patrjarszego tronu.

Pomimo tych trudności, w Fanarze — rezydencji patrjarchów carogrodzkich — odczuwano coraz bardziej potrzebę obsadzenia owdowiałej cerkwi. Świecka ludność grecka Carogrodu, mająca zawsze wielki wpływ na kościelne sprawy, dopominała się rychłego obioru patrjarchy. Więc w ciągu roku 1920—21 kilkakrotnie zabierano się do wyborów. Zawsze jednak napróżno. Królewski bowiem rząd w Atenach żądał odroczenia wyborów, obawiając się widocznie, że tron patrjarszy zdobędzie takiś stronnik Venizelosa; więc w celu zaprotestowania przeciw zamierzonym wyborom zwołał rząd grecki do Adrjanopola biskupów

podległych patrjachatowi, lecz znajdujących się na terytorjum, zajętem przez wojska greckie. Względem tych, którzy na ów sobór ociągali się udać, użyto groźby i przemocy: powiedziano im, że będą gwałtem załadowani na statki i przewiezieni na miejsce przeznaczenia. Koszta całego przedsięwzięcia hojnie pokrył skarb ateński, który natychmiast cofnął roczną zapomogę 800,000 drachm, jaką królestwo greckie wypłacało patrjarsze w Carogrodzie. Z soborczykiem w Adrjanopolu widzieli się zmuszonymi wejść w rokowania przedstawiciele Fanaru, i wybory patrjarchy znowu na jakiś czas odłożono.

Wreszcie wszakże pod presją głównie świeckich elementów w Carogrodzie wyznaczono ostateczny termin wyborów na dzień 8 grudnia 1921. Z Aten wszakże poszły nowe protesty. Na rozkaz rządu greckiego wstrzymali się od udziału w wyborach metropolici z królestwa. W samym Carogrodzie, dokąd zjawiła się zaledwie część uprawnionych wyborców, utworzyły się dwie partje, zawzięcie się zwalczające: jedni byli za dokonaniem wyboru, drudzy za odroczeniem ze względu na niebezpieczeństwo schizmy w łonie patrjarchatu. Zwyciężyli pierwsi z nazwisk kandydatów, jakich według wyborczego statutu podali w zamkniętych kopertach metropolici, zgromadzenie wyborcze, po secesji opozycji, wybrało trzy imiona. Z tych trzech w uroczystem posiedzeniu w katedrze, drogą sekretnego balotowania przez obecnych metropolitów, wyszedł jako patrjarcha Melecjusz Metaxakis. Na zewnątrz świątyni tłumy laików głośno wyrażały przedtem swoje żądania; kiedy padło nazwisko Melecjusza, podjęto je z entuzjazmem, łącząc do okrzyków na jego cześć wiwaty na cześć Venizelosa.

Kim jest nowy elekt? Jedno o nim najbardziej wiadomo, że jest on najgorętszym zwolennikiem Venizelosa. Kiedy ten ostatni podczas wojny, po detronizacji króla Konstantyna, zagarnąwszy władzę w swoje ręce, usunął kilkunastu biskupów zwolenników króla, między którymi był również metropolita Aten, Teoklitos, na to pierwsze miejsce w hierarchji królestwa greckiego osadzono Melecjusza. Po wypędzeniu Venizelosa wszyscy intruzi musieli ustąpić przed powracającymi na swoje stolice wygnańcami. Jak niedawno na stronników Konstantyna, tak teraz na zwolenników Venizelosa zaimprowizowano jakiś sąd kościelny, który ogłosił wyrok pozbawiający ich zajmowanych katedr. Metaxakis, rozsyłając protesty na wszystkie strony, musiał jednak szukać schronienia aż w Stanach Zjednoczonych, gdzie wśród Greków tamtejszych szył buty swoim przeciwnikom i rządowi króla Konstantyna.

Obecnie więc, kiedy w Atenach dowiedziano się o wyborze Me-

lecjusza na patrjarchę, nic dziwnego, że głośno zaprotestowano i podwładnym biskupom kazano ogłosić dokonany wybór za nieważny. Depesze z Carogrodu, zawiadamiające Melecjusza o powołaniu go na tron patrjarchy, zatrzymano na terytorjum greckiem, przez które kabel przechodzi, tak że elekt dowiedział się o swojem wyniesieniu dopiero później z jakiejś angielskiej gazety. Na telegraficzne zapytania, czy wyniesienie jego jest faktem, nie otrzymał żadnej odpowiedzi z powodu przejmowania jego depesz. Kiedy się już upewnił ostatecznie, że jest w istocie wybranym, kiedy zwyciężył trudności paszportowe (konsulat grecki odmawiał wydania mu papierów), puścił się nareszcie w drogę do Europy przez Londyn. Tutaj, już jako patrjarcha, Metaxakis nawiązał rokowania z najwyższymi przedstawicielami hierarchji anglikańskiej w celu zawarcia jedności między prawosławnym a anglikańskim Kościołem. Odprawiano wspólne nabożeństwa z udziałem kleru prawosławnego i protestanckiego. W Londynie wszakże spotkała Melecjusza nowa niemiła przygoda: grupa Greków, zwolenników królewskich, napadła na patrjarchę podczas nabożeństwa i chciała go porwać, zapewne w tym celu, aby jako poddanego greckiego odesłać go do Aten, zamiast do Konstantynopola. Tylko dzięki interwencji policji udało mu się ujść rąk przeciwników. Ci jednak jeszcze nie uspokoili się. W Atenach złożono w styczniu tego roku sąd duchowny, który Metaxakisa za różne prawdziwe i zmyślone przestępstwa skazał ponownie na utratę nie tylko tronu biskupiego, ale nawet godności kapłańskiej i osadzenie na pokutę w klasztorze. Między zarzutami, jakie mu postawiono, był i ten, że wszedł w stosunki kościelne i liturgiczne z protestantami. Do charakterystyki moralnej sędziów trzeba dodać, że i stronnicy króla Konstantyna również usiłowali nawiązać rokowania z Londynem o jedność kościelną prawosławia z anglikanizmem.

Po długich perypecjach wyjechał Melecjusz do Carogrodu. Nie mamy jeszcze pewnych wiadomości, czy spokojnie objął ofiarowany sobie tron patrjarszy. Zapewne nowe trudności wyłonią się ze strony rządu tureckiego, gdyż wybory odbywały się bez zwykłych w tych razach formalności wobec rządu. Trzeba zaś pamiętać, że patrjarcha jest głową nie tylko duchowną, ale i polityczną Greków podległych sułtańskiemu berłu i w tym właśnie drugim, politycznym charakterze nie może rozpocząć on swego urzędowania bez uzyskania sułtańskiego firmanu. Jeżeli te trudności zostaną pokonane, to niezawodnie trudniejszemi do pokonania będą inne. Z pewnością wyłamią się z pod jego jurysdykcji obszary zajęte przez wojska greckie, rzecz bowiem jasna,

że nie łatwo poddadzą się jego władzy ci, którzy dopieroco ogłosili go za pozbawionego nawet święceń kapłańskich. W Anatolji znowu organizuje się nowy patrjarchat, tamtejsi bowiem prawosławni doszli do przekonania, że nie są bynajmniej Grekami ale »chrześcijańskimi Turkami«, organizują więc odrębny Kościół narodowy z liturgją w języku tureckim i żądają dla siebie niezależności od Carogrodu. Oczywiście rząd Kemala paszy poprze tę nową schizmę. Jeżeli więc w stosunkach na bliskim Wschodzie nie zajdzie jakaś radykalna zmiana, to można się spodziewać, że władza »powszechnego patrjarchy« ograniczy się do obrębu miasta i prawdziwa megalomanja tej *megale ekklesia*, megalomanja, która doprowadziła w XI wieku do oderwania się patrjarchatu od prawdziwego katolickiego Kościoła, smutnie się skończy i nie uratuje jej nawet połączenie się z anglikańskim protestantyzmem.

Kiedy już jest mowa o wschodniem prawosławiu, warto coś powiedzieć jeszcze o innych jego odłamach.

Też same polityczne niesnaski panują w patrjarchatach innych, przygłuszając sobą wszelkie objawy życia religijnego. Dopóki Turcja rozciągała swe panowanie na całą Małą Azję, Syrję, Arabję i Egipt, patrjarchaty w Antjochji, Aleksandrji i Jerozolimie uważane były za ekspozytury patrjarchatu w Carogrodzie. Wszyscy prawosławni uchodzili za Greków i władze cerkiewne wysługiwały się wszechgreckiej polityce, nie uwzględniając prawie wcale aspiracji innych narodowości. Te jednak narodowości budziły się do życia i uświadamiały sobie swoją odrębność. Na tem właśnie tle przyszło do scysji już w r. 1899 w patrjarchacie Antjochji. Przy poparciu polityki rosyjskiej został tam patrjarchą Grzegorz, który sprzyjał rozwojowi syryjskiej narodowości. Z tego wszakże powodu pomiędzy nim z jednej strony a patrjarchatem w Carogrodzie i Synodem w Atenach z drugiej doszło do scysji, która nigdy całkowicie usunąć się nie dała. Obecnie patrjarchat antiochijski, nie potrzebując się liczyć ani z patrjarchą »powszechnym« ani z Atenami, organizuje odrębną hierarchję dla prawosławnych Syryjczyków w południowej Ameryce, stwarzając w Rio de Janeiro metropolję dla Brazylji. Syryjczycy, przebywający w Ameryce północnej, byli również obsługiwani przez dwóch własnych biskupów, wysłanych w 1914 r. Obecnie synod syryjski odwołuje ich stamtąd, poddając swoich wiernych pod jurysdykcję rezydującego w Stanach Zjednoczonych arcybiskupa rosyjskiego. Tym sposobem patrjarchat w Antjochji zerwał z polityką grecką,

co narazi go, jeżeli nie na otwartą schizmę, to na stałe oziębienie stosunków z kościołami greckiemi.

W Jerozolimie patrjarcha Damian, również protegowany carskiej Rosji, jest już od szeregu lat w otwartej wojnie z własnym synodem, składającym się z metropolitów narodowości greckiej i z greckiem również bractwem Świętego Grobu. Cała zresztą działalność tego lilipuciego patrjarchatu, mającego coś dziesięciu metropolitów, ale wiernych liczącego zaledwie kilkanaście tysięcy, polega na administrowaniu dóbr Bożego Grobu i dzieleniu się jego dochodami. W zatargach patrjarchów z metropolitami i Bożogrobowcami pośredniczyły już nieraz władze tureckie, potem Anglicy i ich przedstawiciel syjonistyczny, Lord Samuel. Przed kiku miesiącami synod carogrodzki wziął w swe ręce sprawę pogodzenia patrjarchy Damiana ze zbuntowanymi biskupami i w tym celu wysłał do Jerozolimy jednego ze swych metropolitów, Anthymosa. Interwencja wszakże Carogrodu nie doprowadziła do żadnego rezultatu i wysłannik synodu powrócił z niczem. Walka więc między patrjarchą a podwładnymi trwa dalej i prawdopodobnie skończy się dopiero wtedy, kiedy nie będzie o co walczyć. A na to właśnie się zanosi. Skarb Bożego Grobu, przez kilka już lat nie wspierany, jak dawniej, hojnemi jałmużnami z Rosji, zabrnął w długi; dla spłacenia ich postanowiły władze publiczne wystawić na sprzedaż część gmachów i placów należących do patrjarchatu, przyczem prawo nabycia przyznano organizacjom syjonistycznym. Tym sposobem manja wielkości oficjalnych stróżów Bożego Grobu pomimo ich woli przyczynia się do dźwigania organizacji żydowskich. Jeszcze o jednej niezgodzie trzeba wspomnieć. Mianowicie pozostają w schizmie do siebie patrjarcha Jerozolimy, Damian, z patrjarchą Aleksandrji Focjuszem. Ten ostatni kompetował przed laty o tron w Jerozolimie, lecz ubiegł go szczęśliwszy Damian. *Inde irae!* Focjusz jest pionierem tendencyj wszechgreckich w Egipcie, lecz patrjarchat jego, owego »sędziego wszechświata i trzynastego apostoła«, jak o sobie głosi w oficjalnym tytule, redukuje się również do jakichś 20.000 wiernych, podczas gdy reszta ludności chrześcijańskiej Egiptu to Kopci monofizyci, z których cząstka przeszła do Unji z Kościołem katolickim. Widzimy do czego schizma doprowadziła te stolice, na których zasiadali niegdyś święci Cyryle i Janowie Chryzostomy.

Cerkiew rosyjska, przedstawiająca największy odłam prawosławia nie jest wolna również od wewnętrznego rozkładu. Wprawdzie dzięki przewrotowi bolszewickiemu powstał 1917 patrjarchat moskiewski, ska-

sowany przed 200 laty przez Piotra W. Pozbawiona wszakże podpory rządowej, owszem przez bolszewików prześladowana cerkiew, zaczyna się już wewnętrznie rozkładać. Obok dawnych sekt, wśród których wyróżniają się staroobrzędowcy, posiadający całkowitą hierarchję, przybył cerkwi patrjarchalnej nowy rywal. Pod auspicjami bolszewickiego rządu słynny niegdyś u nas mnich poczajowski, a potem awanturnik w Carycynie, Heliodor, który tyle sprawiał kłopotu synodowi petersburskiemu, ogłosił się również patrjarchą w Rosji, popierając przytem politykę komunistów. Ostatnie wiadomości z Moskwy potwierdzają znaczny wpływ zwolenników Heliodora. Patrjarcha Tychon, człowiek z charakteru łagodny i kulturalny, politycznie wolny od krańcowości, nie mógł wszakże patrzeć obojętnie na zabór przez bolszewików przedmiotów świętych i na profanację świętych relikwij i wystąpił z protestem przeciw grabieży i bezczeszczeniu świętości. Że go aresztowały władze bolszewickie i że mają go sądzić za »sabotaż«, to nie było niespodzianką, ale że mogła się u niego zjawić jakaś deputacja od rzekomych »wiernych«, domagająca się ustąpienia patrjarchy, tak do niedawna popularnego, że na czele przeciwników patrjarchy stanął jakiś biskup Antonjusz, usprawiedliwiając sowiecką grabież, to świadczy o zupełnym rozkładzie organizacji cerkiewnej. Patrjarcha podobno odwołał się do sądu soboru, jaki w tym celu ma się zebrać, a tymczasem, do wyroku, sam złożył rządy. Czy do soboru dojdzie i w razie dojścia soboru do skutku, jaki będzie jego werdykt, trudno przewidzieć; zdaje się, że Tychona osądzą najpierw »komisarze ludu«, którzy już w Moskwie w związku z tą sprawą skazali na śmierć sześciu duchownych i trzech świeckich. Dwie rzeczy wszakże widoczne w tym rozgardjaszu: jedna, że nawet Sowiety, które najgłośniej chwalą się przeprowadzeniem zasady rozdziału Kościoła od państwa, nie zrzekają się wszakże ingerencji w wewnętrzne sprawy cerkwi, druga, że nawet prześladowanie religijne nie zdołało wyleczyć prawosławia z zastarzałej choroby — szukania oparcia o władzę państwową, choćby ta władza znajdowała się w krwawych rękach żydowskich zbirów. Nie jest więc wykluczonem, że obok sekciarstwa różnorodnego, powstanie w Rosji aż parę cerkwi »prawosławnych«, wzajemnie zwalczających się: cerkwi republikańskiej i cerkwi komunistycznej, z których każda szukać będzie podpory w pokrewnej sobie organizacji politycznej.

Nie trzeba chyba wiele daru przewidywania, by mieć za pewne, że wyłoni się i cerkiew monarchistyczna, skoro tylko warunki na to pozwolą. Charakterystyczny objaw dążeń w tym kierunku stanowi so-

bór w Karłowcach, w Jugosławji, jaki się odbył w jesieni ubiegłego roku; był to Sobór rosyjskiego prawosławia, znajdującego się na emigracji. Jak wiadomo, wraz z tłumami świeckich uchodźców opuściły Rosję setki duchownych, wśród nich kilkunastu biskupów prawosławnych. Po głównych ogniskach, gdzie się emigracja rosyjska skupia, zorganizowano obsługę duchowną. Główny przedstawiciel rosyjskiego prawosławia zagranicą, metropolita kijowski, Antonjusz Chrapowicki, ów słynny niegdyś u nas »Antonjusz wołyński«, osiadł w Belgradzie; inny nasz »przyjaciel«, twórca wyłączenia Chełmszczyzny, Eulogjusz, objął pasterzowanie nad Rosjanami w Paryżu, inny archierej osiadł w Konstantynopolu, itd. Za jedno z najważniejszych swych zadań uważają ci hierarchowie schizmatyccy in partibus bronienie swych owiec przed działaniem — jak mówią — »katolickiej propagandy«, która w gruncie rzeczy ogranicza się do tego, że katolicyzm nie odtrąca od siebie tych prawosławnych, co wyzbywszy się uprzedzeń przeciwko niemu i korzystając często z akcji humanitarnej kół katolickich, pragną się bliżej zapoznać z naszą religją. Otóż w celu uporządkowania cerkiewnych stosunków na emigracji, a zwłaszcza zabezpieczenia prawosławia przed »propagandą« katolicką zwołano w Karłowcach rzeczony sobór. Nie ograniczył się on wszakże do zadań czysto religijnych, ale przybrał cechy zjazdu wybitnie politycznego. Większość obradujących delegatów, duchownych i świeckich, przeforsowała manifest do rosyjskich emigrantów, w którym jako lekarstwo na nieszczęścia trapiące ojczysty kraj i cerkiew, wskazuje przywrócenie caratu z Romanowym na tronie. Manifest ten podpisali: Hr. Apraksin, jenerał Batiuszkow, archipresbyterzy Krachmalew i Wostokow. Mniejszość członków soboru protestowała przeciw takiemu wiązaniu losów prawosławia z instytucją monarchji, co oczywiście jeszcze bardziej powiększa rozbicie i niezgody w łonie emigracji rosyjskiej, a pośrednio i w Cerkwi prawosławnej. Jeśli jeszcze dodamy ruch na południu Rosji w kierunku stworzenia odrębnej »cerkwi ukraińskiej« z językiem liturgicznym ukraińskim i niezależnej od patrjarchatu moskiewskiego, ruch, którym z naszego Tarnowa kieruje energicznie prof. Ohienko, krótkotrwały rektor ukraińskiego uniwersytetu w Kamieńcu podolskim, — to będziemy mieli obraz rozbicia prawosławia, rozbicia, które jest owocem pomieszania religji z polityką, życia cerkiewnego z partyjnictwem i powszechnej myśli Chrystusowej z przesadnym nacjonalizmem. W tych warunkach trudno mówić o »zjednoczeniu kościołów«, — bo kto i z kim ma się jednoczyć? — natomiast w tych właśnie warunkach Kościół katolicki z tem większą miłością

przygarnia tych, co znużeni i zgorszeni wewnętrznemi walkami w łonie prawosławia, szukają cichej i bezpiecznej przystani dla swoich religijnych dusz. *Ks. Jan Urban.*

Kronika Społeczno-ekonomiczna.

Socjalistyczny zjazd w Berlinie. — Konferencja w Genui i polityka naftowa. — Nasze uzdolnienie gospodarcze. — Redukcja płac. — Około ośmiogodzinnego dnia roboczego.

Wpierw nim się zebrała konferencja w Genui, odbył się socjalistyczny zjazd międzynarodówek w Berlinie, od 2 do 6 kwietnia b. r. Teoretyczna międzynarodowość proletarjatu wygląda w rzeczywistości tak, że są na razie trzy międzynarodówki: międzynarodówka amsterdamska, czyli II, której trzyma się dalej socjalizm angielski i częściowo niemiecki, międzynarodówka III, bolszewicka, dalej t. zw. »wspólnota« wiedeńska, która poza Austrją ma również swych zwolenników i częściowo przynajmniej pretenduje do tytułu międzynarodówki, ale wstydzi się przyjąć zdeterminowanej nazwy czwartej międzynarodówki.

Ten stan rzeczy kompromituje bardzo socjalistów i ogromnie utrudnia propagandę jednolitych wywrotowych planów. Celem więc berlińskiego zjazdu miało być wzajemne porozumienie powyższych międzynarodówek i stworzenie wspólnego programu, a więc jednej, piątej międzynarodówki. Nie doszło do tego z tej prostej przyczyny, że idea walki wśród socjalistów jest zakorzeniona tak głęboko, iż ilekroć się zjadą, zwalczają się przedewszystkiem między sobą. Tak było i na zjeździe berlińskim. Pociski słowne latały gęsto, i jedni drugim zarzucali zdradę interesów proletarjatu. Wzajemne inkryminacje wypełniły zjazd po brzegi, a całym rezultatem, jaki uwieńczył ów zjazd, było stworzenie »komitetu dziewięciu«, który ma urządzać dalsze zjazdy za pieniądze proletarjatu, przypuszczalnie z takim samym przebiegiem. Trudno rzeczywiście spodziewać się czego innego, skoro w partjach socjalistycznych Polski, Francji, a przedewszystkiem Niemiec, coraz więcej powstaje schizm, a każda z nich ma pretensję, że tylko ona jedna stoi przy czystej nauce Marxa i wyraża wolę roboczego ludu.

Bezsprzecznie poważniejsza, lecz w wynikach równie słaba, jest konferencja w Genui.

Punkt kulminacyjny kryzysu genueńskiego stanowił, jak wiadomo, artykuł VII noty wystosowanej do przedstawicieli sowieckiej republiki. W gruncie rzeczy łagodnej redakcji tego artykułu sprzeciwiła się tylko Belgja, a z nią, lecz nie tylko dla niej, Francja. Wyjaśnieniem tego zjawiska było doniesienie, że mianowicie Belgja najwięcej wraz z Francją ucierpiały przez »unarodowienie« w Rosji kopalń węgla i nafty, a że i strat, spowodowanych bezpośrednio wojną, te państwa najwięcej

poniosły, więc przez postawienie sprawy prywatnej własności takie, jak to uczyniono w art. VII, tem samem Belgja i Francja byłyby odepchnięte, od międzynarodowej konkurencji na rynkach, a raczej w wytwórniach rosyjskich. Fakt ten, że Francja przez zgodę na art. VII skazywałaby się na wieczne nieodebranie 25% swego kapitału lokowanego za granicą, a Belgja 23%, tłumaczy napewno dużo, ale nie wszystko. Sednem całej sprawy i trudności z nią połączonych zdaje się być głównie międzynarodowa polityka naftowa.

O technicznem znaczeniu i zastosowaniu nafty podaliśmy już w naszem piśmie parę szczegółów (sierpień—wrzesień 1922); na tem miejscu chcemy wskazać na polityczne znaczenie problemu naftowego.

Lord Curzon powiedział swego czasu, że »koalicja na falach nafty płynie do zwycięstwa«. Wyrażenie to doskonale oddaje techniczne znaczenie nafty i jej przetworów, natomiast francuski senator H. Berenger o politycznem znaczeniu nafty wypowiedział jeszcze dosadniejsze zdanie: »Kto będzie miał naftę, tego będzie panowanie«. Przepowiednia Berengera wypadła dla Francji o tyle fatalnie, że na krwawym targu wojennym nie zdołała wylicytować dla siebie dostatecznej ilości nafty. Temsamem jednak nie ma zamiaru zrezygnować ze swego mocarstwowego stanowiska. Zwraca więc ustawicznie baczną uwagę na każdą sposobność, w którejby swe naftowe a temsamem i polityczne znaczenie mogła nietylko zabezpieczyć, ale możliwie poprawić. Taką chwilą była właśnie i konferencja genueńska.

Celem wyjaśnienia tej naftowo-politycznej, a mocno zabagnionej sytuacji musimy sięgnąć nieco wstecz do tych lat, kiedy Anglja zaczęła swą politykę naftową, boć ona obecnie występuje jako przyjazny przeciwnik Francji.

Od lat sześćdziesiątych faktyczny monopol na cały świat miał amerykański trust naftowy Rockefellera. Zależała od niego nietylko cała Ameryka, ale i Europa. Trust był właściwym i jedynym przez szereg lat producentem nafty, on dyktował ceny ropy i jej przetworów. Niektóre firmy Starego świata były tylko jego pośrednikami, w najlepszym razie posiadały dystylarnie surowca, dostarczanego przez Amerykę. Stan ten trwał do r. 1890, w którym dwu wybitnych Holendrów rzuciło podwaliny pod nowe towarzystwo naftowe t. zw. Royal Dutch. Towarzystwo to zabrało się bardzo energicznie i umiejętnie do eksploatacji pól naftowych, znajdujących się w kolonjach holenderskich. Lecz do rozwoju pełnego swego przedsiębiorstwa potrzebowało kapitału innych państw a przedewszystkiem potrzebowało znacznej floty, by przewozić naftę z Azji do Europy. Odezwa inicjatorów w stronę Francji pozostała bez echa, natomiast Anglja odrazu uchwyciła myśl współpracy. W siedem lat po założeniu Royal Dutch'u powstaje angielskie towarzystwo transportowe, mające obsłużyć całą produkcję nafty — Shell Transport, które niebawem łączy się z holenberskiem towarzystwem w jeden potężny trust nazwany odtąd: Royal Dutch Shell. Trust ten śmiało już i bardzo skutecznie rywalizuje z amerykańskim Standard Oil.

Kiedy atoli Anglicy zauważyli i we współpracy z Holendrami doświadczyli rentowności i znaczenia przedsiębiorstw naftowych, zabrali się do pracy z temperamentem iście angielskiego businessu. Znana w historji przemysłu naftowego grupa Pearson z niesłychaną śmiałością usiłowała przedewszystkiem ubezwładnić Standard Oil przez obustronne obsadzenie kanału panamskiego, by w ten sposób jeśli nie produkcją, to przynajmniej pozycją handlową panować nad przeciwnikiem. Energiczny protest Stanów Zjednoczonych udaremnił wprawdzie te plany, ale przy tej sposobności zdołali już Anglicy zdobyć kilka terenów naftowych zarówno w Meksyku, jak i w północnej części Ameryki południowej. Zawiedzione nadzieje, że angielski handel naftowy zdoła zawładnąć Atlantykiem i Pacyfikiem, zrodziły w umysłach przemysłowców anpielskich koncept, by z Morza Śródziemnego uczynić basen ropy i wszystkich jej przetworów. Do portów śródziemnomorskich miała spływać nafta z Rumunji, Kaukazu, a przedewszystkiem z nowoodkrytych źródeł Persji i Mezopotamji.

Lecz urzeczywistnienie i tego projektu nie było zbyt łatwe. Równocześnie z Anglją wyciągały rękę po naftę do Mezopotamji Niemcy, a do Persji Rosja. Z Rosją zdołali sobie Anglicy jakoś poradzić, przynajmniej o tyle, że po pewnych targach założyli z Persami wspólne towarzystwo naftowe Anglo-Persian, z Niemcami rozpoczęła się zaciekła walka konkurencyjna i dyplomatyczna, której wynik byłby bardzo problematyczny, lecz na szczęście dla Anglików wybuchła wojna światowa, która usunęła ze wschodu Niemcy, jako czynnik bardziej ważki.

Powojenna sytuacja nietylko polityczna ale i naftowa zmieniła całkiem swój wygląd. Francuzi aż nadto dotkliwie odczuli, czem jest ropa ze swemi pochodnemi produktami w całej technice wojennej. Wystarczy wspomnieć, że w marcu 1918 r. francuski sztab jeneralny stanął przed możliwością prowadzenia wojny jeszcze tylko przez trzy dni, bo na taki okres mogło wówczas starczyć benzyny i ropy. Od katastrofy uratował Francję i całą koalicję wspomniany wyżej francuski senator Berenger, który już od r. 1917, celem umożliwienia odpowiedniego zaopatrywania armji w te produkty, poddał myśl, natychmiast urzeczywistnioną, stworzenia jakby ministerstwa naftowego: Comité général du petrole. On też zainicjował stworzenie jednego organu rozdzielczego ropy i jej przetworów dla całej koalicji, t. zw. Interallied Petroleum Conference, który odtąd oparł się całą siłą o Standard Oil i równomiernie zaopatrywał wszystkie państwa koalicyjne.

Tak więc Standard Oil oddał ludzkości nieocenione przysługi, ale przysługi te pojmował ściśle po kupiecku, nie po przyjacielsku. Już w czasie wojny niejednokrotnie z całą bezwzględnością podnosił cenę nafty, nie oglądając się na to, że Francja i Włochy wskutek innych wypadków wojennych ciężko bokami robiły. Skoro zaś tylko przycichły grzmoty wojenne, Standard Oil stanął na usługach Niemiec, zapewniających mu długoczasowe i większe korzyści. To sta-

nowisko amerykańskiego trustu zmusiło przedewszystkiem Francją do zabezpieczenia swej przyszłości w bardziej niezawodny sposób. Sprawa ta stała się przedmiotem zarówno koferencji pokojowej jak i licznych dyskusyj w Paryżu i w Londynie.

Sytuacja Francji była jednak bardzo trudna. Najpewniejszemi źródłami dla niej mogły być tereny w Mezopotamji, ale właśnie na tych terenach głównie opierały się od dawna angielskie marzenia o stworzeniu śródziemnego rezerwoaru naftowego. O tę ideę toczyły się wszystkie angielskie walki na frontach tureckich, dla niej przedewszystkiem krwawili się angielscy żołnierze w Palestynie i jak z przekąsem wyraża się pewien francuski deputowany — Anglikom w Ziemi Świętej chodziło nie o żadną świętość, ale o naftę. Tu też należy szukać źródła projektu poddania Palestyny pod protektorat angielski, wbrew logice całego świata o jej umiędzynarodowieniu.

Już podczas wojny zaczęto dyskutować tę zawiłą kwestję i Francja początkowo chciała zapewnić sobie źródła naftowe przez zdobycie politycznego wpływu na wschodnich terenach, zajętych dotychczas przez Turków a eksploatowanych przez Niemców i Anglików. Przyjazne dyskusje doprowadziły do porozumienia między Francją a Anglją. Podzielono Mezopotamję i przyległe tereny między siebie, ale pokazało się niebawem, że teren politycznie należał wprawdzie do Francji, pod względem zaś naftowym był już od dawna wykupiony przez Anglików. Wobec tego przy konferencji pokojowej senator Berenger postanowił nie maskować już więcej nafty polityką i wystąpił z szczegółowym planem rzetelnego podziału produkcji i pól naftowych między zwycięskie państwa. Chodziło przedewszystkiem o to, aby zarówno w Turcji, jak w Rumunji i Baku kopalnie nafty, będące własnością Niemców, mogły być bezpośrednio wyzyskane jako źródła odszkodowania głównie dla Francji i Belgji. Dyskusja nad tą sprawą trwała przeszło półtora roku. Francja opracowała korzystne dla siebie propozycje, lecz dla objęcia wszystkich terenów, na które reflektowała, nie miała dość technicznego przygotowania. Porozumiewał się więc Berenger z dyrektorem "Royal Dutch'u, który tem większą okazywał skłonność udzielenia Francji wszelkiej możliwej pomocy, że zamyślał uwolnić się przynajmniej częściowo od przemożnego angielskiego wpływu. Niestety wówczas, kiedy najwięcej miało szans to porozumienie między Francją a Holandją, nie doszło do porozumienia między Anglją a Francją, kiedy znów wreszcie osiągnięto w San Remo to porozumienie, przynajmniej teoretycznie korzystne dla Francji, Anglja zdołała obrobić nietylko Royal Dutch, ale nawet Standard Oil, by u nich zabezpieczyć sobie sympatję dla swej polityki naftowej.

Szczegóły tego ostatniego podejścia Francji przez sojuszniczkę Anglję nie są nam dokładnie znane, że jednak kryje się w niem wielkie niebezpieczeństwo dla Francji można wnosić z tego, iż tak kategorycznie broniła swego indywidualnego stanowiska wobec artykułu VII, a w niem francuskiego interesu naftowego. Czy i o ile faktyczne klęski Francji w polityce naftowej na Wschodzie mogą być skompensowane

układem handlowym, zawartym między Francją a Polską, który wreszcie nasz Sejm ratyfikował 12 maja b. r., to dałoby się powiedzieć na podstawie znajomości szczegółowej traktatu handlowego. Na razie jednak nie doszły nas jeszcze szczegóły tego traktatu. W każdym razie wobec trudnej sytuacji Francji, a przytem wobec wielkiego znaczenia nafty i jej obfitości na Podkarpaciu, polska polityka ma wielkie pole do popisu.

Konferencja genueńska, która w opinji prasy miała głównie pracować nad przywróceniem gospodarczej równowagi na kuli ziemskiej, nadzieje w niej pokładane rozbiła o politykę. Od pierwszej chwili konferencji zagadnienia gospodarcze usunięto na drugi plan i wszelkie zamierzenia ustalenia kursów walut, zorganizowania kredytu międzynarodowego, zostały nadal tylko pium desiderium tak dławiących się hyperprodukcją, jak i przymierających w niedostatku społeczeństw. Nas również zawiodło marzenie, że w naszem gospodarczem życiu same gołąbki wlecą nam do gąbki. Zostawieni jesteśmy nadal sami sobie i sami będziemy kuć własne szczęście. Jak dotychczas, nie ukuliśmy jeszcze nic misternego. Opiewana nawet w poezji danina nie przyniosła spodziewanej sanacji, owszem w rażącem stopniu odkryła nasze społeczne i gospodarcze wady. Kiedy przedtem wzrost drożyzny usprawiedliwiano coraz większem rozwadnianiem wartości pieniądza papierowego, przez emitowanie nowych seryj, gwałtowną zwyżką walut obcych, podnoszeniem taryf kolejowych i pocztowych, to na usprawiedliwienie najnowszej fali drożyźnianej pozostał jeden cyniczny argument, że zwyżką cen za zboże trzeba wyrównać ofiarę poniesioną na rzecz państwa przez daninę. Za drożyzną zaś chleba i innych środków żywnościowych z bezwzględną konsekwencją nastąpiło podrożenie siły roboczej, katastrofalne wprost położenie wszelkiego rodzaju pracowników państwowych, a za tem konieczność podniesienia poborów. W ten sposób samo społeczeństwo wydziera rządowi powitaną z takim entuzjazmem daninę. Nie jest to zresztą jedyny objaw naszej obywatelskiej i gospodarczej niedojrzałości. Jeszcze dosadniej o niej mówi budżet polski na rok bieżący i za rok ubiegły. Najmniejszą pozycję dochodową stanowią w nich wpływy z podatków bezpośrednich, które faktycznie nie są w stanie pokryć wydatków na opłacenie personalu, potrzebnego do ściągania tych podatków. Znaczy to znów nie co innego, jak to, że społeczeństwo nie chce niczego dać wprost państwu, ale domaga się dawnych zaborczych metod uchylania się od wszelkich ciężarów na rzecz państwa, które też konkretnie wyglądają zawsze jako podatki pośrednie. Dopóki zaś rząd nie będzie miał rzetelnej pomocy od społeczeństwa, dopóty i społeczeństwo nie będzie miało prawa spodziewać się od rządu jakichś epokowych przemian gospodarczych, a przedewszystkiem reformy waluty.

Z kwestją drożyzny złączona jest organicznie sprawa płacy roboczej. W zachodnich społeczeństwach prawie stale odbywa się redukcja

płacy. Anglja w przeciągu dziewięciu miesięcy zeszłego roku (od stycznia do października redukowała na 6,000,000 robotników 3 miljony ośmset tysięcy funtów tygodniowo. We Francji sprawa redukcji płacy jest ustawicznie prawie na porządku dziennym tak w zarządach związków zawodowych, jak w organizacjach przedsiębiorców, do których trzeba zaliczyć i rząd. Stosunki gospodarcze o tyle się unormowały, że po pewnym, zrozumiałym zresztą, oporze ze strony robotników dochodzi stale do porozumienia i na dalszą metę ustala się stopy zniżki. W styczniu n. p. bieżącego roku ustalono redukcję płac górników w północnej Francji w dwu fazach, najpierw od 15 stycznia o dwa franki na dzień, następnie od 15 kwietnia o 1,25 fr. Nasze przedsiębiorstwa zmuszone są, nie zmniejszać, ale podwyższać płacę, a kalkulacja na dalszą metę przechodzi wszelką możliwość wobec tego, że tendencja drożyźniana ma swe podłoże w złej woli.

Jedną z dźwigni naszej waluty, dźwigni odrazu złamanej, miało też być przedłużenie dnia roboczego. Sprawa ośmiogodzinnego dnia roboczego nie może być już poruszana w tym sensie, by zaprowadzić przymusową dłuższą pracę, lub choćby tylko ogólnie zezwolić na nieograniczone przedłużanie dnia roboczego. Prawne określenie czasu pracy jest przecież niezaprzeczoną zdobyczą robotników, przyjętą przez wszystkie kodeksy cywilizowanego świata. Najbardziej charakterystyczne jest to, że reforma pod tym względem nastąpiła w europejskich państwach bezpośrednio po wojnie. Najpierw, bo już 29 października 1918 r. wprowadziły odpowiednią ustawę Niemcy, za niemi poszła Francja, 23 kwietnia 1919 r., potem Hiszpanja 3 sierpnia, Włochy 15 maja i 15 czerwca tegoż roku, Szwajcarja 17 października, Polska 18 grudnia, Holandja dopiero 27 września 1920 r., ale zato wprowadziła 45-o godzinny tydzień roboczy. Anglja dotychczas nie posiada ogólnej ustawy, lecz faktem jest, że na 14 miljonów robotników angielskich mniejwięcej 12 miljonów pracuje tylko ośm godzin na dzień, a w wielu zakładach przemysłowych jest przyjętych 44 godzin pracy na tydzień. W Niemczech nadto jest specjalna ustawa regulująca czas pracy robotników rolnych i ziemnych w ten sposób, że suma godzin roboczych na cały rok ma wynosić 2,900.

Wobec takiego stanu ustawodawstwa robotniczego i wobec tego, że za ośmiogodzinnym dniem roboczym wypowiedziała się pierwsza międzynarodowa konferencja pracy w Waszyngtonie, w październiku 1919 r., opierając swój postulat na zasadach ekonomicznych i społecznych, ta norma musi być uważana za niezwruszoną. Lecz inna rzecz reguła, a inna wyjątki od niej. Taki wyjątek właśnie swego czasu proponował obecny minister skarbu. Chodziło o jakąś nowelę do ustawy o ośmiogodzinnym dniu roboczym, którąby zezwalała »na ochotnika« pracować dłużej. Sprawa u nas już jest przesądzona. Lecz analogiczna kwestja wysunęła się na porządek dzienny parlamentu francuskiego. Chodziło mianowicie o to, by do ustawy z 23 kwietcia 1919 r., decydującej o 48 godzinach pracy na tydzień, wprowadzić uzupełnienie

zezwalające w ściśle określonych przedsiębiorstwach i na oznaczony czas przedłużyć czas pracy po wzajemnem porozumieniu się zainteresowanych organizacyj robotników i przedsiębiorców, by nadto rząd mógł swem rozporządzeniem w pewnych wypadkach polecić dłuższą pracę w administracji publicznej. Gorący patrjotyzm i wielki zmysł gospodarczy Francuzów przyjął ze spokojem te projekty, które najprawdopodobniej obleką się w formę prawną.

Nadto bardzo charakterystyczny jest ruch zwłaszcza wśród organizacyj chrześcijańskich, usiłujący zabezpieczyć robotnikom korzystne i przyjemne spędzanie godzin, które zyskali przez ograniczenie czasu pracy. Lokale robotnicze skupiają na odczyty i dyskusje oraz na godziwe rozrywki coraz większe rzesze braci robotniczej, a czasopisma raz po raz poruszają sprawę wypełnienia wolnych godzin czemś pożyteczniejszem, niż knajpa. U nas ta sprawa jest również, a raczej jeszcze bardziej piekąca przynajmniej o tyle, o ile nasz robotnik stoi niżej kulturalnie od robotnika francuskiego. Lecz do dnia dzisiejszego nie zauważyliśmy żadnej większej i planowej w tym kierunku inicjatywy.

Ks. R. Moskała.

REDAKTOR I WYDAWCA: *Ks. J. Urban T. J.*

Druk ukończono 31 maja 1922.

Spis rzeczy tomu 153—154.

Artykuły.

Ks. Jan Urban T. J.: Walka o historyczne podstawy chrześcijaństwa. 5, 81, 241
F. Sobolewski: Podział zysków, jako zasadniczy postulat społeczno-ekonomiczny 22
Econ: Znaczenie konferencji w Waszyngtonie 33
Dr. A. Prochaska: Władyka Winnicki wobec Bazyljanów. . 43
Ks. J. Rostworowski T. J.: Pamięci Benedykta XV. . . 1*
Prof. Szymański: Udział robotników w zarządzie przedsiębiorstw 98, 178
O społeczne obowiązki ziemian: I. Głos ze sfer ziemiańskich. II. Wyjaśnienia ks. Rostworowskiego 112
E. Winkler: Projekt biskupa Wereszczyńskiego regularnej armji polskiej na kresach 120
Ks. J. Urban T. J.: Pius XI. 161
Ks. Jan Rostworowski T. J.: W trzechsetną rocznicę wielkiej kanonizacji. 166
Ks. St. Podoleński T. J.: Prasa katolicka w dobie dzisiejszej 196, 356
Inż. F. Sobolewski: Przyszłość przemysłu samolotowego w Polsce. 256
Ks. F. Hortyński T. J.: Sztuczne rozbicie atomu 264
Dr. A. Prochaska: Charakterystyka metropolity Winnickiego 273
Ks. R. Moskała T. J.: Względność prawa własności . . . 321
Dr. M. Estreicherówna: Organizacja i działalność katolików w Stanach Zjednoczonych 339
H. Zahorska: Nasza belletrystyka dzisiejszej doby 369
Ks. A. Bukowski T. J.: Nadprzyrodzony charakter Biblji . 401
Ks. J. Urban T. J.: O zdrowie moralne w naszych rodzinach 420

Str.

Ks. F. Hortyński T. J.: Teorja ewolucji wobec najnowszych wyników nauk biologicznych 439

Przegląd piśmiennictwa.

M. d'Herbigny S. J.: Theologica de Ecclesia. (Ks. J. Urban T. J.) . . 59
I. Matuszewski: Studja o Żeromskim i Wyspiańskim. (Ks. N. Cieszyński) 60
Five Centuries Record of The English Bridgettines of Syon Abbey 1420—1920. (Ks. Wł. Tołłoczko) 62
H. Muckermann S. J.: Kind und Volk. (Ks. St. Podoleński T. J.) . 63
O. Weininger: Płeć i Charakter, przeł. Ostap Ortwin. (J. A.) 64
Z krwawych dni Złoczowa. (J. U.) 66
A. Palmieri: Rinascita letteraria e clero in Lituania. (J. U.) 66
Prace biblijne katolickie w r. 1921. (Ks. J. Archutowski) 126
Dr. T. Zieliński: Rzym i jego religja. Tenże: Hermes Trismegistos. (Ks. J. Urban T. J.) 133
T. Grabowski: Literatura luterska w Polsce wieku XVI. (Ks. N. Cieszyński) 135
Przegląd Warszawski. Miesięcznik. (J. K.) 139
L. Zarzecki: Charakter i wychowanie. (Ks. St. Podoleński T. J.) . . 140
O. K. Marmion: Chrystus życiem duszy, przeł. ks. J. Andrasz T. J. (Ks. L. C.) 141
E. Fehringer: Der gute Christ im modernen Weltleben. (Ks. J. Andrasz T. J.) 142
Pierre de la Gorce: Histoire religieuse de la Révolution française. (Ks. J. Urban T. J.) 209
J. Braun: Najazd centaurów. (J. K.) 213
Homera Ilias. Przekł. J. Czubek. — P. Ovidius Naso, Przemiany. Przekł. hr. Kicińskiego. (j.) 215
Z. Ludkiewicz: Polityka agrarna. (R. M.) 218
Dr. G. Rauschen: Grundriss der Patrologie (X.) 218
Dr. P. W. Keppler: Homilien und Predigten. (Ks. A. Ż.) 219
Reiz v. Frentz S. J.: Der ehrw. Kardinal Rob. Bellarmin S. J. (K.) . . . 219
Warszawa za Sejmu Czteroletniego w obrazach Z. Vogla. (St. M.) . . . 221
E. Dimmler: Mystik, Dr. E. Krebs: Grungfragen der kirchlichen Mystik. (Ks. J. Andrasz T. J.) 221
P. S. v. Oer: Ich, Selbstbetrachtungen. (X.) 223
G. Diessel: Die betrachtende Ordensfrau. (Ks. L. C.) 224
Dr. A. Klawek: Das Gebet zu Jesu; Tenże: Noc Betleemska. (Ks. J. Urban T. J.) 287
René Guénon: Le théosophisme, histoire d'une pseudoreligion. (Ks. Jan Rostworowski T. J. 288
Z. Morawski: Sacco di Roma; Tenże: Z Rawenny. (Ks. M. Skibniewski T. J.) 289
J. Lebreton; Le Resurrection de la Pologne; Baudrillart: Une campagne française; René Pinon: L'Europe nouvelle et le catholicisme. (Ks. N. Cieszyński) 292
L. Janowski: Wszechnica Wileńska. (Ks. Wł. Tołłoczko) 295

Str.

Prof. Dr. F. Haase: Die religiöse Psyche des russischen Volkes. (Ks. Wł. Tołłoczko) 298
W. Bojarski: Wiadomości z nauki o wychowaniu. (S. P.) 300
J. Schumacher: Kirchengeschichte in Zeit- und Lebensbildern. (Ks. St. Podoleński T. J.) 300
Lebenserinnerungen des hl. Ignatius von Loyola, nach dem Urtext übertragen von Alfred Feder S. J.: (J. R.) 301
P. Bureau: L'Indiscipline de Moeurs. (Ks. J. Rostworowski T. J.) . 376
J. P.: Rola Chrześcijańskiej Demokracji w życiu społeczno-politycznem; J. P.: Idea chrześcijańsko-społeczna w jej historycznym rozwoju; Ks. St. Adamski: Zadania Chrześcijańskiej Demokracji w Polsce; Dr. A. Koperska: Zasady polityki chrześcijańskiej; Dr. L. Halban: Zasady społeczne nowego Kodeksu Prawa Kościelnego; Ks. I. Charszewski: Polska między Bogiem a szatanem. (Ks. R. Moskała T. J.) 379
R. Taubenschlag: Spółdzielnie gminne w zorganizowanych prowincjach rzymskiego Wschodu (R. M.) 382
Dr. Z. Daszyńska-Golińska: Miasta rolników, jako dopełnienie reformy rolnej w Polsce. (R. M.) 383
Wł. Gostyński: Cud Wisły w świetle zasad strategji; M. Handelsmann: W piątym pułku legjonów. (R. M.) 383
Dr. Er. Bujak: Dziejowe znaczenie morza. (R. M.) 384
Dr. Dobrzyńska-Rybicka: Chwila obecna. (Ks. St. Podoleński T. J.) 384
St. Papée: Henryk Sienkiewicz jako humorysta. (Ks. N. Cieszyński) 385
H. Grisar S. J.: Luther zu Worms; Tenże: Luthers Kampfbilder. (Ks. M. Skibniewski T. J.) 387
Mutter Klara Fey: Advents- und Weihnachtsbetrachtungen (Ks. L. C.) . . 388
Maria Müller: Friedensglöcklein. (S. P.) 388
Ks. W. Szczepański: Najstarsze cywilizacje Wschodu klasycznego. Egipt. (Ks. J. Archutowski) 448
Ks. J. Archutowski: Co to jest Pismo Św.? (K.) 449
B. Duhr: Geschichte der Jesuiten in den Ländern deutscher Zunge. (Ks. M. Skibniewski T. J.) 450
O. Karrer: Der heilige Franz von Borgia. (P.) 452
Rocznik Tow. Przyj. Nauk w Wilnie. (Ks. Wł. Tołłoczko) 453
K. Evald: Czworo miłych przyjaciół; W. Bonsels: Pszczółka moja. (X.) . 454
J. Powalski: Nad jeziorem. (J. K.) 455
Eugenja Żmijewska: Żona. (Wł. Tołłoczko) 456
Jan Papini: Dzieje Chrystusa. (S. M.) 457
M. Reynés-Monlaur: Tajemnicze słowo; Kierdaj (z życia pensjonarek); H. G. Wells: Pierwsi ludzie na księżycu; Kap. Marryat: Wśród koralowych raf; Michał Bałucki: Za późno — Latawica: Wiktor Gomulicki: Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd pism swoich wydać? — Zakazane — Syrena — Strach; Juljan Jasiński: Dawni ludzie; A. Stodor-Cehak: Czarna ściana; Henryk Rieff: Jestem rabusiem; Irena Mrozowicka: Bez ten święty opłatek (S. M.) . . . 457

Str.
Ks. Antoni Huonder T. J.: U stóp Mistrza (Ks. L. C.) 458
M. Zdziechowski: Gloryfikacja pracy. (Ks. Wł. Tołłoczko) 458
Nadesłane do Redakcji 67, 143, 225, 301, 389, 459

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła. (Ks. Jan Urban T. J.):
Styczeń: Religijne posłannictwo Polski i warszawskie poczynania misyjne. — Stan katolicyzmu w Syberji wschodniej i pierwsza tam instytucja misyjna. — Kwestja dóbr kościelnych w Komisji mieszanej 68
Luty: Francja na rozdrożu między dogmatami „świeckości" a poczuciem słuszności. — Stosunki kościelne w Czechach. — Nieoględność w omawianiu spraw kościelnych i traktowaniu przedstawicieli Kościoła 144
Marzec: Prawodawstwo małżeńskie Kościoła a ewangelicy 227
Kwiecień: List pasterski biskupów polskich o małżeństwie. — Nowe zamachy rządu bolszewickiego na wolność religijną 304
Maj: Orędzie papieża z okazji konferencji w Genui. — Ludowcy wobec listu biskupów o małżeństwie. — Religja w programie Stronnictwa Prawicy narodowej 390
Czerwiec: Rzym, Genua i Moskwa. — Rozkład wewn. we wschodniem prawosławiu: Konstantynopol, Antjochja, Jerozolima, Rosja 460
Kobiety w hierarchji kościoła anglikańskiego (S. P.) 76
Z wystawy krakowskiego Tow. Sztuk pięknych. (J. Trepka) . 153
Notatki ekonomiczno-społeczne. (Ks. R. Moskała T. J.) 231, 470
Ze Związku Historyków Sztuki 240
Z wystaw krakowskich. (J. Trepka) 310
Wykopaliska w Palestynie po wojnie. (Ks. J. Archlutowski) . 315
Nowe wyniki z zakresu badań nad pasami polskiemi. (Ks. Dr. Kruszyński) 317
Z nad granicy dwóch światów (Ks. F. Hortyński T. J.) . . 394
Towarzystwo gniazd sierocych. (S. P.) 399
Rozmaitości 79, 149, 240, 319